MATKA BOLESNA.

MATKA BOLESNA

WZÓR DLA CIERPIĄCYCH.

WOLNE TŁOMACZENIE DZIEŁA O. FABERA ORATORYANINA

POD TYTUŁEM:

„U Stóp Krzyża"

„Przyjdźcie a obaczcie czy jest boleść, jako boleść Moja". (Treny 1, 12).

PRZEZ

O. Prokopa Kapucyna.

NOWY SĄCZ.
Nakładem i drukiem J. K. Jakubowskiego.
1895.

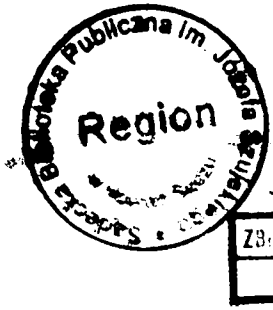

№ 1014.

APPROBATUR.

Plociae die 20. Julii 1886 anno.

Episcopus Suffraganeus,

Administrator Dioecesis Plocensis

† **Henricus Petrus** Epus.

(L. S.)

Regens Cancellariae

H. Okręglicki.

Akc. 1 2003

BREVE
OJCA ŚWIĘTEGO

z błogosławieństwem

na pisma X. Prokopa Kapucyna.

Dilecto filio Procopio a Brahilovia Exprovinciali Provinciae olim Polonae Fratrum minorum Ordinis S. Francisci Capucci-norum.

PIUS P. P. IX.

Dilecte fili salutem et Apostolicam benedictionem.

Quia non ignoramus dilecte fili, te non minus opere quam sermone sedulum et eficax augendae Dei gloriae, tuendis promovendisque religionis rebus et animarum saluti procurandae studium impendere, perlibenter excepimus volumina, quibus pietatis spiritum, quem cordibus confluentium ad conciones tuas ingerere contendis, ad absentes etiam porrigere nisus es, ut et dissitos quoque divini amoris igne succenderes. Equidem polonicae linguae difficultas ea Nos legere vetuit; verum ex interpretatis singulorum titulis, satis perspicere potuimus eadem opportunissima contingere praesenti tempori, ubi impietas hominum mentes ad fluxa dejectas prorsus avocat a caelestibus; ubi nefarium Christi Domini odium e sectarum antris in publicam

lucem prolatum, impensiore dilectione rependi postulat, simulque criminum coluvies ubique exundans, validiore opus habet apud Deum intercessione et patrocinio superum; ubi demum mala quibus undique premimur, coelestia poscunt solatia ne deficiamus. Jam vero Vitae Sanctorum quas concinnasti priori occurrunt necessitati, dum per contemptum terrenarum rerum, virtutum exempla, charismata, gloriam eorum, animos attollunt ad spiritualia et ad imitationem alliciunt. Alteri necessitati prospiciunt documenta et exercitia a te proposita, sive ad excitandam dilectionem erga dulcissimum Salvatorem nostrum, sive ad fovendum augendumque cultum Immaculatae Matris Ejus, sive ad exorandum Deum et caelites; postremae denique necessitati consuluisti, genti tuae reddita exhibens vernacula lingua quae S. Alphonsus de Liguorio scripserat pro consolatione afflictorum. Hisce itaque lucubrationibus tuis, indoli temporum nostrorum adeo accommodatis virtutem desuper imploramus, quae semini a te jacto uberrimum conferat incrementum, tibique splendidam conciliet coronam iis promissam *qui ad justitiam eruditunt multos.* Interim vero superni favoris auspicem et paternae benevolentiae Nostrae testem, tibi dilecte fili piisque laboribus tuis, Apostolicam benedictionem peramanter impertimus.

Datum Romae apud S. Petrum die 22. Februarii 1875 Pontificatus Nostri anno vicesimonono.

Pius P. P. IX.

PRZEKŁAD.

Ukochanemu synowi Prokopowi z Brahiłowa, Exprowincyałowi dawnej Prowincyi Polskiej Braci mniejszych Zakonu Ś. Franciszka Kapucynów.

PIUS P. P. IX.

Ukochany synu pozdrowienie i błogosławieństwo Apostolskie.

Wiedząc ukochany synu, że jak czynem tak słowem starasz się pilnie i skutecznie przymnażać chwały Bożej, popierać i szerzyć wszystko co się religii tyczy zbawienie dusz ułatwić może, przeto najmilej przyjęliśmy księgi przez które ducha pobożności którego w sercach gromadzących się niegdyś na twoje kazania zaszczepiać usiłowałeś, teraz nieobecnym chcesz udzielić, abyś i oddalonych ogniem miłości Bożej zapalił. Wprawdzie trudność języka polskiego nie dozwoliła nam je czytać, wszelako z przetłómaczonych wszystkich tytułów dostatecznie przekonaliśmy się, że są one najodpowiedniejsze obecnym czasom, w których bezbożność ludzka umysły w znikomościach zatopione całkiem odwraca od rzeczy niebieskich; w których zbrodnicza Chrystusa Pana nienawiść z kryjówek sekciarskich wyszedłszy na jaw publiczny, wymaga aby naprzeciw niej tem żywsza występowała miłość, a oraz powódź nieprawości wszędzie rozfalowana, tem możniejszego pośrednictwa do

Boga i opieki górnej krainy mieszkańców potrzebuje; w których nareszcie nieszczęścia, któremi zewsząd trapieni jesteśmy niebieskiej dopominają się pociechy, byśmy na duchu nie upadali. Owoż Żywoty Świętych któreś napisał, pierwszej z tych potrzeb odpowiadają, gdy przez ich wzgardę rzeczy ziemskich, przez ich cnót przykłady, przez dary i chwałę jakiej dostąpili, podnoszą umysły do rzeczy duchownych i do naśladowania słodko pociągają. Drugą potrzebę zaopatrują nauki i przez ciebie podane ćwiczenia już to do rozbudzenia miłości ku najsłodszemu Zbawicielowi naszemu służące, już do utrwalenia i rozszerzenia czci Niepokalanej Matki Jego, alboli też do modlenia się do Boga i do Niebian. Nareszcie ostatniej potrzebie zaradziłeś, przekładając dla współrodaków twoich na język krajowy to, co Ś. Alfons Liguori pisał dla pociechy strapionych. Na te przeto opracowania twoje, do usposobienia czasów naszych tak dalece zastosowane, wzywamy z wysoka mocy, aby ona ziarnu przez ciebie rzuconemu najżyźniejszy wzrost przydała, a tobie zjednała świetną koronę przeznaczoną tym, *którzy ku sprawiedliwości wprawują wielu* *). Tymczasem zaś, jako zapowiednię łaski niebieskiej i na świadectwo Naszej przychylności, tobie ukochany synu i pobożnym pracom twoim apostolskie błogosławieństwo najmiłościwiej udzielamy.

Dano w Rzymie u Ś. Piotra dnia 22. Lutego 1875 Papiestwa Naszego roku dwudziestego dziewiątego.

*) Daniel XII. 3.

Pius P. P. IX.

OJCU FELIKSOWI A GRZYBOWNIK

Kapłanowi Zakonu Kapucynów

TEN PRZEKŁAD DZIEŁA

O CIERPIENIACH

MATKI BOLESNEJ

NA PAMIĄTKĘ

CHWIL W KTÓRYCH ON MNIE CIERPIĄCEGO

miłością swoją otaczał i pomocą duchowną krzepił

ofiaruję i przypisuję

PRZEJĘTY DLA JEGO CNÓT ZAKONNYCH

NAJGŁĘBSZYM SZACUNKIEM

A ZA JEGO DLA MNIE DOBROĆ

NAJŻYWSZĄ WDZIĘCZNOŚCIĄ

Tłómacz.

Z Przeglądu Katolickiego

z roku 1887, w numerze 28.

MATKA BOLESNA,

wzór dla cierpiących,

przez O. Prokopa Kapucyna. Warszawa 1887., 8°, stron XXVI. i 537.

Z tegoczesnych pisarzy ascetycznych, żaden nie może się poszczycić taką liczbą wydanych ksiąg, książek i książeczek ile ich napisał i wydał O. Prokop Kapucyn. — Na liczbę jest ich 50, z tych połowa oryginalnych, druga tłómaczonych; co do treści, odnoszą się wszystkie do życia doskonałego chrześcijańskiego, co do wartości wszystkie pełne gruntownej teologicznej nauki, wszystkie pełne namaszczenia religijnego i bogactwa wzniosłych myśli — i jeśli tak rzec można coraz doskonalsze.

Od odczytania ostatniego dzieła, które mamy przed sobą oderwać się trudno, bo każdem zda-

niem tak żywo do nas przemawia, iż czytając pobożnie, zda się, że każdy wiersz, każde słowo z pod duszy jest wyrwane, a balsam kładzie na zbolałe serce. Dzieło to oryginalnie po angielsku napisał niedawno zmarły Oratorjanin O. Faber, Kapłan wielkiej świątobliwości i nauki, znany z kilku dzieł ascetycznych, wysoko cenionych dlatego przedewszystkiem, że pisane są w zastosowaniu do dzisiejszych wyobrażeń i sposobu życia. Otóż dzieło jego *Matka Bolesna* O. Prokop przetłómaczył na język polski — mylę się — układ wziął tylko, wzniosłe myśli autora, ducha całego, i to wszystko w polską przyodział szatę, wspaniałą, majestatyczną, którą w ośmiu zawarł rozdziałach. W rozdziale pierwszym zatytułowanym: Męczeństwo Maryi, skreślił żywot Jej cały, wybierając z niego wszystkie momenta Jej boleści i cierpień, które tak Pan Bóg dopuścił, aby spadły na tę Matkę boleści, a nam posłużyły za wzór do zgadzania się we wszystkiem z wolą Bożą i dźwigania tego krzyża, który Panu Bogu podoba się zesłać na człowieka. W następnych siedmiu rozdziałach, rozważa autor siedm boleści Najświętszej Maryi Panny; dzieląc każdą tajemnicę czyli rozdział każdy na cztery części; w pierwszej kreśli szczegóły historyczne, odnoszące się do każdej tajemnicy; w drugiej zbiera umiejętnie główne cechy boleści Przenajświętszej Matki; w trzeciej

wewnętrzne Jej usposobienie; w każdej boleści rozważa szczegółowo i nakoniec zastanawia się nad tem, czego nas uczy Przenajświętsza Matka w swej każdej boleści. Podział ten we wszystkich rozdziałach jednako i systematycznie przeprowadzony, dzieli książkę na 28 traktatów ascetycznych, czyli na 28 kazań, na dzień Matki Boskiej Bolesnej, a każdy taki traktat, każde kazanie, zawiera najzbawienniejsze nauki o cierpieniu w ogólności i podaje najpraktyczniejsze sposoby, tyczące zachowania się, gdy cierpienia a zwłaszcza w większej mierze stają się udziałem naszym. — Tu zwrócić należy uwagę na szczegóły historyczne, opowiedziane na początku każdego rozdziału, każdej boleści: czytając je, zda się, że autor opowieści tej świadkiem był naocznym tego, co się działo przed dziewiętnastu wiekami, lub opis chyba znalazł przez tego, który patrzał na każde zdarzenie, złączone z tajemnicą boleści Maryi, od proroctwa Symeona począwszy, aż do złożenia martwego ciała Jezusa w grobie Józefa z Arymatei. Tymczasem pisze to nie świadek naoczny, lecz pisarz pobożny i wiarą natchniony, który w opisie swym nie stracił ani jednego odnośnego słowa z Pisma św., ani jednego proroctwa zapisanego w tej boskiej księdze; nie stracił ani jednego odpowiedniego objawienia, zapisanego w księgach ascetycznych, a mianowicie też w księgach św. Brygidy. Do

najrzewniejszych a najśliczniej, bo najboleśniej opowiedzianych rozdziałów, czyli raczej tajemnic dwóch ostatnich boleści, należą: zdjęcie z krzyża i złożenie Jezusa do grobu.

Najgorętszemi słowy zalecamy duszom pobożnym to wspaniałe a prześliczne boleścią swą dzieło.

Ks. J. Polkowski.

Z Przeglądu Powszechnego

z roku 1887.

MATKA BOLESNA

wzór dla cierpiących,

wolne tłómaczenie dzieła O. Fabera Oratoryanina pod tytułem „U stóp Krzyża"

przez O. Prokopa Kapucyna.

Warszawa 1887. Zeszyt 7 z miesiąca lipca.

Cichy a niestrudzony pustelnik zakroczymski co kilka miesięcy nowym obdarza nas podarkiem, wydając dziełka albo oryginalne pisane, albo przyswajając naszej ubogiej literaturze ascetycznej znakomitsze utwory innych krajów.

Na początku tego roku wydał tłómaczenie dzieła O. Fabera pod tytułem „U stóp Krzyża". Dzieła O. Fabera odznaczające się głęboką nauką teologiczną, pełne treści i ascetycznego nastroju, rozeszły się w licznych tłómaczeniach i wydaniach po całym świecie, a to najlepszy dowód ich wartości.

Tłómacz nazwał pracę swą wolnym przekładem, raz że zwroty i sposób wyrażania się w języku angielskim nie dadzą się żywcem oddać polszczyźnie, a powtóre że pominął wiele rzeczy mistycznych i trudnych do zrozumienia, żeby tylko książkę uczynić przystępną dla najszerszego koła czytelników. Przekład pięknym i jędrnym językiem dokonany.

W przedmowie wykazuje O. Prokop potrzebę nauki o cierpieniu, które nierozłączne w tem życiu, w tajemnicy krzyża wzmacnia, poświęca i uszczęśliwia na wieczność człowieka.

Z.

CHWAŁA JEZUSOWI I MATCE NAJBOLEŚNIEJSZEJ.

OD TŁÓMACZA.

O cierpieniu.

Jeśli kto chce za Mną iść, niech zaprze samego siebie, a weźmie krzyż swój na każdy dzień i niech idzie za Mną. (Łuk. 9. 23).

A kto nie bierze krzyża swego, a nie naśladuje Mnie, nie jest Mnie godzien. (Mat. 20. 38).

Każdemu chrześcijaninowi wiadomo, że *Krzyż* o którym w powyższych słowach jest mowa, oznacza wszelkiego rodzaju cierpienia, czy to fizyczne czy moralne, czy wewnętrzne czy zewnętrzne, jakich człowiek w życiu doczesnem doznać może. Zdawałoby się przeto iż po tak wyraźnem zapowiedzeniu przez Samego najdroższego Zbawcy naszego, że do tego żeby *iść* za Nim, krzyż jest jakby warunkiem niezbędnym — każdy z wierzących powinienby doskonale rozumieć, czem są dla nas wszelkiego rodzaju spadające na nas krzyże, czem są w życiu naszem cierpienia, jaką one odgry-

wają rolę w wielkiej, ba największej jaką może mieć człowiek sprawie, bo w sprawie zbawienia.

Tymczasem tę tak ważną naukę przyniesioną nam z nieba przez Syna Bożego, tę tak wielką prawdę zakrytą przed naszym rozumem jeśli go nie oświeca wiara objawiona, jakże niedostatecznie mamy wyrytą na pamięci, a nawet jak ona jakby zupełnie znika z oczu naszych, gdy jakowym wyjątkowo bolesnym ciosem, jakowem wielkiem cierpieniem, rzeczywistem, po ludzku na rzeczy zapatrując się nieszczęściem, dotknięci zostajemy. A co jeszcze bardziej jest zadziwiającem, to że w takich razach nietylko osoby pełne wiary lecz nawet i dusze dążące do gruntownej pobożności, doznają pod tym względem wielkiego zaćmienia na umyśle, stającego się źródłem najrozmaitszych a najwstrętniejszych dla nich przeciw rozporządzeniom lub dopuszczeniom najwyższego, najlepszego i najmądrzejszego Boga, pokus. Niedostatecznie pod tym względem oświecone, niedostatecznie wdrożone w zamiłowanie cierpienia jako jednej z głównych i najniechybniejszych cech wybraństwa, niedostatecznie oswojone, przez głębsze zastanawianie się nad tajemnicami życia Pana naszego, czem jest cierpienie — gdy je takowe w mierze niezwykłej i ze strony dla nich najdotkliwszej spotyka, w odmęt niepokojów, zwątpień, zamieszań wewnętrznych wpadają i jakby już nie rozumieją co się z niemi dzieje.

Jednym trudno pogodzić przeświadczenie jakie mają o nieskończonej dobroci Boga, z tem co na nie

zesłał lub dopuścił. Drudzy tracą ufność w modlitwie, widząc że takowa nie odwróciła od nich ciosu od którego jak najusilniej się wypraszali. Wśród powstającego stąd zaburzenia wewnętrznego upadają na duchu; co najmniej zaniedbują się w ćwiczeniach duchownych bardziej jak kiedy wtedy im potrzebnych, i niestety! zamiast *zaprzenia siebie samego* wymaganego przez Pana Jezusa od chcących Go naśladować *i niesienia krzyża swego,* oni krzyż im zesłany nieśćby nie chcieli, znajdując go zbyt ciężkim i z najrozmaitszych powodów dla nich niezrozumiałym.

Bo też przyznać należy, że cierpienie, i to jeszcze w tak ogromnej mierze będące udziałem człowieka na ziemi, jest bodaj czy nie najtrudniejszą do rozwiązania zagadką dla umysłu byle trochę głębiej zastanawiającego się nad rzeczami, a niedostatecznie oświeconego wiarą świętą. A nawet wręcz powiedzieć można, że jest ono czemś niczem wytłómaczyć się nie dającem, jeśli się na nie nie ze stanowiska wiary zapatrywać będziemy.

Proszę, niech mi kto potrafi wyjaśnić, a jak mówię, bez nauki katolickiej i to w całej jej całości wziętej, skąd się wzięło na ziemi cierpienie? Gdzie jego źródło? Kto je stworzył? Co ono znaczy? Jaki być może cel jego? Jaki pożytek? Dlaczego jednych spotyka ono w większej, drugich w mniejszej mierze? Dlaczego, bądź co bądź, nikt od niego nie jest wolny? I wreszcie dlaczego pomimo najwyższego jaki ma do niego człowiek wstrętu, i pomimo ciągłych największych wysileń jego aby się od niego uwolnić, panuje ono jednakże

przeważnie nad kolejami ludzi wszelkich stanów, wszelkiego wieku, wszelkiego usposobienia, wszelkich czasów, i ani przypuszczać można, bez wyrzeczenia się najprostszego zdrowego rozsądku, żeby kiedykolwiek mogło być inaczej.

Wszak widzimy, że pomimo ciągłego i najwidoczniejszego udoskonalenia się najrozmaitszych środków i warunków uczynienia człowiekowi jak najmniej przykrem jego pobyt na ziemi, to jest pomimo postępu, o którym tak wiele dziś zwłaszcza się rozprawia — cierpienie, a pod iluż to swojemi postaciami, nie przestaje być jego udziałem. Co większa: bo kto wie, czy nawet to co zdawałoby się że od niego najskuteczniejby uwolnić największą liczbę ludzi powinno, nie sprowadziło wprost przeciwne skutki, nie ujmując lecz przydając jeszcze więcej cierpień.

Któż nie przyzna, że te słowa najdawniejszego *Przedstawiciela* wszystkich cierpiących, a wyrzeczone przez niego przed kilkonastu wiekami, i dziś są wiernym obrazem życia, jeśli nie wszystkich, to co najmniej ogromnie przeważnej liczby ludzi. *Człowiek,* wołał Hiob święty, *urodzony z niewiasty, żyjąc przez czas krótki, napełnion bywa wielo nędzami. Bojowaniem,* walczeniem z cierpieniem, *jest żywot człowieka na ziemi, i jako dni najemnicze dni jego.**) Jest on niewolnikiem cierpienia, tego jakby samowładnego pana nad nim, z pod którego władzy w żaden sposób wyzwolić się nie może.

*) *Hiob. 141. 7. 1.*

Ale co mówię: dlaczego cierpienia tak wielkie jest rozwielmożnienie? Wszak-ci chociażby w najniższym stopniu jego pojawienie się, chociażby najlżejsze cierpienie doznane przez człowieka, już ono dla umysłu nieoświeconego wiarą i nie na wszystko z jej stanowiska zapatrującego się, jest rzeczą w żaden sposób wytłómaczyć się nie dającą. Bo chociażby z tych wszystkich ludzi jacy byli od początku świata i będą do jego końca, jeden jedynie człowiek — a stworzony przecież przez Boga z nieograniczonej miłości i dobroci Jego — raz tylko i to na chwilkę jak mgnienie oka, doznał cierpienia najlżejszego, jużby to sprzeciwiało się nieograniczonej dobroci najwyższego Stwórcy, gdyby cierpienie nie miało tajemniczej pewnej własności, i byłoby rzeczą niepojętą dla najbystrzejszego rozumu nieoświeconego wiarą.

Jakiej więc to nielogiczności, jakiego niezastanowienia się, jakiego braku zdrowego rozsądku dowodzimy w sobie, gdy przy doznaniu małej jakiej przykrości, nie rozbudzają się w nas myśli uwłaczające nieograniczonej dobroci, mądrości i sprawiedliwości Boga; a gdy bardzo bolesnym dotknięci zostajemy ciosem, myśli takowe natłaczają się nam w głowie i w wielki nas wewnętrzny zamęt i niepokój wprowadzają. Jakże? Więc gdy Pan Bóg zsyła lub dopuszsza na nas małej wagi jakową przykrość, to ani przypuszczamy żeby się mylił i robił coś przeciwnego Jego najwyższej dobroci; a gdy obdarza nas bardzo ciężkim krzyżem, już nam

trudno o tem nie wątpić? Czyżby to znaczyło że co do dobroci, mądrości i sprawiedliwości Boga, najmniejszej nie mamy wątpliwości w rzeczach małej wagi; lecz gdy idzie o coś większego znaczenia, wtedy nasuwają się nam co do tego tysiączne trudności.

Tymczasem, jeśli się rządzimy rozsądkiem i wiarą, wprost przeciwnie działoby się powinno. Jeśli nie wątpimy, że Pan Bóg nie myli się i nic przeciwnego Swojej najwyższej dobroci nie robi, dopuszczając na nas małą jaką przykrość, toć tembardziej pewni być tego powinniśmy, gdy rzecz idzie o coś ważniejszego, a cóż dopiero, gdy o coś dla nas niezmiernego znaczenia bo przyprawiającego nas o to co w istocie, według wyobrażeń ludzkich, stanowi wielkie i rzeczywiste nieszczęście. Gdyby bowiem można było przypuszczać w Panu Bogu jakowe stopniowanie, gdyby można było przypuszczać, że Pan Bóg robiąc coś lub dopuszczając, potrzebuje większego lub mniejszego zastanowienia się żeby w tem nie zaszło nic przeciwnego Jego jak nieograniczonej mądrości, tak również najwyższej mądrości, sprawiedliwości i wszelkich przymiotów Jego jako istoty najdoskonalszej — tedy tembardziej przekonani byćby powinniśmy że w rzeczach większej wagi, jeszcze więcej jak w wypadkach małego dla nas znaczenia, nic zajść nie mogło niezgodnego z Jego najwyższą, nieograniczoną dobrocią i mądrością. Bo przecież rzeczy większej wagi większego też i głębszego nad niemi wymagałyby w Bogu zastanowienia się.

Lecz takowego przypuszczenia robić nie można. W oczach bowiem Boga, czy największej czy najmniejszej dla nas wagi wypadek, jest równego znaczenia: wszystko wobec Jego nieskończoności równem jest, zarówno Go obchodzącem i zarówno podlegającem Jego woli, Jego rozporządzeniom lub dopuszczeniom. A stąd jak nie dopuściłby On albo nie zesłał na nas nigdy najlżejszej nieprzyjemności, gdyby to nie zgadzało się z Jego najwyższą ku nam miłością i dobrocią, tak również nie dopuściłby i największego nieszczęścia, gdyby w niem nie widział jedynego środka dopełnienia czegoś nietylko zgadzającego się z Jego dobrocią, lecz jedynie tąż dobrocią podyktowanego i wybranego, jako dla nas, pod każdym względem, najpożyteczniejszego.

Z tego więc wynika, że im większe spotyka nas cierpienie, im rzeczywistszemu według wyobrażeń ludzkich podpadamy nieszczęściu, im *krzyż* bez którego nikt nie *idzie za Jezusem* jest cięższym, — tem łatwiej powinnoby być dla nas nietylko widzieć w tem wolę Boga, lecz i tem łatwiej być przekonanymi o Jego wyjątkowej dla nas dobroci. Jeśli tedy w podobnych razach wprost przeciwnie się z nami dzieje, oczywistym jestto dowodem nie śmiem powiedzieć, zupełnego braku wiary, lecz bezwątpienia braku dostatecznego oświecenia o tem czem jest cierpienie, czem są te *krzyże*, któremi obarcza dobroć Boga tych, których chce mieć idącymi za Jezusem.

Lecz do tego żeby *iść za Jezusem* nietylko trzeba być krzyżem obdarzonym, nietylko mieć krzyż przez

Niego zesłany, lecz trzeba, jak to wyraźnie Sam powiedział, *zaprzeć siebie samego i wziąść krzyż swój i iść za Nim*. Czyli trzeba cierpienia zesłane lub dopuszczone przez Boga, znosić ile możności cierpliwie, ile możności z najzupełniejszem poddawaniem się Jego woli, z niezachwianem przekonaniem, że zsyłane na nas lub dopuszczone przez Niego cierpienia nietylko nie są przeciwne Jego nieograniczonej dobroci i również nieograniczonej Jego ku nam miłości, lecz owszem jedynie z Jego dobroci i miłości pochodzą, a im są większemi, tem większej tej dobroci i miłości Jego niechybnemi dowodami.

Wszakże, któż nie wie, że biedny nasz rozum tak mamy przyćmiony skutkiem następstw grzechu pierworodnego, tak łatwo miłością własną zaślepiający się, że powyższe prawdy jakkolwiek zdają się bardzo proste i łatwe do pojęcia, znikają nam jakby zupełnie z oczu, skoro cięższem jakowem cierpieniem widzi najwyższa Dobroć potrzebę nas dotknięcia. Stąd jak z jednej strony najpotrzebniejszą dla nas nauką jest *nauka cierpienia*, a zwłaszcza gdy ono zwykłą miarę cierpień ludzkich przechodzi, — tak z drugiej strony taż nauka jest jedną z najtrudniejszych. A jednakże powiedziećby można, że ona to, że nauka to cierpienia, koniec końcem, jest nauką zamykającą w sobie całą tajemnicę nietylko zbawienia, lecz i najwyższego uświątobliwienia.

Otóż, tę to właśnie naukę, o którą po tem cośmy wyżej powiedzieli, nazwać nam wolno nauką nad naukami, znajdziesz pobożny czytelniku, w niniejszej książce, a znajdziesz jakby podaną Ci przez Samą Matkę Naj-

boleśniejszą, przez Przenajświętszą Matkę Pana i Zbawcy naszego. Jak On w Męce Swojej, tak Ona w Swoich Boleściach, doznała cierpień które żadna istota ludzka, bez poniesienia od nich śmierci, nigdy przetrwaćby nie mogła. I jak Pan Jezus w okrutnych szczegółach Swojej Męki i śmierci krzyżowej, tak Ona w szczegółach wszelkie pojęcie przechodzących Swoich Boleści, pozostawiła nam wzór najwyższy jak cierpieć nam trzeba: pozostawiła nam tę jak ją słusznie nazwaliśmy, naukę nad naukami.

I Jezus więc i Marya uczą nas, a jakimże kosztem, bo kosztem własnych najcięższych jakie kiedy być mogły cierpień, jak cierpieć. Jezus uczy nas tego jako Bóg nasz, a więc jako Ojciec, Marya jako Matka, na której na najprawdziwsze według ducha dzieci porodziliśmy się pod krzyżem, gdy patrzała na śmierć Swego Boskiego Syna. A lubo pewnie do nauk takiego Ojca, nawet i taka Matka przydać nic nie może, to jednakże czyż nie bywa tak najczęściej, że nauki matki lepiej się w pamięć wbijają od nauk ojcowskich. To też gdyby do łatwiejszego wyuczania nas jak cierpieć powinniśmy, Pan Jezus nie widział był potrzeby, prócz nauki zawartej o tem w Męce Jego, pozostawić nam jeszcze i takież nauki w Boleściach Przenajświętszej Panny, pewnie nie byłby je nigdy dopuścił na najdroższą Mu Matkę w takim stopniu, do jakiego one doszły.

Z rozważań bowiem tajemnic Boleści Przenajświętszej Panny, w niniejszej książce zawartych, obaczymy, że wprawdzie już tylko i dla tego żeby Ona Sama

doszła była do niezrównanego szczytu świętości jakim jaśniała, a zwłaszcza żeby nabyła zasług dających Jej prawo do najwyższego po Człowieczeństwie Syna Bożego miejsca w niebie, — potrzeba było żeby wiele wycierpiała. Lecz i o tem się przekonamy, że w cierpieniach Jej już z powyższego tylko powodu przewyższających wszelkie cierpienia poniesione przez ludzi, był prócz tego i *nadmiar, a nadmiar ogromny,* podnoszący Jej cierpienia do stopnia wszelką możliwość cierpienia w naturze ludzkiej przechodzącego. I ten to straszny nadmiar dopuścił Bóg najwyższy na Swoją najdroższą Matkę — a więc na istotę nietylko najdroższą Mu, ale nad którą już Sam jako Bóg wszechmocny droższej Sobie i godniejszej Jego miłości stworzyć nie mógł — dopuścił, mówię, już nie dla Jej jeszcze większego uświątobliwienia, już nie dla Jej większych zasług, już nie dla Niej Samej, lecz dla nas. Co tylko zaszło najsroższego w Boleściach naszej Przenajświętszej Matki niebieskiej, co je podnosi do jakby nieskończoności, co w srogości Jej Boleści Teologowie nazywają *infinitum sui generis*, nieskończonością swojego rodzaju, — to wszystko przeniosła Ona jedynie dla naszej nauki.

Czyż więc *lekcyów* takim kosztem i od takiej Matki nam danych, słuchać nie będziemy całem sercem i całą duszą? Czyż od kogo innego lepiej i łatwiej, jak cierpieć trzeba wyuczać się możemy? I wreszcie, czy gdzieindziej jak w rozważaniu Bolesnych tajemnic z życia Matki Bożej, szukać będziemy i zna-

leść potrafimy na wielkie cierpienia, na wielkie boleści gdy się one dostają nam w udziale, prawdziwej i jedynie na tej biednej ziemi możliwej pociechy?

Prawda, że tego wszystkiego i przedewszystkiem szukać powinna i najłatwiej znaleść może dusza chociażby najsrożej zbolała, w pobożnem rozważaniu Męki Pańskiej, w tym celu właśnie ze Swoim znowu Boskim nadmiarem mąk w niej przebytych, poniesionej. Ale że Boleści Maryi były nie czem innem jak Męką Jezusa *odbywającą* się na sercu Maryi, były Męką Syna ponoszoną przez duszę Matki i to takiej Matki — więc czyż rozważanie Jej Boleści, nie jest rozważaniem tejże Męki Pańskiej, a rozważaniem jakby sercem Samejże Matki Bolesnej, a więc rozważaniem i najłatwiejszem i najrzewniejszem, a przez to w największe dla biednych dusz naszych pożytki bogatem.

O! niechże nam Ona miłościwie do tego dopomagać raczy. Niech dozwoli nieśmiało i jak najpokorniej a serdecznie, wpatrywać się w Jej niepokalane serce Siedmio-Mieczami przeszyte, a wpatrywać się na to jedynie, żebyśmy wsparci wyjednanemi nam przez Nią łaskami, coraz jaśniej poznawali czem jest cierpienie, i coraz lepiej wyuczali się jak cierpienia znosić powinniśmy gdy je Pan Bóg na nas ześle. Niech Ona nauczy nas: *zaprzeć wtedy siebie samego, wziąść krzyż swój i iść z nim za Jezusem* *).

*) *Łuk. 9. 23.*

A teraz słów jeszcze kilka o niniejszem dziele.

Nieocenione to skarby zawierają się w dziełach, dział ascetyczny literatury kościelnej stanowiących. Nam nieraz się zdawało, że już sam ten rodzaj pism, a tak z ubiegiem czasów liczny, dla umysłu bezstronnego a pilniej zastanawiającego się nad niemi, wystarczyćby mógł za najznakomitsze dzieła polemiczne, wyłącznie obronie prawd katolickich poświęcone. *W ascetyce* bowiem katolickiej, to jest w prawidłach dążenia do coraz wyższej doskonałości moralnej, podawanej w duchu ściśle katolickim, czem właśnie są dzieła o których mówimy, jaśnieje taka znajomość natury ludzkiej, jak tego napróżnoby się szukało w zasadach i teoryach o tem najgłębszych filozofów, nieściśle po katolicku na to się zapatrujących. W prawidłach bowiem takowych, lubo wymaga się od duszy nieustającej usilności doskonalenia się, nieustannego starania się o coraz wyższy we wszystkich cnotach postęp, i coraz mężniejszego i coraz skuteczniejszego zwalczania w sobie wszelkich złych skłonności, — to z drugiej strony, też prawidła tak uwzględniają nędzę i skłonność do złego do upadłej natury ludzkiej przywiązane, jak tego nie czynią żadne inne prawidła moralności, nieściśle po katolicku pojmowanej. Ascetyzm katolicki każe człowiekowi ciągle pamiętać na te słowa Pana Jezusa: *Bądźcie doskonałymi jako doskonałym jest Ojciec wasz niebieski*)* i tem przeraża on naszą nędzę. Lecz obok tego uspokaja nas przez usta Apostoła, upewniającego że naj-

*) *Mat. 5. 48.*

gorsze w nas skłonności chociażby się najsilniej w nas odzywały, byle ze współudziałem naszem z łaską Bożą zwalczane były, nie przeszkadzają nam nietylko dążyć do najwyższej doskonałości ale nawet i dostąpić takowej, a której właśnie jednym z najwyższych wzorów był tenże Apostoł. *Nieszczęsny ja człowiek*, woła święty Paweł w jednym z listów swoich stanowiących księgi Nowego Testamentu: *nieszczęsny ja człowiek: albowiem kocham się w Zakonie Bożym według wewnętrznego człowieka. Lecz widzę* jakby *inny Zakon w członkach moich, sprzeciwiający się Zakonowi umysłu mojego i biorący mnie w niewolę w zakonie grzechu, który jest w członkach moich; któż mnie wybawi od ciała tej śmierci?* I przydaje w końcu: *Łaska Jezusa Chrystusa Pana naszego*).*

I to jest jakby w streszczeniu cały ascetyzm katolicki. Wskazuje on prawidła dążenia do najwyższej doskonałości, ale uwzględnia nędzę ludzką w najostateczniejszych jej i chociażby najbardziej upokarzających nas objawach, podając prawidła jak się z tej naszej nędzy dźwigać możemy i powinniśmy. Dowodząc zaś przez to takiej znajomości natury ludzkiej, jak żadne inne poglądy na to nieoparte na prawdach naszej świętej wiary, już przez to samo dowodzi prawdziwości objawionej religii, takie a nie inne do udoskonalenia moralnego człowieka podającej prawidła.

Jak więc święty Ignacy Lojola po cudownych objawieniach odebranych w jaskini Manrezkiej o środ-

*) *Rzym 7. 24.*

kach nabywania doskonałości, mawiał, że chociażby nie było Pisma Bożego, jużby to tylko co mu Pan Bóg objawić wtedy raczył dostatecznym było do utwierdzenia go w wierze katolickiej, — tak coś podobnego powiedziećby można o bogactwach zawartych w dziełach ascetyki katolickiej. Gdyby wszystkie dzieła mające na celu wyjaśnienie prawd naszej świętej wiary i ich obronę, nie istniały lub zaginęły, a gdyby sam tylko dział literatury ascetycznej pozostał, jużby jedno z dzieł tego rodzaju, dla szczerze pragnącego przekonać się o prawdziwości katolicyzmu wystarczyło do tego.

Do napisania też dzieła takowej treści, niemało warunków jest niezbędnych w autorze. Nie dość tu bowiem znajomości filozofii w jej wysokiem i właściwem znaczeniu wziętej; nie dość głębszej nauki Teologii nietylko moralnej i dogmatycznej ale i mistycznej, to jest mającej za przedmiot wyższe tajniki jednoczenia się duszy z Bogiem, — lecz oprócz tego potrzebny w autorze dzieła ascetycznego i pewien stopień jego osobistej świątobliwości. Gdy kto zamierza podawać prawidła wyższej doskonałości chrześcijańskiej, niezbędnem jest żeby był nietylko jej lubownjkiem, jej *amatorem*, lecz oraz i w pewnej mierze jej *praktykantem*. Wszak o każdej sztuce, ten najlepiej i rozprawiać i pisać potrafi, kto nietylko tę sztukę lubi, lecz który w niej i sam mniej lub więcej jest wyćwiczony. Jedno zdanie bardzo znakomitego malarza o sposobie malowania, większej jest wagi i więcej zamknie w sobie trafnych przepisów, aniżeli długie o tem rozprawy największych

lubowników malarstwa, którzy nigdy nie mieli pędzla w ręku. Do dalekich to bowiem od doskonałości chrześcijańskiej, a porywających się na podawanie do tego prawideł, stosują się najbardziej te słowa Pana naszego: *Lekarzu, zlecz* najprzód *samego siebie*)*. Stądto, gdy razu pewnego spytano świętego Filipa Nereusza, znakomitego przewodnika dusz do wyższej doskonałości dążących, jakie są dzieła o tym przedmiocie pisane któreby on uważał za najlepsze, odpowiedział on że co do niego samego, najlepiej się mu podobają dzieła ascetyczne, których nazwisko autora zaczyna się od litery S., to jest które pisane są przez Świętych.

Lecz prócz Świętych kanonizowanych, których miał tu na myśli święty Nereusz, jest pewna liczba autorów ascetycznych przez Kościół za Świętych nieogłoszonych, którzy jednakże wysoką świątobliwością jaśnieli, i których dzieła pierwszorzędne w tym rodzaju pism zajmują miejsce. I z tej to właśnie liczby jest i autor niniejszego dzieła krórego tu podajemy tłómaczenie.

Ojciec Faber rodem Anglik, należący do zgromadzenia u nas zwanych Filipinami, a gdzie indziej Oratoryanami, kapłan wielkiej świątobliwości i wielkiej nauki, niedawno zmarły, pozostawił kilka dzieł ascetycznej treści, powszechnie wysoko cenionych. Łączy on w nich głęboką naukę teologiczną, z wielką znajomością serca ludzkiego; bogate są one w poglądy bardzo wzniosłe i rzadko w innych dziełach tego ro-

**) Łuk. 4. 23.*

dzaju napotykane, a przytem są pełne namaszczenia. *unkcyi*, co w treści pismach jest główną zaletą. Przytem jest on autorem bardzo *tegoczesnym:* pisze dla osób dzisiejszego pod każdym względem najpowszechniejszego usposobienia, dzisiejszych wyobrażeń i sposobu życia. Co także niemałą nawet i dzieł ascetycznych stanowi wartość. Chociaż bowiem prawidła doskonałości chrześcijańskiej, wypływające z ogólnych zasad moralności chrześcijańskiej, tak jak te zasady zawsze są jedne i też same odkąd Syn Boży przyniósł je na ziemię i złożył w Swoim Kościele, — to jednakże ich zastosowywanie, ich wyjaśnienie, ich że się tak wyrażę praktyczna strona, musi być odpowiedną w różnych czasach, do różnych pomiędzy ludźmi powszechniej jak kiedy panujących wyobrażeń a stąd i powszechnego sposobu życia, każdej epoce dziejów ludzkości nadającego odrębną i jej tylko właściwą cechę.

To też potrzebę zastosowywania się do tego rodzaju usposobień powszechnych, uwzględnia Kościół święty, i to widzimy w wielkiej rozmaitości co do formy stanowiącej nieprzebrane bogactwa tak dzieł katolickich polemicznych mających na celu wyjaśnienie i obronę dogmatów naszej świętej wiary, jako też i kaznodziejskich naukę katolicką rozpowszechniających: słowem, w tem wszystkiem co służy do utwierdzania dusz wiernych w ich wierze albo do pociągania do niej nie należących. Wszystko to bowiem będąc niezmiennem w zasadzie, rozmaitem być musi w swojem zastosowaniu.

I dzieła więc ascetyczne, mają swoje odrębne cechy stosownie do czasów w których bywały pisane. Stąd też bardzo się różnią co do swojej formy, to jest sposobu podawania prawideł wyższej doskonałości, dzieła ascetyczne pierwszych wieków Kościoła, z takiemiż dziełami w średnich wiekach wydawanemi, jak znowu te ostatnie z pisma ascetów bliższych nam czasów; aż nakoniec nam współczesnych już mają swojąw łaściwą cechę.

Łąka duchowna napisana została, kiedy w pierwszych wiekach chrześcijaństwa puszcze Egipskie zapełniały się niezliczoną liczbą pustelników i pustelniczek. *Naśladowanie Chrystusa,* kiedy w średnich wiekach, cały świat pokrywał się klasztorami. *Filotea* kiedy w bliższych nam czasach, wyższa pobożność rozpowszechniać się zaczynała pomiędzy osobami na świecie żyjącemi; a *Życie duchowne,* dzieło ascetyczne X. Pelczara, pierwszorzędnej wartości, z wielkim pożytkiem rozpowszechnia się w dzisiejszych czasach, bo w niem autor uwzględnia w osobach wstępujących na drogę pobożności, wielki brak elementarnych wiadomości katechizmowych, co, zwłaszcza u nas, bardzo jest powszechnem. Wszędzie tu idzie o jedno i toż samo, wszędzie jedne i też same są zasady, wszędzie nawet i środki do nabycia doskonałości chrześcijańskiej są w gruncie też same. Lecz wszystko jest wyjątkowo zastosowane do usposobień powszechnych w danym jakim czasie; w każdem z tych dzieł autorowie dotykają kwestyi za ich czasów pod tym względem najżywotniejszych: trafiają w *sedno* potrzeb duchownych swo-

jej epoki. Są to jakby zawsze też same pokarmy podawane duszom pobożnym, lecz z przyprawą wtedy kiedy się je podaje najpowszechniej do smaku przypadającą. Są to zawsze też same lekarstwa duchowne i niekiedy gorzkie, bo zawsze są jednakowemi choroby duszy ludzkiej i tychże samych wymagają leków, tylko ponalewane jakby w flakoniki coraz to nowszego kształtu. Są to dokonywane na duszy jakby *operacye* chirurgiczne, a które któż wie, może tak jak w dzisiejszej chirurgii medycznej, używające narzędzi bardzo wydoskonalonych, a więc mniej bolesnemi czyniących zadawane przez nie zranienia.

I w dziełach tedy ascetycznej treści, *nowoczesność* jest niepoślednią zaletą, a jeśli obok tego posiadają one i inne warunki stanowiące wielką ich pożyteczność, mają z tej strony wyższość nad dawniejszemi i są więcej zwykle poszukiwane.

Otóż dzieło niniejsze, jest właśnie z tej liczby. A że w nim autor obrał sobie za główny przedmiot bodaj czy nie najważniejsze dla duszy każdej zadanie, bo w rozpamiętywaniach Boleści Matki Przenajświętszej, zamyka on najzbawienniejsze nauki o cierpieniu w ogólności i podaje prawidła tyczące się zachowania naszego gdy cierpienia, a zwłaszcza w większej mierze, stają się naszym udziałem — więc zdało się nam że przełożenie go na nasz język, nie będzie bez pożytku dla pobożnych naszych czytelników.

Tłómaczenie zaś to nazwaliśmy *wolnem* tłómaczeniem, a to z dwóch powodów: najprzód bo język

angielski, w którym napisane jest to dzieło oryginalnie tak co do składni swojej, jak i tego co w ogólności nazywają *duchem* języka, tak jest różnym od naszego, że tłómacz, żeby właściwie wyrazić myśl autora, musi w swoim przekładzie pozwolić sobie pewnej swobody. Powtóre: ponieważ autor często dotykając tu nietylko najgłębszych zadań życia wewnętrznego, życia duchowego, należących do mistyki katolickiej, lecz i najwznioślejszych kwestyi teologicznych, — przypuszczał w czytelnikach swoich dostateczne do zrozumienia go z temi kwestyami obznajomione, więc dla powszechności naszych pobożnych czytelników, wydawał się nam nie wszędzie dość łatwym do pojęcia. Z tego więc znowu powodu zdało się nam koniecznem przystępniejszymi uczynić niektóre jego ustępy, a zwykle pod każdym względem najpiękniejsze i najgłębsze poglądy zawierające.

Ile pracy i czasu, a i różnych jeszcze innych powodów, kosztował naszą pisarską nieudolność taki sposób przekładu, niech to pozostanie wiadomem tylko naszej Przenajświętszej Matce niebieskiej, Jej bowiem uczczenie mieliśmy tu jedynie na celu, obok pragnienia by te pobożne rozpamiętywania Jej niezrównanych Boleści, dopomogły duszom cięższe na tej biednej ziemi przebywających koleje, do cierpienia jak cierpieć powinniśmy: to jest do nabycia wtedy właśnie coraz więcej zasług przed Bogiem, a to za łaską wyjednaną przez Matkę Bolesną, przez ręce której wszystkie łaski Swoje na dusze ludzkie zsyła Bóg najwyższy.

Jeżeli zaś komu z pobożnych czytelników, ułatwi to czytanie niniejszego dzieła, niechże raczy on, chociaż by jednem westchnieniem do *Matki Miłosierdzia*, polecić Jej nieprzebranemu miłosierdziu duszę tłómacza.

Pisałem w dzień św. Piotra w okowach,
roku Pańskiego 1886
w Klasztorze Zakroczymskim.

O Boleściach Matki Bożej.

ROZDZIAŁ I.

Męczeństwo Maryi.

Piękniejszy urodą nad syny człowiecze *), wołał w świętem zachwyceniu Psalmista Pański, wpatrując się w duchu w Pana Jezusa. O! bo jakżesz On pięknym! Stąd też, wpatrywanie się w Jezusa, podobnie jak widzenie Boga w niebie, stanowiące najwyższe szczęście błogosławionych, jest uciechą ciągle nową, chociaż ciągle trwającą; drogą jak się staje każda uciecha, do której się przywykło, a obok tego bezustannie zachwycającą, jakby najniespodziewaniej doznaną.

Jezus pięknym jest zawsze i wszędzie; czy to zmieniony do niepoznania w katuszach Swojej Męki czy jaśniejący w blaskach Zmartwychwstania; czy wpatrujemy się w Niego wśród okropności Biczowania czy kiedy będąc Dzieciątkiem, bawił się na dziewiczych rękach Przenajświętszej Panny. Lecz najpiękniejszym jest najdroższy Pan nasz, gdy na Niego wpatrujemy się przez Maryę, i gdy przez lepsze poznanie Matki staramy się lepiej poznać Syna, a poznać na to tylko, żeby Go tem goręcej miłować. Jak bowiem nie można

*) Psalm 44. 3.

mieć właściwego nabożeństwa do Przenajświętszego Człowieczeństwa Zbawiciela bez wiary w Jego Bóstwo, tak podobnież nikt nie umiłuje Jezusa, tak jak On umiłowanym być powinien, kto przez poznanie czem musiała być Marya, gdy na Matkę Jego wybraną została i w Niej się nie rozmiłuje.

Owoż głównem, jedynem zadaniem życia naszego jest, żeby miłować Jezusa coraz to więcej a więcej. Lata następują po latach, szereg uroczystości kościelnych przechodzi po kolei, przebywamy jedne po drugich wszystkie pory roku Kościelnego, a one wywierając na nas właściwe im wrażenia, dalej bieg swój odbywają. Ileż to uroczystości Bożego Narodzenia, Wielkiego Tygodnia, Zielonych Świąt już przebyliśmy, a jeśliśmy je z właściwem usposobieniem wewnętrznem obchodzili, każda z nich dla duszy naszej nie małe przyniosła pożytki. Być może nawet, że niektóre z nich upamiętniły się dla nas odebraniem jakich szczególnych łask Boskich, któremi wsparci, znaczny postęp na drodze pobożności uczyniliśmy i ściślej zjednoczyliśmy się z Jezusem. Podwaliny rozlicznych gmachów duchowych, które nie wzniosą się w duszy naszej nad zwykły poziom aż daleko później, wtedy założone zostały, prawie niepostrzeżenie.

Wszelako, jakiemikolwiek były przemiany zaszłe w ciągu tego w wewnętrznem życiu naszem, zawsze znachodziły nas one zaprzątnionymi jedną i tąż samą sprawą, to jest, usiłowaniem miłowania Jezusa coraz to bardziej a bardziej. W ciągu zaś tych wszystkich przemian, jeśliśmy w takowych usiłowaniach wytrwałymi byli, z własnego doświadczenia mogliśmy się przekonać, że nigdy nie czynimy prędszego postępu w miłowaniu Jezusa, jak gdy zdążamy do tego wsparci

przez Maryą, i że cośmy najsilniej zbudowali w Jezusie, jest właśnie to co zostało z Nią zbudowane. Nie traciliśmy czasu jeśli szukając Jezusa, wprzód szliśmy do Maryi, gdyż jest On z Nią zawsze, przebywa zawsze w tym Swoim przybytku. Co więcej: ciemności otaczające tajemnice tyczące się Zbawcy naszego, rozjaśniają się gdy je przybliżamy do światłości Maryi, a światłości będącej także i światłością Jej Syna. Marya jest najkrótszą drogą dla dojścia do Jezusa. A przytem ma Ona przystęp do Niego przed wszystkiemi. Jest Jego Esterą, i odpowiedzi na prośby Jej ręką podane, są niezwłoczne i najłaskawsze.

Lecz Marya jest jakby odrębnym światem, którego nie możemy objąć jednym rzutem oka. Trzeba nam oddać się szczegółowemu badaniu tajemnic Jej przebłogosławionego życia. Na jakby granic nie mającym obszarze łask Jej udzielonych, na obszarze Jej świętości, trzeba pozakreślać osobno różne dzielnice, i nad każdą z nich skupiać uwagę. Trzeba nam rozważać to po kolei, przechodząc od jednego szczegółu do drugiego, a wtedy nauczymy się dużo. Gdy tymczasem pogląd ogółowy nie dozwoliłby nam nabyć dostatecznych wiadomości, i nie zbogaciłby dusze nasze duchowemi skarbami wiedzy a razem i miłości, które bezustannie zbliżać nas będą do Pana naszego, przez coraz ściślejsze z Nim zjednoczenie.

Gdy słusznym wyrokiem sprawiedliwości Boga, a oraz i z widoków Jego nieprzebranego miłosierdzia, przychodzi nam żyć na tej biednej ziemi, miejscu wygnania człowieka, gdzie ciągle wystawieni jesteśmy na niebezpieczeństwo zgrzeszenia — zdobywajmyż się przynajmniej na to, żeby nie zaprzątać się czem innem jak Bogiem. Jeśli bowiem czas już jaki przebyliśmy na tej

dolinie płaczu, powinniśmy byli przekonać się, że na prawdę, nie masz nic innego, czemby zaprzątać się warto było.

Bo chociaż człowiek wygnanym został z raju ziemskiego, w którym go najwyższa dobroć umieściła była, to jednakże, nawet i na ponurej pustyni tego świata, rozsiane są jakby nowe raje ziemskie, w których jak w pierwotnym, możemy, *przy szmerze wód żywych, rozmawiać z Bogiem przechadzającym się tam przy wietrzyku południowym* *). Takiemi zaś rajami ziemskiemi nazywam różne pobożne, święte ćwiczenia, odrywające duszę naszą od ziemi i jednoczące ją z Bogiem, a będące dla niej prześlicznym Ogrodem, w którym najbardziej orzeźwiającem ją odetchnąć może powietrzem. Teraz więc zamknijmy się w ogrodzie boleści Maryi który z tego rodzaju Rajów ziemskich jest jednym z najmilszych Bogu, i gdy do niego wchodzimy najmiłościwiej raczy On z nami rozmawiać.

W tym tedy przecudnym Ogrodzie, dla miłości Pana Jezusa, zamkniemy się na chwilę jakby w raju ziemskim, i niech świat na którym niewiele ważymy, i który dla nas mniejszej jeszcze jak my dla niego być powinien wagi, wrzawą swoją nie dosięga nas w tem błogosławionem ustroniu, przynajmniej przez czas pewien.

Tajemnica Wcielenia jest tajemnicą cierpienia. Pan Jezus był *Mężem Boleści* **), i cierpieniami to swojemi odkupił świat. Męka Jego nie była chwilowem tylko wydarzeniem w życiu Jego, lecz była najboleśniejszem zakończeniem i właściwem rozwiązaniem całego Jego ziemskiego zawodu przepełnionego cierpie-

*) Genez. 1. 3. **) Izaj. 53. 3.

niami. Całe Swoje lat trzydzieści trzy, Zbawiciel spędził jeśli nie zewnętrznie to wewnętrznie cierpiąc; i w Jego cierpieniach nie było nigdy przerwy, tylko ich stopień bywał większy lub mniejszy.

Owóż, toż samo prawo cierpienia, któremu poddał się Syn Boży, rozciągać się musi do wszystkich Jego wybranych, do tych, którzy chcą iść w Jego ślady, a zwłaszcza do usiłujących jak najbliżej być Niego, — i w tym właśnie stosunku w większej lub mniejszej mierze musi nad nimi się wykonywać. Święci Młodziankowie, z wyroków Boskich byli tylko współczesnymi i rówiennikami Pana naszego, a takie tylko ich do niego podobieństwo, już dostatecznem było do uczynienia ich ofiarami okrutnej rzezi. Zeszli męczeńską śmiercią, ginąc tak młodziutkimi na rękach matek zrozpaczonych, ażeby otrzymać w nagrodę korony i palmy wiekuiste. Pierwsze to były owoce przyjścia na świat Syna Bożego, bez pracy więc dostać się mieli do nieba, od cierpienia jednakże uwolnionymi nie zostali.

Następnie toż samo prawo ogarnie każdego z Apostołów, tych szczęśliwych wybrańców Słowa wcielonego. Będzie to krzyż dla Piotra i brata jego, miecz dla Pawła, kamienie dla Jakóba; będzie to nóż, który obedrze ze skóry Bartłomieja, a dla Jana olej wrzący i długie lata dotkliwego wyczekiwania. Jakąby nie była postać tego zewnętrzna, będzie to zawsze cierpienie. Towarzyszyło im ono na każdem miejscu, przykrywało ich swoim zbawczym cieniem we wszystkich kolejach ich życia. Szło z nimi po bitych drogach cesarstwa rzymskiego, jakby było ich Aniołem Stróżem. Nie odstępowało ich, gdy na statkach przebywali burzliwe wody Śródziemnego morza. Byli Apostołami i uczniami Jezusa, powinni byli podobnymi stać się swojemu Mi-

strzowi: musieli mieć swoją Kalwaryę, czekającą jednych w Rzymie, drugich w Baktrydzie, tamtych w Hiszpanii, innych znowu w Indyach.

Toż samo prawo rozciągało się i do Męczenników we wszystkich wiekach Kościoła. Męczeństwa ich były żywem odbiciem się Męki Pańskiej, a krew którą wylali, mięszała się ze zdrojami Krwi przenajdroższej, wylanej przez ich Odkupiciela Króla Męczenników.

Toż samo powtarzało się ze Świętymi wszystkimi, czy byli to Biskupi lub Doktorowie Kościoła, dziewice lub poważne matrony, świeccy lub zakonnicy: miłość nadzwyczajna, łaska szczególna, zawsze na nich spływała pod postacią nadzwyczajnej próby i nadzwyczajnego cierpienia. Oni także musieli przebyć i męki ogrójcowe i zaćmienia kalwaryjskie, zanim wejść mieli do chwały wiecznej.

Toż samo działo się, dzieje się i dziać się będzie do końca świata ze wszystkimi wybranymi, a z każdym w odpowiedniej dla każdego z nich mierze. Niezbędnem jest, aby każdy z mających być zbawionym, w wyższym lub niższym stopniu, uczestniczył w wychylaniu kielicha goryczy doczesnego życia, żeby bez tego nie był zupełnie pozbawionym podobieństwa z *Pierworodnym wszystkich wybranych* *), to jest z Panem Jezusem.

Miarkujmyż z tego, w jakiej mierze, w jakiej rozciągłości prawo, albo że się tak wyrażę, obowiązek cierpienia spełnić się musiał na Matce Przenajświętszej, która ze wszystkich istot stworzonych najbliżej Jezusa stanęła.

Nie można więc dziwić się, że Marya cierpiała więcej jak ktokolwiek inny po Jezusie. Gdy powyższe uwagi mamy na pamięci, niezmierność Jej Boleści nie

*) Rzym. 8. 29.

będzie dla nas ani zgorszeniem, ani czemś niespodziewanem i zadziwiającem, i będziemy widzieli w tem naturalne następstwo tego wszystkiego, co wiemy i wyznajemy o zasadniczej naszej świętej wiary tajemnicy Wcielenia. Wielkość Jej cierpień będzie miarą, według której oceniać będziemy wielkość i hojność miłości ku Niej Jej Boskiego Syna. Jak z drugiej znowu strony, zgłębianie Jej boleści, będzie najwłaściwszem zgłębianiem przepaści Jej miłości ku Synowi. Bezdenny ocean Jej męczeństwa, będzie miarą Jej niezrównanej świętości. Szczyt to Jej Boskiego macierzyństwa, wyniesie Jej cierpienia ledwie że nie aż do wysokości cierpień Męki Pańskiej. Wyjęta z pod prawa grzechu, okaże się nam Ona tak, jak i Sam Zbawiciel, dla nas tylko, z miłości ku nam i dla naszej nauki poddana ogólnemu prawu zadośćczynienia. Najściślejsze jakie tylko być może zjednoczenie Matki z Synem, nierozdzielnemi uczyni Boleści Maryi z Męką Pana Jezusa, pomimo tysiącznych powodów, widocznie rozróżniających je między sobą. *Niewiasta przyobleczona w słońce* *), zostanie *przyobleczoną* tem posłannictwem, tem przeznaczeniem, tą koniecznością cierpienia, od którego sam Syn Boży raczył nie uchylić się, — a to w stopniu koniecznie jak najbliższym tego niezrównanego stopnia, w jakim On na Siebie cierpienia dopuścił.

Trzeba nam przeto przygotować się na to, że Boleści Maryi przechodzą wszelkie ludzkie pojęcie; że żaden opis nie jest zdolny dać o nich dokładne wyobrażenie. Możemy tylko pobożnie i pokornie w nie się wpatrywać, a ożywieni wiarą i miłością, rozważać przecu-

*) Objaw. 12. 1.

dność tych zjawisk, które nigdy doskonale pojąć nie jesteśmy w stanie.

Tym zaś sposobem będziemy rozżywiać w sobie coraz większe nabożeństwo do Męki Pańskiej, w której niektóre szczegóły przedstawią się nam jaśniej, przez zetknięcie ich z Boleściami Maryi, podobnie jak w zaćmieniu planety Jowisz, gdy ją księżyc nieco zakryje, można robić na niej spostrzeżenia, nie dające się dokonywać, gdy ta planeta w całym swoim jest blasku.

Lecz zanim poprosimy świętego Jana Ewangelistę, żeby kierował naszą ręką i piórem i zeszedł z nami do głębin tego serca przeszytego mieczami tylu Boleści, a które on przezwany *Świętym Serca Jezusowego* znał lepiej jak kto inny, — trzeba nam ogólnym poglądem ogarnąć wszystkie Boleści Przenajświętszej Panny. Naśladować w tem będziemy tych wędrowców, którzy mając zwiedzić jaką krainę, wprzód obznajmiają się z ogólnym jej zarysem na mapie geograficznej.

Jest zaś siedm szczegółów, co do których potrzebne są pewne objaśnienia, wprzód zanim z pożytkiem rozważać zaczniemy każdą z osobna tajemnicę niewymownych Boleści Matki Przenajświętszej. Trzeba nam zastanowić się: 1-o Nad niezmiernością Boleści Maryi. 2-o Nad tem, dla czego Pan Bóg je dopuścił. 3-o Jakie były ich źródła. 4-o Co jest ich główną cechą. 5-o Jak Marya mogła cieszyć się niemi. 6o Jak nam je Kościół przedstawia. 7-o Jakim duchem ożywione być powinno nasze ku nim nabożeństwo. Są to więc zapytania, na które chcemy odpowiedzieć, a odpowiedzi które uczynimy, jakkolwiek niedostateczne, posłużą za rodzaj wstępu do tego, o czem piszemy.

I.

Niezmierność Boleści Przenajświętszej Panny.

Gdy zastanawiamy się nad sposobem najlepszego jak tylko być może opisania Boleści Maryi, coraz bardziej przekonywamy się, że w istocie są one nie do opisania. Widzimy tylko zewnętrzne ich słabe jakby połyski, a brak nam wyrazów mogących i te zewnętrzne tylko objawy określić.

Kto rzuci okiem na wielki Ocean atlantycki, widzi ogromną ilość wody, otoczonej zewsząd białawym widnokręgiem. Lecz ten niezmierny obszar wód milczy: nic nie mówi, ani o żyjątkach w rozmaitych kształtach przebywających w jego łonie; ani o czarujących ogrodach podmorskich, zapełnionych krzewami najjaskrawszych kolorów; ani o gajach purpurowych; ani o rozłożystych krzakach zieloności złocistej; ani o jaskiniach powyżłabianych w malowniczych skałach pokrytych bujnemi drzewami podobnemi do świeżo rozwiniętej palmy, a oblanych błękitnemi nurtami; ani o świecących się trawach najpiękniejszemi barwami nakrapianych, a wielkością zbliżających się do drzew naszych, i stanowiących kląby przecudne; ani o milami i milami ciągnących się koralowych lasach, wśród których mrowi się życie pod przedziwnemi postaciami, o których ani wyobrażenia nie mieliśmy, dopóki świeże badania przyrodników, nie odkryły tych zatajonych w głębinach morskich piękności.

Toż samo co do oceanu Boleści, zalewającego tajemne głębiny niepokalanego serca Matki Bożej. To co z nich widzimy, wprawia nas w podziwienie, a jednakże zaledwie objawia to malutką cząsteczkę tego, co się w tych głębiach ukrywa.

Stąd pierwsza rzecz, która uderza nas w Boleściach Przenajświętszej Panny, jest, że one miary nie miały, nic w znaczeniu dosłownem tego wyrażenia, lecz w znaczeniu jakie mu dajemy, stosując je do rzeczy stworzonych. Do Boleści to Maryi odnosi Kościół te słowa Jeremiasza: *O! wy wszyscy, którzy przechodzicie, patrzcie i uważcie, czy jest boleść jako Boleść Moja. Kogoż przyrównam do Ciebie o! Córko Jerozolimska. Z kimże cię zrównam dla pocieszenia Cię, o! Córko Syonu; albowiem wielką jest Boleść Twoja jako morze. Któż Cię zleczy?* *) Miłość Boga u Maryi była, według porównania przez Pismo święte użytego, *jako ogień, którego najobfitsze wody nie mogły przygasić,* **) a w podobnyż sposób Święci i Doktorowie Kościoła wyrażają się i o Jej Boleściach. Święty Anzelm powiada: „że jakkolwiek okrutnem było pastwienie się tyranów pogańskich nad ciałami Męczenników, było to czemś lekkiem, albo raczej było niczem, w porównaniu z okrucieństwem męki poniesionej przez Maryą“ ***). Święty Bernard Seneński utrzymuje: „że Boleści Przenajświętszej Panny były tak wielkiemi, że gdyby je rozdzielić pomiędzy wszystkie istoty stworzone zdolne cierpienia, poginęłyby one niezwłocznie“ ****). Anioł objawił świętej Brygidzie, że gdyby Pan Jezus nie wspierał był cudowną siłą Swoją Przenajświętszą Matkę, nie mogłaby była pozostać przy życiu, doznając Boleści, które przebyła *****). I łatwo byłoby wielką liczbę podobnych ustępów i wyrażeń przytoczyć, tak z objawień mianych przez Świętych, jak i z pism Ojców Kościoła.

Lecz co przedewszystkiem wykazuje niezmierność Boleści Maryi, to, że przewyższały one wszystkie mę-

*) Treny 1. 12. **) Pieśni 8. 7. ***) De excel. Virg. C. 5. ****) Serm. d. V. B. Ps. 54. *****) In Serm. Ang. t. XVII.

czeństwa. Nietylko nigdy nie było Męczennika, jakkolwiek wielkie i długie byłyby poniesione przez niego męczeństwa i katusze, któryby wyrównał Maryi w cierpieniu, lecz nawet barbarzyńskie śmierci wszystkich Męczenników razem wzięte, w całej ich rozmaitości i okrucieństwach, ani się zbliżały do mąk Jej Boleści.

Nikt z rozsądnych ludzi nie lekceważy sobie cierpień fizycznych, a wielu doświadczyło na sobie, jak trudne są one do przeniesienia z cierpliwością. A jednakże cierpieniem-to w mierze przeważnej świat został odkupionym, i czyż nie tymże to sposobem głównie i każda dusza się uświęca? Najwyższa to sprawiedliwość Boska wkłada na czoła Męczenników ich najświetniejszą koronę, a którą otrzymują ci tylko, którzy bohaterstwem swojej cierpliwości w znoszeniu mąk fizycznych, poświęcili życie swoje za Jezusa.

Owoż, pod względem nawet cierpień fizycznych, Marya przewyższyła wszystkich Męczenników. Cała Jej istota przesycona była goryczą; miecze przeszywające Jej duszę dosięgały wszystkich nerwów, wszystkich włókien Jej ciała; a obok tego wątpić nie można, iż ciało to zachowane od grzechu, w całej swojej doskonałości było tak ukształtowane, żeby więcej być zdolnem cierpienia jak wszystkie inne ciała ludzkie, wyjąwszy ciało Jej Syna. Prócz tego, co do Męczenników, oddawna już nawykli oni byli patrzeć na ciała swoje, jako na nieubłaganego wroga i ciągłą zaporą na ich drodze do nieba. Karali to cielsko grzeszne, umartwiali je, karcili, aż dopóki nie doszli do tego, że je święcie znienawidzali.

Lecz z Maryą tak nie było: grzech nie skaził Jej niepokalanego ciała, był to utwór rąk Boskich, najczyst-

szy, nieskażony, najświętszy jaki mogła posiadać ziemia, i z którego wyszło Przenajświętsze ciało i Przenajdroższa krew Pana Naszego. Nie mogła więc Marya w żaden sposób doznawać uczucia tej zbawiennej mściwości, przez którą bohaterska świętość odnosi wśród najsroższych cierpień fizycznych, zwycięstwo nad ciałem.

Prócz tego, cóż głównie podtrzymuje Męczenników i obdarza ich niezachwianem męstwem w ich męczarniach? Oto, że umysł ich zalany jest światłem i blaskiem niebieskim; oto, że wewnętrzne ich spojrzenie wlepione jest w Jezusa, którego piękność i chwała zachwyca ich i jakby cudownej dodaje im siły. To jest co przygłuszało płomienie, w których ich smażono i czyniło je dla nich tak miłemi, jak lekki powiew wiosennego wietrzyku; to jest, co sprawiało, że ostre knuty wydawały się im tak miękkiemi, że ich prawie nie czuli, a każde ich uderzenie napełniało ich radością; to jest co przytępiało ostrze żelaza, któremi ich rozsiekiwano. To czem wewnętrzne pociechy niebieskie obdarzały dusze Męczenników, było silniejszem od tego, czego zewnętrznie na ciele doznawali i przemagało uczucie mąk im zadawanych. Nie żeby ich katusze i konania nie były rzeczywistemi, lecz że były złagodzone, zrównoważone, zniszczone, wsparciem jakie zaczerpywali w łaskach uczuciowej miłości Jezusa, któremi On wtedy, w mierze wyjątkowo hojnej, zalewał ich dusze.

Lecz czyż Marya w Boleściach Swoich, przez takie wpatrywanie się w Jezusa, przez zatapianie się w Niego, co stanowiło siłę i męstwo Męczenników, mogła znaleść pociechę, gdy właśnie widok to wtedy Jezusa i tego co On cierpiał, stanowiło największe Jej katusze? Widzi Jego naturę ludzką najokrutniejszym poddaną mękom, a jest Matką, i Matką nad wszystkie

inne matki, kochającą jak nigdy matka nie kochała, jak nie mogą kochać wszystkie matki razem wzięte, gdyby połączyły miliardy swoich przywiązań do dzieci, w najsilniejszym i najgorętszym akcie miłości macierzyńskiej. Jest On Jej Synem, i jakim Synem, i jak cudownie za Syna Jej danym! Jest Jej skarbem i Jej wszystkiem. Cóż więc to za otchłań powodów cierpienia, i jak dalece nietylko pociechą, lecz właśnie źródłem największych Boleści było dla Maryi wpatrywania się w Jezusa męczonego, wpatrywanie się w Jego człowieczeństwo, na najsroższe jakie tylko być mogą wydane cierpienia.

Lecz Pan Jezus był i Bogiem, a stąd wpatrywanie się w Jego Bóstwo, podczas Boleści Maryi, stawało się dla Niej powodem jeszcze większej boleści.

Mówimy o niektórych matkach, że z dzieci swoich robią sobie bożyszcza, to jest, że miłując je więcej nad Boga nawet, w nich upatrując swój koniec ostateczny i swoją prawdziwą i jedyną szczęśliwość, oddają im serce swoje, tak jak je tylko Bogu oddać są w prawie. A tego Marya nie uczyniłaby nigdy, chociażby nawet dla Niej było możliwem, w istocie zaś takiem nie było. Albowiem Przenajświętsza Matka ubóstwiając Swego Syna, nie mogła obawiać się, żeby przez to uwłaczała należnej czci i miłości Boga, gdy ten Syn Jej był razem i Bogiem. Miłość więc Jej macierzyńska żadnych granic mieć nie potrzebowała i w istocie nie miała; lecz to właśnie że w Jezusie cierpiącym widziała nietylko Syna Swego, lecz i swego Boga, Boleści Jej wznosiło do stopnia wszelkie nasze pojęcie przechodzącego.

Słowem jak dla każdego Męczennika, wpatrywanie się w Jezusa, czy to już w chwale niebieskiej na

niego czekającego, czy dla jego zbawienia ponoszącego męki — było największą pociechą i pokrzepieniem wśród odbieranych katuszy — tak wprost przeciwnie, dla Maryi, w jej Boleściach, wpatrywanie się w Jezusa i jako Boga i jako człowieka, było właśnie najstraszniejszem cierpieniem.

Napróżno też byłoby wysilać się, na wyrażenie tego co doznała dusza Maryi w Swoich Boleściach. Dość powiedzieć, że Jezus, wesele Męczenników, w Boleściach Matki Przenajświętszej, stawał się właśnie powodem, stawał się narzędziem największej jej męki, jakby podwójnie Ją krzyżując, bo raz naturą Swoją ludzką, drugi raz Swoją naturą Boską.

A stąd żadne męczeństwo nie wyrównywało Jej Boleściom, i nie można porównywać z niemi żadnej danej chociażby największej liczby Męczeństw. Nawet nazwać męczeństwem to co Marya cierpiała, jak nazywamy te wszystkie najsroższe męki, jakie przenieśli Święci oddający życie za wiarę, zdawało się Kościołowi niewłaściwem i niedostatecznem. I dla tego wynaleziono na to osobne wyrażenie nazywając męczeństwo Maryi: *Jej BOLEŚCIAMI.*

Cierpienia Przenajświętszej Panny były i z tego powodu jakby miary nie mające, że musiały być odpowiedniemi Jej osobistości. Jeśli Marya miała cierpieć jako Matka Boga wcielonego, a cierpieć właśnie z powodu cierpień jakie On na Siebie dopuścił — tedy Jej cierpienia musiały odpowiadać godności Jej macierzyństwa Boskiego. Lecz czyż jest kto w stanie pojąć szczyt tej godności? Święty Tomasz powiada, że już i Wszechmocność najwyższa nie mogłaby wyobrazić sobie coś jeszcze wyższego. Tenże Doktor Kościoła przydaje, że Pan Bóg w wyniesieniu Maryi do godno-

ści Matki Boga, nadał jej godność nad którą wyżej już i cała nieograniczona potęga Jego nadać nie może.

Zastanówmy się nad tem czem my jesteśmy w porównaniu ze Świętym, albo Święty porównany z najwyższym z pomiędzy Aniołów, a uważajmy że i najwyższy z Aniołów, ani w przybliżeniu jakowem, nie może być porównany z Maryą. Nie masz wątpliwości że każdy z nas bliższy jest Michała Archanioła, albo którego z najwyższych Serafinów, aniżeli oni Maryi. A jednakże już nam niepodobna jest ocenić, rozumieć jak dalece niżsi jesteśmy od tych Duchów niebieskich.

Tymczasem wiemy to dobrze, że cierpienie zastosowane, jak to zawsze bywa, do sił naszych, do naszej zdolności cierpienia, bywa niekiedy czemś czego nigdy wyobrazić sobie nie mogliśmy. A znowu wiemy i to, że najsroższe cierpienia jakich człowiek doznać może na ziemi, są jakby niczem w porównaniu cierpień nieszczęsnych dusz w stanie grzechu ciężkiego z tego świata schodzących i na wieczne męki sprawiedliwością Boską skazanych. Strach więc jest pomyśleć, co dusza ludzka wycierpieć jest zdolna!

Owoż, dusza Maryi jako po duszy Jezusa najdoskonalsza, jak wszystkie własności duszy ludzkiej posiadała w najwyższym jaki tylko być może stopniu, tak i zdolność cierpienia; a która to zdolność w ciągu Jej Boleści była ciągłym cudem w Niej podtrzymywana, gdyż inaczej Boleści przez Nią doznane byłyby Ją o śmierć przyprawiły. Do czego, według zdania niektórych pisarzy kościelnych, w chwili gdy Matka Boża stała już pod krzyżem, przyczyniło się i to, że wtedy posiadała w sobie Sakramentalną obecność Pana Jezusa po przyjęciu Przenajświętszego Sakramentu przy jego postanowieniu, a która to obecność trwała w Niej zaw-

sze od jednej komunii do drugiej. Miarkujmyż czem musiały być Boleści Maryi zastosowane i do Jej godności i do Jej cudownej zdolności cierpienia, i zawnioskujmy że musiały jakby nie mieć miary: że ich niezmierność wszelkie nasze pojęcie przechodzi.

Lecz potrzeba było żeby cierpienia Przenajświętszej Panny były także w stosunku do jej świętości. Próby zsyłane na Świętych, odpowiadają zawsze ich zasługom, którym wyrównywają co do stopnia, i są z niemi w ścisłym związku. Gdy Boleści Maryi były wyjątkowem dziełem Boga, i w sposób szczególny miały przynieść Mu chwały; gdy były zasłużalnemi i najpodobniejszemi z cierpieniami Pana naszego; gdy Boleści Jej zjednoczone były z Męką Syna w sposób nieoddzielny, chociaż podrzędnie; gdy były polem ciągłych aktów miłości Boga i przymnażały łask w Maryi — musiały więc być odpowiedniemi doskonałości Jej duszy i zastosowane do Jej świętości. Lecz ocenienie stopnia doskonałości, szczytu świętości Maryi przechodzi wszelką ludzką możność. Brak nam liczb na określenie mnogości i stopnia łask przez Nią otrzymanych; jest to zadanie *mnożenia*, do którego nie posiadamy dostatecznych ilości. Świętość Matki Boga nie była, ściśle mówiąc, nieograniczoną, nieskończoną, bo taką jest tylko świętość Boga; lecz ludzkiem pojęciem ogarnąć jej nie jesteśmy w stanie, i to jest co najmniej o tem powiedzieć możemy. Jeśli bowiem ogólnym poglądem przebiegniemy liczbę Jej łask, ich rodzaj i stopień; jeśli poczynając od Niepokalanego Poczęcia, obliczymy je chociaż w przybliżeniu tylko, aż do tajemnicy Wcielenia, a już i do tego posługując się chyba bystrością rozumów anielskich; i gdy zastanowimy się jak taki nasz obrachunek, takie obliczenie wpada w nieskończoność,

albo raczej mało co jej nie dosięga w chwili Wcielenia. Jeśli potem zastanowimy się nad liczbą łask któremi przez następne lat trzydzieści trzy, w stosunku ciągle wzrastającym zapełniał Pan Bóg Jej duszę, cuda w Niej Swej hojności dokonywając — będziemy mogli zrobić sobie jakie takie wyobrażenie siły, mocy, potęgi Boleści doznanych przez Maryę pod krzyżem, a Boleści odpowiednich stopniowi świętości do jakiego już wówczas wyniesioną była. Pomimo jednakże tego, ocenić Jej Boleści właściwie, dokładnie, nigdy nie potrafimy. Bądź co bądź, zawsze pozostaną one dla nas podobnemi do najgłębszych artykułów wiary świętej, w które wierzymy najmocniej, chociaż przechodzą one nasze ograniczone pojęcie.

Następnie nie masz wątpliwości że Boleści Maryi były w stosunku Jej wewnętrznego oświecenia. W ogólności mówiąc, im dokładniej rozpoznaje kto powody zadające mu boleść, tem boleść ta jest dotkliwszą. Że zaś jak wszystkie w nas władze umysłowe, tak i pojęcie jest ograniczone, więc w danym razie, chociażbyśmy i wielką tkliwością na cierpienia i bardzo bystrem pojęciem obdarzeni byli, nigdy całkowicie, dokładnie powodów zadających nam boleść nie jesteśmy w stanie pojąć. Podobniśmy w tem do nieposiadającego jeszcze pełnego rozumu dziecka, które płacze wprawdzie po stracie matki, ale czem jest rzeczywiście dla niego ta strata, dobrze tego nie rozumie.

Lecz z Przenajświętszą Panną działo się inaczej. Bystrość Jej rozumu i pojęcia, światło i naturalne i nadprzyrodzone, w które dusza Jej opływała w najwyższym stopniu, sprawiało, że Ona jak najdoskonalej rozpoznawała i oceniała powody Swoich Boleści. I to właśnie potęgowało Jej cierpienia, podnosiło je do najwyższego stopnia.

Głównym, owszem jedynym powodem Jej boleści były cierpienia Jezusa; a któż prócz Niego Samego, mógł tak jak Marya objąć myślą i ogarnąć pojęciem wszystkie okrucieństwa Jego strasznej Męki? Rozpoznawanie, pojmowanie całej okropności tego co Zbawiciel dopuścił na Siebie, a co Jego Matce Przenajświętszej zadawało najsroższe Boleści, było w Niej tak dokładne, że i to stawiało Ją jak najbliżej Jezusa, a było skutkiem tego nadmiaru światła niebieskiego, nadprzyrodzonego, które bezustannie zalewało Jej duszę uchowaną od grzechu, tego źródła wszelkiego przytłumienia w nas światła wewnętrznego, bystrość rozumu i pojęcia. Nam trudno jest pojąć jakiemi oświeceniami obdarzać raczy Pan Bóg duchy Anielskie, jak dalece są one pod tym względem wyżsi nad nami — a cóż dopiero gdy idzie o oświecenie, o bystrość rozumu i pojęcia któremi obdarzył Swoją Matkę! Jak ktoś słaby wzrok mający, nie może uwierzyć, że kto inny bardzo bystrym obdarzony, widzi przedmioty których on istnienia ani się domyślał — tak my nie możemy mieć wyobrażenia, jak dalece Marya rozumiała, pojmowała i właściwie oceniała powody zadające Jej cierpienia. I z tej więc przyczyny, rozmiary Boleści Przenajświętszej Panny, ich niezmierność, jest dla nas niedostępną, gdyż nie posiadamy środków ocenienia rozmiarów światła nadprzyrodzonego, do których nietylko były one zastosowane, ale których nawet obfitość coraz to bardziej je zwiększała.

Lecz i mnogości, rozliczności, ilości Boleści Maryi podobnież obliczyć nie jesteśmy w możności. Od chwili gdy usłyszała proroctwa Symeona zapowiadające Jej *Miecze* przeszyć mające Jej niepokalaną duszę — a prócz tego mając najwyraźniej objawionem Sobie co czeka Jezusa — życie Jej było już ciągłem męczeństwem. Ka-

żde spojrzenie na Syna, wtłaczało te miecze coraz głębiej w duszę Matki. Każdy dźwięk Jego ukochanego głosu, wzmagając w Niej uczucie miłości macierzyńskiej, napełniał Jej serce smutkiem i goryczą, na wspomnienie tego co czeka to najdroższe Jej dziecię — a smutkiem tem większym im to dziecię większą sprawiało Jej pociechę. Każdy czyn Jezusa zadawał Maryi mnóstwo cierpień, w których przeszłość i przyszłość zlewały się w jedynem okropnem przewidywaniu, ciągle rozbudzanem w Jej duszy. Każdy akt nadprzyrodzony, wzbudzony w Jej sercu, a takie akty czyniła bezustannie, był nową Boleścią. Jakoż, czy coś nowego dowiadywała się o Jezusie, czy odpowiadała nowej jakowej oznace miłości Jej Syna ku Niej, czy nowa miłość ku Niemu w Jej sercu się wzniecała, czy zjednoczenie Jej z Jezusem stawało się coraz ściślejszem, czy umysł Jej rozświecał się coraz bardziej, czy doznawała zachwytu w swojem do Niego przywiązaniu, w Swoich uczuciach macierzyńskich — słowem, im głębszą czcią i uwielbieniem przejmowała się ku Swemu Boskiemu Synowi, im droższym i ukochańszym stawał się On dla Niej, czuła tem srożej rozdzierające się w Niej serce niewymownemi cierpieniami okrutnej i haniebnej Męki Pana naszego, którą bezustannie miała przed oczami.

Życie Jej zapełnione było zdarzeniami najwyższej jaka tylko być może wagi, bo odnoszącemi się do sprawy Odkupienia całego rodu ludzkiego. Wszystkie szybko po sobie następowały, a każde z nich mnożyło i zwiększało Jej Boleści, przybliżając chwile najcięższych, przy męce Syna przeniesionych. Nie było w nich tej przerwy, jaka zwykle się przytrafia w najcięższych strapieniach ludzkich, ograniczając je w pewnej mierze żeby nie przechodziły zwykłej w człowieku możności

przeniesienia cierpień. A prócz tego bywały chwile, gdzie Boleści Jej skupiały się jakby w jedno straszne brzemię, przytłaczające duszę ze wszystkiemi Jej władzami.

Lecz i pod innym jeszcze względem Boleści Maryi były niezmiernemi, były jakby miary niemającemi, a to dla tego że przewyższały to, co zwykła siła ludzka z tego powodu przenieść może: przechodziły ten stopień w którym cierpienie odejmuje życie. Powszechnem jest to pomiędzy pisarzami kościelnymi przekonaniem, opartem na objawieniach wielu Świętych, że tylko cudem Marya zachowaną była przy życiu, wśród strasznych cierpień, jakie przeniosła. W tem bowiem, jak w wielu innych rzeczach, współuczestniczyła w przywilejach Pana Jezusa, w ciągu Męki Jego. I to odnosi się nietylko do Jej Boleści na Kalwaryi już doznawanych, lecz i do całego Jej przebłogosławionego życia. Najwyraźniejsze przewidywanie wszystkich czekających Ją Boleści, którem obdarzoną była co najmniej od chwili przepowiedni świętego Symeona, było tak dokładne i tak żywe, że bez szczególnej cudownej pomocy wszechmocności Boskiej, dusza Jej odłączyłaby się była od ciała. Nie mogłaby była żyć ani chwilę pod ciężarem tak niezmiernego smutku. Nie mogłaby była oddychać wśród atmosfery tak zaduszającej. Byłaby zatonęła w tem morzu goryczy, w której dusza Jej bezustannie pogrążoną była. Niemożliwem było żeby umysł tak wzniosły, jak Maryi pomięszanym został od niewymownych strapień, których doznawała; niemożliwem było aby dusza, tak jak Jej dusza zjednoczona z Bogiem, chociażby na chwilę straciła wewnętrzny pokój. Lecz do tego żeby od doznawanych bezustannie, najsroższych Boleści nie umarła, potrzeba

było ciągłego cudu wszechmocności Boga zachowującego Ją przy życiu. Jak bowiem co chwila umarłaby była od miłości Boga, gdyby Ją Bóg podobnież cudem Swojej mocy przy życiu był nie zachowywał — aż gdy ujmując Jej tej siły nadprzyrodzonej, miał już wziąść Ją do nieba tak podobnież ciągłego cudu potrzeba było, żeby od doznawanych w ciągu całego życia Boleści, co chwila dusza Jej nie odłączyła się od ciała.

Nareszcie i z powodu swojej rzeczywistości, Boleści Przenajświętszej Panny przewyższały miarę najrzeczywistszych strapień i cierpień ludzkich, a to pod każdym względem.

W strapienach jakich doznajemy, wpadamy zwykle w wielką przesadę. Wyobraźnia podwaja je nam prawie zawsze. Jeśli cierpienia nasze pochodzą od drugich, przypisujemy je koniecznie złej woli, której w tem wcale nie było. Upatrujemy w nich złośliwe zamiary, które nigdy nie przyszły na myśl tym, których o to posądzamy. Zdarzeniom żadnego niemającym związku z tem co nas przykrego spotkało, przypisujemy większą aniżeli na to zasługują wagę, żeby i niemi cierpienie nasze przystroić i większem jak jest w rzeczywistości sobie przedstawić. Albo jeśli spotkała nas jaka dotkliwa szkoda, przewidujemy jej następstwa zupełnie nieprawdopodobne, nadajemy im rozmiary, które do rzeczywistych skutków poniesionej straty są tak podobne, jak do dziecka niosącego latarkę, podobnym jest ogromny cień jego, zarysowujący się na przeciwległej ścianie.

Dziwaczność i niepohamowana ruchliwość wyobraźni, otaczają boleść naszą chmurą złudzeń, a chmurę tę zgęszcza jeszcze nierozsądny upór, z którym odrzu-

camy wszelką pociechę. Zatykamy sobie uszy na głos rozsądku, oddajemy się gnuśności, grzesznemu zniechęceniu, opuszczamy się w pełnieniu obowiązków i w takowem rozpieszczaniu się znajdujemy pewnego rodzaju wielką, ale wcale niegodną duszy chrześcijańskiej, ulgę.

Lecz w cierpieniach Przenajświętszej Panny nie było najmniejszej przesady, wszystko było w nich najrzeczywistszem. Boleści Jej, wznosiły się do wyżyn tak szczytnych, że tylko niedokładne o nich możemy zrobić sobie wyobrażenie. Wzmagały się one przez ocenić się nie dające doskonałości natury Maryi, przez Jej łaskę wszelką miarę przechodzącą, przez doskonałą piękność, a zwłaszcza przez Boskość Jezusa. Każda z tych przyczyn przydając Boleści Maryi, podnosiła je do takiej wysokości, że ograniczony wzrok nasz już nie może ich objąć. Lecz dla Maryi, która posiadała ciągłe skupienie wewnętrzne i pokój duszy niezachwiany, każde z tych cierpień przygniatało Ją całą swoją rzeczywistością; doskonale było przez Nią zrozumianem i ocenionem, co do wszystkich swoich następstw; a przyjęte z najdokładniejszem ich pojmowaniem, tak co do jego siły w danej chwili, jak i co do jego dłuższego trwania. Jej natura fizyczna, wolna od szkód jakie wyrządza choroba, i od nieprawidłowości będących następstwem grzechu, posiadała żywotność wyjątkowej siły, a stąd odznaczała się największą wrażliwością, najtkliwszą i najżywszą czułością; a obok tego wszystkiego obdarzoną była najszczególniejszą, najprzedziwniejszą zdolnością cierpienia. Stąd nie było w Niej nic takiego, czy to w Jej rozumie, czy w uczuciach, coby mogło łagodzić którykolwiek z ciosów na Nią spadających. Nawykłość nawet nie czyniła Boleści

Jej znośniejszemi: nie przestawały one być najtrudniejszemi do przeniesienia, chociaż były bezustanne. Żadna z nich nie była miejscową; czuć się dawały po całej Jej istocie; były, że się tak wyrażę, obdarzone nieustającą rzutkością i palącą ostrością, której dowierające katusze dosięgały jednocześnie wszystkie części Jej ciała i Jej duszy. Wśród właściwego Jej niewymownego wewnętrznego spokoju, Boleści doznawane nie dawały Jej żadnego wytchnienia, nie odstępowały Jej ani na chwilę, nigdy nie łagodniały, nie dopuszczały, ani na chwilę folgi. Przy tem nie było cierpienia któregoby srogość oszczędzoną dla Niej została, albo którejby całej goryczy nie zakosztowała. Obok zaś tego wszystkiego doskonale rozpoznawała ich moc i wytężenie, a gdy najniespodzianiej raniły Jej serce, nie przyprawiało to Ją wcale o zdziwienie, które nas zwykle ogarnia w chwili nieprzewidzianego nieszczęścia.

Nie było też i następstwa w Boleściach Maryi, albowiem wszystkie tkwiły w Niej jednocześnie, jak strzały w świętym Sebastyanie, i wszystkie ostrza ich razem zaprawiały się jadem. Ta rzeczywistość Boleści Maryi, jest przerażającą, a jestto jedną z ich cech głównych, o której nie powinniśmy zapominać w dalszych rozpamiętywaniach naszych tych tajemnic życia Przenajświętszej Matki. Bez tego bowiem jeszcze trudniej byłoby nam zrozumieć je i ocenić właściwie Jej męczeństwo.

Nakoniec zwróćmy uwagę i na to, że Boleści Maryi przyczyniły się w pewnej mierze, do odkupienia świata, a więc i z tego powodu musiały być niezmiernemi, jakby nie mającemi miary. Gdy bowiem z wyroków Boskich Marya, jako Matka Odkupiciela, miała współuczestniczyć w Jego Męce, tak jak żadna inna

istota stworzona, więc i dlatego Jej Boleści musiały być jak największemi po cierpieniach Jezusa: ich niezmierność musiała być jak najbardziej zbliżona do niezmierności granic, niemającej cierpień Jezusowych A tak z jakiejkolwiek strony zapatrywać się na nie będziemy, przedstawiają się nam one w stopniu przechodzącym wszelkie nasze pojęcie i wyobrażenie. Są dla nas, dla naszego pojęcia cierpieniami wszelką miarę przechodzącemi.

II.

Dlaczego Pan Bóg dopuścił cierpienia na Maryę.

A teraz czy wolno nam badać, dlaczego Pan Bóg dopuścił cierpienia na Maryę? Czy godziwą jest rzeczą wdawać się w dociekania takowe? Odpowiadam: że cokolwiek robi się z miłości Jezusa i Maryi, robi się godziwie. W takim bowiem razie, gdy pragniemy dowiedzieć się czegoś, czynimy to nie żebyśmy o tem powątpiewali, ani żebyśmy śmieli domagać się od Boga zdania nam sprawy z Jego czynności, lub żebyśmy rościli sobie prawo do wiedzenia wszystkiego; lecz badamy to dla nabycia większego oświecenia w rzeczach tyczących się Jezusa i Maryi, aby przez to pobudzić się do coraz serdeczniejszego Ich miłowania.

Nie masz ani jednej sprawy Boskiej, której znalibyśmy wszystkie powody, albo która nie przechodziłaby naszego pojęcia, jeśli nas Pan Bóg nie raczy w tem oświecić. Zwykle też mówiąc o wyrokach Boskich przydajemy, że są *niezbadane*. Lecz z drugiej strony doświadczenie uczy nas, że im więcej oświecamy się w rzeczach tyczących się tajemnic naszej świętej wiary, tem więcej rozmiłowujemy się w Bogu który nam je

objawił, i w tym celu badamy je pokornie i z miłością, a przez to w miłości tej czynimy postęp.

Z takiem więc usposobieniem, zastanówmy się dlaczego Pan Bóg dopuścił cierpienia na Matkę Swoją, którą miłował niewymownie, która była bez grzechu, która nie miała nic do odpokutowania, i której cierpienia nie były wcale koniecznemi do przydania zasług Męki Jezusowej, dostatecznej samej już przez się, do dokonania sprawy odkupienia świata całego.

Otóż powody tego, o ile ograniczony rozum nasz zbadać je może, były następujące:

Pierwszym była miłość Boga ku Maryi. A czyż miłujący może umiłowanego obdarzyć czemś większem, jak Sobą samym? Owoż, Jezus był jakby uosobieniem cierpienia. Całe trzydzieści trzy lat Jego pobytu na ziemi, były nieprzerwanem pasmem mniej lub więcej dotkliwych cierpień, aż nareszcie doszły one do najwyższego możliwego stopnia, w ostatnich chwilach Jego życia. To więc prawo, ta, że się tak wyrażę, konieczność cierpienia, której poddał się Jezus, musiała dosięgnąć i Maryę, i Sama Ona, z całej Swej niepokalanej duszy, pragnęła aby tak było. Byłaby tylko największą Świętą, ale nie byłaby i Matką Boga wcielonego, gdyby do niezmiernych cierpień Syna nie została była przypuszczoną, a to w najwyższej jaka tylko być mogła mierze, po Jego własnych cierpieniach.

Bo czyż nie toż samo, tylko w niższym stopniu dzieje się nawet z tymi, którzy daleko są od Jezusa, w porównaniu z Tą, która była tak Niego blisko? „Kogo Pan Bóg miłuje tego krzyżuje“ i nawiedzenie duszy jakiej cierpieniem, jest zwykle zapowiedzią nawiedzenia Jego Samego, tem obfitszemi łaskami im cierpienie ciężs[illegible] opuścił niebo gdzie zażywał chwały naj-

Biblioteka Publiczna im. Józefa Szujskiego Region w Nowym Sączu
2033
ECJALNE
XIX w.

wyższej, i zstąpiwszy na ziemię, z cierpień zrobił sobie raj w którym przebywał, zamieniając cierpienia dla dusz wybranych na raj ziemski, w którym przebywa się z Jezusem. Wielkie łaski są to jak one pasma gór wysokich, które powstały wskutek wielkich i gwałtownych podziemnych wstrząśnień: dostają się one tylko duszom wielkiemi cierpieniami wstrząsanemi. Męczennicy wszelkiego rodzaju, otrzymują najświetniejsze korony niedostępne dla innych, chociażby najwyższą doskonałością i świętością jaśniejących. Miałażby Marya pozbawioną być tego rodzaju korony, i czyż nie musiała być ona świetniejszą od koron wszystkich Męczenników nawet razem wziętych, a więc nabytą męczeństwem wszystkie ich męczarnie przewyższającem?

Lecz po co długo o tem mówić, kiedy dość jest odwołać się do samego poczucia chrześcijańskiego. Czy moglibyśmy Matkę Bożą, Matkę umęczonego i ukrzyżowanego Syna Bożego, jednem słowem, Matkę Jezusa, wyobrazić sobie bez cierpienia, bez Jej Boleści? Samo przypuszczenie czegoś podobnego, uwłaczałoby obrazowi jaki o Niej czynić sobie powinniśmy. Gdyby tak nie było, że cierpienie, tu na ziemi, jest zadatkiem tem większej chwały w niebie; gdyby cierpienie nie zostało było jakby *ubóstwione* niezmiernemi cierpieniami Boga-Człowieka, Marya mogłaby była wolną być od nich, i pewnie byłby je Pan Bóg na Nią nie dopuścił. Lecz gdy dotknięcie kogo cierpieniem, jest oznaką miłości Boga, jakżeż Matka Jego nie miała doznać cierpień w mierze wyjątkowo wysokiej, owszem koniecznie, po cierpieniach Jezusa, największych.

Następnie, Pan Bóg i dlatego dopuścił na Przenajświętszą Pannę cierpienia, żeby Ją i tego pola do największych zasług nie pozbawić. Albowiem tego

rodzaju zasługi, niczem innem nabyć się nie mogą. Wprawdzie sama już godność Macierzyństwa Boskiego, byłaby umieściła Maryę na najwyższym po Jezusie tronie w niebie. Lecz gdyby była nie cierpiała, w koronie Jej nie byłoby tych gwiazd, tych najdroższych kamieni, które najświetniej błyszczą w koronach Męczenników. Gdy zaś właśnie z powodu tej najwyższej godności Macierzyństwa Boskiego, potrzeba było koniecznie, aby i te gwiazdy, i te klejnoty Jej wiekuistej korony, blaskiem swoim przewyższały wieńce największych Męczenników; owszem, ich nawet wszystkich razem wziętych — więc koniecznością było, żeby nietylko więcej od każdego z nich, ale nawet więcej, jak oni wszyscy razem uważani, wycierpiała. O! któż wyrazić potrafi chwałę, jakiej zażywa Marya w niebie, za Swoje Boleści! Kto zdolny pojąć wesele, radości i zachwyty wszystkich błogosławionych duchów niebieskich, wpatrujących się w nabytą przez Nią tę chwałę, i wielbiących mądrość najwyższą i nieograniczoną dobroć wyroków Boskich, w dopuszczeniu na Nią w czasie cierpień, które Jej taką chwałę w wieczności zapewniły.

Gdyby Marya w przeciągu sześćdziesięciu trzech lat Swojego błogosławionego pobytu na ziemi, opływała była tylko w same pociechy wewnętrzne; doznawała była ciągłego zachwytu, byłaby w niebie, bądź co bądź, zajmowała miejsce bez żadnego porównania wyższe od wysłużonego sobie przez dusze, które największe zasługi położyły, przez przeniesienie dla miłości Boga najsroższych cierpień i męczarni; lecz nagrody męczeństwa byłyby Ją ominęły. A czyż mógł Pan Jezus jaki rodzaj nagrody niebieskiej uczynić niedostępnym, dla najdroższej Swojej Matki? Z Królową niebieską należało koniecznie obejść się jak z królową,

żeby gdy nadejdzie chwila umieszczenia Jej na tronie, godność tę sprawować mogła jak najprawniej i najświetniej. Trzeba było żeby katuszami swoich *Boleści,* nabyła wszelkiego prawa do chwały swego *Wniebowzięcia.*

Każdy wzniosły zawód, każde przeznaczenie przez Boga do spełnienia wyższego jakiego posłannictwa, najeżone bywa krzyżami. Zawsze bywa to drogą gęstemi i ostremi cierniami usłaną. Poddał się temu prawu Jezus, i nie mogła też być wyjętą z pod niego i Marya; pozorne to okrucieństwo musiało i Ją dotknąć.

Przytem skutkiem następstw grzechu pierworodnego, wyższa Mądrość i dobroć tak rozporządziły, że gdy w obecnym swoim stanie, człowiek cierpieć musi, może jednakże cierpieniami święcie przez wzgląd na Boga znoszonemi, największej Mu tu jeszcze na ziemi chwały przysporzyć. A czyż może spotkać istotę stworzoną większe szczęście, większy zaszczyt, jak żeby Stwórcy swojemu przymnożyć chwały? I to więc było jednym z powodów, dla których Pan Bóg dopuścił cierpienia na Przenajświętszą Swą Matkę.

Marya wyniesiona do godności Macierzyństwa Boskiego, przewyższała Osobą Swoją nietylko wszystkich ludzi razem wziętych, ale cały świat stworzony i to w stopniu żadnego porównania nieznoszącym. A więc cierpieniami Swojemi oddawała Mu chwałę, na jaką newet niebo całe zdobywać się nie mogło. Stąd też i Ona Sama do żadnego ze Swoich najwyższych przywilejów, do żadnego z darów, które na Nią Pan Bóg nie przestawał w najhojniejszej mierze zlewać, nie przywiązywała większej wagi, żadnego nie ceniła wyżej nad Swoje Boleści. Wiedziała bowiem i pojmowała to jak najdoskonalej, że niemi to najwięcej przymnaża

chwały Stwórcy najwyższemu. Marya u stóp krzyża, to był świat cały, to było w oczach Boga więcej jak wszystkie światy, oddające Mu cześć najgłębszą, a właśnie w chwili, kiedy ludzie Mu takowej nietylko odmawiali, lecz najstraszniejszej dopuszczali się na Bogu swoim zniewagi.

Z drugiej znowu strony zastanówmy się, czem byłby Kościół, czem byliby wierni, czem bylibyśmy,— gdybyśmy nie posiadali Matki Bolesnej? Niech na to odpowie każda dusza, rozpamiętywająca te tajemnice z życia naszej niebieskiej Matki; niech odpowie każde serce w przeszyciu Jej niepokalanego Serca siedmiu mieczami, szukające na swoje najcięższe rany lekarstwa.

To też pod pewnym względem, i dla nas potrzebnem było, żeby Marya cierpiała. Wszak miała Ona stać się *Pocieszycielką strapionych*, Ucieczką i Wspomożycielką wszystkich cierpiących. Trzeba więc było żeby Sama na Sobie doznała wszelkich strapień, cierpień i boleści, jakich doznać może serce ludzkie. Trzeba było żeby, o ile tylko jest to możliwem dla istoty stworzonej, ich wszystkich doznała, wszystkie oceniła, nie wyłączając nawet i boleści pochodzącej z dopuszczenia się grzechu, któremu podlegamy, a od którego Ona była zachowaną. Jak to bowiem obaczymy na swojem miejscu, w trzeciej Swojej Boleści, bez żadnej z Jej strony winy, doznała Marya i tego rodzaju cierpienia. Trzeba było, żeby obeznała się ze wszystkiemi krzyżami nas obarczającemi, z każdym rodzajem biedy i nędzy naszej. Przez to bowiem miała niejako wyuczać się, a jak wielkim kosztem, jakich to pociech, jakich pomocy domagają się od Niej jako *Matki miłosierdzia,* biedne serca nasze, gdy na

cięższe próby wystawione bywają, gdy im już żadne ludzkie pociechy ulgi przynieść nie mogą.

Zbawiciel w odwiecznych wyrokach Swoich, postanowił wykupić nas z niewoli szatańskiej, nie przez pojawienie się tu na ziemię w całym blasku i majestacie Swego Bóstwa, lecz przeciwnie przyjmując na Siebie wszystkie nędze ludzkie. Nie było wolą Jego żeby odkupienie człowieka tak mało Go kosztowało jak jego stworzenie, i nie na górze Tabor, gdzie się uczniom okazał w całej chwale Swojej, lecz na Kalwaryi, gdzie raczył przenieść mękę i śmierć najhaniebniejszą, dokonał On sprawy naszego zbawienia. Co większa, pracował na to przez ciąg długich lat, dopuszczając na Siebie najrozmaitsze cierpienia tak zewnętrzne jak i wewnętrzne, zniewagi, prześladowania i poniżenia jakich nikt z ludzi nie doznał. Wprawdzie nie było to wcale koniecznem, samo zejście na świat Syna Bożego, samo Jego wcielenie się, jedno Jego słowo, jedna łza, co mówię! jedno odetchnienie starczyło na odkupienie miliona światów, chociażby zalanych jeszcze większemi, aniżeli ludzkie, grzechami. Wszelako spodobało się Panu Jezusowi, w najwyższej mądrości Jego, na odkupienie świata obrać drogę pełną cierpień najcięższych, i dopiero przez ich dopuszczenie na Siebie i przeniesienie ich, stać się naszym Zbawicielem.

Toż samo co do Maryi. Nie stała się Ona Matką naszą i *Pocieszycielką strapionych* odrazu na mocy wyroku Boskiego, mianującego Ją na ten najlitościwszy urząd, i obdarzającego Ją w tejże chwili wszystkiemi do doskonałego spełniania go przymiotami i przywilejami. Nie masz wątpliwości, że mogło to nastąpić, mogło być tak, wszelako stało się inaczej. Stanie się przez

Nią Matką ludzi, i po Bogu najpewniejszą naszą *Ucieczką* we wszelkich strapieniach i cierpieniach, jest następstwem, jest dalszym ciągiem Jej Macierzyństwa Bożego, które Ją tyle i tyle najcięższych Boleści kosztowało. Ażeby obok Macierzyństwa Bożego nabyć i macierzyństwo ludzkie, stać się Matką całego rodzaju ludzkiego i na to zasłużyć, pracowała, cierpiała, przedźwigała najcięższe krzyże; wszystkie Siedm Mieczów Boleści Swoich miała wtłoczone w serce, aż nakoniec dostąpiła tego na Kalwaryi. Nie żeby, ściśle mówiąc, mogła Sama wysłużyć Sobie ten Swój tytuł i przywileje Macierzyństwa nad nami, jak Jezus wysłużył zbawienie świata, gdyż i ten Jej tytuł i te Jej przywileje nabyte zostały zasługami Zbawiciela. Lecz wysłużyła to o ile mogła to uczynić istota stworzona, łącząc swoje zasługi z zasługami Syna Bożego; i gdy Pan Bóg ujrzał Ją, po przeniesieniu wszystkich Jej Boleści odpowiedną do zostania Matką wszystkich cierpiących i najskuteczniejszą ich Pocieszycielką, wtedy Ją tem właśnie uczynił. I dla nas, więc to dopuścił na Maryę cierpienia.

Wśród ciemnej nocy w jaką pogrążają dusze nasze rozmaite strapienia, cierpienia i smutki, na które wystawieni bywamy, cobyśmy poczęli bez tego błogiego księżycowego światła, które w takich razach roztacza nad nami myśl o Maryi i ucieczka do Niej? Ileż to już łez otarła Ona z oczu naszych! ileż gorzkich zamieniła w słodkie! A oto w miarę jak się zapuszczamy w życie, ubywa nam coraz bardziej wszelkich chociażby najgodziwszych i najpotrzebniejszych ludzkich pociech. Grono nam sprzyjających coraz to mniejsze, a opieki ich i troskliwości w starości właśnie najbardziej potrzebujemy. Lecz gdy nam z jakichkolwiek powodów zabraknie z tej strony wszystkiego, Maryi ni-

gdy nam brakować nie może. Wszakże żeby tak było, musiała Sama przebyć najsroższe Boleści. Żeby na burzliwem morzu życia naszego, być dla nas *Gwiazdą* wśród nocy i *Portem Zbawienia,* trzeba było, żeby Sama na najsroższe nawałności wszelkiego rodzaju cierpień wystawioną była, żeby sama przez niezmierzone okiem ludzkiem oceany Boleści, przepłynęła.

Zbawiciel jak jest jedynym Zbawcą naszym, tak i najwyższym naszym wzorem. Odkupił świat przenajdroższą krwią Swoją. Jego to tylko zasługi zbawiły nas. Przywilejów Jego jako Odkupiciela, nikt nie podziela. A stąd trzeba nawet było żeby i Przenajświętsza Matka Jego została odkupioną, podobnież jak wszyscy inni ludzie, chociaż w sposób odrębny i wznioślejszy, bo uprzedzający a nie zadośćczynny: przez niezrównaną łaskę Niepokalanego Poczęcia, przez zachowanie Ją od grzechu, a nie przez omycie, oczyszczenie z dokonanego. Wszelako było to wolą Pana naszego, aby Matka Jego, aby Jej współdziałanie, Jej przyzwolenie na stanie się Jego Rodzicielką, a następnie na Jego mękę i śmierć, aby Jej cierpienia i zasługi, tak zjednoczone były z Jego zasługami i z całą sprawą zbawienia naszego, żebyśmy ich rozłączać nie mogli. Chciał żeby Boleści Maryi tak były zespolone z Jego własną Męką i śmiercią, żebyśmy i Jego Mękę i Jej Boleści dopiero wtedy nieco dokładniej pojmowali i oceniali, gdy w jedno i w drugie razem wpatrywać się będziemy. Jakoż, bez Boleści Maryi, Męka Pańska byłaby czem innem od tego czem była rzeczywiście. Zdaje się więc, że i dlatego Pan Jezus poddał Matkę Swoją, chociaż wolną od wszelkiej winy, temuż obowiązkowi zadość uczynienia, któremu i Sam Święty nad świętymi poddać

się raczył, żeby prawdziwie powiedzieć można było, chociaż w innem znaczeniu jak się to mówi o Panu Jezusie, że uczestniczyła i Ona w sprawie odkupienia świata.

Lecz gdy jak to wyżej powiedzieliśmy, Pan Jezus jest nietylko naszym Odkupicielem, lecz i Wzorem najwyższym, więc chciał żeby i Marya za wzór nam służyła. Że zaś właśnie to dla pozostawienia nam na Swojej Boskiej Osobie najwyższego wzoru doskonałości, Syn Boży dopuścił na Siebie najsroższe cierpienia — więc żeby i Przenajświętszą Matkę uczynić dla nas wzorem, a tem przystępniejszym, że była Ona istotą tylko ludzką, nie Osobą Boską, jaką był Pan Jezus, tedy i na Nią dopuścił cierpienia, a najcięższe po Swoich cierpieniach, gdyż miała być Ona najwyższym po Nim wzorem świętości.

Cierpienie w większym lub mniejszym stopniu wplecione jest w życie każdego człowieka, a pomimo że z miłosiernego rozporządzenia Boskiego, służyć ono powinno do tem ściślejszego jednoczenia się duszy z Bogiem, to jednakże skutkiem złości naszej, bardzo często wprost przeciwnie oddziaływa na nas. W duszy niedość wyrobionej, cierpienie osłabia ufność w Bogu, a nawet rozbudza pokusy przeciw wierze i jakieś jakby żale do Boga, które chociażby nie dochodziły do zuchwałego narzekania na wyroki Opatrzności, nadzwyczaj oziębiają w sercu miłość Boga i osłabiają z Nim zjednoczenie.

Przenosić cierpienie z niezachwianym wewnętrznym pokojem i z doskonałem poddaniem się, jest podobno jak najtrudniejszem, tak i najwznioślejszem zadaniem tego życia. I dla tego to, im dusza większy

czyni w doskonałości postęp, tem częstsze i cięższe spotykają ją cierpienia, przeznaczone w wyrokach Boskich, do coraz większego jej uświątobliwienia.

Z tego wynika, że im kto jest z natury czulszym, wrażliwszym na cierpienia jakiegokolwiek rodzaju, a zwłaszcza na cierpienia moralne, — tem łatwiej cierpieniami, byle je święcie za łaską Boską przenosił, uświęcić się może. Co innego jest bowiem być z naturalnego usposobienia obojętnym na wszystko, a co innego pomimo największej wrażliwości i czułości, przez wzgląd na Boga znosić cierpliwie i spokojnie najcięższe ciosy, największe boleści czyto fizyczne czy moralne. W pierwszym razie, ponieważ cierpliwość nic nas nie kosztuje, nie masz też w niej i zasługi; w drugim, im na większe wystawiona jest ona próby, tem więcej się dusza uświęca, im mężniej wśród nich się zachowuje.

Otóż, w tem wszystkiem Marya, przez przeniesienie cierpień jakie na Nią Pan Bóg dopuścił, jest dla nas wzorem po Panu Jezusie najwyższym. I chociaż sam już wzór tego, jaki nam Zbawiciel na Sobie pozostawić raczył, mógł i powinien był nam wystarczać, — to jednakże któż nie przyzna, że gdy go nam i na osobie Przenajświętszej Matki Swojej przedstawił, — uczynił go nam jeszcze przystępniejszym, i ledwie że nie jeszcze bardziej chwytającym nas za serce. Połączenie w Panu Jezusie Bóstwa z człowieczeństwem, sprawia, że zdawać się może iż naśladować Go nam, z ludzkiej tylko natury złożonym, jest czemś przechodzącem nasze siły. Przedstawiając zaś nam podobny wzór w Przenajświętszej Matce, istocie tylko ludzkiej, bez połączenia się w Niej i Bóstwa, przedstawia nam wzór, od naśladowania którego żaden już nas pozór nie uwalnia. Śmiało więc utrzymywać możemy, że i to był jeden

z powodów, dla których Pan Bóg dopuścił na Maryę cierpienia.

Tak tedy Pan Bóg, dopuszczając, żeby niepokalane serce Maryi przeszyte zostało siedmiu mieczami Jej Boleści, a co jak to obaczymy rozważając każdą z tych Jej Boleści poszczegółowo, znaczy, że dopuścił na Nią wszelkiego rodzaju cierpienia, jakich doznać może człowiek na ziemi, dopuszczając to Pan Bóg na Nią, przez Nią i w Niej rozwiązuje tajemnicę cierpienia. Co w tej tajemnicy, tak niezrozumiałej dla rozumu ludzkiego, po rozważaniu cierpień Syna Bożego, jeszcze mogłoby pozostać dla nas mniej jasnem, to przy wpatrywaniu się w Boleści Maryi przedziwnie się nam rozświeca. Ona chociaż ze Świętych Najświętsza, od kary za grzech ciążącej na wszystkich dzieciach Ewy przywilejem Niepokalanego Poczęcia Swego zasłonięta, pomimo to cierpiąc, nie mogła ani światu, ani nawet jednej duszy odkupić. A jednak cierpiała, i cierpiała po Panu Jezusie najwięcej. A więc cierpienie musi mieć w sobie, prócz własności zadośćuczynienia przed Sprawiedliwością Boską, jeszcze i inne własności, inne przywileje w obecnym stanie człowieka najpożądańsze dla duszy, bo najpewniej, najłatwiej, najniechybniej i najprędzej ją uświęcające.

Taki bowiem wniosek sam z siebie wynika z rozważań Boleści Maryi, to jest z zastanowienia się nad tem, że Marya ani za własne grzechy, na żadne cierpienia nie zasługująca, ani własnemi chociażby najcięższemi, ani świata, ani jednej duszy odkupić nie mogąca — jednakże takie cierpienia przebyła, że one tytuł *Matki Bolesnej* Jej nadały.

To też boleści Maryi nietylko zatrzymują skargi na ustach najsroższemi ciosami dotkniętych, najcięższych doznających cierpień, lecz nawet przywodzą dusze do tych tajemnic Jej życia nabożne, do zamiłowania wszelkiego rodzaju krzyżów. One to najlepiej wyuczają nas tej tak łatwo zapominanej prawdy, że cierpienia wszelkiego rodzaju nadają nam największe podobieństwo do Pana Jezusa, i dla tego są zwykle zadatkami Jego łask najszczególniejszych i cechą wybrańtwa.

III.

Źródła Boleści Przenajświętszej Panny.

Możemy teraz przejść do trzeciego działu naszych badań, to jest do źródeł Boleści Przenajświętszej Panny. Przez źródła zaś rozumiemy tu właściwie nie przyczyny tych Boleści, jak raczej wewnętrzne usposobienie Maryi, nadające Jej cierpieniom odrębną siłę i zaprawiające je właściwą sobie a największą goryczą.

Gdy jaka matka traci jedynaka, strata ta sama z siebie jest bardzo ciężką; lecz nabiera właściwej sobie cechy i natężenia, od różnych okoliczności już to rozżywiających w sercu matki przywiązanie macierzyńskie, już z innych powodów stratę takową wyjątkowo dotkliwą czyniących. Dziecię było tak miłe, tak piękne, tak dobre, tak obiecujące! W niem matka złożyła była wszystkie swoje nadzieje; cała jej przyszłość w niem była zawarta, wszelkie pociechy i osłody smutnego skądinąd życia, w niem ona znachodziła. Albo-li też zaszły jakowe wypadki, które po ludzku rzeczy uważając, łatwo mogły być odwrócone, a które właśnie śmierć tego ukochanego dziecka spowodowały. I w resz-

cie stratę takową przychodzi opłakiwać wśród okoliczności z rozmaitych powodów dotkliwszą ją czyniących, aniżeli by nią była w istocie, w każdej innej chwili. Takie więc i tym podobne okoliczności, a których wielką rozmaitość przypuszczać można, są to jakby odrębne źródła boleści matki tracącej ukochane dziecię: jakby odrębne ogniska cierpień, najrozmaitszemi goryczami zaprawiające jej serce.

Otóż co do Przenajświętszej Panny, wszystko co tylko Jej Boleści macierzyńskie zwiększyć mogło, co tylko mogło podnieść je do najwyższego możliwego stopnia, zbiegło się było w największej swojej okrutnej pełni. Powody Jej cierpień, ich źródła, okoliczności im towarzyszące, przechodziły w mierze żadnego porównania nieznoszącej, wszelkie źródła i powody wszelkich możliwych ludzkich strapień i cierpień. Owszem, Boleści Jej, jakkolwiek były po cierpieniach Pana Jezusa największe, jakich kiedy doznać mogło serce ludzkie, — pomimo tego nie dorównały, nie odpowiadały całkowicie powodom Jej cierpień. Powody te bowiem jako biorące całe swoje znaczenie od tego, że tyczyły się osoby Jej Boskiego Syna, osoby Boskiej, były to powody cierpienia nieskończone, granic nie mające. A stąd trzeba nam przygotować się do tego, że już z tej jednej przyczyny, Boleści Maryi są rzeczą przechodzącą, przewyższającą nasze wszelkie pojęcie i wyobrażenie.

Pierwszem tedy źródłem, pierwszym powodem Boleści Maryi była myśl, że nie mogła umrzeć razem z Jezusem. Każda matka znajdująca się w Jej położeniu, pragnęłaby śmierci. Dla serca dotkniętego wielką boleścią, śmierć pożądańszą jest nad życie, i gdy śmierć nie jest rozstaniem się, lecz przeciwnie, połączeniem na

wieki na łonie Boga z ukochanem dziecięciem, któraż matka opłakująca jego stratę, nie poczytywałaby za największe szczęście, przejście z tego świata na tamten?

Toż samo, a w najwyższym stopniu, zachodziło co do Maryi. Żaden syn nie był tak drogim matce, jak nim był Jezus dla Maryi. Żaden syn nie był tak dobry, tak piękny, tak ukochany i tak godny miłości, tak prawdziwie synem, jak On był dla Swej Matki. Prawa bowiem, a więc i uczucia i ojca i matki zlewały się razem w sercu Maryi, a stąd Jezus podwójnie był Jej dzieckiem, dwoiście synem. A któż w stanie opisać piękno i wszystkie powaby Jego Przenajświętszego człowieczeństwa? któż potrafi wyobrazić sobie, do jakiego stopnia miłość macierzyńska w Jej niepokalanem sercu roznieconą być musiała? Był on z synów najuleglejszym, a jednakże był razem i Bogiem i miłował Ją temiż obydwoma uczuciami i Syna i Boga, jak żaden syn najprzywiązańszy nie miłował matki, jak Bóg miłości nieskończonej, nie umiłował żadną inną duszę.

A oto przyszło Jej było takiego Syna tracić, i jeszcze w jaki sposób tracić! na jakie męki Jego i na jak okrutną i w oczach ludzkich hańbiącą śmierć patrzeć!

Lecz chociażby i najłagodniejszą i najsłodszą śmiercią umierał był Jezus, bądź co bądź, pozostawiał Ją bez Siebie na tej ziemi. A cóż Jej po życiu bez Jezusa? pocóż Jej było żyć bez Niego? cóż Jej po życiu bez takiego Syna? Czem jest słońce dla dnia, tem był Jezus dla Maryi; gdy tedy to Jej słońce zniknęło, cóż się z Nią stać musiało? Było to dla Niej rzeczywiściej końcem wszystkiego, aniżeli byłoby tem rozsypanie się w gruzy świata całego; bo trudno Jej było pojąć, jakby świat mógł istnieć dłużej, straciwszy swego Stwórcę. Gdy Jezus zamordowany ręką ludzką skonał

na krzyżu, czyż nie mogła przypuszczać, że wszelkie błogosławieństwa niebieskie odjęte zostaną ziemi, i że albo ją lody zmrożą i zniszczą, lub płomienie ognia karzącego spalą na węgiel. Gdy tedy Jezus żyć przestał, pocóż było żyć Maryi?

Ale nastręcza się pytanie, jak żyć mogła? jak się to stało, że od Boleści wtedy doznanych nie umarła? Nie ma też wątpliwości, że wyraźnym cudem wszechmocności Boskiej przy życiu, wśród doznanych Swoich Boleści, zachowaną została, i na to się zgadzała, pomimo, że już to samo było dla Niej najwyższą Boleścią.

Wszak gdy razu pewnego prosiła Jezusa o przemienienie wody w wino, chociaż powiedział był wtedy, że godzina czynienia przez Niego cudów jeszcze nie nadeszła, cud ten jednakże dopełnił *), żeby żadnej prośby Matki bez skutku nie pozostawić, i żeby jej powtarzać nie potrzebowała. Gdyby więc na Kalwaryi jednem słówkiem, jednem spojrzeniem, jedną myślą, poprosiła była Syna, żeby odchodząc z tego świata zabrał Ją ze Sobą, byłby to niechybnie zrobił. A dla czegóż nie domaga się tego? Oto: bo jak Jezus, najokrutniejsze męki wycierpiawszy z miłości ludzi, pragnął jeszcze ich cięższych doznać, tak i Marya, zszedłszy już wtedy do ostatnich głębin przepaści Swoich Boleści, z miłości tychże ludzi tak przez Jezusa umiłowanych, nie pragnęła wcale ich końca. I temu to Jej pragnieniu zadość czyniąc Zbawiciel, cudownie Ją utrzymuje po Swojej śmierci przy życiu, męczeństwo Jej aż do lat piętnastu przeciągając. Niezrównana więc świętość Maryi, dostąpiła i tego przywileju, że dłużej cierpiała od Pana Jesusa i przeżyła Go na to tylko, żeby Bo-

*) Jan. 2. 3.

leściami niewymownej tęsknoty za Synem i Bogiem Swoim, przydać Mu chwały przez całą połowę tylu lat ile On ich przebył na ziemi, i przez tę właśnie świętą tęsknotę dojść do tego stopnia miłości Jego, żeby od Niej umierając, wziętą zostać do nieba z ciałem i duszą. *O! głębokości bogactw mądrości i wiadomości Bożej! jako są niepojęte sądy Jego i niedościgłe drogi Jego!* *).

Innem znowu źródłem zwiększającem gorycz Boleści Maryi, była dokładna wiedza tego, że Jej własne cierpienia nietylko przydawały cierpień Jezusowi, lecz z całej Męki Jego były dla Niego cierpieniem najsroższem. Ze wszystkich katuszy zadawanych Jej Synowi, nie było ani jednej, której przeniesienie na Siebie, a przez to uwolnienie go od takowej, nie poczytałaby była za największe szczęście, za które oddałaby była nietylko życie, lecz całą wieczność szczęścia, które Ją czekało. A obok tego, wiedziała z największą pewnością, że Jej własne Boleści, stawały się dla Jezusa okrutniejszemi od najzawziętszych Jego katów. Stłumić zaś te Boleści, albo je ukryć było dla Niej niepodobieństwem. Im z większym bowiem spokojem wewnętrznym, im z większym poddaniem się woli Boga je znosiła, tem droższą stawała się Jezusowi, tem silniejsze rozbudzała w Nim z cierpieniami Swojemi współczucie, a przez to tem większe zadawała Mu męki. Ukryć też ich przed Jego Boskiemi oczyma czyż mogła? Jej postawa spokojna, wyraz Jej twarzy niezmieniony, Jej oczy bez łez, Jej piersi bez łkania, mogły w błąd wprowadzić ludzi, lecz nie Boskiego Jej Syna.

Boleść więc Maryi spowodowana przekonaniem, że właśnie Jej to Boleści ze wszystkich doznawanych przez

*) Rzym. 11. 33.

Jezusa cierpień, zadawały Mu cierpienia największe, — była jakby bez granic. Było to bowiem przeniesienie Jej własnych cierpień na Jezusa, a cierpień zwiększonych tem przekonaniem, że niemi zadaje Mu najcięższą mękę, z niemożnością odwrócenia mieczów, które w Jej serce przez to właśnie, najsrożej się wtłaczały.

Odrębnem także źródłem, czyli powodem Boleści Maryi pod krzyżem, była niemożność przyniesienia chociażby najmniejszej ulgi w cierpieniach doznawanych przez Syna, w Jej oczach, na tem okrutnem rusztowaniu, wśród najsroższych mąk konającego.

Widzi jak sącząca się z pod cierniowej korony krew przenajdroższa, zalewa oczy Jezusa, a nie może zbliżyć się do Niego, żeby otrzeć oczy Tego, który ociera łzy ze wszystkich oczów. Widzi usta Jego spalone od pragnienia, a nie może ani kroplą, chociażby łez Swoich, ochłodzić je i zwilgocić. Widzi jak głowa Jego skłuta cierniami, nie ma innego oparcia jak też ciernie właśnie zewsząd ją okalające, — a nie może pod tę głowę, która tyle razy w niemowlęctwie na dziewiczych Jej piersiach spoczywała, podłożyć macierzyńskie dłonie, żeby na nich chociaż na chwilkę ulgi jakiej doznała. Słyszy, jak z duszy Jezusa, gdy spodobało się Mu pogrążyć Ją w ostatnich już głębiach udręczeń wewnętrznych, wydobywa się to wołanie: *Boże! Boże! czemuś Mnie opuścił**), a czuje, że znowu to, że Ona Go nie opuściła, nie odstąpiła, przydaje Mu najsroższej męki, a przecież odejść stamtąd czyż może? O! Matko najboleśniejsza, ta niemożność przyniesienia ulgi Synowi w Jego katuszach, jakże srogą zadawała Ci mękę!

---

*) Mat. 27. 46.

Było też dla Niej innym znowu źródłem odrębnego znowu cierpienia, to, że na całą Mękę Pana Jezusa patrzała, że była przy niej obecną. Z objawień bowiem, mianych przez wielu Świętych, dowiadujemy się, że chociaż Przenajświętsza Panna nie znajdowała się w Ogrojcu, podczas krwawej tam modlitwy Zbawiciela, w duchu jednakże dano Jej było widzieć, jakie wtedy męki wewnętrzne przebywał Syn Jej, wskutek czego i Sama zapadła jakby w konanie. Biczowaniu zaś Pana Naszego, okazywaniu Go ludowi przez Piłata z koroną cierniową na skroniach i przybranego w łachman purpurowy, według najdawniejszego podania, była obecną. Skoro zaś krzyż włożono Mu na barki, szła już za Nim nieodstępnie i stała pod krzyżem aż do Jego skonania. Prócz tego, wielu poważnych dawnych pisarzy kościelnych utrzymuje, że chociaż nie mogła wejść do mieszkań Annasza i Kaifasza, gdy przed nimi stawiono Jezusa, znajdowała się tam jednakże tak blisko, że uszu Jej dochodziły obelgi miotane na Niego przez oną noc straszną, w której trzymany był w piwnicy, i że nawet słyszała łoskot uderzeń, jakich się na Boską Osobę Jego dopuszczono wtedy.

Obecność więc Maryi przy całej Męce Jezusowej zadawała Jej macierzyńskiemu sercu taką Boleść, że żadna inna Matka przenieśćby jej nie była w sile, i alboby się od takiego widoku uchylić musiała, alboby od niego umarła. Jeżeli przeto w czem, to właśnie w tej ciągłej obecności przy Jezusie, przez ciąg Jego chwil ostatnich, — objawia się cudowna moc, którą Pan Bóg utrzymywał Ją przy życiu, pomimo cierpień, któreby Ją tysiąc razy o śmierć przyprawić powinny były.

Dla każdej innej matki właściwiej byłoby w podobnym razie nie patrzeć na męki dziecka, lecz gdzieś

w cichem ustroniu, w Bogu, przez modlitwę szukać pociechy i wsparcia. Ale rzecz miała się inaczej co do Maryi. Jezus będąc Jej Synem, był i Jej Bogiem, żeby więc w Bogu szukać siły do zniesienia cierpień, które Ją ogarniały, trzeba Jej było nie odstępować Boga, chociaż jako Jej Syna tak okrutnie męczonego i zamordowywanego. A tymczasem zbliżanie się wtedy do Boga, nieodstępowanie Jezusa było dla Niej nie ulgą, lecz właśnie powodem i źródłem najsroższej Boleści. Dla Niej uciekanie się do Boga, jednoczenie się z Nim jak najściślejsze, nie stawało się pociechą, jak tem jest dla każdej duszy strapionej, — lecz wprost przeciwnie wtłaczało najokrutniej miecze Boleści w Jej Serce.

Tak tedy Przenajświętsza Matka, patrzała jak w biczowaniu sieczono Boskie ciało, w dziewiczym żywocie Jej poczęte przez Nią na świat wydane i przez całe niemowlęctwo z taką pieczołowitością wypielęgnowane. Widziała jak odrywane przez bicie kawałki tego przenajświętszego ciała spadały pod nogi biczowników, brodzących we krwi Jezusa, po słupie kamiennym, u którego był uwiązany, spływającej na ziemię. Potem słyszała naigrywania się z Niego, przy wbijaniu laską trzcinową cierni w głowę Jego. Następnie widziała Go tak skatowanego i z tąż koroną na skroniach, przedstawionego rozjuszonemu motłochowi, i słyszała jak lud domaga się Jego śmierci, przekładając nad Niego Barrabasza. W ciągu całej Drogi krzyżowej, szła ślad w ślad za Nim, a co się z Nią dziać musiało, gdy nie raz nie mogła uniknąć, żeby Jej macierzyńskie stopy nie deptały krwi Jej Syna i Jej Boga! A na Kalwaryi cóż Ją czekało? Oswoiliśmy się z tem, że patrzała tam na barbarzyńskie przybijanie do krzyża Jezusa, na podniesienie Go z tem okrutnem rusztowaniem, gdy

Go już na nim rozpięli, na Jego trzygodzinne wśród najstraszniejszych cierpień zewnętrznych i wewnętrznych konanie, i nareszcie na Jego oddanie ducha. Oswoiliśmy się z tem mówię, i dla tego słabe to na nas wywiera wrażenie. A jednakże ta obecność Maryi, chociażby tylko na samej Kalwaryi, musiała być dla Niej takiem męczeństwem, jakiego ani pojąć, ani wyobrazić sobie, ani ocenić, nigdy nie potrafimy.

Wprawdzie, obdarzona wiedzą prorocką od chwili zapowiedzianego Jej przez Symeona miecza boleści, Panna Przenajświętsza przewidywała to wszystko jak najdokładniej, i to stanowiło mękę całego Jej błogosławionego życia. Lecz któż z nas nie wie, jak wielka różnica zachodzi pomiędzy tem, czego się doznaje pod wpływem samego tylko przewidywania nieszczęścia, a uciskami, smutkami i goryczą, gdy się już ono na nas zwaliło. Urzeczywistnienie się najdokładniej przewidzianego ciosu, przynosi ze sobą tysiące szczegółów zupełnie niespodziewanych, a przewidziane nabierają siły i potęgi, jakiej dotąd nie miały.

Święty Ksawery Apostoł Indyan, pisał stamtąd do świętego Ignacego swego przełożonego: „O! jak wielka zachodzi różnica, pomiędzy wyobrażeniem sobie trudów i niebezpieczeństw, na jakie się wystawionym bywa wśród niewiernych, gdy się im przynosi Ewangelię — a temiż trudami i niebezpieczeństwami, gdy się już na nie jest narażonym.“ Można powiedzieć, że pomiędzy nieszczęściem już nas całem swojem brzemieniem, całą swoją rzeczywistością przygniatającem, a jego tylko, chociażby najdokładniejszem, przewidywaniem, taka zachodzi różnica, jak pomiędzy jakimś przedmiotem o jaskrawych barwach, a mdłym cieniem jego zarysowującym się od niego na ścianie obok której stoi.

To więc, że Przenajświętsza Panna jak najdokładniej przewidywała całą Mękę Syna, nie odejmowała wcale niewymownej goryczy, jaka zalała Jej Serce, gdy na nią patrzeć musiała.

Znachodzimy także inne jeszcze źródło Boleści Maryi w Jej rozpoznawaniu grzechu i ocenianiu jego jakby nieograniczonej złości, a rozpoznawaniu i ocenianiu tego tak jasnem i dokładnem, jak tego żaden umysł ludzki, ani nawet anielski zdolnym być nie może. Nie masz wątpliwości, że Zbawiciel jak obdarzył duszę Swojej Przenajświętszej Matki przywilejem nie grzeszenia *(impecabilitas)* tak podobnież przypuścił Ją do uczestniczenia w jak największej mierze w Jego własnej Boskiej wiedzy co do złości grzechu, a stąd do brzydzenia się nim i świętej a jak największej jego nienawiści.

Owoż, wiemy i o tem, że poczucie złości grzechu jakiego dopuszczali się ludzie zadając męki swemu Zbawicielowi, sroższe zadawało Mu cierpienia, aniżeli wszystkie te męki i chociażby milion razy większe. Widok to, przewidzenie to grzechów ludzkich, których straszne pasmo najdroższy Pan nasz roztoczył był przed Swoją wszechwiedzą w Ogrojcu, zadało Mu te pojęcie nasze przechodzące mękę duszy, skutkiem której krwawy pot wystąpił na Boskie ciało Jego. Brzemię to grzechów, które przyjął na Siebie, trzy razy obalało Go na ziemię podczas modlitwy w Getsemani, w której aż Anioł zesłany z nieba musiał podtrzymywać Jego już od tego cierpienia konające człowieczeństwo. Jakież więc podobnież męki zadawać musiało i Maryi toż rozpoznawanie grzechu i ocenienie jego złości, którem obdarzona była w najwyższym po Jezusie stopniu! Ale czem to być musiało najbardziej wtedy, gdy już

nie tak jak Jezus w Ogrojcu, który tylko przewidywał grzechy ludzkie, lecz gdy patrzała na ich dokonywanie, a dokonywanie, w którem przepełniała się już miara wszelkich złości ludzkich, bo dopuszczali się oni męczenia Boga i Zbawcy Swego, pastwienia się nad Nim najokrutniejszego, i zamordowywanie Go w sposób za najhaniebniejszy uchodzący.

Piszą, że gdy razu pewnego, święta Katarzyna Seneńska miała okazaną sobie w objawieniu, całą szpetność i złość grzechu tylko powszedniego, omdlała od bolesnego wrażenia, jakiego stąd doznała. Jakichże mąk doznawać musiała Marya, gdy w Jej oczach, nie już grzech powszedni, lecz ze śmiertelnych najcięższe jakie sobie wyobrazić możemy dopełniały się grzechy, a to na Osobie Jej Syna i Boga!

Nikt tak jak Ona, nie rozpoznawał i nie oceniał najwyższej niewinności Tego, na którego spadała kara za wszystkie winy ludzkie. Nikt lepiej od Niej nie pojmował nie mającej niejako granic niewdzięczności tychże ludzi, mękami i śmiercią Mu zadanemi, wypłacających się Jego nieograniczonej miłości. Nikogo większą grozą nie przejmowało to, czego dopuszczano się na Panu Jezusie, od nocy Wielkoczwartkowej aż do wieczoru dnia następnego. A gdy obraz tego wszystkiego przedstawił się Jej myśli, w całej swojej ohydzie, gdy patrzała nań z najdoskonalszem jakie tylko być mogło ocenieniem całej złości grzechu wtedy dokonywającego się, — o! cóż to za osobne, odrębne było źródło Jej cierpień, jakże to okrutnie zaostrzało miecze Jej boleści, jak srodze zaogniało, zadane nimi rany Jej Sercu! Ona w każdem narzędziu Męki Pańskiej, widziała nietylko to co przez nie zadawało cier-

pienie ciału Jezusowemu, lecz widziała i złość ludzką tych narzędzi na to używających, a przez to nierównie cięższe zadających cierpienia Jego duszy. A tak i w każdej z Jej Boleści były dwa rodzaje cierpienia: jedno ze współczucia z cierpieniami Jezusa zewnętrznemi, drugie a nierównie dotkliwsze, ze współubolewania z Jego cierpieniami wewnętrznemi, pochodzącemi od niewymownego zasmucenia, jakiego doznawał z powodu złości grzechów ludzkich.

Niepodobieństwem jest określić co w Męce Pańskiej było jakby górującym punktem, co w Niej najdotkliwsze zadawało Mu katusze. Narzędzia Męki Pańskiej nie wszystkie były materyalne, albowiem katowały Go i bicze, i ciernie, i gwoździe, i młotki, i krzyże, i dzidy niewidzialne. A tem były cierpienia Jezusowe wewnętrzne, moralne. I jakkolwiek począwszy od zdrady Judaszowej, od ucisków wewnętrznych, smutków i trwogi, którą dopuścił na Siebie Pan nasz najdroższy w Ogrojcu, a następnie od boleści jaką zadało sercu Jego zaparcie się Piotra — aż do opuszczenia Go przez Ojca przedwiecznego na krzyżu, które wywołało z konających ust Jego najboleśniejsze westchnienie jakie kiedy wyszło z ust czyich na tej ziemi — w całym tym szeregu cierpień wewnętrznych, moralnych, trudno określić które z nich było najdotkliwszem, które największą goryczą zalało było Jego Boskie serce. Jednakże wątpliwości nie podpada, że jednem z najdotkliwszych wewnętrznych cierpień Pana Jezusa, musiał być widok niewdzięczności ludzi, której tak straszne miał dowody w ciągu Męki Swojej, i że po niej takie mnóstwo dusz temiż mękami okupionych, dopuści się tegoż na przyszłość aż do końca świata. I to

stanowiło odrębne źródło Boleści Maryi. Gdy bowiem Marya wszystkie cierpienia Syna podzielała najzupełniej, więc i ten widok niewdzięczności ludzkiej był i dla Niej źródłem niewymownej Boleści.

I Ona więc widziała i przewidywała, jak odpłacą się ludzie Bogu i Zbawcy swojemu, za przyjście Jego na świat dla wykupienia ich z niewoli szatańskiej w którą dobrowolnie podpadli. Przed oczyma Jej myśli roztaczało się całe, jakby nieprzerwane pasmo, najrozmaitszego rodzaju i stopnia zbrodni cięższych lub mniej ciężkich, których nie przestaną się dopuszczać ludzie, nawet po dokonanej sprawie zbawienia, tyle ich Boga i Stwórcę kosztującej. Przewidywała nietylko grzechy śmiertelne lecz i powszednie, jak zjadliwe robactwo toczące dusze skądinąd niewinne. Patrzała na grzechy nietylko uczynkowe, lecz i grzechy opuszczenia, tak łatwo chociaż nieznacznie, ciężką winę stanowiące. Widziała wreszcie i to mnóstwo dusz wybranych, poddających się oziębłości, gnuśnie odpowiadających wyjątkowym łaskom im udzielanym i wiele z nich nawet z tegoż powodu gubiących się na wieki. I w końcu, ogarniając wzrokiem Swoim najodleglejszą przyszłość świata, widziała na nim, pomimo wszystkich środków uświątobliwienia się pozostawionych ludziom przez Jej Syna, w każdych czasach tak mało Świętych, że ich tam zaledwie dopatrzyć mogła.

A gdy tak niezmiernie smutną przedstawiała się Jej przyszłość, czyż teraźniejszość, czy to co pod tymże względem działo się wtedy w około Niej, było powodem jakiej dla zbolałego Jej serca pociechy? Gdzież jest Piotr, którego Pan Jezus uczynił *Opoką* Swego Kościoła i który Go zapewnił, że gdyby Go wszyscy

opuścili, on Go nie odstąpi nigdy? Gdzież brat jego Andrzej, który później miał stać się najwyższym wzorem wszystkich miłośników krzyża? Gdzież Jakób, w którego Dyecezyi Mistrza jego krzyżowano? Gdzie wszyscy inni, prócz jednego Jana, Apostołowie, ci najpierwsi wybrańcy Jezusowi? Gdzie tylu innych uczniów Pańskich, i gdzie ci którzy uznali Go już byli Mesyaszem i naukę Jego przyjęli? Żadnego z tych nie widzi przy krzyżu, nie widzi przy sobie, a cóż to dla Jej serca podwójnie macierzyńskiego za ciężka boleść? bo boleść z tego, że zasmucają Jezusa swoją nieobecnością, i boleść że własnym duszom taką szkodę przynoszą, i wreszcie boleść na myśl, że czemże będą inne dusze wybrane w przyszłości, gdy te takiemi się okazują!

Wprawdzie, stała tam obok Niej Magdalena, najwierniejsza z uczenic Jezusowych; nie odstępował Boskiego Mistrza Swojego najulubieńszy z uczniów Jego; było tam i kilka innych pobożnych a nieustraszonych niewiast. Lecz niestety! czyż takie tylko miały być owoce Męki i śmierci Syna Bożego? Czyż tak mała tylko garstka dusz, będzie korzystać z Jego nieograniczonych zasług?

Ale może przewidywać mogła że w przyszłości będzie już inaczej; że już wszyscy ludzie okupieni krwią Baranka Bożego, nietylko dostępować będą zbawienia, ale każdy z nich zostanie Świętym już za pobytu swego tu na ziemi, a po śmierci prosto do nieba, nabytego mu tak ciężkiemi Mękami Zbawiciela, dostawać się będzie bez zatrzymywania się w ogniach czyścowych. Ale gdzież tam! przenikliwe przewidywanie przyszłości całego zgromadzenia wiernych, po wszystkie czasy, nie takiem się wtedy, oczom Matki najboleśniejszej przedstawia. W żywych nawet członkach Ko-

ścioła Swego Syna, pomiędzy wiernymi nawet, widzi w przyszłości i po wszystkie czasy niezliczoną liczbę chrześcijan obojętnych i oziębłych, ciągle wahających się pomiędzy służeniem Bogu a służeniem światu, nikczemnie ulegających względom ludzkim w najważniejszych swoich obowiązkach religijnych; odkładających całkowite oddanie się Bogu na stare lata, a znowu doczekawszy podeszłego wieku, zwlekających to do ostatecznej godziny śmierci. A wiedząc najdoskonalej o jak ciężki smutek przyprawiało to wszystko konające serce Jezusa, widząc że zadaje Mu to męki większe od tych któremi Go krzyż katuje, czuje i własne serce tego rodzaju mieczami na wskróś przeszywane.

A cóż dopiero powiedzieć, o przewidywaniu przez Maryę ogromnej liczby tych dusz, które miały się potępić. Ona rozumiała dobrze jakiej jest ceny chociażby najmniejsza cząsteczka jednej tylko kropli krwi Jezusowej, a wiedziała że wylał On Ją za zbawienie ludzi co do ostatniej. Widziała Ją gdy się lała strugami z Boskiego ciała Jego podczas biczowania; widziała ile jej wypłynęło z pod korony cierniowej; Ona w tej krwi przenajdroższej niejako broczyła, zdążając na Kalwaryę za Jezusem, po drodze którą nią zlał był idący przed Nią. Tej krwi przenajświętszej spadła nie jedna kropla na Jej macierzyńskie ręce, gdy krzyż Syna obejmowała; zaczerwieniła Jej odzienie, gdy ciało Pańskie zdjęte z krzyża na Jej dziewiczem łonie spoczęło. Wierzyła najmocniej, że gdyby było tysiąc innych światów i jeszcze grzeszniejszych od naszego, — jedna kropla tej krwi wystarczyłaby do ich odkupienia. Gdyby więc jedynie jedna tylko dusza ludzka, taką ceną nabyta zatracała się na wieki, cóżby to już za

straszna boleść była dla Maryi. A tymczasem Ona przewidywała, że ich tyle i tyle, pomimo takich zasług Zbawiciela iść będzie na potępienie! I to więc było odrębnem źródłem Jej Boleści, w której oba Jej macierzyństwa i Boskie i ludzkie, niewymowne katusze Jej zadawały. Jako Matka Zbawiciela bolała nad nim że pomimo takich Jego zasług tak wielkie mnóstwo dusz korzystać z nich nie zechce; jako Matka wszystkich ludzi, bo się Nią pod krzyżem właśnie stała, — bolała niewymownemi cierpieniami nad wieczną zatratą tylu Jej dzieci.

Takiejto więc rozmaitości, były źródła Boleści Maryi, a pod niemi wrzało źródło główne, każde z nich ożywiające, to jest to co każdą Boleść Przenajświętszej Matki podnosiło do wszelkiej możliwej potęgi, do najwyższego jaki tylko mógł być stopnia. Tem zaś była Boskość Jezusa, było to że Ten, którego cierpienia były powodem cierpień Maryi, był nietylko Jej Synem, ale był i Bogiem. Nikt z istot stworzonych, nikt nietylko z ludzi ale ani z pomiędzy najwyższych, duchów niebieskich, nie posiadał tak dokładnego pojęcia czem jest Bóg, co się Mu od stworzenia każdego należy i czem On był gdy z niepojętej miłości ku ludziom stał się człowiekiem, wszystkie nędze nasze prócz grzechu przyjmując na Siebie. Nikomu tak jak Jej nie dano było, żyjąc z Jezusem w najściślejszym stosunku Matki do Syna, poznać Go bliżej, zjednoczyć się z Nim i wpatrzeć się w Jego doskonałości jako Boga-Człowieka. To więc najwyższe jakie być może *znanie* Syna Bożego, potęgowało do najwyższego stopnia boleści Maryi, i wszystkim powyższym źródłom Jej cierpień niewymownych, nadawało odrębną i właściwą im tylko

siłę. Zamieniało to Jej boleści na *morze* goryczy, w którem do ostatnich głębin zstąpiła była, według wyrażenia samego Ducha Świętego, przez usta Proroka mówiącego: *Wielkiem jest jako morze zasmucenie Twoje, któż Cię zleczy?* *).

IV.

Odrębne cechy Boleści Przenajświętszej Panny.

Odrębne cechy Boleści Maryi, nadające im właściwe znaczenie, są w ścisłym związku ze źródłami czyli powodami Jej cierpień, które dopiero co rozważyliśmy. Chociaż uwyraźnią się one w dalszych naszych nad tym przedmiotem rozmyślaniach, gdy zastanawiać się będziemy nad każdą z Boleści Przenajświętszej Panny w szczególności, potrzeba wszelako przypatrzeć się im w ogólnym zarysie, aby zrobić sobie właściwe wyobrażenie o męczeństwie Maryi w jego całości. Posłuży nam to do lepszego zrozumienia różnych szczegółów tych tajemnic z życia Przenajdroższej naszej Matki niebieskiej, gdy do nich przyjdziemy.

Pierwszą tedy odrębną cechą Boleści Maryi było to, że trwały one przez całe Jej życie, albo mało co mniej. Powszechnem pomiędzy pisarzami kościelnymi mniemaniem jest, że Przenajświętsza Panna do chwili Wcielenia, nie wiedziała że miała stać się Matką Boga. Być przeto może że do tej pory, chociaż obdarzona duchem prorockim, przewidywała że czekają Ją w życiu bardzo ciężkie cierpienia, wymagające po Niej nadzwyczajnej bohaterskiej cierpliwości, szczegóły wszelako

*) Treny 2. 13.

mających spotkać Ją Boleści, nie mogły dość jasno przedstawiać się Jej już wtedy. Lecz gdy poczęła nosić w dziewiczem łonie Swojem Słowo odwieczne wcielone, wielka zmiana zajść w Niej musiała. Zjednoczoną wtedy została z Bogiem w sposób tak szczególny, tak ścisły, tak określić się nie dający; posiadała pojęcie tak głębokie i właściwe o tajemnicy Wcielenia, takie światło rozchodziło się dla Niej na najtrudniejsze dla nas ustępy proroctw biblijnych tyczących się przyjścia Mesyasza — że nie sposób wątpić, żeby Męka Pana naszego nie przedstawiała się Jej mniej lub więcej wyraźnie, z trzydziestu trzema latami Jego ubóstwa, trudów, poniżeń, prześladowań od ludzi i żeby nie przewidziała była przed czasem, przynajmniej w głównych ich zarysach, i Swoich własnych boleści.

I to jest co najmniej o tem powiedzieć można, opierając się na zdaniu wielu najpoważniejszych i świętych pisarzy. Lecz co do nas, podzielamy zdanie tych, a również znakomitych i świątobliwych autorów, którzy nie zgadzają się na to żeby początek Boleści Maryi upatrywać dopiero w chwili proroctwa Symeona. Nie masz wątpliwości, że w owej chwili spodobało się Bogu przedstawić Jej oczom w sposób bardziej wyraźny całkowity obraz bolesnej przyszłości jaka Ją czekała, i że wtedy rozjaśnił przed Nią to widzenie w jaskrawszych już barwach. Że z rozporządzenia Boskiego, słowa Symeona musiały wywrzeć na Matkę Bożą jak największe wrażenie i wprowadzić Jej błogosławioną duszę jakby w nowy stan, wywołany tak wyraźnem a bolesnem proroctwem, wątpliwości nie ma. Lecz byłoby to czemś uwłaczającem czci jaka się należy darom udzielonym Jej od chwili wcielenia się w Jej łonie Syna Bożego, przypuszczać że w ciągu dziewięcio-

miesięcznego Jej zjednoczenia ze słowem odwiecznem, nie przewidywała już wyraźniej jak przedtem Swego powołania, Swego przeznaczenia do wyjątkowo ciężkich cierpień; żeby nic została przypuszczoną do dokładniejszego poznania sposobu w jaki ma się dopełnić sprawa odkupienia ludzi, i żeby nie miała pewności że i Sama napawać się będzie i to w jak największej mierze, z kielicha goryczy Swego Syna. W każdym razie, od chwili przepowiedni Symeona, jeśli nie od chwili Wcielenia, cierpienia Maryi nie ustawały już aż do końca Jej życia. Jak wszystkie cierpienia Jezusa stały Mu na myśli przez całe życie Jego: *boleść moja przed obliczem Mojem zawżdy,* *) tak i Boleści Maryi od owej pory zaofiarowania Go właśnie na nie w Świątyni, nie schodziły już z Jej oczów. Nie znała Ona tych chwilowych wytchnień, dozwolonych nam zwykle w najsmutniejszych kolejach życia. Cała Jej przyszłość roztaczała się przed Nią jakby pokryta kirem najboleśniejszych ciosów.

Najsmutniejsze koleje życia ludzkiego mają swoje przerwy, i w tych przerwach niezbędnej nam ulgi doznajemy. Kleszcze najsroższych strapień ściskających serce nasze, zwykle folgują od czasu do czasu, i dozwalają nam odetchnąć nieco swobodniej. W życiu najbardziej zachmurzonem smutnemi przejściami, bywają godziny a nawet i dnie całe pogodne i słoneczne. Nieszczęście które niekiedy dotyka człowieka ledwie że nie przez całe jego życie, w pewnych czasach wydaje się jakby ustało na siłach, i jakby wyrzekało się swojej zdobyczy, nad którą długo się pastwiło. Lecz dla Maryi, cierpienie było jakby z najtwardszego żelaza obrę-

*) Psalm 37. 18.

czą, w którą być miało okute całe Jej życie. Nie było dla Niej najmniejszej folgi, nie miała ani chwili wytchnienia; w Jej Boleściach nie było nigdy przerwy, nigdy w ich napływie zastoju. Boleść związana była jak najściślej z całem Jej życiem, i dopiero koniec tego życia mógł Ją wyswobodzić od tego nierozerwalnego związku.

Męka Pańska nie była tylko smutnem zakończeniem życia przedtem od wszelkich trosk wolnego, ani pochmurnem zajściem słońca po dniu w którym chociaż chwilami przyświecało ono swym blaskiem. Nie była bolesnym i niespodzianym wyjątkiem po trzydziestu trzech latach, wśród zwykłych kolei ludzkich przebytych. Był to koniec odpowiadający swemu początkowi, byłato cząstka ściśle związana z całością do której należała, było to właściwe zakończenie się życia wśród ciągłych cierpień spędzonego.

Toż samo i co do Boleści Maryi. Nie stanowiły one wyjątkowych i przemijających zdarzeń Jej przejścia po tej ziemi; nie były czemś nie odpowiadającem całej Jej przeszłości. Boleść była nieodstępną towarzyszką Jej życia, tylko w pewnych porach, a zwłaszcza w ostatnich chwilach pobytu Jej Boskiego Syna między ludźmi, dochodząca do najwyższego możliwego dla istoty stworzonej stopnia. W rozważaniu też tych tajemnic nigdy z pamięci tracić nie powinniśmy tego, że całe życie Maryi było poddane, a to w stopniu wyjątkowo wysokim, prawu cierpienia, prawu które ogarnąć musiało całą istotę Tej, która była Matką: *Męża Boleści;**) bo tak nazywa Pana Jezusa Pismo święte.

Lecz Boleści Przenajświętszej Panny nietylko trwały przez całe Jej życie, ale prócz tego, wzmagały

*) Izaj. 53. 3.

się ciągle. Im zwyklejszem stawało się dla Niej ich przewidywanie, tem srożej Ją one dotykały, tem okropniejszemi się przedstawiały. Co jednak nie sprzeciwiało się, nie przeszkadzało temu, że je Ona zawsze w całej ich rzeczywistości znała i oceniała. Albowiem im więcej się w nich zatapiała, im dłużej je rozpamiętywała, tem się one straszniejszemi, cięższemi i okrutniejszemi przedstawiać musiały. Tak jak tego, chociaż w stopniu bez żadnego porównania niższym, doświadczamy i na nas samych. Im częściej im pilniej i serdeczniej rozpamiętywujemy czy to Mękę Pańską, czy Boleści Maryi, tem żywiej się niemi przejmujemy i coraz większego nabywamy światła do oceniania ich niezmierności. Jakże więc Boleści Maryi ciągle wzmagać się musiały Jej ciągłą pamięcią na oczekującą Jej Boskiego Syna Mękę, Jej bezustannem rozmyślaniem wszystkich tych tajemnic, które miała sobie przed czasem objawione! Jeśli my im dłużej, i pobożniej zgłębiamy Mękę Pańską, tem bardziej święcie Nią wzruszeni bywamy, czemże takowe bezustanne mienie tego na pamięci musiało być dla Matki Bożej, z której pojęciem tego wszystkiego i rozpamiętywaniem, żadne ani ludzkie, ani samych Serafinów pojęcie i rozmyślanie w porównanie iść nie może.

Czytamy w żywocie świętej Magdaleny de Pacis, że jej siostry zakonne, musiały kryć przed nią obrazy Męki Pańskiej, gdyż na widok ich wpadała w omdlenie, z którego trudno ją było wywieść. Czegóż doznawać musiała Przenajświętsza Matka, najżywszy obraz Męki Syna ciągle przed oczyma mająca!

Wreszcie im bardziej zbliżało się ostateczne spełnienie się tajemnic odkupienia, tem się one okropniej-

szemi przedstawiały Maryi; im ciemniejszym stawał się cień przez nie rzucany, tem Ją bardziej przerażał. Gdy pierwsze wichry tej nawałnicy zaczęły kołysać Jej sercem, przycisnęła doń Jezusa. Wydał się Jej piękniejszym jak kiedy, lecz nie było nadziei żeby i Jego a przez to i Siebie od tego co Ich czekało uchronić. Może boleści bezbrzeżne i bez przystani otaczało Ją zewsząd. Nie wiedziała i nie miała innego schronienia i innej ucieczki, jak tenże bezdenny ocean: taką była wola Boga. A przez czas ten Jezus stawał się codzień piękniejszym, coraz to żywszą w sercu Matki rozbudzającym miłość. Już pierwsze lat dwanaście, spędzone z Nim w Nazarecie, miłość tę podniosły były do stopnia który wyobrazić sobie żaden ludzki umysł nie jest w stanie. Potem nadeszło lat ośmnaście cichego, ukrytego życia Jezusa w tejże błogosławionej mieścinie, w ciągu których każde słowo Jego, każde spojrzenie, każdy akt uległości matce, każdy objaw Jego ku Niej poszanowania i przywiązania, były to tajemnice Boskie, tęż miłość w sercu Maryi coraz to potęgujące, tak że Marya żyła już nie w Sobie lecz całkiem w Jezusie całe Jej życie przeszło było w życie Jezusa. Następnie nadeszły trzy lata życia apostolskiego Pana naszego, a wtedy jakimże się On przedstawiał oczom Matki? Ileżtu znowu powodów do jakby nowej ku niemu miłości, na jaką tylko serce Maryi, zdolne miłości przewyższającej miłość wszystkich Serafinów, zdobyć się mogło!

W miarę zaś jak coraz bardziej objawiała się Boska piękność Jezusa, a jak przez to wzrastała w sercu Maryi miłość ku Niemu, tak w równymże stopniu wzmagać się musiały i Jej przewidziane przez Nią Boleści. Te bowiem trzy rzeczy: świętość i piękność Je-

zusa, miłość ku Niemu Matki i Jej Boleści były w nierozerwanym ze sobą związku. A stąd każda chwila, każdy czyn Zbawiciela, każda pociecha macierzyńskiego serca Maryi, patrzącego na to co dokonywa Boski Syn Jej spełniając Boskie posłannictwo Swoje na ziemi wszystko to wzmagało coraz gwałtowniej Jej Boleści i już przed ich doznawaniem w rzeczywistości zadawało Jej męki coraz to cięższe.

Jestto także jedną z odrębnych cech Boleści Maryi, że były to cierpienia nie ciała lecz duszy, cierpienia nietyle fizyczne ile moralne. Nie żeby i ciało Jej było wolne od nich, gdyż chociaż były to cierpienia tylko wewnętrzne, tak jednak były gwałtowne, tak wyjątkowo ciężkie, że musiały oddziaływać i na cały Jej organizm. Dobrze zaś wiemy z własnego doświadczenia, że cierpienia fizyczne niełatwe są do przeniesienia, a gdy dochodzą do pewnego stopnia, są do niewytrzymania. I wtedy następuje po nich omdlenie, albo odejście od zmysłów a niekiedy i śmierć. Nikt więc z rozsądnych ludzi, cierpień tego rodzaju lekceważyć sobie nie może. Jednakże któż nie przyzna, że cierpienia fizyczne mniej są dotkliwemi od cierpień moralnych, czego i to dowodem, że zbrodni samobójstwa prawie nigdy nie dopuszcza się człowiek z innych powodów, jak z cierpień wewnętrznych, cierpień moralnych.

Następnie wiemy i o tem, że większa lub mniejsza dotkliwość cierpień moralnych, zależy głównie od większej lub mniejszej w nas czułości na takowe, od większej lub mniejszej wrażliwości umysłu, wyobraźni, serca: słowem od żywszego uczucia, od delikatniejszej natury, i od bardziej rozwiniętych przymiotów moralnych. To co osobę z natury zimną, obojętną, nie-

czułą zaledwie dotknie, zaledwie jakąś przykrość jej zada, to dla osoby bardzo czułej, wrażliwej, biorącej wszystko do serca, będzie źródłem ciężkiej boleści.

Owoż, natura Przenajświętszej Panny była, po naturze Pana Jezusa, najdoskonalszą. A stąd żywość Jej uczucia, Jej wyobraźni, Jej wrażliwości, była nadzwyczajną, a odpowiedną Jej płci, w której takowe usposobienie w ogólności jest silniej-ze aniżeli w płci męskiej.

Prócz tego w wewnętrznych, moralnych cierpieniach Maryi, były i cierpienia jakby fizyczne. W męczeństwie Swej duszy przebywała niejako i męczeństwa na ciele. Całe bowiem człowieczeństwo Pana Jezusa, cała Jego natura ludzka, to jest Jego przenajświętsze ciało i Jego krew przenajdroższa, pochodziły z Maryi i z Niej tylko jednej bez udziału męża. Ciało więc Zbawiciela całe urobione, ukształtowane cudem Boskim z najczystszych kropli Jej własnej krwi, było jakby Jej własnem ciałem, w które przyoblekł się był Syn Boży. A stąd męki zadawane ciału Jezusowemu Marya odczuwała i z tego już powodu jakby Jej własnemu ciału zadawane. A tak w Jej cierpieniach wewnętrznych, moralnych, było i coś jakby z cierpień fizycznych, a wszystko to podnosiło Jej Boleści do stopnia niezrównanego i nadawało im odrębne cechy.

Wreszcie z tego że cierpienia Maryi były to cierpienia tylko wewnętrzne, tylko moralne, wynikała i ta wielka różnica jaka zachodzi pomiędzy Jej męczeństwem a męczeństwem wszystkich innych Męczenników, a różnica wykazująca także jak dalece męczeństwo Matki Bożej było większem, cięższem, sroższem od męczeństw wszystkich innych Wyznawców wiary.

Każdy bowiem z nich, chociażby najcięższe przebywał katusze na ciele, najcięższe cierpienia zewnętrzne,

wewnętrznie nietylko nic nie cierpiał, moralnych cierpień nietylko nie doznawał, lecz przeciwnie, opływał zwykle w tak nadzwyczajne wewnętrzne pociechy, że one stłumiały w nim uczucie cierpień zewnętrznych, wśród których widziano ich nietylko swobodnymi lecz pełnymi wesela i radości.

Z Przenajświętszą zaś Panną wprost przeciwnie się działo. Ona na ciele nie cierpiała, Jej niepokalanego ciała nie katowano i na krzyżu nie rozpięto, ani kropli krwi nie przelała. Lecz za to Jej cierpienia moralne, katusze Jej duszy i Jej serca, Jej męki wewnętrzne były tak straszne, tak ciężkie, tak długie i tak gwałtowne, że jak u zwykłych Męczenników, ich pociechy wewnętrzne unieczulały ich ciała na zadawane im katusze, tak tu znowu wewnętrzne męki Maryi musiały się odbić na Jej niepokalanem ciele, i zadawać Jej cierpienia zewnętrzne, fizyczne. Przypuszczać nawet można, że były one tak wielkie, że już od nich samych mogłaby była umrzeć, gdyby Ją Pan Bóg cudem ciągłym przy życiu nie zachowywał, obdarzając wyjątkową zdolnością cierpienia, wyjątkową możnością przetrwania takich jakichby nikt bez cudu przeżyć nie był w możności.

Inną znowu odrębną cechą Boleści Przenajświętszej Panny było to, że one brały swoje źródło i potęgowały się Jej najzupełniejszem jakie tylko wyobrazić sobie możemy zjednoczeniem z Jezusem. Serce Jej biło niejako w sercu Jezusa, piękno Jezusa, Jego Boskość wywodziły że się tak wyrażę, Maryę z Niej Samej i jakby przenosiły w Jezusa, tak iż Ona już nie w Sobie lecz cała w Nim żyła. Ona Jego uczuciami czuła, Jego myślami myślała, Jego smutkami się smuciła, Jego radością weseliła.

Przedziwne rzeczy piszą o zjednoczeniu świętych z Bogiem, lecz nie było nigdy zjednoczenia podobnego zjednoczeniu Jezusa z Maryą. Zjednoczenia tego, zlania się, zespojenia z niczem porównać nie można; było ono w swojem rodzaju jedynem i chyba porównać by je można, właściwą zachowując wiarę, z tajemniczem przewyższającem pojęcie ludzkie zjednoczeniem Boskich Osób Trójcy Przenajświętszej. Gdy tedy Marya żyła bardziej tem życiem Swojem w Jezusie aniżeli własnem życiem; albo dokładniej mówiąc, gdy to życie poza Nią, to życie w Jezusie było dla Maryi bardziej wewnętrznem, bardziej rzeczywiście Jej własnem życiem aniżeli Jej fizyczne życie — a więc nadawało to Jej boleściom, spowodowanym cierpieniami Jezusa, jedną z ich cech odrębnych, najbardziej uwyraźniających srogość Jej Boleści.

Są cierpienia ludzkie mające słabe, nadzwyczaj słabe podobieństwo z Boleściami Maryi. Tem jest naprzykład strapienie wdowy tracącej jedynego ukochanego syna, a to gdy tylko co do wieku męskiego przychodził i całą był nadzieją matki, całem Jej wsparciem, całą Jej pociechą i jedynem szczęściem. Ale czyż kiedy jaka matka mogła w synu swoim znachodzić to wszystko czem Jezus był dla Maryi? A więc czyż boleść jakiej matki chociażby najprzywiązańszej po stracie syna chociażby najgodniejszego matczynej miłości, może się porównać z Boleściami Maryi i po stracie Jezusa i jeszcze wprzód przy Jego Męce i okrutnej śmierci doznanemi?

Odrębną także cechą Boleści Maryi było i to, że chociaż zachodziła w nich wielka rozmaitość, to jednakże ponieważ były to cierpienia moralne, wewnę-

trzne, więc skupiały się one w jedno miejsce, zadawały męki tylko Jej sercu. A przytem nie było nic takiego coby w doznawanych przez Nią strapieniach jakowe chociażby chwilowe roztargnienie sprawiało.

Gdy barbarzyńskie narzędzia katuszy zadawanych Męczennikom, przenosiły się od jednej części ich ciała do drugiej, była w tej kolejnej przemianie niejaka ulga. A także mogliśmy i na nas samych doświadczyć, jak wzmaga się cierpienie, gdy się w jednym jakim członku ciała obsadza, a zwłaszcza gdy trwa przez czas długi. Cierpienie tego rodzaju daleko nieznośniejszem jest od cierpień przechodzących z jednego miejsca na drugie, chociażby ich napady były bardzo gwałtownemi. Umiejscowanie się bólu, już przez to samo czyni go trudniejszem do przeniesienia.

Obok zaś tego, rozmaitość Boleści Maryi była prawie nieskończoną. Obie natury Jezusa: Jego natura Boska, i Jego natura ludzka, spowodowywały niedającą się obliczyć rozmaitość w Jej cierpieniach; mnożyły bez końca ich powody nad wszelką miarę i zwiększały ich gorycz. Cierpienia zewnętrzne doznane przez Jezusa podczas męki Jego, uciski wewnętrzne jakie na Siebie dopuścił, ostateczne poniżenie któremu się poddał, wszystkie straszne szczegóły Jego śmierci najokrutniejszej, najcięższej jaka kiedy kogo spotkała, — wszystko to stanowiło bezdenną otchłań rozmaitości w Boleściach Maryi.

Z drugiej zaś strony, nie było nic takiego, coby w jakikolwiek sposób mogło było oderwać Jej myśli od tego co cierpiała i przez to chociażby chwilową niejaką ulgę Jej przynieść. Wszystkie Jej uczucia pochłonięte były Jezusem; nie było w Jej miłości żadnego podziału. Dwie miłości najświętsze i najsilniej-

sze jakie ogarnąć mogą serce najczystsze: miłość Boga i miłość macierzyńska, dla Niej miały jeden i tensam przedmiot. Nie było żadnej innej miłości któraby Jej Boleści, z tamtych miłości wypływających jeśli nie ulgę, to przynajmniej chwilowe oderwanie się od nich przynieść mogła, jak to się w zwykłych strapieniach ludzkich przydarza. Przywiązana małżonka traci na przykład męża, cała boleść owdowienia przygniata jej serce. Lecz oto pozostała z tego drogiego jej związku dziecina odzywa się w kolebce, kwili i domaga się piersi lub innych pomocy matki, i jak głos anioła, na krótką przynajmniej chwilę robi jej tak potrzebne zbolałemu sercu roztargnienie. Lecz cóż Maryę oderwać mogło od Jej Boleści, co Ją zająć chociażby na chwilę tak, aby nie była cała w Jezusie cierpiącym, lub nie tęskniła za nim straconym? Ostrze mieczów przeszywających Jej serce nigdy się nie tępiło; wtłaczanie się ich było bezustanne a coraz okrutniejsze.

Ale na tem nie koniec. Nietylko Marya nie miała innego przedmiotu miłości, innych jakich obowiązków Ją obarczających, innego jakiego upodobania któreby mogło sprawić chociażby na najkrótszą chwilkę roztargnienie w Jej nieszczęściu; lecz nawet wszystko to co z samej natury rzeczy powinno było przynieść ulgę Jej cierpieniom, służyło tylko do ich wzmagania w najwyższym stopniu. Nieograniczona dobroć Boskiego Jej Syna zaostrzała w sposób szczególny każdy z grotów przeszy- wających serce tej Przenajświętszej Matki. Świętość Jezusowa czyniła śmierć Jego tak okropną! Miłość Zbawiciela ku Maryi, miłość która była dla Niej więcej jak pociechą, bo była już tu na ziemi szczęściem niebieskiem, miłość ta najokrutniejszemi czyniła Jej

cierpienia. Gdyby Marya mniej była miłowała Jezusa, albo gdyby Jezus mniej miłował był Maryę, Boleści Jej nigdy nie byłyby doszły do tego stopnia, wszelkie ludzkie pojęcie przechodzącego. To co w każdej z Jej Boleści przechodziło wszelką miarę, było właśnie spowodowane wzajemną miłością Jezusa i Maryi.

Ale czyż Boskość Jezusa, czyż to że najdroższy Syn Jej będąc człowiekiem był razem i Bogiem, nie będzie osłodą w cierpieniach Maryi? Bo ileż to serc najsrożej strapionych, ileż dusz upadających pod ciężarem największych boleści, znachodziło w tym właśnie dogmacie naszej świętej wiary, źródło niewyczerpanych pociech, oświeceń i zachęceń do cierpliwego znoszenia chociażby największych nieszczęść! Dla iluż to tysięcy dusz, pamięć na tę prawdę naszej wiary, uciszała najgwałtowniejsze burze serca przeszytego jaką nadzwyczajną boleścią, obdarzała wewnętrznym niewymownym spokojem, kiedy zdawało się że wszystko powinno było zamącić umysł i do rozpaczy przywieść. Czyż więc pamięć na Boskość Jezusa niczem będzie dla Maryi wśród Jej Boleści, gdy taką jest pociechą dla każdej innej duszy strapionej? Niczem? o! daleko od tego! To że Marya wie o tem lepiej jak ktokolwiek inny, że Jezus jest Bogiem i że wierzy w to wiarą silniejszą od wiary wszystkich, którzy za nią życie oddali — to dla Niej niczem być nie mogło, tylko że wprost przeciwnie: jak dla wszystkich innych, jest to najwyższą pociechą, tak dla Niej będzie to nowym powodem, a najsilniejszym najcięższych właśnie cierpień. Albowiem Boskość Jezusa, to że Syn Jej był razem i Bogiem Jej, podnosiła Jej miłość macierzyńską do stopnia jakby nieograniczonego, z żadną inną chociażby najprzywiązańszej matki miłością porównać się

nie dającego. A że im silniej Marya miłowała Jezusa tem cięższemi musiały być Jej Boleści doznane z powodu tego co On cierpiał — więc właśnie Boskość to Jezusa, jako do najwyższego stopnia rozżywiającą, w Niej miłość macierzyńską, była dla Niej najśilniejszą pobudką i głównem źródłem morza goryczy zalewającego Jej serce.

Współczucie drugich w cierpieniach jakich doznajemy, przynosi nie masz wątpliwości wielką w nich ulgę, i bądź co bądź napotyka się ono dość często, nawet i na tej biednej ziemi, siedzibie zimnego samolubstwa. Lecz gdzież Marya znaleźć mogła współczucie dla Swoich Boleści? Jedna tylko była istota na świecie, która mogła Ją zrozumieć, a Ten to właśnie Swojemi cierpieniami zadawał Jej Boleść. To też raczej to Ona sama współczuła z Jego cierpieniami, aniżeli żeby w Swoich własnych cierpieniach szukać mogła była współczucia u Niego. A przecież współczucie, żeby istotną cierpiącemu przynosiło ulgę, potrzeba aby pochodziło od osoby zdolnej to jego cierpienie dokładnie ocenić, i dobrze znającej serce któremu swoją litością przynieść chce pociechę. Lecz gdy w Jezusie nie mogła Marya znachodzić pociechy współczucia, któż inny mógł tak znać Ją i oceniać Jej Boleści, żeby współczuciem w nich pokrzepić Ją na duchu? Świętego Józefa, który po Jezusie znał Ją najlepiej, który niektóre Jej Boleści podzielał i współczuciem swem łagodził, wtedy gdy one właśnie stały się najsroższemi, nie było już przy Niej, nie było na ziemi. Święty Jan będąc przypuszczony do tajemnic Serca Jezusowego, pewnie wtajemniczonym był więcej jak kto inny i w serce Maryi. Lecz podczas Jej największych cierpień i On sam

największych potrzebował pociech, i takowe nie On przynosił Matce Bolesnej, lecz sam u Niej ich szukał i Jej opieką wsparty, jeden z pomiędzy uczniów Pańskich, nie odstąpił Go pod krzyżem. Magdalena jeszcze bardziej nie mogła współczuciem z Maryą przynieść Jej ulgi, bo sama nieutulona w żalu za Boskim i ukochanym Mistrzem swoim, do Maryi się tuliła i od Niej czerpała męstwo i cierpliwość.

Kiedy więc Matka Boża, ze wszystkiemi już siedmio mieczami Swoich boleści wtłoczonemi w Jej duszę, w wieczór Wielko-Piątkowy wracała do Jerozolimy od grobu Pańskiego, — ujrzała się tak osamotnioną na ziemi, tak pozbawioną wszelkiej od ludzi pociechy, jak to żadną inną duszę, wśród najsroższych jej cierpień, nigdy nie spotkało i spotkać nie może. Świat stał się był dla Niej najsmutniejszą pustynią, na której nie było serca któreby godnie Jej cierpienia ocenić i zrozumieć mogło, a przez to współczuciem przynosić niejako w nich ulgę. Zamknąć się więc w nich musiała, a któż nie wie, jak takowe osamotnienie serca strapionego, cierpienia jego wzmaga i trudnemi do przeniesienia czyni.

Takiemi więc są odrębne cechy Boleści Maryi, odróżniające je i wynoszące ponad wszelkie tego rodzaju cierpienia ludzkie. A cóż dopiero powiedzieć o tem co stanowiło ich główną cechę, a tą była niezachwiana cierpliwość i niezachwiany wewnętrzny spokój, z jakim je przenosiła. Najdoskonalsze poddanie się woli Boga wyrażone przez Nią temi słowy wyrzeczonemi do Anioła w chwili Zwiastowania: *Oto ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa*

twego),* było od owej chwili już ciągłym stanem Jej duszy. We wszystkich Boleściach Swoich, nie wyłączając i doznanych pod Krzyżem, poddawała się Marya woli Boga jak najdoskonalej, a stąd w miarę jak wzmagały się Jej cierpienia, wzmagała się i Jej nadludzka cierpliwość. Wewnętrzny Jej spokój, wśród najstraszniejszych Boleści, podobny był do ciszy panującej w głębiach oceanu, gdy gwałtowna burza miota rozhukane fale na jego powierzchni. Stąd też zrozumieć powinniśmy, jak niewłaściwemi są wizerunki Matki Bolesnej, przedstawiające Ją albo z załamanemi rozpacznie rękami, albo omdlewającą i odchodzącą od zmysłów, albo chociażby z wyrazem na twarzy płaczliwym a więc wykrzywiającym jej nadanielskie rysy, i zacierającym ten wyraz spokoju wewnętrznego, który musiał malować się i na Jej obliczu.

Kiedy sam Duch-Święty chce nakreślić nam wizerunek Matki Bolesnej, jednego tylko używa do tego wyrazu: *Stała.* Mówiąc bowiem o obecności Przenajświętszej Panny pod krzyżem, to jest mówiąc o chwili kiedy Jej boleści do najwyższego już swego szczytu doszły były, Ewangelia święta powiada: *STAŁA pod krzyżem Jezusa Matka Jego**).* Nie powiedziano tam że płakała, nie powiedziano że od zmysłów odchodziła, nie powiedziano że omdlewała, co każdą inną matkę pewnie spotkaćby w takim razie mogło, lecz powiedziano że *Stała*. A ten jeden wyraz przez Samego Ducha-Świętego natchniony, jakże wiele oznacza! wyraża on właśnie tę stałość niezachwianą, to męstwo nadprzyrodzone, tę cierpliwość wszelkie nasze wyobrażenie przechodzącą, która Boleściom Maryi nadawała

---

*) Łuk. 1. 38. **) Jan. 19. 25.

odrębną, właściwą i główną im cechę. Ona to bowiem, ta Jej cierpliwość nadludzka, dawała Jej nadludzkie siły do zniesienia cierpień od których bez cudownej tej pomocy umrzećby musiała była. Cierpliwość Maryi była najwierniejszem odbiciem, najwierniejszem naśladowaniem cierpliwości Jezusa, i tego Jej wewnętrznego usposobienia, trzeba nam ile możności nie tracić z oczów, rozpamiętywając Jej Boleści.

V.

Jakim sposobem Przenajświętsza Panna mogła doznawać wesela wewnętrznego wśród Swoich Boleści.

Po zastanowieniu się nad głównemi cechami Boleści Przenajświętszej Panny, przejść nam wypada do szczegółu, który także należy zawsze mieć na uwadze, przy rozważaniu tych tajemnic Jej błogosławionego życia. Tem zaś jest połączenie tych Boleści z największą wewnętrzną uciechą. Przenajświętsza Panna Sama objawiła świętej Brygidzie, że Boleściom Jej towarzyszył stale potok niebiańskiego wesela. I rzeczywiście inaczej być nie mogło. Czyż bowiem byłoby to możliwem żeby dusza uchowana od najlżejszej skazy grzechu, nie doznawała bezustannie wewnętrznego wesela i stałego wewnętrznego pokoju? Pan Bóg zażywa Sam w Sobie niezachwianego i ciągłego a najwyższego szczęścia; opływa w bezustanną, w granic nie mającą pociechę, wesele i święte radości. I z tego nieprzebranego morza odwiecznego i na wieki trwać mającego szczęścia i wesela Boskiego, spływają na wszystkie istoty stworzone wszelkie pociechy i radości, jakie czy to w czasie czy w wieczności bywają ich udziałem. Grzech to tylko, grzech jedynie przerywa ten wypływ

szczęścia z łona Boga, który pragnie obdarzać niem wszystko co tylko z twórczych rąk Jego wyszło, a najbardziej człowieka, na obraz i podobieństwo Jego stworzonego.

Gdy więc w Maryi nie było ani cienia tej tamy szczęścia i wesela duszy jaką, jest grzech — przeto, pomimo Boleści najsroższych jakich doznawała, wewnątrz Jej istoty panował nietylko spokój najwyższy, lecz i spokojne niezachwiane wesele niebieskie.

Wszak sama już miłość jest źródłem największego wesela wewnętrznego, sama w sobie jest uciechą, godziwą lub niegodziwą stósownie do swego przedmiotu, lecz bądź co bądź jest szczęściem. Miłość bowiem jest odbiciem w duszy człowieka obrazu trzeciej osoby Trójcy Przenajświętszej, jak rozum jest obrazowaniem Drugiej. A że wzajemna to miłość Boga Ojca z Synem, wydająca Trzecią Osobę Trójcy Przenajświętszej, Boga Ducha-Świętego, stanowi właśnie odwieczne i najwyższe szczęście i wesele Boga, — więc i w duszy człowieka jako obrazie Boga — miłość wyradza szczęście, i napełnia ją weselem. Stąd też to silne a trafne zdanie Ojców świętych, że gdyby nieszczęsne dusze potępionych, zdobyć się mogły na akt miłości Boga, w tejże chwili, pomimo mąk piekielnych, zalałby je potok uciech niebieskich. I nawzajem gdyby w sercu najwyższego z Serafinów odezwała się jakakolwiek nienawiść, chociażby najmniejszy brak miłości, niebo przestałoby być dla niego rajem rozkoszy.

W człowieczeństwie Pana Jezusa, cierpienie ciągłe, a w końcu najcięższe jakie kiedy spotkać kogo mogło, szło zawsze w parze z Jego wewnętrznem weselem, pochodzącem z Jego ciągłej *wizyj* Boga: z tego że Jego dusza ciągle wpatrzona była w Boga. Przez to

też zażywał i tu na ziemi radości niebieskich, w jaką opływają duchy w niebie w Bogu pogrążone, pomimo że obok tego przeniósł i Swoją Mękę straszną, i śmierć najcięższą jaka kiedy była.

Otóż, w mierze sobie właściwej, działo się toż samo i z Maryą. Wprawdzie dusza Jej nie zażywała takiego widzenia Boga, jakiem cieszą się dusze już rozwiązane z ciała i z Bogiem w niebie połączone, a jakiego zażywała dusza Pana Jezusa skutkiem połączenia Jego człowieczeństwa z Bóstwem. Lecz że zjednoczenie Jej z Bogiem, przez najwyższą jaka być mogła w istocie stworzonej miłość, była tak ścisła, że najbardziej zbliżała się do zjednoczenia już dusz z Bogiem w niebie będących, więc wesele Jej wewnętrzne nie odstępowało z Jej duszy, pomimo doznanych przez Nią Boleści, i niebieskie pociechy zalewały Ją i wtedy nawet gdy te Boleści były najsroższe.

Wszakże, nietylko nie przynosiło to w Jej cierpieniach ulgi, lecz owszem i to je wzmagało. Jak bowiem wewnętrzne wesele w które opływała, pochodziło od miłości, którą Jej serce gorzało, i w miarę ciągłego wzmagania się tej miłości wzmagało się i ono, — tak podobnież i Jej Boleści, których jedynem także źródłem była Jej miłość Jezusa, wzmagać się musiały, w miarę i w stopniu w jakim wzmagała się ta miłość, a wzmagała się właśnie pociechami wewnętrznemi, które miłości Boga zawsze i koniecznie towarzyszyć muszą.

O! przecudne to zaiste i nie łatwe do pojęcia zjawisko, zespolenia się w jednem i temże samem sercu i najwyższego wesela, i najcięższych boleści! A jest to jedna z tych tajemnic życia Maryi, która najbliżej stawiała Ją, Jej Boskiego Syna, w którego człowieczeństwo toż samo się działo, chociaż z ważną różnicą

Gdy bowiem wesele niebieskie duszy Jezusa, jako obdarzonej nadprzyrodzonem ciągłem widzeniem Boga, nie wzmagało Jego cierpień, — w Maryi, z powodu wyżej tylko co wyłuszczonych powodów, Jej pociechy wewnętrzne wzmagały do najwyższego stopnia każdą z Jej Boleści.

Ale co również przedziwnem było, to to, że jak Boleści Maryi wzmagały Jej wesele wewnętrzne, tak również też Boleści, to jest ich powody, były dla Niej źródłem niewymownych niebieskich pociech i radości, albo zupełnie nowych i dotąd Jej nieznanych, albo wyższym stopniem już doświadczonych. A tak się one jedne w drugie wplatały, że rozdzielać je niepodobna. Pod pewnym względem można powiedzieć, że Boleści i radości Maryi, były jakby jedną i tąż samą rzeczą: że Jej radości były i Jej Boleściami, a Jej Boleści i Jej radościami. W każdej bowiem z Jej Boleści, zawierało się wiele powodów wesela, a takiego jakiego ani najwyższy, a więc w najwyższe szczęście opływający z Archaniołów w niebie nie posiada w sobie. Bo czyż i my sami nie doświadczamy czegoś podobnego na sobie? Gdy zatapiamy się w rozmyślaniach Męki Pańskiej, gdy na Kalwaryę myślą i sercem się przenosimy, obok boleści jakiej za łaską Boską doznajemy z współczucia z cierpieniami Jezusa, jakiejże niewymownej pociechy stają się dla nas źródłem też tajemnice, w których miłosierdzie Boskie wszelkie ludzkie pojęcie przechodzące, objawia się już w całej swojej nieograniczonej pełni, a najwyższa Sprawiedliwość Boga, z nadmiarem nieskończonym otrzymuje zadość uczynienie. Gdy więc i dla nas nawet, Męka Pańska jest powodem współubolewania z Boskim Zbawcą naszym, a razem i powodem pociechy z powyższych przyczyn, jakże tembardziej,

a jedno i drugie w stopniu najwyższym jaki tylko być może, zachodziło toż samo i z Przenajświętszą Panną.

Gdy Michał Archanioł z obliczem rozpromienionem radością z odniesionego zwycięstwa nad zbuntowanym Lucyferem, wygnał go z nieba, mniej się ucieszył z przyniesionej przez to chwały Bogu, aniżeli Marya, gdy widziała jakiej chwały przyda Ojcu przedwiecznemu po wszystkie przyszłe wieki, to wszystko co Syn Jego w tym celu przeniósł i dopuścił na Siebie. Ona, która tak jak żadna istota stworzona, oceniała całą otchłań złości grzechu ludzkiego, patrząc na zadośćuczynienie za niego więcej jak wystarczające, — pewnie radowała się z tego bardziej jak wszyscy Aniołowie i wszyscy Święci, dla których po wszystkie wieki jest to i będzie źródłem niewymownych uciech niebieskich. Ta, która lat trzydzieści żyjąc obok Jezusa, wyuczyła się od Niego pałać całem sercem o cześć Ojca przedwiecznego, nie mogła nie znaleść powodów najwyższej uciechy, w takim zadośćuczynieniu za zniewagę tej czci wyrządzoną, na jaką zdobyćby się nie mogli wszystkie miliony ludzi, jacy byli i będą, chociaż to zadośćuczynienie dokonane przez Jej najdroższego Syna, Męką Jego i śmiercią dopełnione zostało.

Zawierało się także źródło obfitego wesela wewnętrznego Matki Przenajświętszej, w pojmowaniu, a także tak dokładnem jak to nikomu innemu przystępnem być nie mogło, nieograniczonej mądrości Boga, objawiającej się jak w całym Boskim planie wielkiej sprawy odkupienia, tak i w najdrobniejszych jej szczegółach. Nie było ani jednego wypadku z życia Jej Syna, nie było ani jednej z krzywd zadanych Mu

przez niewdzięczność ludzi, ani jednego okrucieństwa którego dopuszczono się na Jego Boskiej osobie, podczas Męki i śmierci Jego na haniebnem rusztowaniu krzyżowem, — w której nie dopatrywałaby Ona całego piękna, całej dobroci i całej mądrości Ojca przedwiecznego, dopuszczającej to wszystko na Tego, który się podjął grzechy świata całego zmazać i niebo grzechem dla ludzi zamknięte otworzyć dla nich z całym nadmiarem zasług Jego granic nie mających. Boleści Maryi, powody z nich najcięższych, to jest okropne szczegóły Męki i śmierci Pana Jezusa, rozjaśniając w Jej umyśle zrozumienie jeszcze dokładniejsze tajemnicy wcielenia się Syna Bożego, przez to samo wzmagały w Jej sercu te radości, jakich powodem było przy tajemnicy Zwiastowania, Jej, stanie się Matką Odkupiciela świata.

Wielką podobnież było dla Maryi wewnętrzną uciechą, przewidywanie oczekującego wywyższenia Jezusa po Jego zmartwychwstaniu. W duchu już Ona widziała Jego człowieczeństwo na najwyższym tronie w niebie, gdzie miało po wszystkie wieki odbierać cześć równą czci Samemu Bogu należnej. W oczach Jej duszy, zaćmienie Kalwaryjskie w przedziwny sposób zlewało się z jasnością Wniebowstąpienia. Patrząc na Kalwaryi na Boskie stopy Jezusowe, z których krew sącząca się spadała na Jej liliowe dłonie macierzyńskie, w duchu widziała, jak niezadługo na górze Tabor unosić się będą w powietrze do nieba, ze swemi bliznami już uwielbionemi, podobnemi do różowych smug słońca, gdy ono w całym swoim blasku, przeszywa chmurki unoszące się na widnokręgu. A pomiędzy żołdactwem legionu germańskiego, odbywającego straż przy krzyżu, gdy do niego przybijano Jezusa, dopatrywała Aniołów

w ich niebieskiej bieli, ze drżeniem i uwielbieniem korzących się przed majestatem króla i Boga ich, na takie męki z miłości Swoich stworzeń się wydającego,

Jak gdy jaka część przedstawiającego się nam krajobrazu jest jaskrawo oświecona słońcem, a druga przeciwnie, skutkiem chmury nad nim będącej, w grubym cieniu się nam okazuje, a wtedy z takowego przeciwstawienia się, pierwsza jeszcze piękniejszą się wydaje jak ta ostatnia, — tak wszystkie okropności Męki Jezusowej, w umyśle Maryi przydawały jeszcze większej świetności Jego Bóstwu. Lecz i to wzmagało Jej Boleści.

Prócz tego Marya, jak przypuszczoną była do najściślejszego jakie tylko być mogło uczestniczenia w cierpieniach Jezusa, tak również podzielała z Nim i Jego wewnętrzne radości, których doznawał, właśnie wśród najsroższych mąk Swoich. Wtedy bowiem myśl i przekonanie, jak nieograniczone, przechodzące wszelką miarę zadośćuczynienie spotykało Boga za wyrządzoną Mu ludzką złością zniewagę, zalewało konające Serce Jezusa, temi radościami, jakie rozbudzać musiało przewidywanie ogromnej chwały Boga niemożliwej bez tego, i która nastąpić miała właśnie wskutek poniesionej męki i strasznej śmierci Syna Bożego.

Nakoniec synowskie Serce Pana naszego, radowało się radościami niewymownemi, że krwawemi zasługami Swemi, nabywa i odpłaca Ojcu przedwiecznemu wszystkie przywileje i dary, któremi wzbogacił przenajdroższą Mu Matkę. A Marya i tej Jego radości, chociaż to o Nią głównie chodziło, nie mogła nie podzielać, lecz czy ona, i jak dalece, wzmagała Jej Boleści, to już mówić nie potrzebujemy.

Dusze pobożne, że tak powiem mimo ich wiedzy, radują się z każdego działania w nich łaski, z każdego ich przyrostu. Każda nowa łaska będąc darem Ducha-Świętego, coraz ściślej jednoczącym duszę z Bogiem, napełnia ją weselem, z którego zwykle nie zdajemy sobie sprawy, zbyt wylani na zewnątrz, zbyt zaprzątnieni sprawami doczesnemi, utrudzającemi wewnętrzne skupienie, a przez to niedozwalającemi nam dokładnie rozpoznawać drogi życia wewnętrznego.

Jakżesz więc Przenajświętsza Panna, musiała radować się wspaniałemi i nadzwyczajnemi, działaniami łaski, bezustannie i najobficiej spowodowanemi właśnie Jej Boleściami! Ileż to ich tam było i jakich aktów wiary i nadziei, najdoskonalszego poddawania się woli Boga, męstwa najwytrwalszego, zamiłowania cierpień, niezachwianego ducha ofiary, czci najgłębszej Boga i jednoczenia się z Nim coraz ściślejszego! Wszystko zaś to unosiło niepokalaną duszę Maryi do coraz szczytniejszej świętości, zatapiało Ją coraz to głębiej w Bogu, a przez to, pomimo całego oceanu goryczy, zalewającego Jej serce, wyradzało w niem te święte nadziemskie, nadprzyrodzone wewnętrzne pociechy, bądź co bądź doznawane przez dusze jak najwierniej z udzielonemi jej łaskami współdziałające, a pociechy odpowiadające i stopniowi łask udzielanych i wierności w odpowiadaniu takowym.

Nareszcie czyż możemy wątpić, żeby wśród Boleści Przenajświętszej Matki, nie było źródłem wielkiego wesela i to, że dano Jej było przewidzieć, czem te Boleści staną się dla nas? Że pozostawią nam one najwznioślejsze po Męce Jej Syna, a najpotrzebniejsze dla nas przykłady i nauki, jak wśród naszych, chociażby najcięższych strapień i cierpień, zachowywać

się powinniśmy; że najlepiej wyuczać nas i wdrażać będą w najzbawienniejsze, najobfitsze korzyści duchowne, przez rozważanie cierpień Pana Jezusa, i że zbogacą Kościół katolicki tem nabożeństwem do Matki Bolesnej, bez którego nie posiadałby on tego drogiego i bogatego skarbu, tak tkliwych, tak poruszających serce, a tak pożądanych dla każdej duszy, pobożnych i świętych ćwiczeń i obrzędów do tych tajemnic z życia Maryi się odnoszących. A ten wzgląd znowu, to znowu źródło wewnętrznego wesela Maryi, z miłości Jej ku nam, sprawiało, że i z tego powodu jak najbardziej cierpieć pragnęła, cierpień coraz większych się domagała, i coraz cięższe sobie wyjednywać musiała, co także Jej Boleści wzmogło było w mierze ogromnej.

VI.

W jaki sposób Kościół przedstawia nam Boleści Panny Przenajświętszej.

Takim jest tedy ogólny pogląd na Boleści Maryi. Kościół zaś przedstawia nam je jako nieoddzielną część Ewangelii, jako jedno z wielkich zdarzeń w tych objawionych księgach zapisanych, a przeto mającem się utrwalać w pamięci wiernych, i pobudzać ich do czci szczególnej tych tajemnic z życia Matki Zbawiciela, przez właściwe, odrębne i gorące nabożeństwo do nich.

W swoim *Dzienniku Maryańskim*, świątobliwy, uczony i wielkiej powagi pisarz Marchese, przytacza dawne podanie, odnoszące się do czasów Apostolskich nabożeństwo do Boleści Przenajświętszej Panny. W kilka lat po uśnięciu Maryi, gdy razu pewnego święty Jan Ewangelista, rzewnie opłakiwał Jej stratę, i tęsknił do

chwili, kiedy będzie mógł w niebie oglądać Jej oblicze, — Pan Jezus raczył okazać się mu wraz z Przenajświętszą Matką Swoją, i polecił aby do tajemnic Jej Boleści szczególne i serdeczne i sam miał nabożeństwo, i wiernych gorliwie do niego pobudzał. Od tej też pory, ulubiony uczeń Pański i Piastun Matki Przenajświętszej w ciągu ostatnich piętnastu lat Jej błogosławionego pobytu na ziemi, bezustannie miał na pamięci jak Mękę ukochanego Boskiego Mistrza Swojego, tak i Boleści Maryi.

Gdy tedy rozmyślał nad tem pobożnie, wydarzyło się znowu inną razą, że usłyszał jak Przenajświętsza Panna, prosiła Pana Jezusa o udzielenie jakich łask szczególnych tym, którzy do tajemnic Jej Boleści będą mieli nabożeństwo. A na to Zbawiciel odpowiedział, że takich obdarzy czterema łaskami następującemi. Pierwsza: że dostąpią łaski doskonałej skruchy za popełnione grzechy, zanim ich śmierć spotka. Druga: że Marya otoczy ich szczególną Swoją opieką w ostatniej chwili ich życia. Trzecia: że szczegóły Męki Pańskiej będą mieli silnie wyryte w pamięci. I czwarta: że modlitwy Maryi za nimi, będą miały wyjątkową skuteczność.

W siódmym rozdziale swoich objawień, święta Brygida pisze, że modląc się do Matki Bolesnej w Rzymie, w kościele zwanym *Większym kościołem Maryi, (Maria maggiore)* miała widzenie, w którem okazanem Jej było, że po nieograniczonej ceny zasługach Męki Pańskiej, najobfitsze skarby zasług dla dusz wiernych, zawarte są w Boleściach Maryi.

Błogosławiona Benwenuta Dominikanka, która przypuszczona była do najwyższego współczucia z Boleściami Matki Bożej, miała objawienie o wielu szcze-

gólnych łaskach, których dostępują pobożnie rozmyślający te tajemnice z Jej życia. A Błogosławionej Weronice z Binasko, jak o tem czynią wzmiankę Bolandyści, w objawieniu jakie miała przy rozmyślaniu Boleści Maryi, Zbawiciel powiedział: że łzy wylane nad Boleściami Jego najdroższej Mu Matki, jeszcze Mu są milsze od tych, z któremi kto rozpamiętywa Jego własną Mękę.

W kronikach zaś Serwitów, zakonu założonego głównie na cześć Boleści Maryi, i w celu szerzenia do nich nabożeństwa pomiędzy wiernymi, czytamy następujące szczegóły:

W owej porze pojawiło się było kilka nowych zgromadzeń zakonnych, a jak się to wkrótce okazało, zarażonych jadem błędów kacerskich, już wtedy bardzo się szerzących. Gdy tedy założyciele zakonu Serwitów zgłosili się do Innocentego IV, podówczas na Stolicy Apostolskiej zasiadającego, o potwierdzenie ich zgromadzenia, Papież ten obawiał się, czy i oni nie są z liczby kacerzy kryjących się pod pozorem oddawania czci Matce Bożej przez nabożeństwo do Jej Boleści, które miał wielce na sercu i ten święty i znakomity Papież. Dla zbadania przeto ich ducha, wyznaczył świętego Piotra z Werony, Dominikanina, później za wiarę umęczonego, a temu Matka Boża oznajmiła w objawieniu, że Ona to sama natchnęła Serwitów do założenia ich zakonu, i że mając on na celu szerzenie nabożeństwa do Jej Boleści, bardzo miłym będzie Jej Boskiemu Synowi.

W widzeniu jakie z tego powodu miał ten Święty, ujrzał on wysoką górę, pokrytą kwiatami, a na wierzchu niej Matkę Bożą siedzącą na złocistym tronie, wśród wielkiej jasności. Potem widział jak Aniołowie

składali u nóg Jej wieńce z najpiękniejszych kwiatów na tej górze rosnących, a przedstawiających różne nabożeństwa wiernych do Boleści Maryi, i które to wieńce Ona bardzo mile przyjmowała. Poczem, gdy Aniołowie zaofiarowali Jej siedm lilii nadzwyczajnej białości z pąsowemi prążkami w kielichach, dano zostało do zrozumienia świętemu Piotrowi, że one wyobrażają siedmiu pierwszych założycieli zakonu Serwitów, a Matka Boża lilie te najprzód umieściła na Swych piersiach, a potem splotłszy z nich jakby koronę włożyła ją na głowę.

Piszą także, że razu pewnego gdy święta Katarzyna Bolońska rzewnie opłakiwała Boleści Przenajświętszej Panny, ujrzała przy sobie siedmiu Aniołów razem z nią płaczących, a upewniających ją, że nabożeństwo do Boleści Maryi jest świętem ćwiczeniem najłaskawiej przez Nią przyjmowanem, a niezliczonych łask dla dusz wiernych źródłem.

I podobnych na to dowodów, nadzwyczaj wielką liczbę przytoczyćby można było. Wiele z nich znajdzie kochany czytelnik w dwóch mianowicie znakomitych dziełach: w *Dzienniku Maryańskim* przez O. Markezego Oratorjanina, i w *Męczeństwie Serca Maryi,* przez O. Sinischalhiego.

Widzimy też, że i Kościół święty najwyższą powagą swoją, nabożeństwo do Siedmiu Boleści Matki Bożej nietylko zatwierdza, pochwala i do niego wiernych w różny sposób zachęca, lecz nawet osobne daje mu miejsce w swoich stałych i powszechnych obrzędach. Aż dwa razy w roku obchodzi święto Siedmiu Boleści Maryi: raz w wielkim poście, w piątek po niedzieli Białej, to jest najbliższy Wielkiego Tygodnia, a drugi raz w trzecią niedzielę września. Na obie to

uroczystości osobne wyznaczone są Msze święte i osobne pacierze kapłańskie, a zawierające przedziwnie wybrane wyjątki z Pisma świętego i Ojców kościoła, najbardziej pobudzające do współubolewania z Matką Bolesną.

Przytem wiele modlitw i różnych ćwiczeń pobożnych, obdarowanych jest licznemi odpustami, a mianowicie: *Koronka* o siedmiu Boleściach, hymn kościelny *Stała Matka (Stabat Mater), Godzina* rozmyślania nad Boleściami Maryi kiedykolwiek odbyta, inne jakie pobożne ćwiczenie w tymże celu dopełnione; *Siedm Zdrowaś Marya* z przydaniem modlitewki *Sancta Mater istud agas,* odmówione na cześć Boleści Maryi; inne jakie podobne temu nabożeństwo odprawione w ciągu ostatnich dziesięciu dni zapust; *Pół godziny* modlitwy z tąż intencyą odbyte w Wielki Piątek i w inne Piątki roku.

Powszechnie i od najdawniejszych czasów przyjętym jest zwyczajem, do Siedmiu głównych Boleści Matki Przenajświętszej odnosić wszystkie cierpienia, jakich w ciągu całego życia doznała. I w pacierzach też kapłańskich na uroczystość Bolesnej Matki Bożej, też siedm Boleści zamieszczonych jest w Antyfonach i Responsoryach przy lekcyach nokturnów, temi zaś są: I. *Proroctwo Symeona.* II. *Ucieczka do Egiptu.* III. *Zniknięcie Jezusa w świątyni.* IV. *Spotkanie Jezusa krzyż niosącego.* V. *Ukrzyżowanie.* VI. *Zdjęcie z krzyża.* VII. *Złożenie Ciała Przenajświętszego do grobu.* A że zaraz w najpierwszej z tych Siedmiu Boleści, Marya zapowiedziane Sobie miała i wszystkie następne, a Duch-Święty kładąc proroctwo o nich w usta Symeona, nazwał je *Mieczem* mającym przeszyć Jej niepokalaną duszę: *I duszę Twą własną przeniknie miecz* *), więc też siedm

*) Łuk. 2. 35.

Boleści Matki Przenajświętszej nazywamy także *Siedmio mieczami*, przeszywającemi Jej serce, i tak niektóre wizerunki Matkę Bolesną przedstawiają.

W siedmiu więc osobnych rozdziałach, te siedm tajemnic z życia Przenajdroższej naszej Matki niebieskiej rozważać będziemy. A że jak z jednej strony streszczają one wszystko co Marya wycierpiała, a z drugiej zawierając w sobie wszelkie możliwe cierpienia ludzkie, przedstawiają nam w Niej najwyższy wzór cierpliwości i poddania się woli Boga, — więc w ich rozważaniu, następującego porządku trzymać się będziemy. Najprzód przedstawimy sobie okoliczności wśród których zaszły zdarzenia nad któremi zastanawiać się mamy; potem przytoczymy ważniejsze z nich szczegóły; następnie przypatrywać się będziemy w jaki sposób Marya wtedy się zachowywała, zwracając głównie uwagę na Jej usposobienie wewnętrzne, a przy końcu postaramy się wyciągnąć z tego wszystkiego potrzebne nam nauki.

VII.

Jakim duchem ożywione być powinno nabożeństwo do Boleści Maryi i jakie odnoszą się z niego pożytki.

Zanim jednakże zakończymy niniejszy rozdział wstępny, wydaje się nam potrzebnem powiedzieć jeszcze słów parę o pożytkach tego prześlicznego, a tak miłego i naszej Matce niebieskiej i Jej Boskiemu Synowi, nabożeństwa do Jej siedmiu Boleści jako też i o duchu jakim ono ożywione być powinno.

Pan Jezus domaga się od nas najgłębszej czci należnej Jego Bóstwu. Wymaga niezachwianej wiary w Jego dobroć nieograniczoną i w nieskończoną obfi-

tość łaski odkupującej nabytej jego zasługami granic niemającemi. Chce żebyśmy byli jak najmocniej przekonani, że jedyna nasza nadzieja uświątobliwienia się i zbawienia jest w nim, a stąd domaga się służenia Mu wiernego, przez dopełnianie obowiązków naszych względem Niego, i przez zupełną uległość postanowionym przez Niego prawom.

Lecz obok tego wszystkiego i ponad to wszystko, Jezus domaga się od nas jeszcze czegoś ważniejszego, czegoś co Mu najbardziej leży na sercu: domaga się naszej miłości. Chce, pragnie pragnieniem niewymownem, żebyśmy Mu i bezustannie i całkowicie serca nasze oddali. *Przyniosłem,* powiedział razu pewnego, *ogień na ziemię,* to jest ogień Jego miłości, *a czegóż chcę jeno żeby był zapalon*).* Pragnie zjednoczyć nas z Sobą przywiązaniem najtkliwszej przyjaźni, tak iżbyśmy wszystko co nasze i co Jego za jedno poczytywali, żebyśmy ku Niemu zwrócili wszystkie nasze uczucia, żebyśmy w Nim zakładali wszelkie nasze upodobanie. Chce żeby wspomnienie o Nim było najwyższą naszą pociechą, i rozbudzało w nas coraz gorętszą ku Niemu miłość; żeby samo najsłodsze Imię Jego, rozweselało nasze serce. A chociaż obok tego chce żeby każde słowo Jego było najświętszem prawem naszego postępowania, chce jednakże żebyśmy temu prawu poddawali się nie z musu, lecz z miłości, nie niewolniczo, lecz dobrowolnie, ochoczo, nie tracąc wewnętrznej swobody ducha będącej dziedzictwem dzieci Bożych. Chce, żeby nasze Jemu służenie nie było jakby wyrachowanem tylko zarobkowaniem na nagrody za to obiecane, ale żebyśmy to wszystko co dla Niego robimy, robili z mi-

*) Łuk. 12. 49

łości synowskiej, a z taką swobodą i świętą poufałością, z jaką postępuje przywiązane dziecko z najukochańszą matką, przyjaciel z przyjacielem droższym mu nad wszystko. Słowem, Jezus chce, wymaga i pragnie z całego Swego Boskiego serca, żebyśmy Go miłowali wszelkiemi miłościami, jakich tylko zdolne jest serce ludzkie, a gdy za Jego łaską na to się zdobywamy, żebyśmy już wtedy patrząc na Niego, nietyle widzieli w Nim najwyższego Sędziego, jak raczej i przedewszystkiem najmiłosierniejszego Zbawiciela: nietyle Boga sprawiedliwością najwyższą grzech każącego, jak raczej Wykupiciela z grzechów, z nieograniczoną miłością przygarniającego nas do Swego Boskiego Serca.

Owoż, tego wszystkiego, według zdania wszystkich mistrzów życia wewnętrznego, wyucza nas najprędzej pobożne rozważanie Męki Jezusowej, a tej znowu wyucza nas najlepiej, wyucza nas w sposób najtkliwszy, najbardziej poruszający serce, rozpamiętywanie Boleści Jego Matki Przenajświętszej. Męka Pańska widziana w sercu Maryi, to jest w Jej Boleściach, szczególnej nabywa własności: w sposób szczególny i w nasze serca wsiąka i na nich wyrytą zostaje. Wtedy bowiem jest to jakby Sama Matka Boża wyuczała nas i objaśniała nam te tajemnice najwyższej miłości Boga ku ludziom, a wyuczała kosztem własnych cierpień i mąk, po cierpieniach i mękach Jej Boskiego Syna najcięższych jakie tylko być mogły, jakie tylko przenieść była zdolna natura ludzka.

Pomiędzy wszystkiemi, a tak rozmaitemi i licznemi łaskami, któremi Pan Bóg w nieprzebranem miłosierdziu Swojem ciągle ratować i wspierać raczy naturę ludzką skażoną grzechem pierworodnym, najpożądań-

szą, bo najszacowniejszą, jest bezwątpienia łaska jak największego wstrętu do grzechu, jego jak najsilniejsze znienawidzenie. To też gdyby, na przykład, dano nam było do wyboru otrzymanie jednej tylko ze wszystkich łask udzielanych człowiekowi, czyżbyśmy się zawahali prosić nie o inną, jak o tę właśnie łaskę znienawidzenia grzechu, która jest podstawą, korzeniem i niezbędnym warunkiem wszelkich łask innych.

Otóż, pobożne rozważanie Boleści Przenajświętszej Panny, jest jednym ze środków najbardziej rozbudzających w nas ono zbawienne znienawidzenie grzechu, i do ustalenia w nas tego zbawiennego usposobienia. Gdy z przerażeniem zapatrujemy się na skutki grzechu objawiające się w Męce Pana Jezusa i Jego śmierci, truchleć powinniśmy na widok do czego on przywiódł Syna Bożego, z tego tylko powodu, że On będący samą niewinnością i Świętością nad świętościami, skoro przyjął na siebie zadośćuczynienie zań, tak już okropnym uległ cierpieniom. Lecz koniec końców rozumiemy, że tak być musiało, gdy z nieprzebranego Swego miłosierdzia Zbawiciel przyjął na Siebie grzechy całego świata i zobowiązał się zadość uczynić za nie, sprawiedliwości Ojca Przedwiecznego.

Ale gdy znowu wiemy, że Marya odkupicielką naszą nie była, że nie Ona miała zadość uczynić za winy nasze, a własnej i najmniejszej nie miała, — a jednakże tak wiele cierpiała, a cierpiała dla tego tylko, że była Matką Tego, który grzechy nasze przyjął na Siebie, — o! jakże nowej stąd nabiera grzech w oczach naszych złości! jak się nam przedstawia czemś jakby bez granic okrutnem! A stąd gdy poznajemy, że grzechy to nasze spowodowywały Boleści Maryi, że one siedm okrutnych mieczów w Jej niepokalane serce

wtłoczyły, czyż przez to nie pobudzimy się do jeszcze większego ich znienawidzenia, do aktów skruchy jeszcze rzewniejszej i serdeczniejszej?

Następnie, gdy zastanawiamy się nad tem czem grzech stał się dla Maryi, gdy żywiej czujemy złość jego dosięgającą aż tę najniewinniejszą i najświętszą jaka wyszła z rąk Stwórcy istotę, rozbudza się w nas żywe pragnienie powstrzymywania ludzi od grzeszenia, to jest pragnienie nawracania grzeszników. Wiadomo też, że każdy z gorliwszych pracowników w Winnicy Chrystusowej, z gorliwiej krzątających się o zbawienie drugich, szczególne miał nabożeństwo do Boleści Królowej Apostołów, i to nabożeństwo najstaranniej pomiędzy wiernymi szerzył. Missyonarze pracujący pomiędzy dzikimi ludami, przekonali się, że nic nie porusza łatwiej i zbawienniej ich serca na wpół obumarłe, jak tajemnice Boleści Maryi właściwie im wykładane.

Kto rozżywia w sobie nabożeństwo do Przenajświętszej Matki Pana naszego, ten, zdaniem powszechnem wszystkich Ojców świętych i mistrzów życia pobożnego, czyni wielki postęp we wszystkich cnotach. Nabożeństwo też do Maryi poczytanem jest powszechnie za jedną z najniechybniejszych cech wybraństwa duszy.

Owoż, nabożeństwo wyradza się w sercu nie tyle z przejęcia się czcią ku przedmiotowi naszego nabożeństwa szczególnego, jak raczej z uczucia wielkiej miłości, jaką ku niemu pałamy. W Przenajświętszej zaś Pannie, co najbardziej rozbudza w nas wielką ku Niej miłość, to właśnie rozważanie Jej Boleści. Świetność Jej Niepokalanego Poczęcia, napełnia serca nasze niewymowną pociechą, lecz blask nadziemski który w tym Jej udzielonym przywileju jaśnieje, olśniewa nas i zmusza ze drżeniem i nieśmiałością zapatrywać się na ten

Jej przywilej tak niezmiernie Ją nad naszą nędzę wywyższający. Wpatrując się w cudowność Jej macierzyństwa Boskiego, do podziwu tylko i najgłębszego wielbienia tej Jej niezrównanej godności, czyniącej Ją najwyższą po Bogu istotą, przywiedzeni zostajemy. Przebiegając myślą i inne najwznioślejsze dary, któremi jakby w nieograniczonej mierze zbogaconą została, szczęśliwymi się czujemy, że niemi obsypana została ta nasza najlepsza, najlitościwsza i bez granic kochająca nas Matka. Gdy wyobrażamy sobie chwałę wyższą nad chwałę wszystkich najwyższych duchów niebieskich, wszystkich Aniołów, Archaniołów, Cherubinów i Serafinów, której zażywa nasza Królowa w niebie, doznajemy niewymownego wesela i jakby przeczucia niebieskiego. Wszakże niezmierna światłość otaczająca Ją w tych tyczących się Jej tajemnicach, razi niejako słaby wzrok naszego ducha, i jak oku cielesnemu słońce, nie dozwala wpatrywać się zbyt śmiało w siebie tak, i niezmierna chwała i wielkość Maryi, gdy się na to w Niej zapatrujemy, pewnem przerażeniem nas ogarnia.

Lecz gdy na chwilę odwracamy oczy nasze od blasku Jej niezrównanej wielkości, a przechodzimy sercem do rozważania Jej Boleści, do przypominania sobie wszystkiego co wycierpiała i dla czego cierpiała, i jak to przeniosła, wszystko co się Jej szczytnego wyniesienia tycze, zaciera się niejako w naszej pamięci, ale za to rozbudza się do Niej najtkliwsza, najczulsza i najserdeczniejsza miłość, a przez to największe i najtrwalsze do Niej nabożeństwo. Gdy tę którą czcimy i wielbimy najwięcej po Bogu, widzimy przeszytą Mieczem Boleści zapowiedzianym Jej przez Samego Boga ustami Symeona, kiedy w świątyni Jerozolimskiej zao-

fiarowała za grzechy nasze Jezusa. Gdy wkrótce potem idziemy za Nią na wygnanie do pogańskiego Egiptu, gdzie unosić musi swoje Boskie niemowle dla uchronienia Go od śmierci niechybnej. Gdy następnie widzimy Ją z troską w Jej sercu macierzyńskiem wszelką boleść ludzką przechodzącą, szukającą po Jerozolimie przez całe trzy doby Jezusa, który znikł był z Jej oczów. Gdy nareszcie wpatrujemy się w Jej serce gdy szła za Synem na Kalwaryę, gdy stała pod krzyżem przez cały czas Jego strasznego konania, następnie gdy zamęczone Boskie ciało Jego przyjęła na Swe łono macierzyńskie, a złożywszy je w grobie, ujrzała się pozbawioną Syna, który był i Bogiem Jej i dzieckiem. Gdy przytem przypomnimy sobie, że wszystko to cierpiała z naszego powodu, bo wskutek grzechów naszych, a wszystko za nas ofiarowała Bogu Ojcu, i odtąd bezustannie zasługami Swojemi przez to nabytemi wyprasza nam najobfitsze i najpotrzebniejsze dla każdego z nas łaski. Gdy wiemy, że za to stała się najwyższą szafarką wszelkich łask Boskich, i tych nigdy Pan Bóg nie odmawia, gdy przez Nią o nie prosimy. Słowem, gdy wpatrujemy się w Maryę jako w Matkę Bolesną, czyż podobna, żebyśmy nie zostali przejęci ku Niej najżywszą miłością, i żeby nie rozbudziło się w nas najgorętsze do Niej nabożeństwo?

Jednym z wielu powodów stania się człowiekiem drugiej osoby Trójcy Przenajświętszej, był i ten, żeby łatwiej odwrócić upadły ród ludzki od bałwochwalstwa, od nieszczęsnej skłonności upatrywania sobie bogów w istotach widzialnych, pod zmysły podpadających. Syn Boży i dla tego przyjął na Siebie i ciało i naturę i postać człowieka, i takim okazał się światu, żeby ludzie,

którym wskutek grzechu pierworodnego trudno było znać i czcić Boga niewidzialnego, mieli Boga wcielonego, widzialnego, pod zmysły podpadającego, a przez to lepiej i łatwiej Go poznając, łatwiej i silniej umiłowali.

Otóż, coś podobnego zachodzi i w tajemnicach Boleści Maryi. Pan Bóg i na to dopuścił je na Nią, żebyśmy zbyt olśnieni Jej niezrównanem wywyższeniem jako Matki Boga, Jej niezrównaną świętością, Jej nadzwyczajnemi przywilejami, a z tego powodu nie łatwo dopatrując w Niej tego, co nietylko cześć najgłębszą ku Niej, lecz i miłość najżywszą rozbudzać powinno — gdy obaczymy co i jak Ona z miłości ku nam wycierpiała, łatwiej i lepiej Ją poznali i całem sercem Ją umiłowali. A stąd czem jest tajemnica wcielenia w Synu Bożym, tem są tajemnice Boleści w Matce Przenajświętszej. Wcielenie się Boga, *wyniszczyło* *) Go według wyrażenia Pisma świętego, zniżyło Go do najniższego jaki tylko być mógł stopnia, uczyniło człowiekiem podobnym każdemu z ludzi i podpadającym wszystkim nędzom ludzkim, prócz grzechu. A Boleści Maryi podobnież *wyniszczyły* Ją, ogołociły niejako z Jej wszystkich przywilejów, i uczyniły najpodobniejszą nam wszystkim, podpadającą wszystkim nędzom ludzkim prócz grzechu, i doznającą wszelkich możliwych człowiekowi cierpień. I jak Pan Jezus, chociaż Bóg, dla tego cierpiał, że się wcielił, tak i Marya, chociaż po Bogu istota najświętsza i najniewinniejsza, przebyć musiała Swoje Boleści, bo była Jego Matką, bo w Jej dziewiczem łonie spełniła się tajemnica Wcielenia. A że nic bardziej nie pobudza nas do umiłowania Boga i do zrozumienia Jego ku nam miłości, jak

*) Filip 2. 7.

właśnie tajemnica Wcielenia, tajemnica stania się Boga człowiekiem nam podobnym — tak podobnież nic bardziej nie pobudza nas do umiłowania Maryi jak tajemnice Jej Boleści, tajemnice w których widzimy Ją najpodobniejszą do nas, a najpodobniejszą w tem, co, bądź co bądź, stanowi i największą tajemnicę z życia każdego z nas, bo tajemnicę cierpienia w najrozmaitszych swoich postaciach nas dotknąć mogącego.

Z tego też wynika i to, że gdy głównym obowiązkiem naszym jako chrześcijan, jest jak najwierniejsze naśladowanie całem życiem naszem Boskiego Mistrza naszego, po rozpamiętywaniu Męki i śmierci Jego, nic nas lepiej tego nie uczy, jak rozpamiętywanie Boleści Matki Przenajświętszej. W Maryi przedstawił nam i pozostawił Pan Jezus wzór najdoskonalszego jaki tylko być może naśladowania Jego Samego. W Nią więc wpatrując się najprędzej i najłatwiej tej sztuki nad sztukami, od której zawisło nasze zbawienie, wyuczyć się możemy. Widzieliśmy zaś, że najdostępniejszą dla naszego pojęcia, Marya jest w tajemnicach Swoich Boleści, zastanawianie się więc nad niemi, pobożne i wytrwałe ich rozpamiętywanie, jest bezwątpienia, po rozmyślaniu życia i męki Zbawiciela, najzbawienniejszem ćwiczeniem, bo najprędzej wdrażającem nas w wierne naśladowanie Maryi, a przez to i Jezusa.

Trafną jest także uwaga świętego Sofroniusza, a przytaczana przez świętego Metodego Apostoła Sławian. Powiada on, że gdy Marya dłużniczką jest Boga za wszystkie nadzwyczajne łaski, dary i przywileje, któremi uczynił Ją najwyższą i najdoskonalszą po Sobie istotą, — Boleściami Swojemi nabyła tego przywileju nad wszystkie Jej przywileje wyższego, że Pan Bóg stał

się Jej dłużnym. Jakoż, na Kalwaryi-to gdzie Boleści Maryi doszły były do najwyższego możliwego szczytu cierpień ludzkich, postanowiona została przez Samego Syna Bożego i Matką wszystkich dusz za które umierał, i najwyższą Szafarką, przez której ręce, i nie inaczej jak tą drogą, spływają od owej chwili i spływać będą do końca świata, wszelkie łaski niebieskie na ludzi. Kiedyż więc możemy skuteczniej uciekać się do Jej wszechwładnego pośrednictwa, kiedy bardziej spodziewać się, że otrzymamy od Boga to o co przez Nią prosić będziemy, — jeśli nie wtedy, gdy mając szczególne nabożeństwo do Jej Boleści, do tego Jej największego prawa być wysłuchiwaną od Boga — przez Nie, przez to Jej prawo błagać i dopominać się będziemy najpotrzebniejszych pomocy niebieskich dla dostąpienia zbawienia.

Nareszcie oto jest co nas także pobudzać powinno do szczególnego nabożeństwa do Boleści Maryi, i co powinno być jego duchem ożywczym.

Wiadomo, że z pomiędzy wszystkich łask potrzebnych nietylko do postępu na drodze doskonałości chrześcijańskiej, lecz nawet dla dostąpienia zbawienia, niezbędną jest jedna, której brak żadną inną, chociażby najwyższą i najobfitszą łaską, zastąpić się nie może. Co większa, bez której wszelkie inne łaski, chociażby najliczniejsze, chociażby najwznioślejsze i chociażby się im wszystkim najwierniej odpowiedziało, nietylko na nicby się nie przydały, aleby jeszcze stały się powodem tem surowszej kary sprawiedliwością najwyższą wymierzonej. Tą zaś tak niezmiernej ceny łaską, jest łaska wytrwałości w dobrem, w cnocie, w wiernem służeniu Bogu, łaska tak zwana *ostateczna*.

Tymczasem łaska ta tak niezbędna, tak konieczna do zbawienia, jakże niestety! nie jest pospolitą, jest bardzo i bardzo rzadką.

W zawodzie spraw doczesnych, wytrwałość w raz powziętych zamiarach, nabywa się z ubiegiem czasu, a stąd im kto dłużej oddaje się jakowemu zawodowi, tem mu łatwiej w nim wytrwać. W każdym bowiem rodzaju zajęć tak machinalnych jak i umysłowych, wprawienie się ułatwiając ich dokonywanie, czyni nam je lżejszemi, a niekiedy nawet właśnie dla tego najprzyjemniejszemi.

Lecz któż z nas nie przekonał się, że nie tak się dzieje w naszym zawodzie życia duchowego, życia wewnętrznego, co do naszej wytrwałości na drodze doskonałości chrześcijańskiej. Gorącość ducha, niezbędna do postępu na tej drodze i do nie zejścia z niej, niestety! trwa najczęściej niedługo, i jeśli co do tego nie przykładamy jak najpilniejszego starania, z ubiegiem czasu, nietylko się nie wzmaga, lecz się ulatnia, wystyga i przejść może w oziębłość, której Pan Bóg grozi taką karą, jaka spotyka dusze zupełnie odpadłe od łaski: *Ponieważ ani letni jesteś, ani zimny, ani gorący,* mówi Duch-Święty w objawieniach świętego Jana Ewangelisty, do pewnego Biskupa, który ozięble Mu służył, *przeto poczną cię wyrzucać z ust Moich* *).

Częste używanie środków zabezpieczających nam zbawienie i służących do postępu na drodze pobożności, jeśli nie mamy się na ciągłej a pilnej baczności, skutkiem spoufalenia się z niemi, łatwo wyradza w nas niedbałość w ich używaniu. Przez to zaś nietylko pozbawia ich skuteczności do nich przywiązanej, lecz

*) Objaw. 3. 16.

przejść nawet może w ich lekceważenie, a w końcu w grzeszne znieważanie. Słowem, w zawodzie duchowego życia, na drodze pobożności, przekonywamy się, że dzieje się wprost przeciwnie, jak w zawodach spraw doczesnych. W tych ostatnich wprawa ułatwia nam w nich wytrwałość, w pierwszych na odwrót im dłużej na drodze pobożności bylibyśmy wytrwałymi, tembardziej o takową wytrwałość starać się nam trzeba, wcale nie spuszczając się na nawykłość, która zdawaćby się mogła, powinnaby nam te drogi ułatwiać i na nich nas ustalać. O! jak mało jest dusz, które ściśle obrachowawszy się pod tym względem z sumieniem, nie musiałyby uznać, że gorącość ich ducha w służeniu Bogu, w początkach ich wejścia na drogę pobożności, była nierównie żywszą, aniżeli stała się nią z ubiegiem czasu. Stąd-to i starość nawet, i wiek podeszły, gdy nas od niektórych pokus uwalnia, gdy nas wyuczy świat nie miłować, nie na ludziach lecz na Bogu się opierać, nie od nich lecz od Boga spodziewać się prawdziwych w najcięższych strapieniach pociech — wiek podeszły obok tego, właśnie skłonniejszymi nas czyni do folgowania sobie na drodze pobożności. Wydaje się nam wtedy, że mamy prawo do pewnego wypoczynku, że możemy już jakby bezpieczniej rachować na siebie, żeśmy już w pobożności wdrożeni. A tymczasem, jakże często w takim razie zawody nas spotykają i jak wielu za ten rodzaj zarozumiałości nizko, o! i jak nizko i brzydko upadło. O wytrwałość więc na drodze pobożności ciągle nam starać się potrzeba. A jednym z najpewniejszych środków nabycia tej łaski, jest właśnie nabożeństwo do Boleści Matki Przenajświętszej. W nich to przedstawia nam Ona, jak to obaczymy rozważając je szczegółowo,

najwyższy wzór niezachwianej wytrwałości, a którą Sam Duch-Święty wyraża w tem jednem słowie *Stała*, gdy mówi w Ewangelii, że *Obok krzyża Zbawiciela Stała Matka Jego* *).

O! niechże Ona i nas wyuczy *Stać* niewzruszenie pod krzyżem całego życia naszego, niech nas wyuczy *Stać* wiernie w służbie Jej Boskiego Syna, i Jej służbie, niech nas wyuczy *Stać* wytrwale w łasce, abyśmy za Jej pośrednictwem w stanie łaski znaleźli się i w ostatniej godzinie życia naszego, to jest otrzymali łaskę nad łaskami, bo łaskę ostateczną.

Takie więc są pożytki nabożeństwa do Boleści Maryi, i takim duchem ożywione być ono powinno. Po tak zaś ogólnych tylko o tych tajemnicach Jej błogosławionego życia uwagach, przystąpmy teraz za Jej wsparciem i do nóg Jej się ścieląc, do rozpamiętywania każdej z nich po kolei.

*) Jan. 19. 25.

ROZDZIAŁ II.

Pierwsza Boleść.

PROROCTWO ŚWIĘTEGO SYMEONA.

§. I. Szczegóły tej tajemnicy.

Przystępując do rozważania Boleści Przenajdroższej naszej Matki niebieskiej, przychodzi nam na myśl to co spotkało przyjaciół Hioba, gdy przybywszy go odwiedzić, osłupieli na widok jego niezmiernych cierpień. *Podniósłszy z daleka oczy swe,* powiada Pismo święte, *nie poznali go i zakrzyknąwszy płakali, a rozdarłszy szaty swe, sypali proch na głowy swe ku niebu. I siedzieli z nim na ziemi sicdm dni i siedm nocy, a żaden do niego słowa nie mówił, bo widzieli że boleść była gwałtowna *).*

I nam też milczećby wypadało, gdybyśmy sądzili że rozważając Boleści Maryi potrafilibyśmy godnie je opisać, właściwie je wystawić, dokładnie chociażby tylko wyobrazić sobie. Ale nam o to nie chodzi wcale, i wiemy że roić sobie coś podobnego byłoby niedaro-

*) Hiob. 12. 13.

wanem zuchwalstwem. A więc starać się tylko będziemy przedstawić pobożnemu czytelnikowi, w ich chronologicznem następstwie te wypadki z życia błogosławionego Przenajświętszej Panny, które głównie odnoszą się do doznanych przez Nią cierpień, i jak to już wyżej nadmieniliśmy, wyciągać z nich potrzebne dla nas nauki.

Zaczniemy tedy od zaofiarowania przez Nią w Świątyni Jerozolimskiej Dzieciątka Jezus; przy tej to bowiem tajemnicy, pierwszy z Siedmiu Jej Boleści miecz przeszył Jej niepokalane serce, przepowiednią jaką z woli Boga, święty starzec Symeon wygłosił wtedy przed Nią.

Czterdzieści dni upłynęło było od owej nocy, w której nad kolebką narodzonego w ludzkim ciele Boga, słyszeć się dały śpiewy Aniołów. Przez czas ten, Marya i Józef coraz więcej zagłębiali się w tajemnicach Boskich; Pasterze oddali cześć nowonarodzonemu Dzieciątku; Trzej Królowie u nóg Jego złożyli swoje dary, a cudowna Gwiazda która ich do Niego przywiodła, znikła już była z nocnego sklepienia niebios.

Na świecie tymczasem szło wszystko swoim zwykłym trybem. W jego ówczesnej głównej stolicy Rzymie, zajmowano się najważniejszemi sprawami politycznemi. W Atenach, najsłynniejszym wtedy przybytku nauk, toczyły się po Wszechnicach głębokie rozprawy filozoficzne. Do Damaszku, najhandlowniejszego w starożytności miasta, ciągnęły bezustannie karawany obładowane najrozmaitszemi i najkosztowniejszemi towarami, i z nowemi od niego do różnych krajów wracały wyrobami. A na ziemi Żydowskiej, należącej podówczas do Cesarstwa Rzymskiego, urzędnicy cesarscy

spisywali w Betleemie, jednem z małych miast tej krainy, całą jej ludność.

I tamto, przybywszy z tego powodu Marya z Józefem, wydała na świat Syna Bożego. Po upływie zaś dni czterdziestu, stosownie do prawa Mojżeszowego, zanosi Boże-Dzieciątko do Jerozolimy, aby je tam w świątyni *stawić*, to jest zaofiarować *Panu* *)

Razem więc z przeczystym Oblubieńcem Swoim i z nowonarodzonem Bogiem-Dziecięciem, opuszcza miejsce gdzie te dni czterdzieści przeszły Jej tak prędko jak niebieskie widzenie, i przebywa wązką dolinę po której droga wiedzie do Jerozolimy. Winne latorośle pokrywające to spadziste wzgórze, tylko co zaczęły wylewać swoje łzy wiosenne po zacięciach zadanych im przez uprawiających winnicę, a na pokrytych zieleniejącemi się już zbożami niwach, gdzie niegdyś Rut zbierała pozostawione przez żniwiarzy kłosy, i na szarych skałach okalających grób Racheli, jaśniało słońce wczesnej w owej krainie wiosny.

Dzień był prześliczny; na niebie lazurowem ani najlżejszej nie widać było chmurki, — i święci pielgrzymi wyszedłszy z Betleemu bardzo rano, zbliżyli się do Jerozolimy zanim jeszcze zaszło słońce, i ujrzeli w niej błyszczące kopuły wznoszącej się nad wszystkie inne gmachy Świątyni Boga prawdziwego, do której tegoż Boga nieśli.

Marya, spędziła była dwanaście lat Swego błogosławionego życia, w zabudowaniach tego świętego gmachu. Tam zaofiarowanie swego dziedzictwa Bogu, uczynione od pierwszej chwili Jej Niepokalanego poczęcia, ponowiła była. Tam rozpamiętywała Pismo

*) Łuk. 2. 23.

święte, i wyuczyła się tajemnic tyczących się obiecanego Mesyasza. Wracała zaś do świątyni dziewicą jak stamtąd wyszła, a jednakże o! cudzie przenajdroższy! wracała Matką, z Dzieciątkiem swojem na ręku. Przychodziła po Oczyszczenie Ona, czystsza od śniegów Libańskich, na których nie postała nigdy żadna stopa istoty żyjącej; czystsza od Aniołów niebieską czystością jaśniejących, a przychodziła zaofiarować Dzieciątko Swoje Bogu i złożyć Stwórcy dar, na jaki żadne stworzenie zdobyć się nie było w możności, bo dar zupełnie Jemu Samemu równy!

Kiedy w miejsce zburzonej pierwotnej Świątyni Salomonowej, nowa odbudowaną została, starsi z ludu wybranego głośne rozwodzili żale, że co do wspaniałości budynku nie dorównywała ona pierwszej. Lecz dawna Świątynia nie oglądała nigdy dnia takiego, jak ten który wtedy poczynał świtać nad nowo odbudowaną. Świętość miejsca zwanego w niej *Święte nad Świętemi (Sancta Sanctorum)* była tylko symbolem, tylko zapowiedzią rzeczywistej świętości nad świętościami Tego, którego wtedy Marya niosła do Świątyni na Swych rękach.

Lecz i w tem wiernie stosując się do przepisów Starego Zakonu, nieśli święci podróżni i inny dar jeszcze: bo gdy Marya niosła Dzieciątko Jezus, Józef niósł parę turkawek albo młodych gołębiąt, przy obrzędzie oczyszczenia składać się mających. Wielu zdążających podówczas także do Świątyni widziało ich idących, lecz nie było w nich nic takiego coby szczególną na Nich uwagę drugich zwracało. Tak bowiem zwykle się dzieje, że największej wagi sprawy Boskie, nie od razu przez ludzi dopatrywane bywają, a dopiero z upływem czasu umysłom oświeconym wiarą, a najprędzej sercom gorejącym miłością, dostępnemi się stają

Gdy nazajutrz po przybyciu do Jerozolimy Przenajświętsza Rodzina weszła do Świątyni, znajdował się w niej pomiędzy zgromadzonymi na poranne nabożeństwo, mąż wielkiej świątobliwości imieniem Symeon, którego skronie pokrywały już białe kwiaty podeszłej starości. Przeżył on już był, jak to mówią, sam siebie i niejako nie należał już do świata, z którego ówczesnem powszechnem skażeniem nie miał nic wspólnego. Obcemi mu były wszelkie zatargi Faryzeuszów z Saduceuszami, tak podówczas żywo zajmujące wszystkich należących do narodu wybranego, jak również i innych sekt Żydowskich zagorzałe waśnie, w owej porze namiętnie rozdrażniające jednych przeciw drugich. Nic go już do życia nie przywiązywało, nic mu się w niem nie uśmiechało, prócz nadziei że prędzej czy później, przed śmiercią, dostąpi szczęścia ujrzenia zapowiedzianego Mesyasza. *Odebrał bowiem od Ducha Świętego przyrzeczenie,* mówi Ewangelia święta, *że nie będzie oglądał śmierci, aż ujrzy Chrystusa Pańskiego*).* W dniu zaś tym przybył On do Świątyni, przewidując, jak się zdaje, że go już nareszcie szczęście to spotyka.

A także znajdowała się tam i druga jeszcze dusza wybrana, staruszka przeszło osiemdziesięcioletnia, wdowa, imieniem Anna, córka Fanuela z pokolenia Asser. Wyłącznie oddana bogomyślności, osiadła przy świątyni, *nie odchodząc z kościoła, a postami i modlitwami służąc Bogu we dnie i nocy**).* A była przytem obdarzoną i duchem prorockim.

O! cóżto za przecudne, chociaż tak nieliczne grono widzimy tu zgromadzone w Świątyni Pańskiej, w chwili gdy się ma w niej odbyć w cichości i jakby w utaje-

*) Łuk. 2. 25. **) Tamże 36.

niu uroczystość nad uroczystościami! Bo oto Bóg wcielony, Bogu przedwiecznemu ma być zaofiarowany, na zadość uczynienie najwyższej sprawiedliwości za grzechy całego świata. Jest tu poważny i wielkiej świątobliwości Starzec, przedstawiający w sobie wszystkie dusze wybrane Starego Zakonu, i już nietylko prorok zapowiadający przyjście Zbawiciela, lecz nawet mający Go wskazać i jakby pierwszy uznać w Dziecinie, gdy mu Go Matka poda na ręce.

Jest Anna Prorokini, również posunięta w lata, bo i ona przedstawiała na sobie wszystkie święte niewiasty zestarzałego już i przemijającego Zakonu Mojżeszowego.

Jest Józef, który, z powodu najszczytniejszych jakie spotkać mogły godności człowieka, bo przeczystego Oblubieńca Matki Boga i tegoż Boga wcielonego Piastuna — obdarzony był łaskami, po łaskach Maryi najwyższemi jakie kiedy duszy ludzkiej udzielone były.

I nakoniec jest Marya, po Bogu istota najwyższa, najświętsza, najdoskonalsza, na której rękach jakby na najmilszym dla Niego i najwspanialszym tronie, wstępuje do Swojej Świątyni Pan nad Pany, Bóg najwyższy!

Marya złożyła Swoje ofiary, *Aby,* jak się wyraża Ewangelia święta, *uczynić według przepisu Zakonnego* *). Spełnia więc to w duchu posłuszeństwa, bo wie że ten Pan nad pany, którego przyniosła, gdy zacznie nauczać i przyświecać światu własnym przykładem, przedewszystkiem posłuszeństwa Bogu i Jego prawom nauczać i domagać się będzie. Czyni zaś to tem chętniej i z tem większą skwapliwością, że Obrzęd Oczyszczenia któremu się poddaje, Ona czystsza nad Anioły, służy

*) Łuk. 2. 27.

do zatajenia najwyższej z łask przez Nią otrzymanych, bo łaski Macierzyństwa Boskiego. Oddaje Dzieciątko Symeonowi, jak to później nieraz czynić będzie, objawiając się różnym Świętym, gdy im tej niewymownej pociechy udzielać zechce. Szczęśliwy starzec bierze Je na ręce, i chociaż pochylony wiekiem, dźwiga Stwórcę wszechświatów, a z najgłębszem uszanowaniem zwróciwszy oczy na oblicze Bożej-dzieciny, zakosztowywa już tu na ziemi szczęścia i radości niebieskich. Wpatruje się z świętym zachwytem w Boga wcielonego; poznaje w Przenajświętszem Dzieciątku Tego, który przychodzi odkupić ludzi i nowego objawienia światłem ich obdarzyć, a przejęty najżywszą wdzięcznością Bogu, że nakoniec spełnia się przyrzeczenie dane mu przez Ducha-Świętego że nie umrze dopóki Chrystusa Pańskiego nie ujrzy, — taką Pieśń wygłasza. *Teraz puszczasz sługę Twego Panie, w pokoju,* teraz umrę już spokojny, i pełen pociechy, *gdyż według słowa Twego oczy moje oglądały zbawienie Twoje, któreś zgotował przed obliczności wszystkich narodów;* ujrzałem jak mi to przyrzekłeś, Zbawiciela przychodzącego odkupić wszystkich ludzi, a który jest *Światłość na objawienie poganom i chwałą ludu Twego* *).

Tak przemawia Symeon, i w tej Pieśni swojej, którą Kościół zamieścił w wieczornych pacierzach kanonicznych, opiewa on w istocie wieczór Starego Zakonu, a świtanie nowego. Ta natchniona Pieśń jego jest pieśnią przejścia rodu ludzkiego z pod prawa surowości i sprawiedliwości, pod prawo miłosierdzia i miłości. Spełniają się wreszcie wszystkie proroctwa, wszystkie najgorętsze wyczekiwania dusz najświętszych; cały

*) Łuk. 2. 29.

świat stworzony uzupełnionym, ukoronowanym zostaje i podniesionym do najwyższego zaszczytu przez przyjęcie na Siebie przez Boga ciała stworzonego; Raj niebieski przez tyle wieków zamknięty dla ludzi grzechem pierwszych rodziców, na nowo otwarty zostaje. I oto Symeon, trzymając na ręku Dzieciątko Jezus, zapowiada całemu rodowi ludzkiemu te wszystkie najwyższe szczęścia jakie go spotkać mogły!...

To też na te słowa jego, i w Maryi *Rozradował się duch Jej,* jak gdy niegdyś Sama zapowiadając świętej Elżbiecie wcielenie się w Jej łonie Syna Bożego, wygłosiła Swój *Magnificat* Swoją Pieśń: *Wielbij duszo moja Pana* *).

Lecz o! Matko przenajdroższa! to szczęście nad szczęściami które ma spotkać ludzi w przyjściu na świat Boga mającego ich wykupić z niewoli szatańskiej, te radości nad radościami i nasze i nieba całego, Ty będziesz musiała za nas wszystkich zapłacić Boleściami nad wszelkie boleści! Bo otóż wielki ten Prorok, któremu Pan Bóg kazał zapowiedzieć światu tak miary niemające pociechy, z rozkazu tegoż Boga zwraca się do Maryi, i trzymając nad Jej Przenajświętszą głową Boskie Dzieciątko i Niem Ją błogosławiąc, jak dziś kapłani błogosławią Przenajświętszem Sakramentem, zapowiada Jej najwyraźniej że co do Niej Samej, czekają Ją najcięższe Boleści: *I błogosławił im Symeon,* są słowa Ewangelii świętej, *i rzekł do Maryi Matki Jego*: *A DUSZĘ TWĄ WŁASNĄ PRZENIKNIE MIECZ* **).

A uważajmy tu te dwa szczególnie wyrazy: *DUSZĘ i PRZENIKNIE.* Zapowiadając więc Prorok Matce Przenajświętszej Jej Boleści, nie mówi że *Miecz,* to jest

*) Łuk. 1. 46. **) Łuk. 2. 35.

cierpienia najrozmaitsze i najdotkliwsze, dotkną tylko Jej niewinne ciało; nie mówi że będą to cierpienia tylko moralne, tylko przeszywające Jej niepokalane serce. Lecz powiada że *Miecz* ten ugodzi w Jej *DUSZĘ,* co znaczy że Boleści które Ją czekają, dotkną całą Jej istotę, będą cierpieniami wszelkiego rodzaju, bo cierpienia czy to fizyczne, czy moralne, o tyle są cierpieniami o ile odczutemi są duszą. I dlatego osoba pozbawiona zmysłów, nieprzytomna, nie odbierając wrażeń na duszy, rzeczywiście nie cierpi, to jest od cierpienia, boleści na duszy nie doznaje.

A także nie powiada Symeon że duszę Maryi miecz *przeszyje,* albo że Ją *przebije,* ale używa wyrażenia najsilniejszego, najdosadniejszego, bo powiada że *duszę Twą* własną *PRZENIKNIE miecz.* Jakby mówił: Boleści które Cię czekają, przenikną Cię, ogarną Cię, pochłoną Cię w siebie całą: będą to cierpienia największe, najcięższe, najrozmaitsze, najdotkliwsze, jakie mogą spotkać istotę ludzką, bo cierpienia całą Twoją istotę przenikające: *Duszę Twą własną PRZENIKNIE miecz.*

A dlaczego tak będzie? co ten straszny *Miecz* wtłoczy w niepokalaną, w przenajświętszą duszę Maryi? co będzie powodem Jej Boleści, wszelkie możliwe boleści ludzkie przechodzących? Bo *Oto,* powiada dalej ten wielki Prorok, unosząc w górę na rękach Dzieciątko Jezus i wskazując Je Matce, bo *Oto Ten położon jest na znak któremu sprzeciwiać się będą* *).

Owoż, Marya znała jak najdoskonalej Pismo święte, i wszystko co w niem przepowiedzianem było o tem co czekało przyjść mającego Zbawiciela. Wiedziała że Nim jest najdroższe Dziecię Jej, które w tej chwili na to właśnie przez ręce tego świętego Starca zaofiarowywała

*) Łuk. 2. 34.

Bogu Ojcu. Więc gdy on wyrzekł te słowa: *Oto Ten położon jest na znak któremu sprzeciwiać się będą,* było to dla Niej jakby powiedział: „Oto jest Ten na którego Przenajświętszej osobie dopuszczą się ludzie największej jaka tylko być może, do ostatecznego najwyższego stopnia posuniętej złości, niewdzięczności, barbarzyństwa; którego z tego powodu czekają upokorzenia, prześladowania, cierpienia, męki i śmierć, najokrutniejsze, najstraszniejsze, jakie kiedy spotkać mogły istotę żyjącą. A Ty, Ty Matka Jego, na to wszystko patrzyć będziesz. Ty doznasz po cierpieniach Boga Odkupiciela, najcięższych Boleści jakich doznać może człowiek;" *I duszę Twą własną przeniknie miecz.*

A teraz, czyż trudno będzie nam zrozumieć, że w tejże chwili, przed oczyma duszy Maryi, stanął cały obraz wszystkich mąk Jezusa i Jego straszliwej śmierci; że ta pierwsza Jej Boleść była jakby streszczeniem wszystkich później doznanych, i że ten pierwszy Miecz wtłoczony wtedy w Jej serce macierzyńskie, już odtąd nigdy się z niego nie wychylił, nigdy, a coraz głębiej, wtłaczać się nie przestał.

Symeon zamilkł, a w duszy Maryi zaszła zmiana wyrazić się nie dająca. Wprawdzie nie dowiedziała się czegoś o czem wprzód jużby nie wiedziała; lecz wtedy w odrębny i waraźniejszy sposób zostało Jej wszystko objawionem. Było to zaś nowem działaniem w Niej łaski, było nowym stopniem Jej uświątobliwienia, a stopniem ogromnym, w porównaniu nawet z ogromem łask jakie już wprzódy otrzymała.

Zwróciwszy macierzyński wzrok swój na Dzieciątko Jezus, zdawało się jakby w tej Boskiej twarzyczce wyczytywała cały opis Męki i śmierci, czekającej Jej najdroższe Dziecię gdy Je wypielęgnuje i doczeka Jego

lat młodzieńczych. Oczom zaś Jej duszy, dano zostało zajrzyć wtedy w samej Serce Jezusa i widzieć je pałające miłością ku ludziom, a zakrwawione niewdzięcznością jaka je od nich czekała. Było to jakby powtórzenie się w Niej tajemnicy Wcielenia, jakby powtórnem poczęciem w Jej duszy Słowa odwiecznego, Syna Bożego, lecz w sposób odmienny. W tem bowiem jakby powtórnem Jej poczęciu Jezusa, ujrzała Go rozpoczynającego zawód w którym czekały Go największe jakie mogły spotkać istotę ludzką cierpienia, i w końcu śmierć najcięższa, najokrutniejsza, najboleśniejsza, najhaniebniejsza, jaką tylko wyobrazić sobie można. W chwili tej Marya stała się jakby inną od tego jaką weszła do Świątyni. Przyszła była do Niej Matką z Matek najszczęśliwszą, bo Matką Boga, Bogu zaofiarowującą Boga Mu równego; a oto stała się Matką z matek najsmutniejszą, najboleśniejszą: *Matką Boleści,* z sercem przeszytem *Mieczem* przez Samego Boga wyostrzonym, bo przez Samego Ducha-Świętego najwyraźniej Jej zapowiedzianym!

Wszakże nie zachwiało to wcale Jej niewzruszonego wewnętrznego pokoju. Owszem uczyniło go że się tak wyrażę jeszcze spokojniejszym, jeszcze niezachwiańszym, bo pobudziło to Ją do najdoskonalszego aktu poddania się woli i rozporządzeniom Boga we wszystkiem co się Jej Syna tyczyło, a przez to co i Ją Samą czekało.

A gdy wykonali wszystko według Zakonu Pańskiego, mówi dalej Ewangelia św., *wrócili do Nazaretu, miasta Swojego* *). Jakoż, po dopełnieniu obrzędu Oczyszczenia prawem Starego Zakonu przepisanego, Marya z Bo-

*) Łuk. 2 39

żem Dzieciątkiem na ręku, w towarzystwie Józefa, puściła się w drogę, a przebywszy zieleniejące się doliny Galilejskie, ujrzała się wkrótce w cichym swoim Nazarecie i weszła do domku w którym stała się była Matką Odkupiciela świata.

Lecz odkąd opuściła to Swoje ulubione, ukryte przed wrzawą świata mieszkanie, ileżto i jakiejże niezmiernej wagi zaszło wypadków? Jakaż to a jak smutna, jak bolesna zaszła w Jej sercu, już teraz przeszytem, zmiana. A tymczasem tu wszystko znajduje, niezmienione. Nad Nazaretem przyświeca jak zwykle zachodzące słońce i pozłaca jego białe domki; krzaki migdałowe otaczające ich dziedzińce kwiatem już pokrywać się zaczynają, winnice rozwijają się bujnie, i wszystko jak dawniej się odbywa. O! jak niezmienność natury okrutną i zimną się wydaje sercu, któremu bolesne zmiany ciężką ranę zadały!

Taką jest tedy tajemnica pierwszej Boleści przenajświętszej Panny, w ogólnym jej zarysie. Przejdźmyż teraz do zastanawiania się nad jej szczegółami. Czas w którym przypadła ta Boleść i przy jakiej czynności Maryi ten pierwszy Miecz przeszył Jej przenajświętsze serce, są zarówno godnemi uwagi.

Bo patrzmy: Marya tylko co uczyniła Bogu dar równy Jemuż Samemu. Nigdy podobna ofiara nie była złożoną od stworzenia świata, i nie może być podobnej, chyba żeby ją samą ponowić. Przez to Przenajświętsza Matka oddawała Bogu cześć, przewyższającą nieskończenie cześć jaką odbierał i mógł odbierać od świata całego i od całego nieba. Wiedziała zaś dobrze że składając w ofierze Ojcu Przedwiecznemu jak Jego tak i Jej Samej własnego Syna, a z wiedzą na co Go

zaofiarowywała — dopełniła ze swej strony czynu najheroiczniejszego na jaki tylko zdobyć się mogła, w porównaniu z którym wszelkie możliwe do złożenia Bogu heroiczne ze strony ludzi ofiary, są zupełnie niczem. Nagrodę też za to otrzymała niezwłoczną, i tą była Boleść niewymowna, a Boleść na całe Jej życie.

I takiemi są zawsze drogi Boże, takiemi drogami uświęcają się dusze. Krzyż, cierpienie jest zawsze zasiewem szczególnych łask Boskich; jest tu na ziemi początkiem splatania się wieńca szczególnej chwały w niebie. Z tego też powodu niepowodzenie wszelkiego rodzaju, pożądańszem jest i droższem dla każdej świętej duszy nad pomyślności i chociażby najgodziwsze uciechy tego świata. Wiedzą dobrze Święci, że cierpienie-to czyni ich najpodobniejszymi Jezusowi; spragnieni są cierpienia, bo i nadprzyrodzonym jakby instynktem i własnym doświadczeniem wiedzą, że jestto jednym z najdzielniejszych środków ściślejszego jednoczenia duszy z Bogiem. Nic lepiej nie przygasza przed oczami naszemi złudne błyskotki tego świata, jak cierpienie. Są one jakby wyjątkowej jasności światłością, rozjaśniającą nam najwłaściwszy nas grzesznych tu na ziemi stosunek z Bogiem. Zsyła zaś je mądrość Boga, zawsze odpowiednie naszym siłom do ich zniesienia i łaskom jakie za ich dla Niego cierpliwe zniesienie, chce nas obdarzyć.

Z tego miarkujemy jaką była świętość Maryi, jaka Jej siła do zniesienia cierpienia, do której Pan Bóg zastosował te któremi wtedy przeszył Jej serce, i jaki w tejże jednej chwili uczyniła w niej postęp, gdy je przyjęła z najdoskonalszem poddaniem się woli Boga i z niezachwianym pokojem. Nie potrzebowała Ona, jak to zwykle bywa z duszami chociażby do wysokiej doskonałości przeznaczonemi, stopniowego szeregu łask

niższych, żeby być gotową do przyjęcia wielkiej łaski kornego poddania się takiemu ogromowi cierpień jaki zwalił się na Nią, w Jej pierwszej Boleści.

Począwszy też od tej chwili, całe Jej życie było już nieustannem cierpieniem, a każdy powód radości źródłem smutku i niewymownego wewnętrznego ucisku. Nie było w Jej sercu ani punkciku gdzieby Boleść nie dosięgła. Każde Jej spojrzenie na Jezusa, każdy ruch Bożego Dziecięcia, każde słowo które wymawiało, wszystko to rozbudzało w Jej umyśle pamięć o tem co Jezusa czeka, i tego rodzaju pociechy macierzyńskie zamieniało dla Niej na pełne goryczy myśli. Nawet sam bieg czasu był dla Niej powolną a bezustanną męczarnią, bo czuła że w miarę jak on upływa, coraz to bliższym jest Ogrojec i Kalwarya. Ile razy popatrzała na Jezusa, stawał Jej na myśli obraz całej Męki Jego; było to dla Niej jakby ciągłem Jej rozmyślaniem, i do tego wszystko co się tyczyło Jej ukochaną Dziecinę jakby mimowoli odnosiła. Gdy białe jak dwie lilijki wyciągało Ono dłonie dla uczepienia się u dziewiczej szyi Matki, zdawało się Jej że widzi na nich te przebicia, któremi przygwożdżą je do krzyża. Gdy miłośnie i z przymileniem opierało główkę o macierzyńskie piersi, zdawało się Jej że widzi na Jego czole krew z pod korony cierniowej się sączącą. A gdy Go uczyła chodzić, przypominało się Jej jak kiedyś z krzyżem na ramionach idąc na Kalwaryę, pod jego ciężarem upadać będzie. W miarę zaś jak Dziecię, według wyrażenia Ewangelii świętej, *rosło i umacniało się pełne mądrości* *) rosły i umacniały się Boleści Maryi, bo coraz to Jezus stawał się Jej droższym, a coraz to wyraźniej przed-

*) Łuk. 2. 40.

stawiał się Jej obraz Męki i śmierci Jego, którą sam już bieg czasu coraz to bardziej zbliżał.

A tak odtąd życie Przenajświętszej Panny, stało się nieprzerwanem pasmem smutków i ucisków wewnętrznych, wszelkie wyobrażenie przechodzących, zatruwających dla Niej każdą pociechę serca macierzyńskiego, zamieniając już od chwili kiedy odbiły się o Jej uszy prorockie słowa Symeona, Jej macierzyństwo na bezustanne męczeństwo. Jak bowiem raz dowiedziała się, jak raz objawionem Jej zostało przez Samego Ducha-Świętego przemawiającego przez usta świętego starca, że jest Matką Tego, którego Pismo święte nazwało *Mężem Boleści**), musiała i Ona od tejże chwili stać się w całem znaczeniu tego wyrażenia *Matką Bolesną*. I można powiedzieć, że inaczej być nie mogło: inaczej bowiem nie odpowiedziałaby niezrównanej godności Swego macierzyństwa. Jako Matka Boga, odpowiadała temu niezrównaną najwyższą po Samym Bogu świętością Swoją. Jako *Matka Męża Boleści*, musiała znowu odpowiedzieć temu, największemi jakie może przenieść istota stworzona cierpieniami, a te nie byłyby takiemi gdyby nie były bezustannemi, odkąd dowiadując się o tem jakby drugiem Macierzyństwie Swojem, stała się Matką Bolesną. Jak bowiem przy Zwiastowaniu Jej przez Anioła, że ma zostać Matką Syna Bożego, odrzekła: *Oto Ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa twego***) i w tejże chwili Bóg wcielił się w Jej dziewiczem łonie, — tak znowu, gdy Prorok Pański zapowiedział Jej że ma zostać Matką najboleśniejszą, *że Duszę Jej własną przeniknie miecz****), w tejże duszy powtórzył się podo-

*) Izaj. 50. 2. **) Łuk. 1. 38. ***) Łuk. 2. 35.

bnyż akt poddania się woli najwyższej, i w tejże chwili Miecz ten przeszył Jej niepokalane serce: wtłoczył się w nie raz na zawsze, i morze goryczy, smutków i boleści zalało Jej duszę, nigdy już odtąd nie ustępując. Jak po Zwiastowaniu przez Anioła stawszy się Matką Boską, już nigdy ani na chwilę być Nią nie przestała — tak po przepowiedni Symeona, stawszy się Matką Bolesną, już nigdy, ani na chwilę bez boleści nie była.

Gdy jakiem nadzwyczajnem strapieniem dotknięci bywamy, stajemy się niezdolnemi do wszelkich zajęć chociażby najważniejszych. A nawet gdy cios przechodzący pospolitą miarą nieszczęść ludzkich nas dotyka, Pan Bóg uwzględniać raczy w takich razach naszą nędzę, i nie wymaga wtedy po nas tego co w istocie nasze pospolite siły moralne przechodzi. Potrzebujemy wypłakać się spokojnie i na ustroniu, potrzebujemy, że się tak wyrażę, *zoryentować się,* zapoznać z boleścią która nam serce przeszyła, i oswoić się z nią niejako, zanim weźmiemy się na nowo do spełnienia naszych obowiązków. A już nie mówimy o tych słabszych duszach, które krzątając się ochoczo w zawodzie jaki im Opatrzność przeznaczyła, gdy na nie wielki a niespodziany cios się zwali, upadłszy pod nim, już się dźwignąć nie chcą, i przez całą resztę swego życia, w bezczynnej gnuśności się pogrążają.

Lecz z Maryą ani jedno ani drugie miejsca mieć nie mogło. Bóg najwyższy zsyłając na Nią tę pierwszą Jej Boleść, która stać się miała już Boleścią całego Jej życia a wszystkie następne Jej Boleści streszczała i jakby w najwierniejszem źwierciadle w wyobraźni i Jej sercu utrwaliła — Bóg najwyższy zsyłając to na Nią, zbogacił Ją w tejże chwili takiemi łaskami, że mógł wyma-

gać po Niej żeby sobie w żadnych zajęciach Swoich, w żadnych obowiązkach ani na najkrótszą chwilę nie pofolgowała. I w istocie tak uczyniła.

Owoż, któż z nas nie wie jaką jestto męką, z ciężką w sercu raną oddawać się pospolitego życia zajęciom. Jaka wtedy rozbudza się w nas potrzeba usamotnienia, oderwania się od wszystkiego, usunięcia się od stosunku z ludźmi, których wtedy nawet i z ich miłości pochodzące usiłowania aby nas rozerwać, drażnią nas i trudną do zniesienia przykrość wyrządzają.

Tymczasem Marya, wróciwszy do Swego ubogiego domku w Nazarecie, a wróciwszy z sercem już przeszytem mieczem najcięższej jako matkę spotkać może boleści, do zwykłych swoich domowych zajęć wróciła niezwłocznie. A były to zajęcia i trudzące i ciągłe i kłopotliwe, bo Przenajświętsza Rodzina była bardzo ubogą. Jak święty Józef swoją pracą przy warsztacie ciesielskim, tak Matka Boża ręcznemi robotami niewieściemi zarabiali na życie. Że zaś sług żadnych nie miała, więc na Niej jednej wszystkie zajęcia domowe ciążyły. Na pozór tedy w Jej zwykłym trybie życia, żadnej nie było zmiany, lecz w istocie życie Jej już odtąd było zupełnie czem innem w porównaniu z poprzednio w temże cichem i odludnem miejscu spędzonem. Już rana zadana Jej sercu Mieczem pierwszej Boleści jątrzyła się ciągle, i nietylko nic cierpień od niej pochodzących nie łagodziło, lecz owszem stawały się one coraz to dotkliwszemi, coraz to bardziej macierzyńskie Jej serce rozdzierały. Czas nie przynosił Jej żadnej ulgi. Albowiem im bardziej myśli Jej zatapiały się w przyszłej Męce Syna, tem więcej okrutnych szczegółów mających Jej towarzyszyć przedstawiało się Jej wyobraźni, tem żywszych kolorów nabywał dla Niej ten obraz i tem coraz silniej utrwalał

się w Jej pamięci. Cała ta chociaż jeszcze odległa a tak okropna przyszłość, skutkiem jak tylko być może najżywszej wyobraźni, zamieniała się dla Niej na teraźniejszość. A jakby granic nie mająca Jej wiedza, dosięgająca najmniejszych odcieni cierpień wszelkiego rodzaju czekających Jej ukochane Dziecię, uzdalniała i Ją do odczuwania w najwyższym stopniu tych cierpień przez samo ich przewidywanie. Bystrość Jej pojęcia, była jakby narzędziem ciągle zaostrzającem ten pierwszy Miecz Jej Boleści, a niezrównana tkliwość i czułość Jej serca jako w naturze najdoskonalszej jaka tylko być może po naturze Boga Człowieka — podnosiła te Jej udręczenia do najwyższego możliwego w istocie ludzkiej stopnia.

Uderzającą jest w człowieku własność przyzwyczajania się, nabywania nawyknień, oswajania się z ubiegiem czasu z rzeczami najprzeciwniejszemi nawet jego naturze, jego najsilniejszym wrodzonym skłonnościom. Stąd z cierpieniami nawet chociażby bardzo ciężkiemi, gdy długo one trwają, oswajamy się niejako, i samo ich przedłużanie się chociażby nie czyniło je znośniejszemi, do znoszenia ich jednakże nas wdraża, i już przez to samo mniej dotkliwemi je czyni.

Lecz Maryi i ta, smutna wprawdzie, ale bądź co bądź ulga w cierpieniach, odmówioną była. Jej Boleść biorąca źródło swoje jedynie w miłości Jezusa, nie była boleścią jedną i tąż samą długo się przeciągającą, z którą dlatego właśnie mogłaby się była jakby oswoić; lecz była to boleść ciągle nowa, ciągle jakby niespodziana, nie przewidziana. Jak bowiem w miarę jak Jezus wzrastał, coraz to nowe objawiały się w Nim przymioty i przez to coraz to nowe zachodziły pobudki

podniecające miłość Maryi ku Niemu, tak przez to samo ponieważ ta właśnie miłość była źródłem Jej cierpień, Boleści Jej były ciągle nowemi boleściami, nie dającemi czasu do oswajania się z niemi.

I takiem było życie Przenajdroższej Matki naszej po powrocie Jej do Nazaretu z Jerozolimy, z której wróciła po uroczystem zamianowaniu na Matkę Bolesną: *I Twoją własną duszę przeniknie Miecz**). Przeniknął też on Ją, przeszył, utkwił w Niej i już ani na chwilę wtłaczać się nie przestawał, ani na chwilę ostrza swego nie przytępiał; owszem, coraz się ono zjadliwszem i coraz bardziej dowierającem stawało.

§. II. Główne cechy pierwszej Boleści Przenajświętszej Matki.

Jeśli pilnie zastanowimy się nad pierwszą Boleścią Przenajświętszej Panny, obaczymy, że zamyka ona w sobie wiele cierpień odrębnych, kilka ran oddzielnych. Najprzód uważajmy, że była to ofiara kosztująca Ją w najwyższym stopniu jaki tylko być może, w stopniu przechodzącym wszelkie ludzkie wyobrażenie. Ten bowiem który był Jej Synem, był także Jej Bogiem, a więc składała w ofierze to co było i mogło i powinno było być dla Niej i najdroższego i czci nieograniczonej najgodniejszego. Że zaś tem była ta ofiara przez Nią składana, o tem najdoskonalej wiedziała, i co ona za sobą pociągnie to przewidywała najdokładniej. Żaden czyn ludzki nie był rozważniejszym, dojrzalszym,

*) Łuk. 2. 35.

dobrowolniejszym bardziej zrozumianym przez dopełniającego takowy, od tego zaofiarowania Bogu Jezusa przez Maryę. A gdy w miarę jak po spełnieniu tego zaofiarowania, każda chwila przydawała Jej nowych Boleści, nigdy ani przemknęła się przez Jej umysł myśl cofnięcia raz uczynionej ofiary, co dla Niej straszniejszemby było od tego nawet, co wskutek tej właśnie ofiary, czekało Ją na Kalwaryi.

A w jakiej chwili zdobywa się na nią? Czy aby miała czas nacieszyć się Tym którego oddawała Bogu, którego jakby wyrzekała się z miłości Boga i ludzi, żeby Go zaofiarować na pojednanie ludzi z Bogiem, na zadośćuczynienie najwyższej sprawiedliwości, na otworzenie nam nieba zamkniętego grzechem? Czy mówię długo mogła cieszyć się Swojem Bożem Dzieciątkiem, bez jakby konieczności wydania Go za grzeszników, złożenia Go za nich w ofierze?

Oto przez czas, w którym przez dziewięć miesięcy posiadała Go w Swem dziewiczem łonie, wyglądała z pragnieniem pragnienia wszystkich Aniołów spragnionych oglądania oblicza Boskiego przechodzącem — chwili, w której wydawszy Go na świat, ujrzyć Go i najgłębszą a najpełniejszą miłości cześć będzie mogła Mu oddać. I doczekała tego, i w stajence Betleemskiej wyszedłszy z zachwycenia, w nocy Bożego Narodzenia, ujrzała Jezusa leżącego przed Nią na wiązce siana, a wyciągającego do Matki Boskie rączęta i uśmiechem, radości niebieskie stanowiącym, przymilającego się do Niej. Lecz zaledwie czterdzieści dni upłynęło od tej chwili, zaledwie dano Jej było zakosztować tych pociech rajskim pociechom w niczem nie ustępujących, a oto już ich pozbawioną zostaje. Snać na to chyba tylko miała ich przez tak krótki czas do-

stępować, żeby tracąc je zaraz w pierwszej Swej Boleści, tem srożej od tej straty cierpieć.

Jakoż, przepowiednia Symeona i nadprzyrodzone światło ogarniające umysł Maryi w chwili gdy tę przepowiednię usłyszała, jako też i szczególne objawienie wszystkiego co czekało zaofiarowywane wtedy przez Nią Dziecię — wszystkie dotychczasowe pociechy odrazu w nieprzebrane morze goryczy, smutku i w boleści serca zamieniły.

To też gdy Marya zaofiarowała Jezusa, gdy własnemi rękoma wydawała Go na całe okrucieństwo Jego boskiego posłannictwa, tem trudniejsza była dla Niej do zrozumienia, albo raczej do przeniesienia, ta przepowiednia świętego Proroka, którą zapowiadał on że nawet po odkupieniu i to takim kosztem świata, ludzie *sprzeciwiać się* Mu będą: że wielka ich liczba nauki Jego nie przyjmie, i, a co najsrożej przeszywało Jej serce, wielkie ich mnóstwo z własnej złości nie ujdzie potępienia. To bowiem wyrażały te straszne słowa Symeona, które on wyrzekł wskazując Maryi Dzieciątko Jezus: *Oto Ten położon jest na upadek wielu, i na znak któremu sprzeciwiać się będą* *).

Jakto! więc po dokonaniu męką i śmiercią Syna Bożego sprawy odkupienia, świat cały nie będzie u nóg Jego? Jeśli z nieprzebranego miłosierdzia Boskiego wyroków, dla zadośćuczynienia za grzechy wszystkich ludzi, poniesie On najstraszniejsze męczarnie i podda się najhaniebniejszej i najokrutniejszej jaka tylko być może śmierci, czyż jeszcze pomimo tego ludzie znieważać będą Boga? Czyż nie wszyscy co do jednego ile ich jeszcze do końca świata będzie, nie będą na-

*) Łuk. 2. 39.

leżeć do Kościoła przez Niego założonego, albo należąc do niego nie będą jego członkami żywemi, to jest świętymi, albo przynajmniej z całej siły o to się starającymi? Niestety, tak być nie miało i Marya o tem już wtedy dobrze wiedziała.

Ale cóż mogło znaleść się w Jezusie czemu ludzie *sprzeciwiaćby się* mogli, coby ich od Niego odstręczało? coby owszem, do Niego wszystkie i chociażby najtwardsze serca nie pociągnęło? Wszakże On był wcieloną najwyższą pięknością, najwyższą prawdą, najwyższą dobrocią, najwyższą mądrością, nieprzebranem miłosierdziem, samąż miłością! Tak jest w istocie, i któż lepiej wiedział o tem od Maryi, któż lepiej od Niej to rozumiał; a jednakże zapowiedziano Jej zostało przez Samego Boga przez usta Proroka, że pomimo tego, świat to jest ludzie, w znacznie większej swojej liczbie *sprzeciwiać się* *) Mu będą.

I wtedy stanęło Jej na myśli to nieprzeliczone pasmo dusz nie korzystających z zasług Boga Zbawiciela, którym ta Jej tak Ją niezmiernie kosztująca ofiara nietylko na żadną korzyść nie przyjdzie, lecz nawet ich złość powiększając niewdzięcznością względem Boga tak niezmierne dowody Swojej ku nim miłości dającego, — tem godniejszymi ciężkiej kary ich uczyni, *Ten położon jest na zgubę wielu* **) powiedział Symeon, i to było odrębnym Mieczem przeszywającym serce Tej która była Matką i matką najczulszą, najprzywiązańszą, i tych *wielu* a tak nieszczęsnych, wyrywających się dobrowolnie z pod Jej skrzydeł macierzyńskich, jak to przepowiadał Symeon.

O! nieszczęsna Matko! o Matko! i takim w tej pierwszej Twojej Boleści mieczem przeszyta! A więc

*) Łuk. 2. 29. **) Tamże.

w niepokalanem a tak kochającem sercu Twojem, od razu nie jedna rozwarła się rana, lecz coraz nowe i jakby jedna w drugiej już miały na zawsze i ciągle się zaogniać, ciągle się krwawić, jak owe cudowne Blizny świętego naszego Ojca Franciszka, nigdy zagoić się nie mogące!

Lecz obok tego, obok tak wielkiej Boleści Maryi z powodu wielkiej liczby dusz, nie mających, wskutek własnej złości, korzystać z tego zaofiarowania się na ich odkupienie Syna Bożego jakie wtedy dopełniał przez ręce Matki, była jeszcze i inna Boleść, odrębną i osobną zadająca Jej sercu ranę.

Symeon wypowiadając tę smutną przepowiednię o mających się gubić duszach, chociaż Krwią Baranka bez zmazy okupionych, wyraźnie zapowiedział, że będzie z nich jakby najwięcej w narodzie wybranym, w narodzie Izraelskim, a więc w narodzie który był narodem Przenajświętszej Panny, a przeto dla Niej i z tego powodu narodem najdroższym. Powiedział bowiem: *Oto ten postawion jest na upadek wielu w IZRAELU* *). I otóż nowa odrębna rana zadana sercu Maryi.

Wskutek zniedołężnienia naszej skażonej natury, jedne wrażenia jakie odbieramy, przygłuszane bywają drugiemi. A stąd i zmartwienia nawet, gdy kilka ich razem nas dotknie, *neutralizują* się niejako nawzajem, jakby łagodzą się jedne przez drugie. Gdy zaś wielkiego doznajemy strapienia, obojętnymi się stajemy na mniejsze przykrości przytrafiające się wtedy, i tyle się nam one czuć dają, ile krople drobnego deszczyku podczas wielkiej burzy. Gdy dźwigać nam przychodzi

*) Tamże.

krzyż bardzo ciężki, i mniejsze zwalające się na nas obok niego widzimy, ale ich ciężaru prawie nie czujemy.

Z Maryą nie tak się działo: z powodu Jej natury nieskażonej grzechem, a więc najdoskonalszej, najwrażliwszej i zdolnej najrozmaitsze wrażenia, jednocześnie jak najsilniej odczuwać, jedno wrażenie, chociażby najmocniejsze, innych nie przygłuszało wcale. Zdolna Ona była wszystkie razem, a z każdego z nich właściwą im zjadliwością zarówno odczuwać. A stąd, Boleść doznana przez Nią w chwili przepowiedni Symeona, z powodu zapowiedzianej Jej i przewidzianej odtąd przyszłości Jezusa, chociaż była siły niewymownej, pomimo tego nie przeszkodziło to żeby Jej serce i z innych jeszcze powodów nie zalał wielki smutek. A tem właśnie było i przepowiedzenie i przewidzenie przekleństwa Boskiego, jakie ściągnie na siebie Jej naród, Jej ojczyzna, przez nieuznanie Jezusa Mesyaszem.

Wszystkie chwały przeszłych czasów wybranego narodu, od jego cudownego wywiedzenia go przez Boga z niewoli Egipskiej, aż do jego świetnych czynów pod wodzą Machabeuszów dokonywanych, stanęły Jej wtedy na myśli. Przypomniała sobie wszystkie zmienne koleje, przez które przechodził Izrael, a z których zawsze tak szczęśliwie i z taką chwałą, wyprowadzała go najwyższa Opatrzność, z taką miłością nad ulubionem tem Swojem dziecięciem czuwająca. Stanęły przed Jej oczyma wszystkie groby Świętych Starego Zakonu, rozsiane po wzgórzach Judei. Przebiegała myślą wszystkie pola bitew, na których oręż Jej rodaków dokonywał z rozkazu Bożego pomsty nad wrogami Najświętszego Imienia Jego, i powstrzymywał szerzenie się panującego na całym świecie bałwochwalstwa. Ojczyzna

Maryi była to *Ziemia obiecana* *), którą zdobił i uświęcał wyjątkowy przywilej wyboru Boskiego, którą Pan Bóg wybrał na obsadzenie na niej Swego narodu wybranego, i w której miał przyjść na świat Zbawiciel od tylu wieków oczekiwany. Był to jakby w streszczeniu ten *Wschód,* z którego na cały *Zachód,* a następnie na świat cały, miało spłynąć światło Ewangelii i cała nowa chrześcijańska oświata. Miłość więc ojczyzny w Maryi, nie była tem tylko zwykłem przywiązaniem do kraju rodzinnego, jakim kochają swoję ojczyznę wszystkie dusze prawe, lecz było to razem i uczuciem nadprzyrodzonem. Kraina ta słusznie *Ziemią świętą* nazwana, była już przedtem miejscem pobytu Prawdy niebieskiej, jedynie w narodzie wybranym ją zamieszkującym wiernie w jego religii przechowanej, a oto tylko co w osobie wcielonego na niej Słowa przedwiecznego, Syna Bożego, stała się i Jego Ojczyzną. W porównaniu też z innemi krajami świata całego, Palestyna wyglądała bardziej na świątynię aniżeli na jakiś zwykły przedział geografii od innych części ziemi odróżniony. Nie było tam prawie ani jednej góry, na której nie zaszedłby jaki cud wielki, świadczący o potędze Boga w sposób szczególny nad Swoim ludem ukochanym czuwającego. Nie było ani jednej doliny, a tyle ich tam tak pięknych, tak barwnych kwiatami, tak odświeżanych jeziorami przeźroczystemi — do której nie byłyby przywiązane jakieś Boskie przyrzeczenia, pełne tajemniczych przepowiedni dla całego przyszłego Kościoła Chrystusowego. Nad skalistemi korytami jej rzek, nad malowniczemi brzegami jej kilku niewielkich mórz wśródziemnych, unosiły *się różne* pienia Biblijne, pełne

*) Deutor. 32. 1.

świętej bo przez Samego Ducha-Świętego natchnionej poezyi. Najrozmaitsze a najważniejsze i również w sposób wyjątkowy przez Boga natchnione proroctwa, ogarniały jakby siecią z nieba spuszczoną, różne miejscowości tego błogosławionego kawałka ziemi, zamieszkałego przez dwanaście pokoleń Jakóbowych, których jak cnoty tak i błędy miały religijne, mistyczne, przenośne i prorocze znaczenie, służące pisarzom ksiąg Biblijnych do jaśniejszego przedstawienia niektórych głębszych i trudniejszych do zrozumienia a odkrytych im wyjątkowem objawieniem, prawd wiary.

Zewnętrzna postać kraju tego, a tak wyróżniająca go od wszystkich innych krain całej ziemi, posłużyła tymże natchnionym pisarzom do obrazowania najważniejszych proroctw i przepowiedni zapełniających Pismo Starego Testamentu, a wkrótce miała stać się jakby ramami, jakby oprawą dziejów pobytu na ziemi Syna Bożego.

A przytem była tam Jerozolima. Sam Bóg najwyższy szczególnie umiłował to miasto, a umiłował je i jako Bóg, gdyż było to miejsce jedyne w świecie ówczesnym, gdzie w Świątyni Salomonowej oddawano Mu cześć prawdziwą — i umiłował jako człowiek miłuje ojczyznę, bo wiemy że Pan Jezus płakał przewidując i przepowiadając jego zniszczenie. Boleść Swoją doznaną wtedy porównywał do boleści matki chcącej dzieci swoje, od grożącej im zguby, skrzydłami macierzyńskiej opieki zasłonić, a widzącej że one wyrzekając się jej i gardząc jej miłością lecą na zgubę*).

Otóż, to co przywiodło Jezusa do płaczu, czyż i serce Przenajświętszej Matki mogło nie przeszyć jakby odrębnym Mieczem? nie zadać mu osobnej rany, gdy

*) Łuk. 19. 41.

wtedy i Jej stanęło na myśli to wszystko co czeka to tak ukochane i przez Nią miasto, za jego odrzucenie i zamęczenie Mesyasza?

Gdy więc wszystko zbiegało się do tego, żeby uczucie miłości ojczyzny, miłości kraju i narodu swego, w sercu Maryi było w najwyższym jaki tylko być może stopniu, nie trudno nam zrozumieć jak odrębną a ciężką Boleścią przeszyło Ją i to znowu proroctwo Symeonowe, gdy wyrzekł: *Oto ten położon jest na zgubę wielu w IZRAELU* *). Ta bowiem przepowiednia, rozbudziła w wyobraźni i umyśle Maryi najżywszy obraz wszystkich nieszczęść czekających naród wybrany, a po jego zaparciu się Jezusa, odrzucony i przeklęty przez Boga.

A przecież czyż takich to następstw z przyjścia na świat Syna Bożego mogła się spodziewać? Czyż przy pierwszym Jego kroku uczynionym przez Zbawiciela na rękach Matki w sprawie zbawienia ludzi, takie czarne chmury miały nagromadzić się na widnokręgu przyszłości malującym się przed oczyma Jej duszy? Czyż zaofiarowanie się Jezusa Bogu Ojcu za grzechy wszystkich ludzi, wtedy właśnie dokonane przez Przenajświętszą Matkę, nie powinnoby być zapowiedzią samych dowodów największej ku Niemu miłości ze strony tychże ludzi, a ze strony Boga samych Jego największych nad nimi miłosierdź? On zstępuje z nieba na ziemię jedynie z przechodzącej wszelkie ludzkie pojęcie miłości ku ludziom, a ludzie, według wyrażenia proroctwa Symeonowego *Sprzeciwiać się* Mu będą; a do jakiego okrucieństwa, do jakiego pastwienia się nad Jego Osobą Boską przyjść miało, to wtedy Maryi ze wszystkiemi swemi okropnemi szczegółami objawio-

*) Łuk. 2. 54.

nem zostało. A prócz tego, będzie już wkrótce miała jakby próbkę tego co czeka i Jego wyznawców, co czeka dusze wybrane, bliżej za Nim iść mające. Bo tego miała być zapowiedzią barbarzyńska rzeź Niewiniątek, którą według wszelkiego podobieństwa, dano Jej było już wtedy przewidzieć.

Ale bądź co bądź, czy w każdym razie, przyjście Syna Bożego na ziemię, i to wówczas zaofiarowanie Go przez Matkę Bogu Ojcu na zbawienie świata, wyjdzie na wielką chwałę Boga, i na wielki pożytek dusz ludzkich, aż tak przez Niego umiłowanych, że Sam przychodzi po nie z nieba na ziemię? Tak bezwątpienia, wyjdzie to na wielką chwałę Boga, na wielki pożytek dusz ludzkich, ale niestety! nie w takiej mierze, nie w takim stopniu, nie w takiej rozległości, w jakiej to nastąpić mogło i nastąpić powinno było. Przyjście Syna Bożego na ziemię, Jego Boskie posłannictwo jako Odkupiciela, zamykało w sobie możliwość nieograniczoną, i zwiększenia chwały Boga i uświątobliwienia wszystkich dusz, jakie do końca świata istnieć będą. Ale taką nieograniczoną możliwość, zawartą w sprawie odkupienia nieograniczoną dobrocią Boga dokonać się mającą, jakże fatalnie *ograniczyć* miała złość ludzka!

Gdy Marya rzuciła wzrok Swój proroczy w przyszłość świata, w przyszłość rodu ludzkiego, ujrzała że koniec końców, porównywając to jak ludzie skorzystali ze sprawy odkupienia, z tem czego w istocie, gdyby nie złość ich, dostąpić przez Nią mogli i powinni byli; porównywając tę chwałę Boga jaką Mu w rzeczywistości przyniosło Wcielenie się Jego, z tą chwałą jaka stąd, gdyby nie złość ludzka, wyniknąć mogła i powinna była, wszystko było jakby słabym tylko cieniem tego co Pan Bóg mógł po sprawie odkupienia oczeki-

wać od ludzi i co nastąpić mogło i powinno było. Pan Jezus bowiem, jak to zapowiadał i prorokował wtedy Matce Przenajświętszej Symeon, miał *być postawion* wskutek ich zaślepienia i złości, *na zgubę wielu* i to nawet *w Izraelu,*)* w narodzie wybranym, w narodzie który był narodem Maryi, i dla wielu a zawsze z ich własnej winy, stać się *kamieniem obrażenia **)* zamiast pobudką do tem większej oddawania chwały Bogu.

W późniejszych czasach, mogli Teologowie utrzymywać, że wykupienie Maryi przed Jej przyjściem na świat, i przez to uwolnienie Jej od skazy i skutków grzechu pierworodnego, w samejże chwili Jej Poczęcia, dla tego niepokalanem zwanego — było w pewnej mierze dostatecznem wynagrodzeniem sprawy wcielenia się Boga, wynosząc istotę stworzoną a czysto ludzką, bez połączenia Jej z Bóstwem, jak w osobie Chrystusa Pana, do najwyższej jaka tylko być mogła po Bogu doskonałości i świętości. Ale na wzgląd taki jako osobisty, pokora Maryi nie pozwalała; a stąd w Jej oczach nie było nic takiego, coby Jej Boleść z przewidzianych ograniczonych owoców sprawy zbawienia łagodzić mogło.

O! Matko nieszczęsna, o! matko najboleśniejsza! Otóż więc w tem przeszyciu pierwszym Mieczem Twojego Serca, pięć mu od razu ran zadanych! Musisz Syna droższego Ci nad wszystko, droższego nad miliony żyć gdybyś je miała, milszego niejako jak całe niebo bo w nim masz Boga za ludzi mającego umrzeć, zaofiarować na to: to jedna rana. A za to ludzie odpłacą się Mu niewdzięcznością: to druga. A nawet lud Twój własny, lud wybrany, Twoja ojczyzna tylu miłościami przez Ciebie umiłowana, za obejście się z Nim

---

*) Łuk. 2. 39. **) Izaj. 8. 14.

zostanie przeklętą: to trzecia odrębna Boleść. I nakoniec, ani Bogu chwały, ani ludziom pożytku nie przyniesie sprawa odkupienia tyle i takich ile i jakich przynieść mogła i powinna była, oto czwarta i piąta na duszy Twojej przy zaofiarowaniu Jezusa odebrana rana. Nieszczęsna! gdzież się zwrócisz dla szukania pociechy? Czy do Jezusa? Ależ Ty już na Jego Boskiej główce widzisz koronę cierniową, w Jego rączkach rany i gwoździe, a gdyś patrzała na Niego na rękach świętego Symeona uniesionego, zdawało Ci się że Go już ukrzyżowanego widzisz w górę podnoszonego. I odtąd takiem już będzie każde Twoje spojrzenie na Jezusa, takiemi myślami zatrute będą odtąd wszystkie Twoje pociechy, wszystkie Twoje macierzyńskie troski i starania przy pielęgnowaniu Bożej Dzieciny.

§. III. Wewnętrzne usposobienie Przenajświętszej Matki w Jej pierwszej Boleści.

Takiemi tedy były szczegóły pierwszej Boleści Przenajświętszej Panny, a nie będziemy długo rozwodzić się nad wewnętrznem usposobieniem z jakiem ją Marya przeniosła. Już bowiem można było zrobić sobie o tem wyobrażenie z tego co się powiedziało dotąd. A przytem są to owe *Wewnętrzne piękności tej Córki królewskiej* *) o których wspomina Psalmista Pański, a nazywając je *wewnętrznemi* daje do zrozumienia, że są one dla nas niezbadane: należą do tych tajemnic świętości Maryi, które tylko oko Boga dojrzeć

*) Psalm 44. 24.

i ocenić jest w stanie. Tu więc zwrócimy tylko uwagę na trzy szczególne łaski udzielone wtedy Maryi, a z któremi współdziałała Ona jak z każdą inną jak najwierniej, jak najdoskonalej, w stopniu według wyrażenia Teologów heroicznym.

Pierwszą z tych łask było to, że Marya czynem uznawała wszechwładztwo Boga; a wiemy że takowe uznanie najwyższej i nieograniczonej nad nami władzy Boga, jest podstawą wszelkiej należnej Mu czci od nas. Z tego wynika, że gdy Pan Bóg wymaga od nas czegoś, w układy i jakby w targi wchodzić z Nim nie można. W stosunkach człowieka z Bogiem, obowiązki są tylko po jednej a właśnie po naszej stronie. Pan Bóg względem nas do niczego nie jest obowiązany, a my winniśmy Mu uległość nieograniczoną, bez żadnego zgoła wyjątku, i wtedy to właśnie dopełniamy aktu najdoskonalszej wolnej woli naszej, gdy takowej uległości dajemy dowody w rzeczach wiele nas kosztujących. Cała też świętość duszy każdej, zawisła na jak najdoskonalszem uznaniu wszechwładzy Boga nad nami i niedopuszczaniu najmniejszej wątpliwości że czegokolwiek On od nas wymaga, zgadzać się to musi jak z Jego nieograniczoną dobrocią, tak i również najwyższą sprawiedliwością i takąż mądrością. I takowe to wewnętrzne usposobienie duszy, rozbudza i stale utrzymuje w niej żywą miłość Boga, i niezachwiany, bądź co bądź, pokój wewnętrzny.

Owoż, gdy mniej więcej wszystko dzieje się z nami po myśli naszej; gdy na widnokręgu życia naszego mało chmurek, albo wcale ich niema, nie trudno nam i wierzyć w powyższe prawdy i pamiętać o nich. Lecz gdy nadejdą cięższe chwile, gdy strapienie po strapieniu nas dotyka, gdy złość ludzka znęca się nad nami,

gdy we wszystkiem doznajemy bolesnych zawodów; a z drugiej strony jeśli na domiar próby spodoba się Bogu i wewnętrznemi uciskami przygnębić naszą duszę, — gdy zewsząd dotkliwemi ciosami rażeni, jeśli do Boga podnosimy oczy i serce, wydaje się nam że i On w słusznym gniewie odwrócił się od nas — o! wtedy to, wtedy, nie łatwo nam uznawać z miłosnem poddaniem się wszechwładztwo Boga nad nami. Trudno nam w takich razach przenosić wszystko co się na nas zwaliło, z niezachwianem przekonaniem że pochodzi to z woli lub dopuszczenia Tego, którego wyroki nad nami tylko uwielbiać powinniśmy; trudno nam poddawać się im bez najmniejszego cienia chęci nietylko ich zrozumienia, lecz nawet badania, dla czego względem nas są takimi a nie innymi.

Błogosławione dusze, które o tem pamiętają właśnie w chwilach, w których Pan Bóg w skrytych, a zawsze miłosierdzia pełnych wyrokach Swoich, cięższe próby zesłać na nie widzi potrzebę. Daje nam Pismo święte wzór tego, we wzniosłej postaci Hioba, dotkniętego, na wypróbowanie jego wierności Bogu, najcięższemi strapieniami. Gdy się zaś na niego najniespodziewaniej zwaliły, gdy w jednej chwili i wszystkie jego dzieci okrutnie wymordowane zostały przez jego wrogów i całe ogromne mienie swoje postradał, te tylko słowa powtarzał: *Pan dał, Pan zabrał, niech Imię Pańskie będzie błogosławione**). Wszelako, chociaż był to mąż święty, że jednak był człowiekiem ze wszystkiemi do każdego z ludzi przywiązanemi ułomnościami, wyszły z ust jego i skargi, które jakby echa jego pokornych jęków po dziś dzień powtarzają nam księgi Biblijne,

*) Hiob. 1. 21.

i podobnież w każdej duszy bardzo cierpiącej, rozbudzają się mimowolnie.

Lecz jakżeż daleko wznioślejszy wzór pokornego i najdoskonalszego poddania się najcięższym dla nas wyrokom Bogu, przedstawia nam Marya w tej pierwszej Swojej Boleści! Srasznemi były wieści jakie tajemniczy wysłaniec, jak to czytamy w księdze Hioba, przyniósł mu o wymordowaniu jego dzieci i złupieniu całej majętności przez Sabejczyków. Lecz czemże to było w porównaniu z tem, o czem dowiadywała się Marya z proroctwa Symeonowego i ze szczególnego objawienia jakie wtedy miała o całej męce i śmierci Jezusa? A czyż z ust Jej wyszła chociażby najlżejsza, najpokorniejsza skarga? Hiobowe święte skargi całą jedną z ksiąg Starego-Testamentu zapełniają, ucząc nas jak cierpieć powinniśmy i jakich tylko w wielkiem strapieniu użalań się przed Bogiem wolno nam dopuszczać się. Lecz milczenie Maryi stokroć, co mówię stokroć, bez żadnego porównania jest wymowniejszem, jest cudowniejszem, jest najwyższym wzorem jak najcięższe ciosy przenosić powinniśmy.

W tej też to pierwszej Boleści Swojej Przenajświętsza Panna uczyniła akt najzupełniejszego, najdoskonalszego, bezwarunkowego poddania się woli Ojca przedwiecznego, we wszystkiem co tylko najboleśniejszego Jezusa i Ją Samą czekało. Wtedy zaszła, że się tak wyrażę, rdzenna zmiana w Jej sposobie widzenia rzeczy, w Jej sposobie zapatrywania się na wszystko? Dotąd Jezus był dla Niej źródłem i powodem i przedmiotem najwyższej nadziemskiej pociechy Odtąd trzeba żeby w Nim miała i widziała źródło i powód i przedmiot najcięższych jakie kto kiedy przebył strapień, cierpień i boleści. Jak więc się wyraziliśmy, musiała od owej

chwili zmienić cały Swój sposób widzenia rzeczy, całe Swoje zapatrywanie się na wszystko. A jakże ważna i głęboka zawiera się w tem dla nas nauka, i to nietylko co do zachowania się naszego w razie wielkiego nieszczęścia, lecz w ogólności gdy idzie o to, abyśmy się na wszystko nie z punktu własnego, osobistego, ludzkiego sposobu widzenia, lecz wedle Boga zapatrywali.

Każdy z nas ma pewny a właściwy mu sposób zapatrywania się na wszystko, a zwłaszcza na rzeczy bliżej go samego obchodzące. To stanowi to co nazywamy sposobem myślenia, a co jest główną podstawą tego co znowu określamy pod nazwą charakteru człowieka. A że takowy sposób widzenia rzeczy jest tak różny jak różne są osobistości ludzkie, więc z tego to wynika że ludzie tak rzadko zgadzają się z sobą w wypadkach najpospolitszych, i zaledwie przystają na jedno w rzeczach pod zmysły podpadających, chociaż i to jeszcze najrozmaiciej sobie tłumaczą i oceniają.

Taki zaś sposób widzenia rzeczy, taki sposób myślenia, a tak rozmaity, wyradza się w nas z mnóstwa okoliczności od nas niezależących: z pewnego usposobienia naturalnego, z wrażeń odbieranych od dzieciństwa, z otoczenia w jakiem wzrastamy, z epoki czasu w jakiej żyjemy, z rodzaju wychowania jakie odbieramy, ze stanu w jakim się znajdujemy, narodowości do której należymy, i wreszcie z kolei przez jakie w życiu przechodzimy.

Ale co główną odgrywa tu rolę, co przeważnie wpływa na nasz sposób myślenia i zapatrywania się w ogólności na rzeczy jak największej wagi tak i na pozór pospolite — to nasze przekonania religijne, a następnie ich zgodność lub niezgodność z jedyną religią

prawdziwą i wierniejsze lub mniej ścisłe zastosowywanie się do jej praw i przepisów.

Stąd nie masz większej, bardziej uderzającej w sposobie myślenia i zapatrywania się w ogólności na rzeczy różnicy, jak pomiędzy osobami albo innej religii, albo i tejże samej, i chociażby prawdziwej, lecz nie w równym stopniu poddającemi się jej zasadom i prawom. Proszę porównać sposób myślenia katolika gorliwego, ze sposobem myślenia z tem mnóstwem katolików zimnych i obojętnych, a łatwo się o tem przekonać. A nawet porównywając wiernego syna Kościoła, ale na pospolitych drogach prawowierności się ograniczającego, z osobą dążącą do wyższej doskonałości chrześcijańskiej, z osobą gruntownie i bardzo pobożną — jakąż wielką i w wielu rzeczach znajdziemy różnicę w ich sposobie myślenia, w ich zapatrywaniu się na rzeczy! I w końcu przekonamy się że cała różnica, jaka zachodzi pomiędzy Świętymi a nami na pospolitych drogach ograniczających nasze starania o zbawienie, pochodzi z różnego ich od naszego zapatrywania się na rzeczy, pochodzi z różnicy pomiędzy naszym a ich sposobem myślenia. Gdy bowiem od wewnętrznego to usposobienia naszego, od naszego sposobu widzenia rzeczy zawisły i nasze postępki, więc i cnoty są owocem właściwego, świętego, według Boga i prawd przez Niego nam objawionych sposobu myślenia; a nawzajem wszelkie w nas wady, wszelkie nasze zboczenia, mają swoje źródło w braku zgodności naszego zapatrywania się na wszystko z zapatrywaniem się na to tak, jak zapatrywać się na to powinniśmy.

Lecz jakże-to my powinniśmy zapatrywać się na wszystko? jaki mieć sposób myślenia, sposób widzenia rzeczy, a zwłaszcza bliżej nas samych się tyczących.

Oto nie inny jak ten, jaki o tem ma Sam Bóg, i o ile nam to światłem rozumu i naturalnem i nadprzyrodzonem raczy objawiać. I Pan Bóg bowiem, albo raczej i w Bogu jest pewien sposób widzenia rzeczy, a stanowiący najwyższy, nieograniczony, niestworzony i odwieczny rozum.

Jest w Bogu sposób widzenia rzeczy wszystko ogarniający, począwszy od najdrobniejszego tworu rąk Jego, od małej trawki, od listka mchu rosnącego na drzewach, aż do najcudowniejszych dzieł Jego łaski, jakiemi są duchy niebieskie. Wszystko to On ogarnia Swoim sposobem widzenia rzeczy, i według Niego każdemu z tworów Swoich daje właściwe przeznaczenie, obdarzając każdy potrzebnemi środkami do spełnienia takowego. Istoty bezmyślne, istoty nie posiadające rozumu i woli, spełniają swoje przeznaczenie ślepo i niewolniczo stosując się do sposobu myślenia o nich Boga, ale że to czynią bezwiednie, więc przez to nabywać jakowej zasługi nie mogą. Istocie zaś rozumnej i wolną wolą obdarzonej, jakim jest człowiek, Pan Bóg przez światło rozumu objawia jaki jest Jego sposób widzenia rzeczy względem niego, i wolnej woli jego przedstawia pole do nabycia zasług przez zastosowanie się do tego. I co większa, żeby go do tego silniej skłonić, grozi nawet karą za niezastosowanie się do Jego sposobu myślenia, a przyrzeka nagrodę stosującym się do takowego.

Z tego tedy widzimy, że na zastosowaniu się naszego myślenia o rzeczach w ogólności, a zwłaszcza tyczących się naszej duszy, do sposobu myślenia o tem Samego Boga, zawisła cała tajemnica jak naszego zbawienia, tak i najwyższego uświątobliwienia. W sposobie myślenia i zapatrywania się na rzeczy przez Boga, są przewidziane wszelkie nasze usposobienia, wszystko

co się nas dotycze, wszystkie koleje życia jakie przebywać mamy, z najdrobniejszemi ich okolicznościami. A co do naszego zbawienia i uświątobliwienia, przeznaczone są i przygotowane wszelkie łaski, to jest wszelkie niezbędne do tego nadprzyrodzone środki i pomoce. Z naszej zaś strony idzie tylko o to, a idzie koniecznie, żebyśmy rozpoznawszy zamiary względem nas Boga, ten jego względem nas sposób myślenia całkowicie podzielali, wyrzekając się chociażby to najbardziej kosztujących nas ofiar wymagało, naszego własnego sposobu myślenia, naszego osobistego zapatrywania się na rzeczy.

Lecz skutkiem skażonej natury naszej grzechem pierworodnym, a stąd skutkiem zaślepienia naszego rozumu i skłonności do złego, jakże to nam niełatwo przychodzi w ogólności, a jak trudno gdy Pan Bóg, mając wyjątkowe jakowe względem nas zamiary, wyjątkowe zsyłać musi na nas próby, żeby nas do nich usposobić i godnymi ich uczynić. Wtedy to potrzeba abyśmy wyrzekając się całkowicie naszego osobistego sposobu widzenia rzeczy, naszego sposobu myślenia, opartego na miłości własnej, całkiem weszli w zamiary względem nas Boga, i Jego o nas i o wszystkiem co się nas tyczy sposób myślenia podzielali. A jak powiedzieliśmy rzecz to niełatwa gdy kogo Pan Bóg do wyższej świątobliwości powołuje, nie nabywającej się na innych drogach jak najeżonych cierniami i obfitych w krzyże tem częstsze i cięższe, im do wyższej doskonałości zamierza dobroć najwyższa doprowadzić jaką duszę. Wtedy to potrzeba nam tak przeistoczyć nasz własny sposób widzenia rzeczy, aby go zgodzić najdoskonalej z widzeniem rzeczy Boga Samego, żebyśmy według wyrażenia świętego Pawła jakby *w nowego,* to jest innego jakim byliśmy, *przemieniali się czło-*

wieka. *) Abyśmy tak we wszystkiem przeistoczyli nasz własny sposób widzenia rzeczy, na sposób myślenia Jezusa, żebyśmy z tymże świętym Pawłem w całej prawdzie powiedzieć mogli: *Żyję już nie ja, lecz żyje we mnie Chrystus.* **)

Jest to ową mistyczną śmiercią, onem zamarciem wewnętrznem, zaparciem się doskonałem samego siebie, którego domaga się Pan Jezus, po chcących jak najbliżej iść za Nim ***). A nie dochodzi się do tego szczytu doskonałości chrześcijańskiej, jak po wielu i niekiedy długich walkach, po długiem i mniej więcej ciężkiem wewnętrznem konaniu. Trzeba przebyć ciężkie zapasy, wśród których nieraz i upaść przyjdzie, ale z których dusza wybrana i przeznaczona do wyższej świątobliwości, za łaską Boską i wiernem ile możności z nią współdziałaniem, wychodzi zwycięsko. Jestto dla duszy czemś podobnem do tego czem dla ciała bywają najboleśniejsze a i najniebezpieczniejsze operacye chirurgiczne, po których jednakże odzyskuje się najczerstwiejsze i najzupełniejsze zdrowie.

Otóż, pierwsza Boleść Maryi od razu sprawiła w Niej to wszystko. Albo właściwiej mówiąc zastała Jej duszę tak już ściśle zjednoczoną z Bogiem i z wolą Jego, w tak obfite łaski bogatą, że to co w innych duszach, żeby je usposobić do doskonałego poddania się wyrokom Boskim w najcięższych ciosach, potrzebuje czasu i jakby stopniowego coraz wyższego uświątobliwienia, u Niej znalazło się już od razu gotowem. Było zaś to skutkiem tego nadmiaru łask w jaki już i przedtem opływała, a zwłaszcza łask zlanych na nią w mierze jakby granic nie mającej, gdy stała się Matką Boga.

*) Ef. 4. 24. **) Galat. 2. 20. ***) Mat. 16. 24.

Marya jak gdy zawezwaną była w chwili Zwiastowania do dania Swego przyzwolenia na stanie się Matką Odkupiciela, tak teraz w tej pierwszej Boleści, przez zaofiarowanie Swego Boskiego Syna Ojcu przedwiecznemu i po wysłuchaniu proroctwa Symeonowego, zgadzała się na wszystko co Go czekało w sprawie odkupienia: dawała przyzwolenie na straszną Mękę Jego i śmierć najokrutniejszą. Dano Jej było wtedy przewidzieć jak najdokładniej co Ją z tego powodu czekało. Wiedza Jej oświecona nadprzyrodzonem światłem dosięgała wszystkich szczegółów czyniących ofiarę jaką wtedy składała Bogu z miłości ku Niemu i ku ludziom, jak tylko być może najbardziej kosztującą serce Matki, i jeszcze takiej jaką Ona była. A pomimo tego, weszła Ona najzupełniej w zamiary Boga względem Jej Syna i Jej Samej, przyswoiła je Sobie całkowicie, poddała się bez najmniejszego oporu woli Boga, i ten pierwszy Miecz Boleści przeszywający Jej serce macierzyńskie, nietylko z poddaniem się lecz z miłością do tegoż serca w które się wtłaczał, przycisnęła.

To też trzeci rodzaj wewnętrznego usposobienia Maryi, na który zwrócić powinniśmy uwagę, w tem się nam objawia w tej pierwszej Boleści Przenajświętszej Matki, że Ona nietylko poddaje się wyrokom Boga ogłoszonym Jej przez proroctwo Symeona, lecz się na nie zgadza, przyzwala na nie, jakby się one najzupełniej z Jej własną wolą zgadzały, najdoskonalej jej odpowiadały.

Tymczasem z nami zwykle inaczej się dzieje. W razach cięższej jakiej zesłanej na nas przez Boga próby, w razach zwłaszcza jakiego bolesnego ciosu niespodziewanego, pomimo za łaską Boską poddawania się wtedy woli najwyższej, czujemy wszelako, chociażby

mimo chęci, wstręt ku temu co nas tak wiele kosztuje. Stąd też im wstręt takowy jest silniejszym, a nasze przezwyciężanie takowego usilniejszem, tem większej ceny nabiera pomimo tego czyniona przez nas ofiara Bogu. Lecz w Maryi tej walki, tego jakby pasowania się własnej woli z wolą Boga nie było wcale. Mogło to być, i byłoby Jej dało pole do nowej zasługi, ale nie było, gdyż nie zgadzało się to z Jej najwyższą, niedoścignioną dla żadnej innej duszy doskonałością i świętością. Największa bowiem zasługa w czynionej Bogu a bardzo nas kosztującej ofiary, cała Jej w oczach Jego krasa, kwiatem nadającym Jej najmilszą woń przed Bogiem, jest pospieszność w jej złożeniu, będąca dowodem naszej gotowości do spełniania w tem woli Boga.

Wprawdzie w podobnym razie, gdy chodziło o niezwłoczne już zaofiarowanie się na Mękę i śmierć, Pan Jezus w Swojej modlitwie ogrojcowej, dopuścił na Siebie wstręt najsilniejszy, z którym walka w Jego naturze ludzkiej odbywająca się, aż krwawy pot na Boskiem ciele Jego wywołała. Lecz ten wstręt jakiego wtedy raczył doznawać Zbawiciel, pochodził w Nim nie od wstrętu do spełnienia woli Ojca przedwiecznego, lecz od wstrętu jaki obudzały w Nim wszystkie grzechy ludzkie, za które miał iść na śmierć i Mękę, a które się Mu wtedy przedstawiły w całej swojej ogromnej masie i ohydzie. Pan Jezus, w owej szczególnie chwili, przedstawiał się sprawiedliwości Ojca przedwiecznego, jako obarczony wszystkiemi grzechami ludzkiemi, które raczył przyjąć na Siebie. Przedstawiał się jako z własnej woli przedmiot zagniewu Bożego, na którym sprawiedliwość najwyższa miała się wywrzeć, żeby godne otrzymać zadośćuczynienie. Więc wstręt jakiego wtenczas Jego natura ludzka doznawała, był to wstręt który

nie mógł nie obudzać się w Jego człowieczeństwie najświętszem i najniewinniejszem, gdy Ono przyjęło na Siebie brzemię wszystkich win, złości, zbrodni i najobrzydliwszych występków jakich dopuścili się ludzie od początku świata, i dopuszczać się mieli do jego końca. Stąd w Panu Jezusie, był to pod pewnym względem szczyt w Jego Męce, wprawdzie wewnętrznej tylko, lecz podobno z całej Jego i zewnętrznej Męki największe zadający Mu cierpienie, czego był dowodem i objawem pot krwawy który Go niejako obalił na ziemię. Był to więc i szczyt w Jego zaofiarowaniu się za nas.

Lecz dla Maryi nie zachodziły powyższe powody do tego, żeby w ofierze jaką w pierwszej Boleści Swojej składała Bogu Ojcu przedwiecznemu, miała doznawać wstrętu. Gdyby go czuła, byłby to tylko wstręt naturalny do cierpienia, jakiego każdy doznaje. To zaś nie zgadzało się z Jej niezrównaną doskonałością, z najdoskonalszem jakie tylko być może zjednoczeniem Jej woli z wolą Boga, z Jej zapatrywaniem się na wszystko nie inaczej jak według zamiarów najwyższej Opatrzności, według zapatrywania się Boga.

Była chwila w życiu Przenajświętszej Panny, w której Jej wola jakby zawahała się była w zgadzaniu się z wolą Boga, albo prawdziwiej mówiąc, w której Ona nie wiedziała z pewnością czy to co Jej objawionem zostało przez Anioła, nie sprzeciwia się woli Boga, według której poślubiła była dozgonne dziewictwo. Bo gdy Jej Anioł Gabryel zapowiedział był że ma się stać Matką Syna Bożego, *Strwożyła się* *) na to, jak się wyraża Ewangelia święta, i rzekła: *Jakże się to stać może, kiedy męża nie znam* **). Ale skoro dowiedziawszy się

*) Łuk. 1. 29. **) Łuk. 1. 34.

wyraźniej że jest wolą Bożą żeby była Matką Odkupiciciela, gdy znowu powiedziała *Oto ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa Twego* *), już odtąd wola Jej zanurzona w woli Boga, nigdy najmniejszego nie czuła wstrętu w zastosowaniu się do niej.

Tak na powierzchni uciszonego morza, jeśli niekiedy ulatujący nad niem orzeł morski, ruchem skrzydeł wywoła lekką falkę, ta zazłociwszy się odbiciem w sobie promieni słonecznych wnet się rozpływa spokojnie na bezdennym obszarze, i najmniejszego po sobie nie pozostawia śladu. Podobnież po chwilowem zatrwożeniu się na słowa Anioła, działo się z wolą Maryi: zjednoczywszy ją z wolą Boga przy Zwiastowaniu, już nigdy i w najcięższych jakie Ją czekały ciosach Jej nie odłączała od tej przenajświętszej woli, i z największym wewnętrznym spokojem poddawała się takowej. Jakkolwiek z czasem miał zalać Jej niepokalaną duszę cały ocean Boleści niewymownych, na cichej powierzchni Jej wewnętrznego spokoju, żadna falka się nie zakołysała ani na chwilę.

§. IV. Czego nas uczy Przenajświętsza Matka w Swojej pierwszej Boleści.

Lecz następnie przejdźmy do nauk jakie nam daje ta pierwsza Boleść Przenajświętszej Matki, a która stała się Boleścią już odtąd całego Jej życia.

Na świecie takim nawet jakim jest obecnie, to jest miejscem wygnania człowieka za karę jego buntu podniesionego przeciw Bogu, boleść, nieszczęścia i wszelkiego rodzaju cierpienia, w tak wielkiej mierze będące

*) Łuk. 1. 38.

udziałem ludzi, przedstawiają w sobie tajemnicę, każdy byle trochę umysł głębszy uderzającą. Pomimo bowiem smutnych i jak smutnych warunków życia doczesnego, ileż to z drugiej strony, bądź co bądź znajduje się źródeł, z których my biedni wygnańcy Ewy, na tej dolinie płaczu, i pociech doznać możemy, a pociech i najgodziwszych i najświętszych nawet.

A najprzód, wszak chociaż świat ten stał się dla nas miejscem wygnania z ojczyzny raju ziemskiego, w którym pierwotnie niewymowna dobroć Boga umieściła człowieka, a więc stał się miejscem kary — to jednakże pomimo tego, Bóg najwyższy na tym świecie przebywa, i wszechobecnością Swoją nietylko wszędzie się znajduje, lecz i rzecz każdą przenika i w sobie zawiera. A gdzie jest Bóg, czyż cierpienie, czyż boleść, czyż smutek, czyż nieszczęście istnieć może? A jednak istnieje ono na ziemi i to jeszcze w jakże przeważnej mierze!

Następnie, jeśli bez uprzedzenia zwykle z wygórowanej miłości własnej pochodzącego, oceniamy nasze stosunki z ludźmi, ileż to od nich doznajemy przychylności, współczucia, miłości, które i źródłem niemałych pociech być powinne i osłodą skądinąd doznawanych strapieniach.

A nawet, widok powabów całej natury widzialnej, widok piękności świata materyalnego, wszystkich tworów ziemskich w ich potrójnem królestwie, istot nieożywionych, i następnie roślinnych, zwierzęcych i planetarnych, czyż nie jest także uciechą w swoim rodzaju, a we właściwych granicach trzymaną uciechą godziwą, bo w końcu powinna ona podnosić myśl naszą do Stwórcy najwyższego, który to wszystko wyprowadził z nicości dla posługi, pożytku i rozweselania człowieka.

Ale nadewszystko, czyż na tej dolinie, a jużcić słusznie doliną płaczu nazwanej, wśród tego wygnania z raju ziemskiego, nie mamy tego raju powtórnego, który nam stworzył tu na tejże ziemi przyjściem na nią Syn Boży i założeniem Swego Kościoła, ze wszystkiemi nadprzyrodzonemi pomocami jakie nam w nim zapewnił i najdostępniejszemi uczynił, nieprzebranej ceny zasługami męki i śmierci Swojej? Bo koniec końcem, prawdziwem, rzeczywistem nieszczęściem jest tylko grzech, a prawdziwym uzasadnionym powodem smutku jest nasza nieszczęsna skłonność do niego, jest to wszystko co bywa wiodącą do niego okazyą, co nas na to jedyne rzeczywiste nieszczęście wystawia. Ależ właśnie na to jakież środki ratunku, jakież zabezpieczenia, jakież pociechy a niepłonne, mamy zapewnione sobie w Kościele krwią i śmiercią najdroższego Odkupiciela założonym, a środki najprzystępniejsze dla nas w każdej chwili, w każdem położeniu, słowem, w każdej potrzebie.

Nareszcie czyż dla człowieka może być co większą uciechą, większem a najprawdziwszem szczęściem, jak obcowanie z Bogiem, jak z Nim rozmowa, jak wreszcie z Nim zjednoczenie się duszy jak tylko być może najściślejsze? A czyż i jednego i drugiego nie dostępujemy na ziemi, pierwszego przez modlitwę, drugiego przez przystępowanie do Przenajświętszego Sakramentu Ciała i Krwi Pańskiej?

A jednakże pomimo tego wszystkiego, pomimo tylu źródeł niewymownych pociech, cierpienie, boleść, pod najrozmaitszemi postaciami i cierpień fizycznych i jeszcze dotkliwszych moralnych, jak w dziejach całej ludzkości, tak w historyi życia ogromnie, bez żadnego porównania większej liczby ludzi, jest główną osnową: jest jakby nieprzerwanym wątkiem z nadzwyczaj ma-

łym wyjątkiem. A nawet i ta mała liczba osób które pozornie przynajmniej, mniej od ogółu smutnemu prawu cierpienia nie podpadać wydają się, ma pod tym względem jakby swoje katakumby: doznają i tacy cierpień i bardzo ciężkich, tylko że ukrytych przed drugimi. I tak nazywani wybrańcy losu, którym wszystko na tej ziemi uśmiechać się zdaje i wszystko dziwnie się wiedzie, miewają swoje krzyże, a chociaż ozłocone, niemniej przez to ciężkie, tem zaś trudniejsze do dźwigania, że na nie nawykłe do nich spadają barki.

Gdy więc od cierpienia nikt z nas na ziemi wolnym nie jest, gdy nawet w ogromnej przewadze jest ono udziałem większej liczby ludzi, cóż bardziej nam potrzebnego jak umiejętność znoszenia cierpienia. Otóż tej to właśnie, a kto wie czy nie najtrudniejszej a jednakże najpotrzebniejszej, że się tak wyrażę, sztuki, uczy nas Marya, jak w każdej z Siedmiu Boleści Swoich, tak szczególnie w tej pierwszej którą teraz rozważamy. Ta bowiem Jej Boleść była nietylko początkiem następnych Jej Boleści, lecz była jakby ich streszczeniem, gdyż w niej to, wtedy to, przez proroctwo Symeonowe i przez szczególne objawienie, stanął przed Jej myślą i wyobraźnią najdokładniejszy, najżywszy obraz wszystkich cierpień jakie Ją przez całe życie czekały.

Przypatrzmy się więc jak Marya tę pierwszą Swoją Boleść przenosiła, i bierzmy z tego naukę jak my wszelkie cierpienia, za łaską przez Nią nam wyjednywaną, znosić powinniśmy.

Pierwszą tedy nauką jaką nam tu daje Matka Bolesna, i pod pewnym względem najłatwiejszą do zastosowania się do niej jest, żebyśmy wszelkie cierpienia nasze łączyli, jednoczyli z cierpieniami Jezusa. Ta pierw-

sza Boleść Przenajświętszej Panny pochodziła z jak najdokładniejszego przewidzenia tych strasznych cierpień jakie Jej Boskiego Syna czekały. Doznana więc wtedy przez Nią Boleść, była jak tylko być może złączoną, zjednoczoną z cierpieniami Jezusa, kiedy one to, kiedy te to cierpienia Jezusa, były głównym owszem jedynym powodem Jej Boleści. To stanowiło niezrównaną, nieograniczoną świętość Jej cierpień, to nadawało im nieskończone zasługi, to sprowadzało na Nią cały nadmiar łask niebieskich, które Ją do coraz wyższego szczytu świętości podnosiły, i obdarzyły tem niezachwianem męstwem i cierpliwością, pojęcie nasze przechodzącem i najchętniejszem poddawaniem się woli Boga w najcięższych strapieniach.

Wprawdzie cierpienia jakich doznać możemy, nie mają tak świętego źródła: nie bywają jak Boleści Maryi spowodowywane jedynie współczuciem z cierpieniami Jezusa. Nie są, same w sobie uważane, tak świętemi cierpieniami jak niemi była ta pierwsza Boleść Maryi i wszystkie inne w niej już zawarte. Lecz z nieprzebranego miłosierdzia Boskiego, możemy je uświęcić i do zasługi nadprzyrodzonej cierpień Jezusa podnieść, z Jego cierpieniami je łącząc, owszem jednocząc: w Jego cierpienia nasze zanurzając, w naszem każdem cierpieniu widząc jakby cząstkę cierpień przez Niego doznanych, jakby *relikwie,* jakby odłomki, jakby okruszyny z nieprzebranego skarbu zasług nieograniczonych, okrutną Jego Męką w której wszelkiego rodzaju cierpienia ludzkie się zamykały, nabytych. Kropla chociażby najbardziej różniącego się od wody morskiej płynu, w obszar morza wpuszczona, znika w nim niejako i staje się wodą jednąż z morską wodą. Tak cierpienia nasze złączone z cierpieniami Jezusa, zanurzone w otchłań morza Jego cierpień, Jego męki i strasznej śmierci, w oczach Ojca przedwie-

cznego tak się z Jego zasługami zespalają i takiej nabierają ceny, jakby to były cierpienia jak Boleści Maryi, jedynie ze współczucia z cierpieniami Jezusa doznane.

Każda godziwa sprawa nasza, o tyle ma przed Bogiem zasługi nadprzyrodzonej, o tyle na wieczne w niebie zasługuje nagrody, o ile podjętą i dokonaną jest w zjednoczeniu ze sprawami Jezusa: *Wszystko cokolwiek robicie,* mówi Apostoł, *w imieniu Chrystusa czyńcie* *). Lecz ileż to spraw naszych i mniejszej i największej wagi bywa takich, w których nie łatwo nam być pewnemi, że przez ich zjednoczenie ze sprawami Jezusa, uświęcać je i do zasługi nadprzyrodzonej podnosić możemy. Bo chociaż i najobojętniejsze sprawy, byle godziwe, możemy tym sposobem taką *intencyą,* taką pobudką uświęcać, ileż to ich jednakże bywa takich, w których nie możemy być pewni czy zgadzają się one z wolą Boga: czy miłością własną lub inną namiętnością zaślepieni, nie poczytujemy sobie za godziwe albo nawet chwalebne, to co w istocie w oczach Boga tem wcale nie jest. O! ileż to, niestety, spraw naszych, które mieliśmy za zasłużalne przed Bogiem, gdy będą roztrząsane przez Niego na sądzie czekającym duszę zaraz po jej zejściu ze świata, znajdzie się wcale nie takiemi za jakie je mieliśmy za życia! Ileż to ich okaże się skażonych miłością własną, będących nie tyle sprawami dla Boga i wedle Jego woli dopełnionemi, ile pochodzącemi jedynie z naturalnego tylko naszego w nich upodobania, z pominięciem najwyraźniejszych i najważniejszych naszych obowiązków. To co nazywamy *fałszywą dewocyą,* fałszywą pobożnością, to jest oddawanie się jakowym ćwiczeniom pobożnym albo ostrościom życia, z jakiegokolwiek powodu dla nas

*) Kol. 3. 17.

niewłaściwym, jest jednem z tych złudzeń, któremu łatwo podpadamy, jeśli w rzeczach tyczących się wyjątkowego pod tym względem sposobu życia, nie idziemy za radą i wskazówką światłego przewodnika duchownego. Co więcej, nawet sprawy same z siebie chwalebne i pożytek przynoszące bliźniemu, jeśli nie według woli Boga względem nas wykonywane, nietylko pozbawione są wszelkiej przed Bogiem zasługi, lecz niekiedy niemałą szkodę przynoszą duszy a dla drugich bywają powodem wielkiego zgorszenia i słusznego narzekania. Wtedy to stosują się i do nas te słowa któremi Pan Bóg karcił Swój lud wybrany za to, że chociaż dopełniał pewnych ćwiczeń pokutnych, dopełniał takowe jednakże nie według Boga, nie z woli Bożej lecz z własnej. *Przecieżeśmy pościli,* wołali Izraelici do Boga, *a nie wejrzałeś.* A na to odpowiedział im Pan Bóg: *bo oto w dzień postu waszego, znajduje się wola wasza:* *) bo dopełniając ćwiczeń pokutnych, nie dopełniacie ich według mojej, lecz według własnej woli. Matka rodziny gdyby dla spełnienia miłosiernych uczynków po za domem, opuszczała swoje obowiązki względem dzieci; kapłan który dla oddawania się pracom apostolskim, zaniedbałby środków niezbędnych do własnego uświątobliwienia; kady oddający się zajęciom chociażby najchwalebniejszym, lecz albo stojącym na przeszkodzie jego wyłącznym obowiązkom lub pochłaniającym go ze szkodą własnej duszy — wszyscy tacy podpadają złudzeniom, a często na bardzo opłakane bezdroża wiodącym. Stąd też to dusze ostrożne, szczerze dbałe o zbawienie, pragnące we wszystkiem tylko wolę Bożą spełniać, nie ufając sobie, pamiętając jak łatwo pod tym względem złudze-

*) Izaj. 58. 3.

niu ulegamy, w ciągłym niemal są frasunku, czy w tej lub owej czynności spełniają w istocie wolę Bożą, czy tylko własną, zręcznie pod pozorem woli Bożej się ukrywającą. I dla tego-to dusze szczerze dążące do doskonałości, to jest pragnące w niczem nie schybić woli Bożej względem nich, poddają się przewodnictwu duchownemu, i w niem najwłaściwiej szukają rozwiązania wszelkich co do tego wątpliwości. Jeśli zaś takowego znaleść nie mogą, w wielkich bywają niepokojach.

Tymczasem gdy idzie o znoszenie cierpienia, żadnej już wątpliwości mieć nie powinniśmy, żadnego złudzenia się obawiać. Pewni być możemy, a pewnością rzadko kiedy ludzkim sprawom towarzyszącą, że w takich razach wolą jest Bożą, abyśmy cierpieniu zesłanemu lub dopuszczonemu na nas przez Boga, pokornie i z największą uległością się poddawali, jak tylko być może najcierpliwiej je znosząc. Pięknie też, a treściwie, wyraża to święty Franciszek Salezy w tych kilku słowach. „Z większą pewnością nabywają się zasługi przez cierpienia, niżeli przez najmozolniejsze prace".

Lecz żeby tem stawały się cierpienia, żeby nas uświęcały, niezbędnem jest aby święcie znoszone były. Najłatwiej więc i jakby pierwszym krokiem żeby je w ten sposób przenosić, jest, abyśmy widząc jak cała moc uświątobliwienia przez cierpienie, w Maryi pochodziła z tego, że Jej cierpienia były jak najściślej zjednoczone z cierpieniami Jezusa, — nasze cierpienia łączyli z cierpieniami Pana naszego. Takowe zaś jednoczenie ma tę potęgę, że nawet cierpienia będące następstwem grzechu uświęcają, miłemi Bogu czynią i wielkich zasług są dla nas polem. Boleść jakiej doznajemy z popełnionego grzechu, smutek ogarniający wtedy naszą duszę, niepokoje jakich doznajemy, ale zwłaszcza gorzki żal

żeśmy się obrazy Boga dopuścili, są to dla duszy wierzącej cierpienia przewyższające wszelkie inne cierpienia ludzkie. Otóż uświęcać je możemy, łącząc takowe z tegoż rodzaju cierpieniami które dopuścił na Siebie Pan Jezus, gdy grzechy wszystkich ludzi przyjął był na Siebie, i za nie w Ogrojcu tak żałował, tak się niemi smucił, takie na Siebie dopuścił trwogi, że aż krwawy pot okrył całe Jego Boskie ciało: *I począł* Jezus, mówi Ewangelia święta, *Trwożyć się, tęsknić sobą i smutnym być* *).

Ale usiłując naśladować Maryę w tej pierwszej, Jej Boleści, zjednoczonej jak tylko być może najściślej z cierpieniami Jezusa — przez jednoczenie z niemiż wszelkich naszych strapień, uważajmy, że prócz tego sposobu uświęcania ich, mamy jeszcze i inny którego Marya nie miała, a który nam to jeszcze bardziej ułatwia.

Oto, możemy i powinniśmy cierpienia nasze łączyć także z Boleściami Matki Przenajświętszej. Były i one same w sobie wzięte, nieprzebranem morzem cierpień i strapień. I w nich jak w oceanie Mąk przez Jezusa doznanych, możemy zanurzać nasze cierpienia. A lubo takowe chociażby najcięższe były, będą jakby kroplą wrzuconą w morze, właśnie przez takowe zlanie się z Boleściami Maryi, będą w oczach Boga jakby Jej własnemi Boleściami, a więc wyjednywającemi dla nas miłosierdzie Boskie i najpotrzebniejsze łaski dla uświątobliwienia się przez cierpienie, gdy nas ono dotknie.

Następnie drugą nauką daną nam przez Maryę w Jej pierwszej Boleści jest, żebyśmy pamiętali o tem, że najwznioślejszy użytek jaki uczynić możemy z wszelkich darów Boskich, jest oddanie Mu takowych; złoże-

*) Marek. 13. 33.

nie Mu ich w ofierze, jeśli widzimy że taką jest wola Jego. Bo właśnie tak postąpiła tu Przenajświętsza Panna, składając w ofierze Bogu Ojcu, gdy wiedziała że taką jest wola Jego, to co miała i mieć mogła najdroższego, a nietylko na ziemi lecz i w niebie, bo Jezusa i Syna i Boga Swojego.

My rzeczywiście niczego właścicielami nie jesteśmy: wszystko co mamy i mieć możemy, otrzymujemy to od Boga! Niema nic obrzydliwszego w oczach Boga, jak przywłaszczenie sobie przez nas bezwzględnej własności, niezależnej od Niego, nad darami przez Niego nam udzielonymi. I tak jest co do wszelkich darów natury, ale tembardziej co do darów nadprzyrodzonych, co do łask któremi nas wzbogacać raczy. Bóg jest ostatecznym końcem, jedynym głównym celem, od którego i dla którego posiadamy cokolwiek posiadamy, czy to w porządku naturalnym czy nadprzyrodzonym. Nie masz nic takiego coby nam udzielonem zostało na to tylko, żebyśmy się tem cieszyli i na własną tylko korzyść to spożytkowali. Gdybyśmy bowiem to czynili, w takim razie dobro, wszelką swoją własność traci i nawet w zło zamienić się może. Najwznioślejsze dary nietylko natury ale i łaski, niezużytkowane dla Boga i według woli Boga, stają się szkodą dla duszy która je otrzymała, a szkodą tem większą im te dary były szacowniejsze i rzadsze — jeśli takowych zażywamy nie na to na co nam udzielone zostały, to jest nie na chwałę Jego i na uznawanie Jego najwyższej władzy jak nad nami samymi, tak jak i nad wszystkiem co od Niego otrzymujemy. Czemże był grzech pierworodny, pod którego strasznemi następstwami jęczy ród ludzki i jęczyć będzie do końca świata, jeśli nie tem właśnie, że nieszczęśni pierwsi rodzice nasi, nie chcieli uznać najwyższej władzy Boga nad

wszystkiem co im udzielonem było, i odważyli się przywłaszczyć sobie władzę nad jedynie jedną rzeczą, która im zakazaną była, to jest używanie pewnego owocu.

Wszystko odnosić powinniśmy do Boga, we wszystkiem szukać tylko spełniania woli Jego, czy to nas więcej czy mniej kosztuje, czy to po nas większej czy mniejszej wymaga ofiary. W tem zawiera się cała tajemnica uświątobliwienia, na tem zawisła najwyższa świętość. I tego właśnie, a w sposób najwznioślejszy jaki tylko być może, uczy nas Marya w pierwszej Boleści Swojej.

Czemże są wszelkie dary któremi Pan Bóg w całej hojności Swojej może obdarzyć jaką duszę, w porównaniu z darem jaki się dostał Maryi przez stanie się Matką Jezusa. W Nim otrzymała Ona dar nad wszelkie dary, dar nad który wyższego już i Sam Pan Bóg w całej Swej nieograniczonej potędze dać nie mógł. Pociecha, szczęście w jakie z tego powodu opływała Jej dusza, przechodziło wszelkie nasze wyobrażenie, bo było to szczęście jakiego zażywają duchy niebieskie w niebie, a o którem powiada apostoł że: *ani oko ludzkie widziało, ani ucho słyszało* *). A jednak gdy z tego właśnie przychodziło Maryi uczynić ofiarę Bogu, gdy dla uznania najwyższej władzy Boga nad Nią i nad tym darem nad darami który posiadała, nad Jezusem, trzeba Jej było złożyć Go Bogu Ojcu w ofierze, a jeszcze i w jakiejże ofierze, bo w zaofiarowaniu Syna na najstraszniejszą Mękę i śmierć najokrutniejszą, — nie zawahała się ani na chwilę. Z Matki najszczęśliwszej jaka pod słońcem kiedy być mogła, z Matki mającej w Swem Dziecięciu i Boga Swego, bez wahania się, bez najmniejszego oporu woli, zgadza się na

*) I. Kor. 2. 9.

to, żeby stać się Matką z matek najnieszczęśliwszą, Matką najboleśniejszą, bo Matką Tego który przez Samego Ducha Świętego zamianowanym został *Mężem Boleści!* *)

Czyż więc po takim przykładzie złożenia Bogu w ofierze tego co tylko istocie stworzonej mogło być najdroższem, będziemy się wahać w złożeniu Bogu w ofierze czegokolwiek, chociażby to nas najbardziej kosztowało, skoro się przekonamy że taką jest wola Jego przenajświętsza?

Zawiera się tu w tej pierwszej Boleści Matki Przenajświętszej i inna jeszcze dla nas nauka, a bardzo wielkiej wagi. Tą zaś jest, że na tym świecie, cierpienie jest nietylko środkiem uświęcającym duszę, lecz świątobliwości stróżem i jakby warunkiem, a w końcu przez to właśnie i jego nagrodą. Jest ono dla wybranych tem na ziemi, czem w niebie jest dla błogosławionych widzenie Boga: jest bowiem uwyraźnieniem się w oczach naszych Boga, Jego wyraźniejszem objawieniem się nam, jest najniechybniejszym zadatkiem najobfitszych Jego darów i nagród. Nie powinno więc nas zadziwiać to, że im szczerzej pragniemy służyć Bogu, im z większą rączością usiłujemy postępować na drodze uświątobliwienia się naszego, tem częstsze i cięższe spotykają nas strapienia. Według praw nadprzyrodzonego porządku, a z powodu naszej skażonej natury, inaczej być nie może. Miłość-to i Mądrość najwyższa tak postanowiła, a w dalszych rozpamiętywaniach naszych Boleści Przenajświętszej Matki, lepiej to zrozumiemy i wyjaśnimy sobie.

*) Izaj. 50. 2.

Jest to zaś tak dalece do uświątobliwienia nas niezbędnem, że jeśli dla znajdujących się na drodze wyższej doskonałości, opóźniają się cierpienia, nie powinniśmy przypuszczać że stanowimy w tem wyjątek, lecz widzieć tylko że Pan nie znajdując nas jeszcze uzdolnionych do ich przenoszenia, uwzględnia naszą słabość. Gdy zaś nadchodzą, nie powinniśmy obawiać się żeby były nad nasze siły, żeby nie były do nich zastosowane, tak żebyśmy je wsparci łaską przenieść byli w stanie. Pan Bóg bowiem nie wymierza swoich razów na oślep. Każdy On krzyż jakim nas obarcza, ściśle wymierza nieomylną mądrością Swoją; miłość i dobroć Jego z największą troskliwością obciosowuje, że się tak wyrażę, każdy z krzyżów, nam przeznaczonych, żeby nam tyle tylko dolegał ile siły nasze znieść potrafią i o ile to niezbędnem jest do naszego uświątobliwienia. Tego zaś nie dostępujemy inaczej, jak przez mniej więcej ciężkie próby, a temi próbami są właśnie wszelkiego rodzaju strapienia, będące z tego powodu i najpewniejszym dowodem, że Bóg nas nie odrzuca, lecz owszem, raczy w sposób szczególny przygarniać do Siebie. Wszelkie inne dowody tego, łatwo mogą być złudnemi; cierpienie jest nieomylnym znakiem że Pan Bóg ma na nas widoki Swego szczególnego miłosierdzia.

Słońce jest zawsze tą główną planetą, z której iskrzy się ciągle światło na całą ziemię i z której bezustannie wybucha ciepło wszystko w całej naturze ożywiające. Lecz gdy widnokrąg jest zamglony, i to światło mniej jaskrawie do nas dochodzi i ciepło mniej czuć się daje. Coś podobnego zachodzi w stosunku duszy z Bogiem. Pan Bóg, źródło i dawca wszelkich łask i darów nadprzyrodzonych, zawsze gotów jest wzbogacać niemi dusze ludzkie. Gotów zawsze światłem we-

wnętrznem rozświecać nam najwznioślejsze prawdy tyczące się Jego stosunku z nami, a ogniem Swojej miłości zapalać serca nasze. Lecz gdy pomiędzy Nim a nami, zapanuje ta mgła duchowa, którą otaczają nas uciechy doczesne, powodzenia ziemskie, i światło ona wewnętrzne, nadprzyrodzone przytłumia, i serca nasze w miłości Boga co najmniej oziębia, jeśli jej zupełnie nie zamraża. Gdy tedy cierpienie to najprędzej i najłatwiej takową mgłę rozprasza, więc ono to i przystęp światłu Bożemu do dusz naszych ułatwia i przeszkodę w doznaniu gorącości miłości Jego usuwa.

To też dla duszy głęboko przejętej prawdami naszej wiary świętej, a przytem nawykłej wpatrywać się w Jezusa cierpiącego i Maryę bolejącą — cierpienia gdy nadchodzą, przedstawiają się jakby posłanki niebieskie, w przykre wprawdzie dla natury naszej przybrane barwy, lecz zwiastuny szczególnych łask Boskich. Są one podobne do Symeona, który gdy proroctwem swojem zapowiadał Matce Przenajświętszej Miecz boleści mający przeszyć Jej serce, trzymał na ręku Jezusa i potem Jej Go oddał, a z Nimi w Nim wszystkie łaski któremi wzbogacona, najsroższe Swoje cierpienia zamieniała na najwyższe przed Bogiem zasługi i na najwyższe Swoje uświątobliwienie.

W tej Swojej Boleści, uczy nas także Marya obchodzić się w cierpieniach bez pociechy, jaką przynosić zwykło współczucie drugich. Trzeba nam być przygotowanymi na to, że strapienia naszego albo nikt nie zrozumie, nie oceni, albo i uznając takowe, dzielić go z nami przez współubolewanie nie będzie. I taką właśnie była ta pierwsza Boleść Przenajświętszej Panny. Słów wyrzeczonych wtedy do Niej przez Symeona,

a wtłaczających w Jej niepokalane serce ten pierwszy Miecz Boleści, nikt prócz Niej zrozumieć nie mógł i nikomu ich znaczenia nie wytłómaczyła. Sama więc całe brzemię smutków i goryczy, które wtedy zalały Jej serce, dźwigać musiała. Mogła powtórzyć w całej prawdzie te słowa które prorok Izajasz kładzie w usta Zbawiciela: *Szukałem pocieszającego i nie nalazłem* *). A Ona go nawet nie szukała, i w tem trzeba Ją nam, o ile nasza nędza zdobyć się na to może, naśladować

Jest to jedną z własności, jednem z głównych warunków prawdziwego strapienia, że bywa ono albo złe, albo wcale przez drugich niezrozumianem. Można nawet powiedzieć, że gdy cierpienie wielkie współczucie w drugich obudza, traci niejako połowę swojej ostrości. I dlatego, jeśli Pan Bóg widzi potrzebę żebyśmy dla dobra duszy jak najmniej ulgi w cierpieniu doznali, tej właśnie ze współczucia drugich pozbawia nas pociechy. Cierpienie jest samo z siebie czemś jak najbardziej osobistem. Nie powinniśmy przeto spodziewać się, ani wymagać żeby współczucie innych mogło mu wyrównywać, mogło być odpowiednem. Dość nam być powinno na tem, gdy je napotykamy aby jakie, a i tych dusze rozmiłowane w krzyżach, nietylko nie powinny szukać, ale nawet odsuwać je od siebie. Przytem, gdy cierpiąc szukamy ulgi w współczuciu drugich, a jak to najczęściej bywa albo takowego nie znajdujemy wcale, albo nie wyrównujące naszej boleści, doznajemy z takowego zawodu wielkiego zesłabienia ducha, wtedy właśnie, kiedy najbardziej trzeba nam starać się o wewnętrzny spokój i wewnętrzną siłę. Serce zawiedzione wysileniem szukania ulgi w współczuciu ludzkiem, wysza-

*) Izaj. 52. 3.

fowawszy na to sił co mu jeszcze pozostawało, a nie dopiąwszy celu, spostrzeże że rany swoje rozdrażniło, i że mu jeszcze trudniej jak wprzódy przenosić cierpliwie ich dowieranie. Najwłaściwiej jest przeto, cierpienia nasze o ile możności ukrywać przed drugimi. Współczucie bowiem z jakiegokolwiek powodu niewłaściwe, niedelikatne, bo i takie bywają, rozdrażnia nas tylko; nieodpowiedne zawodzi, osłabia ducha a niekiedy do gorzkich skarg i wymówek przyprowadza, takie zaś które nam istotną ulgę przynosi, wielkiej nas zasługi zniesienia krzyża pozbawia, który wtedy jest w takowe najbogatszy, gdy nikt z ludzi dźwigać go nam nie dopomaga. Jest Bóg któremu wszystko wiadome i który cierpienie zesłał lub przez ludzi dopuścił na mnie, a który z nim lepiej, z większą miłością jakby to cały świat mógł uczynić, współczuje. Czegóż mi więcej potrzeba? Nic się nie dzieje bez Jego rozporządzenia, a zawsze najdobrotliwszego, najmędrszego, najsprawiedliwszego i najmiłosierniejszego. Ta jedna myśl, to silne przekonanie starczyć nam powinno za wszelkie współczucie ludzkie, a w tej myśli i w tem przekonaniu obawiać się zawodu nie możemy. Najobfitszych to błogosławieństw zapowiedzianych przez Zbawiciela cichym: *Błogosławieni cisi* *) dostępują właśnie ci, którzy w milczeniu cierpią, nie rozwodząc się w żalach, nie żebrząc u ludzi z tego powodu współczucia. Milczące to cierpienie, a zwłaszcza gdy jest wielkie, nadaje osobom doznającym takowego ten święty urok, który sprawia, że sam widok ich jest jakby budującem kazaniem, a ściągając na nich najobfitsze inne łaski, napełnia ich tą słodyczą ujmującą, i tem większą z cierpie-

*) Mat. 6. 3.

niami bliźnich współczuciem, którą napotykamy tylko w osobach srodze dotkniętych jakiem strapieniem, lecz starannie je przed drugimi ukrywających.

Tak zachowała się Marya w tej pierwszej Swojej Boleści, a która jak wiemy stała się już Boleścią całego Jej życia. Starajmyż się i w tem korzystać z wielkiej wagi nauki jaką nam tu daje przenajdroższa Matka nasza i najwyższa po Jezusie Mistrzyni życia wewnętrznego.

A trzeba nam z tej pierwszej Boleści Maryi i tę jeszcze brać naukę i przestrogę, że jak dla Niej Jezus, który do owej chwili był źródłem najwyższej pociechy, po proroctwie Symeonowem stał się powodem najsroższej i na całe życie Boleści — tak podobnież i z nami dziać się będzie najczęściej. Źródła największej naszej radości, zamienić się mogą na powody najcięższych strapień. Kto byle trochę dłużej pożył, o! jakże się o tej prawdzie przekonał! Zdaje się że niekiedy Pan Bóg zsyła nam pociechy przed nadejść mającemi cierpieniami, żeby serce pokrzepione pierwszemi te drugie tem mężniej przeniosło. Stąd też, dla osób mających już pewne doświadczenie życia, każda radość, każde weselenie się, jest niejako zapowiedzią mającego nadejść smutku. *Koniec weselenia się smutek owłada,*)* mówi Mędrzec pański. Stąd też to pochodzą owe tajemnicze przeczucia, te jakieś niepokoje, te wyczekiwania zbliżającego się nieszczęścia, które nas ogarniają niekiedy wśród największych powodzeń. A przydarza się i to dość często, że od chwili w której dostąpiło się wszystkiego co zdawało się nam szczęście zapewniać, właśnie się ono wtedy odwraca od nas, a rozpoczyna zasnuwać się pasmo najsmutniejszych dla nas kolei. Słowem w najrozmaitszy

*) Przyp. 13. 14.

sposób radości zamieniają się nam w smutki, jużto nagle i niespodzianie, już stopniowo i nieznacznie. Niekiedy to czegośmy niecierpliwie wyglądali jako wielką pociechę, gdy nadejdzie, staje się powodem ciężkiego zmartwienia. Bardzo także często pociecha, chociażby godziwa, gdy przeminie, pozostawia nam w sercu jakąś gorycz, której gdyśmy tej pociechy doznawali, ani domyślaliśmy się, a którą ona jakby w zanadrzu ukrytą trzymała, żeby nas przy końcu nią obdarzyć. Lecz co jeszcze dziwniejsze, to że gdy uczucie jakiego wielkiego strapienia przytłumionem w nas zostało wysiłkami cierpliwości na jakąśmy się zdobyli, upływem czasu i roztargnieniami spowodowanemi spełnianiem naszych obowiązków, jeśli nadchodzi pociecha i serce nasze uśmiecha się do niej, zaledwie tam ona weszła, a rozbudza tem żywszą pamięć zmartwienia niezupełnie zapomnianego, i gorycz jego jeszcze trudniejszą do zniesienia czyni. I mało jest osób, zwłaszcza czulszych na doznane ciosy, które nie doświadczyłyby tego, że już uśpione niejako zmartwienie, rozżywia się na nowo przy doznanej jakowej radości. Jestto według wyrażenia wielkiego poety ona „hydra pamiątek, która śpi w złe czasy, a w dobrych rozpuszcza swe szpony."

Bo wreszcie na tej biednej ziemi, będącej miejscem naszego wygnania i próby, gdzie niestety tak łatwo nam zapomnieć o Bogu i dopuścić się grzechu, gdzie według słów Pisma świętego: *Bojowaniem jest życie człowieka**), cóż dziwnego że z radościami smutki się splatają, i że sameż radości są to tylko najczęściej przyczajonymi smutkami. Wesele, radość, to co nazywamy pomyślnością, szczęściem, wszystko to nie *pasuje* z naszym życiem ziemskiem: bywa tylko czemś

*) Hiob 7. 1.

przemijającem, wyjątkowem, a po większej części złudnem. Cierpienie zaś we wszelkich swoich postaciach, jest, bądź co bądź, kanwą, na której zasnuwa się rzeczywistość doczesnego życia każdego człowieka.

Ale w samemże cierpieniu, z rozporządzenia nieprzebranej dobroci Boga i Jego najwyższej mądrości, ukrywa się najprawdziwsza, najniechybniejsza pociecha, najrzeczywistsze szczęście. Cierpienie to bowiem odrywa nas od świata i do Boga zwraca. Bylebyśmy nie stawili temu oporu, wszelkiego rodzaju strapienia najłatwiej i najprędzej jednoczą duszę z Bogiem, i dlatego są one jedną z cech wybraństwa. Wschód łaski Bożej, w największej liczbie dusz, bywa bardzo pochmurny, a niekiedy towarzyszą mu przerażające błyskawice i pioruny spadają. Lecz gdy to niebieskie słońce dochodzi swego południa, wszystkie chmury znikają na lazurowem widnokręgu, cisza największa zapanowuje, i tej już nic ziemskiego naruszyć nie zdolne. Przemieniać bowiem radości w smutki jest dziełem tej ziemi, przeistaczać zaś w największe pociechy największe strapienia ludzkie, jest sprawą łaski, która gdy w wyższym dostępuje się stopniu, ziemię na niebo już za życia nam zamienia.

Nakoniec jest jeszcze jedna nauka którą nam daje Marya w pierwszej Swojej Boleści. Albowiem w ciągu życia naszego, jeśli je poświęcimy Bogu, w najrozmaitszy sposób przyjdzie nam doznawać czegoś podobnego do tego czego ona wtedy doznała. Główną bowiem cechą tej Boleści Przenajświętszej Panny było, że Jezus to był Jej cierpień powodem. Otóż, toż samo będzie lub jest już z nami, gdy Jezusa trzymać się nie przestajemy. Z tysiącznych przyczyn Jezus będzie dla każdego z nas powodem cierpienia. Mnóstwo jest rzeczy na ziemi, sta-

nowiących wielką pociechę, a które trzeba nam złożyć w ofierze Panu Jezusowi, skoro bliżej za nim iść zapragniemy, albo z których, jeśli zdobyć się na to nie mieliśmy dość odwagi, Sam On, najdobrotliwszem okrucieństwem, ogołocić nas nie omieszka. Tem będzie najprzód, doznawane prześladowanie przez ludzi, przez których, gdyśmy mniej miłowali Jezusa, nietylko prześladowani byśmy nie byli, ale wielebyśmy pociechy z ich przychylności dla nas doznawali. Prześladowanie zaś takowe, w najrozmaitszych stopniach i kształtach spaść na nas może. Dopuszczać się go będą albo złe języki światowców, najbardziej nieoszczędzających osoby drogi pobożności się trzymające, albo podejrzenia, niedowierzania, posądzenia, a nawet i zazdrości osób na tychże drogach będących i z wielu powodów nam drogich. W gronie rodzinnem, w pożyciu pod jednymże dachem, pochodzić ono może od tych właśnie od których najboleśniej nam doznawać tego rodzaju przykrości i najtrudniej takowe przenosić. Jakże to wiele pożyć małżeńskich, albo stosunków dzieci z rodzicami, na pozór najszczęśliwszych, najprzykładniejszych skądinąd, bywa zatrutych delikatnem, nie objawiającem się przed obcymi, ale ciągłem i nader dotkliwem prześladowaniem jednych członków rodziny pragnących jak najwierniej służyć Jezusowi, przez drugich albo obojętnych co do tego, albo i słabej wiary. Bo czyż kiedy mógł kto wierniej służyć Bogu, bez tego rodzaju przeszkód? Tu mąż najzacniejszy i przywiązany, ileż co do spełnienia obowiązków religijnych, a tembardziej ćwiczeń pobożnych, chociażby w najwłaściwszej mierze dopełnianych, stawić będzie żonie przeszkód, i z tego jedynie powodu umniejszać swoich dowodów ku niej miłości. Matka na największe poświęcenie gotowa dla swych dzieci, gdy będzie szło o to żeby

które z nich, idąc za najwyraźniejszym głosem Boga, poświęciło się Mu wyłącznie, stawić będzie opór zacięty, żeby z rąk Jezusa wyrwać syna albo córkę. Ojciec pozazdrości ich Bogu, i pieszcząc je wszystkie, surowo obchodzić się będzie z tem tylko, które mu przez całe życie ani cienia zmartwienia nie sprawiło, a to z tego jedynie powodu, że pragnie ono wieść życie bardziej od pospolitego zapewniające zbawienie. Brat przytłumi w sobie miłość braterską i gwałtownie wystąpi, gdy po które z jego rodzeństwa Pan Jezus wyciągnie rękę, żeby się Mu na służbę w zakonie lub stanie duchownym poświęciło.

O! jak nędznym jest świat! a co najsmutniejsze, że najprzywiązańsi do nas i skądinąd dla nas najlepsi, najgwałtowniej przeciw nam występują w takich razach, i dlatego właśnie że są dla nas drogimi, najtrudniejszem do zniesienia czynią nam swoje prześladowanie, do okrucieństwa niekiedy dochodzące.

Ale prócz tego rodzaju krzyżów, które spotyka dusza z powodu Jezusa, to jest gdy mu wierniej i lepiej chce służyć, zeszle On na nas i najrozmaitsze innego rodzaju próby, dla utwierdzenia nas w łasce i dla jej przyrostu. Im więcej miłować Go będziemy, tem częściej i dotkliwiej tego doświadczymy. *Synu,* powiada Mędrzec Pański, *przystępując do służby Bożej, przygotuj duszę twą na umartwienie* *). Niekiedy i sami ich sobie przysporzymy, nieroztropnem, niedość rozważnym postępowaniem, jak się to szczególnie przydarza początkującym. To znowu, gdy się nam zdawać będzie żeśmy się już na drodze gorliwszego krzątania się około zbawienia pewien postęp uczynili, najniespodziewaniej dopuszczamy się upadku, a niekiedy i bar-

*) Ekli. 2. 1.

dzo głęboko zapadamy. A co Pan Bóg dopuszcza, żeby nas z pychy wyleczyć i w pokorze utwierdzić.

Nareszcie ileż to dusza gorąco miłująca Jezusa, doznać może i strapień wewnętrznych, w porównaniu z któremi największe cierpienia zewnętrzne są jakby niczem! Nadchodzi też dla niektórych i pora ostatecznego oczyszczenia duszy; a wtedy przebywać ona musi próby, w których dla wyniszczenia w niej miłości własnej, dopuszcza na nią dobroć i mądrość Boska najrozmaitsze niepokoje, pokusy, zwątpienia, wewnętrzne ciemności, przyprawiające ją o istne konanie, podobne do konania Jezusa w Ogrojcu, które Go krwawym potem okryło. Bywa, że gdyśmy za szczególną łaską Boga najbardziej kosztujące nas ofiary Mu złożyli z miłości Jezusa; gdyśmy się najzupełniej odwrócili już od świata i wyrzekli wszelkich jego chociażby i godziwych uciech; gdyśmy z tegoż powodu zerwali najmilsze dla nas stosunki, słowem, gdyśmy dowiedli Bogu że już tylko Jego pragniemy i Jego jedynie szukamy — wtedy to właśnie On jakby znika przed nami, jakby odwraca od nas Swoje święte Oblicze, i niby wśród ciemnej nocy pozostawia nas na bezdrożu. Wtedy to dzieje się z duszą coś strasznego! Tak jak po zachodzie słońca jesiennego, gdy skryje się tarcza jego pod ziemię, nad rzekami, nad łąkami, nad bagniskami, nad lasami, nad wszystkiem co przedtem oświecone słońcem tak pięknie wyglądało — unosi się gęsta mgła i cały krajobraz w najdziwaczniejszych przedstawia nam kształtach, tak coś podobnego dzieje się w duszy, gdy spodoba się Bogu, po pewnym czasie gorliwszej Mu służby, a zawsze w widokach Jego dobroci, nietylko pozbawić ją uczucia Jego obecności, lecz i w wielkie wewnętrzne ciemności pogrążyć. Wśród owej gęstej mgły otaczającej wtedy

umysł, przeszłe grzechy, chociaż Sakramentem Pokuty zmazane i łzami najszczerszego żalu do grobu złożone, występują z niego jak straszne upiory, chcące w nas wmówić że żyją. A z drugiej strony nasze niedoskonałości, nasze upadki mimowolne, bo nieoddzielne od nędzy ludzkiej, myśli najohydniejsze mimo chęci naszej nas nagabające, pokusy jakich się nawet nigdy dotąd nie doznawało i o nich pojęcia nie miało, obok tego zdrętwienie serca na wszystko co się do Boga odnosi — wszystko to sprzysięga się wtedy na nas, i wprawia biedną duszę w uciski, niepokoje, smutki i trwogi, o jakich nigdy ani wyobrażenia nie mieliśmy i ani przypuszczać coś podobnego nie mogliśmy.

Wszakże na najwybrańsze to tylko i powołane do najwyższej doskonałości dusze, tego rodzaju próby zsyła Pan Bóg. I dla takich więc Jezus staje się powodem cierpienia, a na to jedynie, żeby, gdy z takowej próby zwycięsko wyjdą, nietylko ostatecznie je uświęcić, ale i w świątobliwości niejako na zawsze już utwierdzić. Lecz niestety! nie każda z tak uprzywilejowanych dusz, odpowiada dość wiernie łaskom w tego rodzaju próbach zawartych. A wtedy, albo z drogi wyższej pobożności zupełnie schodzi, albo pozostając na niej, mały postęp czyni, z ciągłym wyrzutem sumienia, że nie doszła tam gdzie dojść mogła była. A tak i co do tego spełniają się słowa wyrzeczone przez Symeona do Maryi przy ofiarowaniu Jezusa w Świątyni, to jest przy Jej pierwszej Boleści, gdy powiedział ten święty starzec, wskazując na Boskie Dzieciątko: *Oto Ten położon jest na upadek i na powstanie wielu, i na znak któremu sprzeciwiać się będą* *). Jakby mówił: „Tak jak Twoją wła-

*) Łuk. 2. 39.

sną duszę przeniknie Miecz Boleści, który już odtąd nie wyjdzie z Twojego serca, i różnych cierpień doznasz z powodu Jezusa, z powodu Twojej ku Niemu niezmiernej miłości — tak i wszystkie dusze wybrane, z tegoż powodu doznawać będą najrozmaitszych strapień." Strapienia zaś te pochodzić mogą jużto od ludzi *sprzeciwiających się* Jezusowi, za którym takie dusze chcą iść jak najbliżej, już od nichże samych, gdy na tej drodze nie dość rączo postępować będą, już wreszcie od Samego Boga, gdy On niemi jaką duszę do wyjątkowej a wysokiej doskonałości powołując, wyjątkowemi krzyżami próbować, oczyszczać i uświęcać uzna potrzebę.

W tej więc pierwszej Boleści Swojej, a która była i początkiem i streszczeniem wszystkich Jej cierpień i trwała całe Jej życie, daje nam najdroższa nasza Matka niebieska na całe też i nasze życie najpotrzebniejszą, najważniejszą naukę, a którą nigdy z pamięci tracić nie powinniśmy. Tą zaś jest, że cierpienie w jakiejkolwiek postaci i stopniu nas spotyka jest niezawodną cechą wybraństwa a stąd przenoszone tak jak tę Swoję Boleść przenosiła Marya, to jest jednocząc nasze cierpienia z cierpieniami Jezusa, nie szukając na nich pociechy u ludzi, a im one cięższe widząc w nich tem wyraźniejsze dowody szczególnych na nas widoków miłosierdzia Bożego — nietylko najniewątpliwiej zapewniamy sobie zbawienie, lecz oraz i najłatwiej do wyższej dojść doskonałości, najprędzej uświęcić się możemy.

O! najdroższa i najmiłościwsza Matko Bolesna! Tyś dla wyuczenia nas tego, tej pierwszej Twojej Boleści doznała; na to ją Pan Bóg na Ciebie dopuścił, — dajże nam z tej nauki tyle Cię kosztującej korzystać jak najobficiej, a zwłaszcza pamiętać na nią gdy się na nas jakie krzyże zwalą.

A teraz myślą powróćmy z Maryą do Nazaretu, gdzie udała się Ona z Dzieciątkiem Jezus, po złożeniu Go w ofierze w świątyni Jerozolimskiej a udała się z sercem już tym pierwszym Mieczem Jej Boleści przeszytem. Aniołowie zwykle Ją otaczający, towarzyszą Jej z najgłębszem uszanowaniem, i cześć oddając smutkom zalewającym wtedy Jej niepokalaną duszę, zaczynają w nich zapoznawać się z tajemnicami Męki Pańskiej, która miała stać się przedmiotem ich podziwu i zachwytu na całą wieczność. Wyszła tedy Przenajświętsza Matka jakby z narzędziem Swojej znowu Męki na rękach, bo niosąc Jezusa, który od przepowiedni Symeona stał się już dla Niej tylko powodem najcięższego smutku, z przewidywania i oczekiwania tego co Go niechybnie czeka. Dźwiga Go u dziewiczych piersi, jak kiedyś Jezus dźwigać będzie na barkach krzyż Swój idąc na Kalwaryę, a przyciska do serca z tem większą miłością i z tem sroższą Boleścią, im pewniejsza że Go to nie minie. A te serca Jezusa i Maryi obok siebie bijące, jakaż miłość niezmierna ku nam nędznym ludziom przepełniała! Dla niej to, z tej to miłości dopiero co zaofiarował się Syn Boży Ojcu przedwiecznemu, i z tej też miłości ku nam, Matka Przenajświętsza złożyła z Niego za wykup nasz, Najwyższemu Stwórcy ofiarę.

Przebywszy doliny otaczające Jerozolimę, idąc ponad strumieniami zraszającemi pola przy drodze wiodącej do Nazaretu, weszła do tego cichego miasteczka i znalazła się w Swem ubogiem mieszkaniu, bogata wprawdzie Skarbem niebieskim który do niego wniosła, lecz z Mieczem pierwszej Boleści coraz to głębiej wtłaczać się mającym w Jej serce. Przed czterdziestu dniami przybyła tu najszczęśliwszą z Matek, teraz przychodziła po zaofiarowaniu Swego Boskiego Syna na

najcięższe Męki i śmierć krzyżową. O! jakżesz inną wracała do Nazaretu od tego jaką była udając się stąd do Świątyni Jerozolimskiej! Tylko czterdzieści dni upłynęło, a cóż za zmiana losu dla Niej! Jezus przedtem najwyższa Jej pociecha, stał się odtąd źródłem Jej najcięższych Boleści!

A ileż-to razy coś podobnego i z nami się zdarzyło, lub zdarzać będzie.

ROZDZIAŁ III.

Druga Boleść.

UCIECZKA DO EGIPTU.

§. I. Szczegóły tej tajemnicy.

Ucieczka do Egiptu jak z jednej strony była i jest niewyczerpaną kopalnią dla chrześcijańskich dzieł mistrzów, przedstawiających już to w malarstwie, już w rzeźbie różne szczegóły z tej tajemnicy z życia Przenajświętszej Rodziny — tak z drugiej strony, była i jest przedmiotem najtkliwszych rozmyślań nad nią dla dusz pobożnych. Sami nawet poganie zwracali na ten ważny wypadek w życiu Pana naszego szczególną uwagę, upatrując już w nim, po tajemnicy objawienia się trzem królom, rozpoczęcie posłannictwa Zbawicielowego pomiędzy niewiernymi.

Jakoż, Dzieciątko Jezus uchodzi od swego narodu dla schronienia się pomiędzy poganami, a obecnością tam Swoją, uświęca kraj zamieszkały przez naród będący największym wrogiem ludu wybranego i który przedstawiał na sobie i streszczał, wszystkie błędy i całą ciemnotę bałwochwalstwa. Wśród tych pogan pogrążonych w barbarzyństwie, znajduje bezpieczne

schronienie, gdzie Go prześladowanie jakiego stał się celem w ojczyźnie skoro na świat przyszedł, dosięgnąć nie miało mocy, i gdzie pierwsze lata Swego Boskiego Dzieciństwa spokojnie spędzi. W miarę też jak wstępuje w kraj ten, posągi bożyszcz pogańskich spadają ze swoich ołtarzysk, a puszcze Egipskie i doliny ciągnące się przy Nilu, uświęcone obecnością Syna Bożego, przygotowane zostają już wtedy na to, żeby gdy później zaludnią się krociami owych sławnych pustelników Egipskich, stały się i kolebką i już odtąd na zawsze najwyższą szkołą sposobu życia tu na ziemi iście anielskiego. Pustelnicy Egipscy, albo raczej jak ich z uszanowaniem nazywać zwykliśmy, Ojcowie z puszcz Egipskich, pozostaną na zawsze wzorami najwyższej doskonałości chrześcijańskiej, zjawiskiem, które nigdy wierni podziwiać nie przestaną, których w niższym lub w wyższym stopniu, każdy ze Świętych jaki do końca świata się pojawi, naśladować będzie usiłował. Upatrując też w ucieczce do Egiptu jakby początek i źródło późniejszego wsławienia się tej krainy przez wydanie tylu i tak wielkich Świętych, najdawniejsze podania i Kościelne i pogańskie, wiernie przechowały wiele szczegółów przybycia i pobytu tam Przenajświętszej Rodziny.

Ale zacznijmy od wyjścia Jej z Nazaretu. — Czyż w tem cichem i odludnem ustroniu, Marya nie będzie mogła spokojnie pielęgnować Swoje Boskie Dzieciątko? Czyż tylko co zapowiedziane Jej przy pierwszej Boleści prześladowanie Jezusa, któremu według proroctwa Symeonowego *Sprzeciwiać się będą* *) już tak prędko miało się rozsrożyć? I czyż po otrzymaniu rany w sercu

*) Łuk. 2. 39.

pierwszym Mieczem Boleści, zadanej Matce Przenajświętszej, już tak zaraz i jakby niezwłocznie i drugi Jej duszę przeszyje?

Marya tylko co wróciła z Jerozolimy, gdzie spełniła ofiarę, która, jak widzieliśmy, z Matki najszczęśliwszej zamieniła Ją na Matkę najboleśniejszą. A więc potrzebaby Jej przez czas przynajmniej pewien, spokoju i ciszy, żeby ze Swoją Boleścią cokolwiek się oswoiła: żeby przyzwyczaiła się do tego że Jezus, najdroższy Jezus, jak był dotąd najwyższą dla Niej pociechą tak — gdy i wyprorokowanem Jej zostało i objawionem najwyraźniej co Go czeka — stanie się dla Niej powodem najcięższych Boleści.

Lecz nie, — nie będzie Jej dano byle trochę dłużej zażyć spokoju w tej błogosławionej mieścinie Nazareńskiej. Prawda, że Jezus jest *Książęciem pokoju* *) i Marya Go miała przy sobie; lecz pokój jakim On z Sobą przynosi, nie jest pokojem takim jaki ten świat sobie roi. Pokój Boży, a który według słów Apostoła *przechodzi wszelki zmysł* **), to jest wszelkie nasze wyobrażenie, jest to pokój wewnętrzny, którego nic zachwiać nie może w duszach ściśle z Jezusem zjednoczonych. I takiego pokoju, bądź co bądź i pomimo doznawanych Boleści, Marya zażywała stale. Lecz pokojem zewnętrznym przez bardzo krótki czas cieszyć się mogła, wróciwszy do Nazaretu.

Bo oto pewnej nocy, Anioł ukazał się Józefowi, któremu zwierzona była opieka nad Jezusem i Maryą, a czego mu samo niebo zazdrościło, i w imieniu Boga, kazał mu niezwłocznie uchodzić z Nimi z krainy Żydowskiej. *Weźmij* rzekł do Niego, *Dziecię i Matkę Jego i uchodź do Egiptu* ***).

*) Psalm. 9. 6. **) Fil. 4. 7. ***) Mat. 2. 11.

Herod który postanowił był zgładzić nowonarodzonego Mesyasza, z płonnej obawy żeby go nie wyzuł z władzy królewskiej, zawiedziony przez Trzech Króli, którzy pomimo jego polecenia, nie zawiadomili go o miejscu gdzie przyszedł na świat — uciekł się do najokrutniejszego środka. Wydał ukaz, aby wszystkie dzieci w całej ziemi Judzkiej będące tego mniej więcej wieku co nowonarodzony Zbawiciel, wymordowane zostały w jednej nocy. Tym bowiem barbarzyńskim sposobem, spodziewał się dosięgnąć i Dzieciątko Jezus, którego miejsca pobytu nie mógł wyśledzić. Lecz że Pan nasz najdroższy nie tak lekkiej śmierci miał uledz, ale ponieść na krzyżu i po długich mękach najstraszniejszą jaka kogo spotkać kiedy mogła, więc trzeba było aby tej rzezi niewinnych dziatek uszedł. I dlatego Józef odebrał rozkaz, żeby z Nim i z Maryą, co prędzej, a skrycie, w dalekie strony uchodził.

Żaden z rozkazów Boskich, ani przez największego świętego, ani przez żadnego z najgorliwszych w ich spełnianiu Aniołów, nie był wykonanym z taką gotowością, uległością i pośpiechem, jak ten, który odebrała wtedy Marya z ust Józefa od Boga. Gdy go słuchała ze słodkim chociaż smutnym uśmiechem, nie doznała najmniejszego zmięszania, nie kwapiła się z gorączkowym niepokojem, chociaż Jej serce macierzyńskie czuło dobrze jakie niebezpieczeństwo grozi Jej Dziecięciu, dopóki nie wydobędą się z krainy będącej pod panowaniem Heroda, i jakie Je trudy, niewygody i innego znowu rodzaju niebezpieczeństwa w tej długiej po dzikich pustyniach podróży czekały. Wzięła na ręce Swój skarb niebieski, Boże Dzieciątko gdy spało, i puściła się w drogę niezwłocznie, gdyż ubóstwo uwalniało ich od długiego wybierania się w tę podróż.

Noc była pogodna lecz bardzo ciemna, gdy Przenajświętsza Rodzina wyszła z ubogiego Swego mieszkania. Na ulicach nie spotkali żywego ducha; w oknach nigdzie nie jaśniało światło, wszyscy spoczywali w śnie nocnym pogrążeni. Tylko wiatr chłodny szeleścił po liściach drzew figowych otaczających wszystkie domy, i od chwili do chwili słyszeć się dawało w dali szczekanie psa, odbywającego straż nocną przy trzodach tuż za murami miasta koczujących. Jak więc przed niedawnym czasem, przyszedł Syn Boży na świat, od nikogo prócz Maryi i Józefa nie widziany, tak i gdy uchodził z ojczyzny, nikt prócz Nich o tem nie wiedział. O! jak często nie dopatrują ludzie Boga w chwili kiedy właśnie największe Swego miłosierdzia, dobroci i miłości nad nimi dokonywa On sprawy!

Droga którą się puścili, była ta którą niedawno przebyli wracając z Jerozolimy. Lecz nie zachodząc do tego miasta, przeszli blisko Betleemu, jakby na to, aby obecność w tych okolicach Jezusa, zlała błogosławieństwa Jego na biedne dziatki, które nie wiedząc jak okrutny los je czeka, spoczywały swobodnie na łonach matek

Wkrótce weszli na drogę wiodącą na pustynię, a Józef szedł przodem jako *Cień Najwyższego* *). Przebyli granicę Ziemi wybranej, i zapuszczając się w nieprzejrzane okiem piasczyste obszary, już na nich tylko jakby punkciki z lekka się poruszające wyglądali. Niebo tylko widziało i wiedziało że Bóg to na ręku dwojga najświętszych jakie były kiedy stworzeń unoszony, tę smutną odbywał na ziemi którą stworzył pielgrzymkę, uchodząc przed ludźmi, z miłości których z nieba na nią zstąpił.

*) Łuk. 1. 35.

Wśród tej ogromnej puszczy przez wiele dni słońce wschodziło i zachodziło przed Nimi, noce po nocach następowały, a już to piekące upały, już wichry silne z tumanami piasku, to znowu chłody, wilgocie i deszcze, ileż razy i jak dotkliwie trudziły Ich w ciągu tej długiej drogi, albo raczej brodzenia po bezdrożach, bo żadnych tam dróg i śladów ludzkich nie można było dopatrzyć.

Tymczasem szli i szli coraz bardziej zapuszczając się w pustynię. Zapasów żywności nie wiele z Sobą nieść mogli, na źródła wód rzadko kiedy natrafiali, i głód więc i pragnienie cierpieli.

Starożytne podanie niesie, że w pewnem miejscu skalistem które przebywali, zaszli dla schronienia się wśród dżdżystej nocy do jaskini, nie wiedząc że była ona schronieniem rozbójników. Żona herszta tej szajki, przypatrzywszy się Przenajświętszej Rodzinie, taką nietylko litością nad Nimi lecz i szczególnem uszanowaniem przejętą została, że Ich z największą uprzejmością gościła. Miała ona prześlicznego synka, którego, chociaż wiodła życie tak występne, kochała jak mało jaka matka najpoczciwsza. Lecz od niejakiego czasu, dziecię to dostało trądu, i całe okryte najobrzydliwszemi wyrzutami, jeszcze właśnie dlatego droższem, jak to zwykle w takich razach bywa, stało się srodze zbiedzonej matce.

Przenajświętsza Panna, widząc Swe Boskie Dzieciątko bardzo strudzone podróżą, pragnąc Je wykąpać, ośmielona uprzejmością tej nieszczęsnej gospodyni w której mieszkaniu byli, poprosiła ją o nieculki i trochę wody letniej. Co gdy Jej niezwłocznie dostarczono, wykąpała Jezusa. Matka zaś chorego dziecięcia, wie-

dziona natchnieniem wewnętrznem, z którego sobie sprawy zdać nie mogła, tąż wodą omyła zaraz swego ukochanego trędowatego. I w tejże chwili trąd znikł na zawsze, i dziecię jej cudownie uzdrowionem zostało.

A jakże to żywy, symboliczny, przenośny obraz, tego co miało nastąpić, wskutek przyjścia Syna Bożego na ziemię. Noc ciemna, zimna, dżdżysta i wietrzna, która wtedy zmusiła Przenajświętszą Rodzinę do schronienia się w tej jaskini, to obraz ciemnoty pogańskiej, panującej podówczas na całym świecie. Skutków tej ciemnoty, powszechnego a wielkiego zepsucia obrazem, to grono nieszczęsnych ludzi rozbojem się trudniących. Wejście zaś do nich Jezusa, Maryi i Józefa, przedstawia przyjście Zbawiciela na świat, ze wszystkiemi pomocami jakie w daniu nam za Matkę Maryi i za najskuteczniejszego Opiekuna świętego Józefa, miał na zawsze zapewnić. Matka chorego chłopczyka, żona herszta zbrodniarzy w tej jaskini mieszkających, a która z taką uprzejmością przyjęła Przenajświętszą Rodzinę, to znowu obraz przyszłego Kościoła założyć się mającego z nawróconych ludów niewiernych, przyjmujących naukę Zbawiciela gdy ją naród Żydowski odrzucił. I nakoniec jej chory synek, cudownie uzdrowiony wodą z kąpieli Jezusa, był obrazem wszystkich grzeszników kąpielą Krwi Zbawiciela omytych, a mających się dostać do nieba. Albowiem z podania opowiadającego nam ten szczegół z Ucieczki do Egiptu i tego jeszcze dowiadujemy się, że tym szczęśliwym chłopczykiem był święty Dyzmas, ów Łotr-Dobry, który obok Pana Jezusa umierając na krzyżu, za uznanie Go wtedy Zbawicielem, usłyszał od Niego te słowa: *Dziś będziesz ze Mną w raju* *), i w isto-

*) Łuk. 23. 43.

cie, pierwszy tam ze wszystkich Świętych się dostał. Jak zaś z trądu wyleczonym został przez Maryę, bo wodą kąpieli Jezusowej przez Nią podaną jego Matce, tak i przy śmierci, według powszechnego mniemania Ojców świętych, nawrócił się za wstawieniem się za nim do Pana Jezusa Matki Przenajświętszej, stojącej wówczas pomiędzy jego a Zbawiciela krzyżem.

Na kilka wieków przedtem, naród wybrany, po wyjściu z niewoli Egipskiej, długo po tychże samych miejscach wędrował. Piaski pokrywające tę puszczę ogromną, rozsiane po niej wzgórza skaliste, gdzieniegdzie gaje zielone, brzegi stykające się z morzem i owe studnie o które tak się ubiegali pasterze — były świadkami zaszłych tam cudów, jakich świat nigdy jeszcze nie widział. Nigdy jeszcze najwyższy Stwórca tak widocznie, tak ciągle i tak długo, nie objawiał Swojej cudownej opieki nad Swojemi stworzeniami. Ów obóz wędrującego podówczas całego ludu Izraelskiego, słup z obłoku gęstego w ciągu dnia a światłego wśród nocy, który szedł przed nimi kształt krzyża ciągle zarysowując, niesienie przez Efraima, Benjamina i Manasesa zwłok Patryarchy Józefa, Świątynia przenośna w namiocie bogato przyozdobionym łupami wyniesionymi z Egiptu — i tyle innych szczegółów tego pochodu jakiego nie było i nie będzie na ziemi, bo narodu który przy końcu tej wędrówki do kilku milionów głów liczył — wszystko to były bezustanne cuda potęgi i szczególnej opieki Boskiej nad Jego ludem wybranym. Tamto z wierzchołka góry Synaj, przy przerażającym trzasku grzmotów, piorunów i błyskawic, zlał Pan Bóg na świat cały pogrążony w błędach wielobóstwa, światło wiary w Boga jedynego, które przez tenże lud uprzywilejo-

wany miało się rozejść po całej ziemi. Tamto wydane zostały te Przykazania niebieskie, pod któremi żyjemy dotąd, i w których zawiera się na wszystkie czasy i miejsca, wszystko co wiernie spełniane, i każdego człowieka w szczególności i całe społeczeństwa ludzkie, do najwyższej doskonałości doprowadzić może tu na ziemi, a do nieba utorować im drogę.

Niejako więc koniecznem było, żeby przez miejsca takiemi dowodami i cudami dobroci Boga dla ludzi uświęcone, przeszedł chociaż mimochodem Ten, którego przyjście na ziemię było cudem nad cudami, i najwyższym jaki już tylko roić sobie można, dowodem miłości Boga ku Jego nędznym stworzeniom .Ze wszech miar wypadało, żeby miejsce będące polem, na którem zaszło tak wiele zdarzeń zapowiadających przyjście Zbawiciela na ziemię, a zdarzeń które były *figurami*, zapowiednimi obrazami Jego przyjścia — po Jego pojawieniu się, Boską stopą Jego uświęcone i szczęściem takiem wynagrodzone niejako zostały.

Jakież więc to myśli nasuwać się musiały Maryi, gdy z Jezusem na ręku przebywała te miejsca, rozbudzające w Jej pamięci wspomnienie wszystkich pełnych tajemniczego znaczenia, a dla Niej najdoskonalej zrozumiałych, szczegółów czterdziesto-letniej po tej pustyni wędrówki ludu wybranego, a Jej własnego narodu.

Nakoniec, po długiej a coraz bardziej trudzącej Ich drodze, błogosławiona ta Trójca ziemska dotarła do brzegów morza Czerwonego rozdzielającego Ich jeszcze od Egiptu, do którego zdążali. A morze to nazwą swoją morza *Czerwonego,* rozbudzić musiało w myśli Maryi obraz morza krwawych Mąk czekających Jezusa, i tego morza Jego krwi przenajdroższej, którą jak to dobrze już wtedy wiedziała, miał wylać co do kropli na zbawienie świata.

Pisarze kościelni przypuszczają, że Przenajświętsza Rodzina, wchodząc już do Egiptu, przebyła mniej więcej tęż drogę, którą wyprowadzał stamtąd Mojżesz wyswobadzającego się z niewoli Izraela. Że stamtąd idąc brzegiem morza, obeszli zatokę Suezką dziś na kanał zamienioną, i udali się do miasta Heliopolis, co w języku miejscowym znaczy *miasto słońca*, i które w istocie takiem się stało, gdy w niem zamieszkał Ten, którego Kościół nazywa *Słońcem Sprawiedliwości* *).

Wiernie przechowane w chrześcijaństwie podanie, wspomina także o rozłożystych drzewach, które nachylały swoje gałęzie bujnym pokryte liściem, i jakby zielonym i chłodzącym namiotem osłaniały w czasie skwarów Maryę, trzymającą na ręku Jezusa, uznając i witając w Nim swego Stwórcę pomiędzy nich przybyłego. Toż podanie wspomina i o posągach bożków pogańskich, gruchoczących się gdy koło nich przechodziła Marya z Jezusem, jak ów posąg Dagona, rozwalający się gdy do niego zbliżono Arkę przymierza, która była tylko *figurą*, tylko obrazem zapowiednim Maryi.

Tam tedy przy brzegach tej sławnej rzeki Nilu gdzie Mojżesz — który był najwznioślejszą figurą, najwznioślejszym obrazem zapowiednim Zbawiciela, tyle cudów dopełnił — wśród pogan pogrążonych w barbarzyństwie, Przenajświętsza Rodzina, w wielkim ubóstwie i niedostatku przebyła lat kilka. Józef zarabiał na życie ciesielką, a Marya ręcznemi kobiecemi robotami, trudniąc się przytem całem ich biednem gospodarstwem domowem. A tymczasem Jezus rósł w latka dziecinne, coraz cudowniej jaśniejąc w oczach Matki Boskością Swego człowieczeństwa, coraz Jej droższym stając się a przez to coraz to bardziej zagłębiając w Jej serce

*) Antyfona Pac. kan.

Miecz pierwszej Boleści, to jest nie odstępującą Ją myśl o tem co Go czekało.

Przez przeciąg czasu pobytu tam Przenajświętszej Rodziny, to miasto Egipskie stało się najświętszem miejscem na ziemi. Raj ziemski był jakby niczem w porównaniu z tem co ono wtenczas posiadało. Tłumy tam Aniołów przebywały dla oddawania czci Bogu wcielonemu, i podziwiania Jego wszelkie wyobrażenie przechodzącej miłości ku ludziom, przywodzącej go do znoszenia wszystkich przykrości dalekiego wśród pogan wygnania. Tam, chociaż o tem świat nie wiedział, zwracały się wszystkie modlitwy dusz wybranych, wszystkie ich westchnienia, nadzieje i wyczekiwania obiecanego Mesyasza. Tam serce Maryi rozpłomieniało się coraz gorętszą miłością Jezusa, świętość Jej wzmagała się co chwila, zjednoczenie Jej z Bogiem stawało się coraz ściślejszem, a widok ludu pogrążonego w bałwochwalstwie rozbudzał w Niej coraz większą litość nad ludźmi i pobudzał do tem gorętszej za wszystkich modlitwy, która jak wezbrane wody tej wielkiej rzeki przy której mieszkała, ogarniały wszystkie dusze, bo wszystkie pragnęła widzieć oświecone nauką przyniesioną z nieba przez Jej Boskiego Syna i wszystkie zbawione. Niektóre dusze święte rozmyślając nad ucieczką do Egiptu, miały sobie objawionem, że wielka liczba z później nawróconych w tej krainie i do wielkiej świątobliwości doszłych, zawdzięczała te łaski modlitwom Maryi podczas Jej tam przebywania. Ale przedewszystkiem, jak na to już zwracaliśmy uwagę, późniejsze zaludnienie tych okolic Świętymi pustelnikami, było następstwem pobytu Przenajświętszej Rodziny w Egipcie. Liczba zaś tych ludzi płci obojej, wiodących życie jakby nadziemskie była tak wielką, że jak się wyrażają współcześni historycy, mia-

sta się wyludniały, a puszcze zapełniały się niezliczoną liczbą pustelników i pustelniczek, jużto pojedynczo mieszkających, już w Zgromadzeniach zakonnych po kilka i kilkanaście członków liczących.

Owoż gdy upłynęły lata przeznaczone w wyrokach Boskich na czas trwania wygnania Syna Bożego z ojczyzny, i gdy umarł Herod, powtórnie okazał się Józefowi we śnie Anioł Pański i rzekł do Niego: *Wstań, weź Dziecię i Matkę Jego i idź do Ziemi Izraelskiej, albowiem pomarli ci, którzy szukali duszy Dziecięcia* *). I znowu więc, bez najmniejszej zwłoki, i ten rozkaz Boski spełnionym został.

Nikt Ich z mieszkańców Heliopolis nie zatrzymywał, nikt się Ich odejściem nie smucił, nikt ich nawet nie żegnał. Byli obcymi przybyszami, bardzo ubogimi, pracowali na życie, żyli wśród pogan, żadnych więc bliższych tam stosunków z mieszkańcami nie mieli. Jak gdy tam przybyli, prawie nikt na to nie zwracał uwagi, tak i gdy odchodzili, nikt się o to nie troszczył A czyż i to nie jest smutnym obrazem świata a zwłaszcza dzisiejszego, na którym mało kto ma z Jezusem stosunki, a gdy On za karę przebranych złości ludzkich, z całego kraju jakiego jakby uchodził, mało kto dostrzega tego, i mało kto się smuci lub zatrzymać go pragnie

Puścili się tedy Przenajświętsi wędrowcy w drogę z powrotem do ojczyzny. A słuszną robi święty Alfons uwagę, że dla Pana Jezusa była ona bardziej utrudzającą jak odbyta poprzednio gdy uchodzili do Egiptu; a co i dla Maryi było źródłem trosk nieustannych. Albowiem Boski Jej synaczek, już wtedy mając lat kilka,

*) Mat. 2. 20.

na rękach niesiony być nie mógł, a piesza podróż jako jeszcze z dzieciństwa nie wyszłego, bardzo trudziła.

Znowu więc ujrzeli wody morza Czerwonego, znowu dziką pustynię długo przebywać musieli, i nakoniec, stanęli na ziemi ojczystej, na ziemi świętej, ulubionej i wybranej przez Boga, a więc i przez Nich ukochanej.

Wszelako nie od razu miał ich wszelki frasunek odstąpić. Zwykle bowiem tak bywa, że każda bieda ludzka, chociaż przeminie, nie bez tego żeby po sobie jakichś resztek nie pozostawiała. Pragnęła Marya i toż samo Józef, udać się do Jerozolimy, zwiedzić świątynię Pańską a nawet i obok niej osiąść. Bo jakież miejsce na ziemi właściwszem było dla pobytu Syna Bożego, jeśli nie to miasto posiadające Świątynię, gdzie jedynie prawemu Bogu oddawano cześć należną. Lecz Józef dowiedziawszy się że panował tam Archelausz, nieodrodny syn Heroda, który usiłował pozbawić Jezusa życia, obawiał się iść do grodu świętego. To też znowu we śnie odebrał cudowne ostrzeżenie z nieba, żeby się udał do Galilei. Jakoż, Przenajświętsza Rodzina nie zachodząc wcale do Jerozolimy, poszła do Nazaretu miejsca dawnego Swego pobytu, i tam znowu osiadła.

Takie są tedy szczegóły tajemnicy Ucieczki do Egiptu, tej drugiej Boleści Maryi. Jak długo trwała ona, to jest jak długo Przenajświętsza Matka pozostawała z Jezusem i Józefem na wygnaniu, z wszelką pewnością określić to trudno. Święty Epifaniusz, jeden z najstarożytniejszych pisarzy kościelnych utrzymuje, że Zbawiciel miał dwa lata gdy Go Marya unosić musiała do Egiptu, i że dwa lata tam przebyli. Baradyusz historyk, także z pierwszych wieków chrześcijaństwa, przypu-

szcza że pobyt ten przeciągnął się do lat sześciu; a Amoniusz Aleksandryjski, również znakomity dawny pisarz kościelny, że do lat siedmiu. Maldonat późniejszy wielkiej powagi pisarz, jest tegoż zdania, jak również Kardynał Baroniusz sławny autor historyi kościelnej i Ojciec Suarez znakomity Teolog z Towarzystwa Jezusowego. Dziś też to ostatnie mniemanie jest powszechnie w Kościele przyjętem.

Ta druga Boleść Przenajświętszej Matki przedstawia nam trzy okoliczności, nad któremi pobożnie zastanawiać się możemy, — a mianowicie: samą Ucieczkę do Egiptu ze wszystkiemi towarzyszącemi jej dla Maryi obawami, trudami i strapieniami; następnie pobyt w Egipcie z tęsknotą za krajem ojczystym i przykrościami z powodu przebywania wśród pogan; i nakoniec powrót utrudzony, jak to wyżej nadmieniliśmy, przez to, że Boże Dziecię drogę tę już pieszo odbywać musiało.

§. II. Główne cechy drugiej Boleści Przenajświętszej Matki.

Po opowiedzeniu więc szczegółów tyczących się tej tajemnicy, przejdźmy teraz do rozważania głównych cech drugiej Boleści Maryi.

A najprzód, zwróćmy uwagę na to, że jak starzec Symeon, prorokujący to co czekało Jezusa i zapowiadający Maryi Miecz mający przeszyć Jej duszę, był jakby sprawcą, jakby narzędziem Jej pierwszej Boleści, tak tej drugiej był tem święty Józef oznajmiający rozkaz Boga, aby uchodzili do Egiptu.

Owoż, jestto czemś właściwą sobie a odrębną

zadającem boleść, gdy dotyka nas ona za pośrednictwem tych, których szczególnie miłujemy: gdy otrzymuje się ranę na sercu wprawdzie nie wprost przez nich, ale bądź co bądź przez ich ręce zadaną. Jak więc wielką było to dla Józefa przykrością, zwiastować Maryi to ciężkie dla Niej strapienie, tak znowu dla Niejże Samej było odrębną Boleścią, z jego ust usłyszeć wyrok wygnania. Nic też dziwnego, że zdarza się nie raz, iż gdy komu wypada oznajmić coś bardzo boleśnie dotknąć go mającego, nikt z bliższych mu niechce podjąć się tego smutnego posłannictwa, czując że ono tem dotkliwszem będzie, im przez droższych sercu naszemu się spełnia. A któż kiedy był komu droższym jak Józef był nim dla Maryi?

Bywały przykłady miłości i przywiązania małżeńskiego tak uderzające i budujące, że je historya potomności przekazała. Lecz w żadnem stadle małżeńskiem błogosławieństwo Boskie nie uświęcało miłości i przywiązania tak czystego, tak silnego, tak serdecznego, jakiem była miłość i wzajemne przywiązanie tych dwojga Najświętszych Istot, które Syn Boży obrał Sobie za rodziców. Nie było nigdy pomiędzy najlepszymi małżonkami takiej jedności, takiego wżycia się jednego serca w drugie, jakiem było Ich małżeńskie pożycie. Po miłości Jezusa przez Maryę, ziemia nie widziała nigdy takiej miłości jak ta którą miłowała Ona Swego przeczystego Oblubieńca, z rozporządzenia Boskiego zastępującego dla Niej męża, a dla Jezusa ojca. Albowiem Jej przywiązanie do Józefa pochodziło z miłości i naturalnej i nadprzyrodzonej. Dla Maryi Józef był nietylko najdoskonalszym z ludzi, a więc i dlatego godnym Jej największej miłości — lecz był przedewszystkiem żywym Boga Ojca obrazem wiernie zarysującym się jak cień każdego przedmiotu pod zmysły podpada-

jącego, gdy nań żywsze światło pada. Pamiętała bowiem że Go Anioł Gabryel *Cieniem Najwyższego* nazwał, gdy przy Zwiastowaniu powiedział do Niej: *A cień Najwyższego przykryje Cię*).* Jakby mówił: „Nie troszcz się tem że bez męża staniesz się matką, bo Najwyższy zeszle Ci przeczystego Oblubieńca Józefa, który i Ciebie i Boskie Dziecię Twoje otoczy opieką swoją jakby *Cieniem* Samego Boga." A był on dla Niej i obrazem, albo raczej przedstawicielem i Boga Ducha Świętego, będącego Jej rzeczywistym małżonkiem, za którego przed ludźmi uchodził Józef. To też gdy widziała na ręku Jego Jezusa i tę drugą Osobę Trójcy Przenajświętszej, stawało się to dla Niej źródłem najwznioślejszych rozmyślań, a Józefa w oczach Jej podnosząc do godności najwyższej jaka tylko być mogła po Jej własnej godności, rozbudzało w Jej niepokalanem sercu najżywszą i najświętszą ku niemu miłość i uwielbienie. Nakoniec, oceniała Ona jak tylko być może najlepiej świętość jego po Jej świętości najszczytniejszą do jakiej kiedy spodobało się Bogu wynieść jaką duszę ludzką. Dopatrywała to ciągłe spływanie na niego łask niebieskich odpowiednich Temu, którego Pan Bóg *Postawił panem domu Swojego**),* to jest stróżem, rządcą i zawiadowcą Bożej Rodziny na ziemi. Im więc z tych wszystkich powodów był Józef droższym dla Maryi, tem odrębniejszą i osobną w tej drugiej Jej Boleści Boleścią było to, że ten Miecz dostawał się do Jej serca przez jego ukochane ręce.

Lecz co także tej drugiej Boleści Przenajświętszej Panny przydawało goryczy, to ta okoliczność, że stra-

*) Łuk. 2. 35. **) Psalm 104. 21.

pienie Jej doznane wtedy, pochodziło nie wprost od Boga, lecz od ludzi: było skutkiem złości Heroda i jego zawziętości na nowo narodzonego Zbawiciela. A wiemy to z własnego doświadczenia, że cierpienia pochodzące od ludzi, chociaż pamiętamy o tem, że nie dotykają nas one bez dopuszczenia Bożego, są dotkliwsze i trudniejsze do spokojnego i pokornego ich znoszenia, aniżeli cierpienia wprost od Boga, bez pośrednictwa stworzeń, a zwłaszcza rozumnych, na nas spadające. Łatwiej nam znosić bardzo ciężką chorobę, do której nikt z ludzi się nie przyczynił, aniżeli jaką wielką krzywdę wprost przez nich nam wyrządzoną. I nietylko stanowi to odrębną boleść, lecz wydaje się że jest w doznanej czemś właśnie najdotkliwszem. Stąd to bardzo często, gdy stajemy się ofiarą złości ludzkiej, wyobrażamy sobie, że strapienie stąd doznane łatwiej byśmy z poddaniem się i cierpliwością znosili, gdyby one nie od nich, nie przez nich, lecz wprost od Boga pochodziło. W tem, że krzyż mający nas obarczyć, przeszedł przez ręce ludzkie i z nich się na nas wtłacza, jest coś pozornie uwłaczającego jego wartości. Staje się on wtedy próbą nietylko naszej cierpliwości, lecz i pokory, a na tę ostatnią ledwie że nie trudniej nam zdobyć się jak na pierwszą. Nie masz nic upokarzającego, nic oburzającego naszą pychę, czuć przyciążającą się nad nami prawicę najwyższej wszechmocności Boga, za pośrednictwem przyczyn ślepych, drugorzędnych. Nie masz nic upokarzającego w śmierci ukochanego dziecka, w stracie najdroższych nam osób, albo zniszczeniu całego mienia, jeśli to spowodowanem będzie wypadkiem, w którym wola ludzka żadnego udziału nie miała. Lecz gdy Pan Bóg wskutek Swojej sprawiedliwości lub w widokach szczególnego Swego

nad nami miłosierdzia, dopuszcza na nas prześladowanie od ludzi, lub gdy doświadczamy oburzających od nich niewdzięczności, gdy jakie najdotkliwsze wyrządzają nam oni krzywdy, gdy w nieszczęściu odstępują nas przyjaciele, gdy nas uciskają ci, którzy się nami opiekować powinni, gdy zdradzają nas serca, którym zdawało się, że zaufać mogliśmy i powinniśmy byli — o! wtedy najwprawniejsze, że się tak wyrażę, dusze w dźwiganiu krzyżów, wzdragają się gdy ich krzyż tego rodzaju spotyka, jeśli mogą uchylają się od niego i trudno im powstrzymać się od gorzkich narzekań i wymówek. Wprawdzie, rozum oświecony wiarą uczy ich, że koniec końcem od Boga to pochodzi ich zmartwienie. Wiedzą oni dobrze, że nic się bez dopuszczenia Boskiego nie dzieje, i że chociaż ci co nam boleść zadają nie spełniają w tem wcale ze swojej strony woli Boga, to jednakże wolą Jego jest co do nas, żebyśmy boleść przez nich zadaną cierpliwie znosili. Pomimo jednakże tego, dusze nawet przejęte tą prawdą, z trudnością poddają się krzyżom nie wprost od Boga na nich spadającym, a chociaż przez Niegoż także dopuszczonym, lecz ludzkiemi rękoma na nas wkładanym.

Patrz na tę matkę, którą doszła wiadomość o śmierci ukochanego dziecka. Boleje ona niezmiernie, ale jeśli jest dobrą chrześcijanką, znosi swą boleść z poddaniem się i spokojną cierpliwością. Lecz oto nadchodzą wiadomości, wszystkie szczegóły tej śmierci przynoszące, i pokazuje się, że dziecię jej padło ofiarą niedozoru i do nie darowania obojętności tych, którym je powierzyła, a uczyniła to jedynie na ich usilne nalegania, którym niegodziło się jej opierać. Żeby tylko to lub owo nie zostało było zaniedbane; gdyby tylko tę małej wagi rzecz zachowano, ukochanego dziecięcia swego nie by-

łaby straciła. Tymczasem stając się ona najnieszczęśliwszą matką, widzi dobrze że nieszczęście swoje ludziom zawdzięcza. I otóż poddanie się temu nieszczęściu i spokojne jego znoszenie, na które jednakże zdobywała się dopóki nie wiedziała że było ono dziełem ludzi, którzy ją tak zawiedli znika jakby zupełnie, i biedna ta matka ledwie że w rozpacz nie wpada. Ta okoliczność, że strata dziecka dotyka ją nie wprost od Boga, coby miało miejsce gdyby do śmierci jego niczem ludzie się nie przyczynili byli, osłania jej umysł jakby gęstą chmurą, poza którą już trudno jej dopatrzyć Boga i Jego woli dopuszczającej, i poddać się takowej pokornie. Ta smętna, lecz także potrzebna dla duszy cisza wewnętrzna towarzysząca najsroższym cierpieniom serca gdy się na nie jako pochodzące wprost od Boga zapatrujemy, ustępuje miejsca wielkiemu zaniepokojeniu, gdy przychodzi nam w ludziach widzieć głównych sprawców naszego nieszczęścia. Skarg, których niepozwolilibyśmy sobie na Boga, dopuszczamy się wtedy na ludzi, a w nich się rozwodząc, w końcu z przesadą wszystko przesądzamy i jakby samochcąc przymnażamy sobie cierpień. Tak-to, gdy doznawana boleść pochodzi od ludzi, trudną jest ona do zniesienia i ma swoją odrębną gorycz.

Lecz co także utrudza cierpliwe i pokorne znoszenie cierpień zadawanych nam przez ludzi, to przekonanie o niesprawiedliwości, jakiej się oni w takich razach dopuszczają, a co niema miejsca gdy strapienie nasze pochodzi wprost od Boga, o którego sprawiedliwości nie możemy wątpić. Dla duszy przejętej żywą wiarą, cierpienie wprost od Boga pochodzące, uważane jako kara zesłana na nas przez Niego, uwyraznia niejako Jego przy nas i w nas obecność i dlatego ściślej

nas z Nim jednoczy. Zarówno przekonani będąc jak o nieomylnej sprawiedliwości Boga tak i o Jego granic nie mającej dobroci i miłości, pokornie i spokojnie nachylamy się pod razami wprost z ręki Jego pochodzącemi i żadnego w nich okrucieństwa nie dopatrujemy, chociażby były najcięższemi. Lecz w każdem pastwieniu się nad nami ludzi, jest coś okrutnego co nas przeraża. Myśl, żeśmy oddani na ich pastwę, zaniepokaja nas nadzwyczajnie. Pragniemy co prędzej z rąk ich się wydostać, bo nie wiemy do czego w końcu rzeczy dojść mogą. Rzecz zaprawdę dziwna! wydaje się nam, że wszystko rozumiemy gdy jesteśmy w przyciążającej się nad nami prawicy Boga, którego wyroki są niezbadane, a gdy w ręce zawziętych na nas ludzi wpadamy, niema końca w przypuszczeniach jakie czynimy tego co nas od nich spotkać może. Pomiędzy uczuciem jakiego doznajemy w nieszczęściu zesłanem na nas wprost od Boga, a uczuciem w nieszczęściu spotykającem nas od ludzi, taka zachodzi różnica, jak pomiędzy uczuciem zbrodniarza znienawidzonego przez ludność, odsiadującego swoją karę w spokojnem więzieniu, gdzie go jego zawziętość dosięgnąć nie może, a tego który wiedziony przez ulicę, napastnięty zostaje przez rozjuszony na niego motłoch. W pierwszym razie czuje on, że spełnia się nad nim wyrok spokojnej i rozważnej sprawiedliwości; w drugim widzi się wystawionym na barbarzyństwo zdziczałego pospólstwa. To też i Dawid, o którym mówi Pismo święte, że był *mężem według serca Bożego* *) bardziej obawiał się cierpień zadawanych przez ludzi, aniżeli klęsk wprost od Boga pochodzących. Bo oto gdy zasłużył na karę,

*) I. Król. 13. 14.

która miała dotknąć jego królestwo, a Pan Bóg dał mu ją do wyboru, zawołał: *Ze wszech stron ucisk mnie ciśnie, ale mi lepiej wpaść w ręce Pańskie, bo wielkie są miłosierdzia Jego, niżeli w ręce człowiecze* i wybrał morowe powietrze: *Przypuścił tedy Pan pomór na Izraela* *). Bo któż nie czuje, że Bóg najświętszy, łatwiej daje się przejednywać, jak ludzie podobni do nas grzesznicy. Łatwiej On, aniżeli ludzie zmienia Swoje postanowienia. Kiedy pomiędzy nami, a niegodziwym światem stoi Bóg, czujemy się bezpiecznymi, i gdy Sam On nas dotyka jęczymy, płaczemy, ale spokojnie i z poddaniem się; z ufnością opieramy schyloną głowę pod Jego stopy, chociażbyśmy od doznanego ciosu na ziemi leżeli. Lecz gdy nielitościwi ludzie znęcają się nad nami, podobniśmy do owieczki ostrzyżonej, na której obnażonej skórze, północny wiatr z deszczem do woli igra

I tego właśnie zaczęła doznawać Marya w tej drugiej Swojej Boleści. Skutki złości ludzkiej zaczęły się już spełniać nad Jezusem; przepowiednia Symeonowa, że *ludzie sprzeciwiać się Mu będą* **) już się ziszczała. Już więc przychodziło Jej doznawać tej odrębnej goryczy, jaka się zawiera w cierpieniach pochodzących od ludzi.

Ale nie dość na tem, bo i najświętszy i najdroższy Jej przeczysty Oblubieniec, był wtedy dla Niej źródłem i powodem trosk, o niemałe cierpienie Ją przyprawiających. Święty Józef był już niemłodym, a jak niesie podanie, nie silnego zdrowia; potrzebował więc pewnego spokoju i wielkie trudy przechodziły Jego siły. Dotąd wiódł On życie pracowite wprawdzie, lecz bar-

*) I. Par. 21. 13. **) I. Łuk. 2. 35.

dzo spokojne, jednostajne, ciche i dalekie od wrzawy światowej. Odpowiadało to najwłaściwiej łaskom wewnętrznego życia, w którem On coraz wyżej postępował i które to łaski najbujniej się rozwijają wśród wewnętrznej i zewnętrznej ciszy, jak owe przepyszne liście, według świadectwa podróżnych, okrywające tak bujnie, jak nigdzie indziej, drzewa rosnące na wyspach, na których wiatry prawie nigdy nie panują. Życie Jego było życiem opływającem w spokój i wewnętrzny i zewnętrzny, i do tego nawykł On był od lat najmłodszych. Wszelki pośpiech bez którego wiele koniecznych zajęć na świecie obejść się nie może, częste w nich zmiany, a stąd niejednostajność w zajęciach, były to rzeczy dla Niego zupełnie obce i do których miał wstręt naturalny. Był On arcywzorem, *typem* wszystkich jacy kiedy i przed Nim i po Nim byli i będą bogomodlców, dusz najwyższej bogomyślności, *kontemplacyi* oddanych i najwyższemi do tego łaskami obdarzonych, a które, jak wiadomo, potrzebują jak największej i zewnętrznej ciszy i spokojności. Był to przecudny kwiat, który powinien był rozwinąć się na jakiemś świętem miejscu chyba po za ziemią, albo przeniesionym zostać do dawnego raju ziemskiego, w którym Adam, przed swoim upadkiem, obcował twarz w twarz z Bogiem. Przypuszczać też można, że gdyby nie to, że Go czekały takie dwie najwyższe, jakich dostąpić mógł człowiek godności: przeczystego Oblubieńca Maryi i mniemanego Ojca Jezusa, byłby On dawno porwany z ziemi i z Eliaszem i Enochem w odpowiedniejszem dla Niego miejscu umieszczonym.

Owoż, Marya lepiej jak ktokolwiek wiedziała o tem i tak się zaptrywała na Swego przeczystego Oblubieńca i Piastuna Jezusa. Któż więc lepiej od Niej

mógł ocenić niezmierną przykrość, i że się tak wyrażę, krzywdę jaką wyrządza Józefowi konieczność opuszczenia Ich cichego i spokojnego domku Nazareńskiego i puszczenie się na wygnanie, na tułaczkę, w krainę odległą, obcą i poganami zaludnioną. I to przeto było dla Niej odrębnem źródłem wielkiego smutku.

Lecz Marya znajdowała się wtedy jakby otoczona zewsząd powodami cierpień. Zamknięta była w kole najeżonem troskami, z którego nie było wyjścia. Bo jeśli dla ulgi w zafrasowaniu się Swojem o Józefa, zwracała uwagę na Jezusa, a gdzież indziej jak w Nim szukać mogła pociechy — o! jakże tem bardziej przerażał Ją obraz tego co Jej Boże-Dzieciątko czeka w tej tak długiej, niebezpiecznej i trudzącej podróży, i w pobycie, a niewiadomo jak długim, pomiędzy poganami, względem należących do narodu Izraelskiego, przejętych i pogardą i nienawiścią. Wyobraźni Jej, przedstawiały się jakby trzy morza rozburzone i niebezpieczne do przebycia dla Jej ukochanego Dziecięcia. Bo oto najprzód podróż przez ogromną puszczę oddzielającą Egipt od Ziemi świętej, a na której czekało Ich albo błądzenie po bezdrożach, na których zabłąkawszy się, jakto niejednemu z przebywających te miejsca zdarzało się, uledz śmierci głodowej; albo zostać zasypanemi żywcem tumanami spieczonego piasku większą burzą nagromadzonemi; albo-li też wpaść w ręce rozbójników kryjących się tam w niektórych jaskiniach, a którzy gdy ubogich napotykali, chociaż ich łupem wzbogacić się nie mogli, wymordowywali ich wszelako z obawy, żeby o ich kryjówkach nie zawiadomili władzę krajową. Jeśli zaś ujdą szczęśliwie tych wszystkich niebezpieczeństw i dotrą do Egiptu, na ileż to znowu

przykrości, braków i na jaki niedostatek narażone będzie Jej Boże-Dzieciątko! Klimat tam dla nieoswojonych z nim, a zwłaszcza dla dzieci, z powodu zabójczych wylewów Nilu jak najszkodliwszych. Mieszkańcy w ciemnocie barbarzyńskiej pogrążeni, w ludziach ubogich widzący tylko odrzutków społeczeństwa, którym co najmniej to nic innego prócz pogardy się nie należy, a stąd wszelkich przybyszów, a zwłaszcza z narodu Izraelskiego, najniechętniej przyjmujący. Trudność w zarobkowaniu na życie pomiędzy obcymi w ogólności, a cóż dopiero pomiędzy niewiernymi tak różniącymi się z Nimi co do obyczajów i religii — oto jest co czekało Przenajświętszą Rodzinę, jeśli dojdzie do Egiptu, co czekało Dzieciątko-Jezus i co przedstawiało się Maryi za każdem na Niego spojrzeniem, za każdym krokiem, gdy Go tam unosiła. A nakoniec jeżeli przyjdzie Im kiedyś wracać do ojczyzny, czeka Ich powtórnie ono przebywanie pustyni, tyle nasrożone trudnościami i niebezpieczeństwami. Takie to więc trzy ponure obrazy, nie schodziły z myśli Maryi, i ten drugi Miecz Jej Boleści coraz srożej w Jej serce macierzyńskie wtłaczały.

W spotykających nas strapieniach, jak we wszystkiem co stanowi bieg naszego biednego życia na ziemi, zachodzi wielka rozmaitość w okolicznościach im towarzyszących. W niektórych razach, gdy dotknięci zostajemy jakiem wielkiem zmartwieniem, możemy dla oswojenia się z niem i nabrania siły do jego przeniesienia, zamknąć się w domu, albo w jakiem miejscu ustronnem, gdzieby nic nam nie przeszkadzało i popłakać spokojnie i w ściślejszem zjednoczeniu się z Bogiem, zaczerpnąć z światła niebieskiego i wszelkich łask niezbędnych w takich razach.

Lecz walka ze strapieniem jest nierównie trudniejszą, gdy przed niem w takiej jakby twierdzy zamknąć się nie możemy, i zmuszeni jesteśmy niejako iść na jego spotkanie na odkrytem polu. Gdy naprzykład niewolno nam zrywać stosunków z ludźmi, którzy nam w nich najdotkliwsze wyrządzają krzywdy, gdy obowiązki nasze nie dozwalają nam zaniechać sprawy, która nam tylko najdotkliwsze sercu zadaje rany; słowem, gdy przed dotykającym nas cierpieniem nie godzi się uchodzić, lecz trzeba nam brać się z niem ciągle za bary — wtedy nurząca taka walka, coraz bardziej wyczerpuje nasze siły moralne i jest bardzo trudną do znoszenia.

Otóż, przez przejście z pierwszej Swojej Boleści do drugiej, Marya przechodziła z tego pierwszego sposobu cierpienia do tego drugiego, o którym mówiliśmy. Z pierwszym Mieczem, który przeszył Jej serce przepowiednią Symeona, wróciła do Swego odludnego Nazaretu, i w cichości Swego mieszkanka, tyle tylko mając stosunku z ludźmi ile ich miała z Jezusem i Józefem, cierpiała w samotności tak dla zbolałej duszy pożądanej. Lecz teraz w tej drugiej Swojej Boleści, już nietylko od świata i jego przykrej wrzawy oddalić się nie może, lecz musi wyjść na niego, i to jeszcze wyjść i ujrzyć się wśród świata pogańskiego, wśród ludzi obyczajów dla Niej najwstrętniejszych, i wśród rozmaitych okoliczności kłopocących Jej macierzyńskie serce w najwyższym stopniu. W pierwszej Boleści dość Jej było, spokojnie, pokornie, z największą miłością i wielbieniem wyroków Boga biernie tylko poddawać się woli Boga. W tej drugiej przychodziło Jej czynnie współdziałać z tąż wolą najwyższą i cierpienie, już nietylko znosić, lecz iść naprzeciw niemu i niejako Samej go szukać. Kto zaś wie jakim jest w ogólności w duszach wy-

sokiej świątobliwości wstręt do zepsutego świata, czem jest dla ich błogosławionej nieśmiałości, a zwłaszcza u płci niewieściej, zetknięcie się z ludźmi pogańskich wyobrażeń i obyczajów, ten łatwiej się domyśli, czem ta przemiana w Jej sposobie życia, czem Jej opuszczenie samotności Nazareńskiej, a udanie się i zamieszkanie wśród pogan, było dla Maryi już samo z siebie, obok innych okoliczności tę wędrówkę i pobyt na wygnaniu czyniących nad wszelki wyraz bolesnymi.

Zdarza się niekiedy, że osoby poczynające wieść życie pobożne, a jak to zwykle bywa w początkach, z łatwością dopełniające różne ćwiczenia rozwijające w nas życie wewnętrzne — do zewnętrznych ćwiczeń pobożnych mniejszą jak to było przedtem, przywiązują wagę. Wprawdzie, jeśli są dostatecznie w religii oświecone, nie dochodzą co do tego aż do jakich przeciwnych nauce Kościoła wyobrażeń; niemniej jednakże wszelkie zewnętrzne ćwiczenia religijne, a nawet i obrzędy kościelne, mimo ich woli, tracą w oczach ich urok i przedstawiają się im czemś jakby martwem i zimnem, w porównaniu z tem czem być powinny wszelkie objawy stosunku duszy z Bogiem a zwłaszcza ściślejszego z Nim jednoczenia się. Nawet niekiedy może im przychodzić na myśl, że są to rzeczy pożyteczne dla dusz na pospolitych drogach będących, ale dla wstępujących na drogę wyższej pobożności, już tem być przestają. Jest zaś to skutkiem tego, że ćwiczenia odnoszące się do życia wewnętrznego, będące dla nich rzeczą nową, żywiej ich zajmują; a że z drugiej strony dobrze się przekonały o niewielkiej wartości ćwiczeń zewnętrznych jeśli nie są ożywione duchem wewnętrznej pobożności, przesadne mają wyobrażenie

o tem co się odnosi do życia wewnętrznego, a zbyt niskie o tem co należy do zewnętrznych ćwiczeń religijnych. Jest bowiem coś tak roskosznego, (bo w istocie tego tu wyrażenia użyć wypada) w początkach ściślejszego jednoczenia się duszy z Bogiem, że z braku w tem doświadczenia, które później dopiero się nabywa, nie dopatruje się możności tegoż jednoczenia się przez same pobożne ćwiczenia zewnętrzne i przez wszelkie obrzędy kościelne, jako też i przez najrozmaitsze do tegoż środki zewnętrzne, przez Kościół zatwierdzone, doradzone, pochwalone i rozpowszechnione.

Lecz gdy dusza na drodze wyższej pobożności uczyni postęp, zmienia się to jej usposobienie. Modlitwa ustna, wszelkie zewnętrzne ćwiczenia religijne i obrzędy kościelne, nabierają wtedy w oczach naszych właściwej sobie wagi. Wszystkie sposoby uroczystego obchodu różnych świąt w Kościele, podział jego kalendarza, pewne w nich następstwa, a najwłaściwsze i mające swoje osobne znaczenia, odpowiednie im, a pełne wielkich dla duszy pożytków, wywierają na nas wrażenie, koronki, szkaplerze, odpusty, bractwa i tym podobne zewnętrzne pomoce do rozwijania i utrwalania w nas życia pobożnego, stają się dla nas szkołą, przez którą mimo naszej wyraźnej o tem wiedzy, rozwija się w nas życie wewnętrzne i utrwala się coraz ściślejsze jednoczenie się duszy z Bogiem. Stąd też dla osoby wysokiej świątobliwości, wszelkie zewnętrzne ćwiczenia religijne czy to prywatne czy publiczne, są czemś podobnem do onych *statków,* do onych dzbanów glinianych, w których na godach weselnych w Kanie Galilejskiej *) Pan Jezus przemienił wodę

*) Jan. 2. 10.

w wino, a którem napawać raczy dusze ściślej z Nim zjednoczone. Piszą, że święty Andrzej z Awelinu wpadał w zachwycenie, gdy przy publicznych obrzędach, słyszał śpiewane niektóre antyfony z pacierzy kościelnych na Wielki Tydzień przypadających. A święta Teresa wśród ciężkich wewnętrznych ucisków, jakich niekiedy doznawała, największą znajdowała pociechę i ulgę w pokropieniu się wodą święconą. Byli Święci, dla których jeden najdrobniejszej na pozór wagi przepis co do obrzędów kościelnych, małoznacząca z tak zwanych *Rubryk* kościelnych, bywała przedmiotem pobożnych rozmyślań, które ich w zachwycenie wprawiały.

Stąd dla duszy świątobliwej, z jakiegokolwiek powodu pochodząca niemożność uczestniczenia w obrzędach kościelnych, pozbawienie tego rodzaju zewnętrznych ćwiczeń religijnych, jest tem dotkliwszą, im wyższa świątobliwość więcej z nich korzystać umie i tem większej, a potrzebnej dla duszy świętej pociechy w nich zaczerpywać może.

Gdy się przebywa w miejscowości, w której z wszelką łatwością uczęszczać możemy na publiczne nabożeństwa, przystępować do Sakramentów świętych, słuchać kazań; słowem mieć jakby pod ręką wszelkie pomoce religijne nie dość sobie cenimy to szczęście. Lecz komu przydarzy się zamieszkać kraj, w którym albo rzadko gdzie znajdują się kościoły nasze, albo ich wcale niema, i gdy przez to pozbawionym się jest wszystkich tych i pociech, i pomocy religijnych, w jakie opływają katolicy, mający w bliskości swoje kościoły i swoich kapłanów — wtedy to dopiero przekonywamy się jak bolesnym jest brak takowych. To też, tak jak niektórzy wydaliwszy się z ojczyzny, doznają niewymownej za nią tęsknoty, przyprawiającej ich

o chorobę zwaną *nostalgią*, tak dla osób żywej wiary, pobyt w miejscu gdzieby nie miały swego kościoła, i w jego obrzędach uczestniczyćby nie mogły, staje się już z tego jednego powodu bardzo przykrym, a dla dusz pobożnych czemś do nie zniesienia. I dlatego jeśli tylko jest to w ich możności, opuszczają one miejscowości takowe, chociażby z ofiarą największych korzyści doczesnych, i przenoszą się w okolice gdzie pomocy i pociech religijnych nie byłyby pozbawione.

Czytałem niedawno następujące zdarzenie: Pewien młodzieniec, mieszkający w jednem z miast Europejskich gdzie jest wiele kościołów i gdzie publiczne obrzędy z właściwą okazałością się odbywają — jako dobry katolik, uczęszczał na nie regularnie i wielkiej z tego doznawał pociechy, odnosząc niemałe dla duszy pożytki.

Tymczasem bezdzietny stryj jego, którego on był jedynym spadkobiercą, bardzo bogaty kupiec gdzieś daleko w Azyi mieszkający, czując się blizkim śmierci, zawezwał go do siebie. Udał się on tam niezwłocznie, i gdy wkrótce po jego przybyciu stryj umarł, objął po nim zakład handlowy, w którym wiodło się mu coraz lepiej, lecz wymagało to koniecznie jego ciągłego tam pobytu. Było zaś to miasto mahometańskie, w którem, jak i w całej tej krainie, nie było kościoła ani kapłana katolickiego. Zamieszkawszy tam, z początku było mu bardzo tęskno za kościołem i jego świętemi obrzędami. Lecz po kilku latach spędzonych w tem mieście, z powodu ogromnych zysków jakie mu zapewniło osobiste kierowanie na miejscu interesami jego handlu, zobojętniał zupełnie na rzeczy tyczące się religii i żył jak bezwyznaniowiec.

Po upływie pewnego czasu, dla przeprowadzenia interesu handlowego zapewniającego mu nadzwyczajne

korzyści, wypadła potrzeba by na krótko udał się do Europy. Przebywszy więc morze Czarne, Dunajem płynął do Wiednia. Wydarzyło się, że statek na którym się znajdował, zatrzymał się na brzegach tej rzeki przy małej wiosce, kiedy z kościółka w niej będącego, wychodziła dość liczna procesya z obrazem Matki Bożej niesionej przez dziewczynki wiejskie w bieli ubrane, a na której czele szedł staruszek proboszcz, przybrany w szaty kościelne, a wszyscy śpiewali jakąś pieśń nabożną. Widok tego obrzędu tak u nas częstego, a czego on od wielu lat nie widział, nadzwyczajne zrobił na nim wrażenie. Dawna jego pobożność na nowo się rozżywiła, i w tejże chwili uczuł tak żywo czem są dla katolika wszelkie obrzędy kościelne; tak niepodobieństwem wydało mu się żeby miał wrócić do kraju, w którym był ich zupełnie pozbawionym, że postanowił już tego nie czynić. Dopłynąwszy też do Wiednia, wyrzekając się ogromnych zysków jakie mu zapewniał interes dla którego tam przybywał, zaniechał go całkiem. Zwinął swój dom handlowy w Persyi, i nabywszy znaczną posiadłość przy onej wiosce w której wychodząca procesya takie na nim zrobiła była wrażenie, w niej osiadł, i wiódł tam już aż do śmierci życie wzorowego katolika.

Taką to więc potrzebą są dla każdej duszy przejętej wiarą świętą, obrzędy naszego Kościoła, a cóż dopiero dla dusz wyższej świątobliwości, i jakiemże to jest źródłem wielkiego cierpienia dla tych ostatnich zwłaszcza, gdy takowych są pozbawione.

Otóż, w drugiej Boleści Przenajświętszej Panny, zamykał się i ten właśnie rodzaj cierpienia, a które zrozumieć mogą tylko dusze wyższej pobożności, które wiedzą czem są dla nich wszelkie obrzędy kościelne,

a czem przykrość i szkody, gdy widzą się pozbawionemi takowych.

W krainie do której udała się Marya w Ucieczce ze Swojem Boskiem Dziecięciem i w której długo przebywać musiała, nie było świątyni Boga prawdziwego, nie było nawet żadnej Synagogi, w której należący do ludu wybranego zgromadzali się na wspólne modlitwy i odczytywanie Pisma świętego. Nie składano tam ofiary miłej Bogu, lecz przeciwnie, spełniano ofiary pogańskie, które w Niej największy wstręt i obrzydzenie wywołały. Tęskno Jej było za świątynią Jerozolimską, przy której młodziutkie lata Swoje spędziła zatapiając się w Bogu w najwyższej bogomyślności. Z niewymownym żalem za niemi, przypominała Sobie te liczne nagromadzania się wiernych Starego Zakonu, w pewnych porach roku zapełniających Świątynię Salomonową; te wspaniałe obrzędy, w których lud wybrany miał sobie uroczyście przypominane niezliczone dobrodziejstwa, któremi go obsypywał Pan Bóg; przy których odśpiewywano Psalmy Dawidowe przez Samego Ducha Świętego ułożone, i odczytywano z kazalnicy jużto dzieje narodu wybranego, już księgi mądrości najwyższej, uczącej ludzi jak Boga chwalić i jak Mu służyć powinni. A gdy tego wszystkiego pozbawioną była, obecność przy Niej Jezusa i każde na Niego spojrzenie, jeszcze te smutki doznawane wtedy przez Nią zwiększały, bo widziała w Nim tegoż Boga, który wszystkie obrzędy starego Zakonu postanowił, w których On pod różnemi postaciami był przedstawiony i zapowiadany, i który za niemi równie jak Jego Przenajświętsza Matka, z całego Swego dziecięcego serca i za Siebie i że widział Ją pozbawioną takowych, tęsknił także niewymownie.

Lecz bądź co bądź dla nas jest niepodobieństwem ocenić całą Boleść jakiej i z tego powodu doznawało wtedy niepokalane serce Maryi, bo na to trzeba być w możności takiego przejmowania się duchem wszelkich świętych obrzędów jak to czyniła Marya, i być obdarzonym taką czułością serca na przykrość z niemożności w ich uczestniczeniu, jaką posiadała Ona, i wreszcie mieć tak jak Ona przy sobie Jezusa osobiście obecnego, a tą obecnością i Swoją znowu za temiż obrzędami tęsknotą, zwiększającego Jej cierpienie. A czyż to komu dano? Jak bowiem każda z Boleści Przenajświętszej Panny tak i ta którą teraz rozważamy, ma sobie właściwe odrębności, swoje odcienia i głębie, których nigdy zbadać nie będziemy w stanie.

Lecz Marya, doznawała wtedy wielkiej Boleści nie z tego tylko powodu, że pozbawiona możności uczestniczenia w publicznych obrzędach prawdziwą i miłą Bogu cześć oddających, patrzyć niejako musiała jak Go ludzie znieważają, oddając cześć bożyszczom pogańskim. Srodze prócz tego bolała nad zgubą tej ogromnej liczby dusz, uwikłanych w błędy pogańskie. Wiedziała bowiem dobrze, że chociaż ich niewiadomość i ciemnota religijna, były w pewnym stopniu niewinnemi, niemniej jednakże zachowywane przez nich obrzędy, wyniszczały w nich zmysł wszelkiej moralności nawet naturalnej, fałszowały im sumienia i utrwalały ostateczne skażenie obyczajów. Biedny ten naród tylko darami naturalnemi przez Boga zbogacony, przedstawiał się Jej oczom jakby w sidła szatańskie zewsząd wplątany, a z których dla dusz w najszlachetniejsze nawet przymioty naturalne bogatych, wywikłać się było jakby niepodobieństwem. Żeby zaś zrozumieć jakiem i to

znowu było odrębnem i wielkiem dla Maryi cierpieniem, pamiętajmy o tem, że Ona swoją miłością bliźniego, a po miłości jaką Sam Bóg miłuje ludzi, najwyższą, ogarniała każdą duszę, w narodzie zaś wśród którego wtedy przebywać Jej przyszło, widziała bądź co bądź naród wśród którego Boskie Jej Dzieciątko, prześladowane we własnej ojczyźnie, znachodziło bezpieczne schronienie i niezbędny przytułek. W sercu Maryi, jak wszystkie cnoty tak i cnota wdzięczności, dochodziła do najwyższego stopnia. Gdy więc pod pewnym względem winna ją była temu ludowi pogańskiemu, o! jakże ją bolało że się mu odpłacić nie może, nawróceniem go do Tego, który pomiędzy nimi znalazł przytułek. A z najwyższych wyroków Boskich, było to wtedy niepodobieństwem, przejmującym Ją odrębnym a niezmiernym smutkiem.

Przytem ileż to smutków najrozmaitszego rodzaju przywiązanych jest w ogólności do losu wygnańców! Jest to jedno z tych nieszczęść, które najbardziej osłabia, w osobach najsilniejszego nawet hartu, siłę ducha. Jest to brzemię, którego ciężar coraz to bardziej daje się uczuwać, w miarę jak z upływem czasu do już udźwiganego przybywa ciągle nowy jego zasób. Do wygnania nawyknąć niepodobna, chociaż to bywa z wielu innemi spotykającemi nas nieszczęściami. Gdy zaś do niego dołącza się i niedostatek, a w takim to właśnie stanie była w Egipcie Przenajświętsza Rodzina, wtedy pobyt w obczyźnie jest jeszcze trudniejszym do przeniesienia. Dla ubogiego przebywanie pomiędzy ludźmi z którymi żadne bliższe nie łączą go stosunki, do których nietylko wsparcia, ale nawet współczucia i litości jakby żadnego szczególnego nie ma prawa —

jest czemś nadzwyczaj dotkliwem i zatruwającem mu każdą chwilę życia wygnańczego. Obca nam ziemia na którąśmy się dostali, tyle tylko że nam po sobie stąpać dozwala; ale to wszystko co jest na niej to już nie nasze i do niczego nie mamy tam prawa; wszyscy względem nas, co najmniej, są obojętni. A jak w najważniejszych sprawach bieżących obcego narodu wśród którego znajdujemy się, do żadnego udziału przypuszczeni nie jesteśmy, tak i przeszłość jego mało nam znana i przyszłość mało nas obchodzi. Prócz tego było coś nadzwyczaj przykrego w odosobnieniu od wszelkiego towarzystwa z niewiastami, w jakiem znajdowała się wtedy Marya. Wprawdzie wiodła Ona i w Nazarecie życie odosobnione, jednakże miała stosunki z osobami płci Swojej, już to Jej bliższemi krewnemi, już niewiastami wyższej świątobliwości. Lecz żyjąc wśród poganek, czyż mogła z niemi mieć jakąśkolwiek styczność? Wśród ludnego miasta Heliopolis w którem osiedli, była więcej osamotnioną jak święta Taida zamurowana w swojej jaskini, albo Marya Egipska, zamieszkująca najdziksze strony puszczy Tebaidzkiej.

I wreszcie tak młodziutka, tak wątła, tak niedawno zostawszy matką, nieśmiała i uboga, rzucona w ten wir świata pogańskiego, w ten gwar ludu barbarzyńskiego, w każdym cudzoziemcu widzący istotę godną tylko najwyższej pogardy — podobna była do najdelikatniejszego kwiatu wystawionego na zimne wiatry północnej sfery, zabójczej dla niego.

Lecz może pomyślisz sobie że wszystko to prawda, ale bądź co bądź, Marya miała przy Sobie Jezusa. W istocie miała Go, ale miała Dzieciątkiem jeszcze wątlejszym od Niejże Samej, jeszcze bardziej potrzebującem ochrony od tej pogańskiej atmosfery wśród

której żyć Im przychodziło. Miała i opiekę nad Sobą świętego Józefa; lecz On już podeszły w lata, na zdrowiu bardzo podupadły, z natury łagodniutki jak baranek, do stosunków z ludźmi od lat najmłodszych nienawykły, czyż mógł zawsze stawić czoło trudnościom i przykrościom wynikającym z pożycia pomiędzy pohańcami, którzy już w samej powierzchowności swojej mieli coś przerażającego i odpychającego. Prorok Izajasz płakał nad ogrodem Syońskim, widząc płoty go chroniące rozwalone *); cóżby powiedział gdyby widział Przenajświętszą Rodzinę, ten żywy raj ziemski, pozbawiony wszelkiej ochrony w Egipcie, i wystawiony na wszelkie szkody jakie wyrządzać mu mogli nienawistni Ich religii i narodowości poganie!

Wszakże przejść nam wypada do ważniejszych jeszcze szczegółów, tej drugiej Boleści naszej Matki Przenajdroższej.

Nie będzie to niczem uwłaczającem wyobrażeniu jakie mamy i mieć powinniśmy o niezrównanej świętości Maryi, przypuszczać, że w tej drugiej Jej Boleści, była wystawioną na doznawanie uczucia wielkiej trwogi, wielkiej i różnorodnej obawy. Jestto bowiem uczucie, albo raczej wrażenie, przywiązane w pewnych okolicznościach do natury człowieka, a nietylko mimo woli doznawane, ale zawsze najzupełniej wbrew jej nas ogarniające.

Powiedzieliśmy zaś, że nie będzie to uwłaczało doskonałości Przenajświętszej Panny, gdyż wiemy że i Sam Syn Boży, dla okazania nam że najrzeczywiściej przyoblekł był na Siebie naturę ludzką, ze wszyst-

*) Izaj. 40. 6.

kiemi jej słabościami prócz grzechu, dopuścił na Boską Osobę Swoją trwogę i doznał uczucia niezmiernej obawy, podczas krwawej modlitwy Swojej w Ogrojcu. Wyraźnie bowiem pisząc o tem, mówi Ewangelia święta, że *Począł tęsknić Sobą trwożyć się i być smutnym* *). To też gdybyśmy i w Maryi nie przypuszczali w pewnych okolicznościach tegoż samego, to jest doznawania wielkiej trwogi, wielkiej obawy, niewłaściwie przedstawialibyśmy Ją sobie jako istotę będącą nietylko najdoskonalszą istotą ludzką jaka wyszła z rąk Stwórcy — lecz nawet jako istotę do rodzaju ludzkiego nie należącą, a co przecież tak nie jest. Wtedy wyobrażaliśmy sobie, że niezrównane dary i łaski niebieskie któremi wzbogaconą została, sprawiały w Niej to, czego w Panu Jezusie nie sprawiało nawet Bóstwo w Jego Osobie nierozerwalnie z człowieczeństwem zjednoczone. Bo kiedy w Panu Jezusie, to że będąc człowiekiem był razem i Bogiem, nic nie uwłaczało Jego najwyższej godności, że dopuścił na Siebie trwogę i obawę w Ogrojcu, toć tembardziej nie może być nic uwłaczającego świętości Maryi, że Ona w pewnych okolicznościach podobnegoż wrażenia doznawać musiała. Gdyby tak nie było, gdyby Przenajświętsza Matka nie podlegała i tego rodzaju cierpieniu ludzkiemu, a jednemu z najdotkliwszych, nie byłaby Ona dla nas dość zupełnym wzorem w znoszeniu wszelkich cierpień ludzi dotknąć mogących, i w Boleściach Jej brakowałoby tego rodzaju cierpienia, czyniąc je przez to niecałkowitemi, a przecież takiemi w istocie były. Nie masz przeto żadnej wątpliwości, że najrozmaitszego rodzaju trwogi, z najrozmaitszych powodów powstające, wiel-

*) Marek. 14. 43.

kie obawy, były głównemi cierpieniami Maryi w tajemnicy Ucieczki do Egiptu Przenajświętszej Rodziny.

Owoż, może nie masz wrażenia i powstającego z niego uczucia, któreby z tak okrutną samowładnością wywierało na nas swoją potęgę, jak to czyni wrażenie i uczucie trwogi. Trwoga, obawa, przerażenie, spada na nas jakby jakiś zły duch najniespodziewaniej na nas rzucający się, z kryjówki o której aniśmy się spodziewali. Nie możemy przygotować się, usposobić się na doznanie trwogi, bo o tyle jest ona trwogą, o ile właśnie przychodzi w chwili, której nam dokładnie przewidzieć jej niepodobna. Nie możemy opierać się jej gdy nadchodzi, gdyż byle nas tknęła, już nami władnie, i sama jej w nas obecność jest już jej zwycięstwem nad nami. W mgnieniu oka pokryje ona dla nas chmurami najpogodniejsze niebo naszych myśli, i zmrozi odrazu najgorętsze uczucia. Jest ona jak gwałtowny wewnątrz nas wicher, dotykający paraliżem najżywotniejsze nasze władze umysłowe; ubezwładnia nas prawie zupełnie, tak, iż pod wrażeniem trwogi, jesteśmy jak człowiek który wszystko widzi i słyszy, ale który ani mówić ani poruszyć się nie może. Gdyby trwoga nie była uczuciem przemijającem, pozbawiłaby nas wolnej woli, a następnie światła rozumu. W każdym razie, obecności jej w duszy, towarzyszy już to zaniepokojenie gorsze od cierpienia i które gdyby się przydłużyło byłoby zabójczem — jużto ucisk wewnętrzny najnieznośniejszy. Trwoga to nie cierpienie, to tortura, to męki jak na torturze. Stąd też nieraz się zdarzyło, że sama rzeczywistość cierpienia które nas spotkało, była znośniejszą od obawy i trwogi, jakich doznawaliśmy gdy nam ono zagroziło. I zdaje się że nie ma na ziemi cierpienia, nie masz katuszy, jakie sprawiedli-

wość lub złość ludzka może zadać człowiekowi, w którychby się to nie sprawdzało.

A teraz trzeba nam wyobrazić sobie skutki podobnych wrażeń w duszy Przenajświętszej Panny, obdarzonej najżywszą tkliwością, największą wrażliwością, obok Jej niezrównanej świętości.

Jak najściślejsze zjednoczenie Jej z Bogiem było ciągłe, a stąd i spokoju wewnętrznego z takowego zjednoczenia wynikającego, nic zachwiać nie mogło. Pomimo jednakże tego, w tej drugiej Boleści, uczucie trwogi a niekiedy i przerażenia, z najrozmaitszych powodów ogarniało Ją zewsząd. Nie przytłumiało to w Niej światła rozumu, nie przyprawiało w niezgadzające się z Jej najwyższą świętością zaniepokojenie się, lecz co chwila pozbawiało Ją uczucia bezpieczeństwa, stawiało Ją ciągle wśród okoliczności grożących jakiemś nieszczęściem Jej Boskiemu Dziecięciu. A uczucie trwogi ma i to do siebie, że myśli ogarniające nas wtedy tak nas pochłaniają iż o wszystkiem innem zapominamy, i same tylko najsmutniejsze następstwa przedstawiają się wyobraźni. Sam też Duch-Święty w księgach Mądrości, tak ten stan duszy określa: *Niczem bowiem innem nie jest bojaźń, jak przeświadczeniem duszy, że jest pozbawioną wszelkiej pomocy, wszelkiego bezpieczeństwa; a gdy jeszcze mniej od samej siebie oczekuje takowej, za tem większą poczytuje nieświadomość tej przyczyny, która mękę zadaje* *),

Wprawdzie Marya wiedziała, że Ją czekała Kalwarya, a więc że jeszcze nie wtedy miał być zamordowany Jej Syn najdroższy. Lecz ileż-to niebezpieczeństw groziło Mu wtedy! W samej chwili gdy odebrała przez

*) Mądr. 17. 11. 12.

świętego Józefa rozkaz od Boga uchodzenia do Egiptu, i gdy dowiedziała się że Anioł przynoszący to polecenie ostrzegł, że *Herod szukać będzie Dziecięcia żeby je zatracił* *), już niewymowna trwoga Ją ogarnęła. Bo mogła przypuszczać że chociażby nie przyszło do tego, żeby tyran zamordował Boże Dzieciątko, to jednakże mógłby Je Matce odebrać, mógł Jezusa porwać przez swoich siepaczy i powierzyć jakiej obcej kobiecie, żeby ile możności zatrzeć ślady przyjścia na świat tego który, jak się bezzasadnie obawiał, mógł go pozbawić korony.

Gdy zaś szczęśliwie wydobyli się z krainy pod władzą tego prześladowcy Jezusa zostającej i już weszli na puszczę, którą im przebywać przychodziło udając się w ucieczce do Egiptu, ileż tu znowu powodów trwogi i obaw jak najbardziej uzasadnionych! Przed Nimi niezmierzone okiem obszary dzikiej piasczystej, pustyni, na której nic dopatrzyć ani drogi ani najmniejszych śladów stopy ludzkiej. W miarę jak się w nią zapuszczają, w piaskach coraz bardziej grzęznąć Im przychodzi; a przed Nimi i za Nimi i w około Nich, tylko dzika puszcza, na której ani znaku jakiego życia. A gdy nakoniec nadchodzą i na miejsca skaliste i gęsto zarosłe, słychać w nich ryki i szczekania dzikich zwierząt, których jeśli ujdą napadów, mogą w innych znowu podobnych miejscowościach wpaść w ręce rozbójników, snujących się po tej puszczy, i jak to Im w istocie, według dawnego podania już przez nas przytoczonego, zdarzyło się było. A skwary południowe, gdy Im doznawać ich przychodziło na miejscach gdzie żadnego od nich schronienia nie było, czyż nie groziły, a najbardziej wątłemu jeszcze Bożemu Dziecięciu,

*) Mat. 2. 13.

największem niebezpieczeństwem? Wszak wiadomo, że wystawienie ciała, a zwłaszcza głowy, na owo piekące słońce tamtej sfery chociażby na najkrótszą chwilę, sprowadza zabójcze tak zwane *uderzenie słońca,* delikatne ciała dzieci najprędzej rażące. A zimne i wilgotne noce pod gołem niebem spędzane, łatwo wywołujące śmiertelne choroby, a gęste tumany piasku niesione gwałtownym wichrem, które niejedną ludną karawanę na śmierć, zasypały — czyż wszystko to nie napełniało najwyższą trwogą tę Matkę, unoszącą na rękach skarby niebieskie, nad wszystkie kosztowności najbogatszych karawan ziemskich droższe?

O! Matko najboleśniejsza, któż wypowie, któż odgadnie, któż się domyśli, tych najrozmaitszych obaw, trwogi i przerażeń jakich doznać musiałaś, jakich doznawałaś jakby bez przerwy, w tej Swojej z tylu i tylu powodów tak ciężkiej z Jezusem u piersi, wędrówce do Egiptu! O! zaiste to kilkotygodniowe przebywanie puszczy, było dla Maryi kilkotygodniowemi Mękami Ogrojcowemi. Wśród nich, macierzyńskie serce Jej nieraz obumierało od trwogi i obawy o najdroższe Jej Dziecię, a trwogi i obawy podobnych do tych jakie dopuścił później i na Siebie Samego Pan Jezus w ogrodzie Getsemańskim, gdy już wydawał się na śmierć. A pamiętajmy, że Matka Przenajświętsza i powtórnie tąż straszną drogę przez puszczę przebyć musiała, wracając z Egiptu. Jak zaś już o tem nadmieniliśmy, droga ta z różnych powodów jeszcze bardziej jak pierwsza trudząca była dla Jezusa, a więc tem boleśniejszą dla Niejże Samej.

Lecz szczegółem najdotkliwszym dla serca Maryi w Jej drugiej Boleści było jeszcze i co innego. Wszakże żeby to Jej cierpienie zrozumieć i właściwie ocenić,

potrzebaby być w możności ocenienia miłości, jaką pałało to przenajświętsze Jej Serce i ku Bogu i ku ludziom. Oba te bowiem uczucia, a do największego jaki tylko być może posunięte stopnia, wystawione w Niej wtedy zostały na najboleśniejszy zawód, na najcięższą próbę, a zadające Jej niewymowne cierpienie. Tem zaś było to, że w tej drugiej Swojej Boleści, jasno już widziało nienawiść ludzką względem Jezusa. Bo cóż się to działo? Więc to Dziecię przecudne: *Piękniejsze urodą nad syny człowiecze* *), w którem jakby w prześlicznej oprawie Jego niemowlęcego ciałka zamknięte było Bóstwo, — to Dziecię wznieciło przeciw Sobie nienawiść ludzką, i zaledwie się narodziło już najsroższe ściągnęło na Siebie prześladowanie. Dlaczegoż tak zaraz ludzie zawzięli się na Nie, i niezwłocznie znalazł się potężny władzca czyhający na Jego życie i wyśledzający przyjście na świat Syna Bożego, a nie na to żeby cześć Mu należną oddać, lecz żeby Go coprędzej zgładzić? Niewinnego, wątłego, cichego, ukrytego, pokornego, ubogiego, tylko co na łonie Dziewicy Matki Jej troskliwości, pieczy i pieszczotom powierzonego, już ludzie wyganiają, zmuszają do ucieczki, jakby to był jaki potwór okrutny i niebezpieczny, jakby przejęci zostali ku Niemu nienawiścią i wstrętem, jakich się doznaje względem ukrywającego się, a dla wszystkich groźnego zbrodniarza! Marya wiedziała dobrze że Jezus jest Bogiem, który zszedł na ziemię z miłości ku ludziom wszelkie wyobrażenie przechodzącej, widziała dobrze nietylko kim ale i jakim jest, bo Go na rękach ciągle piastowała i Jego Boską obecnością ciągle się cieszyła. Rozumiała więc i oceniała jak okropnem było

*) Psalm 44. 3.

świętokradztwem zabójcze prześladowanie któremu ulegał, i które nie byłoby ograniczyło się na wygnaniu, gdyby Pan Bóg nie wyrwał był z ręki tyrana Dziecię, które chciał on zamordować. Marya wiedziała także, że Jezus był najwyższym Stwórcą, który raczył zejść pomiędzy Swoje stworzenia nietylko nędzne, ale które mu za łaskę stworzenia odpłaciły się buntem przeciw Niemu, a zejść na to żeby, dla nich przebaczenie u Boga Ojca wyjednać. A oto widzi, że gdy On tej największego miłosierdzia i miłości Swojej sprawy jeszcze jakby nie zaczął, gdy jeszcze ani słowa do ludzi nie przemówił, — już dla nich stał się ciężarem nieznośnym, chociaż nosząc Go po skwarnej pustyni, Ona czuje dobrze, że lżejszy On od powietrza. Widzi wreszcie, że ludzie zmuszają Go do ucieczki, kiedy On jeszcze nie zaczął uczyć się chodzić pomiędzy nimi.

Takie to więc przyjęcie przez ludzi, czekało Boga, wyglądanego z niewymownem upragnieniem przez dusze wybrane od lat czterech tysięcy! Takto więc pilno złości ludzkiej, jak niegdyś za dobrodziejstwo stworzenia, tak teraz za jeszcze większą łaskę odkupienia, odpłacić się najszkaradniejszą niewdzięcznością! To coś okropnego! A jeśli takiem nam się wydaje, jakąż to boleścią zalewać musiało niepokalane serce Maryi, miłujące miłością wszystkie miłości przewyższającą nietylko Boga, ale i tychże ludzi na których niewdzięczność patrzała wtedy, mając w niej jakby zapowiednię tej niewdzięczności, jakiej się oni do końca świata dopuszczać nie przestaną.

Wszystkie uczucia macierzyńskiego serca Maryi były wtedy najboleśniej dotknięte. Gdyby ludzie tylko stronili byli od Jezusa, gdyby go byli unikali, w dali od Niego się trzymali, już byłoby to dla Niej niezmiernie

bolesnem. Gdyby tylko poczytywali Go za pospolite Dziecię, którego narodzenie się zapisane zostało niedawno w urzędowym spisie ludności Palestyńskiej, już to samo raziłoby Ją dotkliwie. Gdyż patrzyć na to jak ludzie nie poznają Jezusa, mylą się co do Jego Osoby, nie cenią Go sobie, było już bolesnym kolcem tkwiącym w Jej Sercu macierzyńskiem. Lecz niedość na tem: Jezus stawał się zaraz po Swojem narodzeniu przedmiotem nienawiści ludzkiej i najokrutniejszego prześladowania, i uchodzić musiał z ojczyzny, wygnańcem być od narodu który był Jego ludem wybranym, przez Niego i jako Boga i jako człowieka szczególnie umiłowanym. Marya zaś miłowała Go kilkoma miłościami jedna od drugiej silniejszemi i świętszemi, a to na mocy kilku odrębnych praw jakie nad Nim posiadała, i kilku praw Jego do Jej szczególnej miłości. Prześladowanie więc jakie wtedy już dotykało Jezusa, najboleśniejsze a odrębne zadawało rany każdemu z tych Jej uczuć. Była Ona i stworzeniem rąk Jego a razem i Matką Jego. Miłowała Go uczuciem naturalnego przywiązania macierzyńskiego, bo Go przez dziewięć miesięcy jak każda matka, nosiła w Swojem dziewiczem łonie. Ale Jej miłość nabierała przecudnego uroku, w miarę jak w oczach Jej rozwijała się i wzrastała piękność Jezusa, i w miarę jak Go coraz lepiej poznawała. Miłowała Go uczuciem miłości nadprzyrodzonej, nietylko dla Jego nieograniczonej Boskiej świętości zawartej w Nim w całej Swojej pełni, — lecz oraz i z powodu że Sama była świętą nad wszystkie dusze święte, i przez ciągłe obcowanie z Jezusem do coraz to wyższego stopnia świętości dochodziła Miłowała Go i jako Stwórcę i jako Odkupiciela ludzi. Miłowała Go wreszcie i z uczuciem najgłębszego wielbienia Jego natury Boskiej, jako

drugą Osobę Trójcy Przenajświętszej, jako Słowo odwieczne wcielone. A czyż już miłość do jeszcze wyższego stopnia może być posuniętą?

Prócz tego, Marya miłowała chwałę Boską, jak Jej nie miłują najwyższe duchy niebieskie, chwałę tę bezustannie głoszące i z wpatrywaniem się w Nią najwyższe szczęście posiadające. A stąd pragnieniem wyrazić się nie dającem, pragnęła powiększenia chwały Bożej, przez przyczynianie się do Niej całego stworzenia. Owoż, wiedziała i rozumiała to tak jasno, jak żaden rozum nietylko ludzki ale i anielski, że Jezus był najwyższym chwały oddawać się powinnej Bogu dopełnieniem, tej chwały najwspanialszym wyrazem, z którego czerpały swoją cenę wszelkie chwały oddawane Bogu przez ludzi i przez cały świat stworzony, że był i źródłem ich i ostatecznym celem, i że dlatego tylko w oczach Jej rzeczy stworzone mogły mieć cenę i z tego tylko powodu mogła je miłować. Wszystkie te więc uczucia Maryi wypływające z Jej miłości Boga, były najboleśniej dotknięte onym na życie Jezusa zamachem zmuszającem Ją uchodzić z Nim z ojczyzny, z powodu nienawiści ludzi ku Synowi Bożemu objawiającej się tak okrutnie i to, kiedy Go zaledwie Ojciec przedwieczny zesłał na ziemię.

Ale to jeszcze nie wszystko, co w drugiej Boleści tak srodze raniło serce Matki najboleśniejszej. Marya miłowała i ludzi, a miłowała ich tak, jak nikt nie miłował i nie mógł miłować bliźnich, chociażby z ich miłości na najwięcej kosztujące go zdobył się ofiary. Żaden Apostoł, żaden misyonarz który krwią własną i poświęceniem własnego życia dowiódł swojej miłości dusz ludzkich, nie miłował je tak, jak je miłowała Ma-

rya. Jak najprzywiązańsza z matek troszczy się o jedyne swe dziecię, tak się Ona troszczyła o wszystkie dusze i o każdą z nich z osobna. Gotowa była umrzeć za zbawienie chociażby jednej najnędzniejszej duszy, gdyby śmierć istoty stworzonej była w możności zadośćuczynienia nieograniczonej sprawiedliwości Boskiej Z miłości ku nim i z miłości Boga, przeniosłaby była najsroższe męki, byle chociażby tylko jedną duszę zachować, chociażby od jednego tylko grzechu. Ale po cóż o tem długo mówić; wszak Ona dla zbawienia dusz ludzkich oddała, poświęciła już Jezusa, zaofiarowując Go Bogu w świątyni Jerozolimskiej na odkup świata. Czyż więc nie miłowała ludzi, a i jakąż miłością, kiedy z tej miłości aż na taką ofiarę się zdobyła? O! jakże więc srogą ranę zadawali wtedy ludzie Jej sercu, odpłacając się taką niewdzięcznością za taką Jej ku nim miłość! Przerażał Ją ten objaw nienawiści względem Jezusa, dowodzący, do jakiego stopnia może szatan zaślepić człowieka i odwrócić go od Boga. Tak tedy ciż ludzie, dla których Syn Boży tylko co zstąpił z nieba i dla ich zbawienia przyjął na Siebie ich naturę tylu nędzom z ich jedynie winy podległą; ciż ludzie za których ten Jezus poniesie śmierć na krzyżu; ciż ludzie których Marya ma stać się Matką rodząc ich w najsroższych swych Boleściach pod krzyżem — ciż ludzie, zaledwie Zbawiciel przyszedł na świat, już na życie Jego czyhają i zmuszają Go do skazania się na wygnanie, grożące Mu tylu i tylu niebezpieczeństwami! Przed tymiż ludźmi musi Marya unosić Go skrycie i jakby zataiwszy przed nimi na Swem łonie, unosić przez dzikie puszcze, i zanieść aż na koniec świata jak najdalej od ojczyzny, od swoich, od Ziemi świętej i ludu wybranego, pomiędzy pogany! Czyż więc tru-

dno nam wyobrazić sobie, jaką to Boleść zadawało Maryi, a która odbierając tę ranę na sercu, pewnie już wtenczas w temże sercu powtarzała tę modlitwę Swego Syna: *Ojcze, odpuść im bo nie wiedzą co czynią**).

§. III. Wewnętrzne usposobienie Przenajświętszej Matki w Jej drugiej Boleści.

A teraz od tych szczegółów drugiej Boleści Przenajświętszej Panny, przejdźmy do rozważania Jej wewnętrznego w ciągu niej usposobienia. Na trzy zaś rzeczy trzeba nam zwrócić tu głównie uwagę. Najprzód na to, że Marya całkiem zajęta była cierpieniami drugich: one Ją całkiem pochłaniały. Serce Jej jakby przeniosło się w serca innych, aby z nimi cierpieć, ich boleści podzielać, ich niebezpieczeństwami się frasować, troską o nich być najdotkliwiej dręczoną.

W ciągu tej drugiej Swojej Boleści, Przenajświętsza Matka, ileż i sama doznawała i trudów i niewygód i niedostatku, co wszystko tak młodziutką jeszcze i wątłą, na wiele wystawiało cierpień. Ale byłoby to czemś jakby uwłaczającem wyobrażeniu, jakie mamy o Jej Przenajświętszej osobie, o Jej sercu przepełnionem miłością drugich i drugich tylko potrzebami i troskami zajętem, gdybyśmy się nad tem tylko zastanawiali, rozpamiętując szczegóły tej drugiej Jej Boleści. Jej wszelka troska nie zwracała się do Niej Samej; o Sobie Ona zupełnie nie myślała, a cała była zajęta Swojem Boskiem Dziecięciem, wystawionem na największe niebezpieczeństwa i na ciężkie trudy owej

*) Łuk. 23. 24.

pielgrzymki, tak długiej i po tak dzikich puszczach, i na przykrości pobytu w obcej pogańskiej krainie, a pobytu którego końca przewidywać nie mogła.

To znowu bolało Ją niezmiernie widzieć, ile wtedy cierpiał Józef, na którym spoczywał cały ciężar opieki nad Przenajświętszą Rodziną; którego obarczał ciężki obowiązek czuwania nad Nią dzień i noc, gdy przebywała puszczę tyle nastraszoną niebezpieczeństwami, a następnie przeciążało niezmiernie staranie około Jej wyżywienia gdy już osiedli w Egipcie.

Lecz co może jeszcze bardziej zadawało Jej niewymowne Boleści, to Jej przejęcie się losem wszystkich dusz ludzkich. To bowiem obejście się ich wtedy z Jezusem, to ściągnięcie przez Niego na Jego Boską Osobę prześladowania od ludzi tak prędko po Jego narodzeniu. żywym było dla Niej obrazem i zapowiedzią, co czeka i na dal Zbawiciela, i jak się z Nim świat i współczesny i następny do końca wieków po większej części obchodzić będzie. W onym okrutnym wyroku Heroda, zamierzającego zgładzić Jezusa, i żeby tego pewniej dopiąć wymordowującego tysiące Niewiniątek, widziała Marya już wtedy obraz wszystkich prześladowań najokrutniejszych, jakie spokają wiernych wyznawców Chrystusowych, w różnych czasach i od najrozmaitszego rodzaju tyranów. A na wpół dzikich postaciach ludu pogańskiego, wśród którego musiała unieść wtedy Jezusa, i w tych skażonych obyczajach, na jakie tam patrzała, widziała zapowiedź tego zdziczenia i skażenia obyczajów, do jakiego kiedyś dojdą i te nawet narody, które przyjąwszy wiarę świętą i w niej przez czas pewien wytrwawszy, z czasem i nieznacznie tak od niej odstąpią, że w nowe pogaństwo, a daleko w oczach Boga obrzydliwsze od

dawnego, zapadłszy, z niego się już może nigdy nie wyd obędą

Tak tedy, to zapomnienie o Sobie Samej, a troszczenie się tylko o drugich, w tej drugiej Boleści, niewymowne zadawało Maryi cierpienia. Czy bowiem troską Swoją ogarniała Boskie Swoje Dzieciątko, czy przeczystego Swego Oblubieńca, czy dusze ludzkie, to jest to wszystko co dla Boga i w Bogu miłowała całą siłą Swego niepokalanego serca, wszystko to stawało się źródłem i powodem niezmiernych dla Niej Boleści.

Innem znowu wewnętrznem usposobieniem Maryi, na które w tej drugiej Jej Boleści uwagę zwrócić powinniśmy, jest bolesne wrażenie jakiego doznawała z powodu obrazy Majestatu Boskiego grzechem, którego dopuszczali się ludzie przez prześladowanie Jezusa i zmuszenie Go do szukania schronienia z tylu niebezpieczeństwami i dolegliwościami najrozmaitszego rodzaju połączonego.

Większa bowiem lub mniejsza czułość na obrazę Boga w każdej duszy, odpowiada stopniowi Jej świątobliwości. W miarę jak dusza coraz ściślej jednoczy się z Bogiem, nabywa ona co do tego coraz jaśniejszego i coraz dokładniejszego poznania. Coraz lepiej ocenia wielkość zniewagi zadawanej Bogu grzechem, i coraz łatwiej dopatruje go gdziekolwiek i w jakikolwiek sposób się on pojawia. Gdy zaś obok tego w duszy postęp w świątobliwości czyniącej, rozbudza się i coraz większa gorliwość o chwałę Bożą — więc grzechy ludzkie na które patrzy, stają się dla Niej źródłem większego cierpienia wewnętrznego. W wielu też Świętych uczucie takowe było tak silne, że im jakby zatruwało całe życie. Niektórzy, jak to w ich żywotach

czytamy, najwyższą boleścią przejęci na widok obrazy Boskiej jakiej się dopuszczają ludzie, w uniesieniach miłości Boga, pragnęli sami zostać potępionymi na wieki, byleby przez to chociaż jeden grzech odwrócić, jeden jaki czyn znieważający najwyższy Majestat Boski powstrzymać. A tymczasem pomiędzy taką czułością, taką zgrozą na widok grzechu objawiającą się w duszach wysokiej świątobliwości, a takąż czułością i zgrozą, jaką rozbudzała obraza majestatu Boskiego w Matce Bożej, żadnego porównania być nie może. Jej życie było życiem nadziemskiem w całem znaczeniu tego wyrażenia, stosując to do istoty jeszcze nie rozwiązanej z więzów ciała. Jej zjednoczenie z najwyższym Majestatem Boga było, po zjednoczeniu w Sobie Trójcy Przenajświętszej i po zjednoczeniu Bóstwa z człowieczeństwem w Panu Jezusie, zjednoczeniem najściślejszem, jakie kiedy było i jakie wyobrazić sobie możemy, posuwając już je do najwyższego stopnia. A to sprawiało, że żadna istota stworzona ani ziemska, ani niebieska nawet, nie miała tak na sercu chwały Bożej jak Marya. Żadna nie była i nie mogła być, w przybliżeniu nawet, tak jak Ona czułą na wszystko co się tej chwały tyczyło, a stąd tak boleśnie, tak okrutnie jak Ona dotkniętą, gdy tej chwale coś uwłaczało. Marya jako Matka Boga, miała odrębne i jedynie Jej przysługujące prawo, a oraz i obowiązek, troszczenia się o chwałę Boga. Ta więc chwała Najwyższego, obchodziła Ją w stopniu, obok którego, każde inne chociażby najgorliwsze troszczenie się o tę chwałę dusz najświątobliwszych, było jakby niczem. Wszyscy wybrani i troszczą się o chwałę Bożą i przyczyniają się do niej, każdy w mniejszej lub większej mierze. Lecz że Maryi, jako Tej która na świat wydała Syna Bożego wcielo-

nego będącego chwały Boskiej najwyższem dopełnieniem i celem, dano było przez to w najwyższym stopniu do chwały Boskiej się przyczynić — więc też i troska Jej o tę chwałę o tyle przewyższać musiała takąż wszelką inną troskę, o ile Jej przyczynienie się do chwały Boga przez zrodzenie Zbawiciela, przewyższało przyczynienie się do niej wszystkich wybranych i wszystkich aniołów.

Jednakże uwagi powyższe, nie dadzą nam jeszcze dokładnego wyobrażenia o czułości Maryi na wszelką obrazę Majestatu Boskiego. Ale niechże przynajmniej nas przekonają, że jeżeli czułość takową i z niej wynikające cierpienie wewnętrzne, podziwiamy w niektórych Świętych — to taż czułość i zadawana przez nią Boleść w Przenajświętszej Matce, dochodziły do takiego stopnia, o jakim największy z tych Świętych wyobrażenia nawet mieć nie mógł.

A wreszcie czyż i dla nas samych, jeśli na tej dolinie płaczu raczy nas Bóg dobry oświecać wiarą i serca nasze chociażby w niższym stopniu obdarzać Swoją miłością — nie jest to źródłem niewymownych smutków, patrzyć jak ludzie, jak świat zepsuty, w najrozmaitszy sposób zmusza Jezusa do wydalenia się z niego, wyrzuca Go od siebie, jak Go wyrzuciła była własna ojczyzna, gdy musiała Go Marya unosić do Egiptu? W tej drugiej Boleści Maryi widzimy, że przyszło było do tego, że Stwórca uchodził przed Swojem stworzeniem. I zgrozą to nas przejmuje. Lecz czyż nie jest to czemś podobnież okropnem patrzyć, jak stworzenie uchodzi przed Swoim Stworzycielem, a czego jakby ciągle jesteśmy świadkami. Gdy łaska żywszej i oświeconej wiary otwiera nam oczy, jakiż to widok przedstawia nam świat, a zwłaszcza dzisiejszy? Wszę-

dzie Stwórca najwyższy goni za Swojemi stworzeniami, za duszami ludzkiemi, szczególnie przez Niego z pomiędzy wszyskich stworzeń umiłowanemi. Goni za najwystępniejszemi nawet z pomiędzy nich, a goni nie po to aby je ukarać, jak na to milion razy zasłużyły, ale aby póki tu jeszcze żyją, upamiętać je, od kary im wieczności należnej uchować, nawrócić, przygarnąć do Siebie i byle szczerze tego pragnęły, najobfitszemi łaskami zbogacić. Nie masz żadnego miejsca, nie masz kryjówek, w których spełniają się największe zbrodnie i najsprosniejsze występki, do których najwyższy Majestat najświętszego Boga wzdragałby się zstępować, z rękami pełnemi łask i gotowością przebaczania duszom, które przed Nim uchodzą. Szybciejsze od błyskawicy, bardziej rozlane jak powietrze, tak wszędzie obecne jak nią jest wszechobecność Boga miłosierdzie Jego, napełnia świat cały: *Miłosierdzia Pańskiego pełną jest ziemia *),* woła Psalmista, i także: *Miłosierdzia Boskie nad wszystkie sprawy Jego **)* A tymczasem, wszędzie ludzie uchodzą przed goniącym za nimi Stwórcą! Patrząc na to co się dzieje na świecie, wydaje się jakby głównym celem, dla którego stworzenia umieszczone zostały w czasie i przestrzeni, było wyzwolenie się ich z pod władzy Stwórcy i stronienia od Niego. Pan Bóg nawołuje ludzi w najrozmaitszy sposób: to grozi, to najtkliwiej wzywa, to prosi, to błaga prawie, to krzyczy, że się tak wyrażę, a oni przed Nim uchodzą, jakby to było ich głównem zadaniem, ich sprawą najważniejszą! Przymnaża światła, żeby łatwiej i prędzej poznali zgubność drogi na której błądzą, chce ich ująć Sobie pobłażliwością do ostatnich granic po-

*) Psalm 118. 26. **) Tamże 42. 3.

suniętą, a oni się nie opamiętywają. To znowu zsyła na nich ciemności wewnętrzne, niepokoje, zwątpienia, ciężkie wyrzuty sumienia, żeby przeraziwszy ich, do Siebie przyciągnąć; a oni jak uchodzili tak uchodzą przed Bogiem tak ich miłującym. Niektórych szczególnemi i wielkiemi łaskami obdarza, ciska niemi na ich dusze, jakby z procy wyrzuconemi najwybrańszemi kamieniami, i nakoniec ranieni niemi, padają do nóg Jego ze łzami żalu i skruchy. Ale po chwili zrywają się na nogi i na nowo uchodzą przed Bogiem.

Smutno pomyśleć, i oby to było rzeczą do nieuwierzenia, jak ogromną jest liczba dusz tak odbiegłych od Boga, że chyba cudu by potrzeba, żeby łaska znalazła do nich przystęp i żeby się nawróciły. A ileż znowu takich, w których najlepsze chęci, najzbawienniejsze postanowienia, najchwalebniejsze zamiary, najświętsze natchnienia — wszystko to stłumione albo i zupełnie zniszczone, niepohamowanemi zabiegami o korzyści doczesne, pragnieniem dobrobytu ziemskiego i codziennemi o to troskami. Inni znowu, żyjąc wśród otoczenia na wskróś przesiąkłego brakiem religii, oszołomionego najzgubniejszemi dzisiejszemi zasadami przeciwnemi wierze świętej, pozbawieni wszelkich pomocy religijnych, zwichnięci najgorszemi przykładami, które ciągle mają przed oczyma — jakżesz wielkiej i wyjątkowej potrzebują łaski, żeby i sami nie stali się podobnymi tym wśród których przebywają, i jakże często taką nawet łaską obdarzeni, nie współdziałają z nią dostatecznie i przed Bogiem uchodzą! Niektórzy znowu zmuszeni bywają do przebywania w miejscowościach, gdzie nie mogą częściej przystępować do Sakramentów świętych, a przez to pozbawieni pomocy, której w nich przedtem zaczerpywali, nie starając się zastąpić

brak takowy tem większą nad sobą bacznością, wpadają w oziębłość, i w końcu o Bogu i duszy własnej zapominają.

Nakoniec bywają czasy, w których nieodstąpienie od Boga dla dusz nawet wybranych, staje się niezmiernie trudnem. Przyczynia się wtedy jakby wszystko do tego Powszechna niewiara, a wskutek tego również powszechne skażenie obyczajów; rozpowszechnione piśmiennictwo najprzewrotniejsze zasady szerzące; wszystko to stawia ogromne przeszkody w zbawieniu się dusz, — i wtedy niezliczona ich liczba uchodzi przed najmiłościwszemi wysiłkami Boga goniącego za niemi. A gdy na widok tego wszystkiego nasze zimne serca, byleśmy żywszą wiarą przejęci byli, wielkim smutkiem się przejmują — jakże niewymownego cierpienia było to powodem dla Maryi. To bowiem co nas tylko oburza, dla Niej było powodem największej wtedy Boleści, gdy w targnięciu się na Jezusa przez Heroda i w ucieczce Jego do Egiptu, widziała jakby w nieszczęsnym zarodku wszystko to co miało spotkać Boga od ludzi począwszy od owej pory aż do dni naszych i do końca świata.

W tej więc drugiej Boleści myśli takie, taki obraz, takie jakby na jawie widzenie smutnej pod tym względem przyszłości, zaostrzały niezmiernie ten drugi z rzędu Miecz, w niepokalane serce Przenajświętszej Matki wtłaczający się. Ona unosząc Jezusa po spalonych skwarem pustyni piaskach, wiedziała i miała to bezustannie na myśli, że unosi z ojczystej ziemi tego Boga, którego z upływem czasu, tyle dusz do wydalenia się z nich zmusi, ile grudek piasku przez tę wędrówkę Jej po puszczy, dziewicze Jej stopy zdepczą.

Każde tedy spojrzenie na ukochane Dziecię, gdy Je niosła do Egiptu, odżywiało podobne myśli i sta-

wiało Jej w wyobraźni ten smutny obraz. Każde cierpienie Jezusa tą długą, trudzącą i na tyle niebezpieczeństw wystawioną wędrówką, było dla Niej wyraźnym zapowiednim obrazem, *figurą* na samej Boskiej Osobie Syna Bożego, tego wszystkiego co Go czekało w Jego przez Kościół wędrówce po ziemi, przez wszystkie wieki i czasy.

Lecz i na inne jeszcze wewnętrzne usposobienie Przenajświętszej Panny, w tej drugiej Jej Boleści uwagę naszą zwrócić powinniśmy. O ile obraza Boga, nieuznanie Go i odłączanie się od Niego przez grzech, obudzało w Niej wstręt jak najwyższy i niewymownego smutku stawało się dla Niej źródłem — tak z drugiej strony, Jej litość nad grzesznikami, a stąd i Jej miłość ku nim granic nie miała. Jakkolwiek bolała Ją niewdzięczność i złość ludzka, względem grzeszników największych, do serca Jej nie zakradała się ani najmniejsza gorycz. Nie rozbudzała się w Niej złość na nich, lecz z miłości ich cierpiała niezmiernie z powodu następstw przewinień których się dopuszczali. Nie potępiała ich, lecz tylko ich żałowała. Grzech był dla Niej rzeczą najobrzydliwszą, najstraszniejszą, gdy się na niego zapatrywała jako na obrazę Boga najwyższego; lecz gdy go widziała w grzeszniku, zgroza jaką Ją przejmował jakby roztapiała się, zamieniając się w powódź litości. Jej gorliwość o chwałę Bożą, nie pragnęła sprawiedliwej pomsty, dotknięciem odpowiednią karą znieważającego najwyższy Majestat Boski; lecz cała usilność Jej zwracała się do tego, ażeby wyrządzona zniewaga, wynagrodzoną została jak najszczerszem nawróceniem się grzesznika. Wiedziała bowiem dobrze, że Sprawiedliwość Boska najchętniej ustępuje kroku

Jego Miłosierdziu, jak tylko grzesznik nie stawia temu przeszkody.

Bo też i w każdej duszy oświeconej wiarą i żywszą miłością Boga i ludzi przejętej, grzesznicy do szczególnych względów nabywają prawo, skoro się na nich zapatrujemy nie jako w grzechu będących, lecz jako na istoty najnieszczęśliwsze, a o które i Sam Bóg w szczególny sposób się troszczy. Wielka to litość nad grzesznikami, a stąd okazywanie im wielkiej miłości przez mężów w apostolskim zawodzie pracujących, sprawia, że się oni do nich garną i do Boga nawracają. Wierni słudzy Chrystusowi, jak we wszystkiem starają się Go naśladować, tak i w Jego poświęceniu się dla grzeszników i w Jego miłości z jaką ich przyjmował. Gdy bowiem grzesznik się nawraca, łaski jakie otrzymuje, bardziej godne są podziwu i uwielbienia w nich miłosierdzia Boskiego, aniżeli grzech oburzenia i wstrętu. Wszelkie usiłowania nawrócenia grzesznika, jeśli nie są połączone z miłością ku niemu, chybiają swego celu, a im kto więcej okazuje im takowej miłości, tem łatwiej do najzatwardzialszych serc trafia. Gdy Zbawiciel chciał kogo nawrócić, zawsze czynił to spojrzeniem pełnem dobroci, słowami najłagodniejszymi, przez zachowanie się z grzesznikiem z taką łaskawością, że Mu to Faryzeusze wyrzucali jako zbytnią pobłażliwość.

Takiemi też uczuciami względem grzeszników było przejęte i serce Przenajświętszej Matki, gdy w Jej drugiej Boleści stawali Jej oni na myśli. Bardziej Ją obchodziło ich nieszczęście jak ich przewrotność, a im większe przedstawiały się Jej złości ludzkie, tem srożej bolała nad nieszczęściem dopuszczających się takowych i tem goręcej pragnęła uchronić ich od zguby. Nic bowiem nie dowodzi lepiej ścisłego zjednoczenia

duszy z Bogiem, jej przejęcia się uczuciami przenajsłodszego Serca Jezusowego, jak szczególna litość nad grzesznikami i okazywanie im miłości. Wyda się to rzeczą dziwną, a w istocie tak jest, że dusze to oddane bogomyślności, najżywiej miłują grzeszników; bardziej nawet jak ci którzy w życiu czynnem poświęcają się wyłącznie ich nawracaniu. I dlatego to żeby kto stał się doskonałym Apostołem, trzeba żeby był i wielkim bogomódlcą.

§. IV. Czego nas uczy Przenajświętsza Matka w Swojej drugiej Boleści.

Tajemnica drugiej Boleści Maryi, a mianowicie pobyt Przenajświętszej Rodziny w Egipcie, jest najprzód przenośnym alegorycznym obrazem sposobu, w jaki obecnymi są wśród świata Pan Bóg i Jego wybrańsze dusze, to jest Święci.

Jak Pan Jezus, małem Dzieciątkiem zaniesiony na rękach przeczystej Matki do tego kraju pogańskiego, nieznanym był tam prawie nikomu, tak Bóg wśród świata, chociaż wszędzie obecny, jakże przez wielu jakby nieznany, od jakże małej liczby, ludzi w porównaniu z ludnością całej kuli ziemskiej, odbiera cześć Mu należną, a od jakże jeszcze mniejszej jest tak miłowanym, jak miłowanym być powinien!

Podczas pobytu Pana Jezusa w Egipcie, przy Nim są tylko Marya i Józef, otaczający Go Swoją czcią i miłością. Oni tylko Nim zajęci, Jemu służą, od Niego wszelką zniewagę Jego Boskiej Osoby odwrócić starają się, Jego Dzieciństwo najtroskliwszą opieką otaczają. A obok Nich i w koło Nich ogromne mnóstwo

pogan, tylko sprawami doczesnemi zaprzątniętych, goniących za zyskiem, za uciechami światowemi, za ziemskiemi zaszczytami, a ani domyślających się że wśród nich przebywa Bóg wcielony. Tak podobnież i dziś dzieje się na świecie. Ogromnie przeważająca liczba tych nawet, którym dał Pan Bóg z nieprzebranego miłosierdzia Swojego należeć do Kościoła, tak pochłoniona jest sprawami doczesnemi, że jakby nie domyślali się o obecności pomiędzy nimi Jezusa, już nietylko jako Boga wszędzie się znajdującego, ale i w sposób szczególny w Przenajświętszym Sakramencie przebywającego i Kościołem Swoim ciągle rządzącego. Malutka tylko liczba dusz wybrańszych, tak co do liczby mało znacząca w porównaniu z ogółem chrześcijan, jak tych dwoje tylko Marya i Józef byli co do liczby mało znaczący w porównaniu pogan wśród których żyli w Egipcie — garnie się do Jezusa, stara Mu się służyć jak najwierniej, cześć Mu należną oddawać i z utajonym w Przenajświętszym Sakramencie jak najczęściej się łączyć.

Ma wreszcie świat, nawet chrześcijański, na podobieństwo Egiptu, gdzie Matka Przenajświętsza zaniosła była Swoje Boskie Dzieciątko, swoją bystrą rzekę przerzynającą go jak rzeka Nil przerzyna ową krainę pogańską. Tem zaś są zasady świata najprzeciwniejsze zasadom Ewangelii, a nurtami swoimi porywające ogromną liczbę światowców i do zguby ich wiodące. Dziś zaś wznosi on Piramidy, wracając niejako do pogaństwa, przez rozpowszechnioną bezwyznaniowość i z nią wskrzeszając wszystkie najgrubsze błędy przed Chrystusowej oświaty, której Piramidy Egipskie są najokaźniejszym zewnętrznym zabytkiem.

Takim jest tedy świat, na którym trzeba nam przebywać jakby na wygnaniu, trzeba nam być wśród

jego skażenia obcymi mu przybyszami, jak była Przenajświętsza Rodzina w Egipcie. Każda dusza wybrana musi na nim, tak jak Marya i Józef żyć nie jak poganie wśród których się znajdowali, lecz nie odstępować Jezusa i Jemu cześć oddawać; Jego tylko szukać, od wszelkiej zniewagi o ile to w czyjej możności Go zasłaniać, Jego duchem, a nie duchem świata wśród którego żyjemy, rządzić się.

Ucieczka do Egiptu zawiera w sobie i tę jeszcze naukę, że nie powinniśmy roztrząsać wyroków Boskich nad nami, czy to gdy na nas samych zsyła lub dopuszcza jakowe cierpienia, czy gdy niemi dotyka drogie nam osoby. Wszak wydawać się mogło, że wielu innemi, a mniej dotkliwemi dla Przenajświętszej Rodziny sposobami, mógł Pan Bóg zabezpieczyć Dzieciątko Jezus od targającego się na Jego życie Heroda. Dlaczegoż z tego powodu potrzeba było, żeby aż uchodził z ojczyzny i udawał się w tak odległe kraje, i to jeszcze przez pogan zamieszkane, a do których dostając się, przebywać przychodziło pustynię wśród najrozliczniejszych niebezpieczeństw. Wreszcie, gdy już i do tego przyjść miało, mógł Pan Bóg oszczędzić Przenajświętszej Matce, wiele cierpień w tej Jej drugiej Boleści doznanych. Bez cudu nawet, mógł i Jej wędrówkę do Egiptu i pobyt tam osłodzić wielu pociechami. A gdyby i cudu na to potrzeba było, czyżbyśmy się temu dziwili? Wszak przez tęż pustynię, przez którą tak ciężki, tak trudzący i tak niebezpieczny przechód odbyła, Pan Bóg przeprowadzając lud Swój wybrany, niezliczonemi cudami tę jego wędrówkę ułatwiał. Dlaczegóżby tego samego nie miał uczynić dla Przenajświętszej Rodziny, która i droższą Mu była na-

wet nad cały lud wybrany, i większe do tego miała prawo.

Otóż Marya nie roztrząsała tego wcale. Ani cień podobnych myśli, uwłaczających doskonałemu Jej poddawaniu się, jak we wszystkiem tak i w tej drugiej Jej Boleści, woli i rozporządzeniom Boskim, nie przesunął się przez Jej umysł. Nie wątpiła że to co Ją wtedy spotykało, było, chociaż w zakrytych jeszcze może wtedy i dla Niej widoków Boga, najwłaściwszem, najstosowniejszem, i jak wszystko co Bóg zsyła lub dopuszcza, wynikającem z Jego nieograniczonej mądrości dobroci i miłosierdzia.

A tymczasem, jakże to trudno przychodzi nawet niektórym duszom pobożnym, gdy je cięższe jakie i niespodziewane strapienie dotyka, poddać się takowemu spokojnie, bez roztrząsania dlaczego ono na nas spadło, dlaczego je Pan Bóg, gdy to tak łatwem było nie odwrócił. Nasza miłość własna tak trudną jest do ujarzmienia, że gdy widzimy się w niemożności uchylenia się od jakiego krzyża, pragnęlibyśmy przynajmniej wiedzieć dlaczego on się nam dostaje, i chociaż przez to tylko dogodzić naszej, a tak dziwnej w takich razach, próżności. Skoro zaś nie możemy zdać sobie sprawy z tego co Pan Bóg na nas zsyła lub dopuszcza, a zwłaszcza gdy widzimy że to łatwem było do odwrócenia, zasługę pokornego w końcu poddania się temu psujemy roztrząsaniem wyroków w tej mierze Boskich, i jakby wymaganiem żeby nam je wytłumaczył.

Patrzmyż na Maryą w tej drugiej Jej Boleści, a najtrudniejszej pod pewnym względem do zrozumienia dla czego ją Pan Bóg na Nią dopuścił — i uczmy się od Niej nie roztrząsać wyroków Boskich nad nami, chociażby się nam najniezrozumialszemi wydawały.

A jeśli z tychże wyroków najwyższych, nie dano nam to chociażbyśmy tego z całego serca pragnęli, wieść życie od wrzawy światowej wolne, ciche i ukryte z Jezusem, jakie wiodła Marya w ukochanym Swoim Nazarecie; a zmuszeni jesteśmy żyć wśród świata takiego niemal jakim był świat pogański, wśród którego żyć Ona musiała przez czas Swojej drugiej Boleści — żyjmyż pomimo tego z Jezusem, przy Jezusie i nie odstępujmy Go ani na chwilę, jak żyła z Nim i przy Nim była ciągle Przenajświętsza Matka gdy Go unieść musiała do Egiptu. Nośmy Go w sercu jak Go Ona i w sercu i na rękach nosiła, abyśmy pod Jej opieką przebywszy, nierozłączeni od Niego, czas naszego tu na ziemi wygnania, za tąż Jej litościwą opieką i do Ojczyzny niebieskiej się dostali.

Pisze święty Alfons *), że gdy pewna świątobliwa zakonnica zgromadzenia Augustyanek, rozpamiętywała pobożnie drugą Boleść, Matka Przenajświętsza się jej objawiła i tak do niej przemówić raczyła: „Widziałaś tedy, córko miła, po ilu to strapieniach i trudach stanęliśmy u celu naszej podróży, i idąc do Egiptu i wracając z niego do ziemi świętej. Poweźmij więc stąd naukę, że bez trudu, pracy i cierpienia, niczego człowiek osięgnąć nie może. Tylko jeśli każdy trud, pracę i cierpienie, chcesz sobie osłodzić i uświęcić, weźmij do serca twego Jezusa i Mnie, i z Nami odbywaj wędrówkę po tej ziemi: *Weźmij Dziecię i Matkę Jego* **)."

*) O Bol. Maryi. **) Mateusz II. 18.

ROZDZIAŁ IV.

Trzecia Boleść.

ZNIKNIĘCIE TRZYDNIOWE JEZUSA.

§. I. Szczegóły tej tajemnicy.

Przenajświętsza Matka bez Swego Boskiego Dziecięcia! Marya bez Jezusa! oto w dwóch słowach trzecia Przenajświętszej Panny Boleść, a o której grube tomy pisaćby można.

Całe życie Maryi, jak to już z tego cośmy wyżej powiedzieli zauważyć można, przepełnione było boleściami; lecz w każdej z nich Matka była z Synem, Marya miała przy sobie Jezusa. Wśród ciemności więc ogarniających Ją wtedy, była światłość, wśród najcięższych cierpień pociecha, wśród największego upadku na siłach było wsparcie i pokrzepienie. Bo i światłem najwyższem i pociechą największą, i siłą jest Jezus dla każdej duszy, a cóż dopiero dla Maryi. Lecz w tej trzeciej Boleści, w zniknięciu przed Nią Jezusa na całe trzy dni, tak już nie było.

Gdy chcemy przedstawić sobie Przenajświętszą Pannę, jako obdarzoną jedynie Jej udzielonym przywi-

lejem Niepokalanego Poczęcia, przedstawiamy Ją sobie bez Jej Boskiego Dzieciątka, bo spotkało to Ją wprzód jeszcze zanim wydała Je na świat. Ale odkąd stała się Matką Zbawiciela, już ją malujemy zawsze albo z Dzieciątkiem Jezus na ręku, albo stojącą pod Jego krzyżem, albo Przenajświętsze ciało Jego zdjęte z krzyża, trzymającą na swem macierzyńskiem łonie. Wszystkie inne wizerunki Przenajświętszej Matki, chociażby były najkunsztowniej wykonane, mają w sobie coś mniej pobożnego i jakby niewłaściwego.

W Ewangeliach też świętych, tylko dwa razy widzimy Matkę Bożą bez Pana Jezusa, dopóki On przebywał na ziemi. Raz w tej oto trzeciej Jej Boleści, kiedy z niewymownym smutkiem i frasunkiem przez całe trzy dni szukała Go po Jerozolimie; drugi raz, kiedy złożywszy Go w grobie, bez Niego wróciła w wieczór Wielko-piątkowy do swego mieszkania, co stanowiło siódmą i ostatnią Jej Boleść. Stąd też w tej trzeciej Boleści, doznała już Marya tego rodzaju Boleści, jaka Ją czekała na Kalwaryi, a pod niektóremi względami najcięższej jaką przebyła. To bowiem zniknięcie Jezusa przed Maryą stanowiące Jej trzecią Boleść jest jedną z najgłębszych tajemnic z całego życia i Jezusa i Maryi.

Spokój i świętą jednostajność pożycia Przenajświętszej Rodziny w Nazarecie, przerywały tylko parę razy do roku religijne obrzędy odbywane w Jerozolimie, na które każdy z wiernych wyznawców Starego Zakonu, jeśli do tego przewidzianych prawem nie napotykał przeszkód, osobiście udawać się do Świątyni, był obowiązanym. Raz przypadało to w święto Paschy, ustanowione na uroczysty obchód pamiątki wydobycia

się narodu wybranego z niewoli Egipskiej. Drugi raz w święto zwane *Świętem Tygodni*. Trzeci raz, w uroczystość Namiotów czyli *Kuczek*, którą to wesołą uroczystość, obchodzono na jesieni po ukończeniu zbioru gron winnych.

Święty Józef w każdym roku chodził do Jerozolimy, na te trzy uroczystości. Ale że niewiasty nie były obowiązane do tego, więc, według objawienia jakie mieli niektórzy Święci, Przenajświętsza Panna raz tylko na rok, i to w święto Paschy, czyli Wielkiejnocy, udawała się z Jezusem do Jerozolimy.

Pięć lat upłynęło już było od powrotu z Egiptu, a Pan Jezus miał lat dwanaście, kiedy, jak to nam opowiada Ewangelia święta, wraz z Maryą i Józefem poszedł do Jerozolimy na uroczystość Paschy, a jak także niesie dawne podanie, podróż tę Przenajświętsza Rodzina odbyła pieszo.

Marya, której objawionem było wszystko co czekało Jej najdroższe Dziecię, ciągle miała na myśli ostatnią Paschę, którą pożywać będzie Zbawiciel przed samą już Swoją Męką. Lecz najżywiej stawało Jej to na pamięci, ile razy na tę uroczystość udawała się do Jerozolimy. Tak też było i tą razą, gdy się do tego miasta zbliżała. Poza zieleniejącemi się wzgórzami około których przechodzili, i wysoko nad nimi, wznosiła się Kalwarya, a gdy na niej zatrzymywał się wzrok Przenajświętszej Matki, zdawało się Jej, że już tam widzi krzyż i na nim konającego Syna. Lecz z zakrytych i przed Nią wtenczas wyroków Boskich, nie wiedziała, że gdy ukrzyżowanie Jezusa było jeszcze dalekiem, Ją Samą czekał tą razą w Jerozolimie krzyż, a kto wie czy nie najcięższy dla Niej do przeniesienia, ze wszystkich, jakie już dźwigała i jakie Ją jeszcze czekały.

Przenajświętsza Rodzina przybyła do Jerozolimy, jak to było zwyczajem gorliwych wyznawców Starego Zakonu, na parę dni przed rozpoczęciem publicznych obrzędów Paschalnych, i przez tę porę, o ile tylko mogli, najdłużej przebywali na modlitwie w Świątyni. A cóż to za Bogomodlców posiadał wtedy ten przybytek Pański! Bo oto najprzód, klęczał tam Józef, ten, który według wyrażenia Pisma świętego był *Cieniem Najwyższego* *), był przedstawicielem i zastępcą na ziemi Ojca przedwiecznego, był *mniemanym Ojcem* **) Jezusa, przeczystym Oblubieńcem Maryi; był Tym, którego straży i opiece, powierzył Pan Bóg to co Mu tylko w niebie i na ziemi mogło być najdroższego. Iluż to najpoważniejszych, najświątobliwszych mężów narodu wybranego, z ubiegiem czasów w Świątyni tej, wkraczając z największem skupieniem w jej progi, zanosiło swoje modły, milsze Bogu od wszystkich ofiar balwochwalczych, składanych przez cały świat ówczesny. Lecz nigdy błogosławione te mury, nie posiadały w sobie świętszego Bogomódlcy, jak kiedy Józef korzył się tam i modlił do Boga, który go uczynił Swoim zastępcą przy Synie, gdy Go zesłać raczył na ziemię.

Ależ niedość na tem: bo oto obok Niego klęczała tam i Marya; a czemże obok Jej jednego westchnienia do Boga, były wszystkie modlitwy i pienia, i wszystkie religijne obrzędy, jakie w tej świątyni od tylu wieków na cześć Najwyższego się wznosiły i odbywały? Gdy Marya i Józef klęczeli przed miejscem zwanem *Święte nad Świętemi,* (Sancta Sanctorum) obok Ich świętości bladła i jakby znikała wszelka świętość, nawet chórów Anielskich otaczających najwyższy tron Boga.

*) Łuk. 1. 35. **) Tamże.

Wielu pobożnych starców, zgromadzonych wtedy w Jerozolimie, wzdychało za dawno ubiegłemi czasami Dawida, kiedy z niedorównaną już później wspaniałością odbywały się tam obrzędy religijne Starego Zakonu, przy pieniu Psalmów ułożonych, za szczególnem natchnieniem Ducha-Świętego, przez tego świętego Króla i Proroka. Ani się bowiem domyślali, że obecność w Świątyni takich dwóch dusz jak Marya i Józef, zastępowała wszystko co mogło brakować do świetności odbywanych tam obrzędów, a uświęcała je i tak miłemi czyniła Bogu, jak to dotąd nigdy nie bywało.

Lecz cóż dopiero, gdy pomyślimy, że tam wtedy, prócz Maryi i Józefa, był i Jezus! że pomiędzy Matką Przenajświętszą i Przeczystym Jej Oblubieńcem, klęczał Bóg wcielony, Ten Bóg, któremu jedynie wszelka cześć się należy, i któremu podówczas w całym świecie w tej tylko Świątyni ludu wybranego, oddawano chwałę właściwą i majestatowi Jego miłą. Czy na widok tego nie zamilkły chóry anielskie? Czy w niebie nie zapanowała najgłębsza cisza, kiedy z ziemi wznosiła się modlitwa do Boga od Boga Mu równego, przy której niczem stawały się i wszystkie modlitwy dusz najświętszych, i wszystkie śpiewy chórów Archanielskich.

A tymczasem, nikt się wtedy ani domyślał jakich gości, jakich pielgrzymów, doczekała się Świątynia Salomonowa, i jaką to obecnością, w owym roku, obchód uroczystości Paschalnej miał być uświęcony! W tłumie napełniającym wtedy Kościół Salomona był Syn Dawidów: *Większy nad Salomona, dawniejszy od Abrahama* *): Ten który był w mocy Świątynię tę zburzyć i *we trzy dni odbudować.* **). Był Ten, którego i Sa-

*) Mat. 12. 42. **) Jan. 2. 59.

lomon i Abraham byli tylko *figurami,* obrazami zapowiedniemi, którego Abraham pragnął widzieć, poczytując to sobie za największe szczęście, i który miał dopełnić w rzeczywistości to, co obrzędy ówczesne tylko zapowiadały; miał założyć Swój Kościół i do niego wszystkie ludy powołać.

Ale przejdźmy już do wypadków, które trzecią Boleść Przenajświętszej Panny stanowiły. Powyższy zaś pogląd służyć tylko może jakby za przejście od obrazu wspaniałego i poniekąd wesołego, do najsmutniejszego, ażeby tego ostatniego tem bardziej uderzyły nas posępne barwy. Bo i dla Maryi było to czemś takiem. Ona patrząc na Jezusa wtedy w tej głównej Świątyni Boga prawdziwego, pomiędzy Nią a Józefem modlącego się, niewymownej doznawała pociechy; a tymczasem był to wstęp do najcięższej z Jej Boleści.

W miarę jak Jezus wzrastając w lata, *Wzrastał* według wyrażenia Ewangelii świętej *w łaskę u Boga i u ludzi* *), co znaczy, że coraz widoczniej objawiał Swoje przymioty jako Boga wcielonego, i w Maryi wzrastała miłość ku Niemu. Ona zawsze, od samego poczęcia Go w dziewiczem łonie, miłowała Go miłością wszelką miłość najwyższych Serafinów przewyższającą; lecz obok tego, ta Jej miłość, co chwila nowej siły nabywała. Do jakiegoż więc to stopnia dochodziła, gdy już przez lat dwanaście ciągle się wzmagała! Bo też i w Bogu wcielonym, dochodzącym już do lat młodzieńczych, było coś więcej jak w Bogu Dzieciątku. Niemowlęctwo i naturalna do niego przywiązana wątłość, będąc uderzającem przeciwieństwem

*) Łuk. 2. 25.

tego stanu z nieograniczonemi doskonałościami Jezusa jako Boga-człowieka, czyniły tem głębszą tajemnicę Wcielenia: nadawało to jej tem wyrazistszą tajemniczość. Nie rozwinięta jeszcze dla oczu ludzkich natura ludzka Pana Jezusa podczas Jego dzieciństwa, biernie się niejako mając, lepiej zatajała Jego naturę Boską. Rozum najwyższy i najpełniejszy, który posiadał od chwili Swego poczęcia w dziewiczem łonie Maryi, nie objawiał się wtedy na zewnątrz. Była to więc wyraźna tajemnica, bo można powiedzieć, że tajemniczość, gdy ma prawo być czemś tajemniczem, tem jest dla nas pojętniejszą, im bardziej jest zakrytą.

Lecz gdy Jezus, mając już lat dwanaście, dochodził do lat młodzieńczych, natura Jego ludzka stając się widoczniejszą, stawała się też tem bardziej uroczą. Wszystko w Nim było piękniejszem, i coraz większego nabierało blasku i niewymownego powabu. Znikało Dziecię, ustępując miejsce młodzieńcowi, którego Duch Święty nazwał: *Piękniejszym urodą nad syny człowiecze* *). A czyż to wszystko ujść mogło oczu Matki? To w każdej matce rozżywia coraz większą miłość macierzyńską, jakby nową nadając temu uczuciu siłę, przez nowo odkrywające się w dorastającym młodzieńcu przymioty. Ale miarkujmyż czem to być musiało, gdy rzecz tu idzie o Jezusie i Maryi; gdy dorastającym do lat młodzieńczych jest Syn Boży, Bóg wcielony, a Matką z matek najprzywiązańsza, najczulsza, najzdolniejsza, nowo objawiające się przymioty i niebieskie powaby Boga-człowieka dopatrywać i oceniać. Wątpliwości niema, że Boskość Jezusa, w miarę jak posuwał się w lata, promieniała coraz oczywiściej, bo

*) Psalm 44. 3.

do tego to właśnie odnoszą się wyżej już przytoczone słowa Ewangelii świętej, że: *Jezus wzrastał w łasce u Boga i u ludzi* *). Objawiało się to w każdej Jego czynności, w każdem słowie, a dla Maryi w każdem poruszeniu nawet Jego, i jakby ciągłemi a przecudnemi niespodziankami podnosiło Jej miłość macierzyńską do coraz wyższego stopnia. Czyż więc trudno nam będzie zrozumieć, że gdy Przenajświętsza Matka znajdowała się wtedy z Bogiem Synem Swoim w świątyni Jerozolimskiej, i gdy patrzała na Niego pomiędzy Nią a Józefem klęczącego przed miejscem zwanem *Święte nad Świętemi* (Sancta Sanctorum), miłość Jej do Jezusa doszła już była do najwyższego stopnia i że wtedy bardziej jak kiedy czuła, iż niemożliwą rzeczą byłoby dla Jej Serca, być od Jezusa oddzieloną, ujrzyć się bez Niego. A tymczasem, za chwilę to właśnie czekało Ją w tej trzeciej Jej Boleści. O! bo jakże to często najdotkliwsze ciosy spadają na nas wtedy, kiedy zdaje się, że najtrudniej przychodzi nam je przenieść.

Lecz otóż i obrzędy uroczystości Paschalnej zostały ukończone. Jak zwykle tak i tą razą, wielka liczba pobożnych pątników zebrała się była w Jerozolimie, podobnie jak to u nas bywa w pewne pory przy Świątyniach posiadających jaki obraz cudami słynący, kiedy tam przypada odpust główny. Każde pokolenie z osiadłego na Ziemi świętej Narodu wybranego, przysłało tam było swoich pielgrzymów. Przybyli tam mieszkańcy najodleglejszych wiosek z południowych okolic dzielnicy Symeona, z pokolenia Ruben osiedlonego za górami Arabimskiemi; z pokolenia Manasesa za rzeką

*) Łuk. 2. 52.

rozmieszczonego; z nadbrzeżnej krainy Asser, i aż z tych dolin, gdzie pod górą Libanu, mieszkali potomkowie Neftalego.

Dla uniknięcia nieładu przy nadzwyczaj wielkiem nagromadzeniu się wtedy ludu, rozchodzono się w pewnej kolei: jedne *kompanie* wyruszały po drugich, a według zwyczaju u Izraelitów ściśle zachowywanego, niewiasty szły osobno a mężczyźni osobno. Z tego też powodu, Marya i Józef, wychodząc z Jerozolimy nie szli razem. Przenajświętsza Matka była w gronie niewiast tąż drogą wracających do swoich domów, a święty Józef, szedł oddzielnie z mężczyznami do tejże *kompanii* należącymi. I wtedy Pan Jezus odłączył się od Nich, a tak iż gdy to spostrzegli, Przenajświętsza Panna nie wątpiła, że jest On przy Józefie, a święty Józef przypuszczał, że jako jeszcze w latach dziecinnych będący, idzie z Matką w gronie innych niewiast z miasta wychodzących. Nie miała Go więc Marya przy Sobie, lecz i spokojną była, że Go opieka świętego Józefa otacza, i rada nawet że ten Jej przeczysty Oblubieniec cieszy się jakby wyłącznie obecnością Swego Boga. A nawet niektórzy Święci, rozmyślając nad tajemnicą trzeciej Boleści Maryi, mieli sobie objawionem, że wtedy ze skrytych wyroków Boskich, Duch-Święty napełniał Jej duszę niezwykłemi wewnętrznemi pociechami, jak to zwykle bywa, gdy ma Pan Bóg zesłać na kogo nadzwyczajne i wyjątkowo ciężkie próby. Cała zatopiona w Bogu, szła spokojnie, nie przewidując wcale co Ją czekało, a właśnie dlatego, żeby w tem co Ją miało spotkać, tem dotkliwiej Miecz trzeciej Boleści, jak z tylu innych powodów tak i z tego że był niespodziewanym, tem dotkliwiej w Jej macierzyńskie serce się wtłoczył.

W późnej już wieczornej porze, kiedy i mężczyźni i niewiasty, uszedłszy znaczny kawał drogi, połączyli się z sobą i dalszą podróż odbywać miała każda rodzina w swojem gronie, — połączyła się i Marya z Józefem. Co się stało z Maryą, gdy przy Józefie nie ujrzała Jezusa i gdy się od Niego dowiedziała, że był pewnym iż On z Nią wyszedł z miasta, tego ani wyrazić, ani nawet wyobrazić sobie nie próbujmy. Wśród tego mnóstwa ludzi nagromadzonych wówczas w tem miejscu i tęż drogę odbywających, nagle Marya ujrzała się tak osamotnioną, tak opuszczoną, tak osieroconą jak tem nie była żadna dusza ludzka odkąd nasi pierwsi rodzice, wygnani z raju ziemskiego, ujrzeli się pozbawionymi Boga, z którym tam na jawie obcowali. Wewnętrzny ucisk, strapienie, smutek i taka boleść zalały duszę Przenajświętszej Matki, jakich w najcięższych próbach tego rodzaju któremi zwykł Pan Bóg oczyszczać dusze najwybrańsze, żaden Święty nie doznał. Co znaczyło to zniknięcie Jezusa? Było to dla Maryi rzeczą trudniejszą do wytłumaczenia sobie, jak chociażby najgłębsza tajemnica Wcielenia. Gdyby ziemia stanęła była w swem biegu, gdyby gwiazdy z nieba pospadały, gdyby trąby sądu ostatecznego były zabrzmiały, mniej-by to było przeraziło Ją jak to odłączenie się od Niej Jezusa.

Wraz więc z Józefem zaczęli dopytywać, czy pomiędzy krewnymi i bliższymi znajomymi, znajdującymi się pomiędzy wracającymi wówczas z Nimi, nie było Jezusa. Lecz Marya wiedziała że to napróżno, bo nie wątpiła, że gdyby On znajdował się tam wtedy, już dawno byłby Sam połączył się z Matką. Domyślała się bowiem zaraz, że nie prosty to jaki wypadek rozłączał Ich wtedy, i że zachodziła w tem tajemnica, wszelkie ludzkie a podówczas i Jej nawet pojęcie przechodząca. Zro-

zumiała, że czekało Ją coś nadzwyczajnego. Ujrzała jakby roztwierającą się przed Nią otchłań, z której buchało zimno lodem ścinające najtkliwsze, najżywsze uczucia Jej serca.

Jednakże długo szukali tam Jezusa; wypytywali o Niego wszystkich; lecz niczego dowiedzieć się nie mogli, aż nakoniec i gruba noc zapadła. Słońce zaszło na jednej półkuli ziemskiej, a na drugiej zajaśniało; lecz ani noc roztaczająca się nad jedną połową naszego świata, nie kryła w swych cieniach takiej Boleści, ani jasny dzień przyświecający drugiej, nie widział takiego strapienia, jakiemi były wtedy Boleść i strapienie Maryi. Było w ciągu tej nocy, jak i każdej, wiele cierpień na ziemi; nie było takiego, jakiem było wtedy cierpienie Przenajświętszej Panny. Było odtąd wiele nocy z ich prześlicznem iskrzeniem się nieba okrytem gwiazdami, i wiele wśród nich smutków, którym ani jedna nie przyświecała gwiazdka pociechy; lecz nie było smutku jakim był wtedy smutek Maryi. Gwiazdy byłyby przestały jaśnieć, gdyby serca miały; cienie nocne byłyby krwawemi łzami płakały zamiast zlewania rosy, gdyby uczucia zdolnemi były — żeby współczuć i zjednoczyć się z utrapieniem i opuszczeniem jakich w tej pamiętnej nocy doznała Matka Bolesna. Kiedy Egipt cały zabrzmiał nagle płaczem matek, gdy w jednej nocy anioł śmierci wymordował wszystkie dzieci pierworodne, wszystkie te lamenta, chociażby je zebrać w jeden wielki a przerażający jęk od spadków Nilu aż do jego ujścia w morze rozlegający się — nie byłby jeszcze dostatecznem objawem tej Boleści jaka wtedy uciskała serce Maryi.

Marya i Józef sami, ale cóż to za straszna samotność, bo bez Jezusa! puścili się niezwłocznie z powrotem do miasta świętego, w milczeniu i z niewymo-

wną troską w duszy idąc, owszem ledwie że nie biegnąc, wśród ciemnej nocy. Nie w jednem też miejscu, o porozrzucane po drodze kamienie poranili sobie nogi, ale czemże to było w porównaniu rany Ich serca? Ciemności jakie wtedy ogarnęły duszę Maryi, były ciemnościami stokroć grubszemi od ciemności pokrywających wzgórza i doliny, któremi przechodzili. A chociaż od chwili do chwili odsłaniający się księżyc będący w pełni w porze Paschalnej, która wtedy trwała jeszcze — odsłaniał przed Nimi gościniec to jednak żeby wyjść z niewymownego Swego zafrasowania, żadna droga nie przedstawiała się sercu Matki Przenajświętszej. Czyżby więc cała Jej przeszłość, chociaż pewnie snem nie była, miała jak sen przeminąć? Czyż Marya już Jezusa nie ujrzy? czy na zawsze znikła przed Nią ta światłość Jej duszy, to życie Jej życia, w którem i przez które żyła już przez lat dwanaście? Czyż pokazała się niegodną Jego? I że tak jest wiedziała o tem dobrze i najsilniej przekonaną była. Ale żeby tem tylko powodowany Jezus Ją opuścił, tego znowu w Nim przypuścić nie mogła. Czy wrócił do Ojca przedwiecznego, nie dokonawszy z całym jej nadmiarem pełni, sprawy zbawienia ludzi? Nie; to było niepodobieństwem już dla samego tego nadmiaru Jego zasług, któremi chciał odpłacić Jej przywilej Niepokalanego Poczęcia.

I takie to wątpliwości tłoczyły się do umysłu Maryi, zadając niewymowne męki Jej sercu. A znowu przychodziło Jej na myśl, że tyrani zawziętości swojej granic zwykle nie kładą. Wszak Herod postanowiwszy zgładzić Mesyasza, gdy za życia swego tego nie dopiął, mógł to umierając polecić synowi Archelauszowi następcy swojemu, i ten wyśledziwszy Jezusa, może kazał schwycić Go skrycie. Może więc już teraz speł-

nia się to co Jej objawionem było przy przepowiedni Symeonowej, i może w tej oto chwili Jej Dziecię ukochane kona już w strasznych męczarniach na jakiemś okrutnem rusztowaniu. A Ona przy Nim nie jest! Czyżby z umysłu oszczędził Jej tego widoku, z litości nad Jej sercem macierzyńskiem? Lecz tego nigdyby nie przypuszczała, gdyżby to nie zgadzało się z tem wszystkiem, co, chociaż tylko w ogólności, ale wyraźnie, miała Sobie objawionem tyczącego się męki i śmierci Zbawiciela i Jej własnego w niej współudziału. O! coż to za noc ciemna, w której pogrążoną wtedy została niepokalana dusza Matki Przenajświętszej! Ciemności wewnętrzne zewsząd Ją otoczyły; dopuścił je wtedy na Nią Pan Bóg takie jakich jeszcze nigdy nie doznawała i w przyszłości doznać nie miała; jakich żadna z najświętszych dusz, dla ostatecznego jej uświęcenia zwykle tego rodzaju próby przechodząca nigdy nie przebyła. Tylko wśród tej niewymownej goryczy zalewającej wtedy Jej serce, pokoju wewnętrznego ani na chwilę nie traciła, a na jego to tle nieporuszonem — jak zwierciadlana powierzchnia morza wśród największej ciszy tem głębiej zapuszczała swoje szpony macierzyńska troska Matki, szukającej jakby zagubione przez Nią dziecię, a takiej Matki i o takiego Dziecka los się troszczącej!

Przypuszczała także, że być może iż Jezus udał się na puszczę, do owego cudownej świętości pustelnika, młodziutkiego także jeszcze wtedy Jana syna Zacharyaszowego, przezwanego później Chrzcicielem. Ten wielki Święty odbywał wtedy swój *nowicyat*, żyjąc na puszczy pomiędzy dzikiemi zwierzętami, i najostrzejszej oddany pokucie, przygotowywał się do godności Przesłannika Pańskiego, który pierwszy miał Go światu jako Zbawi-

ciela gładzącego grzechy ludzkie ogłosić *). Czy więc czasem Jezus nie poszedł do niego, żeby razem z nim pokutując, rozpocząć już sprawę zbawienia? I byłaby dobrze wiedziała, że tak być nie mogło z wielu powodów, gdyby się Jej wszystko jak zwykle jasno i w właściwem świetle przedstawiało. Lecz cierpienie jakie spodobało się Bogu zesłać na Przenajświętszą Matkę w tej trzeciej Jej Boleści, właśnie i głównie zawisło było na tem, że jakby nie rozumiała Jezusa, jakby to najwyższe światło które Jej umysł swoją jasnością nawskróś przejmowało, zagasło było przed Nią najzupełniej. Gdyby nie to, chociażby świat cały albo znikł był z Jej oczu albo pokrył się najgrubszą ciemnością, byle Jej przyświecał Jezus, byłaby łatwo przeniosła straszny ucisk przytłaczający Jej serce. Lecz widzieć znikającego przed Nią Jezusa, i czuć że się Go w tem Jego zniknięciu przed Matką nie rozumie, nie pojmuje — było dla Niej męczarnią, której również nie pojmowała, było czemś, czego nigdy przypuszczać nie mogła, i czego już nigdy nie miała doświadczyć. I to też głównie stanowi całą wyjątkową, odrębną, a pełną tajemniczego znaczenia siłę tej trzeciej Boleści Maryi. Była to Boleść tego rodzaju, której gorycze jak o tem z własnego doświadczenia wiedzą dobrze dusze podobnym dopustem Bożym, chociaż w nierównie niższym stopniu dotknięte — już się nigdy w pamięci nie zacierają.

Przychodziło Przenajświętszej Matce i to na myśl, że może Jezus poszedł do Betleemu, nawiedzić miejsce na którem raczył przyjść na świat, gdzie Mu jako Bogu wcielonemu pierwszą cześć oddali Marya i Józef, i gdzie następnie uznali Go Zbawicielem Pasterze, a po

*) Jan 1. 29.

nich trzej Królowie przybyli ze wschodu. Lecz czyżby to uczynił bez opowiadania się Rodzicom, którym jak się sama Ewangelia wyraża: *był poddanym* *); bez których wiedzy i zezwolenia nic nigdy nie robił. Wszak gdyby się tam udawał, alboby Ich był wziął ze sobą, albo przewidując jak dalece zaniepokojeniby zostali, gdyby to uczynił bez Ich wiedzy, byłby Ich niechybnie o tem zawiadomił. Nic więc nie rozumie Marya, nic sobie wytłumaczyć nie może! tylko wszystkiemu poddaje się z największą pokorą i uległością. Czuje się ukrzyżowaną wtedy wśród takich wewnętrznych ciemności, jakie miały ogarnąć ziemię gdy przy ukrzyżowaniu Jezusa zaćmi się słońce. A jak na krzyżu zawieszonego Swego Syna jednorodzonego i najdroższego miał opuścić Bóg Ojciec, i Jezus miał zawołać wielkim głosem: *Ojcze! Ojcze! czemuś mnie opuścił* **), tak teraz Syn Maryi opuścił Matkę, której dusza podobnyż ciężki jęk wydawała.

Lecz otóż i wschodzące słońce już się obija o wierzchołki wierz Jerozolimskich, a święci Wędrowcy, po całonocnej podróży wchodzą do bram świętego miasta, z jaką taką jeszcze w sercach nadzieją że Jezusa tam znajdą.

Ale przez czas ten cóż się z Nim dzieje? gdzie On przebywa? co robi? Mamy o tem niektóre wiadomości zapisane w Ewangelii, a o niektórych innych szczegółach dowiadujemy się z objawień jakie mieli niektórzy Święci

Otóż najprzód po rozejściu się z Świątyni tłumu, który ją przez te dnie napełniał, Pan Jezus pozostał w niej i długo się modlił. Przypuszczać można, że mo-

*) Łuk. 2. 59. **) Mat. 26. 47.

dląc się wtedy za cały ród ludzki i prosząc Ojca przedwiecznego, żeby Mu dozwolił w całym nadmiarze Jego zasług dopełnić sprawę zbawienia, modlił się w szczególności za najdroższą Matkę, wiedząc że nadeszła była chwila, w której miała Ona przebywać Swoją trzecią Boleść, a która z wielu powodów jak to dobrze wiedział, ma być dla Niej niezmiernie i wyjątkowo ciężką do przeniesienia.

Potem udał sie na miasto i zwiedzał różne mieszkania ubogich, zatrzymując się bardzo długo przy chorych, którym z największą pokorą i miłością oddawał różne usługi. Wszyscy do których raczył się zbliżać, nie mogli zdać sobie sprawy z wrażenia, jakie wywierał ten nieznany im młodzienia-zek, zaledwie z lat dziecinnych wychodzący, a tak mądrze przemawiający; jednym tak zbawienne dający nauki, drugich tak cudownie w ich cierpieniach i strapieniach pocieszający.

I trwało to przez dni trzy, w ciągu których Zbawiciel posilał się wyżebranym lub z miłości ofiarowanym Mu posiłkiem, którym, gdy go otrzymywał nieco więcej, dzielił się z ubogimi. W nocy na spoczynek udawał się pod krużganki Świątyni, i tam na gołej ziemi albo i na zimnych kamieniach krótkiego snu zażywał. A tak Stwórca najwyższy w człowieczeństwie przez Niego przyjętem, zaledwie z lat dziecinnych wyszedłszy, raczy zakosztowywać gorzkiego chleba żebraka, żeby przez to na zawsze wszelkiego rodzaju ubóstwo uświęcić i do niego szczególne i jakby najpierwsze Swoje błogosławieństwo przywiązać

Nareszcie dnia ostatniego tego tajemniczego zniknięcia Swego przed Matką, Pan Jezus udał się na zgromadzenie najstarszych kapłanów i doktorów Synagogi, odbywających swoje uroczyste posiedzenie

w wielkiej sali połączonej ze świątynią. *Usiadł pomiędzy nimi,* mówi Ewangelia święta, *i słucha i pyta ich. A zdumiewali się wszyscy, którzy Go słuchali rozumowi i odpowiedziom Jego* *). Dawne podanie niesie, że wtedy natrafił na rozprawy, w których uczeni ci kapłani przekręcali proroctwa o Mesyaszu, dowodząc iż objawi się On jako potężny mocarz ziemski, wielki wojownik i biegły polityk, który okrywszy się najwyższą doczesną chwałą, wyzwoli lud swój z pod władzy pod którą zostawał. Wtedy młodziutki Zbawiciel, wysłuchawszy jedną z rozpraw w tym duchu wypowiedzianą, zaczął od pokornego zadawania zgromadzonym tam kapłanom różnych pytań: *A On słucha i pyta ich* **). Następnie Sam głos zabiera i zrazu jakby niewyraźnie, a potem coraz silniej i skuteczniej zbija ich brednie, i prostuje ich sfałszowane wyobrażenie o przyjść mającym Mesyaszu. I któż wie, ilu to z słuchających Go usposobiło już wtedy do przyjęcia Jego nauki, gdy z nią wystąpi w swojem życiu czynnem, i do uczynienia ich potem tejże nauki z nieba przyniesionej Apostołami. Gdy w lat kilkanaście od owej chwili, święty Piotr pierwszem swojem kazaniem trzy tysiące ze słuchających go nawrócił — któż wie czy łaski spotykającej tych nawracających się, pierwszem ziarnem nie były owe zapytania i odpowiedzi młodziutkiego Jezusa, rozprawiającego wtedy z uczonymi Synagogi. Wszystkie bowiem szczegóły tej trzeciej Boleści Maryi pełne są niezgłębionych tajemnic, a jak zawsze mądrości i dobroci Boga i które dopiero na tamtym świecie dano nam będzie zrozumieć, żeby się niemi zachwycać.

*) Łuk. 2. 46. 47. **) Tamże.

Niemasz wątpliwości, że Marya i Józef, jak tylko nad rankiem przybyli do Jerozolimy, najprzód udali się do Świątyni. Potrzebowali prosić Boga o łaskę kornego dźwigania ciężkiego brzemienia troski napełniającej Ich serca i błagać Go, a błaganiami takiej Matki jaką była Marya, żeby dano Im było co prędzej odszukać zagubione Dziecię. A przytem nie bez tego, żeby niespodziewali się, że może Go w świątyni znajdą. Lecz niestety! tam Go nie było! Poszli więc na miasto i po kolei wszystkie ulice przebiegali, nie czując strudzenia, chociaż po całonocnej podróży nie spoczęli ani na chwilę. Marya, wbrew swojemu zwyczajowi przypatrywała się przechodniom, a zwłaszcza dziatkom mniej więcej wieku Jezusa będącym, lecz wszystko napróżno, Jezusa nie znachodziła. I znajomych więc i nieznajomych, i w różnych mieszkaniach dopytywali się o Niego. Jedni słuchali Ich cierpliwie, lecz obojętnie; drudzy zbywali Ich z ofuknięciem; niektórzy objawiali współczucie i politowanie nad Ich frasunkiem, lecz od nikogo dowiedzieć się czegoś coby Ich na ślady Jezusa wprowadziło, nie mogli.

Pobożne podania i objawienia Świętych, opowiadają nam niektóre inne jeszcze szczegóły z tych bolesnych poszukiwań Przenajświętszej Matki. I tak pomiędzy innemi wspominają o tem, że pewna niewiasta litując się nad wielkiem zafrasowaniem Maryi, chcąc przyjść w pomoc w wyszukiwaniu Jezusa, prosiła, żeby jej Przenajświętsza Panna opisała Jego powierzchowność, żeby Go z tego poznała jeśli napotka. I że Marya uczyniła to jak tylko mogła najdokładniej, a jakiż być to musiał obraz, jaki wizerunek skreślony wtedy przez Maryę, która pewnie usiłowała uczynić go jak najwierniejszym. Ale poszukiwania tej po-

czciwej kobiety były daremnemi. Inna znowu opowiedziała, że w tem i tem miejscu widziała jakiegoś obcego chłopczyka mogącego mieć lat około dwunastu, ale z opisu jego jaki uczyniła, można było być pewnym, że nie był to Jezus. W pewnym zaś domu dowiedzieli się, że w dniu tymże przyszedł tam był chłopczyk dziwnie uroczo wyglądający i proszący jałmużny, którą mu dano, lecz co się z nim stało i gdzie poszedł nic nie wiedziano. Niektórzy po opisie dokładnym powierzchowności Jezusa, upewniali, że zupełnie takiego chłopczyka widzieli dzielącego się posiłkiem z ubogimi. Aż nakoniec znalazł się ktoś, który upewniał, że Jego to a nie kogo innego widział przy pewnym bardzo ubogim chorym, którego tak pocieszył i na siłach pokrzepił, że wszystkich to w zdumienie wprowadziło. Jakiś więc promyk nadziei zabłysnął, bo może od tego chorego czegoś dowiedzieć się będzie można. Niezwłocznie też Marya i Józef udali się do niego. Zastali go już zupełnie zdrowym, a z opisu jaki Im uczynił powierzchowności tego jak Go nazywał Anioła Pocieszyciela, i ze szczegółów, jakie Im opowiedział z Jego przy nim bytności, nie było najmniejszej wątpliwości, że Jezus to go był nawiedził. Lecz skąd do niego przyszedł i dokąd odszedł, człowiek ten nic zgoła nie wiedział i pytać Go o to nie śmiał.

Cokolwiekbądź, z tego wszystkiego, mogła jednakże wnosić Matka Przenajświętsza, że Jezus żyje i że dotąd znajdował się w mieście, a więc że trzeba Go szukać. Lecz i słońce zaszło, a znaleść Go nie mogła, i drugi cały dzień na podobnychże próżnych poszukiwaniach zeszedł, i trzy już noce bezsenne spędziła Matka Bolesna z tym trzecim Mieczem tak coraz to srożej wtłaczającym się w Jej serce, że ze wszystkich siedmiu Jej Boleści ta była najsroższą

Nakoniec w trzecim dniu tych strasznych męczarni Matki Przenajświętszej, a niewiadomo dokładnie czy z rana czy w późniejszej porze, Marya i Józef poszli do Świątyni, żeby znowu złożyć Bogu ofiarę ze Swego coraz cięższego strapienia i błagać Go o zmiłowanie się nad Nimi. Wchodzili tam przez drzwi wschodnie, przy których była właśnie owa sala gdzie odbywały się rozprawy starszyzny Synagogi. O niej wspomina i święty Paweł w swojej obronie przed Feliksem wielkorządcą rzymskim, gdy go przed nim stawiono oskarżonego o głoszenie nauki Chrystusowej. Tam to także ten wielki Apostoł narodów pogańskich, słuchał wykładów starego Zakonu przez Gameliela, najsławniejszego podówczas z pomiędzy uczonych Izraelskich, a który później został chrześcijaninem.

Obok to tedy tej sali, wypadło przechodzić Maryi i Józefowi. Wszakże ani przypuszczali żeby się tam mógł znajdować Pan Jezus. i już mieli ominąć to miejsce i iść dalej w głąb Świątyni, kiedy oto do uszu Matki Przenajświętszej doleciał głos przemawiającego w gronie zgromadzonych tam kapłanów, a głos, który odrazu poznała, był to bowiem głos Jezusa. Wchodzi więc do sali, i widzi jak wszyscy ci mistrzowie starego Zakonu wytężają i wzrok swój i uwagę, słuchając z podziwem i niejakiem pomięszaniem, ale oraz i pewnem zadowoleniem, Boskiego młodzieniaszka. *A zdumiewali się wszyscy, którzy Go słuchali,* mówi Ewangelia święta, *rozumowi i odpowiedziom Jego* *). Nigdy jeszcze pomiędzy nimi nie powstał Mistrz taki. W zdumieniu była nawet i Marya. Nigdy jeszcze w ten sposób, takim głosem, tak uroczyście przemawiającego nie sły-

*) Łuk. 2. 45.

szała Syna, nigdy dotąd i w oczach Jego i w całem obliczu i postawie, nie jaśniało coś tak majestatycznego, pomimo wieku tak jeszcze młodego. W sercu więc oddała Mu cześć najgłębszą, nie mogąc jakby to pragnęła, upaść Mu do nóg i uwielbić w Nim już wtedy rozpoczęcie się posłannictwa, Jego życia czynnego, które daleko później miał jawnie prowadzić. Ale obok tego, posiadała Marya Swoje prawa macierzyńskie nad tem Dziecięciem, wprawiającem w zdumienie najuczeńszych Mistrzów Izraelskich. Pragnęłaby była, skoro mogła zbliżyć się do Jezusa, upaść Mu do nóg; lecz wiedziała, że ani miejsce ani czas nie były po temu, rzekła więc do Niego: *Synu, cóżeś to nam uczynił, i oto Ojciec Twój i Ja żałośni szukaliśmy Cię* *). A w tem jednem krótkiem słowie *żałośni,* głosem z jakim go wyrzekła, — wyrażała się dla uszu Jezusa cała niezmierna Boleść Maryi przez te trzy dni przebyta. Ale i tego nie potrzeba było, bo mógł On wyczytać ją na rysach Jej oblicza, już wprawdzie rozpromienionego odnalezieniem Syna, lecz noszącego ślady trzydniowej niewymownej troski o Niego, i z drżenia Jej głosu zdradzającego wielkie zwątlenie Jej niepokalanego ciała, przez całe trzy dni i posiłku i snu pozbawionego. A prócz tego czyż Jezus w ciągu tych trzech dni Swego przed Matką zniknięcia zewnętrznie, wewnętrznie nie przebywał ciągle w Jej Sercu? On tam przez cały czas ten był obecnym, i na wszystko co się w tem sercu tak srodze przeszytem działo patrzał. A na własnem to odczuwając, z Niem razem cierpiąc, stosował do Jej cierpień Swoje łaski niebieskie, i odpowiednią a cudowną mocą pokrzepiał Jej siły fizyczne, żeby tę najcięższą ze Swo-

*) Łuk. 2. 48.

ich Boleści, bez poniesienia od niej śmierci, przebyć była w stanie.

Wszelako tajemnica trzeciej Boleści, jeszcze do całej pełni swojej nie doszła była. Trzeba żeby ten trzeci Miecz, który zdawałoby się że po odnalezieniu Jezusa wyjśćby już powinien z serca Przenajświętszej Matki, a przynajmniej już się w nie jeszcze głębiej nie wtłaczać — trzeba mówię, żeby on to serce na wskróś zbolałe jakby na nowo przeszył. Bo oto na macierzyńskie skargi Maryi, że Ją Syn opuścił, cóż Jej odpowiada Boski młodzieniaszek? *Dlaczegóż,* mówi, *szukaliście Mnie; czyście nie wiedzieli że w tem co Ojca Mojego jest, trzeba Mi być?* *).

O! Matko najboleśniejsza! *dlaczegoś* Jezusa szukała? a cóżeś innego mogła robić, gdy On znikł z oczu Twoich, gdy się skrył przed Tobą? Czyż Marya bez Jezusa żyć mogła? Dla tysiącznych powodów musiała Go szukać. Czyż nie posiada nad Nim władzy macierzyńskiej? Czyż z tej władzy miałby Ją wyzuć, w chwili właśnie, kiedy po trzech dniach mąk niesłychanych odetchnęła niebieską radością w odszukaniu Syna. Czyżby Ją pozbawiał tych praw matki któremi Sam Ją w hojności Swojej miary nie mającej zbogacił i nad wszystkie dzieła Boskich rąk Swoich wyniósł? Mógł-ci wprawdzie, wolno Mu było to uczynić, ale czyżby Mu na to Jego serce pozwoliło? to serce, które jak całe ciało i wszystka krew Jezusa, z najczystszych kropli krwi Maryi ukształtowane, — było w pewnem znaczeniu jakby Jej sercem? A prawo jakie Ona miała miło-

*) Łuk. 2. 47.

wać Go nad wszystko, czyż jako Stwórca mógł On odjąć Swemu stworzeniu? Nie, bo jest to przywilej każdej duszy, a cóż dopiero takiej jak dusza Maryi, i przywilej, którego żadna siła pozbawić nie ma prawa. I chociażby w tejże chwili gdy oto tylko co odszukała Jezusa, znowu On znikł z Jej oczu i jeszcze milion razy więcej ukrył się przed Nią, Onaby Go miłować nie przestała, miłowałaby Go jeszcze więcej, i znowu jak przez te trzy dni tak chociażby przez całe wieki, szukałaby z *żałością* wprawdzie jak się Sama wyraziła: *żałośni szukaliśmy Cię* *), ale bądź co bądź z najzupełniejszem jak to i teraz było poddawaniem się w tem wszystkiem Jego woli przenajświętszej.

Po takiej więc odpowiedzi Jezusa, czy ciemności zalegające przenajświętszą duszę Maryi przez te trzy dni Jego zniknięcia przed Nią, rozpierzchły się? Bynajmniej: Słowa te Syna całą głębią tej tajemnicy jeszcze bardziej dla Maryi ciemną uczyniły. A gdy same Ewangelie mówiąc o tem powiadają wyraźnie: *Ale Oni,* to jest Marya i Józef *nie rozumieli słowa które Im mówił* **), jakże mybyśmy przypuszczali że to sobie wytłumaczyć potrafimy? Była to jedna z tych tajemnic, która jak to już nadmieniliśmy, w niebie dopiero duszom błogosławionym odkrytą i wyjaśnioną zostanie, odsłaniając całą otchłań cierpień przebytych przez Maryę Przenajświętszą w Jej trzeciej Boleści, a cierpień które dopuścił był na Nią Pan Bóg dla Jej coraz wyższego uświątobliwiania i dla naszej nauki, jak to w dalszych uwagach obaczymy.

Jednakże po odszukaniu Jezusa w świątyni, w istocie kończy się ta trzecia Boleść Maryi. Była bowiem

*) Tamże. **) Łuk. 2. 45.

ona i jakby wstępem, co się zwykle i w życiu naszem zdarza, do długich już odtąd i stałych pociech, których doznawać miała Matka Przenajświętsza przez całe lat ośmnaście, ukrytego, cichego i spokojnego pożycia z Jezusem w Nazarecie. Już tam ani na chwilę nie odłączy się On od Niej: Już jak w Świątyni Jerozolimskiej *potrzeba Mu było być,* jak się wyrażał, *dla spraw Ojca* niebieskiego, tak już teraz *potrzeba Mu będzie być* nieodstępnym przy najdroższej Matce Jego ziemskiej, przez lat aż ośmnaście. A nawet gdy po ich upływie rozpocznie On Swoje życie czynne i już wyłącznie i jawnie będzie przeprowadzał wielką sprawę Ojca, wszędzie będzie miał przy Sobie i Matkę. Co wyraża Ewangelia w tych słowach któremi kończy opis zniknięcia Jezusa przed Maryą i odnalezienia Go przez Nią w Świątyni: *I zstąpił z Nimi i poszedł do Nazaretu i był Im poddany; a Matka Jego wszystko to zachowała w sercu Swojem* *). Po trzech dniach przebytych najcięższych Boleści, już przez lat ośmnaście cieszyła się posiadaniem Jezusa jakby wyłącznie pod Swoją władzą macierzyńską!

§. II. Główne cechy trzeciej Boleści Przenajświętszej Matki.

A teraz, według naszego zwyczaju, przejdźmy do rozważania głównych cech tej trzeciej Boleści Przenajświętszej Matki. Już w powyższym opisie jej szczegółów wiele o tem powiedzieliśmy, wszakże trzeba nam jeszcze wyłączniej zastanowić się nad temi cechami.

*) Łuk. 2. 49.

A najprzód, była to ze wszystkich Boleści Maryi największa. Pochodziło zaś to już z tego, że w niej Matka Przenajświętsza była odłączona od Jezusa, już z powodu towarzyszących jej innych okoliczności, o których zaraz mówić będziemy.

Czytamy w żywocie błogosławionej Benwenuty z Bujano dominikanki, że gdy od lat kilku ciężką chorobą była złożona, razu pewnego długo rozpamiętywała trzecią Boleść Maryi. W końcu zapragnęła uczestniczyć w tej Boleści, tem bardziej że oddawna i sama najrozmaitsze i zewnętrzne i wewnętrzne przebywała cierpienia, a nigdy nietylko nie modliła się żeby od nich była uwolnioną, ale nawet pragnęła jeszcze większych; w najcięższych zaś wszelkiej ludzkiej pociechy odmawiała sobie. Słowem, była to dusza i rozmiłowana w cierpieniach i wzwyczajona do nich, i znosząca je jak najmężniej. Poprosiła tedy i Pana Jezusa i Przenajświętszą Matkę, żeby jej dano było doznać na sobie samej, chociażby tylko małą cząstkę Boleści Matki Bożej, doznanej przez Nią podczas zniknięcia Syna. I otóż stanęła przed nią niewiasta w przecudnej postaci, a trzymająca za rękę małego chłopaczka podobnież uroczego. A gdy zaczął On rozmawiać z błogosławioną Benwenutą, taka słodycz napełniła jej serce i takie pociechy zalały jej duszę, jakich nawet nie doświadczała w chwilach zachwycenia, w które zdarzało się, że wpadała będąc na modlitwie. Lecz nagle Dziecię to wraz z Matką znikło z jej oczu. A wtedy takiego doznała żalu, takiego smutku, takiego wewnętrznego ucisku i takiej tęsknoty, że zdawało się jej iż od tej boleści skona. Zmuszona więc była błagać Matkę Bożą żeby ją raczyła poratować, bo czuła że tego cierpienia długo przenieść nie będzie w możności,

Po trzech tedy dniach, okazała się jej znowu Przenajświętsza Panna trzymając na ręku Jezusa i rzekła: „Pragnęłaś uczestniczyć w Mojej Boleści przy stracie Jezusa doznanej, masz tedy wiedzieć że ta jakiej sama doznałaś, nie jest ani milionową cząstką tej którą Ja wtedy przeniosłam. Odtąd więc nie proś już o takie rzeczy, gdyż tego konania jakie Ja wtedy przebyłam, nikt z ludzi przenieśćby nie mógł."

Siódma tylko Boleść Maryi, przy złożeniu Jezusa w grobie doznana, w swojej gwałtowności zbliża się do Jej trzeciej Boleści. Lecz z kilku powodów była mniej srogą. Wprawdzie, w obydwóch Marya była odłączoną od Jezusa, lecz podczas złożenia do grobu Zbawiciela, Marya wiedziała że On nie cierpi. Prócz tego pojmowała tę tajemnicę: wiedziała że przez Nią dopełnia się wielka sprawa zbawienia świata. I wreszcie, mogła doliczyć się godzin po których ujrzy Syna w chwale zmartwychwstania. Lecz w tej trzeciej Boleści straciła Jezusa, a nie mogła wiedzieć dlaczego, nie wiedziała gdzie się znajduje i nie była pewną że nie cierpi. Owszem, co do tego najsmutniejsze robić mogła przypuszczenia. Z dopuszczenia Bo-kiego, a nic innego jak Jej najwyższe uświątobliwienie mającego na celu, w tej trzeciej Boleści, była zanurzona w ciemnościach wewnętrznych, była jak Pan Jezus na krzyżu jakby opuszczona przez Boga. Nigdy też męki Jej serca nie doszły były do tego stopnia w jakim były wtedy, nigdy, bo nawet ani podczas wszy-tkich okropności Męki Pańskiej.

Postradanie Jezusa, zniknięcie Jego przed Przenajświętszą Matką, w każdym razie byłoby najsroższą dla Niej Boleścią, — a Boleścią której, my, przy naszem ograniczonem pojęciu, ani wyobrażenia zrobić sobie nie możemy. Lecz okolicznością odrębną, szczególną, towa-

rzyszącą temu trzydniowemu rozłączeniu się Jezusa z Maryą, a tę Jej Boleść tak strasznie potęgującą — były te wewnętrzne ciemności, w których jakby w otchłani wyjścia niemającej pogrążoną została Jej przenajświętsza dusza. Cała ta światłość niebieska, która dotąd umysł Jej zalewała, w którą opływała jak żaden z najbliższych tronu Najwyższego duchów błogosławionych, zamieniła się nagle jakby w noc najciemniejszą w jakiej kiedy umysł ludzki mógł być pogrążony. Zupełnie nie mogła zdać sobie sprawy z tego co Bóg z Nią robi, i wśród okoliczności w jakich się znalazła nie mogła wiedzieć co Sama ma robić. Stąd też to co się z Nią wtedy działo, było do niezniesienia, nietylko z porównania z przeszłością w której cieszyła się bezustannie obecnością przy Niej Jej Boga i Jej Dziecka — lecz ciemności wewnętrzne jakie Ją wtedy ogarnęły, już same przez się były męką najstraszliwszą. Przedtem ciągle wpatrując się w Jezusa, ciągle Go przy Sobie posiadając, nie zmiarkowała dostatecznie jak dalece na Nim się całkiem opierała; a oto najniespodziewaniej znikał On przed Nią! Przyszłości albo przewidzieć nie mogła, albo najsmutniejszą się Jej ona przedstawiała. Jeśli do przeszłości zwracała Swe myśli, wspomnienia cieszenia się niegdyś obecnością Jezusa, zwiększały Jej smutki z Jego stracenia; teraźniejszość zaś napełniała Ją bezustanną troską zalewając Jej serce goryczą niewymowną. Marya d'Agredo, na mocy objawień jakie miała o szczegółach tajemnicy trzeciej Boleści Przenajświętszej Panny, utrzymuje, że wtedy nawet Aniołom będącym ciągle przy Niej na Jej usługi, niewolno było oświecić Ją co do tajemniczego zniknięcia przed Nią Jezusa. Nie masz bowiem żadnej wątpliwości, że ciemności wewnętrzne któremi ogarniętą wtedy została Marya, były wprost dzie-

łem Boga, a więc takim rodzajem tego wewnętrznego strapienia, tylko że w najwyższym stopniu, jakie przebywają niektórzy Święci. Z tą jednakże ważną różnicą, że gdy na Świętych zsyłał je Pan Bóg, dla ich ostatecznego oczyszczenia, na Maryę dopuszczał je jedynie dla Jej tem większej zasługi i tem wyższego uświątobliwienia. Niepokalana bowiem Jej dusza, która nietylko najlżejszego grzechu ale nawet ani najmniejszej niedoskonałości nigdy nie popełniła, żadnego oczyszczenia potrzebować nie mogła. Gdy tedy nieskalaną, najczystszą i już przedtem świętości wyższej nad świętość wszystkich aniołów duszę Maryi w tej trzeciej Jej Boleści spotkały te wewnętrzne próby, któremi Pan Bóg do najwyższej doskonałości doprowadza największych Swoich Świętych, oczyszczając ich przez to ostatecznie, — miarkujmyż do jakiego stopnia świętości wynosiły podobnież wewnętrzne uciski Przenajświętszą Pannę, w której duszy nic oczyszczać nie potrzebując, nic innego nie robiły jak tylko w mierze której wyobrażenia mieć nie możemy, do jeszcze wyższej od tego w jakiej już była doprowadzały Ją doskonałości.

Lecz tu nastręcza się pewne zapytanie, które nie chcielibyśmy pozostawić bez odpowiedzi. Może komu przyjść na myśl, że gdy tedy Maryę, świętą nad wszystkimi Świętymi, przebycie tej trzeciej Jej Boleści podniosły do doskonałości jeszcze szczytniejszej — jakże się z nią zgadza, to że odnalazłszy Swoje Boskie Dziecię, jakby wybucha ze skargami i robi Jezusowi wymówkę, że Jej taką Boleść zadał. Bo wiemy z Ewangelii świętej że gdy Go odszukała w Świątyni, rzekła do Niego: *Synu! cóżeś Nam uczynił tak? Oto Ojciec Twój i Ja żałośni szukaliśmy Cię* *). A przecież Święci

*) Łuk. 2. 45.

umieli milczeć wśród najcięższych cierpień, i kto wie czy właśnie to znoszenie w milczeniu, bez objawienia co się cierpi, cięższych ciosów jakie nas spotykają, nie jest najpewniejszym dowodem że je znosimy z cierpliwością i poddaniem się woli Boga.

Tak jest w istocie: Święci cierpią i ani słowa skargi z ust nie wypuszczają, a to dlatego że łaska męstwa i wytrwałości w cierpieniach, łaska cierpliwości jaką zostają wtedy obdarzeni, jest zastosowaną do stopnia ich cierpienia. Dlatego ich odpowiadanie tej łasce przez znoszenie cierpienia w milczeniu, jest w nich doskonałością. Ale w takich razach bywa coś jeszcze wyższego, większego, szczytniejszego, bardziej wyjątkowego. Odezwanie się duszy do Boga, gdy nadzwyczaj cierpi, jest jej konieczną niezbędną, jedyną wtedy ucieczką; jest garnięciem się stworzenia zewsząd uciśnionego, do swego Stwórcy. W takich razach rozwodzenie się ze skargami przed ludźmi, jest co najmniej wielką niedoskonałością; lecz pokorna skarga przed Bogiem jest aktem czci Jego, i jest najwznioślejszą modlitwą. Z ksiąg Hioba widzimy, do jakiej śmiałości w skargach przed Nim rozwodzonych, do jakiej pozornie zbytniej z Nim poufałości, dozwala Pan Bóg dochodzić Swojemu nędznemu stworzeniu, byle to ono z wielką ku Niemu miłością czyniło. W takich bowiem razach, raczy On widzieć oddawanie mu czci należnej w słowach nietyle skargę wyrażających, jak raczej uznających pokornie Jego nieograniczoną potęgę nad Jego stworzeniem i przekonanie że w cierpieniach zwykłą miarę daleko przechodzących, w Nim tylko wsparcie i siłę do ich przeniesienia znaleść może znękana dusza. W nadzwyczajnem strapieniu, jedyną prawdziwą pociechą dla duszy, jest myśleć o Bogu, w Nim się za-

tapiać, A jakże wtedy nie przedstawić Mu pokornie wielkości doznanej boleści, nie żeby na nią utyskiwać, lecz żeby ją jaką jest w istocie wyrazić.

Prócz tego cierpienia Świętych tak wewnętrzne jak i zewnętrzne, jak i największe katusze Męczenników, nie dochodzą nigdy do tego coby oni przenieść nie mogli. Lecz przypuszczać nam trzeba, że inaczej się działo z cierpieniami Maryi w Jej trzeciej Boleści. Przewyższały one nietylko możliwość zachowania wśród nich milczenia, ale nawet upoważniały Ją do jego przerwania. Wyczerpywały one, że się tak wyrażę, całą w Niej możliwość cierpienia, chociaż w Niej możliwość takowa do najwyższego dochodziła stopnia. Zmuszały Ją, dawały Jej prawo do tego co było właściwem ich gwałtowności, to jest do szukania jedynego jaki wtedy pozostaje ratunku dla istoty stworzonej, w wołaniu o pomoc do Stwórcy.

Wszak w Panu Jezusie doskonałość i świętość były już w takim stopniu, w jakim w żadnem stworzeniu ani ziemskiem, ani niebieskiem być nigdy nie mogły. Milczenie też Jego w ciągu wszystkich zadawanych Mu cierpień w ciągu Jego Męki, objawia nam w sposób uderzający Jego niezrównaną doskonałość i świętość nad świętościami. Szczytem doskonałości, bezwątpienia, było to Jego milczenie wśród mąk najstraszniejszych. Lecz coś jeszcze szczytniejszego, coś jeszcze głębsze obudzające w nas uwielbienie było Jego wielkim głosem zawołanie na krzyżu: *Boże! Boże! czemuś mnie opuścił!* *). Wtedy-to bowiem Męka Jego do najwyższej doszła była potęgi, a także już miała się zakończyć. Wtedy więc zachodziła potrzeba, żeby

*) Mat. 26. 13.

wyrzeczeniem tej świętej i pokornej skargi, objawił nam i odkrył, do jakiego stopnia za nas wycierpiał.

Otóż, coś zupełnie podobnego zaszło z Maryą w Jej trzeciej Boleści. Z pomiędzy wszystkich cierpień jakich już była doznała od chwili proroctwa Symeonowego i wszystkich jakie Ją jeszcze czekały, cierpienia Jej w straceniu Jezusa doszły były do najwyższego szczytu. I kiedy po odszukaniu Boskiego Dziecięcia miały się skończyć, trzeba było, żeby ową Swą jakby skargą przed Jezusem: *„Synu, dlaczegoś nam uczynił tak *),* Boże mój! dlaczegoś Mnie opuścił" — objawiła nam całą potęgę Swojej Boleści. Zgubienie Jezusa było ukrzyżowaniem Serca Maryi; odezwanie się Jej do Jezusa kiedy Go odszukała, było Jej wołaniem na krzyżu, kiedy to Jej ukrzyżowanie miało się zakończyć. Stało się wtedy z Maryą to, co później stać się miało z Jezusem, kiedy Jego męka krzyżowa miała się zakończyć: *Przepaść, przepaść przyzywa, na głos wodospadów Twoich **).* Trzecia Boleść Maryi była uprzedniem echem konania Jezusa na krzyżu.

Nakoniec i z następujących powodów, Matka Przenajświętsza w ten sposób przemówiła do Pana Jezusa po Jego odszukaniu. Najprzód uczyniła to ze szczególnego natchnienia Ducha-Świętego, którego jak zawsze pełność w Sobie posiadała, tak tembardziej po tylko co przebyciu najcięższej z Jej Boleści, z której nadzwyczajnego wzrostu w łasce dostępując, i oświecenia też Ducha-Świętego otrzymała jeszcze obfitsze jak przedtem. Marya wtedy jeszcze dokładniej jak dotąd, odgadywała myśli Jezusa i wyczytała, że Jego serce pragnie takiego przez Matkę do Niego przemówienia.

*) Łuk. 2. 35. **) Psalm 48. 1.

Dusza Jej po przebytych cierpieniach tej trzeciej Boleści, jak to bywa z każdą duszą gdy cierpi jak należy — do jeszcze ściślejszego zjednoczenia, zlania się z Bogiem doszła była.

Wiadomo zaś, że dusza w wysokim stopniu zjednoczona z Bogiem, będąca w stanie *aktualnego* z Nim zjednoczenia, oddaje Mu cześć z uszanowaniem najgłębszem, na jakie tylko zdobyć się może, ale obok tego czuje, że Ją Bóg, w nieprzebranej dobroci Swojej, do niepojętej dla niej-że samej przypuszcza poufałości. Widzimy to w Świętych, a zwłaszcza w oddanych wyłącznie wyższej bogomyślności, *kontemplacyi*, lecz czemże jest ten rodzaj poufałości Świętych, chociażby do najwyższego zjednoczenia z Bogiem dopuszczonych, w porównaniu z tegoż rodzaju poufałością, do której przywodziła Maryę Jej świętość niezrównana. Wtedy bowiem Sam Pan Jezus upoważniał Matkę, ażeby się o Niego u Niegoż Samego upominała; chciał żeby wystąpiła wtedy publicznie z prawami Swego Boskiego macierzyństwa. A tak w tem przemówieniu Maryi do Jezusa, zawierało się i posłuszeństwo, pokorę Jej niemało kosztujące, i objaw Jej miłości Jezusa, taką Boleścią Ją napełniającej z powodu Jego zniknięcia, i Jej święta radość z Jego odszukania, i nakoniec głos Jej Boskiego macierzyństwa, tego przywileju najwyższego, za który w sercu najgłębszą cześć Mu oddawała, a którego wyrzec się, nie wolno Jej było.

Odrębną także cechą, czyli właściwością trzeciej Boleści Przenajświętszej Panny, było i to, że, była ta Boleść i dla Pana Jezusa wielkiem cierpieniem, a może i z Jego cierpień, cierpieniem najdotkliwszem.

W siedemnastym wieku, żyła w klasztorze Panien Wizytek w Turynie, zakonnica wielkiej świątobliwości i obdarzona łaską najściślejszego zjednoczenia duszy z Bogiem. Nazywała się ona Joanna Benigna Gojos. Miała szczególne nabożeństwo do Przenajświętszego człowieczeństwa Jezusowego, i główną cechą jej pobożności było to, że każdą swoją sprawę zaofiarowywała Ojcu przedwiecznemu, w zjednoczeniu jej ze sprawami Syna Bożego, dokonanemi gdy przebywał na ziemi. Miała też sobie objawionem, że podobneż nabożeństwo było szczególnem nabożeństwem Maryi i Józefa za ich życia, a przez które dostąpili byli łask niezmiernych.

Otóż świątobliwa ta zakonnica, rozpamiętywając po kolei różne tajemnice z trzydziesto trzechletniego życia Zbawicielowego, razu pewnego, z natchnienia Ducha-Świętego, pobudzoną się uczuła do jak najściślejszego zjednoczenia się z Jezusem, w Jego trzydniowem zniknięciu przed Przenajświętszą Matką. I trwała w tem przez czas już dość długi, kiedy dnia jednego, spodobało się Panu Jezusowi objawić jej niektóre szczegóły tyczące się tej tajemnicy. Powiedział jej, że z powodu trzeciej Boleści Maryi, więcej cierpiał aniżeli kiedykolwiek w życiu Swojem. Albowiem w ciężkiem strapieniu przenajdroższej Matki Swojej spowodowanem przez rozłączenie się z Nim, widział zawartą Boleść, która miała stanowić Jej męczeństwo na Kalwaryi. I przydał: że jak wtedy Marya byłaby umarła od doznawanych cierpień, tak i mąk trzeciej Swojej Boleści byłaby nie przeżyła, gdyby Ją cudem Swojej Wszechmocności przy życiu, w obydwóch tych razach, nie zachował. I że tak Marya jak i Józef, takich przez te trzy dni Jego zniknięcia przed Nimi doznali strapień, smutków i ucisków na sercu, że rzeczywiście

Ich Boleść przechodziła wszelkie pojęcie i wyobrażenie ludzkie i że nikt prócz Niego Samego, nie może jej ocenić. Zastanówmyż się nad tem pobożnie, a nic już do tego sami nie przydając.

Ale trzeba nam jeszcze i na następujący szczegół trzeciej Boleści naszej Matki niebieskiej zwrócić uwagę. Tem zaś jest, że cierpienie jakiego wtedy doznała, uzdolniło Ją do dokładniejszego ocenienia nieszczęścia dusz, będących w grzechu.

Przenajświętsza Panna miała stać się *Matką miłosierdzia* *) i *Ucieczką grzeszników* **). Miała ich miłować jak żadna matka nie miłuje najniewinniejsze, najświętsze swoje dzieci. Miała być Ona przytułkiem, więcej śmiem powiedzieć, warownią obronną dla grzeszników, otoczoną wałami tak niezmiernej Jej litości i miłości, że sama najwyższa wszechmocność, jakby z trudnością dosięgać tam będzie mogła ofiary, wymagane przez również najwyższą sprawiedliwość. Nie dość więc było tego, żeby Marya posiadała szczególną, wyjątkową zdolność ocenienia grzechu; żeby złość jego pojmowała jak żadna inna istota stworzona: trzeba było żeby wiedziała czego doznają ci, którzy podpadli nieszczęściu zgrzeszenia. Lecz jakże to mogło nastąpić? Cóż z Nią wspólnego mógł mieć grzech? Dla Niej grzech był tem co właśnie miało pozbawić życia Jej Syna. Grzech od chwili przepowiedni Symeonowej, zatruł Jej wszelkie radości macierzyńskiego serca; on jak Męki Jezusowej tak i Jej Boleści był jedynym sprawcą, ale zresztą do Niej żadnego nie miał prawa. Przywilej Jej Niepokalanego Poczęcia,

*) Antyf. Kościelne. **) Litanie Loret.

pomiędzy Nią a grzechem wyżłobił taką otchłań nieprzebytą, że całe piekło ani się kusić mogło, żeby Ją dosięgło. Jakimże sposobem będzie mogła poznać stan duszy grzesznika Ona, na której duszy nigdy nie miała postać ani najlżejsza skaza? Oto pozna to przez Swoją trzecią Boleść.

Bo co to jest grzech? Jest to postradanie Jezusa, którego przedtem się posiadało. Otóż, Marya, bez cienia najmniejszego grzechu, tego właśnie w trzeciej Swojej Boleści doznała. Niektórzy bowiem pobożni pisarze, a pomiędzy nimi i święty Alfons, Doktór Kościoła, utrzymują, że po zniknięciu Jezusa, nie mająca granic pokora Maryi sprawiła, że Ona przypuszczała, jakoby z własnej winy Go postradała. W tem też cała tej Boleści siła, gorycz i męka się zawierała. To przeczystej Jej duszy objawiło, jakby powiedzieć dotykalnie, jakie uczucia napełniają duszę grzesznika: dało jej zaznać straszne osamotnienie od Boga i tę niewymowną gorycz zalewającą wtedy serce. Odtąd też jeśli Marya z jednej strony oceniać będzie złość grzechu Swoją Boleścią przebytą na Kalwaryi, z drugiej litować się będzie nad grzesznikiem siłą tej Swojej trzeciej Boleści; a zauważyliśmy, że była ona ze wszystkich Jej Boleści największą. Miarkujmyż z tego, jaką ta trzecia Boleść wyrobiła w Jej niepokalanem sercu litość nad grzesznikami!

Nakoniec był jeszcze jeden szczegół w trzeciej Boleści Przenajświętszej Panny, stanowiący wielką jej odrębność. Boleść ta stała się dla Maryi czemś, co trudno było przypuszczać. Oto wyrodziła ona w Jej sercu nową miłość ku Jezusowi, nowy rodzaj, nowy stopień tego najświętszego uczucia: bo miłość tego

co się postradało, gorzko opłakało, a co się w końcu odszukało i odzyskało. A jest-to czemś przedziwnie potęgującem przywiązanie, nadającem miłości jakby nową siłę, której bez tego nigdyby nie posiadała. Jest-to prześlicznym kwiatem rozwijającym się niekiedy na ciernistym krzaku boleści ludzkich, a do najwyższego rozwoju doprowadzającym uczucie przywiązania.

Patrz na tę matkę nachyloną nad łożem umierającego jej dziecka. Serce jej ledwie że nie rozpęka od boleści je rozdzierającej. Wszelako tak poddana woli Boga, że tylko błaga Go o jak najkorniejsze poddanie się ciosowi, który ją dotyka. Pomimo tego, cierpi niezmiernie. Ukochane i jedyne jej dziecię dogorywa, jak kwiatek więdniejący w jej oczach. Lekarze wręcz oświadczyli, że nie ma najmniejszej nadziei. Ale po matce czyż można wymagać, żeby nie miała nadziei? ona tego nie pojmuje. Sama ledwie że żyje, ale nadziei o życiu dziecka nie może się wyrzec. Zrobiła Bogu ofiarę ze swojej boleści, ale obok tego nadziei nie traci; wszyscy ją stracili, ona się jej pozbyć nie ma siły. Nadzieja to jedynie sprawia, że sama dotąd żyje. Lecz oto na twarzyczce chorego dziecięcia objawia się zmiana, zdaje się, że już w niem życie uchodzi. Matka ledwie że nie chciałaby cofnąć ofiary jaką już złożyła Bogu, wszakże tego nie czyni. Wie że jak matką dziecięcia, tak córką jest Boga, Ojca najlepszego. Lecz widzi jak ta droga dziecina oczka przymyka, główkę nagle w tył rzuca i lekkim jej ciężarem nieco głębiej wyżłabia podgłówek. Czy to już śmierć? O! tak jest, śmierć dla serca matki, bo nadzieja i ją już odstąpiła; wszystko znika przed nią i tylko ręka Najwyższego zatrzymuje ją

jeszcze przy życiu. Lecz dla dziecięcia to nie śmierć, to zbawczy sen pomyślnie przesilającej się choroby. I w kilka dni potem, uszczęśliwiona Matka, trzyma na kolanach toż ukochane dziecię już do zdrowia wracające.

A teraz pytam: czy miłuje je ona tylko tak jak miłowała przed jego chorobą? O! zaiste, kocha je ona jeszcze i nową miłością. Teraz dwa razy ona mu matką i dwa razy ono jej dzieckiem, bo Ojciec niebieski dwa razy niem ją obdarzył: raz gdy je wydała na świat; drugi, gdy jakby je z tamtego świata na nowo jej przywrócił.

Lecz czemże jest-to wszystko, czemże jest takie jakby zdwojenie się miłości macierzyńskiej w sercu matki ludzkiej, chociażby z matek najprzywiązańszej, w porównaniu z Matką Bożą? To też nie możemy w żaden sposób pojąć tej nowej miłości, jaka rozżywiła się w sercu Maryi, gdy Ojciec przedwieczny po przebyciu Jej trzeciej Boleści, jakby powtórnie obdarzył Ją swoim Boskim Synem? W porównaniu któregośmy tu użyli, zrobiliśmy sobie z uczucia najtkliwszego, najświętszego, najsilniejszego, bo uczucia macierzyńskiego, jakby drabinkę, żeby po niej dojść do pojęcia zdwojonego tegoż uczucia w sercu Matki Przenajświętszej. Lecz pomimo tego, do szczytu jego aniśmy się zbliżyli. Bo gdy rzecz idzie o Maryę, żadne porównania ludzkie, chociażby najwznioślejsze, wystarczającemi nie są. O! zaprawdę, ciężkie, niewymownie ciężkie krzyże przedźwigać musiała Przenajświętsza Matka w tej Swojej trzeciej Boleści, owszem był-to ze wszystkich Jej krzyżów podobno najokrutniejszy. Ale ileż pod nim nabyła zasług! ile koron przygotowała Sobie w niebie! a z tych

najświetniejsza i dla Niej najdroższa, była jakby nowa miłość Jezusa, a dawną jakże podnosząca do jeszcze wyższego stopnia: *Rozłożyła wstępowanie w sercu Swojem, w padole płaczu, i pójdzie z mocy do mocy, oglądać Boga nad Boga w Syonie* *).

Takiemi więc to były szczegóły, tajemnicy trzydniowego zniknięcia Jezusa. Oby przenajdroższa niebieska Matka nasza, raczyła miłościwie wybaczyć nam, żeśmy się odważyli badać głębie tej Jej Boleści, którą Sam Pan, jak to wyżej przytoczyliśmy, mówiąc w objawieniu pewnej świątobliwej zakonnicy, nazwał niezbadaną. Ależ Sama Ona oświadczyła najłaskawiej, że: *kto Ją rozświeca, posiądzie żywot wieczny* **). Niechże nędzne w tej mierze usiłowanie nasze, raczy nie poczytać nam za zbytnią zuchwałość.

Lecz przejść już nam wypada od szczegółów tej tajemnicy, do rozważania wewnętrznego w ciągu niej usposobienia Maryi.

§. III. Wewnętrzne usposobienie Przenajświętszej Matki w Jej trzeciej Boleści.

Owoż, najważniejszą okolicznością, która pod tym względem nadawała wyjątkową cechę trzeciej Boleści Przenajświętszej Panny i czyniła Ją tem trudniejszą do przeniesienia — było to, że w niej pozbawioną była tej jedynej pociechy, jakiej w podobnych razach doznać może dusza, dotknięta nieszczęściem postradania najdroższego dla niej przedmiotu.

*) Psalm 83. 6. 7. 8. **) Ekli. 24. 31.

Najwyższa doskonałość, najwyższa świątobliwość, zawisła głównie na tem, żebyśmy mieli serce oderwane od wszystkiego co nie jest Bogiem, od wszystkiego co jest stworzonem, a tylko Boga z całej siły miłowali, Jego tylko pragnęli, Jego tylko szukali, wszystko inne miłując tylko w Nim i dla Niego. Stąd gdy dusza znajdująca się w takim już stanie doskonałości i w tak ścisłem zjednoczeniu z Bogiem, dotknięta bywa jakiemkolwiek nieszczęściem, w Bogu szuka pociechy, w Bogu siły do przeniesienia swojego strapienia, i w Bogu i jedno i drugie znajduje niechybnie.

Weźmijmy i tu dla lepszego przedstawienia sobie czegoś podobnego, przykład z uczucia macierzyńskiego. Jest to bowiem jednem z uczuć najświętszych i najsilniejszych i z ludzkich uczuć, uczucie najczystsze, bo najbezinteresowniejsze, najmniej mające w sobie przymieszki miłości własnej. I wyobraźmy sobie ciężką boleść, niewymowny żal rozdzierający serce, smutek, jakich doznaje każda przywiązana matka, po stracie ukochanego dziecka. Chociażby to była dusza nietylko pełna wiary, ale i wielkiej pobożności, a nawet i bardzo wysokiej świątobliwości — pomimo jej najdoskonalszego poddania się wyrokom w tej mierze Boga — cierpi ona niewymownie. Wszelkie zaś możliwe pociechy ludzkie, luboby jej na nich nie zbywało, nietylkoby dla Jej zbolałego serca nie przynosiły ulgi, aleby tylko boleść Jej rozdrażniały, zwiększały i tem trudniejszą do przeniesienia czyniły. A jeśliby ją na chwilę przygłuszyły, co w wielkiem strapieniu jest prawie niepodobnem — posłużyłoby to na to tylko, żeby, gdy się ona rozżywi, jak rozżywić się musi za lada nieuniknioną sposobnością uczynić ją tem do-

tkliwszą i jakby nowym ciosem przeszywającym serce. To też dusza podobnem nieszczęściem dotknięta, a w ściślejszem zjednoczeniu z Bogiem żyjąca, żadnych pociech ludzkich nie szuka; unika ich nawet; od Boga ich tylko oczekuje, i w końcu w Bogu je znajduje. Bo komuż kiedy Pan Bóg nie wystarczył za wszystko, byle w Nim wszystkiego szukać, byle Jego nad wszystko co najgodziwiej najdroższem być może i powinno, przekładać. Nieszczęśliwa więc matka, o której mówimy, chociażby najsroższej z utraty kochanego dziecka doznawała boleści, jedyną i niepłonną znajduje pociechę i niezbędną do przeniesienia swego ciosu siłę w Bogu, do Niego całem sercem i całą duszą się garnąc. Pragnąc przytem, o ile to jest w jej możności, kornie i najuleglej poddawać się woli najwyższej nieszczęście to na nią dopuszczającej, boleść swoją starą o ile i to wtedy dla niej możliwem, przyskramiać, przygłuszać. Ten zaś rodzaj walki spokojnej ale mężnej, pokornej ale wytrwałej, jest już sam przez się wielką ulgą dla zbolałego serca, bo tak bardzo potrzebne mu w takich razach, jakby mimowoli, nastręcza roztargnienie, przez zajęcie się nie tyle sobą samym, jak raczej nad sobą zapanowaniem.

Słowem, jedyną możliwą a rzeczywistą dla serca najdotkliwszą opłakującego stratę pociechą, jest odrywanie się jego od umiłowanego a utraconego przedmiotu, a zatapianie się w Bogu.

Lecz czyż coś podobnego w trzeciej Boleści Maryi było możliwem? Czyż ten jedyny w takich razach rodzaj ulgi i pociechy był dla Niej dostępnym? Wprawdzie była Ona wtedy Matką dotkniętą utratą dziecięcia, jak nią bywa każda matka podobnego nieszczęścia doznająca. Tylko że będąc z matek Matką ze wszyst-

kich matek jakie kiedy były i będą najlepszą i najprzywiązańszą, a w straconem Dziecięciu opłakującą stratę Dziecięcia, jakiego nie było i nie będzie na ziemi — musiała doznać z tego Boleści, przed którą wszystkie boleści tego rodzaju innych matek są jakby niczem. Ale z drugiej strony zdawałoby się, że Marya będąc z dusz świętych Najświętszą, mogła właśnie dla tego łatwiej odrywać Swoje serce od najdroższego Dziecięcia które straciła, a całkiem zatapiać się w Bogu i w jak najdoskonalszem poddawaniu się Jego dopuszczeniu, szukać ulgi i tej jedynej możliwej wtedy pociechy. Mogła zdawałoby się łatwiej jak każda inna w podobnem położeniu znajdująca się matka, walczyć ze swoją tęsknotą, przezwyciężać ją i trzymać we właściwych granicach.

Tymczasem tak wcale nie było, i to właśnie stanowi całe ostrze tego trzeciego Miecza wtłoczonego w niepokalane serce Matki Przenajświętszej. Maryi, w Jej trzeciej Boleści nie wolno było z nią walczyć. Co więcej: nietylko nie wolno Jej było za straconem Dziecięciem nie tęsknić, ale nawet nie wolno było kłaść tej tęsknocie i doznawanej od niej Boleści granic.

Każda inna matka dla tego walczyć jest obowiązana z cierpieniem doznawanem po stracie najdroższego dziecka, żeby broń Boże, nie kładąc temu granic, nie dowodziła, że nad Boga i Jego wolę przekłada swe dziecię: że to dziecię więcej jak Boga, a więc nie w Bogu i nie dla Boga miłuje. Lecz w trzeciej Boleści Przenajświętszej Panny zachodziło to co w żadnej boleści innej matki być nie mogło. Marya nie mogła rozłączać w Jezusie tego, co Pan Bóg największym cudem Swojej potęgi w Nim połączył, to jest: Bóstwo z człowieczeństwem. Ona tracąc swe Dziecię,

traciła w Niem i Swego Boga. A czyż za Bogiem nie tęsknić mogła? czyż mogła uczuciu z tego rodzaju tęsknoty kłaść granice? Nie tęsknić za straconym Bogiem, to tylko dwom rodzajom dusz właściwe: duszom ostatecznie w grzechu zatwardziałym, i duszom za grzechy nieodpokutowane za życia, do piekła na wieki skazanym. Pomyśleć więc tylko o tem, żeby Marya, chociaż pewnie bez cienia najmniejszej z Jej strony winy straciwszy Jezusa, mogła za Nim nie tęsknić, mogła tej tęsknocie kłaść jakie granice, byłoby coś okropnego. Miarkujmyż z tego, jaką być musiała ta Jej tęsknota, jaka stąd Jej Boleść! Była to Matka z matek najprzywiązańsza; tracąca Dziecię z dzieci najgodniejsze przywiązania. Obok zaś tego pozbawioną była tej jedynej ulgi i pociechy, jakiej doznaje w podobnem nieszczęściu każda inna matka, odrywając swe serce od dziecka, a zatapiająca je w Bogu. O! zaiste, jeśli w każdej Swej Boleści Przenajświętsza Matka może powtórzyć te słowa Proroka: *Przyjdźcie a obaczcie czy jest Boleść jako Boleść Moja* *), to w tej trzeciej najbardziej ma do tego prawo. Lecz gdy mówiąc *przyjdźcie i obaczcie,* pozwala nam przypatrywać się, ze łzami w sercu, tej Swojej Boleści, nie przypuszczajmyż, żebyśmy i wieki całe w Nią się wpatrując, pojąć Ją, ocenić i zmierzyć kiedy byli w możności. *Komu Cię przyrównam, Córko Jerozolimska, jak Cię pocieszę Panno córko Syon? bo wielką jest jako morze Boleść Twoja* **), woła Prorok Pański. Ale i najgłębsze morze ma dno swoje, do którego człowiek dobrać się może; tę zaś Boleść przenajdroższej niebieskiej naszej Matki,

---

*) Treny 1. 12. **) Tamże 2. 13.

żaden rozum nietylko ludzki, ale i anielski nigdy nie zgłębi.

Główną także cechą wewnętrznego usposobienia Maryi w Jej trzeciej Boleści, była Jej niezrównana pokora. Jakoż, każda chwila trzydniowego zniknięcia przed Nią Jezusa, spowodowywała w Jej sercu akty pokory najprzedziwniejszej. Kiedy przenajświętszą Jej duszę ogarnęły ciemności dotąd Jej nieznane, o których nawet pojęcia nie miała, zdawaćby się mogło, iż przyprawi Ją to o wielkie zaniepokojenie. A jednakże pomimo tego, ani na chwilę Jej wewnętrzny pokój zachwianym nie został, co było właśnie skutkiem Jej najgłębszej jaka tylko być może pokory. Obawa czy Jezus nie odstąpił Jej z powodu Jej niegodności, jaką w Sobie przypuszczała, z powodu jakiej z Jej strony winy, był-to także owoc tego Jej poniżania się we własnych oczach, nie mającego prawie granic, a właśnie dlatego do najściślejszego zjednoczenia z Bogiem Jej duszę doprowadzającego. Pokora też to Maryi posuwająca się już wtedy do najwyższego jaki tylko mógł być stopnia, bo w Niej najświętszej z najświętszych przypuszczająca jakowąś winę — usposobiła Ją do doskonałego poddania się woli Boga w tej trzeciej a najcięższej Jej Boleści. I taka tylko pokora mogła to sprawić. Nie masz bowiem żadnego wewnętrznego usposobienia, nie masz żadnego daru niebieskiego, żadnej łaski uzdalniającej duszę do mężnego przeniesienia nieszczęścia, którąby porównać można z pokorą. Pokora niczemu w takich razach nie dziwi się; nie dopuszcza najmniejszego zamieszania na umyśle, a zwykle spowodowanego wielkiem, a zwłaszcza niespodziewanem

nieszczęściem. Obdarza ona rozwagą i umiarkowaniem, najpotrzebniejszemi w strapieniu, a właśnie wtedy najtrudniejszemi. Doskonałe zaparcie siebie samego, które Zbawiciel polecił jako podstawę wszelkiej doskonałości, zapomnienie o sobie, jest rzeczą najpotrzebniejszą w nieszczęściu, a tymczasem, wtedy właśnie najrzadszą. Otóż pokora-to i pokora tylko, do tego przywodzi. Prócz tego, pokora wzmacnia wiarę, a kiedyż o nią bardziej jak wtedy, gdy bardzo cierpimy, chodzić nam powinno? Pokora podnosi umysł i serce do Boga i to prawie bez żadnego wysilenia, bo o ile nie zaprzątamy się sobą, o tyle łatwiej i jakby samo przez się zwracamy się do Boga. Pokora-to ułatwia nam tę wielką sztukę panowania nad sobą, a przez to ułatwia nam rozpoznawania pokus pod najrozmaitszemi pozorami uderzającemi na nas w czasach strapienia, i usiłującemi odwieść nas od Boga, przez szukanie pociechy u ludzi, lub w jakich ludzkich do tego środkach. Pokora udziela duszy światła, nawet wśród największych wewnętrznych ciemności. Jest ona wtedy tem, czem wśród nocy księżyc w pełni będący, a który chociaż mgłą przysłoniony, bądź co bądź rzuca swe światło. Jeśli nie ma go wtedy dostatecznie żeby iść śmiało i wyraźnie dopatrywać drogę, jest go jednakże dzięki pokorze przynajmniej tyle ile go potrzeba, żeby uchronić się od upadku i omijać miejsca niebezpieczne.

I takie to są owoce tej cnoty nad cnotami, w każdej duszy nią przyozdobionej, a na cięższe jakie próby, z widoków szczególnego na nią miłosierdzia Boskiego, wystawionej. Jakież to więc musiały być jej skutki w Maryi, która była uosobieniem po-

kory, której pokora była aż taką, że do dziewiczego Jej łona ściągnęła z nieba Syna Bożego, jak to Sama powiedziała: *Wejrzał na POKORĘ Służebnicy Swojej, i wielkie rzeczy uczynił mi Ten, który mocen jest* *). Skutkiem też to niezrównannej pokory, Marya przeniosła, z niezachwianym wewnętrznym pokojem, tę trzecią Swoją Boleść nad boleściami. Jak przezroczyste jezioro osłonione zewsząd wysokiemi górami, nie dopuszczającemi na nie najlżejszego wietrzyku, roztacza się na zielonej dolinie ze zwierciadlaną powierzchnią żadnym nigdy zmarszczkiem niezamąconą, — tak wola Maryi spoczywała na łonie Boga: nic ją nigdy nie zamąciło. Ani najlżejsze poruszenia niecierpliwości, ani chociażby mimowolne podniety miłości własnej, ani chociażby jak mgnienie oka chwilowe zwroty na Siebie Samą, nie porysowały nigdy srebrzystego zwierciadła Jej spokojnego poddawania się woli Bożej. Lecz chociaż przez całe sześćdziesiąt trzy lat błogosławionego życia Maryi, cnota pokory cuda łask Boskich w Jej duszy dokonywała, namby się zdawało, że żaden z aktów tej w Niej cnoty, porównać się nie może z Jej aktami pokory wykonywanymi w ciągu trzech dni zniknięcia przez Nią Jezusa. A tak jak zgubienie Syna było dla Niej, z pomiędzy wszystkich Jej Boleści najcięższe, tak stało się i najobszerniejszem polem zasług, na którem niewypowiedzianego wzrostu w łasce dostąpiła. I tu więc powtórzyć nam przychodzi, że jak ciężkość Jej cierpień w trzeciej Boleści, nietylko wyrazić ale ani w przybliżeniu jakowem pojąć nie możemy, tak i stopnia świętości, do którego Ją ta

*) Łuk. 1. 48.

Boleść wyniosła, wyobraźnią nawet nigdy nie dosięgniemy.

Nakoniec Marya d'Agredo, której objawienia wielkiej zażywają powagi w Kościele, miała sobie objawionem, że słowa Maryi wyrzeczone do Jezusa po Jego odszukaniu, a przez które publicznie występowała Ona z powagą Matki, jakże niezmiernie kosztowały Jej pokorę. że zdobyła się była na nie, jedynie dlatego, że wiedziała iż wolą Boską było żeby wtedy w ten sposób uwyraźniła Swoje prawa macierzyńskie nad Jezusem; ale że to zadało Jej wielkie umartwienie. I przydają też objawienia tej świątobliwej zakonnicy, że skoro Przenajświętsza Rodzina wyszła z Świątyni, a Marya była pewna że nikt na Nich nie patrzy, upadła do nóg Syna, oddając Mu cześć jako drugiej Osobie Trójcy Przenajświętszej, żeby przez to jakby wynagrodzić to sobie, że przed chwilą, stosownie do woli Jego, publicznie wystąpić musiała ze Swojemi przywilejami Matki.

§. IV. Czego nas uczy Przenajświętsza Matka w Swojej trzeciej Boleści.

Chociaż ta trzecia Boleść Matki Bożej, zatrzymała uwagę naszą nad najgłębszemi tajemnicami Jej Przenajświętszej duszy, i objawia nam najszczytniejsze działania w Niej łaski, wynoszącej Ją po nad wszystkie nietylko najświętsze dusze ludzkie ale i nad najwyższe duchy anielskie to jednakże, obok tego, tak pełną jest zbawiennych i potrzebnych nam nauk, że pomiędzy niemi trudny jest wybór, a wszystkie wy-

szczególnić byłoby niepodobieństwem. Nie możemy jednakże pominąć najważniejszych.

Najprzód tedy ta tajemnica trzeciej Boleści Przenajświętszej Panny uczy nas, że strata Jezusa, chociażby na najkrótszy przeciąg czasu, jest ze wszystkich spotkać nas mogących nieszczęść największem i najrzeczywistszem nieszczęściem. Strata to bowiem Jezusa, a strata takowa bez najmniejszego cienia z Jej strony winy, była dla Maryi największem jakie kiedy doznała cierpieniem, była w Jej trzeciej Boleści taką boleścią, że tylko cudem wszechmocności Boskiej zachowaną została przy życiu, gdyż inaczej umrzećby była musiała od tego. Niezmierność więc tej Boleści, a widzieliśmy do jak przechodzących wszelkie nasze pojęcie rozmiarów ona dochodziła, jest skalą, według której oceniać powinniśmy wielkość nieszczęścia duszy tracącej Jezusa, a nie tak jak Marya najniewinniej, lecz jedynie z rozmyślnej, dobrowolnej własnej winy. A tymczasem, jakaż to ogromna liczba ludzi, inaczej zapatruje się na to! Jak wielu widzimy na pozór najszczęśliwszych, opływających w uciechy tego świata i za niemi namiętnie goniących, a którzy postradali Jezusa; którzy zmusili go wyjść z ich duszy, a którzy, pomimo tego, nie wiedzą, albo raczej nie chcą wiedzieć, jaką stratę ponieśli, jakiemu strasznemu podpadli nieszczęściu. Inni znowu, a i takich liczba wielka, chociaż dobrze wiedzą że stracili Jezusa, obojętni są na to; nie odszukają Go wcale, i odmętem światowego życia, jakby umyślnie, zagłuszają w sobie głos sumienia pobudzający ich do tego. I to jest najopłakańszym stanem duszy. Bo chociaż zdawałoby się, że nie masz większego i prawdziwszego nieszczęścia nad postradanie Jezusa, to w istocie jeszcze jest rzeczą okropniej-

szą, nie oceniać tej straty nad stratami, nie czuć tego nieszczęścia nad nieszczęściami.

Do postradania zaś Jezusa i do tak strasznej obojętności na to, najwięcej dusz przywodzi świat, który dlatego właśnie, że sam nie posiada Jezusa, że Go nigdy nie posiadał i nigdy posiadać nie będzie, bo o nim Sam Pan Jezus powiedział że: *on Go nie zna* *) jest tak dla nas niebezpiecznym i tak godnym najwyższej nienawiści. Świat bowiem, tak dalece sam nie posiada i posiadać nie może Jezusa, i o postradanie Go najłatwiej przywodzi dusze z nim się stykające — że Pan Jezus przewidując iż on Go nigdy nie przyjmie, modląc się za wszystkich, co do świata uczynił straszny i pamiętny wyjątek, kiedy wyraźnie powiedział: *Nie za światem proszę* **). Chciał snać w sposób tak uroczysty i pamiętny, ostrzedz nas czem świat jest i będzie zawsze dla nas, jakiego w nim nieprzebłaganego wroga mamy, jak się go strzedz, jak od niego stronić powinniśmy.

Samo więc już zamiłowanie świata jest postradaniem Jezusa, gdyż Jezus nie może przebywać w duszy miłującej Jego wroga, który Mu najwięcej dusz, krwią Jego odkupionych, wydziera i na wieki gubi. Serce się też kraje, gdy widzimy jak wielu zwolenników ma świat, a wiemy że on jest obcym Jezusowi tak jak prócz piekła nic mu bardziej obcem nie jest. Zapatrując się na świat pod tym względem, wygląda on jak owe wielkie obszary ziemi nieurodzajnej pokryte bagniskami, na których wylęgają się tylko gady i najobrzydliwsze płazy. Jest to kraina, której żaden promień niebieskiego słońca nie przyświeca; posępna

*) Jan 17. 25. **) Jan 16. 18.

w swoje dnie najpogodniejsze, a okazująca się tem ohydniejszą, im właściwiej, im ściślej według zasad chrześcijańskich na nią się zapatrujemy. Takim zaś jest świat, dlatego że Jezusa nie posiada, a stąd i od swoich zwolenników wyraźnie lub mniej otwarcie wymaga żeby się go wyparli. Jezus i świat, w żaden sposób pogodzić się ze sobą nie mogą, tego nas uczy najwyraźniej sama Ewangelia. A czyż już to samo jeśli zmuszeni jesteśmy mieć ze światem stosunki, nie powinno i przerażać nas i przekonać, że koniecznem jest dla nas mieć się na wielkiej baczności. Trzeba nam bowiem wiedzieć, że granica pomiędzy stosunkiem ze światem, którego uniknąć osobom w nim żyjącym nie podobna, a zlaniem się z nim na dobre, — jest niezmiernie trudna do zakreślenia. Łatwiej to jak się nam zdaje, przekracza się ona, i ani się spostrzegamy jak pragnąc mieć tylko te stosunki ze światem, od jakich z położenia naszego uchylać się nie możemy, powoli i nieznacznie coraz bardziej zasadami się jego przejmujemy.

Prawym chrześcijaninem, to jest prawdziwym uczniem Chrystusa jest ten, kto na Niego zapatruje się ciągle jak na swego najwyższego Mistrza, a więc w którego nietylko jako w Boga wierzy, lecz którego i w Jego człowieczeństwie przez Niego przyjętem, wedle swojej możności we wszystkiem stara się naśladować. A pytam: czyż z naśladowaniem Pana Jezusa da się pogodzić to co główną cechę życia światowego stanowi, i to nawet w jego jeszcze nie najbardziej ujemnej stronie. Czy oddając się wesołym rozrywkom, co najmniej czas dla każdego drogi marnującym można sobie powiedzieć, że się naśladuje Jezusa? Czy wyprawiając wystawne uczty lub w nich z upodoba-

niem uczestnicząc, naśladuje się Jezusa? Czy przesadne przestrzeganie tego co nazywają *modą;* czy chęć odznaczania się we wszystkiem; czy te usiłowania zajmowania bądź co bądź jakiegoś wyższego stanowiska; czy owe rozmowy próżne albo i płoche, a jakże często nie oszczędzające bliźniego, albo najdelikatniejszą z cnót, cnotę czystości jużto obrażające, już narażające; czy to ukrywanie swoich zasad ściśle katolickich w stosunku z ludźmi ani tych zasad ani na prawdę żadnych nie mającemi, żeby sobie nie robić nieprzyjaciół i nie obrazić grzeczności światowej małpującej miłość chrześcijańską, a w takich razach w istocie ją obrażającą, — czy to wszystko jest naśladowaniem Jezusa? Słowem, czy wszystkie podobne główne cechy życia światowego, mogą się zgodzić z obowiązkiem każdego chrześcijanina naśladowania swego Boskiego Mistrza? Czy nie są najprzeciwniejsze Jego duchowi, a który to duch ożywiać powinien każdego chrześcijanina nie z imienia tylko należącego do Kościoła? I niestety! ileż to tego rodzaju odstępstw od ducha Jezusowego zawiera świat w sobie, a za nic złego to sobie poczytując. Przebranie miary w używaniu rozrywek jest złem; zbytek i wyszukane wygody, dogadzanie we wszystkiem zmysłowości jest złem; nie mieć w każdej sprawie i w każdej chwili na pierwszym względzie Boga jest złem; zaprzątywać umysł błahostkami doczesnemi jest złem; wyradzające się z tego samolubstwo, szukające osobistych tylko korzyści i zadowoleń miłości własnej jest złem. Ale przynajmniej jest to zło jawne, nie podszywające się pod pokrywkę czegoś godziwego, albo nawet pozornie chwalebnego. Gdy się czegoś podobnego dopuszczamy, byleśmy nie zatarli w sobie wyobrażeń chrześcijańskich, wiemy

co czynimy: czujemy, że w mniejszym lub większym stopniu tracimy Jezusa, zmuszamy Go do skrycia się przed nami, a co najmniej zapominamy o Nim, chociaż może jeszcze niezupełnie odłączyliśmy się od Niego. Ale co jest największem niebezpieczeństwem grożącem w świecie nawet osobom pobożnym, zmuszonym żyć wśród tej nieszczęsnej Babylonii, to chęć przypodobania się wszystkim, a niebezpieczeństwem tem większem, że ukrywającem się pod przybraną szatą miłości chrześcijańskiej. A tymczasem, już sam takowy zamiar zamyka w sobie rozbrat z Jezusem. W istocie bowiem, komuż to zamierzamy się przypodobać? Światu, który jest otwartym wrogiem Jezusa? Jakim osobom pragniemy się podobać! Tym które najzupełniej za nic sobie mają przypodobanie się Bogu, i w których Jezus upodobania mieć nie może. W czem usiłujemy podobać się? W płochych zajęciach, w lekkomyślnych rozmowach, w doczesnych zabiegach niemających najmniejszego związku z Bogiem, nie ożywioną żadną wyższą pobudką, żadną religijną intencyą, którą uświęcone być winny wszelkie sprawy nasze? Kiedy ulegamy temu rodzajowi chęci; w skutek jakiego to wtedy wewnętrznego usposobienia naszego? Oto gdy najmniej zaprzątnieni jesteśmy tem, przez co moglibyśmy przypodobać się Jezusowi: gdy zaniedbujemy się w modlitwie, w ćwiczeniach pobożnych, w uczęszczaniu do Sakramentów świętych w rozżywianiu w sobie ducha skruchy i skupienia; to jest gdy zaniechaliśmy tego wszystkiego co dla każdej duszy jest potrzebnem zawsze, a bardziej jak kiedy niezbędnem, gdy się jest zmuszonym żyć wśród świata. I wreszcie, gdzieżto usiłujemy się przypodobać światu? W miejscach, w zebraniach, w towarzystwach, w rozrywkach, wśród któ-

rych Pan Bóg znika jakby zupełnie z oczów i pamięci naszej; gdzie wszystko nawskróś przesiąknięte jest duchem świata, będącym dla duszy tem, czem są zbyt silne woniejące kwiaty, przyprawiające nieostrożnych o odurzenie, o omdlenie, a czasami i o śmierć nawet.

Tak jest bezwątpienia: świat skoro ulegamy pragnieniu przypodobania się mu, posiada w sobie własności odurzające, usypiające wszystkie wznioślejsze władze duszy, zaślepiające nasz wzrok wewnętrzny na wszystko co do Boga się odnosi. Stąd też często, a tak iż prawie tego nie czujemy, odwraca nas od Boga i w końcu odłącza od Niego zupełnie.

Lecz jeśli tym sposobem przyszło do tego, że, na nasze nieszczęście, utraciliśmy Jezusa, cóż nam czynić wypada? To czego właśnie uczy nas trzecia Boleść Przenajświętszej Panny, kiedy Ona straciła Go była bez najmniejszej ze Swojej strony winy. Strata takowa powinna przyprawić nas o największą boleść, jak było to najcięższą z Boleści Maryi; i powinniśmy tak jak Ona to uczyniła, odszukiwać tego, któregośmy stracili i nie ustawać aż Go odnajdziemy. Powinniśmy wszystkiego innego zaniechać, o nic innego się nie troszczyć. Wszystko bowiem inne, chociażby się nam wydawało najważniejszem i najpilniejszem, powinno ustąpić przed takowem jak tylko być może najusilniejszem staraniem. Jednakże obok tego, należy to robić nie z gorączkowym pośpiechem, z jakim zabierają się ludzie światowi do spraw doczesnych więcej ich obchodzących, lecz z wewnętrznem skupieniem, zabezpieczającem wewnętrzny bądź co bądź spokój i rozwagę, wtedy szczególnie potrzebne, Powinniśmy, tak jak Marya, odszukiwać Je-

zusa z największą usilnością, ale bez cienia rozpaczy, owszem z nadzieją że byleśmy Go szczerze szukali, da się nam On odnaleść. Powinniśmy przytem szukać Go tam gdzie Go szukała i znalazła Matka Przenajświętsza: to jest w Świątyni do której udawała się na modlitwę, dla wyproszenia u Boga szczęścia odszukania Jezusa. Powinniśmy więc modlić się i gorąco się modlić o łaskę doskonałej skruchy i szczerego nawrócenia się, żeby coprędzej przez godne przystąpienie do Sakramentów świętych, odzyskać w duszy utraconego Boga. Straciwszy Jezusa, ściągnąwszy na siebie to największe jakie może spotkać nas na ziemi nieszczęście, nikt Go nie odszuka inaczej jak przez środki wskazane do tego przez Kościół, którego obrazem, zapowiednim, *figurą* była świątynia Jerozolimska, w której Go Marya szukała i odnalazła.

Wszakże wydarza się, że tracimy Jezusa nie zupełnie, a przynajmniej nie wyraźnie, z naszej winy. A wtedy strata takowa podobniejsza jest nieco do stracenia Jezusa przez Maryę, bo nietyle jest karą, jak raczej polem wielkiej zasługi i ostateczną próbą przez którą Pan Bóg widzi potrzebę przeprowadzać niektóre z dusz najwybrańszych, uzdalniając je przez to do jeszcze ściślejszego z Nim zjednoczenia. W takich razach nie postradało się Jezusa, nie zmusiło się Go żeby nas odstąpił, tylko zasłonił On przed nami Swoje Boskie oblicze i jakby się ukrył, odejmując nam uczuciowe wrażenie Swojej nas i przy nas obecności: Wydaje się nam wtedy żeśmy Go stracili, bo Go oczami duszy, jak to mogło być przedtem, nie widzimy; bo nie czujemy Go w sobie jak tego dotąd doświadczaliśmy. Spotyka to często i bardzo często,

osoby po drogach wyższej pobożności zdążające; a gdyby one pilną na to zwracały uwagę, nie masz wątpliwości że odkryłyby powody, dla których następuje takowe jakby zniknięcie przed nimi Jezusa. A nawet przyszłoby i do tego, że rozpoznałoby się i te okoliczności wśród których wydarza się takowe opuszczenie duszy, i te od których zależy dłuższe lub krótsze onego trwanie, i wreszcie odkryłyby się i powody powrotu uczuciowej obecności w nas Jezusa. Pan Bóg bowiem *wszystko pod miarą i liczbą i wagą rozrządził* *); a gdy to stale zachowuje w całym świecie widzialnym, w porządku Swoich stworzeń materyalnych, tembardziej gdyby w tem jakie stopniowanie przypuszczać godziło się, z tą *właściwą miarą i liczbą i wagą*, sprawia lub dopuszcza wszelkie zjawiska w naszem życiu duchowem, w rzeczach odnoszących się do duszy. Odwieczne wyroki Boskie obejmują wszystko w nich więc i każda dusza ma wytkniętą drogę swego życia wewnętrznego. Na drodze tej cokolwiek nas spotyka, dzieje się nie ślepym trafem, lecz według tych praw najwyższych, któremi Pan Bóg według powyższych słów Mędrca Pańskiego *wszystko pod miarą i liczbą i wagą rozrządził*, chociażby to dla nas było czemś niespodziewanem, a stąd łatwo nas o niepokój przyprawiającem.

Wszelako, rozpoznanie dokładne bezpośrednich, najbliższych powodów dla których jakaś ważna, a niespodziewana dla nas, zaszła w życiu naszem wewnętrznem zmiana, jest rzeczą bardzo trudną. Nie możemy też dojść z pewnością, czy w danym jakim razie, zniknięcie przed nami Jezusa, odjęcie nam uczuciowego wrażenia Jego w nas i przy nas obecności, nastąpiło

*) Mądr. 11. 21.

z naszej winy, czy z innych powodów w wyrokach Boskich przewidzianych i zesłanych, lub tylko dopuszczonych, na naszą próbę. Chociaż zdaje się, że prócz Przenajświętszej Panny, przed którą trzydniowe zniknięcie Jezusa nie było spowodowane ani najmniejszym cieniem jakiej winy z Jej strony — ukrycie się Jezusa przed duszą na drogach wyższej pobożności będącą, nigdy bez jakiegoś przyczynienia się jej do tego nie następuje. Lecz chociażby to było tylko próbą zesłaną na nas przez Boga, niechce Pan Bóg żebyśmy wtedy o tem z pewnością wiedzieli. Pewność bowiem, że nie zachodzi w tem żadna z naszej strony wina, odjęłaby takowej próbie całą jej dowierającą własność, przez zapewnienie że jestto tylko próba.

Wszelako cokolwiekbądź, i w razach w których zniknięcie przed nami Jezusa, byłoby w istocie nie czem jak próbą zesłaną na nas przez Niego, nie wolno nam zachowywać się tylko biernie. Nie wolno nam ograniczać się wtedy na cierpliwem i pokornem znoszeniu doznawanego cierpienia, bez usilnego starania o odszukanie Jezusa. Uczy nas bowiem tego Przenajświętsza Matka w tej trzeciej Swojej Boleści, gdy widzimy jak po zniknięciu przed Nią Jezusa, przez całe trzy doby, a jak się Sama wyraziła *żałośnie* *), to jest z największą serca Boleścią, odszukiwać Go nie przestawała. Gdy więc skryje się przed nami Jezus, a chociażby jak przed Maryą, bez naszej winy, i wtedy bezczynnymi być nie powinniśmy, jak nie była bezczynną Matka Przenajświętsza. Trzeba tak jak Ona chodziła szukając Go po ulicach Jerozolimy, — i nam chodzić i chodzić po różnych ulicach życia wewnętrznego, aż

*) Łuk. 2. 35.

Go odnajdziemy, a to prędzej lub później, jak widzieć będzie tego potrzebę Jego mądrość najwyższa i dobroć nieograniczona. Dopóki zaś to nie nastąpi, nie szukajmy na to nigdzie i u nikogo pociechy, ani nawet u naszych przewodników duchownych, a tem mniej współczuciu dusz nam przychylnych lub w czemkolwiek ziemskiem i doczesnem. Gdy Jezus uznał potrzebę skrycia się przed nami, nic bardziej nie utrudziłoby nam Jego odszukanie, jak przypuszczenie że cokolwiek innego, jak On Sam, mogłoby nas pocieszyć. A byłoby rzeczą najsmutniejszą, gdyby w istocie coś takiego się znalazło.

Takieto więc są nauki, zawarte w trzeciej Boleści naszej Przenajdroższej Matki, a która przebywszy ją, cieszyła się już odtąd, w ubogim domku Swoim Nazareńskim, przez lat ośmnaście, bez żadnej przerwy, obecnością Swego Boskiego Syna. A i w tem pozostawiła nam naukę, że do jak najściślejszego zjednoczenia duszy z Bogiem, do mniej więcej stałego cieszenia się uczuciem obecności Jezusa w sercu, nie dochodzi się inaczej jak przez mężne, cierpliwe i pokorne przeniesienie boleści Jego zniknięcia przed nami, a to na czas dłuższy lub krótszy, jak dla duszy jakiej widzi On tę próbę potrzebniejszą.

ROZDZIAŁ V.

Czwarta Boleść.

SPOTKANIE JEZUSA KRZYŻ NIOSĄCEGO.

§. I. Szczegóły tej tajemnicy.

Trzeba nam teraz przebyć, albo raczej przeskoczyć myślą lat wiele od trzeciej Boleści Przenajświętszej Panny, pozostawiając za sobą Betleem i Nazaret, gdzie Jezus wiek Swój dziecinny i młodzieńczy spędził w ukryciu. A nawet pominiemy i trzy lata Jego życia apostolskiego, gdyż czwarta Boleść Maryi, nad którą z kolei zastanawiać się mamy, przypadła już w czasie Męki Pańskiej.

Lat więc dwadzieścia i jeden upłynęło od trzydniowego zniknięcia Jezusa. W niepokalanem sercu Maryi, zaszły przez czas ten niezliczone tajemnice, jak niewymownych pociech w które opływała w ciągu pobytu Swojego z Jezusem w Nazarecie, tak i również niepojętych rozumem ludzkim smutków wewnętrznych i cierpień, z powodu bezustannej obecności na Jej myśli tego wszystkiego co Jezusa czekało. Aż nakoniec nadeszła już była chwila, gdy na to właśnie patrzyć

miała, i gdy czwarty Miecz Boleści z tych siedmiu które od chwili proroctwa Symeonowego w duszy i sercu nosiła, wtłoczony został, z równąż siłą i gwałtownością jak poprzedzające. Przenieśmy się tedy myślą do poranku Wielkiego-Piątku, do chwili kiedy Marya spotkała Jezusa niosącego na Kalwaryę krzyż Swój, a które to spotkanie stanowi czwartą Jej Boleść.

Lecz żeby lepiej zrozumieć tę tajemnicę, trzeba nam rzucić okiem na dwadzieścia lat ją poprzedzających. Życie Maryi ulegało wielu przemianom, ale wśród najrozmaitszych kolei, było bezustannem wznoszeniem się Jej do nieba. Ciągle stawała się Ona coraz świętsza, bo ciągle wzmagała się Jej miłość ku Jezusowi; wzmagała się zaś dlatego, że Jezus coraz piękniejszym się Jej okazywał i coraz Go Ona lepiej poznawała. Stąd każda z Jej Boleści, znajduje Ją i mniej i więcej na to przygotowaną: to jest z pewnych względów jest dla Niej trudniejszą do przeniesienia, z innych znowu mniej trudną. Trudniejszą, bo im więcej kochała Jezusa, tem srożej nad Nim bolała; mniej trudną, bo im świętszą jest dusza, z tem mniejszą trudnością najcięższe krzyże zdolną jest dźwigać. Widzieliśmy poprzednio jak od powrotu Maryi z Egiptu, do chwili w której spotkała Ją trzecia Boleść, miłość ku Jezusowi wzmagając się w Jej sercu, wzmogła też, zwiększyła Jej zdolność cierpienia. Tu znowu obaczymy do jakich rozmiarów, do jakiego doszła stopnia w Niej ta miłość od Jej powrotu do Nazaretu do chwili tej czwartej Boleści. Wskutek też tego, chociaż ta Boleść sama w sobie uważana, nie wyrównywała poprzedzającej, trafiła jednakże na jeszcze nierównie większe uzdolnienie do cierpienia w Maryi, i z tego powodu stała się jeszcze dla Niej cięższą.

Piękność raju ziemskiego zasadzonego własną ręką Boga, i w którym *Przy wietrzyku południowym* *), schodził On dla rozmawiania z pierwszymi rodzicami naszymi przed ich upadkiem, była słabym tylko cieniem piękna świętego Domku Nazareckiego, w ciągu ośmnastu lat ukrytego tam życia Pana naszego. Nie jesteśmy w stanie zrobić sobie wyobrażenia, wszystkich przecudnych tajemnic zaszłych w tym kawałku nieba, spadłego wtedy na biedną ziemię naszą. Rozmowy nie były tam częste, słów nie sypało się tam wiele; wszelako w przeciągu lat ośmnastu ileż tam ich być musiało! i czyżby można je obliczyć, a każde wyszłe z ust Słowa przedwiecznego, jakiemiż i ilu łaskami obdarzały Maryę, jakąż miłość ku Jezusowi rozniecały w Jej sercu! Lecz czyż i samo milczenie i tylko patrzenie na Jezusa, nie było zatapianiem się w Bogu, najwyższą *kontemplacyą* dla Maryi i źródłem łask tem wznioślejszych? W oczach Jej dokonało się przez czas ten tysiące spraw z których każda i najdrobniejsza, była ceny tak nieograniczonej, że mogła odkupić nietylko cały świat ten, lecz miliony innych podobnych albo jeszcze winniejszych, gdyby tego potrzebowały. W ciągu tych lat ośmnastu, jak świat stworzony długi i szeroki, nieprzeliczone twory wyszłe z rąk Boga, dzień i noc, a każdy sobie właściwym sposobem, oddawały Mu chwałę. Przecudne sklepienia widnokręgu niebieskiego, zasiane światami których ani liczby dorachować, ani czasu ich trwania określić nigdy nie potrafimy; ziemia ze wszystkimi swoimi mieszkańcami; czciciele prawdziwego Boga rozsiani po różnych jej zakątkach; wybrani z czasów przed Chrystusowych wyczekujący na łonie Abrahama

*) Genes. 1. 3.

przyjścia Zbawiciela; nieprzeliczone mnóstwo dziatek zaludniających otchłań podziemną — wszystko to każde w swoim zakresie, przyczyniało się do przymnożenia chwały Najwyższego. A nad tem wszystkiem górowały chóry Anielskie, zapełniające zmierzyć się nie dające przestrzenie, i oddające bezustanną a najdoskonalszą cześć Bogu w którego się wpatrują.

Lecz wszystkie te światy były niczem, w porównaniu z błogosławionem mieszkaniem Nazareckiem. Jedna godzina życia tam mieszkających, przewyższała godnością wszystko co żyło w przeszłych i żyć będzie w przyszłych wiekach, a przewyższała nie tylko w wielkiej jakiej mierze, ale całą nieskończonością. Punkt ześrodkujący w sobie co tylko istnieje w niebie i na ziemi; co tylko należy do porządku i materyalnego i duchowego, znajdował się wtedy w tej odludnej mieścinie mało znanej krainy Galilejskiej. A dlaczego to miejsce tak ukryte, zamykało wtedy w sobie tak wielką tajemnicę? Oto bo zawsze najwznioślejsze i najbardziej tajemnicze sprawy Boskie, dokonywają się, wbrew wszelkim wyrachowaniom i domysłom ludzkim, mniej więcej ukryte przed okiem ludzkiem.

Pod pewnym zaś względem można powiedzieć, że punktem ześrodkującym znowu w siebie to co było w samym już tym punkcie środkowym światów wszystkich — była Marya. Gdy bowiem Jezus był tam celem głównym dla Maryi i dla Józefa i dla niezliczonej liczby Aniołów oddających Mu cześć bezustanną — Marya była wtedy niejako celem głównym Jezusa, co jeszcze jest większem. Jezus przyszedł dla odkupienia świata całego, i na dokonanie tego olbrzymiego dzieła, przeznaczył Sobie tylko lat trzydzieści trzy; z nich zaś ośmnaście poświęcił jakby wyłącznie dla Maryi. Był to

więc jakby Jej *nowicyat*, po odbyciu którego miała wykonać Swoje śluby na Kalwaryi.

Owoż, czas ten a tak długi, pewnie straconym dla Maryi nie był. Gdy zaś pomyślimy, że przez trzy lata Swego życia Apostolskiego, Syn Boży założył Kościół i w nim pozostawił środki uświęcić mogące wszystkie pokolenia ludzkie do końca świata — cóż musiał On zrobić z Maryi duszą, uświęcając Ją przez lat ośmnaście? Czyż więc jest rzeczą możliwą ocenienie, chociażby tylko w przybliżeniu, stopnia miłości ku Jezusowi, jaką lata te rozbudziły w sercu Maryi? Piękno ludzkiej duszy Jezusa, ciągłe z Nim obcowanie, a przez to coraz doskonalsze Jego naśladowanie; bezustanne wpatrywanie się w Jego każdą czynność; skuteczność każdego słowa z Boskich ust Jego wychodzącego; przypuszczenie do tajemnic serca Jego, jakie żadnej innej istocie dane nigdy nie było i nie będzie; a któż wie, może od czasu do czasu i wyjątkowe objawianie Jej Swego Bóstwa — wszystko to były niewyczerpane źródła łask najobfitszych i najwznioślejszych, co chwila zalewających duszę Maryi. Bez szczególnej też pomocy nadprzyrodzonej, nie mogłaby była dusza Jej bez rozwiązania się z ciała, pozostawać w tak ścisłem i bezustannem obcowaniu z Bogiem. Nie mogłaby była przeżyć takiego, bo aż więcej aniżeli anielskiego uświęcenia, ubłogosławienia Jej duszy. Bez wyjątkowego niebieskiego wsparcia, Jej życie doczesne, nie mogłoby było ostać się przy takim stopniu miłości do jakiej doszła wtedy. Ośmnaście lat spędzić w najściślejszym jaki tylko na ziemi być może stosunku z Bogiem; a wiedząc że On jest Bogiem, przez lat ośmnaście wpatrywać się w Niego bezustannie; słuchać rozmów Jego; nie tylko służyć Mu, lecz od Niego odbierać usługi;

przez lat ośmnaście matczyć Bogu, a więc mieć Stwórcę pod Swoim zarządem: *I był im poddany* *) — jakiż rozum nietylko ludzki lecz i anielski, zdolny jest pojąć, jaki to wpływ wywrzeć musiało na duszę Maryi? jakiż język wypowiedzieć tajemnice zaszłe z Jej uświątobliwieniem, przez tę cudowną a tak długą porę!

Wynikiem przeto, następstwem koniecznem tych lat ośmnastu, było uświątobliwienie Maryi w stopniu w jakim nawet wyobrażenia mieć nie możemy, a więc było-to rozżywieniem w Jej sercu miłości i przywiązania do Jezusa, przewyższającego nawet to przywiązanie, jakie miała do Niego przedtem. Gdy tedy Przenajświętsza Matka, już przed ośmnastu laty doznała była, wskutek właśnie tego przywiązania, jak to rozważaliśmy przy Jej trzeciej Boleści, cierpień wszelkie cierpienia ludzkie przechodzących, — cóż za Boleść czeka Ją, gdy z temże w sercu przywiązaniem a tak już spotęgowanem, oto teraz spotka Go niosącego krzyż, na którym miał być w Jej oczach rozpięty!

Ośmnaście tedy lat błogosławionego pobytu w Nazarecie dobiegają swego kresu, a rozpoczynają się trzy lata apostolskiego życia Zbawicielowego. Nie posiadamy dokładnych wiadomości, o ile Przenajświętsza Panna przez czas ten nie odstępowała Syna. Jednakże, chociaż Pismo święte nic nam o tem stanowczego nie podaje, a Święci zastanawiający się nad tym szczegółem, różnią się w zdaniach — najprawdopodobniejszem jest, że Marya, jak przez całe poprzedzające życie Swoje tak i wtedy, była mniej więcej z Jezusem. Gdy dano Jej było nie odstępować Zbawiciela w czasie Męki Jego, trudno przypuścić żeby i w ciągu trzech lat czynnych

*) Łuk. 2. 49.

Pana naszego, nie znajdowała się przy Nim zawsze, prócz w niektórych wypadkach, które mogły Ich rozłączać na krótko. Wszak widzimy z Ewangelii, że na samym wstępie Swojego życia Apostolskiego, chciał Pan Jezus mieć przy Sobie Matkę, i wtedy na Jej-to wstawienie się, uczynił pierwszy cud jawny i głośny, kiedy w Kanie Galilejskiej przemienił wodę w wino *). Podobnież dowiadujemy się z ksiąg Ewangelii, że gdy w Kafarnaum miał kazanie do Faryzeuszów, i gdy zdawało się że już wtedy knuli oni spisek na Jego życie, — Marya przyszła tam, i z powagą macierzyńską domagała się żeby przy Nim być mogła **). Prócz tego, trudno nie przypuszczać że Marya, czy to za pośrednictwem Aniołów, czy to inną jaką cudowną drogą, słyszała wszystkie miewane przez Jezusa nauki, owszem każde Jego słowo gdziekolwiek wyrzeczone, i że w duchu patrzała na każdą Jego sprawę, w ciągu tych trzech lat dokonaną. A wszystko to, jak z jednej strony stawało się dla Niej środkami coraz bardziej uświęcającemi Jej duszę, tak z drugiej rozniecało w Jej sercu coraz większą miłość Jezusa.

Dla Maryi trzy lata życia Apostolskiego Pana naszego, były jakby nowem objawieniem się Jezusa. To co w Nim wtedy widziała, było czemś w co wprzód wpatrywać się nie mogła. Każda zmiana w sposobie życia Jezusa, a stąd każda zmiana w Jego zajęciach, jakkolwiekby nie wydawała się dla powszechności wiele znaczącą, nie mogła nie być pełną coraz to nowych objawów Jego piękna, Jego doskonałości, Jego Boskości. Dla miłości też Maryi były to nowe podniety, spowodowujące i w Jej sercu zmiany, miłość tę coraz to

*) Jan. 2. 4. **) Łuk. 8. 19.

a coraz bardziej potęgujące. W latach dziecinnych Jezusa, widziała Go Ona jakby nieczynnym. Podobnym się Jej wtedy wydawał do małego źródełka wody, które gdzieś w skałach ukryte, zaledwie błyszczy cichutkiem i przeźroczystem zwierciadłem swojej powierzchni, a z którego bierze początek ogromna i przecudna rzeka. W wieku młodocianym, piękno Jezusa stawało się coraz widoczniejszem i zakres Jego działalności nieco się rozszerzył. A to było pobudką nowych miłości w macierzyńskiem sercu Maryi. Lecz to rozszerzenie się działalności Jezusa wtedy, ograniczało się jeszcze do małego gronka mieszkańców domku Nazareńskiego, albo bardzo mało gdzie dalej sięgało. Można też powiedzieć, że pomiędzy latami dzieciństwa Jezusowego, a Jego życiem ukrytem, nierównie mniejsza zachodziła różnica, aniżeli pomiędzy tą ostatnią porą, a Jego życiem czynnem. W niem zaczynał już wywierać wpływ Swój na świat cały; występował już jako od wieków zapowiedziany Mesyasz, to jest jako Bóg-człowiek przynoszący naukę objawioną, zakładający Swój Kościół i mający zaofiarować się na zadość uczynienie sprawiedliwości Boga za grzechy świata całego; słowem jako mający pojednać ród ludzki z Bogiem, i podać każdemu a na wszystkie czasy, niechybne środki dostąpienia wiecznego szczęścia w niebie, zamkniętem dla człowieka od upadku pierwszych rodziców naszych. Stąd więc w życiu Swojem czynnem, Jezus jużto sposobił wybranych przez Niego Apostołów do posłannictwa do którego ich powoływał, jużto przemawiał do coraz liczniejszej rzeszy ludu zbierającego się na Jego nauki, to znowu coraz jawniejszemi cudami stwierdzał Swoje Boskie posłannictwo, wszędzie i doczesne i niebieskie rozsiewając dobrodziejstwa, co Pi-

smo święte w tych słowach wyraża: *Przeszedł dobrze czyniąc* *). Dzień każdy sprowadzał tego rodzaju jakby coraz nowe przemiany w osobie Jezusa; dzień każdy objawiał jakieś nowe piękno ludzkiej natury Jego i nowe dowody potęgi, mądrości i nieprzebranej ku ludziom miłości Jego natury Boskiej. Były to jakby trzy lata nieba na ziemi, bo trzy lata coraz jawniejszego pobytu Boga pomiędzy ludźmi. Nie było zaś żadnej czynności Jezusa, żadnego Jego słowa, żadnego ruchu, żadnego kroku na ziemi Stwórcy wcielonego, który nie stawałby się dla Maryi nowem objawieniem Jego piękna i świętości, a co z istot stworzonych nikt tak jak Ona nie mógł dopatrywać, oceniać i uwielbiać. Te trzy lata czynnego życia Jezusowego, były jeszcze piękniejszemi jak lata Jego dzieciństwa, jeszcze cudowniejszemi jak lata Jego życia ukrytego: jakież więc to skutki wywrzeć musiało na Maryi! do jakiego stopnia podniosło w Niej miłość ku Synowi!

Nigdy nie zdobędziemy się na wyobrażenie, chociażby tylko przybliżające się do rzeczywistości, miłości Maryi ku Jezusowi. jeśli nie zwrócimy uwagi na to, jak dalece pora apostolskiego życia Zbawiciela, wielki wpływ miały na Jej uświątobliwienie. W boskiem dziele Jej udoskonalenia, dopatrzyć można siedm działów, siedm jakby epok, większe zamykających w sobie cuda, aniżeli siedm dni, przez które Pan Bóg świat tworzył. I tak: Niepokalane Poczęcie i piętnaście lat po nich następujące, pełne zasług coraz większych, a więc i coraz obfitszych łask, są jakby dniem pierwszym tworzenia tego jakby odrębnego świata niezrównanej świętości. Wcielenie się Syna Bożego

*) Mat. 14. 5.

w Jej dziewiczem łonie, z dwunastu latami dzieciństwa Jezusowego, stanowią dzień drugi. Trzydniowe zniknięcie Jego, i ośmnaście lat spędzonych z Nim w życiu ukrytem, zapełniają dzień trzeci, zaś trzy lata życia Apostolskiego dzień czwarty. Męka Pańska była dniem piątym; a czterdzieści dni po Zmartwychwstaniu Pańskiem i Zesłanie Ducha-Świętego, szóstym. Po nim nadchodzi dzień siódmy, czyli *Sabat* to jest dzień wypoczynku Pana naszego, kiedy wstąpił na niebiosa i zasiadł na prawicy Ojca, pozostawiając przecudny świat świętości Maryi, żeby odbywał bieg swój, podobnie jak po szóstym dniu stworzenia świata materyalnego, spoczął po tym dziele Swojem. Aż nareszcie nadejść miał ostateczny koniec uświątobliwienia Maryi, Jej śmierć błogosławiona, niezwłocznie Jej wskrzeszenie, sąd nad Nią wyrokujący Jej Wniebowzięcie i drugie przybycie Pana Jezusa z Aniołami po Jej uwielbiane już ciało. Takie więc to były jakby *siedm dni* tworzenia świętości Maryi, i jakby *Sąd ostateczny* nad Nią, i takie przedstawienie sobie tego, taka *Geneza* Jej świętości powinna ułatwiać nam, w pewnej przynajmniej mierze, tej niezrównanej, nie mogącej się ludzkim rozumem ogarnąć świętości, przybliżone wyobrażenie.

A przeto trzy lata czynnego apostolskiego życia Pana naszego, należy uważać jako czas zupełnie odrębny, w którym z powodu nowego wtedy dla Maryi objawienia się Jezusa, miłość Jej ku Niemu, doszła była do stopnia do jakiego nawet wprzód nie sięgała, chociaż już i przedtem była taką, że ją tylko On Sam mógł zmierzyć i ocenić.

Wprawdzie może wydawać się rzeczą niewłaściwą upatrywanie zwiększenia się miłości i świętości Przenajświętszej Matki, kiedy to w Jej duszy niepoka-

lanej, sięgało odrazu do takich rozmiarów, że Ją ze wszystkich istot, jakie z rąk Stwórcy wyszły, prócz człowieczeństwa Pana Jezusa, jak najbliżej Samego Boga stawiało. Pomimo jednakże tego, nie masz wątpliwości, że Pan Bóg, którego hojność granic mieć nie może, coraz Ją wyższemi łaskami zbogacał. Pora zaś czynnego życia Zbawiciela, była dopełnieniem tego stopnia w Niej świętości jaki potrzebny był do tego, żeby stojąc pod krzyżem umierającego Syna, nabyła tytułu *Współodkupicielki* rodzaju ludzkiego.

Gdy tedy Marya przybyła do Betanii w dzień Wielkoczwartkowy, miłość Jezusa jaką pałało Jej serce, przewyższała nawet tę miłość jaką dotąd miała ku Niemu. A wszystko się do tego przyczyniało: Święty Józef już wtedy nie żył, i chociaż miłość przeczystego Oblubieńca nie osłabiała w Niej miłości ku Jezusowi, wszelako i nieobecność już Jego na ziemi sprawiała, że macierzyńskie przywiązanie Jej do Syna jeszcze bardziej na Nim jednym się skupiało. Wprawdzie, w miejsce zmarłego Oblubieńca, miała teraz kilka osób szczególnie drogich Jej sercu: był Jan ulubiony uczeń Pański, była Magdalena najwierniejsza Jego uczennica. Lecz w nich, jak zresztą we wszystkiem co miłowała, Marya miłowała Jezusa, wielbiła Jego dary, któremi wybrane Swoje dusze więcej od innych obdarzał, które szczególnie do Siebie przywiązywał. Słowem, jak w każdej porze życia Jezusowego; tak i tych latach Jego życia apostolskiego, miłość Maryi ku Niemu bezustannego nabierała wzrostu; w tym zaś czasie właśnie najwięcej, gdyż im czynniejszym był Zbawiciel, tem się Jej piękniejszym, a najbardziej bez granic miłosiernym dla ludzi, świętszym i cudowniejszym objawiał.

Owóż, taki wzrost świętości Maryi, a przez to wzrost Jej miłości Jezusa, w równejże mierze do coraz wyższego stopnia podnosił w Niej przez to już samo i zdolność cierpienia, rozbudzając w Jej sercu coraz większe współczucie z cierpieniami przedmiotu przez Nią tak umiłowanego. Im bowiem więcej Marya rozmiłowywała się w Swoim i Synu i Bogu, tem więcej, tem srożej boleć musiała, gdy przychodziło w końcu do tego, że na Jego straszną mękę już własnemi oczami patrzeć będzie.

I z tego to głównie powodu, zachodzi coraz wyższy stopień cierpienia w Boleściach Maryi. Każda z nich zastaje Ją jeszcze świętszą, jeszcze bardziej miłującą Jezusa, aniżeli to było w poprzedniej, a stąd coraz to czulszą na Jego cierpienia, coraz zdolniejszą jak najdoskonalszego z Nim współczucia, coraz wrażliwszą na to co Go spotyka. Każda z siedmiu Boleści, gdy nadchodzi, natrafia w sercu Maryi na większą miłość, przytem na miłość, która już coraz więcej cierpiała, a przeto natrafia na większe uzdolnienie do cierpienia. Z tego powodu każda Boleść cięższą jest od poprzedzającej. I dla tego, chociaż naprzykład trzecia Boleść, jak to na swojem miejscu rozważaliśmy, była, wzięta sama w sobie, najdotkliwszą ze wszystkich siedmiu Boleści Przenajświętszej Panny — z powyższych jednakże powodów te które po niej nastąpiły były jeszcze i coraz cięższemi. Stąd, żeby o ile na to słabem naszem pojęciem zdobyć się możemy, zmierzyć właściwie każdą z siedmiu ran zadanych sercu Maryi Mieczem przepowiedzianym Jej przez Symeona, należy powyższe uwagi zawsze do nich stosować. Miejmy więc je na pamięci i przy rozważaniu tej czwartej Boleści Matki Przenajświętszej, kiedy spotkała Jezusa krzyż Swój na Kalwaryę dźwigającego.

Można powiedzieć, że Męka Pańska rozpoczęła się w Wielki-Czwartek, w domu ukochanego przez Zbawiciela Łazarza w Betanii, i że razem był to i początek czterech ostatnich Boleści Maryi. Pan Jezus odbył znany nam z opisu Ewangelii, wjazd Swój do Jerozolimy w niedzielę Palmową. Przez cały dzień ten nauczał w świątyni, jak również w następujący poniedziałek i wtorek. Lecz co wieczór wracał do Betanii, gdyż nikt z mieszkańców Jerozolimy nie odważył się dać Mu przytułku, z powodu, że starszyzna Synagogi, już coraz jawniej okazywała się zawziętą na Niego. Ci nawet, którzy w niedzielę witali Go z okrzykami: *Hosanna! błogosławiony, który przychodzi w Imieniu Pana* *), nie śmieli ani zbliżyć się do Zbawiciela, z obawy ściągnięcia na siebie gniewu najwyższego kapłana.

Niesie podanie, że Pan Jezus noc z Wielkiej-Środy na Wielki-Czwartek spędził na modlitwie na górze Oliwnej; a niektóre dusze świątobliwe miały sobie objawionem, że wtedy w Boskiem przewidzeniu Swojem, patrzał na wybranych, jacy będą do końca świata, i za każdego z nich modlił się w szczególności.

Tymczasem pod tęż porę, Judasz knuł swoją zdradę, umawiając się ze zwierzchnością Żydowską o wydanie im Jezusa. W Wielki-Czwartek z rana udał się Zbawiciel do Betanii, dla pożegnania się z Matką i dla otrzymania od Niej przyzwolenia na poniesienie Męki i Śmierci krzyżowej, jak w tajemnicy Wcielenia domagał się tegoż na wstąpienie w Jej przeczyste łono. Wszakże, takowe przyzwolenie Maryi, tą razą nie było tak koniecznem jak wtedy, gdy miała stać się Matką Boga. Chciał jednakże mieć je Jezus, żeby nam przed-

*) Jan 12. 3.

stawić na Sobie wzór jak najdoskonalszej uległości synowskiej. Siostra Marya z Agredo pisze w objawieniach swoich, że Zbawiciel ukląkł przed Matką, prosząc Ją o błogosławieństwo, a Marya wzbraniając się od błogosławienia Boga, padła także na kolana oddając cześć Swemu Stwórcy. Jezus jednakże obstawał przy Swojem; oboje więc przez czas jakiś klęczeli, aż w końcu Matka pobłogosławiła Syna, a Syn pobłogosławił Matkę. Potem wrócił Zbawiciel do Jerozolimy, gdzie poszła za Nim Marya wraz z Magdaleną, żeby uczestniczyć w przyjęciu mającego się postanowić Przenajświętszego Sakramentu. W tej bowiem nocy, jak wiadomo, odbyła się ostatnia wieczerza Pańska, pierwsza Msza święta i w niej pierwsze niekrwawe zaofiarowanie się Syna Bożego, po którem nazajutrz, miało nastąpić okrutne zaofiarowanie się Jego na krzyżu.

Przez cudowną łaskę, Marya obecną była w duchu konaniu Jezusa podczas Jego modlitwy w Ogrojcu. Przypuszczoną została wtedy do najskrytszych tajemnic obumierającego serca Jezusowego, i Sama w odpowiedniej do Jej możności mierze, podobnejże jak Zbawiciel, doznała niewypowiedzianej wewnętrznej męki. Zaraz zaś po pojmaniu Pana Jezusa, z nieodstępującą Ją Magdaleną, wyszła z mieszkania, i dowiedziawszy się, że Go powiedli do Annasza i Kaifasza, chciała być tam przy Nim, lecz Ją do wnętrza tych mieszkań nie dopuszczono. Dochodzą jednak stamtąd do Jej uszu, nietylko krzyki oskarżycieli Jezusa, lecz i Jego własne, spokojne i pełne łagodności odpowiedzi. A gdy na resztę nocy zamknięto Zbawiciela w piwnicy, przybył do Maryi święty Jan i z nim udała się do mieszkania, w którem poprzedzającego wieczora odbytą była ostatnia wieczerza.

W dniu następnym Wielkopiątkowym, jeśli wszystkim mękom zadanym Jezusowi, do chwili gdy wtłoczono na barki Jego krzyż, który poniósł na Kalwaryę, Marya nie była osobiście obecną (chociaż niektórzy Święci mieli sobie objawionem, że miało to miejsce), powszechnem jednakże jest mniemanie najpoważniejszych pisarzy kościelnych, że jak modlitwie ogrojcowej, tak i biczowaniu, cierniem koronowaniu i wszystkim zniewagom zadawanym wtedy Jezusowi, Matka Przenajświętsza była cudownie obecna duchem, tak jakby na to oczami ciała patrzała.

Dla macierzyńskiego serca Maryi, której Dziecię tak w Jej oczach męczono; dla Jej Przenajświętszej duszy, którego Boga tak straszliwie znieważały też stworzenia Jego ciż ludzie za których przyszedł umrzeć, żeby ich z niewoli szatańskiej wyzwolić — dla Maryi, dla Jej miłości, dla Jej świętości, dla Jej serca macierzyńskiego, każda minuta tych najsmutniejszych w dziejach świata godzin, dłuższą się wydawała, nad owe nieprzeliczone wieki, których według zdania niektórych, potrzeba było do przekształceń się różnych światów rozrzuconych ręką Stwórcy po całej przestrzeni. Dla Niej każdy najdrobniejszy szczegół spełniających się wtedy niepojętych rozumem ludzkim tajemnic, każde uderzenie biczem Boskiego ciała Jej Syna, każde ukłucie cierniem Tego czoła na które Archaniołowie oczów podnieść nie śmieją, każde najlżejsze wśród mąk tylu stęknięcie Stwórcy dobijanego przez stworzenia — słowem każdy szczegół Męki Pańskiej, a któż je lepiej od Niej mógł dopatrzyć — wszystko to było w Jej oczach, w Jej pojęciu, dla Jej serca przedewszystkiem, rzeczą bez żadnego porównania, bo nieskończenie większej wagi, aniżeli gdyby wtedy co chwila nowe światy wy-

wiedzione zostawały z nicości i zaludnione milion razy piękniejszymi od Serafinów i Cherubinów mieszkańcami. Wydawało się Jej, jakby wszystkie prawa i moralnego i fizycznego porządku zmienione zostały, i jakby coś niepojętego, nieprzewidzianego, ze straszliwą gwałtownością i okrutnym pośpiechem spełniało sprawę Boską największą, najtrudniejszą do przypuszczenia, a spełniało ją z przypadłościami, z okolicznościami, niebo całe w osłupienie wprowadzającemi. Bo taką w istocie w oczach Maryi musiała się wydać cała Męka Pańska, a wydać co do tych swoich własności, nie tak słabo jak my na jej ocenienie zdobyć się możemy naszym słabym rozumem i słabą miłością, lecz jak to przedstawić się mogło tylko takiemu rozumowi i pojęciu, jakiem było pojęcie Matki Boga i takiej miłości jaką była Jej miłość zawsze, a cóż dopiero wtedy, gdy widziała co z miłości ku ludziom Syn Jej i Bóg Jej cierpi! Owoż cała ta potęga Jej rozumu, oceniającego sprawę odkupienia dopełniającą się wtedy w Jej oczach, i cała potęga Jej miłości do takiego stopnia wtedy wzniesiona, były to jakby dwie siły miary nie mające, które w sercu Maryi zdolność współcierpienia z Jezusem podniosły do stopnia, do jakiego jeszcze dotąd nie dochodziła. I to więc przyczyniło się, że czwarta Jej Boleść, przy spotkaniu Jezusa po tylu już mękach niosącego krzyż, na którym będzie ostatecznie zamęczony, była jeszcze cięższą od poprzedzających.

Nakoniec przed południem, przybywa święty Jan, z wiadomością o wydanym na Jezusa wyroku, skazującym Go na śmierć krzyżową. Nie było to dla Maryi, ściśle mówiąc, wiadomością niespodziewaną, ale bądź co bądź, było wiadomością o zawyrokowaniu śmierci

i jak okrutnej śmierci Syna i jakiego Syna, po raz pierwszy obijająca się o uszy matki, a jakiej Matki? Co w owej chwili zaszło w Jej sercu, tego i wyobrażać sobie niegodniśmy, a dowiemy się dopiero tam, gdzie chwałę Jej w całym blasku zasług, któremi ją nabyła, oglądać będziemy.

Odebrawszy tedy tę wiadomość, Marya wychodzi niezwłocznie z Magdaleną i Janem, który znając dobrze wszystkie ulice Jerozolimy, zaprowadza Ją krótszą drogą od tej jaką szedł cały orszak wiodący na śmierć Zbawiciela, i zatrzymuje na miejscu, w którem za chwilę się z Nim spotka, albo raczej z bardzo bliska ujrzy Go idącego z krzyżem na Kalwaryę.

Ale czyż spotkanie takowe, nie będzie to już czemś przechodzącem siłę nawet taką, jaką była obdarzona dusza tej Niewiasty nad niewiastami, na Matkę Boga przeznaczonej, i do takiej godności odpowiednio uzdolnionej? Nie masz wątpliwości, że Boleść jaką w owej chwili doznała Marya, byłaby nad siły nawet Jej własne, gdyby nie to, że wtedy posiadała w Sobie w sposób szczególny rzeczywiście obecnego Boga w Przenajświętszym Sakramencie, który przyjęty przez Nią zaraz po jego ustanowieniu, już cudownie pozostawał w Niej niespożyty, aż do następnego jego przyjęcia. On to więc sprawił, że Marya to spotkanie Jezusa przeżyć mogła. Niektórzy Święci pisarze przypuszczają, że tenże Sakrament i w Panu Jezusie po Jego przez Niegoż Samego przyjęciu przy pierwszej Mszy świętej podczas ostatniej Wieczerzy, dopiero gdy już był na krzyżu spożyty w Nim został. I mówią ciż pisarze, że wtedy-to, gdy człowieczeństwo Zbawiciela pozbawione zostało tej sakramentalnej obecności w Niem Boga,

zawołał On wielkim głosem: *Boże! Boże! czemuś Mnie opuścił?* *). Gdy więc dla Boga-człowieka ten Sakrament był wsparciem, którego odjęcie wywołało w Nim skargę — cóż dziwnego, że Marya posiadając Go w Sobie, miała siłę przeniesienia widoku Jezusa na śmierć idącego i nie umarła od doznanej z tego Boleści.

Wszystkie ulice zapełnione są ludem tłumnie zdążającym na Kalwaryę. Przy zbiegu ulic i na placach, heroldowie przy odgłosie trąb, ogłaszają wyrok przed nagromadzoną publicznością. Marya ze spuszczoną na twarz zasłoną, mając przy Sobie Jana i Magdalenę, przedziera się przez te tłumy i krótszą drogą wyprzedziwszy orszak, staje na miejscu, obok którego za chwilę przeciągać on będzie. Jakoż wkrótce okazuje się na wysokim koniu setnik jadący na czele i wskazujący drogę; za nim postępują oprawcy i kaci niosący narzędzia do ukrzyżowania używane, następnie idą wyżsi urzędnicy Sancherinu, to jest najwyższego sądu żydowskiego; a cały ten szereg otoczony jest i naciskany, zbitym tłumem gawiedzi i motłochu, chciwego zwykle takich okrutnych widowisk.

Aż oto Marya spostrzega dwóch łotrów, a pomiędzy nimi Jezusa z trudnością postępującego pod ciężarem krzyża. W miarę jak się zbliżał, pokój coraz większy ogarnia Jej duszę, bo w miarę jak się Bóg do duszy zbliża, tem większym obdarza Ją pokojem. Lecz ten pokój Maryi, posłużył wtedy do tego, żeby boleść miary nie mająca, która w owej chwili zalała, jakby wszystkie morza wezbrane, Jej serce, rozwielmożyła się w niem do stopnia, do jakiego nawet Jej Boleści jeszcze nigdy nie doszły były. Bóg tylko, który oblicza wszystkie ziarn-

*) Mat. 16. 43.

ka po całym obszarze ziemi, który zna liczbę ostatecznej drobizny wszystkich atomów cały świat stworzony składających — Bóg jeden mógł całkowicie poznać, właściwie ocenić, dostatecznie zmierzyć ranę serca Tej Matki, zadaną Jej tym czwartym mieczem Jej Boleści!

Lecz oto Jezus przechodzi już obok miejsca na którem czekała Go Marya. O ile Mu to wolno, zatrzymuje się na chwilkę, a prawą ręką podtrzymując na barkach krzyż dźwigany, lewą podnosi i ociera krew sączącą się z pod cierniowej korony i zasłaniającą Mu oczy. A czy robi to na to, żeby na Maryę popatrzał? Wcale nie; bo oczy Jego nawet i zasłonięte krwią z ran zadanych Mu przez ludzi, są to te oczy Boskie, które zawsze i wszystko widzą. Otarł więc je na to tylko, żeby w nich Marya wyczytała miłość Jego i ku Niej i ku ludziom, za których szedł na śmierć, i niewymowny smutek doznany z widoku Matki tak srodze wtedy bolejącej.

Marya pozostać na miejscu nie może: robi parę kroków, zbliża się do Syna i chce Go przycisnąć do serca. Lecz żołdactwo otaczające Zbawiciela, odpycha Ją grubijańsko, a Jezusa przynagla iść dalej. Spojrzeli więc tylko na Siebie, a w tem krótkiem spojrzeniu jaka zawierała się otchłań cierpienia dla Obojga, żadne pojęcie stworzone nigdy tego nie ogarnie. Marya stanęła jak wryta, a na błogosławionem obliczu Jej i w całej postawie, wyraził się taki niewymowny smutek, taka boleść, że otaczający Ją aniołowie łzami się zalali, padając twarzą do ziemi przed tym wizerunkiem cierpienia wszelkie siły ludzkie przechodzącego. Na domiar zaś tego, co wtedy ta z Matek najboleśniejsza przenieść miała, gdy Jezus tak szybko jak tego chcieli Jego oprawcy ruszyć z miejsca nie mógł, pchnięty przez jednego

z nich, w oczach Maryi upada na ziemię; a był to trzeci z rzędu Jego pod krzyżem upadek.

Stwórca więc najwyższy leży obalony na tejże ziemi, którą jednem skinieniem woli Swojej wywiódł z nicości; król nieba i najwyższe wesele duchów błogosławionych, deptany nogami tych ludzi, za których, żeby im utracone przez nich niebo odzyskać, idzie umrzeć na krzyżu! O! cóż to za widok dla Maryi! Ten Syn Jej którego w dziewiczem łonie nosząc, wielbiła ciągle jak Boga Swojego; którego wydawszy na świat dziewiczemi rękoma piastowała ze czcią i miłością na jaką wszyscy aniołowie i archaniołowie zdobyć się nigdy nie mogą — Ten Syn Jej w Jej oczach tak okrutnie katowany; Ten Bóg Jej tak znieważany! Cóż w Jej duszy, a Najświętszej jaka z rąk Boskich wyszła, działo się wtedy? Jakaż boleść miary i stopnia wszelkie wyobrażenie przechodzącego zalać musiała to serce, tych dwóch najwyższych miłości Boskiej i macierzyńskiej tak pełne, jak tylko niemi serce stworzone pełnem być może!

Tymczasem kaci skupiają się około leżącego na ziemi Jezusa i z barbarzyństwem obojętnych nawet widzów oburzającem, uderzają Go nogami, pobudzając do prędszego podniesienia się z ziemi i bez litości pędzą dalej. Niebo całe zgrozą przejęte, natura cała już ma się zatrząść i słońce wkrótce wśród południa zatrzyma swe światło, a jednakże Marya wszechmocnością Najwyższego cudownie wsparta, nie umiera od tego widoku, i jak zawsze z sercem na wskróś już przeszytem, lecz spokojnem bo poddanem, idzie ślad w ślad za Synem. A jeśli Ją tłumy ludu coraz gęstsze na chwilę od Niego oddzielą, trafia na Jego ślady, oczyma macierzyńskiemi rozpoznając krew, którą na nich zostawił. I otóż czwarta Boleść przebyta! Lecz

my patrzeć tu mogliśmy na to tylko co się zewnętrznie w tej tajemnicy odbyło, lecz co w sercu Maryi, to już Bóg jeden widział.

§. II. Główne cechy czwartej Boleści Przenajświętszej Matki.

Chociaż wydawać się może, że Boleść ta, jest tylko jednym ze szczegółów całego pasma tych boleści jakich doznała Przenajświętsza Matka w ciągu Męki Pańskiej, to jednakże posiada ona odrębne swoje cechy, wyjątkowo ją odróżniające. Już samo to, że Boleść ta przez Kościół zaliczoną została do siedmiu głównych Boleści Maryi, dowodzi, że ma ona swoje właściwe i odrębne znaczenie. Co do Przenajświętszej Panny, było to nieszczęściem oddawna z niewymownem cierpieniem przewidywanem. Było to urzeczywistnieniem się tego okrutnego widzenia, które przez długie lata stało Jej na oczach bezustannie, bo i sen nawet tego nie przerywał. Owoż, chociażby nieszczęście jakie było na długo przed jego nadejściem przewidziane, gdy już nadejdzie, siły swojej pomimo tego nie traci. Owszem, gdy prawie zawsze znajdzie się w niem coś czegośmy się nie spodziewali, dotknie nas ono tem srożej, że się nam zdawało, żeśmy na wszystko gotowi, przeciw wszystkiemu dostatecznie uzbrojeni. Wszystkośmy sobie zawczasu wyobrazili, przewidzieliśmy okoliczności które nieszczęściu naszemu mają towarzyszyć, i postanowiliśmy stosownie do nich zachować się. Wiele i wiele razy układaliśmy sobie co wtedy powiemy, jak postąpimy, jak na to zapatrywać się będziemy. O niczem nie zapomnieliśmy, wszystkośmy obmyślili, i w końcu zdaje

się nam, żeśmy się spokojnie poddali ciosowi, który nas czeka. Mając obraz ten długo na myśli i jakby przed oczami, nawykamy do niego, przez co traci on wiele ze swojej srogości. Lecz cóż! kiedy w chwili gdy tak przewidziane nieszczęście na nas się zwala, mnóstwo się w niem znajdzie, a najboleśniejszych, okoliczności, na które zupełnie nieprzygotowani się znajdujemy. Doznajemy tych cierpień których się spodziewaliśmy, ale najrozmaitsze ich odcienia, które nam dotąd ani na myśl nie przychodziły, tak je czynią dotkliwemi, jakby to było czemś najbardziej dla nas nieprzewidzianem. I dla Maryi więc, lubo Jej przewidywanie cierpień jakie miały spotkać Jezusa w ciągu Męki Jego było tak dokładne, jak tylko niem być mogło w umyśle i wyobraźni tak żywej i doskonałej, jakiemi była Ona obdarzoną — to jednakże gdy już rozwarła się przed Nią cała otchłań Męki Syna, znalazły się w niej okropności, o których przedtem ani wyobrażenia nie miała. Zaszły wtedy różne okoliczności najzupełniej nieprzewidziane, z pomiędzy których, zdaje się, było właśnie to spotkanie Jezusa krzyż Swój dźwigającego i w Jej oczach upadającego pod jego ciężarem.

Zachodzi przeto wielka różnica, nawet w Przenajświętszej Pannie, pomiędzy tem na co przychodziło Jej już patrzyć w Męce Pańskiej, a pomiędzy tem co o niej przewidywała, to jest pomiędzy rzeczywistością a jej tylko wyobrażeniem. W urzeczywistnieniu się nieszczęścia, chociażby najdokładniej przewidzianego, zawiera się siła, dosadność, której przy najbystrzejszym rozumie i najżywszej wyobraźni przewidzieć nie sposób, chociażby już dlatego tylko że następstwo, że koleje w których okoliczności mu towarzyszące rozwijają się, będą najniespodziewańszemi. Każde też cierpienie, dopóki jest

jeszcze odległem, chociażby najżywiej przedstawione sobie w wyobraźni, nigdy nie może być tak przeszywającem duszę, jak niem jest gdy już nadeszło, gdy go nas od niego czas nie przedziela. Chociaż więc to wszystko co w czwartej Boleści miała wycierpieć Marya, zadawało już Jej wielkie cierpienia przez całe życie, bo to bezustannie miała na myśli, — to jednakże kiedy nareszcie Jej przewidywania zamieniły się w rzeczywistość, boleść Jej stała się bez porównania cięższą: była w porównaniu z Boleścią doznawaną z samego jej przewidywania tem, czem jest przedmiot jaki ożywiony, w porównaniu z jego odmalowaniem chociażby najkunsztowniejszem.

Co zaś najbardziej wzmagało tę czwartą Boleść Matki Przenajświętszej, to silne przeświadczenie, jak dalece Jej widok wtedy przydawał cierpienia Jezusowi. W poprzedzającej Boleści przy zniknięciu Jezusa w Jerozolimie, On to był niejako sprawcą doznanego wtedy cierpienia przez Matkę: a teraz na odwrót, Ona to stawała się niejako powodem ciężkiego smutku Syna. A z tych dwóch rzeczy, któraż dla Niej była łatwiejsza do przeniesienia? Czyż jest matka kochająca syna, która nie wolałaby doznać przykrości od niego, aniżeli sama go zasmucić? Jakiegoż uczucia doznać wtedy musiała Marya, której miłość macierzyńska przywiązania wszystkich matek do dzieci nad wszelką miarę przewyższała? Czem to być musiała dla tej Matki, która jakby zadawała cierpienie synowi, który razem był i Jej Bogiem? Każda zniewaga wyrządzona Jezusowi, każda męka zadana Jego Boskiemu ciału, była dla Maryi katuszą wszelkie wyobrażenie, wszelkie porównanie przechodzącą. Przejęta była najwyższą zgrozą, widząc okrucieństwo i przechodzące wszelkie możliwe występki,

i świętokradztwa, których wszyscy, bo i kapłani i sędziowie, i żołnierze i kaci, i lud i starszyzna synagogi, dopuszczali się, uczestnicząc w tej zbrodni nad zbrodniami. A oto Sama przykładała jakby do tego ręce! Sama przydawała Jezusowi cierpienia; bardziej jak podwajała ciężar krzyża pod którym upadał! Widok bowiem wtedy tak strasznie zbolałej Matki, był dla Jezusa tysiąc razy cięższą boleścią, aniżeli okrutne Jego biczowanie uwiązanego przy słupie kamiennym. Widok to Bolesnej Matki obalił Go na ziemię w tym trzecim Jego upadku. O! cóżto więc za boleść być musiała Jezusa, ale jakaż i Maryi gdy Ona ją niejako Sama zadawała! Bo przecież mogła nie pójść na to spotkanie, mogła i Sobie i Synowi tej wielkiej Boleści oszczędzić. Ale nie uczyniła tego, bo wolą Bożą było żeby Marya, dla nabycia tytułu i praw Współodkupicielki, pomimo niezmiernego spotęgowania cierpień Syna w Męce Jego Swoją przy Niej obecnością, a przez to i przez zalanie morzem najsroższej boleści i własną Jej duszę — i temu mieczowi przeszywającemu już najokrutniej Jej serce, poddała się ulegle. I dlatego spotkanie Jezusa już na Kalwaryę idącego, tę odrębność czwartej Boleści stanowi, że było to rozpoczęciem się tych bez miary i liczby boleści, jakie Ją na Kalwaryi czekały. Była to pierwszą, że się tak wyrażę, sceną tego Boskiego a tak okropnego, i tak wzruszającego, tak rzeczywistego, wielkiego i świętego dramatu, jak Sam Bóg rzeczywiście wielkim jest i świętym, a w którym to dramacie rola zaraz druga po Synu, dostawała się Matce. Wszystkiem tam bowiem, koniec końcem, kierowała najwyższa wola Boga, wola zawsze najświętsza, najmiłościwsza i najdroższa w najsroższych swoich dopuszczeniach, chociażby się na to zżymało serce, chociażby temu opie-

rała się nasza natura, a ograniczony nasz rozum nie umiał zdawać sobie z tego sprawy. Wola więc to Boża wiodła Jezusa na Kalwaryę, i taż wola za Nim prowadziła Maryę, a więc dla poddania się tej woli Marya przydawała obecnością Swoją okrutnych cierpień Synowi, i już tą razą jakby Sama wtłaczała w serce własne miecz tej czwartej Boleści, tem dotkliwszy, że jakby zbroczony był krwią i Serca Jezusowego. A teraz pytam: czyż był kiedy jaki święty na taką wystawiony próbę? Czyż domagał się kiedy Pan Bóg od jakiej matki aż takiego dowodu poddania się Jego woli, żeby Synowi na śmierć wiedzionemu zadała od samej śmierci cięższe cierpienie? Czyż kiedy jaka dusza w najbardziej bohaterskiej uległości swojej woli Boga, zdobyła się kiedy na taki akt tej cnoty, jak to uczyniła Marya, gdy poszła wtedy na spotkanie Jezusa, i po tem spotkaniu które Go o ziemię obaliło, szła za Nim dalej aż do ostatniego tchnienia Jego, a Jemu i Sobie zadając, z tego wzajemnego Siebie widoku, męki, wszystkie inne okropności Męki Pańskiej i Boleści Maryi przechodzące!

W tej czwartej Boleści, zachodziła także dla Maryi pewna okoliczność, dotąd Jej sercu macierzyńskiemu nieznana, a jak dla każdego macierzyńskiego serca nadzwyczaj dotkliwa, tak dla Jej duszy Przenajświętszej jak być tylko może najwstrętniejsza i niemymowną zgrozą Ją przejmująca. Oto widziała Jezusa w ręku obcych, którzy mogli robić z Nim co się im spodoba; gdy tymczasem Jej ani zbliżyć się do Niego nie było wolno. Jakże pragnęła otrzeć Mu, zasłoną którą miała na głowie, krew sączącą się po twarzy; rozdzielić włosy tąż krwią skrzepłą zlepione i spadające na oczy; zdjąć ostrożnie koronę cierniową, przytłaczającą Jego Boskie

skronie; podtrzymać krzyż pod którym się ciągle uginał w Jej oczach; podać Mu rękę gdy bardziej utykał! I ileż innych było do oddania Mu usług, w ciągu tej okrutnej Jego Drogi Krzyżowej, a które któż lepiej mógł spełnić, któż większe miał do nich od Maryi prawo? Bo czyż jaka matka, odkąd świat światem i dopóki trwać będzie, miała kiedy i mieć będzie mogła większe do syna prawa od Niej, która, bez współudziału męża, poczęła Go za sprawą Ducha-Świętego, całkiem z własnego tylko ciała? Sam Jezus te prawa Matki nad Sobą przyznawał, gdy odszukany przez Nią w Świątyni, pozwolił Jej dopominać się takowych publicznie. Lecz ci okrutnicy, pastwiący się wtedy w Jej oczach nad tym Boskim owocem Jej przeczystego żywota, praw tych nie uznawali, podobnie jak po dziś dzień czynią to kacerze czci Jej należnej, właśnie z powodu Jej praw Boskiego macierzyństwa, odmawiający.

Stanęły Jej wtedy na pamięci te dni błogosławione, kiedy w Betleemie i Nazarecie Swoje Dzieciątko pielęgnując, dotykała Jego Boskiego ciała ze czcią, cześć wszystkich Aniołów przewyższającą, ze świętem drżeniem i najgłębszem uszanowaniem, z jakiem najświętsi kapłani nie dotykają się Przenajświętszej Hostyi, gdy Ją trzymają w rękach podczas Mszy świętej. Niektórzy wielcy święci, w takiej chwili bywali w powietrze cudownie unoszeni, od zachwytu jakiego wtedy doznawali. Jakąż to więc czcią, jakiem uwielbieniem przejęta być musiała Marya do Przenajświętszego Ciała Syna Bożego! Dla Niej wpatrywać się w nie, a cóż dopiero macierzyńskie do niego dłonie przytykać, było za każdą razą niebem na ziemi. A oto teraz patrzała na ile to zniewag, na ile i jakich katuszy, to ciało było wystawione, i boleść nad boleściami zalewała Jej du-

szę. Widziała jak ohydne ręce oprawców, szarpały Jezusa domagając Mu do podniesienia się z ziemi, gdy pod krzyżem upadał. Widziała jak Go, zanim się podniósł, obrzydliwa noga jednego z katów tupała, a inni poprawiając Mu drzewo krzyżowe z ramion się obsuwające, trącili niem o koronę cierniową i jeszcze ją głębiej w skronie wtłoczyli. Wszak w krajach katolickich, gdy przez jakich bezbożników wyrządzona zostaje zniewaga Przenajświętszemu Ciału Pańskiemu, publiczna czyni się pokuta, i wszyscy wierni przejęci najwyższą zgrozą, postami, modlitwami i jałmużną starają się to wynagradzać. Jakąż zgrozą przejmować musiał Przenajświętszą Matkę widok tylu razem zniewag, i przez tylu naraz ludzi wyrządzonych Boskiemu Ciału Jezusa?

Piszą, że gdy świętej Katarzynie Genueńskiej, dane było razu pewnego ujrzyć w objawieniu całą złość i szpetność najlżejszego grzechu powszedniego, od zgrozy jaką na widok ten przejętą została, tylko co nie umarła. A Marya patrzała wtedy na zbrodnie jakich jeszcze pod słońcem nie było i nie będzie, a patrzała oceniając ich złość i szpetność jak żadna istota stworzona, chociażby najświętsza, ocenić tego nie może. W przedmiocie zaś na którym te zbrodnie, wszelką złość i szpetność wszystkich występków ludzkich przechodzące dopełniały się, widziała i Syna droższego Jej nad wszystko i Boga na którego chwałę tegoż Syna poświęcała. O! zaprawdę, w żadnej Boleści Maryi, te dwa najsilniejsze w Jej sercu uczucia: miłości macierzyńskiej i czci należnej Bogu, nie były tak srogo a i jedno i drugie razem dotknięte, jak w tej czwartej Boleści! Matka, a jakiej nie było i nie będzie, dusza święta a świętości po Bogu najwyższej, srożej już cierpieć nie mogła.

W Boleści tej, zawierało się także jedno z cierpień doznanych już przez Maryę w Jej ucieczce do Egiptu, lecz tą razą w nierównie wyższym działo się to stopniu; a tem było przerażenie.

Marya, jak to wiemy dobrze, była świętości tak niewymownej, tak szczytnej, że prócz Samego już Boga wyższej nie było i być nie może, bo nic szczytniejszego i świętszego nad Matkę Boga, nawet wyobrazić sobie nie możemy. Lecz to wcale nie sprawiało żeby serce Maryi nie miało posiadać czułości, wrażliwości, właściwej sercu szczególnie niewieściemu. Owszem, czułość i wrażliwość takowa, nie przechodząca w jakowyś stan chorobliwy — jak się to u niektórych osób wrażliwszych z natury przydarza — była jednakże w stopniu najwyższym, jako w istocie wszystkie i naturalne własności w najwyższej doskonałości, w najwyższym rozwoju posiadającej. Wyobraźmyż więc sobie, jak przerażające wrażenie wywierać musiał na Nią widok tego rozwścieklonego motłochu zapełniającego ulice Jerozolimy i zewsząd Ją naciskającego. Dzikie zwierzęta, których mogła się obawiać przebywając z Dzieciątkiem Jezus puszcze Egipskie, mniej były niebezpiecznemi i mniejszy przestrach i obrzydzenie w Niej obudzały. W tłumie tym, widziała wszędzie twarze najwstrętniejsze, na których malowały się uczucia zemsty dopinającej swego, złości najzawziętszej, barbarzyństwa niesłychanego, okrucieństwa wszelką ludzką zapamiętałość przechodzącego. Bo taki był wyraz twarzy tych wszystkich nieszczęsnych ludzi, użytych wtedy przez całe piekło do zamordowania Syna Bożego. Wrzaski ich, jak ryki szatanów obijały się o uszy Maryi, a bluźnierstwa i obelgi miotane na Jezusa, które zewsząd słyszała, przeszywały Jej serce tylu mieczami ile wtedy ust zbrodni-

czych na takowe złorzeczenia się zdobywało. Ścisk coraz większy, w miarę jak się do stóp Kalwaryi zbliżano, a ścisk spowodowany tłoczeniem się tych dla których okrutnej zawziętości najbardziej chodziło o patrzenie na rozkrzyżowanego Jezusa — ścisk ten iście piekielny, utrudniał coraz to więcej Jej pochód. Bo przecież i Marya chciała być jak najbliżej Jezusa. Bywały nawet chwile, że Ją tłok ten i od Jana i od Magdaleny oddzielał. A wtedy, Sama się widząc wśród takiej zgrai, pewnie żadnego na Nią względu nie mającej, owszem i na Matkę za Syna zawziętej truchlała od przerażenia. Lecz ile tylko kroku nie zwalniała i z oczu Syna coraz to gwałtowniej gnanego i popychanego, nie traciła.

Pismo Boże, przedstawia nam w Matce Machabeuszów, najwyższy wzór męstwa macierzyńskiego, gdy ta święta matrona obecna była śmierci ponoszonej przez jej synów za wiarę. I w istocie, godna ona podziwu. Lecz przy onej *egzekucyi* Machabejczyków przy ich traceniu, wszystko się odbywało w pewnym prawem przeprzepisanym porządku: bez tego zgiełku i tej rozwścieklonej zawziętości, która tłumy szalejącego od piekielnego zawrotu żydostwa, gnała na Kalwaryę i wtedy Maryę za sobą unosiła. Ziemia nic podobnie okropnego nie widziała; najczarniejsza wyobraźnia nic takiego wyroićby sobie nie mogła: stworzenia opętane nieprzebraną liczbą szatanów, z wrzaskami które im ciż szatani z gardeł wyciskali, gnali bez litości Stwórcę swego, by Go w najokrutniejszy i najhaniebniejszy jaki tylko być może sposób zamordować. A tego zamęczonego Boga Matka, patrzała na to, i wraz z tą całą falą jakby z piekłem rozlanem na ziemię, zewsząd niem otoczona, postępować musiała. O! zaiste, na większe przerażenie od do-

znanego wtedy przez Maryę, nie mogła już być żadna dusza ludzka wystawioną. A że obok tego, wrażliwość Jej serca, jak to już wspomnieliśmy, jako w naturze jak być może najdoskonalszej, była rozwinięta do najwyższego stopnia, więc to co już z tego jednego powodu wtedy cierpiała, przechodzi wszelkie ludzkie pojęcie.

Pismo święte, wspominając o dniu sądu ostatecznego, daje nam do zrozumienia, że będzie to chwila największego a powszechnego przerażenia. Wtedy bowiem roztrzygać się będą, a na całą wieczność, losy wszystkich pokoleń ludzkich, jakie od początku świata do samego jego końca przemkną się po tej ziemi. Będzie to: *Dzień wielki i gorzki bardzo* *). Słusznie jednakże wielu pisarzy kościelnych powiada, że okropność dnia Sądu ostatecznego, jest jakby niczem w porównaniu z okropnością dnia Wielkopiątkowego, a zwłaszcza tej chwili kiedy owa tłuszcza zajadłego żydowstwa, wiodła Zbawiciela na Kalwaryę. Przerażenie więc najwyższe jakie ogarnie świat cały w dniu Sądu ostatecznego jest podobnież jakby niczem w porównaniu z przerażeniem jakiem przejętem było niebo na widok Syna Bożego wiedzionego na śmierć. Lecz niebo całe, wszystkie najwznioślejsze nawet duchy błogosławione, tak ocenić w tym czynie złości ludzkiej nie mogły jak Marya, lepiej od nich wszystkich świętość Boga znająca i więcej od nich Go miłująca. Przytem była Ona i Matką Tego, na którym ta zbrodnia nad zbrodniami bo tak niejako wielka jak Bóg jest wielkim, w oczach Jej się dopełniała, a przez ludzi wśród których tłumu wtedy zmuszona była się znajdować! Co w sercu Maryi działo się w tej chwili, czem była ta czwarta Jej Boleść i ta-

*) Amos. 8. 10.

kowem przerażeniem potęgowana, to tylko Bóg, którego wiedza wszystko ogarnia, właściwie ocenić może. My najgłębszą cześć Jej oddając, nie probujmy ani wyobrazić sobie chociażby w przybliżeniu, co nasza najdroższa Matka wtedy przebyła.

Zwykle tak bywa, i któż z nas tego nie doświadczył, że jedna jaka wielka boleść, unieczula nas niejako na inne współcześnie nas dotykające, a zwłaszcza gdy one mniej są od głównego naszego strapienia dotkliwe. Jak we wszystkiem tak i co do tego, bardzo ograniczone są nasze władze moralne. Stąd i zdolność cierpienia ma w nas swoje granice. Gdy ją jedna boleść pochłania nadzwyczajnie, wyczerpuje ją niejako i czyni nas obojętnymi na inne. Z Maryą działo się inaczej. Doskonałość natury najwyższa jaką istota stworzona (prócz człowieczeństwa Jezusowego) mogła być obdarowaną, sprawiała, że i zdolność w Niej cierpienia posuwała się do granic, do których żadna największa ludzka czułość i wrażliwość ani się zbliżały. Wśród więc tych strasznych cierpień i tego niewymownego przerażenia pod jakiem jęczało Jej serce, gdy przy spotkaniu Jezusa idącego na Kalwaryę, patrzała na urzeczywistnienie się tego, co przez całe życie przewidywane, miecz Symeonowy ciągle wtłaczało w Jej duszę — pomimo niezmiernej z tego boleści, ciężko raniły Jej serce, i inne jeszcze okoliczności towarzyszące drodze krzyżowej Pana naszego.

Tak tedy, pomiędzy innemi, było to dla Niej nadzwyczaj bolesnem, że prócz Jana, żaden z Apostołów nie znajdywał się tam podówczas; żaden nie szedł za swoim Boskim Mistrzem. Stanęły Jej wtedy na myśli, szczególne łaski Jezusowe, któremi tak hojnie każdego

z nich obdarzył, a największą ze wszystkich że ich na pierwszych uczniów Swoich powołać raczył, im najskrytsze tajniki serca Swojego, a zwłaszcza w pożegnalnej przemowie podczas ostatniej wieczerzy, odkrył; ich na założycieli Swojego Kościoła przeznaczył, im w niebie wyjątkową chwałę zgotował i zapewnił. Pamiętała dobrze, ile to przez trzy lata życia czynnego Pana Jezusa, odebrali oni od Niego dowodów szczególnej miłości. Oni podobnież jak Marya, chociaż przez czas krótki i nie w takim jak Ona stopniu, przypuszczeni byli do najbliższej z Synem Bożym poufałości. Im także, przez trzy lata czynnego życia Zbawiciela, danem było wpatrywać się prawie ciągle w Jego Boskie oblicze, słuchać Jego niebieskiego głosu, brać do serca słowa z ust odwiecznej mądrości wychodzące. Oni przez szczególne wybrańtwo jakie na nich spadło, bez żadnych ich odpowiednich takiemu dobrodziejstwu zasług, według wyrażenia samegoż Pana naszego, jakby powtórnie narodzili się do życia nowego, a które już tu na ziemi dawało im zakosztowywać szczęścia niebieskiego. Marya pojmowała to dobrze, że po Jej powołaniu na godność macierzyństwa Boskiego, i po godności świętego Józefa jako piastuna Syna Bożego, nie było i być nie mogło wyższego powołania, ani wyższej godności nad godność Głosicieli Słowa wcielonego. Mądrość przedwieczna zstąpiła na ziemię, i z tylu milionów ludzi zaludniających ją wtedy, wybrała tylko dwunastu, których przypuściła do Swoich tajemnic, gdyż oni-to mieli być tej mądrości najwierniejszym odblaskiem. Syn Boży założywszy Swój Kościół, im zwierzył najwyższą w nim władzę, ich przeznaczył i uzdolnił do dokonania dzieła, które rozpoczął. Apostołowie byli więcej jak Aniołami, albowiem żaden z Aniołów

prócz Anioła Gabryela zwiastującego Matce Bożej przyjście Zbawiciela, nie przyniósł ludziom tak wzniosłych objawień, tak ważnych prawd, tak potrzebnych nauk jak te, do rozpowszechniania których przeznaczył Pan Jezus tych Swoich wybrańców. Byli oni królami, mocarzami, jakich nigdy nie było, bo nietylko mieli całą ziemię zdobyć, lecz trony ich przygotowane zostały na dzień ostatecznego sądu, obok tronu Najwyższego Sędziego. Zbawiciel takiemi obdarzył ich łaskami, że później gdy każdy z nich przeniesie męczeństwo za wiarę, żadnego z innych największych Męczenników krew za Niego przelana, nie będzie dla Niego tak drogą, jak krew tych sercu Jego najbliższych. Żadne dziewictwo nie wyrównało ich czystości, czy to była czystość nieposzlakowanej od kolebki niewinności, czy odzyskana ostrą pokutą. Żaden z Wyznawców, nie wyznawał Chrystusa z taką wytrwałością i z takiem męstwem jak oni. Żaden biskup z ich następców, nie używał zwierzonych im przez Boga kluczów do nieba, z większą roztropnością, z większą łaskawością, z właściwszem umiarkowaniem, i z odważniejszem nieoglądaniem się na względy ludzkie. Żaden z Papieży nie pozwolił sobie przybrać imię Piotra którego dzierżył władzę, bo każdy z nich czuł, że ją z taką chwałą i tak świetnie jak ten książe Apostołów sprawować nie potrafi.

Otóż oni to, tacy wybrańcy Jezusa, do takich wzniosłych godności przeznaczeni i odpowiedniemi do tego łaskami jak najhojniej obdarzeni — w owej chwili, gdy zapamiętali wrogowie Zbawiciela wiedli Go na Kalwaryę, a Marya szła za Nim, gdzież byli? co się z nimi stało? Czyżby Boskiego Mistrza Swego odstąpili? Czyżby Maryę i z tego powodu nowa i już prawie nieprzewidziana miała spotkać boleść? Niestety!

tak jest, prócz Jana, nie masz tam wtedy z Apostołów żadnego. Piotr tknięty spojrzeniem na niego Zbawiciela w przedsionku Kaifasza, pobiegł na górę Oliwną i tam gorzko opłakiwał swoje zaparcie się Jezusa. Upadek ten tak mu odjął siły ducha, że nie czuł się w możności patrzyć na Mękę i ukrzyżowanie Tego, którego miłował więcej od innych Apostołów. Inni rozproszywszy się przy pojmaniu Pana Jezusa w Ogrojcu, w różnych miejscach się pokryli, przejęci trwogą, zafrasowani losem ich mistrza, sami nie wiedząc co począć i jak im wtedy zachować się wypadało, w największym smutku byli pogrążeni. Lecz ich nie było tam gdzie byli wtedy Jezus i Marya.

Ta więc nieobecność w takiej chwili Apostołów, ciężko raniła serce Przenajświętszej Matki, zadając mu jakby trzy rany. Najprzód boleśnie to Ją dotykało w Jej miłości ku Jezusowi. Marya wiedziała jak dalece ta nieobecność i Jego serce raniła srodze. Czuła, że On bardziej aniżeli od biczowania i okrutnego koronowania cierniem, cierpiał z powodu takowego opuszczenia Go przez tych, których tak daleko więcej od innych ludzi umiłował, tyle dał im tego dowodów; i to najbardziej Ją Samą w takiem zachowaniu się Uczniów Pańskich smuciło.

Prócz tego niezależnie od współczucia z boleścią jaką to sprawiało Jezusowi, bolało Ją i to, że gdy pragnęłaby kosztem życia własnego przynieść jakąkolwiek ulgę, jakąśkolwiek pociechę Jezusowi, w owej tak okropnej chwili, widziała że i tej jest pozbawiony, na jaką zdawałoby się że mógł był rachować, to jest, nie ma przy Sobie tych, którzy jeśli kiedy to wtedy powinni Go byli nie odstępować. Był to niezmiernie żywy a smutny obraz niewdzięczności ludzkiej. A wiemy że

boleść zadana sercu przez niewdzięczność ludzką jest cierpieniem tak dotkliwem, że nawet gdy spotyka osoby mało nas obchodzące, wzbudza to w nas wielką litość. Jakież więc to bolesne uczucie rozbudzać musiało w sercu Maryi, gdy ofiarą wielkiej niewdzięczności, i w takiej jeszcze chwili, był Jej Syn najdroższy i Bóg najwyższy!

Nakoniec, odstąpienie wtedy Jezusa przez Apostołów, niewymownie zasmucało miłość Przenajświętszej Matki ku nichże samych. Słabość ducha jakiej przez to dowodzili, była dla Niej niezmiernie dotkliwą. Ona ich tak bardzo miłowała! oni tak wyjątkowe zajmowali w Jej sercu miejsca, i jako dusze z pomiędzy tylu milionów dusz innych wybrane przez Zbawiciela do dzieła dla wykonania którego zstąpił na ziemię, i jako ci którzy i Jej Samej tak wiele już dali byli dowodów i przywiązania i miłości i czci najgłębszej. Oni zajmowali w Jej sercu miejsce zaraz obok tego, jakie tam zajmował święty Józef: po jego śmierci, Marya tu na ziemi, miała ich za najbliższych Sobie. A czemuż tak jak Jej przeczysty Oblubieniec, który gdy żył jeszcze był przy Niej podczas Jej trzech pierwszych Boleści, nie było ich w tej czwartej przy Niej?

Smuciło Ją wreszcie i przewidywanie, jakiem to dla nich samych będzie później i zawstydzeniem i zgryzotą, że nie byli świadkami najważniejszych, a najwięcej kosztujących ich Boskiego Mistrza, tajemnic. Zewsząd więc i wszelkiego rodzaju zasmucenia zwalały się na serce Przenajświętszej Matki, już i bez tego srodze przeszyte, i wszystko co kochała, wszystkie Jej miłości, stawały się wtedy powodem nowych ran temuż sercu zadawanych.

Ale smutek Maryi spowodowany małodusznością Apostołów w owej chwili Męki Pańskiej, był jakby ni-

czem, w porównaniu boleści jaką Jej zadawała zdrada nieszczęsnego Judasza. Z objawień niektórych Świętych dowiadujemy się, jak gorące modlitwy zanosiła Marya za duszę tego nędznika. Przewidując w nim jakieś zbrodnicze zamiary zanim je wykonał, okazywała się dla niego szczególnie łaskawą, chcąc go przez to z drogi zguby wiecznej, na którą wchodził, nawrócić. Lecz jak słowa pełne miłości Jezusa, wyrzeczone do niego w Ogrojcu, gdy pocałunkiem zdradzał swego Boskiego Mistrza, nie pomogły, tak i zabiegi dobroci Maryi, jak o skałę piekielną obiły się o duszę tego nieszczęsnego potępieńca. Dopuścił się on tej strasznej zdrady, i oto jakby w oczach Maryi szła na potępienie nietylko jedna z dusz za które Jezus szedł śmierć ponieść, ale jeden z Jego najbliższych uczniów, jeden z Jego Apostołów, jeden z tych który tylko co przedtem, z rąk Zbawiciela, przyjął Przenajświętszy Sakrament. O! cóżto za boleść była dla Matki Przenajświętszej! jaką zgrozą i jakim smutkiem przejmowało to Jej serce! Tu znowu przez współczucie z Jezusem, cierpiała niezmiernie, wiedząc jak On z tego powodu cierpiał. Cierpiała przytem i jako przyszła najszczególniejsza Opiekunka grzeszników, widząc że jeden z nich uratować się Jej nie dał, i w nim mając Sobie przedstawiony rozdzierający Jej macierzyńskie dla nas wszystkich serce obraz tych i tylu dusz nieszczęsnych, które pomimo nieprzebranych zasług Męki Zbawiciela, na którą właśnie patrzała — wskutek złości własnej, pójdą na wieczne potępienie.

Gdybyśmy byli w stanie pojęcia jaką miłością pałało serce Maryi dla każdej duszy krwią Jej Syna odkupującej się wtedy, moglibyśmy ocenić Jej boleść z tego powodu doznaną. Lecz czyż to jest dla nas możliwem? Marya wydała Syna na zbawienie wszystkich

ludzi, i wydałaby Go prócz tego i za jedną tylko duszę, gdyby tego potrzeba była, a więc i za duszę Judasza. Wtedy zaś właśnie patrzała na Mękę tego Syna zaofiarowanego przez Nią w takim celu — a oto tejże Męki nieprzebrane zasługi tak marnowały się w Jej oczach na osobie tego najstraszniejszego jaki był kiedy zdrajcy. Gdyby patrzała była na upadek Lucyfera, kiedy z wyżyn niebios strącony został do głębin piekieł, nie tak bolesnego doznałaby wrażenia, jak to którego doznawała wtedy ze zdrady Judaszowej. Bo przecież za duchy niebieskie zbuntowane, Syn Boży się nie zaofiarował, a jak za świat cały tak i za tego wiarołomnego ucznia Swego, szedł wtenczas na Kalwaryę.

Lecz niestety! ileżto ta Matka nasza najprzywiązańsza i najlitościwsza, miała odtąd podobnych doznać smutków, gdy pomimo największych wysileń Jej miłości macierzyńskiej ku ludziom, tylu i tylu wyrwie się Jej z rąk jakby gwałtem i zgubi na wieki! Pewnie w osobie Judasza stanęły Jej na myśli wszystkie dusze mające się potępić do końca świata, i do morza goryczy zalewającego wtedy Jej serce, drugie takież morze dolały.

Tak tedy, z najrozmaitszych powodów okrutnie rozdartem sercem, po spotkaniu się z Jezusem bardzo krótką chwilę trwającem, w ciągu której tyle tylko upłynęło czasu, żeby dobrze się przypatrzyła jak strasznie Syn Jej skatowany, jak ciężko zmęczony, jak upada pod krzyżem — po takiem spotkaniu, szła już ślad w ślad za Nim. A w tym najżałobniejszym jaki był kiedy pochodzie, co krok to nowa dla Niej boleść! Tu widzi najwyraźniej krew Jego, rozlaną po drodze którą tylko co przeszedł. Chciałaby upaść na ziemię, cześć Jej oddać najgłębszą, i temiż macierzyńskiemi dłoniami

któremi ją piastowała w żyłach Dzieciątka, zebrać na zasłonę którą miała na głowie. Ale czyż podobieństwo było to uczynić, wśród tłoku który ją unosił i zewsząd naciskał i popychał. Zamiast więc tego, musiała patrzyć jak krew tę deptał ten szkaradny motłoch, i jak nawet na obuwiu niektórych zostawały Jej ślady. Boże Wielki! a cóżto za widok był dla Maryi? wszak to krew z najczystszych kropli Jej macierzystego ciała urobiona, ciepła jeszcze krew Syna, którą Mu za chwilę co do kropli wytoczą. Ale niedość na tem, to krew Boga wcielonego, wylewającego ją za tych którzy ją depcą! To Przenajświętszy Sakrament, tak i tyle wtedy razy w oczach Maryi znieważany!

W Boleści tej powinniśmy zwrócić także uwagę i na to, co już i w poprzednich nie pomijaliśmy, to jest z jednej strony uważać powinniśmy wielką zgrozę jaką obudzały w Maryi straszne grzechy dopełniające się wtedy w Jej oczach, a z drugiej i niezmierną litość, jaką przejmowało Ją nieszczęście tylu dusz, dopuszczających się tych wszelką miarę przechodzących zbrodni. Było pomiędzy nimi wielu takich, których grzeszne zaślepienie, wskutek którego nie poznawali w Panu Jezusie Mesyasza oczekiwanego, przywiodło do tego że się zawzięli na Niego, z całą zajadłością do jakiej przywiodło ich piekło. I nad takiem zaślepieniem ludzi wśród których Syn Boży przebywał tak długo, do których przemawiał tak często, wśród których tyle cudów czynił — bolała niezmiernie. Lecz jakże nierównie srożej przejmowała Ją największą zgrozą złość tych, którzy jak naprzykład kapłani i starsi Synagogi, nie mogli mieć na swoją obronę żadnego rodzaju nieświadomości religijnej. Oni bowiem jako obeznani z Pismem świę-

tem, pierwsi i od razu powinni byli poznać w Panu Jezusie dawno przez Proroków przepowiedzianego narodowi wybranemu Mesyasza, i cały lud za Nim pociągnąć. A tymczasem, oni to okazali się najzawziętsi na Niego. Jakiż ci nieszczęśni los sobie w wieczności gotują! jakżesz ciężką i straszną karę na siebie ściągają!

Owoż, wszystko to Marya dobrze wiedziała. Lecz jakkolwiek większą Ją to zgrozą przejmowało aniżeli Apostołów Jakóba i Jana, gdy widząc niewdzięczność Samarytanów z jaką się obeszli ze Zbawicielem, chcieli oni wywołać na nich karzący ogień niebieski — Ona nie pragnęła ukarania tych, którzy Jezusa zamordowywali. Owszem, chciałaby była temiż boleściami jakie wtedy przebywała, wyjednać im łaskę opamiętania się. A czy dla wszystkich, czy dla wielu, czy dla niektórych przynajmniej wyjedna to u Boga, nie dano Jej było wtedy przewidzieć, chociaż, jak wiemy, rzesza wracająca z Kalwaryi po śmierci Zbawiciela, biła się w piersi i nawróconą została *). Zanim więc to nastąpiło jeszcze, widok tego mnóstwa ludzi wszelkiego wieku, płci i stanu, którzy wiodąc Jezusa na śmierć, sami w oczach Maryi szli na śmierć wieczną, był dla Niej widokiem, kto wie czy nie bardziej rozdzierającym Jej Serce i dla nich macierzyńskie, aniżeli widok gnanego przez nich bez litości Jej Syna, mającego za nich umrzeć.

Osoby tkliwszego usposobienia, a obok tego żywszej wyobraźni i wrażliwszej pamięci, gdy ich jakie nieszczęście spotyka, odrębnej doznają boleści, z zestawienia smutnej teraźniejszości z ubiegłą szczęśliwą prze-

*) Łuk. 28. 48.

szłością. Wśród doznawanego strapienia, wspomnienia takowe, same z siebie się nastręczają, jakby dla przydania jeszcze ciemniejszej barwy temu co nas już i bez tego ciężko przygniata. Czyżby więc tej czwartej Boleści Maryi, i ten niemało przeciążający ją przydatek mógł być oszczędzonym, gdy Ona w każdej ze Swoich Boleści, kielich jej goryczy co do ostatniej kropli wychylać miała.

Wprawdzie, całe Jej życie, a zwłaszcza od chwili wtłoczenia się w Jej Sercu pierwszego miecza Boleści przy przepowiedni Symeona, — było bezustannem cierpieniem. Wszelako, któż z nas nie wie, jak ogromna zachodzi różnica pomiędzy samem tylko przewidywaniem nieszczęścia i to odległego, a już jego doznaniem. Bądź co bądź, pomiędzy samem tylko wyobrażeniem czegoś, chociażby najżywszem, a urzeczywistnieniem się tegoż, zachodzi cała otchłań różnicy, którą nie oceniamy aż gdy się z samą już rzeczywistością stykamy. Jakkolwiek więc całe życie Przenajświętszej Panny było jakby zatrute ciągłą myślą o tem co Jej Boskiego Syna czekało, to jednakże, błogosławione chwile Jej pobytu z Nim czy to w Betleemie, czy w cichym Nazarecie, czy nawet na wygnaniu w Egipcie — były rajem niebieskim tu na ziemi, w porównaniu z tem co wtedy z Nią się działo w tej czwartej Boleści.

Prawda, że od czasu pierwszej Swojej Boleści, od zaofiarowania Jezusa w świątyni Jerozolimskiej, już Go Ona wydała na zadośćuczynienie najwyższej Sprawiedliwości za grzechy świata całego, — i już się Go Ona jakby wyrzekła z miłości Boga i ludzi. Ale Go jednakże wtedy jeszcze wyłącznie posiadała; piastowała Go na łonie Swojem, nie spuszczała z rąk własnych, a tembardziej z oczów pełnych miłości i macierzyńskiej

i Boskiej. Nikt prócz Niej nie miał do Niego prawa; mało kto, i to chyba za Jej zezwoleniem, mógł się do Niego zbliżyć, a tembardziej Przenajświętszego Jego ciała dotknąć.

A teraz, nietylko że nie w Jej, a w obcem ręku był Syn Jej najdroższy, lecz tego całego rozwścieklonego motłochu ręce podnosiły się na Niego, z niesłychaną, niepojętą, całe niebo w przerażenie wprawiającą zuchwałością. Teraz już nietylko wolno było najnikczemniejszym istotom dotykać się Jego Boskiego ciała, ale zostało Ono wydane im na pastwę, jak ciało niewinnego baranka, rzucone zajadłym wilkom. Każdemu z tych okrutnych oprawców, wolno było zbliżyć się do Jezusa, żeby Mu zadać jaką nową mękę; każdy najostatniejszy z tego zbiorowiska samych fusów ludzkości, mógł Go potrącać, deptać, szarpać, naigrawać się z Niego: tylko Jej zbliżyć się do Syna nie było wolno! Wszyscy, od pierwszego do ostatniego, jakich tam było tysiące, nabyli nad Nim prawa, Ona wszelkie Swoje do Niego straciła! O! cóż za różnica pomiędzy tem co się wtedy działo, a owemi błogosławionemi, błogiemi i szczęśliwemi czasami Dzieciństwa Jezusowego!

Marya przypomniała sobie z jaką czcią, z jaką miłością — i drżącą od uwielbienia pieczołowitością, kąpywała Jego Boskie dziecinne ciałko; a oto teraz patrzała jak na toż ciało skatowane od stóp do głowy okrutnem biczowaniem, rzucano to błotem, to śmieciem, a nawet i gnojem, przydając do tego najobelżywsze okrzyki.

Przypomniała sobie z jakiem uszanowaniem, matczynemi dłoniami, przyodziewała Go w szatki jak śnieg wybielone przez Nią, jak chmurki koło słońca schludnie i jak najstaranniej przez Nią na Nim ułożone; a teraz widziała jak szarpią na Nim odzienie, już-to

pobudzając Go barbarzyńsko do prędszego pochodu, już gwałtownie podnosząc z ziemi.

Przypomniała sobie, jak ukochaną główkę Jego dziecinną, tę istną stolicę Mądrości odwiecznej, przyciskała z niewymownej czci i miłości uczuciem do serca; a teraz widziała jak jeży się na Niej okropna korona cierniowa, z pod której ciągle krew się wydobywa!

Widziała jak te ręce, które tyle razy gdy malutkim był jeszcze Jezus, głaskały Ją po obliczu, owijały się o Jej dziewiczą szyję, — teraz podtrzymywały ciężkie drzewo krzyżowe na barkach, a od chwili do chwili zsuwały je dla jakiejkolwiek ulgi, albo w tył albo naprzód, i nie z Jej matczynemi rękoma jak to dawniej bywało pieściły się milutko, lecz z ramionami krzyża!

Przypomniała Sobie jak czuwała nad Nim, gdy w kolebce, lub później nieco podrósłszy na skromnej pościółce, zażywał snu spokojnie. A teraz, pamiętając że noc całą spędził bezsenną, a po niej przeniósł już męki straszne, a więc że brak Mu sił zupełnie, — wiedziała że nie spocznie gdzieindziej jak rozpięty na krzyżu, i że nad takiem to łożem Syna, za chwilę przyjdzie Jej czuwać!

Co podobne zestawienie się szczęśliwej przeszłości z najsmutniejszą i najokropniejszą jaka kiedy być mogła teraźniejszością, przydawało goryczy w tej czwartej Boleści, Maryi i to Bogu już tylko wiadomo.

---

§. III. Wewnętrzne usposobienie Przenajświętszej Matki, w Jej czwartej Boleści.

Takim tedy był czwarty Miecz przeszywający niepokalane serce Matki Bolesnej, a według właściwego coraz wyższego w Jej Boleściach stopniowania, które

zauważać mogliśmy, ostrzejszy, dotkliwszy, zjadliwszy, sroższy i jeszcze głębiej od trzech poprzedzających, rozdzierający Jej duszę. Zwróćmyż teraz i tu, według zwyczaju przyjętego przez nas w rozpamiętywaniu poprzednich Boleści Maryi, uwagę na Jej wewnętrzne w ciągu tego usposobienie.

A najprzód, uwielbiajmy tu Jej wspaniałomyślność, w zaofiarowaniu, które raz uczyniwszy, już nie cofa, chociaż przychodzi do tego, że kosztuje Ją ono nad wszelką miarę więcej jak to przewidywać mogło, nawet takie przewidywanie jakie Przenajświętsza Panna czynić była w stanie, całą potęgą Swojego nadanielskiego pojęcia, i najżywszej jaka być może wyobraźni Wśród tłoku najrozmaitszych myśli nastręczających się Jej wtedy, nietylko myśl cofnięcia lub pożałowania ofiary uczynionej, chociażby jak skinienie oka chwilowo, nie przemknęła się przez Jej umysł, ale nawet nie zapragnęła Ona, aby którakolwiek z okoliczności, chociażby z zadających Jej najsroższą boleść, albo nie nastąpiła, albo przynajmniej cokolwiek złagodniała, i mniej okrutnie Ją dręczyła.

Gdy zupełnie oddajemy się Bogu, gdy najszczerzej zaofiarowujemy się na przeniesienie wszelkich cierpień jakie spodoba się Mu zesłać na nas, często porywamy się na rzeczy przechodzące wszelkie nasze przewidywanie. Kiedy święty Jan Apostoł, oświadczał się z gotowością wychylenia kielicha goryczy swego Boskiego Mistrza *), nie przewidywał wcale, jak długie czeka go na dzikiej wyspie wygnanie i jakie ciężkie męki we wrzącym oleju, w którym go mieli smarzyć. Toż samo dzieje się z nami, gdy się z całego serca odda-

*) Mat. 20. 21.

jemy Bogu, a gdy dla większego dobra naszej duszy, widzi On potrzebę zesłania na nas ciężkich jakich cierpień. Przekonywamy się wtedy, że niekiedy to czego w istocie wymaga po nas Pan Bóg, większem jest i trudniejszem do przeniesienia od tego czegośmy się spodziewali, cośmy Mu niejako przyrzekli. Albowiem im więcej nas Pan Bóg miłuje, tem więcej staje się wymagającym. Obchodzi się z nami jakby serca nasze wspaniałomyślniejszemi były aniżeli są niemi w istocie, i dopiero łaską Swoją czyni je takiemi, gdy znachodzi nas pokornie poddającymi się Jego przenajświętszej woli.

Wprawdzie, Przenajświętsza Panna lepiej jakby to ktokolwiek inny mógł uczynić, oceniała wielkość Swojej ofiary, i dokładniej jak najbystrzejszy umysł ludzki, przewidywała co Ją wskutek uczynienia tej ofiary czeka. I to właśnie ciągłe Jej cierpienie z takowego przewidywania pochodzące czyniło rzeczywistszem i dotkliwszem, aniżeli z podobnegoż przewidywania mógł takowegoż doznać, który z Proroków lub Świętych, mający szczególne objawienie czegoś bolesnego co go w przyszłości czekało. Wszelako, chociaż Matka Przenajświętsza przewidywała wszystko, nie przeczuwała jednakże całej rzeczywistości czekających Ją cierpień, a która to rzeczywistość, dopiero gdy już się one na nas zwalają, całą swoją potęgą czuć się nam daje. Przedewszystkiem zaś, prawdopodobnie, nie mogła przewidzieć w tem jakkolwiek jasnem widzeniu przyszłości którem obdarzoną była, tego powolnego ucisku, jakim sam bieg czasu wśród doznawanych cierpień przygniata serce strapione. Tak tedy, co do ich całości, nawet co do ich głównych szczegółów, jakoteż co do czasu ich trwałości, Boleści Maryi nie przewyższały tego, co Ona przenieść przyrzekła Bogu, albowiem Jej zaofiarowanie

się na cierpienia ogarniało wszystko: miała intencyę złożenia w ofierze Bogu, bez żadnego ograniczenia, wszystko co Ją najboleśniejszego czekało. Pomimo jednakże tego, przypuszczać trzeba, że Boleści te, gdy już nadchodziły, jeszcze się cięższemi okazywały od tego czem się Jej przedstawiały w chwili gdy przyrzekała je przenieść. Marya bowiem, bądź co bądź, była istotą stworzoną, bóstwem nie była, i o tem trzeba nam najbardziej nie zapominać gdy rozważamy Jej Boleści, wśród których jaśniejąca największym blaskiem Jej niezrównana świętość, sprawia, że o tem jakby zapominamy. I nic w tem dziwnego, kiedy tak wielki Święty jakim był święty Dyonizy Areopagita, gdy dostąpił szczęścia bliższego poznania Przenajświętszej Panny, byłby, jak sam to wyznawał, wziął Ją za bóstwo, gdyby go wiara nie uczyła, że jeden jest Bóg tylko. Owoż, my nigdy lepiej nie poznajemy Maryi, jak gdy Jej Boleści rozważamy, nie zapominajmyż wtedy, że pomimo niedoścignego szczytu świętości z jaką te cierpienia Swoje przenosiła, była Ona istotą stworzoną, ale z jakże nadludzkiem męstwem, z jak nadludzką cierpliwością, z jakąż Boga i ludzi miłością te jakby także nadludzkie Boleści, przenoszącą!

Że przeto, jakkolwiek wysokim darem przewidywania obdarzoną była Przenajświętsza Panna, jednakże w tem co Ją spotkało w Jej Boleściach znachodziła wiele najdotkliwszych szczegółów jakby dla Niej niespodzianych, — więc i to czyni tem przedziwniejszą Jej wspaniałomyślność w ponoszeniu takowych z niezachwianą cierpliwością. Okropność teraźniejszości już nadeszłej, przytłumiała po części światło przy którem patrzała na nią w przeszłości; a jednakże pogrążała się coraz głębiej w otchłań cierpienia z niezachwianym

wewnętrznym spokojem. Poddawała się z największą pokorą przyciążającej się coraz bardziej nad Nią prawicy Najwyższego, i gotową się stawiła, gdyby taką była wola Jego, jeszcze cięższe ponieść męczarnie.

Wielki męczennik Starego Testamentu Hiob, uświęcił się, chociaż wśród ciężkich cierpień swoich, nie powstrzymywał się od niewinnych utyskiwań. Wielu i innych Świętych, podobnie jak Piotr książe Apostołów, zaczynało pogrążać się w rozhukane fale zwątpienia *), gdy nimi nadzwyczajnych cierpień miotały burze. Lecz z ust Maryi i najstraszliwsze nawalności niesłychanych Jej Boleści, ani słowa skargi nie wywołały, nie przyprawiły Ją ani o chwilę zwątpienia. A tymczasem wiemy to z własnego doświadczenia, jak trudno jest gdy nadejdą nieco cięższe dla nas chwile, wytrwać w niezachwianej wierności Bogu, w doskonałem poddawaniu się Jego woli najwyższej, jak trudno wtedy nie odwrócić się niejako od Niego, żeby u stworzeń szukać wsparcia i pociech, które jakby wydzierają nas z miłościwej ręki doświadczającego nas Pana. Nasza wtedy wytrwałość, jest ciągłą walką pomiędzy naturą a łaską, i gdy wiemy że Bóg w widokach Swoich zawsze najmiłościwszych, chce żebyśmy cierpieli, my jednakże koniecznie ulgi w nich szukamy. Pan Bóg chce nas oczyszczać, udoskonalać, uświęcać, a my chcemy się pocieszać, i nie po cierniach jak wszystkie wybrane dusze, ale po kwiatami ludzkich pociech usłanej drodze, zmierzać do nieba.

Otóż na wielką, a zupełnie godziwą pociechę naszą przypomnijmy sobie, że im kto więcej własne z mi-

*) Mat. 14. 40.

łości Boga znosi cierpienia, tem litościwszym się okazuje dla tych, którzy pod ich ciężarem się chwieją. Gdy więc nikt w przenoszeniu Boleści nie był mężniejszym od Maryi, nikt też nie jest dla cierpiących litościwszym od Niej. Stąd też, my czołgający się po tej biednej ziemi, wśród tylu nędz naszych, a tylu niedoskonałościami obarczeni, im więcej cierpimy, tem śmielej do Niej oczy nasze zwracać powinniśmy i Ją o wsparcie błagać. Im wyższą się Ona nam okazuje w doskonałem przenoszeniu strasznych Swoich Boleści, im z większą i wytrwalszą wspaniałomyślnością składała je w ofierze Bogu, tem chętniej, tem miłościwiej, tem skuteczniej i niechybniej da nam i nasze wszelkie cierpienia znosić jak Pan Bóg chce, żebyśmy je znosili, a łącząc je z Jej Boleściami, w niebie za nie u stóp Jej przenajświętszych na wieki Bogu za nie dziękować.

Trzeba nam także zwrócić uwagę na bezustanną, a tak wiele kosztującą Ją usilność, z jaką Przenajświętsza Panna, przytłumiała w Sobie doznawaną w spotkaniu Jezusa krzyż niosącego Boleść.

Otoczona tłumem rozszalałego motłochu, naciskana zewsząd pędzącym na Kalwaryę ludem, wydawała się jakby nic tego nie widziała, jakby na nic nie zwracała uwagi, jakby nie czuła że Ją potrącają, to gniotą, albo Jej zdążać za Jezusem, jakby chciała, utrudniają. Żaden z Jej ruchów, żadne Jej poruszenie, ani wyraz Jej oblicza, nie zdradzały najmniejszego wewnętrznego zaniepokojenia. Gdy Ją ludzie odpychają od Jezusa i z okrutnem barbarzyństwem nie dozwalają Jej bliżej być Syna, najmniejszego nie okazuje oburzenia, ani słowa skargi z ust nie wypuszcza, najzupełniej panuje nad Sobą. Zachowanie się Błogosławionych duchów

w widzialnej obecności Boga w niebie, nie jest spokojniejszem i bardziej skupionem, jak niem było zachowanie się wtedy Maryi, zewsząd otoczonej i naciskanej od tego zbiorowiska rozpasanego pospólstwa. I dla tego święty Ambroży słusznie przygania tym, którzy przedstawiają Matkę Bolesną z zewnętrznemi gwałtownemi objawami Jej wewnętrznych cierpień.

Lecz z drugiej znowu strony, nie powinniśmy wyobrażać sobie naszą przenajdroższą Matkę, jakby jaki piękny kamienny posąg, nie schodzący nigdy ze swej wysokiej podstawy; jakby była ukuta z granitu, a nie istotą z ciałem i krwią stworzoną. Posągi chociażby były z nadziemskiego jakiego marmuru najcudowniej wyrzeźbione, serca nie mają. A w Maryi było serce matki, a i jakiejże Matki i jakież Serce! Ten więc niezachwiany Jej wewnętrzny spokój, pomimo wielkiej Boleści jakiej wtedy doznawała, był jedynie następstwem Jej niezrównanej świętości, wskutek znowu której, wola Jej najdoskonalej zjednoczoną była z wolą Boga. A że każda Jej Boleść do jeszcze coraz wyższego stopnia podnosiła Jej świętość, a przez to i Jej coraz doskonalsze poddawanie się w znoszeniu zsyłanych na Nią cierpień, więc im więcej cierpiała, im bardziej pogrążała się Jej błogosławiona dusza w morzu Jej Boleści, tem niezachwiańszem stawał się Jej pokój wewnętrzny.

I taki to, a nie inny obraz Przenajświętszej Matki, powinniśmy sobie przedstawiać, gdy rozpamiętywamy Jej Boleści. Inaczej nie mielibyśmy właściwego o Niej wyobrażenia. Albo przypuszczalibyśmy w Niej niezgodne z Jej niezrównaną doskonałością słabości zwykłego niewieściego serca, albo znowu przeciwnie, wyobrażalibyśmy sobie w Niej jakby nieczułość, uwła-

czającą takiemu sercu jakiem było Serce takiej Matki. Marya jest niewiastą, prawdziwą niewiastą, lecz niezwykłą, nie taką jak każda inna niewiasta. Nie przestając być kobietą, jest istotą w którą według wyrażenia Pisma świętego *przyoblekło się słońce odwieczne* *), to jest: w której przeczystem łonie Sam Bóg najwyższy zamieszkał. Jak we wszystkiem więc co się Jej tyczy, jest coś przechodzącego nasze ograniczone pojęcie, tak i w tym Jej nienaruszonym spokoju duszy i zewnętrznie się objawiającym wśród tak strasznych cierpień wewnętrznych, — jest coś co dokładnie zrozumieć nie możemy, lecz w czem Jej nadludzką siłę w zapanowaniu nad Sobą, podziwiać i uwielbiać powinniśmy.

Nie wypada nam także, w rozważaniu tej czwartej boleści Maryi, nie zwrócić uwagi na zjednoczenie Jej cierpień z cierpieniami Jezusa. Już o tem zjednoczeniu mówiliśmy nieraz, lecz tu szczególnie wymaga to wzmianki. Tu Matka Bolesna spotyka się z Synem krzyż Swój niosącym; tu w tej krzyżowej drodze Jezusa, pomimo niesłychanych mąk, jakie Jej ten okrótny widok zadaje, idzie ślad w ślad za Nim; tu towarzyszy Mu nieodstępnie. Tu więc przedewszystkiem łączy się z Nim, a więc jednoczy się z Jego cierpieniami.

Z nieprzebranego miłosierdzia Boskiego, dano jest i z nas każdemu, tak jednoczyć się z Panem Jezusem, dano jest nam odkupionym przez Niego, tak łączyć się z naszym Odkupicielem — że możemy samym aktem wewnętrznym ożywionym miłością Jezusa, zespalać nasze cierpienia z cierpieniami Pana naszego i przez to uczestniczyć w ich nieograniczonej ceny zasługach. Stąd

*) Objaw. 12. 1.

też co głównie wyróżnia Świętych od pospolitych chrześcijan, to właśnie to ich jak najściślejsze zjednoczenie swoich cierpień z cierpieniami Zbawiciela. Teologowie utrzymują, że różnica jaka zachodzi pomiędzy Świętymi przebywającymi na ziemi, a Błogosławionymi już w niebie będącymi, na tem zawisła, że tu dusze święte jednoczą się z Bogiem najściślej przez jednoczenie swoich cierpień z cierpieniami Jezusa, a tamte w niebie zatapiają się już w Nim nietylko bez cierpienia, lecz opływając w wszystkie radości, przez uczestniczenie w chwale Jego człowieczeństwa. Co Paweł święty wyraża w tych słowach: *Współcztijemy* z cierpieniami Zbawiciela, *abyśmy i współuczestniczyli i w chwale Jego* *).

Owoż, nikt do takiego zatopienia się w Bogu w niebie i do takiego współuczestniczenia w chwale Syna Bożego nie miał być przypuszczonym, jak to spotkało Pannę Przenajświętszą. Zjednoczenie więc Jej cierpień z cierpieniami Jej Syna, musiało być najściślejszem jakiem tylko być mogło: było też znowu przechodzącem, wszelkie nasze pojęcie i wyobrażenie. Gdy zaś było takim w każdej Jej Boleści, jakżeż tembardziej w tej, w której przez spotkanie się z Jezusem krzyż Swój dźwigającym i za nim krok w krok postępując, już nietylko sercem, nietylko myślą, nie samą wyobraźnią, lecz rzeczywiście z Nim wtedy bardziej była złączoną, ściślej zjednoczoną, bliżej Niego znajdowała się, aniżeli w poprzedzających katuszach Jego ciężkiej Męki.

W tej więc wspólnej, a tak bolesnej pielgrzymce Maryi z Jezusem zdążającym na Kalwaryę, bardziej jak kiedy zespalały się Ich cierpienia, tak, iż trudno już było takowe rozróżniać, bo jakby jedna i taż sama

*) Rzym. 8. 15.

była siła tych cierpień, jakby jedna i taż sama cierpliwość w ich ponoszeniu, jakby jedna i taż sama miłość, z jaką swoje cierpienia ofiarowali Ojcu przedwiecznemu za grzechy całego świata. Cierpienia to Jezusa zadawały cierpienia Maryi, a Boleść Matki obok Niego idącej zadawała bez porównania cięższe od tego wszystkiego co wtedy przenosił, cierpienia Synowi: cierpienia jednego z Nich stawały się męką drugiego, były dla każdego z nich nawzajem sroższemi od własnych. Wszak według wyrażenia świętego Bernarda *), dusza bardziej jest w przedmiocie umiłowanym, aniżeli w osobie której ciało ożywia. Jakież więc duszy Maryi musiało być zjednoczenie z Jezusem, jakież jakby przelanie się Jej duszy w osobę Jezusa, a stąd jakież tej Jej przebłogosławionej duszy katusze wtedy, gdy krok w krok szła za Synem, obciążonym drzewem krzyżowem, wśród największych urągowisk, obelg i bluźnierstw na Niego miotanych, i zdążającym na Kalwaryę!

W tej czwartej Boleści naszej niebieskiej Matki, rozważać powinniśmy także, Jej w niczem nie zamąconą pamięć na obecność Boga, a wskutek tego Jej odnoszenie wszystkiego do Niego, i we wszystkiem Jego najwyższej przenajświętszej woli uwielbienie.

Ten cały zewnętrzny, a tak okrutny i straszny dla serca macierzyńskiego hałas, wśród którego znajdowała się wtedy: ten iście piekielny pochód rozszalonych ludzi wiodących na śmierć swego Boskiego Zbawcę; ten ciągły wrzask motłochu rozpojonego szatańską nienawiścią Stwórcy swego za Swoje zbuntowane stworzenie ofiarującego się na śmierć; ten cały

*) Anima plus est ubi amat, quam ubi animat.

zgiełk potępieńczy, wśród którego jakby z głębin samego piekła co chwila obijały się o Jej macierzyńskie a do anielskich głosów przywykłe uszy, najszkaradniejsze bluźnierstwa miotane na Jej Syna i na Jej Boga — wszystko to ani na chwilę jak mgnienie oka, nie odwracało Jej myśli od Boga, nie przerywało Jej wewnętrznego skupienia, Jej w Bogu zatopienia się. W najwyższą, w pierwszą przyczynę wszystkiego wpatrywała się nieprzerwanie, a wszystkie przyczyny podrzędne znikały z Jej oczu. Dla Maryi nie było wtedy ani Piłata, ani Heroda, ani Anasza i Kaifasza, ani żydów zajadłych, ani oprawców otaczających Jej Syna, — a był to tylko Bóg ze Swoją przenajświętszą i najdroższą dla Niej wolą, ze Swojem zawsze najmiłościwszem i najmądrzejszem dopuszczeniem: Bóg tak zapełniający Jej serce, że w niem nic wtedy ludzkiego, ziemskiego rozbudzać się nie mogło. A jeśli pomimo tego, obok przyczyny tego wszystkiego co się wtedy działo najwyższej, to jest Boga, nie mogły zniknąć przed Nią zupełnie i przyczyny podrzędne, to jednakże niepojęte zaślepienie ludu wybranego i ta wszelkie wyobrażenie przechodząca złość ludzka, przedstawiały się Jej okryte gęstym i ciemnym wprawdzie, lecz pomimo tego brzemiennym w największe miłosierdzia Boskie obłokiem, albo jakby gęstą mgłą, której wilgocią promienie słońca, gdy ją w rosę zamienią, tem obfitszym plonem pokryją głęboko wyschniętą rolę.

Słowem, było to i wtedy w Maryi tem całkowitem zatopieniem się Jej w Bogu, tem doskonałem zlaniem się Jej duszy z Bogiem, którego zażywają Błogosławieni w niebie; było tym stanem duszy, do którego najusilniej zdążają Święci i tu na ziemi, a do którego mało który z nich dochodzi, nawet pomimo wszelkich

innych wysokich darów, pomimo długich ćwiczeń życia wewnętrznego, i pomimo prób nadprzyrodzonych, najszczęśliwiej przebytych. W Przenajświętszej zaś Pannie, było to łaską, którą jak wszystkiemi innemi obdarzoną została od chwili gdy żyć zaczęła, a która wskutek Jej ciągłego z nią współdziałania, doszła w Niej w końcu do stopnia wszystkie stopnie łaski takowej przewyższającego, do stopnia jakby miary nie mającego. Stąd też łaska takowego wewnętrznego skupienia, łaska odnoszenia wszystkiego do Boga i we wszystkiem jedynie Jego wolę lub dopuszczenie upatrywania, w tej czwartej Boleści Matki Przenajświętszej, chociaż na jeszcze cięższe aniżeli w poprzedzających Jej Boleściach wystawiona była próby — znowu objawia nam w Niej istotę jakby nadludzką.

§. IV. Czego nas uczy Przenajświętsza Matka w Swojej czwartej Boleści.

Ale ta czwarta Boleść Przenajświętszej Panny, w spotkaniu się Jej z wiedzionym na okrutną śmierć krzyżową Synem, wiele zawiera w sobie najzbawienniejszych, najpotrzebniejszych dla nas nauk. Bo najprzód zwróćmy na to uwagę, czy i w jaki sposób i my sami mieliśmy w tej Boleści udział?

I otóż widzimy, że w istocie mieliśmy w tem udział, a niestety! taki, że gorzkie łzy z serca naszego wyciskać on powinien. My bowiem przyczyniliśmy się do Boleści Maryi, gdyż w istocie przyczyniliśmy się jak do całej Męki Pana naszego, tak i do Jego Drogi krzyżowej. A stąd, jak każda z Jej Boleści tak i ta którą teraz rozważamy, nie jest dla nas prostem tylko wyda-

rzeniem z życia Matki Syna Bożego, jak wiele innych przechowanych wiernem podaniem w Kościele Chrystusowym. Nie jest jednym tylko ze szczegółów Jej błogosławionego życia, rozbudzającem w nas tem większe do Niej nabożeństwo. Rozważając tę Jej Boleść, wpatrywać się w nią powinniśmy nietylko z największem współczuciem, z najserdeczniejszem litowaniem się, ale i z najżywszą i najszczerszą skruchą. Wpatrując się oczami serca w tę Boleść naszej niebieskiej Matki, nie zapominajmy, żeśmy nietylko widzami Jej cierpień, lecz i sprawcami. Co innego bowiem jest widząc czyjeś cierpienia, do których sami nie przyczyniliśmy się wcale, z całego serca litować się nad cierpiącym, a co innego wiedzieć i widzieć, że się tych jego cierpień jest jednym ze sprawców. Uczucie też jakie w sercu niewyrodnem rozbudza się w tym drugim razie, zupełnie jest innem od doznawanej zwykłej litości nad cierpiącymi. Szczególna litość nad bolejącym nie z naszej winy, jest poniekąd uczuciem dowolnem, nie zawsze wynikającem ze ścisłego obowiązku. Gdy tymczasem współczucie z cierpiącym z naszej winy, jest powinnością, pociągającą prócz tego za sobą właściwe zadośćuczynienie za boleść lub krzywdę wyrządzoną przez nas drugiemu. Stąd wynika, że gdy byliśmy sprawcami Boleści Maryi, współczucie z niemi jest naszym obowiązkiem, i że z tego powodu serdeczne nabożeństwo do Jej Boleści nie jest tylko nabożeństwem dowolnem, lecz stanowi część należnej za grzechy nasze pokuty.

Są nabożeństwa pozostawione niejako do naszej woli i do własnego naszego, według większego lub mniejszego w nich upodobania, wyboru. Lecz do nabożeństwa o którem mowa, zniewala nas sprawiedliwość i niejako obowiązuje do niego. A przytem, czyż

otrzymanie przebaczenia od osoby, której wielką boleść się zadało, nie powinno tembardziej zwiększyć miłości ku niej? Owoż, my grzechami naszymi, stając się powodem męki Syna Maryi, staliśmy się przez to rzeczywistym powodem i Jej własnych, a tak ciężkich Boleści. One bowiem, jak-to widzieliśmy, pochodziły jedynie z cierpień i mąk Jezusowi zadawanych. A nie wątpimy przecież, że Ona nietylko nam to przebaczyła, lecz bezustannie, jak kiedy żyła na ziemi, tak i teraz gdy króluje w niebie, wyjednywa nam przebaczenie u Boga. Niech więc święta Magdalena, o której Pan Jezus powiedział, że *wielce umiłowała, bo jej wiele odpuszczono* *), uczy nas jak miłować powinniśmy Matkę najboleśniejszą. Myśmy okrutnymi byli dla Niej, i każdym popełnionym grzechem, wtłaczaliśmy coraz głębiej miecze Jej serce przeszywające. A gdyśmy zadawali Mu nowe rany i narzędzie mordercze jeszcze trzymali w ręku, Ona już nas do łona Swego przygarniała, i zanim jeszcze z grzechu wydobyć się usiłowaliśmy, Ona już Swojemi modlitwami wypraszała nam niezbędną do tego łaskę. My bez litości zadawaliśmy Jej boleści po boleściach, a za każdą nową ranę odpłacała się Ona litością, i za każdą razą litością coraz większą. Myśmy Jej siedm Boleści zadali, myśmy w każdej z nich uczestniczyli z ich sprawcami, a Ona nie siedm, ale *siedmdziesiąt razy siedm* **), a i to jeszcze za mało powiedzieć, łask wyjednywała u Boga dla niewdzięcznych i grzesznych dusz naszych. O! gdy tedy do siedmiu Boleści Maryi w tak wielkiej mierze przyczyniliśmy się, a Ona z taką miłością za nie nam się odpłaca, zdobywajmyż się przynajmniej na serdeczne tych

*) Łuk. 7. 47. **) Mat. 18. 22.

Boleści rozpamiętywanie, i na akty serdecznej skruchy, za grzechy Jej Boleści powodem będące.

Każdego poranku rozpoczynamy drogę naszą do wieczności, a obyśmy w dniu każdym spotykali się na niej z Jezusem: bo czyż nie tem być powinien główny cel naszego życia? Jak bowiem dzień słoneczny smutnym jest i ponurym, gdy mu słońce nie przyświeca, tak i w duszy ciemno jest i posępnie, jeśli jej nie przyświeca *Słońce sprawiedliwości* *) *Jezus jasność Ojca przedwiecznego* **). Każdą sprawę naszą oświęcając intencyą odnoszenia jej do Boga, i czynienia wszystkiego dla Boga, idziemy na spotkanie Jezusa. Ale rozważając to właśnie czwartą Boleść Maryi, trzeba nam pamiętać na to, że dusze wybrane najczęściej spotykają Go krzyż niosącego, aby się z niemi podzielić. Bo zawsze najbliżej nas jest Jezus gdy cierpimy. Wtedy nietylko Go spotykamy, ale *idzie On razem z nami* ***), jak to uczynił z uczniami zafrasowanymi idącymi do Emaus. Jestto przywilejem cierpienia. Do cierpienia ma najdroższy Pan nasz szczególny pociąg, któremu rzadko kiedy może się oprzeć. Byleśmy nie szukali pociechy gdzieindziej jak w Nim tylko, niechybnie zbliży się On do nas i Sam nas pocieszy. O! gdyby dusze nierozważne, które gdy cierpią, rozwodząc się ze skargami przed przychylnemi sobie osobami, u nich szukają pociechy, szukali jej tylko i w zjednoczeniu swoich cierpień z cierpieniami Jezusa, jakżeby wielka liczba była Świętych w kościele Bożym. Czytając Żywoty Świętych, dziwimy się, jakim sposobem mogli oni dojść do tak wysokiego stopnia zjednoczenia z Bogiem, a nie spostrzegamy, że sami przeby-

*) Antyf. Kościel. **) Żyd. 1. 3. ***) Łuk. 24. 13.

liśmy tyle cierpień, że gdybyśmy je umieli tylko jednoczyć z niosącym Swój krzyż Jezusem, mogliśmy byli dojść jeszcze dalej. Ale żeśmy wtedy nie starali się spotkać Jezusa, i nie Jemu to zwierzaliśmy się z naszych cierpień, być może że zesłał On nam ludzką pociechę, lecz o jej jednakże niedostateczności, jakże prędko przekonaliśmy się!

Przytem wiedzieć nam trzeba, że gdy za łaską Boską wstępujemy na drogę, na której chcielibyśmy ciągle spotykać Jezusa, na drogę wyższej pobożności, wtedy najczęściej spotykamy Go i krzyż niosącego i nas krzyżem z miłością wielką obdarzającego. Dlaczegóż w takich razach dziwimy się, że nas krzyże tak często spotykają? Gdy tak jest, czyż nie wiemy że jest-to prawem, według którego rządzonem jest królestwo łaski; że jest-to bliższego i wytrwalszego postępowania za Jezusem. Nie pamiętać na to, jest pozbawieniem się najobfitszych błogosławieństw Jezusowych, przywiązanych do chętnego i szybkiego nachylania bark pod krzyż niosącego go z nami Pana naszego. Raz oddawszy się w ręce naszego Ojca niebieskiego, nie wiedząc co nas czeka, lecz pewni że nam pomocy Jego nigdy nie zabraknie gdy ciężkie nadejdą chwile, byleśmy Go o takowe prosili, — poddawajmy się wszystkiemu ze spokojem i miłością, i nigdy nie cofajmy raz uczynionej z siebie ofiary Bogu, jak Swojej nie cofała Matka Bolesna, jak w każdej tak i w tej czwartej Swojej Boleści.

Jaki krzyż dziś nas czeka? jaki w krótkiej przyszłości, przewidzieć tego nie możemy, i zaciekanie się w tem na nic się nie przyda. To tylko wiem, że gdy pod nimi przyjdzie nam dźwigać się, a może i upadać, jak i pod Swoim upadał Jezus, byleśmy nie tracili

z oczu Jezusa na Kalwaryę wiedzionego i Matki Bolesnej za Nim postępującej, i tym sposobem spotykali się z Nimi, — w końcu krzyż zawiedzie nas tam, gdzie bez niego nikt się nie dostaje, to jest do niezachwianego spokoju wewnętrznego na ziemi, a wiecznego w niebie.

Niektórzy z pragnących nawet bliżej iść Jezusa, gdy Go spotykają krzyż niosącego, wzdragają się zdążać za Nim. Inni skoro Go zdaleka ujrzą z krzyżem na barkach wnet w inną zwracają się stronę. A są niestety! i tacy, do których gdy nadchodzi On z krzyżem i chce żeby Mu pomogli go dźwigać, tak gwałtownie się od tego odsuwają i z takiem zuchwalstwem, że w przepaść wpadają. Takimi bowiem są ci, których zesłane na nich cierpienia przywodzą do rozpaczy i bluźnierstw. Wielu nakoniec, obarczeni swojemi krzyżami, chociaż wtedy Jezus Sam ze Swoim wychodzi na ich spotkanie, nie widzą Go i omijają, nie chcąc albo nie wiedząc, jakby lekkiemi te ich krzyże stały się, gdyby je razem ze spotkanym Jezusem nieśli. Jezus z krzyżem na barkach, tysiącom dusz zachodzi codzień drogę, chcąc żeby one swoją drogę krzyżową z Jego drogą na Kalwaryę odbywali, z nią się jednocząc; a jakże z pomiędzy nich mało słucha Go w tem, albo i usłuchawszy zrazu, jakże nie wielu trwa wiernie aż do końca. Najwięcej zaś z pomiędzy dusz obdarzonych nawet żywszą wiarą, jest takich które idą wprawdzie za Jezusem krzyż dźwigającym, i swoje krzyże za Nim niosą, ale jakże niechętnie, z jakimże wstrętem: z musu niewolniczego tylko. A tym sposobem, ponieważ nie niosą lecz wleką za sobą krzyże swoje, jeszcze im trudniej z nimi sobie radzić: plączą się w nich, nogi sobie ranią i upadają; ale takie swoje upadki z trzema upadnięciami Jezusa

pod ciężarem krzyża jednoczyć nie mogą, bo Jezus nie tak jak oni z krzyżem się obchodził.

Jednakże są i tacy, chociaż ich nie wielu, którzy spotkawszy na swojej drodze Jezusa krzyż niosącego, ze świętą radością rzucają się Mu do nóg, ze czcią i poddaniem się zdejmują krzyż z ramion Jego, i ledwie że nie z radością wkładają go na własne barki. Nie spuszczają z Niego oczów, ślad w ślad idą za Nim po drodze krzyżowej. Dopomagając Mu nieść krzyż Jego, i nawzajem wspierani są przez Niego, gdy się pod swojemi chwieją. Tacy gdy ich spotyka Pan Jezus z krzyżem, nietylko nie zwracają się na inną drogę, nietylko nie chcieliby Go ominąć, lecz ujrzawszy *zmuszają Go by z nimi pozostał,* mówiąc jak owi uczniowie idący do Emaus: *Pozostań z nami Panie, gdyż ma się ku wieczorowi i dzień ma się ku schyłkowi. I On wchodzi do nich* Jezus wchodzi do duszy, krzyż jaki On jej podaje z miłością i doskonałem poddaniem się przyjmującą. Wchodzi do niej z obfitemi łaskami i oświeceniami, roztwiera przed nią jak przed tymiż uczniami, którzy Go zatrzymali przy Emaus *tajemnice Pisma* *) wyjaśnia jej tajemnice krzyża i do gorącego zamiłowania go przywodzi.

I tak nam postępować należy, tak powinniśmy przyjmować Jezusa, gdy na drodze naszego życia, raczy On spotykać się z nami krzyż dźwigający. Ale czy to łatwo? Bezwątpienia, nie łatwo i jest-to zwykłą próbą dusz szczególnie wybranych, a którą mało z nich która szczęśliwie przebywa. Wszakże jak we wszystkiem tak i w tem, na co sami zdobyć się nie możemy,

*) Mat. 18. 26.

na to zdobywamy się wsparci łaską, której Jezus nigdy proszącym Go o nią nie odmawia. Mówi też Apostoł święty: *Wszystko mogę w Tym który mnie umacnia* *). Przy rozważaniu to więc tej czwartej Boleści, spowodowanej spotkaniem się Maryi z Jezusem na drodze do Kalwaryi, błagajmy Ją przez tęż Jej Boleść, o wyjednanie nam łaski wiernego i ochotnego niesienia krzyżów naszych, przez jednoczenie się z Panem naszym krzyż dźwigającym, jak Marya zjednoczoną z Nim była jak najściślej, gdy szedł, by na nim umrzeć z miłości ku nam.

Lecz czegoś jeszcze więcej uczy nas czwarta Boleść Maryi? Uczy nas ona, że nieco dłuższy spokój, nieco dłuższy czas, w którym nie doznaje się cierpień, jest zwykle jakby gruntem przygotowywanym pod siejbę wielu i ciężkich krzyżów. Najcięższe krzyże spotykają nas po mniej więcej dłuższem bez nich wytchnieniu. Wiadomo to dobrze każdemu, kto nieco dłużej pożył na tej biednej ziemi.

Od ostatniej Boleści Maryi, w zniknięciu przed Nią Jezusa w świątyni Jerozolimskiej, do czwartej Jej Boleści w spotkaniu Go krzyż niosącego, upłynęło było dwadzieścia jeden lat, spędzonych spokojnie przez Matkę Przenajświętszą w raju ziemskim, jakim był dla Niej domek Nazarecki, gdy w nim z Jezusem i Józefem mieszkała.

Jakże często coś podobnego i z nami się dzieje: najcięższe przejścia spotykają nas po długich najspokojniej i najmilej spędzonych chwilach. A dzieje się to i dlatego, że Pan Bóg przez pewien czas chroni nas od większych cierpień, żebyśmy zażywając tego rodzaju

*) Fil. 4. 13.

swobody, korzystali z niej dla nabycia coraz więcej łask, które niezbędnemi będą, gdy nadejdzie chwila próby. Każda bowiem dusza najłatwiej utwierdza się w łasce, przez cierpliwe poddawanie się woli Boskiej w cierpieniach. Łaska przez cierpienie dojrzewa, i dopiero wtedy owoce wydaje; więc po pewnym czasie pozostawionym do swobodnego zaszczepiania się jej w duszy, zsyła Pan Bóg krzyże, które są wszystkich łask ukoronowaniem, gdy z krzyżem Jezusa niesione.

Rozważanie tej czwartej Boleści, przygotowywać nas powinno do innej jeszcze próby często w niesieniu krzyża nas spotykającej. Nigdy bardziej nie jest nam potrzebne uczucie obecności Boga, uczuciowa pamięć na Jego w nas przebywanie; nigdy nie są bardziej pożądanemi Jego słowa pociechy, które niekiedy słyszymy w głębi duszy jak gdy spotykamy Jezusa krzyż nam przynoszącego. Natura jęczy wtedy pod tym ciężarem, i czuje że jej siły ustają; a jeśli do krzyża zewnętrznego, przyłącza się i krzyż wewnętrzny, wewnętrzne opuszczenie, wewnętrzne uciski i zaniepokojenie, zaciemnienia na umyśle, jakże temu podołamy? A jednakże jakże to często się przydarza, a zwłaszcza duszom, względem których Pan Bóg ma widoki Swego najszczególniejszego miłosierdzia. Spotyka się Jezusa krzyż niosącego i na nas ciężki krzyż wkładającego, ale obok tego, ani słowa On do nas nie przemawia, ani nas błogosławi, ani zdaje się nie patrzy na nas, ani najmniejszej nie zwraca na nas uwagi. Co więcej: obarczywszy nas takim ciężarem, a idąc przed nami ze Swoim krzyżem, przyspiesza kroku i chce, żebyśmy za Nim zdążali i nie ustawali wcale, chociaż ledwie już tchu złapać możemy. O! zaiste, ciężki to pochód,

a wśród niego jedynym ratunkiem jest wpatrywanie się w Maryę idącą za Jezusem, po spotkaniu Go krzyż Swój dźwigającego. Wszak On ani słowa wtedy do Matki Bolesnej nie przemówił: były nawet długie chwile w tej bolesnej pielgrzymce, w których nietylko że nie zwracał na Nią oczów, ale rozdzielony tłumem znikał przed Nią. A jednakże szła za Nim spokojna i poddana woli Bożej, i gdy Jezus gnany oprawcami przyspieszał kroku, spieszniej i Marya za Nim zdążała. Otóż jak i nam iść trzeba za Jezusem gdy nas spotyka z krzyżem: zdążać za Nim powinniśmy chociaż wśród opuszczeń wewnętrznych ani słowa od Niego nie słyszymy, i chociażby jakby znikał On z oczu naszej duszy.

Trzeba nam także być gotowymi na to, że najczęściej jeden krzyż sprowadza drugi, a po lżejszych krzyżykach nadchodzą cięższe. Prócz tego, rzadko kiedy jeden tylko krzyż zwala się na nas. Bywa, że rozmaite krzyże jakby się umówiły, tłoczą się na duszę. Niekiedy, a zwłaszcza po pewnym przeciągu spokoju, nagle dostajemy się na drogę najeżoną krzyżami. Wtedy spadają one na nas jakby bezustannie, tak jak gwiazdy spadające, których w pewnych porach roku nie sposób doliczyć, gdy w oczach naszych przemykają się wśród nocy po widnokręgu niebieskim. W takich razach krzyż po krzyżu spotyka nas bez przerwy, albo i po kilka współcześnie. To znowu takie mnóstwo ich nas przytłacza, że zdaje się nam, iż nietylko pod ich ciężarem upadniemy, ale i podnieść się nie będziemy mieli siły. A wszelako pomimo tego, nie powinniśmy słabnąć na duchu. Powinniśmy wtedy bardziej jak kiedy pamiętać, że w miarę zsyłanych na nas krzyżów, jakiemiby one nie były i co do ich liczby i co do ciężaru,

doznawało, jest rzeczywistą ulgą. Wskutek takowej niestałości natury naszej i tej niepohamowanej żądzy przemiany we wszystkiem, cokolwiek jest jednostajnem, już przez to samo staje się dla nas nieznośnem. I z tego to wypływa, na tem się zasadza zasługa, z którą zdaje się że żadna inna porównać się nie może, z wykonywanych ślubów dozgonnych, w swoim zakresie niedopuszczających nigdy zmiany. Bo zmiany i ciągłej zmiany domaga się skażony stan natury ludzkiej. Któryż naprzykład chory nie doznał ulgi, gdy cierpienie z jednego członka ciała przeszło w inny? Toż samo, a jeszcze bardziej, co do cierpień duszy. To też dusza przygnieciona ciągłym, jednostajnym przez całe życie krzyżem, jest duszą, którą Pan Bóg chce koniecznie do wysokiego stopnia świętości doprowadzić. Lecz niechże ona nie traci z oczu i z myśli Jezusa krzyż Swój dźwigającego i pamięta, że chociaż on Go obarczał zewnętrznie dopiero wtedy gdy szedł na Kalwaryę, niósł On go przez całe życie wewnętrznie, i ani jednej chwili bez niego nie był: *Boleść Moja przede Mną zawżdy**).

Wszakże, niekiedy jednolity krzyż całego naszego życia, ciążąc nam na zbolałych barkach, służy niby za podstawę do obszernego gmachu, z różnych innych krzyżów budującego się, a który to gmach Pan Bóg jużto rozszerza i wznosi, już rozwala, ale na to tylko, aby jakby za podwalinę dla nowych posłużył. Są dusze które Pan Bóg bezustannie wypróbowuje, doświadcza, pozostawiając na swojem miejscu krzyż dawny i ani na chwilę nie daje im wypoczynku. Przez to w duszach takich idą razem w parze dwa rodzaje cierpie-

*) Psalm 37. 18.

nia, bo jak wynikające z niespodzianych a dotkliwych przemian, tak i z ciągłej a bolesnej jednostajności. Dla nich epoki życia rozróżniają się zmianami różnych przechodnich cierpień, gdy obok tego ich krzyż stały, nigdy z bark ich nie schodzi. Dusze to wybrane, chociaż zwykle mało komu albo i nikomu nie znane, i przez świat nigdy właściwie nieoceniane. A jednakże, jeśli tę podwójnie ciężką a długą swoją drogę krzyżową, odbywają jednocząc ją z drogą krzyżową Jezusa i Maryi — o! jakże są im drogiemi i jakiej potęgi przed Bogiem! Kto wie, czy jeśli nie jedynie, to głównie ich to modlitwom zawdzięcza się wszystkie najpotrzebniejsze dla pospolitości wiernych łaski niebieskie, na które ogół oziębłych chrześcijan nigdyby sam nie zasłużył. Kto wie, czy nie w ich ręku spoczywają niekiedy losy całego Kościoła, w najcięższych dla niego przejściach. Są to, a po większej części ukryte, przytajone, żyjące dowody, jakby żyjące pomniki tej wielkiej prawdy chrześcijańskiej: że krzyż nigdy nie jest li-tylko karą, lecz oraz i nagrodą, i że miarą miłości Boga i miarą wybraństwa każdej duszy, jest większa lub mniejsza liczba zsyłanych na nią krzyżów. Jezus idąc na Kalwaryę, wszystkie możliwe krzyże ludzkie dźwigał na Swoim krzyżu; Marya idąc za Nim, razem z Nim je niosła, — im przeto bliższą Ich jest jaka dusza, tem więcej uczestniczyć z Nimi w tem musi: to najniechybniejszą cechą, że za Nimi i z Nimi idzie.

Czwarta Boleść inną jeszcze daje nam naukę. Jezus i Marya jednąż i tą samą odbywają drogę; a czyż może być to inna droga, jak wiodąca do nieba? Ale droga którą zdążali wiodła przez Kalwaryę. A z tego zawnioskować nam trzeba koniecznie, że biorąc za cel

niebo, nie można tracić z oczu Kalwaryi. Na drodze życia naszego, a zwłaszcza na drodze po śladach Jezusa wiodącej, czy to przewidujemy, czy się tego najmniej spodziewamy, spotykamy się z Nim krzyż niosącym i przypuszczającym nas do łaski uczestniczenia w Jego ciężarze.

Bo oto na tej drodze, przez jakiś czas nietrudzącej, spotyka nas strata jakiejś osoby ukochanej, albo najniespodziewańsze, a jakże dla serca dotkliwe z tych lub owych powodów, zerwanie z nią stosunków. To znowu zasnuliśmy sobie pewne zamiary, przedsięwzieliśmy jakieś dzieło nietylko godziwe, chwalebne, ale Boga i Jego chwałę lub przez wzgląd na Niego, pożytek bliźniego jedynie na celu mające. A oto ciężka niemoc obala nas na łoże, i wszystkie nasze zamiary w niwecz obraca. Albo-li też odkładając na później jakąś wielce pożyteczną sprawę, sądząc że ją lepiej dokonamy przy bardziej sprzyjających jej okolicznościach, spostrzegamy że nadeszły wypadki wprost przeciwne naszym przewidywaniom, i odłożona sprawa do której wielką przywiązywaliśmy wagę, raz na zawsze upada. I tak po drodze naszego biednego żywota ziemskiego, w niewielkich odstępach, najnieprzewidzianiej spotyka nas Jezus z krzyżem i każe nam nieść go za sobą.

Niekiedy jednakże, strapienia jakie nas spotykają, bywają przewidziane; możemy do nich przygotować się niejako, i to najczęściej się zdarza, bo to najlepiej odpowiada słabości naszej natury, dla której niespodziewane ciosy są najtrudniejsze do przeniesienia. Zdarza się że gdy nas czeka ciężka niemoc, długa i dotkliwa choroba, przygotowują nas do niej jej powolne pojawy, i zwolna nabywane przekonanie że jej nie ujdziemy. Albo gdy

patrzymy na dotknięte ciężką słabością drogie nam istoty w oczach naszych niknące, usposabia nas czas mniej więcej dłuższy do rozstania się z niemi, co gdyby nagle było nadeszło, możeby przechodziło siły nasze do przeniesienia podobnego ciosu. W większej też części podobnych wypadków, dusze łatwiej się uświęcają, aniżeli w nieprzewidzianie spadających na nie nieszczęściach. Strapienie przewidziane mniejszego do mężnego przeniesienia go wymaga hartu duszy, aniżeli gdy nagle przychodzi. Z Panem Jezusem ciężki nam krzyż przynoszącym, łatwiej, że tak rzekę, oswaja się dusza, gdy ma czas przypatrzyć się Mu zdaleka a powoli nadchodzą cemu. Nieszczęście przewidziane, mniej wymaga wyjątkowych łask do zbawiennego jego przeniesienia, aniżeli cios niespodziewany którym jak tłokiem używanym w mennicach, a od jednego uderzenia zmieniającym kruszec w drogą monetę, — od razu chce Pan Bóg jaką duszę wybraną, świętą uczynić. „Mniej dotykają cierpienia gdy są przewidziane," powiada święty Grzegorz *), i dlatego drogą to mniej więcej przewidzianych strapień, prowadzi Pan Bóg do nieba największą część Swoich wybranych. Do dusz pospolitych, krzyż dla nich niosąc zbliża się powoli, żeby do niego łatwiej się przygotowały; a wielkim tylko Świętym, albo tym których od razu Świętymi zamierza uczynić, okazuje się nagle z krzyżem, jak się okazał Swojej Matce najdroższej, gdy na zakręcie jednej z ulic Jerozolimskich, w tej czwartej Boleści spotkała się z Nim niespodzianie.

Tak tedy czwarta Boleść Maryi, zamyka w sobie całą tajemnicę niesienia krzyża przez Pana naszego, i uczy nas jak my nasze nieść powinniśmy, jak się zachować gdy

*) Hom. in Mat.

się z Jezusem krzyż niosącym, dla podzielenia się takowym z nami, spotkamy. Tej zaś najniezbędniejszej nauki o której mówiąc święty Paweł powiada: *A ja nic nie umiem oprócz Chrystusa i to ukrzyżowanego* *) tej najwyższej mądrości nabyć możemy, wpatrując się w Matkę Bolesną zdążającą ślad w ślad po ulicach niewdzięcznej i okrutnej Jerozolimy, za Swoim Boskim Synem krzyż na Kalwaryę dźwigającym, a przez to i na macierzyńskie Jej barki go wtłaczającym.

Przypomniała Go Sobie Ona wtedy takim, jakim Go po przebytej trzeciej Swojej Boleści znalazła była w Świątyni: to jest, przecudnym Młodzieniaszkiem, z którym wróciła do Nazaretu. A teraz widziała Go dorosłym mężem lecz *Mężem Boleści,* bo okrytym ranami, ściganym najhaniebniejszemi obelgami, upadającym pod ciężarem krzyża, wiedzionym na Kalwaryę, gdzie w Jej oczach na tymże krzyżu, w najstraszniejszych mękach i ciała i ducha, odda Swoje ostatnie tchnienie Boskie. A jednakże, jak odszukanego w Świątyni ukochanego Syna, nie odstępowała już ani na chwilę zawiódłszy Go do Nazareckiego domku i tam z Nim szczęścia niebieskiego zażywając tak i teraz nie odstąpiła Go ani na krok, gdy Ją krzyż niosący i tymże krzyżem obarczający spotkał: z Nim na Kalwaryę poszła, i z niej nie zeszła, aż gdy Go do grobu złożyła. Tak i nam trzeba się zachować, gdy nas Jezus spotyka z krzyżem, i chce byśmy podzielając jego ciężar wraz z Nim na Kalwaryę naszych cierpień wstępowali, i na niej wytrwali aż do grobu, pokornie się poddając Jego woli najwyższej, najświętszej i zawsze najmiłościwszej.

*) I. Kor. 2. 2.

ROZDZIAŁ VI.

Piąta Bolesć.

UKRZYŻOWANIE.

§. I. Szczegóły tej tajemnicy.

Wśród życia doczesnego, otoczeni jesteśmy tajemnicami, a i samo już to życie nasze jest dla nas zagadką. Dlaczego splata się ono z najprzeciwniejszych sobie kolei? Jakiem będzie dalej, jakiem przedewszystkiem w wieczności? Co znaczy cierpienie, i dlaczego tak nierówno ludzi dotyka? Wszystko to jest tajemnicą, ciężko niekiedy przygniatającą i umysł i serce.

Otóż krzyż jest odpowiedzią na to; on wszystko tłómaczy. Krzyż jest księgą, w której znajdujemy rozwiązanie wszelkich wątpliwości. Krzyż jest utwierdzeniem wiary, źródłem nadziei, ogniskiem miłości; krzyż streszcza i zamyka w sobie wszystkie tajemnice naszej świętej wiary. Objawia on człowiekowi i człowieka i Boga: najlepiej i najprędzej wyucza nas czem my jesteśmy, a czem Stwórca najwyższy. Rozświeca i tłómaczy tajemniczość doczesności, żebyśmy właściwie i bezpiecznie wpatrywali się w wieczność. Krzyż uczy nas, gdy doznajemy pomyślności, nie zatapiać w niej serca; a wśród największego nieszczęścia, nic innego

prócz krzyża, nie może nas pocieszyć rzeczywiście. Niekoniecznie powstrzymuje on łzy, owszem, jeszcze im swobodniej dozwala płynąć, ale im wszelką gorycz odejmuje, tak, iż niekiedy słodszemi się stają od wybuchów ziemskiej radości. Rozprasza on największe ciemności duszy; milczenie jego jest zawsze najwymowniejszem dla serca, a sama śmierć zamienia się w oczach wierzącego w życie, gdy wpatruje się on w ten zadatek życia wiekuistego. Krzyż jest zawsze takim samym, a jednakże zmienia się dla nas jego postać, jego wyraz tak dalece, iż w każdem usposobieniu naszej duszy, staje się on dla nas tem co jest dla nas najpotrzebniejszem. Nic więc dziwnego, że Święci wpadali i wpadają w zachwycenie na sam widok krzyża, i z takiem uniesieniem mówią o nim, a na sercu i w sercu noszą go bezustannie.

Owoż, Marya jest jakby nierozdzielną częścią krzyża: Ona jak stała pod nim na Kalwaryi, tak odtąd po wszystkie wieki, dla każdej duszy wiernej, stoi zawsze pod krzyżem gdy go sobie wyobrażamy, lub na niego patrzymy. Nierozłączną już jest na zawsze od tego znaku, od tego najwyższego Symbolu prawdziwej religii, od tego wiecznego pomniku tego, co niepojęte rozumem ludzkim miłosierdzie Boga uczyniło dla nędznego stworzenia swego, zbuntowanego przeciw swemu Stwórcy.

To też jak nie sposób jest myśleć o Dzieciątku Jezus w żłobku Betlejemskim złożonem, nie myśląc razem i o Matce Przenajświętszej czuwającej nad Niem — tak nie sposób jest odłączać obrazu Jezusa na krzyżu, od obrazu Matki Bolesnej pod nim stojącej. Bo też i Ewangelie święte jak o narodzeniu się Jezusa pisząc wspominają o Maryi: *I położyła Dzieciątko w żłobie* *)

*) Łuk. 11. 8.

tak i o Jego ukrzyżowaniu mówiąc piszą że: *Stała pod krzyżem Matka Jego* *). Zjednoczenie Maryi z Jezusem, było zawsze zjednoczeniem dwóch istot jak tylko być może najściślejszem, lecz doszło ono swego szczytu właśnie na Kalwaryi, i o niem to mówić przychodzi nam w tej piątej Boleści Matki Przenajświętszej.

Zakończyła się tedy droga Krzyżowa, i Jezus i Marya stanęli na górze Golgota, trochę przed południem. Z dawnego podania wiadomo, że już wtedy słynnem było to miejsce, i najwłaściwszem żeby się stało miejscem najświętszem i najpamiętniejszem na ziemi. Utrzymywano bowiem że tam jest grób Adama, to jest miejsce na którem pierwszy ojciec rodu ludzkiego spoczął, gdy miłosierdzie Boskie przyjęło łaskawie jego dziewięćsetletnią ostrą pokutę. Tuż obok było miasto Dawidowe, — albo raczej miasto Boże, wsławione tylu cudownymi wypadkami i szczególnie umiłowane od Boga. Wprawdzie to co miało zajść tam wtedy, okryje je hańbą, zatrze jego przeszłą sławę, ale na to tylko, aby je obdarzyć nierównie większą, którą uwielbiać będą wszystkie miasta po całym świecie, gdzie tylko Ewangelia ogłoszoną zostanie, i gdzie Pan Jezus, na Kalwaryi zamordowany, przebywać będzie jako żywy Bóg-Człowiek w przenajświętszym Sakramencie ołtarza.

Niewiele czasu, bo zaledwie godzina upłynęła była od poprzedzającej Boleści Maryi przy spotkaniu Jezusa, tak, iż zaledwie kilka godzin rozdzielać miało koniec czwartej Boleści od dokonania się piątej. Wszelako co do siły cierpień i co do stopnia uświątobliwienia się, było to dla Maryi dłuższą porą bo jeszcze obfitszą

*) Mat. 16. 5.

w zasługi, aniżeli dwadzieścia lat spędzonych w Nazarecie pomiędzy drugą a trzecią Jej Boleścią. U Boga *tysiąc lat są jakby dniem jednym* *) a zwłaszcza gdy idzie o uświątobliwienie duszy. Ostatnia więc godzina poprzedzającej Boleści Maryi, była zapełniona tak wielkiemi tajemnicami, tak wiekopomnymi wypadkami, a z ich powodu tak ciężkiemi cierpieniami Matki Bożej, — że stając Ona na miejscu ukrzyżowania, przybyła tam jeszcze cudowniejszemi obdarzona łaskami, jeszcze z większą ich obfitością, aniżeli gdy oto niedawno spotkała Syna krzyż dźwigającego.

Zdzierają tedy kaci odzienie z Jezusa, a uczucie wstydliwości jakie rozbudza to w Jego przenajświętszem i nieskalanem człowieczeństwie, już mu dotkliwą nad wszelki wyraz zadaje mękę. A jakąż to było i dla niepokalanej Matki, czystszej i sromotliwszej od Serafinów i Cherubinów!

Następnie rozciągają Jezusa na drzewie krzyżowem na ziemi leżącem, na tem łożu jeszcze twardszem aniżeli był Jego żłobek Betlejemski, a na którem leżący gdy Go wydała na świat, przypomniał się wtedy Matce. Oddaje się w ręce oprawców tak spokojnie i ulegle, jak kiedy malutkim będąc, strudzony i spragniony spoczynku, oddawał się w ręce Maryi ze czcią najgłębszą i miłością najtkliwszą do snu Go układającej, a co także wtedy stanęło Jej na myśli. Zdawało się że on w tej chwili nie okrutnych prześladowców Swoich, lecz własną wypełniał wolę, tak się im chętnie i bez najmniejszego oporu poddaje, ten Bóg odwieczny, Bóg wszechmogący; i kładzie się na krzyżu, spokojnie i rzewnie wznosząc oczy do nieba, z którego dla miłości ludzi zstąpił na

*) Psalm 89. 4.

ziemię. Nigdy On nie wydał się Maryi bardziej godnym uwielbienia, nigdy się Jej wyraźniej nie objawiał Bogiem, jak oto gdy wtedy rozciągniętym już był na drzewie krzyżowem, jako dobrowolna ofiara granic nie mającej miłości. Cześć Mu też oddawała jeszcze głębszą jak kiedy.

Skoro Zbawiciela położyli na krzyżu, zaraz oprawcy porywają Go za prawą rękę i wyciągają ją na ramię krzyża. Przykładają ogromny i chropowaty gwóźdź do dłoni, do tej dłoni z której spływają wszystkie łaski na świat cały, i wśród panującej ciszy, rozchodzi się łoskot pierwszego uderzenia młotkiem. Doznany z tego ból wstrząsa wszystkiemi członkami ciała Jezusowego, lecz nie zmienia wyrazu boskiego spokoju i słodyczy Jego oblicza, i nie odwraca Jego oczów w niebo wlepionych. Wnet następują uderzenia po uderzeniach, a i tych odgłos rozchodzi się w powietrzu. Jan i Magdalena zatykają sobie uszy, gdyż znieść takiego odbrzęku nie są w stanie: dotkliwszym on dla nich jak gdyby młot ten w serca ich godził. Marya słyszy także te uderzenia a odczuwa je na sercu, bo Jej serce już dawno nie w Jej piersiach lecz w Jezusie bije. I Ona też w niebo wznosi Swoje macierzyńskie oczy. Nie wydaje jęku, nie przemawia ani słowa; bo czyż mógłby znaleść się jęk albo słowo, któreby taką boleść jak wtedy doznawała, wyrazić mogły? Dla Maryi, przygwożdżenie Jezusa do krzyża nie było jedną boleścią, doznała ich tyle a jakich! ile było uderzeń młotkiem, i każdy jego łoskot był dla Niej odrębną katuszą. Jak w grze na klawikordzie, każde naciśnięcie klawisza odrębny ton wywołuje przez odrębne drganie strun uderzanych, tak sercu Maryi każdy odgłos młotka, odrębne a coraz to nowe zadawał męczeństwo.

Już tedy prawa ręka przygwożdżona, lecz lewa nie dosięga na drugiem ramieniu krzyża miejsca w którem

ma być przybitą. Snać niedokładnie powymierzali długość ramion krzyża, albo-li też ból doznany przez Jezusa w prawej ręce, skurczył Mu lewą. Z tego też powodu okropnemi są dalsze szczegóły przybijania Pana naszego do krzyża, jakie nam opisują objawienia niektórych Świętych.

Kaci wyciągali z całej siły lewą rękę Zbawiciela, lecz pomimo tego dłoń nie dosięgała do właściwego miejsca. Opierają się więc kolanami na żebrach Jezusowych, których chrzęst (chociaż je nie połamali) wyraźnie słyszeć się daje, i wywichnąwszy Mu ramię, dociągają rękę ile im tego potrzeba było. Lekkie tylko westchnienie wyszło z piersi Jezusa, a oczu z nieba nie spuszczał. Lecz cóż wtedy działo się z Maryą? Któż potrafi wyobrazić sobie czem był dla Niej widok tego wszystkiego, czem słuchanie uderzeń młotka i chrzęszczenia kości Jezusowych! O! zaiste, więcej Ona wtedy doznała boleści, aniżeliby takowych potrzeba było na uczynienie tylu Świętych kanonizowanych, ilu ich było i będzie do końca świata!

Lecz otóż straszny odgłos uderzeń młotka znowu się rozlega, zmieniając swój łoskot stosownie do tego jak gwóźdź coraz głębiej wbijają; a ucho Matki Bolesnej rozpoznaje nawet z tego łoskotu czy gwóźdź napotyka żywe ciało, czy muskuły, czy nerwy, czy żyły w dłoni Jezusowej, którą okrutnie przeszywa.

Potem nogi najdroższego Pana naszego podobnież gwałtownie wyciągają, jedną na drugą nakładając, — te nogi tyle razy strudzone gonieniem za grzesznikami — i w stopy złożone z samych kości i mięśni, wbijają z barbarzyńską zaciekłością gwóźdź ogromny z oporem wchodzący, a przez to tem większe zadający Jezusowi bole. Marya i na to patrzała! a czyż są słowa ludzkie na wyrażenie Jej wtedy boleści? Przeżyła ją jednakże,

bo Stwórca cudowną siłą przy życiu Ją zachowywał; bo miała jeszcze więcej wycierpieć.

Nakoniec unoszą krzyż w górę z rozpiętym na nim Jezusem, na którego słodkiem obliczu ta tylko zaszła zmiana, że się na niej maluje wielkie cierpienie, a z Boską cierpliwością i Boskim spokojem znoszone. Okrutne to narzędzie, ale razem i przenajświętszy ołtarz, z ofiarą na nim wiszącą, zanoszą na sznurach pod spód krzyża podłożonych, nad jamę w której mają go obsadzić, a podtrzymując go po bokach, żeby równowagi nie stracił. Pomimo jednak tego chwieje się on to w tę, to w ową stronę, niewypowiedziane zadając rozpiętemu na nim Jezusowi męki. Następnie stawiają krzyż na brzegu jamy, i wymykając sznury z pod Jej spodu, wpuszczają go tam gwałtownie. Wstrząśnienie to rozdziera okrutnię rany przygwożdżonych rąk i nóg Jezusowych, i ledwie że nie odrywa Go od krzyża, ze stawów wywodząc prawie wszystkie kości Jego. Niektórzy nawet Święci mieli sobie objawionem, że właśnie dla tego żeby ciało Jezusa nie oderwało się od krzyża, przywiązano je wtedy do niego sznurem, a tak silnie zaciśniętym, że wpił się był w Jego boki i podpiersie. A tak, okropności po okropnościach następowały w oczach patrzącej na to Matki, i jak te podziemne ognie przeszywają wnętrze ziemi gdy następuje trzęsienie, — nurtowały one Jej serce. I z jakąż inną boleścią ludzką te Boleści Maryi porównaćby się godziło? Przechodzą one wszelkie pojęcie. Uwielbiajmy je, płaczmy nad niemi, lecz ocenić ich niezrównany stopień nie usiłujmy, gdyż byłoby to więcej jak zuchwałością.

O! Matko najboleśniejsza! niech na wieki chwaloną będzie Trójca przenajświętsza, za cuda łaski dokonane w Tobie, w onej strasznej godzinie.

Lecz nadeszło i wielkie trzęsienie ziemi: — cała natura nawet nieożywiona, zadrżała z przerażenia jakby rozumem obdarzoną była. W około popękały skały; wzdłuż całego międzymorza poroztwierały się przepaście, i tajemnicza zasłona w Świątyni, miotaniem się ziemi rozdartą została od dołu do góry, jakby ręką ludzką rozszarpana. A w tejże chwili, jak niesie podanie i objawienia niektórych Świętych, z gmachów należących do Świątyni słyszeć się dały żałosne i przedłużone głosy trąbek oznajmiających, jak zwykle, składanie *Ofiary południowej* *). Ci zaś którzy, według przepisu Starego Testamentu, temi trąbkami zawiadamiali lud o obrzędzie odbywającym się w Świątyni, nie domyślali się że w dniu tym, niedaleko stamtąd, na innem miejscu spełniała się *Ofiara,* na którą niebo całe ze czcią, podziwem i świętem przerażeniem patrzało. Zaczęło się też i ściemniać na ziemi, bo nic dziwnego że księżyc zakrył przed nią słońce, gdy na niej w tej chwili złość ludzka zakryła przed sobą *Słońce sprawiedliwości, Światłość Ojca przedwiecznego* **). Postraszone zwierzęta szukały schronienia nocnego; ustały śpiewy ptasząt po ogrodach rozciągających się u stóp Kalwaryi; a i ludzi ogarniało przerażenie, bo pierwsze promienie łaski, jak powolne świtanie po najburzliwszej nocy, wydobywały się z tych ciemności Kalwaryjskich, dostając się do wielkiej liczby serc ludu tam nagromadzonego. Każda chwila wieki zaważyła, gdy się te największe jakie kiedy były odbywały tajemnice.

Nareszcie rozpoczyna się pierwsza z trzech godzin konania Jezusowego, tych trzech godzin których

*) Psalm 19. 4. **) 1. Kor. 2. 3.

zapowiednim obrazem były trzy dni, w ciągu których Marya odszukiwała Syna, kiedy przed dwudziestu laty znikł był z Jej oczu z Świątyni Jerozolimskiej. Wśród panujących ciemności, Marya tuż przy krzyżu stanęła, gdy wielu z natłoczonego tam motłochu, ulegając przestrachowi, jak to właściwe żydom, przerażeni zaćmieniem słońca i trzęsieniem ziemi, pouciekało. Lecz nielitościwi kaci i odważni żołnierze rzymscy, pozostali pod krzyżem, i pomimo panującego zmierzchu, rozgrywają w kości szaty Jezusowe. Ich bluźnierstwa i grubiańskie żarty, przeszywają serce Maryi, bo do Jej najwyższego uświątobliwienia i nadmiaru zasług, potrzeba było aby Ją i ta Boleść nie ominęła. Wszystko też na to niepokalane Serce uderza wtedy bez litości; co chwila coś Mu nowe zadaje rany, a tak ciężkie jakby każda z takich okoliczności była okolicznością najbardziej Jej Boleści zwiększającą. Marya widziała te szaty, te Relikwie, na których wykupienie skarbów świata całego byłoby zamało, w rękach nędznych grzeszników, którzy się niemi świętokradzko przyodzieją. Szaty te przez całe lat trzydzieści, w ciągu których przyodziewał się w nie Zbawiciel, cudownie rozszerzały się jakby rosnąc z Nim razem, i nie zużywały się nigdy, ponawiając cud o którym wspomina Mojżesz w księgach Swoich, gdy pisze że odzienie i obuwie Izraelitów w ciągu ich czterdziestoletniej pielgrzymki po puszczy, nie zużyły się były wcale *). A teraz w te cudowne szaty przyodziewać się będą grzesznicy, i chodzić w nich po miejscach rozpusty i pijatyki. A jednakże czemże to było jeśli nie przenośnym obrazem, *Symbolem* bardzo wzniosłym? Świat grzeszny i ska-

*) Paral. 2. 1.

żony, miał się przyodziać w sprawiedliwość i niewinność Syna Maryi; grzesznicy nawróceni będą naśladować cnoty któremi był przyobleczony Jezus; zasługiwać na niebo przez Jego zasługi, zadość czynić Jego zadośćczynieniem, i dostępować wszelkich łask, któremi przyodziani, miłemi stawać się będą Ojcu przedwiecznemu. Jak Jakób otrzymał błogosławieństwo ojcowskie, przyodziany w szaty starszego brata Ezawa tak cały ród ludzki miał dostąpić błogosławieństwa Ojca przedwiecznego, przyodziawszy się w szaty swego Pierworodnego, w łaskę Jezusa, który raczył stać się dla nas starszym bratem.

Lecz pomiędzy temi szatami była i koszulka jednolita, sporządzona przez Maryę dla Syna, — a ta przedstawiała jedność Kościoła Chrystusowego. Marya widziała że i o Nią rzucano kości i zauważała komu się dostała, aby ją później wierni wydobywszy z rąk pogańskich, przechowywać mogli jako najdroższą Relikwię. I wtedy to stanęła Maryi na myśli cała przyszłość Kościoła. Każde odszczepieństwo które miało rozdzierać jedność mistycznego ciała Jej Syna, jakby ostre groty wtłaczało w Jej serce; każde kacerstwo, każde wyłamywanie się z pod władzy Kościoła, jakie nastąpić miało, zadawało Jej najcięższe katusze już na Kalwaryi, w chwili gdy spełniała się tam żywa ofiara z Jej Syna, i gdzie jedność Kościoła zakładała się tak niezmierną ceną. Gorycze te zalewały duszę Maryi, nic odwracając wszelako ani na chwilę Jej uwagi od rozpiętego na Krzyżu Jezusa. Jak w przyszłości najwyżsi Rządcy Kościoła, zatrute mając serce szkodami i zniewagami wyrządzanemi Kościołowi przez oddzielających się od jego jedności — w Jezusa tem pilniej wpatry-

wać się mieli, broniąc Jego nauki, tak i Marya, gdy stanął Jej wtedy na myśli obraz najcięższych przejść Kościoła, z Jezusa oczów nie spuszczała. I dlatego i każda dusza najsilniej przywiązuje się do Kościoła, najlepiej ocenia szczęście należenia do jego jedności, najserdeczniej boleje nad zaślepieniem odłączających się od niej i najgoręcej modli się za nich — gdy rozmyślając Mękę Pańską, myślą i sercem staje obok Maryi na Kalwaryi.

Ale otóż i nowe dla Maryi otworzyły się źródła boleści, gdy przystąpiono do przybicia tablicy z napisem u wierzchu krzyża. Napis ten ułożony był przez Piłata, z rozkazem umieszczenia go nad Panem Jezusem. Przystawiono więc drabinę do krzyża i przybito go u góry, nad głową Zbawiciela. A z tego powodu, każde uderzenie młotka wstrząsając krzyżem, niewymowne zadawało cierpienia i głowie Jezusa cierniową koroną o krzyż opartej, i ranom rąk i nóg Jego, a cierpienia te okrutnie odbijały się na sercu Maryi.

Lecz i sam już ten napis, zadawał niemałe Boleści Matce Przenajświętszej. Sam widok Przenajświętszego Imienia Syna Bożego, wypisany tam dla świata całego, a wypisany dla tem haniebniejszego zbeszczeszczenia Go, sam widok Imienia nad śpiewy niebieskie milszego i słodszego dla Maryi, sam ten widok był już dla Niej powodem boleści niezmiernej. Wymienienie zaś *Nazaretu* w tymże napisie, rozbudzając w Jej pamięci wspomnienia najmilszej przeszłości, było także nadzwyczaj bolesnem, w zestawieniu jej z tak okropną teraźniejszością. Bo tak ciągle, podczas Męki Pańskiej, dziecinne lata Jego swobodniejszego życia przypominając się Matce, potęgowały doznawane przez Nią wtedy cierpienia.

Dalej w napisie było wyrażono że Jezus jest *Królem;* lecz na jakimże tronie, niewdzięczny lud Jego, umieścił Go wtedy! Dlaczegoż Go królem swoim nie uznał? Dlaczegóż czekał aż poganin Wielkorządca Rzymski, ogłosi mu to szydersko? Dlaczego nie dozwolił Mu zapanować nad sercami? O! nieszczęsny narodzie! jakże byłbyś szczęśliwym, ileżbyś najcięższych grzechów był uniknął, ileż dusz z pomiędzy ciebie byłoby zbawionych, ileż chwały przyczynionej Bogu, gdybyś Zbawcę Twego Królem ziemi i nieba był uznał! Piłat nazwał w tym napisie Jezusa *Królem Żydowskim,* i oby się było tak stało. Ale niestety! lud wybrany nietylko nie uznał Go swoim Królem, ale Go w owej chwili zamordowywał w najokrutniejszy sposób.

Jakże to więc ciężką boleścią przygniatało serce Maryi! Ciążyły na tem sercu wtedy wszystkie przekleństwa jakie bogobójczy lud ten ściągał na siebie, a które miały go z ludu wybranego zrobić ludem odrzuconym i rozprószyć po całej kuli ziemskiej, jako na wieczne tułactwo skazany. Marya chciałaby była wszystkie Swoje dotąd przebyte Boleści doznać na nowo, byle odwrócić to przekleństwo i lud który i Jej był narodem, przywrócić do błogosławieństw zapowiedzianych mu przez Boga Abrahamowego, Izaakowego i Jakóbowego. Lecz było już za późno, i dopełniał już ten nieszczęsny naród miarę swoich nieprawości: dochodziły już one w dniu onym do samego wierzchu czary złości ludzkich, a przeświadczenie o tem, morzem goryczy zalewało serce Matki Przenajświętszej, tak ludzi wszystkich, a cóż dopiero Swój lud, Swój naród kochające.

I zdawałoby się że tak ciężkie cierpienia odwrócićby powinny były Jej uwagę od wszystkiego innego.

Zdawałoby się że wtedy nic innego Ona widzieć nie mogła, jak Jezusa na krzyżu rozpiętego, i żadnego innego nie doznawać uczucia jak współubolewania z Synem, wśród takich katuszy umierającym. Lecz w osobach to tylko samolubnych, doznane cierpienie im większe tembardziej skupia ich samych w sobie; i tembardziej nieczułemi czyni na cierpienia drugich chociażby najcięższe. Ale z Maryą tak być nie mogło. Ona widzi po obu stronach krzyża Jej Syna rodzonego, dwóch synów przybranych Jej macierzyńską miłością ku wszystkim ludziom, a obaj występni i za chwilę przed Sądem Boskim mający stanąć. Wstawia się tedy za nimi do Boga z całą potęgą wstawiennictwa Swojej Przenajświętszej duszy, tyle już wtedy, poniesionemi Boleściami, posiadającej praw, żeby być wysłuchaną. Czyż mógł więc Pan Bóg oprzeć się takiej prośbie i w takiej chwili zaniesionej? Nie zaiste! Pan Bóg się jej nie oparł, lecz jeden z wiszących łotrów oparł się łaskom, jakie Pan Bóg zlał był wtedy i na niego. Cały bowiem ich szereg do nawrócenia największych grzeszników potrzebny, zesłał Ojciec przedwieczny na obydwóch łotrów: kołatał niemi do serc ich skażonych, groził im, przerażał ich, wzywał do skruchy i obiecywał przebaczenie. Lecz im wolnej woli nie odejmował, nie zmuszał ich, i gdy jeden z nich odpowiadając tym łaskom nawraca się i słyszy od Samego Pana Jezusa: *że dziś jeszcze będzie z Nim w raju,* *), drugi odrzucając wyproszone przez Maryę łaski, bluźni przeciw Synowi Bożemu i niestety! zatraca swą duszę na wieki.

A cóżto znowu za boleść była dla Matki Przenajświętszej! Widzieć tego nieszczęsnego człowieka

*) Łuk. 23. 43.

tak blisko Jezusa, i to w chwili gdy On i za niego umiera, a widzieć go nienawróconym, niepokutującym, lecz z własnej złości idącym na potępienie; cóż za smutek dla Niej, niewymowną miłością każdą duszę tak strasznemi mękami i Jezusa i Jej własnemi okupioną, ogarniającą!

Lecz niedość na tem: bo oto w tejże chwili, jak przed paru godzinami w Ogrojcu Panu Jezusowi, roztoczył się przed Nią niezliczony szereg tych wszystkich dusz, które w przyszłości nie korzystając z zasług Chrystusa Pana, pójdą na potępienie. A zgroza, smutek i żal z tego powodu doznany, był nowym mieczem srodze raniącym Jej serce, już tylu boleściami przeszyte. Ona patrząc na konanie Syna, widziała w tem zbawienie ludzi, i to łagodziło chociaż w części gorycz zalewającą Jej duszę. A oto w tejże chwili kiedy, jakby powiedzieć, tej pociechy, tej osłody najbardziej potrzebowała, takowa ujętą Jej została, widokiem, potępiającego się grzesznika.

O! Matko najboleśniejsza! niczego więc nie brakło żeby Twoją obecność pod krzyżem Syna, uczynić męczarnią wszelkie pojęcie przechodzącą. Przez te więc męki Twoje wtedy doznane, prosimy Cię i błagamy, niech Boleści Twoich nie pomnażamy grzechami. A gdyśmy się ich niestety! dopuścili i wielu i ciężkich, niechże Ci nie wtłaczamy nowego miecza w serce ostateczną niepokutą, lecz niech za wstawieniem się Twojem, szczerze pokutując, sprawimy Ci pociechę jakiej doznałaś z pokuty Dobrego Łotra.

Ale te wszystkie zaszłe wtedy pod krzyżem i obok krzyża zdarzenia, nie odrywały uwagi Maryi od Jezusa, na nim rozpiętego. Jak nasi Aniołowie Stróże, otacza-

jący nas swoją opieką i baczni na wszystko co się około nas i z nami dzieje — pomimo tego ani na chwilę nie przerywają swego wpatrywania się i zatapiania w Bogu tak i z Maryą wtedy się działo. Podczas gdy patrzała jak żołnierze rozrywali szaty Jezusowe, i rozmowami toczonemi wtedy nowe boleści zadawali Jej macierzyńskiemu sercu; podczas gdy w Jej oczach przybijano tablicę z nadpisem nad głową Jezusową, i gdy wreszcie tak wielkie tajemnice zachodziły w nieszczęsnej niepokucie potępiającego się grzesznika i w nawróceniu się Dobrego Łotra nic z tego wszystkiego nie przerywało Jej wpatrywania się i zatapiania w Jezusa konającego. Był to zachwyt boleści, w ciągu którego tak jak niektórzy Święci którzy w zachwyceniu będąc pomimo zewnętrznych podówczas zajęć swoich, duszą pogrążeni są w Bogu i w Jego światłości — Marya bolejąc z tego co się w około Niej wtedy działo, od Boleści Swojej z wpatrywania się w męczarnie Jezusa, ani na chwilę odwróconą nie była.

Lecz cała już godzina upłynęła była, a Pan Jezus głębokie zachowywał milczenie. Cierpienia wzmogły się do najwyższego stopnia, siły zaczęły Go już powoli opuszczać, przenajświętsze ciało zwieszało się coraz bardziej, zwiększając przez to bóle w przygwożdżonych rękach i nogach. Tymczasem krew coraz obficiej spływała po krzyżu, a na oblicze Jezusa coraz większa występowała bladość.

Każda chwila tego strasznego konania, była aktem czci i uwielbienia Ojca przedwiecznego, najzupełniej godnym Boga najwyższego, a przewyższającym wszelką cześć i uwielbienie jakie Pan Bóg odbierał dotąd i odbierać będzie po wszystkie wieki, od całego nieba i wszystkich stworzeń. Tajemnice przechodzące wszyst-

kie tajemnice, które kiedy zaszły lub zajść miały na ziemi, spełniały się wtedy, a z nich największe gdy Jezus rozpięty na krzyżu zaczął przemawiać.

Zaćmienie dochodziło swego szczytu, noc była wokoło, i mniej już osób znajdowało się przy krzyżu. Żołnierze swoją grę w kości skończyli; tablica z napisem przybitą już była; drabinę odjęto, i zapanowała cisza jakby w jakiej świątyni. I wtedy Jezus przemówił. Zdaje się że najprzód rozmawiał z Ojcem przedwiecznym myślą i samemi słowami wewnętrznemi; że widział Sprawiedliwość Jego srożącą się nad zbrodnią nad zbrodniami dopełniającą się wtedy; że aktem miłości granic niemającej wstawiał się za jej sprawcami. Lecz widząc pomimo tego tę sprawiedliwość nieugiętą, jeszcze silniejszym aktem miłości, nietylko myślą ale już i słowami głośno wyrzeczonemi, uznał potrzebę prośbę Swoją zanieść do Boga. I wtedy zawołał: *Ojcze odpuść im, bo nie wiedzą co czynią* *). A jakże pełne są rozmaitego a najgłębszego znaczenia te pierwsze słowa wyszłe z Boskich ust Jezusa na krzyżu!

Bo nie wiedzą co czynią. Jakoż, złość grzechu jest tak wielką, że przechodzi pojęcie ludzkie, i słusznie powiada wielki filozof i wielki teolog teraźniejszych czasów Ojciec Wentura, że gdyby grzesznik dopuszczając się grzechu, pamiętał na to że odważa się na złość wszelkie pojęcie przechodzącą, chybaby nigdy nie zgrzeszył. Lecz słowa te prócz tego, jakże głębokiego są znaczenia przez to, że objawiają w Synu Bożym miłosierdzie nad grzesznikami jeszcze bardziej jak wszelkie inne dowody Jego miłosierdzia nad nimi, wszelkie nasze pojęcie przechodzące: Bo oto, gdy w tej najuroczystszej

*) Łuk. 23. 54.

jaka kiedy zabłysła pod słońcem chwili, i wśród najsroższych mąk rozpoczynającego się konania, Pan Jezus przerywa milczenie, o! dziwo! przerywa je nie dla Matki żeby Ją jakiem słówkiem pocieszyć: nie dla Apostołów żeby nie widząc z nich przy Sobie żadnego, prócz Jana, uprosić u Ojca przedwiecznego przebaczenie takiej ich małoduszności; nie dla jednego z nich mężnie tam stojącego, żeby mu za to podziękować; nie dla Magdaleny, żeby jej wierność aż pod krzyżem, nagrodzić nowem jakiem błogosławieństwem. Nie; nie z takich powodów i nie dla tych dusz najświętszych przerywa wtedy Zbawiciel milczenie, lecz dla modlenia się za grzeszników i to największych jacy kiedy byli na świecie, bo za tych którzy Go do krzyża tylko co przybili!

Przebywając w domku Nazareńskim, mógł Jezus jakby zapomnieć o całym świecie; żyć jakby tylko dla Matki, żeby Ją uległością Swoją i synowskiemi pieszczotami otaczać. Lecz na Kalwaryi, w chwili gdy Jego męki krzyżowe w najwyższym stopniu objawiały czem jest grzech i jak niezmierną jest złość jego, jak straszne kary zmuszoną jest sprawiedliwość najwyższa dotykać grzeszników — musiał przedewszystkiem i najprzód o nich pamiętać.

A czy Marya czuła się pokrzywdzoną, takiem w modlitwach Jezusa na krzyżu pierwszeństwem danem grzesznikom? Czy i to było wtedy dla Niej powodem nowej Boleści? Broń Boże! ani cień podobnego samolubstwa nie przesunął się przez myśl Jej; bo cóżby potworniejszego wyobrazić sobie można, nad przypuszczenie samolubstwa w Maryi, i to jeszcze w chwili gdy stała pod krzyżem? Ona, gdyby śmiała była, gdyby była w stanie przemawiać gdy patrzała na Syna umierającego, byłaby tęż samą i w tychże samych słowach

modlitwę zaniosła do Niego za Jego krzyżownikami; i nie masz wątpliwości, że ją w głębi serca, za Jezusem z całego serca powtórzyła.

Wszelako, to pierwsze przemówienie Jezusa z krzyża, było źródłem innych a ciężkich Boleści dla Przenajświętszej Panny. Od ukończenia drogi krzyżowej, od przybycia na Kalwaryę, owszem zdaje się że od rozstania się Matki, Bolesnej z Synem, gdy żegnał się z Nią idąc na Mękę, pierwsze to były słowa które z ust Jego usłyszała. A wychodziły one z tychże ust Boskich, z których każde słowo napełniało Ją nadziemskiemi pociechami. Lecz o Jej słuch macierzyński, z jakąż dla Niej boleścią obiły się wtedy, gdy w nich usłyszała głos Jezusa, cierpieniami i przebytemi i wtedy doznawanemi, już bardzo zmieniony!

Któż z nas, jeśli mu wypadło być przy ostatnich chwilach konającej drogiej mu istoty, nie pamięta, jak bolesnego doznał wrażenia, gdy w głosie swego ukochanego chorego, poczuł tę zmianę która nieomylnym bywa znakiem zbliżającego się konania. Jestto coś tak boleśnie dotykającem serce, że się tego już nigdy nie zapomina. Czemże więc to być musiało dla Maryi, której miłość do Jezusa z żadną inną najświętszą i najżywszą miłością porównać się nie może? Czem być musiał dla takiej jak Ona Matki, ten złowrogi i jakby już grobowy dźwięk przytłuminego głosu bliskiego konania Jezusa!

Ale i prócz tego cóżto za spotęgowanie Boleści doznawanych wtedy przez Maryę, sprawiły te słowa Jezusa z innego znowu, a nierównie głębszych warstw Jej duszy sięgającego powodu. Ona im więcej Go miłowała, tem więcej patrząc na Jego cierpienia Sama cierpiała; miarą Jej Boleści była zawsze miara i stopień, w jakim Go miłowała. A więc w ciągu całej dotąd przebytej

Męki, im godniejszym miłości okazywał się Jej Jezus, tem ta miłość do coraz wyższego dochodziła szczytu, a stąd i Boleści Jej coraz stawały się sroższe. Owoż, kiedyż, jeśli tak wyrazić się można, mógł Jezus wydać się Jej godniejszym miłości, jak właśnie w tej oto chwili, gdy z taką miłością, zapominając o Swoich cierpieniach, zapominając o wszystkich, a nawet jakby zapominając o Matce, modli się za Swoich krzyżowników? Gdy tedy, bez żadnej wątpliwości, wtedy to miłość Maryi do Jezusa dochodziła do stopnia jeszcze wyższego w jakim dotąd była, więc i Boleści Jej wtedy były cięższe, sroższe i dotkliwsze od dotąd doznanych.

Wtedy-to także przygotowywał już Maryę Jezus do tego, że Ją wkrótce uczyni Matką nas wszystkich. Wtedy bowiem takim uderzającym i niespodziewanym w takiej chwili objawem nieograniczonego Swego miłosierdzia nad grzesznikami, i Jej serce zalał nieprzebranem morzem takiegoż miłosierdzia, gdyż już miał Ją uczynić na zawsze *Ucieczką grzeszników* *) i *Matką miłosierdzia* **).

Jakoż nadchodziła chwila, w której Boskiem słowem Swojem miał Pan nasz najdroższy, Matkę Swoją przetworzyć i na Matkę naszą. Po zapowiedzeniu nieba pokutującemu, za Jej wstawieniem się, Dobremu Łotrowi, Jezus zwraca się do Matki. Lecz w tem czwartem Swojem na krzyżu Słowie, jakby dla większego Jej uczczenia dwa niejako zamyka, bo jedno wprost do Niej-że samej, drugie o Niej do ukochanego ucznia wyrzeczone: *Niewiasto*, rzekł do Maryi, wskazując Jej oczyma świętego Jana: *Oto Syn Twój*, a do niego wskazując mu Przenajświętszą Pannę: *Oto Matka*

*) Litanie Loret. **) Antyf. Kościelne.

Twoja *). Tak wyrzekł i tak się stało, jak gdy na początku świata wyrzekł był: *stań się światło i stało się światło* **); jak niedawno przy ostatniej Wieczerzy, jednem słowem chleb przemienił w ciało Swoje ***). Rzekł do Maryi, wskazując Jej w Janie wszystkich Swoich wiernych uczniów do końca świata; *Oto Syn Twój,* i odtąd Marya stała się w porządku łaski najprawdziwszą Matką wszystkich wiernych dzieci Kościoła. Ale jakiemiż to cierpieniami serca, to sercowe powszechne Macierzyństwo Swoje opłacała Marya! Znać doszły one już były wtedy najwyższego stopnia, kiedy zesposobiły Ją do tej najwyższej po Bogu godności; bo jak On jest Ojcem niebieskim całego rodu ludzkiego, tak Ona stała się niebieską Matką wszystkich ludzi.

Lecz to ogłoszenie Maryi Matką ludzi, to zazwiastowanie Jej tego nowego macierzyństwa, jakże było różnem od Zwiastowania Jej, że Matką Boga ma zostać!

Wówczas spotkało Ją to w Jej cichym i ulubionym Domku Nazareńskim, w południe najpogodniejsze, wśród słodkiego, podczas modlitwy, zachwytu w Bogu. A to powtórne Jej macierzyństwo nastawało na Kalwaryi, pod krzyżem Syna na nim rozpiętego przy posępnym zmroku zaćmienia słońca, wśród Jej najgłębszego zanurzenia się w morzu cierpień, wśród zachwytu w Boleści od wpatrywania się w umierającego w najstraszniejszych mękach Jezusa!

Jakaż niewymowna pociecha towarzyszyła Zwiastowaniu Nazareckiemu, a jakież potoki goryczy zalewały Jej błogosławioną duszę przy tem drugiem zwiastowaniu! A jednakże, gdy Pan Bóg do pierwszego Zwiastowania posłał był Anioła, w tem powtórnem

*) Jan. 21. 26. **) Gen. 1. 3. ***) Mat. 15. 3.

Sam już Boskiemi Swojemi ustami wygłasza to wiekopomne Orędzie. Wszelako w duszy Maryi, w obydwóch tych, a tak pomiędzy sobą różniących się objawieniach dla Niej woli Boga, panuje jednakowy niewzruszony spokój, a w Jej woli jednakowe najzupełniejsze poddanie się, jednakowe zjednoczenie się z wolą Boga.

Gdy przygniata nas wielkie jakie strapienie, wtedy wszelkie zdarzenie odwracające myśli nasze od bolesnego a całkiem pochłaniającego nas przedmiotu, zwiększa cierpienie. W wielkiem nieszczęściu, w nadzwyczajnym ucisku serca, wszelkie zewnętrzne od niego jakby oderwanie, mękę zadaje, i tylko osoby mniej czułe, nieobeznane z wielkiem strapieniem, sądzą że rozrywką jaką można przynieść ulgę bardzo cierpiącemu. W istocie zaś tak nie jest, i to przyzna każdy, kogo spodobało się Panu Bogu wielkim jakim krzyżem doświadczać. Wielka boleść potrzebuje wielkiej w koło siebie ciszy; sercu wielkim ciosem dotkniętemu, najlepiej wśród wielkiej samotności. Gdy tedy w owej chwili Pan Jezus kazał Matce zwrócić uwagę i oczy na świętego Jana po drugiej od Niej stronie krzyża stojącego, gdy posłyszała wychodzące z ust umierającego Syna to zamianowanie Jej na Matkę wszystkich wiernych, gdy spotkało Ją tak wielkie i stanowcze co do Niej i co do całego Kościoła postanowienie — wzruszyło Ją to do głębi duszy, a przez to zadało tę nową boleść, jakiej doznaje serce wielkiem strapieniem dotknięte, a zmuszone jakby odwrócić uwagę od powodów swego cierpienia. I nie dość na tem: trzeba Jej było zgodzić się na to, żeby Jej serce w zachwycie najsroższej Boleści całkiem zatopione w Bogu Jej Synu na krzyżu konającym — przejęło się według Jego rozkazu, uczu-

ciem macierzyńskiem dla Jana i wszystkich odtąd jemu podobnych wiernych dzieci Kościoła. Nie odwracać wtedy uwagi od Jezusa, jak było dla Niej najwyższą Boleścią, tak oraz było i jedyną znośną rzeczą i ledwie że nie jedynie możliwą, nieprzechodzącą siły matki obecnej śmierci syna. Zadać więc sobie gwałt co do tego, było nową dla Maryi męką; lecz od niej ani się uchyliła, ani jej pojawieniem się, i to jeszcze w chwili takich i tylu mąk innych, nie zdziwiła się wcale.

Gdy bliscy się widzimy postradania najdroższej nam na ziemi jakiej istoty, a zwłaszcza jeśli spodobało się Bogu żebyśmy patrzali na jej ciężkie a powolne w oczach naszych konanie, które ją nam tu z ziemi zabierze na zawsze — chociaż widok ten rozdziera nam serce, tak jednak pochłania uwagę, że jeszcze dotkliwszą rzeczą od doznawanej wtedy boleści, byłoby zmuszanie nas do zajęcia się czem innem. A to właśnie spotykało wtedy Matkę najboleśniejszą. Umierający w Jej oczach Syn, którego miłowała jak żadna najprzywiązańsza matka najgodniejszego miłości jedynaka miłować nie mogła, — Jezus, odwraca Jej uwagę od Siebie, i chce żeby przeszyte tym piątym mieczem Boleści Swoje serce, zamieniła na serce najczulszej, najmiłościwszej, najlitościwszej Matki dla nas wszystkich, dla wszystkich ludzi, dla grzeszników, a nawet i dla tych, którzy Go wtenczas na krzyżu w Jej oczach domordowywali. O! jakiegoż to oderwania się od doznawanej Boleści, jakiegoż to, jakby powiedzieć, obcego temu co Ją wtedy całkiem pochłaniało, zajęcia, wymaga Pan Bóg od matki, obecnej najokrutniejszej, jaka kiedy była śmierci syna! Kto wie czy nie było to dla Niej z Boleści dnia tego od rana doznawanych, Boleścią najdotkliwszą. A i tę przenosi z najzupełniejszem poddaniem

się woli Boga, tak wyraźnie i uroczyście wtedy objawionej. Dochodzą więc cierpienia Jej serca do swego szczytu, jak dochodzą cierpienia ciała do swojej największej potęgi, gdy każda matka wydać ma na świat dziecię. I Marya też w tej chwili stała się w porządku łaski najprawdziwszą Matką Kościoła, Matką z nas każdego.

O! Maryo! o! Matko! jakichże to łez Twoich, jakichże cierpień Twoich jesteśmy dziećmi!

Aliści rozpoczynała się już i trzecia godzina konania Pana Jezusa na krzyżu, a każda z nich zaciężała na sercu Matki Bolesnej, jak długie wieki cierpień najsroższych. Pierwsze też słowo jakie w tej ostatniej Swojej godzinie wyrzekł Zbawiciel, było dla Maryi nowym mieczem przebijającym Jej duszę, albo raczej głębszem wtłoczeniem się piątego, który Ją wtedy przeszywał. Jezus zawołał: *Pragnę* *),

Jakoż musiał wielkiego doznawać pragnienia. Od chwili bowiem kiedy napił się z kielicha goryczy przy krwawej modlitwie w Ogrojcu, nic nie miał w ustach, prócz wina zaprawnego gorzką myrrą, które podano Mu gdy przystępowano do ukrzyżowania, a którego pokosztowawszy, pić nie chciał. Tymczasem ileż doznał bólów i mąk, przyprawiających Go o wielką gorączkę, wzniecającą nadzwyczajne pragnienie.

Już krwawy pot wylany na modlitwie ogrojcowej, rozgorączkował był całe Boskie ciało najdroższego Pana naszego. Następnie reszta tej nocy spędzona bezsennie, wśród żołdactwa w najrozmaitszy sposób pastwiącego się nad Nim w ciemnicy u Kaifasza,

*) Jan. 19. 2.

w której Go trzymano do rana, znękała Go jeszcze bardziej. Włóczenie Boskiej Jego Osoby od Anasza do Kaifasza, od Piłata do Heroda, potem okrutne biczowanie i wbijanie korony cierniowej w przenajświętszą głowę; wreszcie droga krzyżowa, w ciągu której dźwigać musiał bardzo ciężki krzyż, a z którym na barkach gnali Go bez miłosierdzia oprawcy — i nakoniec tylko co przebyte męki w przybiciu do krzyża, podniesienia Go z nim w górę; bóle straszne w przygwożdżonych rękach i nogach, na których ciało ciężyło — wszystko to przyczyniło się do rozbudzenia wtedy w Panu Jezusie nadzwyczajnego pragnienia. Zaiste przypuszczać można, że nikt z ludzi nigdy takiego pragnienia nie doznał. Wiadomo zaś ze smutnego doświadczenia na rozbitkach okrętowych, że cierpienia pochodzące z braku napoju do zaspokojenia palącego pragnienia, są męką wszelkie wyobrażenie przechodzącą, a śmierć od tego, jedną ze śmierci najstraszniejszych. Można też nie wątpić, że Pan Jezus, gdy wyrzekł na krzyżu to słowo: *Pragnę,* do takiego stopnia był spragniony napoju i tak go koniecznie potrzebował, że cudem tylko zachował się przy życiu, nie mając go sobie podanym. I jakiej-że to z tego powodu Męki musiał doznawać, gdy tyle katuszy przebywszy w milczeniu, w tej jednej uznał właściwem wydać ten jęk zbolałej swojej natury ludzkiej!

Marya wszystko to dobrze pojmowała; wszystko to stanęło Jej wtenczas jak najżywiej na myśli. Czemże więc ta bolesna skarga Jezusa musiała być dla Niej? Jej bowiem macierzyńskie serce, gdy usłyszała objaw tak wielkiego cierpienia Syna, zabolało nietylko nad tem, że On tej męki doznawał, ale to największą zadawało Jej Samej Boleść, że Mu w tem żadnej ulgi

przynieść nie mogła. Bo czyż może być coś bardziej rozdzierającego serce matki, jak gdy słysząc dziecię konające wołające o kroplę wody dla złagodzenia palącego je pragnienia, nic mu, prócz łez swoich, podać nie może?

Marya słysząc to wołanie Jezusa, podniosła oczy do Jego Boskiego oblicza, na którem już się objawiały oznaki blizkiego konania. Widzi usta Syna spalone, nabrzękłe, drgające od bólów, siniejące tą sinością, która zwykle poprzedza ostatnie chwile umierającego, a którą na nich, Jej macierzyńskie oko nigdy jeszcze nie widziało. Lecz Ona nic tym spieczonym ustom Jezusa podać nie mogła; nie mogła nawet sięgnąć do nich, żeby otrzeć krew z pod cierniowej korony sączącą się i na nich krzepnącą, a przez to utrudzającą Mu oddech już i bez tego coraz trudniejszy. Widziała że napróżno byłoby prosić otaczających krzyż okrutnych oprawców, aby albo sami podali Jezusowi wody, albo Jej to ułatwili. A i ta zatwardziałość ludzi boleśnie odbijała się na Jej sercu, które tylko co sercem macierzyńskiem dla wszystkich ludzi się stało.

Przypomniała Sobie także, jak Zbawiciel niegdyś strudzony pielgrzymkami Swojemi dla odszukiwania grzeszników, prosił o napój Samarytankę przy studni Jakóbowej, i jak za podanie Mu kubka wody, nagrodził ją łaską nawrócenia. A dlaczegóż w tej chwili gdy w strasznych męczarniach kona dla otrzymania od Boga Ojca takichże łask dla całego rodu ludzkiego, — nikt z ludzi żałośnie i pokornie proszącemu o napój, i kropli wody nie podaje? Przypomniała Sobie jak na puszczy palonemu pragnieniem Swemu ludowi wybranemu, cudem roztwierał skały, by z nich źródło wód najświeższych wywieść. Lecz przypomniała sobie i to,

że teraz tak być nie może. Wiedziała że teraz cuda nie nieograniczonej potęgi Swojej, lecz niepojętego rozumem ludzkim miłosierdzia i miłości dopełnia. Zrozumiała to dobrze, że z nadmiaru tegoż miłosierdzia, dla nadmiaru Swoich zasług, chciał Jezus dopuścić na Siebie w tej chwili aż takie i tego rodzaju cierpienie, jakie według opisu Ewangelii doznawał w ogniach piekielnych zły Bogacz, gdy dręczony pragnieniem napróżno błagał Łazarza chociażby o kropelkę wody *)

Rzekł Jezus: *Pragnę:* przyszło więc nakoniec do tego, czego dotąd nie było, że się jakby na cierpienie uskarża; a więc przyjść musiał ich nadzwyczaj wysoki już stopień. Cóż tedy dziać się musiało z Maryą, która to pewnie lepiej i jaśniej i to bez żadnego porównania, wiedziała i poznawała — aniżeli my to ograniczonem naszem pojęciem i ograniczoną wyobraźnią pojąć i wyobrazić sobie jesteśmy w stanie. A tak, ta skarga Jezusa żadnej Mu ulgi nie przynosząc, a tak srodze zwiększając Boleść Matki Przenajświętszej pod krzyżem stojącej, na to tylko z ust Jego wyszła, żebyśmy tem lepiej poznając i Jego i Maryi przeniesione w tych strasznych godzinach męki, — do tem większej ku nim pobudzali się miłości, tem serdeczniej współczuli z Nimi, Boleści Przenajświętszej Matki rozważając.

Takowe jednakże odezwanie się wtedy Zbawiciela, nie ten tylko rodzaj *Pragnienia* miało nam w nim objawić. Serce Jezusa, bez żadnego porównania gorętszem pałało pragnieniem zbawienia dusz ludzkich, aniżeli spalone usta Jego pragnieniem napoju. To też mówiąc tu o pragnieniu napoju powiada tylko *Pragnę;* a gdy

*) Łuk. 16. 22.

niedawno przedtem, przed samą już Męką, powiedział że pragnie jej dla wysłużenia ludziom zbawienia, wyraził się nierównie silniej, bo nie powiedział wprost że jej pragnie, lecz przydał że jej pragnie nadzwyczajnie: *Pożądaniem pożądałem*, rzekł wtedy, *spożywać z wami tę Paschę* *), po której mam być umęczonym za ludzi. Gdy tedy, mając na krzyżu już dokonać sprawę zbawienia, wyrzekł to słowo *Pragnę*, myśl Jego objęła wszystkie wieki przyszłe, i z najwyższem jakie tylko być może pragnieniem *z pożądaniem pożądał*, ażeby liczba dusz zbawionych była jak największa. Możemy, chociaż i to przez przybliżenie tylko, oceniać cierpienie jakiego doznawał wtedy z pragnienia fizycznego, z potrzeby orzeźwienia napojem spalonych ust i piersi wielką gorączką, ale ani wyobrazić sobie nie jesteśmy w stanie boleści Jego serca, gdy w Boskiej Swojej przedwiedzy, widział tak ogromną liczbę dusz mających się potępić, a tak nieograniczenie, z takiem jak się sam wyraził *pożądaniem* pragnął wszystkie je zbawić. Jeżeli Boga jako Stworzyciela, miłość dusz ludzkich, które jedynie z miłości wywiódł z nicości, przechodzi wszelką miłość chociażby najświętszą i największą wszystkich i ludzi i Aniołów i Serafinów; gdy stopień tej miłości przechodzi wszelkie pojęcie — jakaż być musiała miłość Boga-Zbawiciela, i to w chwili gdy zbawienie tychże stworzeń Swoich, własną winą zatraconych na wieki, nabywał ceną Swojej krwi i śmierci, a przywracając je do życia łaski, jakby na nowo odtwarzał. Na wyrażenie wielkości miłości Boga tworzącego człowieka, brakuje słów, a cóż dopiero na wyrażenie, na zrobienie sobie pojęcia o Jego miłości odkupującego toż Swoje naj-

*) Łuk. 22. 25.

niewdzięczniejsze, zbuntowane przeciw Niemu stworzenie! Jak wszelkie miłości ziemskie są tylko iskierkami miłości Boga Stwarzającego, tak miłość, gorliwość i poświęcenie się wszystkich jacy byli i będą najgorliwszych Apostołów, wszelka gotowość na męki wszystkich Męczenników, wszelka wytrwałość najostrzejszej zadośćczynnej pokuty świętych Wyznawców, i wszelkie porywy miłości dusz łaską najwyższej bogomyślności obdarzonych — są słabymi tylko odblaskami tej miłości Boga Odkupującego, której najwyższy objaw na Kalwaryi się dokonywał. Stąd, to *Pragnienie* na które poskarżył się wtedy Jezus, jako pragnienie zbawienia ludzi, było bez żadnego stopnia gwałtowniejsze i dotkliwsze, aniżeli pragnienie naturalne, fizyczne, trawiące wtedy Jego piersi i wnętrzności.

Owoż, Maryę która to najdoskonalej i zaraz pojęła, pogrążyło to w nowe morze goryczy. Wiedziała że to drugie pragnienie prawie podobnież jak tamto, bo w wielkiej mierze, zaspokojonem nie będzie. Wiedziała że w owej chwili, przed przedwiedzą Zbawiciela, roztaczał się w jego myśli ogromny szereg niezliczonej liczby dusz ludzkich, w dniu każdym pogrążających się w otchłanie piekielne, z niezatartemi cechami Chrztu świętego, w którym omyci zostali krwią Swego Odkupiciela. Bo, a cóżto za niewypowiedziana dla Maryi Boleść, oto i w tejże chwili gdy Zbawiciel umiera od *pragnienia* dusz ludzkich, łotr niepokutujący nie chce dać Mu napić się jego duszy, nie chce nawróceniem się zaspokoić tego Jego pragnienia! A ileż to razy miało się toż samo powtarzać w przyszłości na krociach grzeszników, ani w godzinie śmierci niepokutujących! Wiedziała wtedy o tem Matka najboleśniejsza, a i ona z Jezusem spragniona zbawienia dusz wszystkich, z Nim

katusze tego niezaspokojonego wtedy *Pragnienia* doznawała.

O! biada nam! biada! iluż-to z nas nie chce zaspokoić tego palącego *pragnienia* Jezusa i Maryi; iluż-to z nas nie chcąc pokutować, gdy Oni tak nadzwyczajnie tego *pragną*, przyczyniło się wtedy do cierpień jakich w owej chwili doznali!

Ale nadeszła już była chwila, w której Jezus miał zejść w tak straszną głębię Swojej Męki, do jakiej dotąd jeszcze nie był dosięgnął. A i tam musi pójść z Nim Marya. Słowa które teraz wyrzecze nie do nas już, do nikogo z ludzi nie będą wyrzeczone. Będzie to rozmowa wprost Boga z Bogiem, a więc bardziej jak cokolwiek słyszeliśmy wychodzące z ust Jezusa, pełne tajemnic przechodzących ludzkie pojęcie.

I zawołał Jezus wielkim głosem mówiąc: Eli, Eli, lama sabathani; co się wykłada: Boże, Boże mój, czemuś Mnie opuścił!)* A nie porywajmy się na dociekanie całej tajemniczości tych wyrazów, objawiających w największej sile całą otchłań cierpień już nietylko zewnętrznych ale i wewnętrznych, które Jezus na Boską osobę Swoją dopuścił. Jestto głos skargi wychodzący z samych głębin najcięższego utrapienia, ucisku i boleści wewnętrznych, które właściwie nazwać i określić najwyższa Teologia mistyczna nie umie. Było to opuszczenie człowieczeństwa Jezusowego przez Boga, chociaż to człowieczeństwo było i pozostawało zawsze nierozdzielnie zjednoczone z Bóstwem. Było to odstąpienie Boga przez Boga; było to opuszczenie drugiej Osoby Trójcy Przenajświętszej przez pierwszą i trzecią

*) Mat. 27. 46.

Osobę. Ale czyż tak wyrażać się wolno? W istocie ściśle to biorąc nie wolno, bo podobne jakby oddzielanie się od siebie osób Trójcy Przenajświętszej jest niepodobieństwem. Lecz ten straszny szczegół Męki Pańskiej na krzyżu, jest tak wzniosły i tak pełen tajemniczości, że gdy go rozbierać usiłujemy, brak nam do tego słów i wyrażeń właściwych.

Boże mój! Boże! czemuś mnie opuścił. Czyż nie jest-to wołaniem przedewszystkiem ludzkiem? A jednakże Ten który to wyrzeka jest Bogiem najprawdziwszym. Słowa więc te muszą zamykać w sobie najwyższą jakąś tajemnicę, a tą jest najprzód najwyższe jakie być może objawienie doznawanych wtedy cierpień Jezusa na duszy, i powtóre, były one aktem najgłębszej czci oddanej Bogu Ojcu przez człowieczeństwo Syna Boskiego, a więc najwyższym aktem uczczenia Boga przez równegoż Mu Boga, najgodniejszem uczczeniem Boga przez Boga.

Niektórzy pisarze kościelni utrzymują, że były one spowodowane tem, że w owej dopiero chwili zniszczone zostały przypadłości Sakramentalne w Komunikancie przyjętem przez Pana Jezusa podczas ostatniej Wieczerzy, a które dotąd tam przetrwały. I że przez to wtenczas ustawało zjednoczenie się Jezusa z Nimże Samym w Sakramencie utajonym. Lecz mniemanie takowe nie wydaje się nam uzasadnionem. Dla czegożby Zbawiciel miał doznawać szczególnej pociechy i wsparcia z posiadania w Sobie Sakramentu Ciała i Krwi Swojej, wówczas kiedy właśnie i to Ciało na najsroższe męki wydawał, i tę krew do ostatniej kropli już wylewał? Dlaczego miałby z tego doznawać pociechy, kiedy dopuszczał żeby wtedy wszystko co Go otaczało, nie wyjmując nawet serca Matki najdroższej, stawało się

dla Niego powodem tylko cierpienia. Dlaczego Jego natura Boska w Przenajświętszym Sakramencie, miałaby być dla Niego osłodą i pokrzepieniem, którego pozbawienie miałoby wywołać owe uskarżanie się — kiedy wtedy i w Swojem zjednoczeniu się z Bóstwem osobistem, *hypostatecznem*, które było bez żadnego porównania ściślejszem od zjednoczenia się Sakramentalnego, odbierał Swojej naturze ludzkiej wsparcie Swojej natury Boskiej, — prócz wsparcia Boskiej wszechmocności, niezbędnej Mu żeby mógł dłużej żyć jeszcze i jeszcze więcej wycierpieć. Właściwiej tłómaczy sobie to opuszczenie wtedy Pana Jezusa powszechność wiernych, idąc za powszechnem zdaniem Kościoła, że opuszczenie na które skazał się w owej chwili Syn Boży, było opuszczeniem Go przez Boga Ojca, przez odjęcie Jego człowieczeństwu wszelkiej uczuciowej wewnętrznej pociechy.

O! duszo moja! patrz-że co się to dzieje! Oto Bóg, Ojciec, ten w którym zawarta wszelka i najwyższa dobroć, wszelka łaskawość, wszelka litość, wszelka cierpliwość, wszelkie miłosierdzie, wszelka sprawiedliwość; z którego *wypływa wszelkie na niebie i na ziemi ojcowstwo* *), a więc wszelka miłość rodzicielska — ten Bóg Ojciec, obiera chwilę najcięższych mąk Jezusa, to jest Syna Swego będącego przedmiotem Jego odwiecznej, nieograniczonej i na wieki trwać mającej miłości — obiera, mówię, taką chwilę, aby Go na nowym krzyżu rozpiąć, a to na krzyżu wewnętrznego cierpienia, ze wszystkich cierpień jakich człowiek doznać może najcięższego. A jednakże, wszak wiemy to dobrze, jak miłość Jego do Syna nie ma granic, tak i Sprawie-

*) Efez. 3. 15.

dliwość również jest nieograniczoną. Czemże być musi grzech, gdy żeby zań zadość uczynić mógł Syn Boży, aż takie cierpienie, aż taką katuszę musiał na Siebie, będącego samąż niewinnością i świętością, dopuścić!

I otóż nowy objaw miłośc. Jezusa do ludzi, nowy jej dowód przewyższający wszystkie dotąd dane: bo cóż już może wyższym być dowodem tej miłości, jak gdy dla niej Bóg Sam Siebie odstępuje i w zjednoczonej w osobie Swojej z Bóstwem naturze ludzkiej, dopuszcza aż ten rodzaj cierpienia, jaki najcięższą mękę potępieńców stanowi.

A na widok tego, na objaw takiej miłości w Jezusie, jakaż miłość rozbudziła się w sercu Maryi, a stąd jakaż Boleść zalała Jej serce, gdy tych słów Jezusa zrozumiała jak najdoskonalej znaczenie — a oraz i dowiedziała się, że i tego rodzaju najokrutniejszego cierpienia nie oszczędził On Sobie!

Ale Matko najdroższa! gdy tedy do takiego szczytu doszły już Boleści Twoje, zbliża się więc i ich koniec, a z całem ich spotęgowaniem się, z jakiem zwykle kończy się wszystko co dochodzi do swego ostatecznego kresu. Już Jezus jeszcze czegoś większego od tego co dopiero-co przebył, do wycierpienia wynaleść nie może. Wychylił już do ostatniej kropli kielich wszelkich możliwych na ziemi, ba nawet i w piekle goryczy; to też już powie *Spełniło się* *). Wszakże pozostawało jeszcze jedno cierpienie którego dotąd nie doznał, pozostawała jeszcze jedna z kar ściągniętych na człowieka za jego bunt przeciw Stwórcy, i z kar dla natury ludzkiej najcięższa, a którą przychodziło

*) Mat. 16. 4.

Zbawicielowi przyjąć na Siebie, jak je przyjął wszystkie. Tem zaś była kara śmierci, ten pierworodny płód pierwszej niewiasty, pierwszej naszej ziemskiej matki, pierwotnej Ewy.

Lecz czyż śmierć mogła rozciągnąć swoją władzę aż nad życiem Boga nieśmiertelnego, nad żywem życiem wiecznem? Czyż kara spowodowana Ewą, będąca, jakby przez nią, bo nie przez Boga przecież, stworzoną, mogła dosięgnąć nawet Stwórcę? Czyż i Bóg miałby być uczestnikiem gorzkiego spadku zakazanych uciech ziemskiego raju? Jakby to być mogło? w jaki sposób mógł umrzeć Bóg? czem śmierć może stać się dla Niego? Otóż najwyższy szczyt tajemnicy odkupienia, otóż dowód i objaw miłości Boga ku ludziom już wyżej sięgnąć nie mogący, i do takiego to szczytu w którym dla Maryi znajdzie się i najwyższy szczyt Jej Boleści, trzeba żeby w tej chwili podniosło się Jej serce. Albowiem, i to w Jej oczach, Jezus ma już poddać się śmierci; ta i taka Matka, ma patrzyć jak przenajświętsza dusza Jego rozłączy się z przenajświętszem ciałem, wśród najcięższego konania.

Dopływało już tedy trzydzieści trzy lat ciężkiego pobytu Zbawiciela na ziemi. Nowa era rozpoczynała się dla świata, mająca rozdzielić całe dzieje rodu ludzkiego od Adama aż do końca jego istnienia na ziemi, na dwa odrębne okresy, czasy przed i po tej chwili obejmujące. Jezus umrze na krzyżu, żeby odtąd żyć na zawsze w odrodzonej ludzkości; umrze, żeby po wszystkie przyszłe wieki żyć w Swoim Kościele; umrze, żeby żyć we wszystkich milionach dusz Jemu wiernych; umrze żeby żyć i przebywać wszędzie z ludźmi do końca świata w przenajświętszym Sakramencie ołtarza; umrze żeby żyć i królować w Kościele

tryumfującym w niebie, śmiercią Jego otwartem i zaludnionem. Lecz bądź co bądź, czemże ta zbliżająca się już śmierć Jego będzie dla Maryi? czem będzie dla Maryi życie na ziemi bez Jezusa?

Nie podnosiła oczów, lecz wiedziała że Jezus Swoje na Nią zwrócił. Spojrzenia Jego zatrzymywały się wtedy nad temże przebłogosławionem obliczem Matki, nad którem zatrzymały się po raz pierwszy, gdy przychodząc na świat, u rąbka szaty macierzystej pierwszy raz zstąpił na ziemię, w chwili w której Ona klęcząc zatopiona była w modlitwie, i gdy wtedy wyciągnął do Niej ze słodkim uśmiechem, Boskie rączęta Swoje, a Ona je objęła i do serca tuliła, z miłością nad miłościami i uciechą niebieską. Wprawdzie i teraz też ręce widziała wyciągnięte; lecz jakże inaczej! a na boskich ustach zamiast uroczego uśmiechu dziecięcego, widziała drganie konwulsyjne zbliżającego się konania.

Marya czując na Sobie spojrzenie Jezusa, i Sama podniosła głowę i popatrzała na Niego. I nigdy podobne nie spotkały się wzajemne spojrzenia taką wyrażające wzajemną miłość, a razem i taką niezmierną wspólną Boleść. Aż nakoniec i Ojciec niebieski wyciągnął ku Maryi Swoją prawicę, by Ją nową obdarzyć siłą; a gdy Ona nią wsparta, gotowa już była na wszystko, Jezus zawołał wielkim głosem: *Ojcze! w ręce Twoje poruczam ducha Mojego* *): opuścił głowę skłaniając ją w stronę Matki i błogosławionego ducha wyzionął.

Lekki wietrzyk się zerwał; zaćmienie się skończyło; tarcza słoneczna zaczęła się z wolna odsłaniać, na dachy gmachów Jerozolimy, i na szczyty wież rozchodziło się światło; lecz ptastwo i świergotać jakby nie

*) Łuk. 23. 46.

śmiało, i przelatywać zaczęło; ludzie z dopiero co doznanej trwogi i z trzęsienia ziemi i z zaćmienia słońca, otrząsać się zaczynali; od krzyża prawie wszyscy odeszli, a pod nim pozostała Marya. *Stała *)* Matka, przy nieżywem ciele rozpiętego na strasznem rusztowaniu Syna!

I taką-to była Jej piąta Boleść, całem pasmem Swoich tajemnic, jak świętość Maryi tak i Jej cierpienia do najwyższego stopnia podnosząca. W całym ciągu tego najboleśniejszego, w całem Jej życiu przejścia, stała Ona nieporuszona pomimo wszystkich cierpień przebytych w dniu poprzedzającym; pomimo nocy spędzonej bez zmrużenia powiek, i pomimo tego długiego poranku zapełnionego tak okrutnie przeszywającemi Jej duszę wypadkami. Z niezachwianem męstwem, nie upadając pod strasznemi ciosami, jeden po drugim na Nią uderzającymi, *Stała,* jak tu umyślnie tego silnego wyrażenia używa Ewangelia święta pisząc o tem, — *stała pod krzyżem,* żebyśmy przez ten cud męstwa i cierpliwości w cierpieniach wszelkie wyobrażenie przechodzących, poznali jakąśmy dopiero co w Niej dostali Matkę, i jakiemi Jej nieodrodnemi okazywać się powinniśmy dziećmi, gdy nam pod naszemi stać przyjdzie krzyżami. I jest-to jakby nagrodą za Jej niezmierne doznane pod krzyżem Boleści, jest-to nabytym wtedy przez Nią przywilejem, że niemożliwem jest opowiadać Chrystusa ukrzyżowanego, bez opowiadania Maryi pod krzyżem stojącej, i że tajemnica krzyża z tajemnicą Jej Boleści jest tak spleciona, że pierwsza bez drugiej, nigdyby się nam w całem świetle swojego głębokiego a największego znaczenia, przedstawić nie mogła.

*) Jan 16. 8.

§. II. Główne cechy piątej Boleści Przenajświętszej Matki.

A teraz zwróćmy najprzód uwagę na to, że piąta Boleść Przenajświętszej Panny to ma w sobie szczególnego, odróżniającego ją od wszystkich innych Jej Boleści, że Ukrzyżowanie jak było źródłem i powodem każdej z tamtych, tak było także i ich wszystkich ześrodkowaniem się, skupieniem. W każdej z innych Swoich Boleści przebyła Marya cierpienia niezmierne, jak to widzieliśmy w już rozpamiętywanych, i obaczymy w dwóch ostatnich. Lecz właściwie dopiero to w piątej, nad którą teraz się zastanawiamy, przeszył Jej błogosławioną duszę Miecz, zapowiedziany Jej przez Symeona przy zaofiarowaniu przez Nią Dzieciątka Jezus w Świątyni. Od tej też chwili, jeżeli i nie wprzód jeszcze, ukrzyżowanie Jezusa i przewidywane przez Maryą, a wtedy w szczególny sposób objawione Jej najokrutniejsze tego szczegóły, — były krzyżem wewnętrznym Jej całego życia: nosiła go bezustannie na sercu i duszy. Piąta tedy Boleść, była urzeczywistnieniem, spełnieniem się na jawie tego co w innych Jej Boleściach było tylko albo przewidywanem, albo ile możności opóźnianem.

W pierwszej Boleści, gdy zaofiarowywała Jezusa w Świątyni, zanosiła Go jakby własnemi rękoma na Kalwaryę; krzyż więc już wtedy był źródłem Jej cierpienia. Następnie gdy uchodziła z Nim do Egiptu, chroniąc Go od śmierci, którą chciał Mu zadać Herod, wiedziała że Go uchowa od tego na to, żeby później śmierć krzyżową poniósł. Gdy trzy dni zbolała szukając Go po zniknięciu Jego w Świątyni Jerozolimskiej,

w końcu znalazła, wiedziała że przyjdzie chwila w której zniknie On przed Nią prawdziwiej, gdy Go z krzyża do grobu złożą. Spotykając Go krzyż niosącego, w krzyżu to tym do którego miał być przybity, była zawarta wszelka Jej wtedy Boleść. Przy złożeniu Jezusa z krzyża, ta szósta Jej Boleść była tylko skutkiem piątej, równie jak siódma, to jest złożenie do grobu, było jej następstwem. Słusznie więc mogliśmy powiedzieć, że piąta Boleść Przenajświętszej Panny, była skupieniem się, ześrodkowaniem, najwyższem urzeczywistnieniem się, wszystkich cierpień całego Jej życia. I dlatego, Bolesną Matkę Bożą najwłaściwiej przedstawiają i najsilniej przemawiają do serc naszych, Jej wizerunki stojącej pod krzyżem. W porównaniu z Ukrzyżowaniem, wszystkie sześć innych Boleści Maryi, były jakby, że się tak wyrażę, ulgą dla Jej serca, w którem myśl śmierci krzyżowej od zapowiedzenia Jej takowej przez Symeona, bezustannie tkwiła. Mówię zaś, że były jakby ulgą, bo odwracały myśl Jej od tego strasznego obrazu. I nic w tem dziwnego, gdyż dopiero to wtedy, dopiero w piątej Boleści, Marya dokonywała już ostatecznie, już w całej pełni, ofiarę uczynioną z Syna Bogu Ojcu; jak znowu Syn dokonywał ostatecznie sprawę zbawienia dla której stał się Jej Synem. To też dopiero to wtedy Boleściami Swojemi doszłemi do najwyższego szczytu, i nas wszystkich porodziła do życia łaski i nas wszystkich stała się Matką.

Innym znowu odrębnym szczegółem piątej Boleści, jest mnogość, rozmaitość i srogość cierpień doznanych przez Maryę, przez czas w ciągu którego stała pod krzyżem, a który to czas porównywając go z czasem trwania innych Jej Boleści, był bardzo krótki. W trzech

tylko tych godzinach, jakież-to najróżnorodniejsze potoki goryczy zalały niepokalane serce Matki Bolesnej! W tych trzech godzinach jakież-to zaszły tajemnice, jak takowych wiele, a każda z nich była odrębną męczarnią dla Maryi!

Począwszy od chwili gdy patrzała na przybijanie Syna do krzyża, aż do najwyższego już stopnia cierpień Jego, kiedy wyszedł z Boskich ust Jego bolesny jęk z opuszczenia wewnętrznego, któremu dozwolił do Siebie przystępu ileż-to mieczów przeszyło serce tej Przenajświętszej Matki! Gdyby nie cudowne wsparcie, którem Pan Bóg podtrzymywał Ją wtedy przy życiu, ileż razy od doznanych w tych trzech godzinach boleści, umrzećby powinna była! Trzy godziny trwania tajemnicy Ukrzyżowania, były dla Maryi trzema godzinami konania, w ciągu którego cierpienia Jej serca i duszy dochodziły do stopnia, w którym nikt z ludzi, bez poniesienia od nich śmierci, przetrwać nie byłby w stanie, chyba wyraźnym cudem przy życiu byłby zachowany. A tak niezmierne męki wewnętrzne, jakże przebywa Matka najboleśniejsza? Jak? Oto Ewangelia święta dwoma tylko słowami to wyraża mówiąc: że *Stała pod krzyżem....* *)

Gdy nadzwyczajnego doznajemy cierpienia, gdy wielkim ciosem dotknięci jesteśmy, gdy z jakiegokolwiek powodu cierpimy w stopniu bardzo i bardzo wysokim, postawa stojąca, stanie na jednem miejscu, jest dla nas wtedy jakby rzeczą niemożliwą: nie poruszać się wtedy z miejsca, byłoby nową męczarnią. Jak doznający nadzwyczajnych cierpień fizycznych nie może uleżeć na jednem miejscu, i wijąc się w bólach szuka

*) Jan 16. 15.

niejako ulgi, zmieniając położenie ciała — a zwłaszcza nie byłoby możliwem dla niego stać niewzruszenie — tak coś podobnego dzieje się z nami gdy moralnego, wewnętrznego na sercu i na duszy doznajemy strapienia. Prócz wypadków w których wielka boleść osłupia, wprawia w zupełną nienaturalną nieczułość osobę dotkniętą jakiem wielkiem cierpieniem moralnem — w innych razach, w wielkim smutku, szuka biedna natura nasza niejakiej ulgi w przemianach, chociażby najspokojniejszych i najpowolniejszych, postawy ciała.

Owoż, jak żadna Boleść Matki Przenajświętszej tak i doznana pod krzyżem, w osłupienie wprowadzić Ją nie mogła, gdyżby to nie zgadzało się z najwyższą doskonałością Jej natury i z tym niezachwianym wewnętrznym spokojem, z jakim wszystkie Swoje cierpienia przenosiła. A jednakże *Stała* Ona pod krzyżem; *Stała* nieporuszona, ani najlżejszym ruchem nie zdradzając wewnętrznych a strasznych boleści wtedy doznawanych. *Stała* jak wryta, ale wryta w jednostajnej postawie nie pozbawieniem przez wielkie cierpienie czułości, lecz przykuta tam aktami wolnej woli którą, przez najdoskonalsze poddawanie się, jednoczyła z najwyższą wolą Ojca przedwiecznego.

Innym znowu odrębnym szczegółem tajemnicy Ukrzyżowania jest, że była najwyższem doświadczeniem, najwyższem wypróbowaniem i najwyższem stwierdzeniem, niezachwianej i najżywszej jak tylko być może wiary Przenajświętszej Panny. W onej chwili, w Niej zawartą była wiara prawie świata całego, gdy z Janem i Magdaleną stała pod krzyżem. W tej-to bowiem tajemnicy dopełniającej się w śmierci Syna Bożego na krzyżu, dokonywała się tajemnica ze wszystkich tajem-

nic naszej świętej religii najgłębsza, a więc najbardziej przechodząca ograniczone pojęcie człowieka. Bóg umierający na strasznem i za najhaniebniejsze poczytywanem wówczas rusztowaniu! Po ludzku więc sądząc, samym rozumem naturalnym patrząc na to, Bóstwo Pana naszego nigdy bardziej jak wtedy zasłonionem, zakrytem, zatajonem nie było; a tylko dla oka wiary, nigdy nie objawia się ono wyraźniej. Bo dla samego rozumu naturalnego, cóż trudniejszego być może do pojęcia, do wytłómaczenia sobie, jak żeby Słowo przedwieczne wcielone, żeby Bóg najwyższy, najwyższej chwały w niebie zażywający, podległ zniewadze wszelkie wyobrażenie przechodzącej, poddawszy się karze wyznaczonej wówczas na największych, najnikczemniejszych zbrodniarzy, z którymi właśnie razem był ukrzyżowany, mając i ich także na dwóch krzyżach po obu Jego bokach rozpiętych. Czyż w takiej chwili nie błyśnie coś dla oka ludzkiego, coby jednakże objawiło, że Ten który takiemu shańbieniu i takim katuszom podlega jest Bogiem? Czyż wszechmocność Ojca przedwiecznego, żadnej nie użyczy Mu pomocy? Ale cóż mówić o pomocy, czy Go czasem w takim stanie nie odstąpi, nie przywiedzie do tego że w końcu aż na to żałosna skarga z piersi Jego konających wyjdzie? Niestety! przyjdzie w istocie aż do tego, i Marya nie będzie o tem wątpić, gdy usłyszy z własnych ust Jezusa to okropne zawołanie: *Boże, Boże Mój, czemuś Mnie opuścił!* *).

Lecz co pospolitą wiarę na próbę wystawiać mogło, to niezachwianą wiarę Przenajświętszej Matki do najwyższego stopnia podniosło. Nigdy głębszej czci Bóstwu Chrystusowemu nie oddawała Jej przenajświęt-

*) Mat. 16. 8.

sza dusza, jak właśnie wtedy gdy pod krzyżem stojąc, na najsroższe męki i straszną śmierć Swego Boga patrzała. Nigdy się głębiej przed Jego Bóstwem nie korzyła, nigdy Go silniej jako Boga nie miłowała.

Ale nietylko Bóstwo zasłonione, zatajone było w Panu Jezusie bardziej aniżeli kiedy, przez trzy godziny Jego męki krzyżowej; lecz i przymioty i doskonałości Boskie, bardziej aniżeli kiedy były wtedy przyćmione. Podczas ukrzyżowania, jak zaćmienie słońca w świecie fizycznym sprowadziło ciemności, tak do najwyższego jaki już być mógł stopnia poniżenie Syna Bożego, sprowadziło ciemności na dusze ludzkie, tak dalece, że i po dziś dzień jak wiara w Bóstwo Zbawiciela pomimo że umarł na krzyżu, jest zasadniczą podstawą wiary chrześcijańskiej, — tak zwątpienie o tem że był On prawdziwym Bogiem, jest zupełnem od tej świętej wiary odpadnięciem.

Bo w istocie cóżto zaszło na Kalwaryi? Wydawało się że grzech wydarł Bogu panowanie nad światem. Świętość uosobniona wydaną została na pastwę bezbożności ostatecznej. Sądziłbyś że najwyższa Opatrzność siłą jakąś jakby większą od jej najwyższej potęgi, z właściwego biegu swego odwróconą została. Bóg zdeptany został nogami przez ludzi; wydarli Mu oni władzę nad sobą, i niedość na tem, Stwórcę swego w posiadanie dostali, żeby się napastwić nad Nim do woli. A więc Pan Bóg nie mięsza się do spraw ludzkich i to w chwili gdy wdanie się Jego tak się zdawało właściwem, koniecznem, niezbędnem. Jeżeli dano zostało ludziom tak postąpić jak wtedy postąpili, to tedy i nadal i na zawsze wolno im to będzie.

O! zaiste, jakiejże to wiary potrzeba było, jak głębokiej znajomości teologii, żeby wtedy pogodzić

między sobą wszystkie zarówno nieograniczone przymioty Boga. Wtedy nawet wiara w istnienie Aniołów wystawioną była w Maryi na również ciężką próbę. Bo jeśli istnieją oni w istocie, gdzież się podzieli w owej chwili, kiedy Ten którego tron otaczają z najgłębszą czcią w niebie, teraz oto na ziemi wydan na pastwę najnikczemniejszych ludzi. Marya tyle razy widziała Aniołów, Ona z nimi ciągle obcowała, Ona od nich tyle usług przez cały ciąg życia odbierała. Wiedziała nawet że gdy w Ogrojcu Syn Boży zapadał w konanie, zesłał Mu Bóg Ojciec Michała Archanioła, który Go pokrzepiał i sił Mu dodał. Lecz cóż z nimi wszystkimi teraz się stało? Przecież oni, gdy przed stworzeniem świata zaszedł był bunt pomiędzy nimi, okazali się wiernymi i niezachwianymi obrońcami chwały Syna Bożego, i za to na zawsze utwierdzeni zostali w łasce. Jakże być to może żeby Go teraz nie bronili, żeby Go jakby odstępowali? Wszak gdy po przestępstwie pierwszych naszych rodziców chodziło o niedopuszczenie już odtąd grzesznych ludzi do ziemskiego raju, znaleźli się Cherubini z mieczem obosiecznym, wzbraniający tam przystępu. Czemuż teraz dla nieporównanie większej jeszcze potrzeby, bo dla ochronienia Boga od największych zniewag, nie występują oni z temiż mieczami, dla rozpędzenia najnędzniejszych stworzeń na Stwórcę swego rzucających się?

O! były tam całe zastępy tych duchów niebieskich spieszących na odsiecz Boga-człowieka, lecz ciągle wolą Boską były odpierane, powstrzymywane, jak te chmury które wśród burzy, napróżno chcą przeprzeć wicher przeciwny ich kierunkowi. Przejęci największą zgrozą na widok tego co się wtedy działo, pałali żądzą przyjścia w pomoc Jezusowi; lecz słodkie spojrzenia Zba-

wiciela powstrzymywały ich od tego, i jego wola Boska nie dozwalała im użyć ich siły w Jego obronie.

I nieczynność więc wtedy wszystkich duchów niebieskich, wystawiała wiarę Maryi na próbę i z tej strony, gdy z drugiej, i to co się wtedy działo z duszami ludzkiemi, podobnież było niemałem wypróbowaniem tejże w Niej cnoty.

Niedawno słyszała Ona jak Jezus głośno modlił się za tych którzy Go katowali, a i prócz tego czuła że przez cały czas okrutnego rozpięcia Swojego na krzyżu, spływały z serca Jego wezbrane miłością potoki łask, wystarczające na zbawienie nie tego jednego świata za który umierał, lecz i tysiąca innych. Prócz tego, jak z jednej strony cała Męka Pańska, a zwłaszcza ukrzyżowanie, zasłoniło niejako bardziej jak kiedy Jego Bóstwo, tak z drugiej strony ciż ludzie którzy Mu te męki zadawali, odsłonili znowu bardziej aniżeli kiedy Jego niezrównaną świętość i Jego niepojętą, granic niemającą miłość ku ludziom. Jego pokora, Jego posłuszeństwo Ojcu przedwiecznemu, Jego niezrównana cierpliwość, Jego niezachwiana słodycz, Jego męstwo, słowem wszystkie Jego cnoty jako Boga-Człowieka, nigdy w większym blasku nie jaśniały, jak właśnie wśród tych wszystkich zniewag, mąk, upokorzeń i cierpień którym się wtedy był poddał. A jednakże, ludzie ująć się tem wszystkiem nie dawali! Ci którzy na to patrzali, chociaż nie byli wspólnikami Jego morderców, okazywali się jednakże co najmniej obojętnymi. W nocy poprzedzającej, strzegący grobu Pańskiego, a przez to najbliżsi i najpierwsi świadkowie cudownego Zmartwychwstania Zbawicielowego, nie nawrócili się wcale. Wielu naocznych świadków podziwiało z litością Jego niezachwianą cierpliwość podczas okrutnego biczowa-

nia, ale to na nich zbawiennego wrażenia nie wywarło. Piłat dostąpił niewymownego szczęścia rozmawiania z Panem Jezusem; Herod miał Go na swoim dworze, a pierwszy, koniec końcem wydał Go w ręce Żydowskie, a drugi wyszydził bluźniersko. Tuż obok Niego, umierał łotr niedobry, i pomimo takiego i w takiej chwili sąsiedztwa, gubił na wieki swoją duszę. Łaska bezustannie wytryskiwała, jak z rozpalonego ogniska bucha ogień, z krzyża na którym najwyższy Dawca łask wszelkich wysługiwał już cały ich nieograniczony nadmiar. Marya, ta najwyższa odtąd wszyskich łask jakie na świat odtąd spływać miały Szafarka, stojąc pod krzyżem wypraszała je ciągle, a już takiem sercem Matki dla wszystkich jaką się tam tylko co stała. A pomimo tego, gdy w on *Wielki Piątek*, słońce na ziemi miało się już ku zachodowi, a *Słońce wiekuistej światłości* *) dogorywało na krzyżu spalone miłością ludzi, jakże mały plon z takiego zasiewu powstawał, jakże mało ludzi widziała Marya korzystających z Męki i śmierci Syna Bożego!

O zaiste! nigdy wiara w zasługi Zbawicielowe i w całą Boską cudowność sprawy zbawienia, nie była na większą jak wtedy narażona próbę. Nigdy żadna z dusz wypróbowanych w tem przez Pana Boga, przez pozostawianie ich w stanie tak zwanej nagiej, zimnej wiary, nie była wystawioną na tak ciężkie pod tym względem przejścia. A wśród tych właśnie w Maryi rozbudzała się najżywsza, najsilniejsza, całą Jej wewnętrzną istotę, cały Jej rozum i całe Jej uczucie przenikająca wiara. Wtedy jak się wyraża święty Alfons wielki Doktór Kościoła, w duszy jej tyle było wiary, że wystarczałaby na zbawienie świata całego.

* (Mądr. 7. 25.

Inna znowu właściwa tej piątej Boleści Matki Przenajświętszej srogość, zawierała się w siedmiu Słowach wyrzeczonych przez Pana naszego na krzyżu. Że one przeszyły serce Maryi jak siedm mieczów najostrzejszych; że one dosięgły głębin Jej duszy, do jakich nasze największe moralne cierpienia nie dosięgają nigdy — to nie dlatego tylko że w nich Matka rozpoznawała dobrze Jej znany głos umierającego Syna; że one rozbudzały w Jej umyśle najtkliwsze wspomnienia, i że uroczysta cisza panująca wówczas wokoło gdy one z ust Jezusowych wychodziły, przydawały im tembardziej najboleśniej przejmującego uroku. Ani dlatego tylko że objawiały one, jak to często się zdarza w chwili śmierci, jakieś zalety nieznane dotąd w duszy już ten świat opuścić mającej. Nakoniec i nie dla tego tylko, że one przypominając Maryi inne słowa wyrzeczone w ciągu życia przez Jezusa, rojaśniały tajemnicze niektórych z nich znaczenie, a same w sobie miały dla Niej odrębne znaczenie, wyrażały dla Niej tak wzniosłe tajemnice jakich my ani domyśleć się nie jesteśmy w możności. Nie z tych tylko powodów przeszywały one do głębi serce Maryi, lecz i dlatego że były to Słowa Boskie, Słowa o których mówi Pismo święte że: *Żywa jest mowa Boża i skuteczna, i przeraźliwsza aniżeli wszelki miecz po obu stron ostry; i przenikająca aż do rozdzielenia duszy i ducha, stawów też i szpików i rozeznawająca myśli i przedsięwzięcia serca* *). Takie też tych słów Jezusowych było oddziaływanie na serce Maryi: one przenikły Jej serce jak głos silnej trąby przenika do wnętrza organów naszego słuchu. Według wyżej przytoczonego ustępu Pisma świętego *przeniklive*

*) Żyd. 4. 12.

i wrażliwe, rozniosły one boleści jakby przez nowo poczynione wyłomy aż do tych tajników duszy, do których dotąd jeszcze były nie doszły. Siedm słów Jezusowych wyrzeczonych na krzyżu były dla serca Maryi tem, czem głos Najwyższego o którym powiedziano w Psalmie dwudziestym ósmym że: *Głos Pański nad wodami, Bóg Majestatu zagrzmiał, Pan nad wodami wielkiemi; Głos Pański w mocy, głos Pański w wielmożności. Głos Pański łamiący Cedry Libańskie. Głos Pański rozpalający płomień ognisty, głos Pański zatrząsający puszczą, i poruszy Pan pustynię Kades*).*

Już zwracaliśmy uwagę, na podobieństwo zachodzące między tajemnicą Ukrzyżowania a tajemnicą Zwiastowania, a podobieństwo stanowiące także jeden z odrębnych szczegółów piątej boleści. Marya stała się naszą Matką, w chwili właśnie gdy straciła Jezusa Swego Boskiego Syna. Było to jakby uroczystem zamknięciem, zakończeniem trzydziesto-trzechletniego najściślejszego wspólnego pożycia Maryi z Jezusem, a oraz było to uroczystem rozpoczęciem tego życia Maryi dla Kościoła i w Kościele, dla wszystkich wiernych, któremu każda dusza ochrzczona zawdzięcza więcej łask aniżeli to przypuszcza. W trzeciej Boleści, w zniknięciu Jezusa w Świątyni, Pan Jezus przemówił był z pozorną nieczułością do Maryi, jakby Jej godność macierzyńska ustępować miała miejsca posłannictwu, którem obarczał Syna Bóg Ojciec. W tej znowu piątej Boleści zanurza On, pogrąża, zatapia, że się tak wyrażę, Jej Macierzyństwo Boskie w nowem macierzyństwie ludzkiem którem Ją obarcza.

Ze wszystkich słów kiedykolwiek wyrzeczonych przez Jezusa do Maryi, nie było zdaje się żadnych peł-

*) Psalm 28. 6

niejszych tajemniczego znaczenia, i większe zadających Jej sercu cierpienia, jak te które wyrzekł do Niej gdy Go odszukała była w Świątyni, a oraz i te które dopiero co wyrzekł do Niej z krzyża. A mają one pomiędzy sobą przedziwny związek, są jakby odbrzękiem, echem jedne drugich.

Przy miłości dusz ludzkich jaką pałało serce Maryi, a miłości niezmiernie zwiększonej tem wszystkiem co w dniu Wielkopiątkowym zaszło — stanie się Matką grzeszników, nadzwyczaj też wzmogło i Jej Boleści. To nieprzeliczone mnóstwo ludzi, błąkających się podówczas na całej ziemi, po rozdrożach bezwiernych; to mnóstwo coraz większe takichże w przyszłych czasach, — wszystkich tych Marya przyjęła, przygarnęła do Swego serca. A obok tego, światło nadprzyrodzone okazywało Jej jak najwyraźniej całą złość grzechu, i dawało Jej pojąć i uczuć jak najwyżej całe nieszczęście grzeszników, w otchłanie mąk piekielnych odrzuconych na wieki od Boga, wskutek ich ostatecznej złości i niepokuty.

Słowo bowiem Zbawiciela, jako słowo Boskie, wnet dokonało co wyrzekło. Stąd zrobiło ono z Maryi Matkę wszystkich ludzi, a to nietylko przez uroczyste ogłoszenie tego Jej macierzyństwa, lecz w rzeczywistości serce Jej na serce Matki dla nas wszystkich przeistaczając. Pan Jezus roztworzył wtedy w Jej sercu nowe źródło miłości niewyczerpanej, tak żeby Ona umiłowała ludzi jak on ich umiłował, i żeby to Jej serce macierzyńskie takie prawie dało nam w sobie miejsce, jakie tam On Sam zajmował. Rozmnożył się, że tak rzeknę, na tyle milionów ile ich było i będzie grzeszników, i obdarzył Maryę miłością wystarczającą na wszystkich. A jakąż miłością! miłością tak stałą, tak uczynną, tak tkliwą,

tak troskliwą, tak litościwą, tak wytrwałą, jak żadna inna chociażby najwyższa miłość macierzyńska.

Lecz czemże była miłość taka Maryi, jeśli nie nowem uzdolnieniem Jej do cierpienia i nowem ich źródłem? Nie jesteśmy w stanie mieć dokładnego pojęcia Boleści Przenajświętszej Panny przy Ukrzyżowaniu, nietylko dla tego że w ogólności Jej Boleści przechodzą pojęcie ludzkie, ale i dla tego że nie dość żywo pamiętamy o tem, że Marya stała się naszą Matką u stóp krzyża, nietylko przez takowe jej zamianowanie, lecz mocą najrzeczywistszej twórczości Słowa Bożego. Ta bowiem moc twórcza, w tejże chwili rozszerzyła przeszyte Serce Maryi, i napełniła je jakby oceanem nowej ku ludziom miłości, a przez to samo wzmogła, i to w mierze ogromnej, Jej cierpienia; bo iluż-to takowych źrodłem miało być właśnie Jej macierzyństwo nad nami! A tak Marya przebyła najcięższe na sercu boleści porodu, gdyśmy wszyscy jej dziećmi się porodzili, gdy nas na świat łaski wydawała. Straszne cierpienia przy wydawaniu na świat dzieci, przekleństwem przez Boga zapowiedziane Ewie, a w jej osobie i wszystkim odtąd matkom, ogarnęły w całej swojej sile i srogości niepokalaną duszę Maryi, w chwili gdy się stawała naszą Matką według ducha.

Lecz powinniśmy zaliczyć także pomiędzy odrębne szczegóły piątej Boleści i to, co ona miała wspólnego z czwartą, przy spotkaniu Jezusa krzyż dźwigającego, a w czem znowu różni się z szóstą, gdy go z krzyża zdjęto. W tej bowiem piątej Boleści równie jak w czwartej, Marya była w niemożności zbliżenia się do Jezusa dla przyniesienia mu jakowej ulgi.

Cierpienia ludzkie tak smutną mają w sobie rozmaitość, że co w jednych bywa ulgą, to w drugich je

wzmaga. I oto jak przy zdjęciu z krzyża, złożenie na Jej macierzyńskiem łonie Boskich zwłok Jezusa, było źródłem niezmiernych dla Maryi Boleści — tak podczas Ukrzyżowania, to że Go na Swem łonie nie tylko trzymać nie mogła, ale ani się tak zbliżyć do Niego żeby Mu jaką ulgę przynieść — stanowiło największe dla Niej cierpienie.

O! cóżto za męka dla matki, stać nieporuszoną przy łożu konającego dziecka, w zupełnej niemożności przynoszenia mu tej ulgi, jakiej każdy umierający oczekuje od otaczających go w tej ciężkiej chwili. Usługiwanie konającemu dziecku jest jakby niezbędnem roztargnieniem dla matki; gdyby bowiem patrzała nieporuszenie na jego cierpienia, bez możności przynoszenia mu wtedy koniecznej ulgi, chybaby to ją samą wprzód od niego o śmierć przyprawiło. Wszak w takich razach potrzeba ułożyć mu jak najwygodniej poduszkę pod głową; trzeba mu rozgarniać włosy spadające na oczy; ocierać pot z czoła i twarzy, ciągle rozwilżać spalone usta i gardło; rozgrzewać ziębnące ręce i nogi; chronić oczy od rażącego światła; nie pozwalać na żaden hałas dla słuchu wtedy nieznośny; pilnować by przykrycie nie tamowało mu coraz już trudniejszego oddychania. Słowem, ileż tam wtedy zachodu znajduje serce matki, smutnego wprawdzie, ale gdyby niedozwolono jej było przynosić takowe ulgi umierającemu w jej oczach dziecku, cóżby to za nieznośna była dla niej męka!

Wyobraźmyż sobie, co wycierpiała Marya w ciągu tych trzech godzin pod krzyżem spędzonych! Czyż miał kiedy jaki umierający łoże tak niewygodne, tak twarde, tak męczące, jak niem było drzewo krzyżowe? Czyż kiedy było położenie ciała bardziej dręczące, jak to zawieszenie Jezusa na gwoździach w rękach i nogach przebodzonych, a wskutek czego Boskie ciało Jego cią-

żąc w dół coraz bardziej, coraz sroższe zadawało Mu katusze. Na czemże spoczywała Przenajświętsza głowa Jego? Jeśli chciał oprzeć ją o krawędź tablicy z napisem będącej u wierzchu krzyża, ciernie korony zmuszały Go spuszczać ją na piersi, których jednak dosięgnąć nie mógł. Rany w rękach i nogach, z których krew strugami się sączyła, zaogniały się coraz więcej przez ciążenie na nich całego ciała, i od bólów doznawanych wstrząsały Nim całym, co znowu też rany rozdzierało na nowo. Krew z pod cierni wychodząca zalewała Mu oczy, i krzepnąc na nich, rozbudzała w nich nieznośne swędzenie. Usta wyschłe od palącej gorączki, zapełniały się także krwią po policzkach spływającą, a to oddychanie coraz dotkliwiej tamowało. Nie było w Nim jednego członka, który nie potrzebowałby ulgi ręką matczyną przyniesionej, w którymby Jej dotknięcie nie mogło było złagodzić najsroższe cierpienia. A czy tego pragnęła Marya! O! Matki, wy na to odpowiedzcie; wy wynajdźcie wyrażenie na określenie pragnienia jakie miała Marya rozgarnąć na głowie Syna skrzepłą krwią zlepione włosy, otarcia Jego oczu, zwilgocenia spalonych ust tych z których dopiero co takie cudowne wyszły były słowa, oprzeć głowę Jego na macierzyńskiem ramieniu, podtrzymać, chociażby na chwilkę Jego ręce umęczone, podłożyć pod stopy Jego, dziewicze dłonie Swoje, żeby w oparciu się na nich ulgi doznały. Lecz nic tego nie dano było Maryi uczynić, a jednakże stała tam niewzruszona, spokojna, wryta jak posąg, ale nie jak posąg zimna i obojętna, lecz w postawie ogromnej boleści, w postawie matki z przeszytem już i piątym mieczem Boleści sercem, a przejętej czcią najgłębszą tego Ojca przedwiecznego, który Ją wtedy mocą prawicy Swojej cudownie przy życiu zachowywał, żeby

wszystko to w kornem milczeniu i najzupełniejszem poddaniu się Jego woli do końca znosiła.

Trzeba nam także pamiętać na to, że opuszczenie Jezusa przez Ojca przedwiecznego, było dla Maryi Boleścią, którą żaden rozum ludzki pojąć nie jest w możności.

W tajemnicach naszej świętej wiary w ogólności, ciągle brakuje nam słów na ich dokładne określenie. Rozprawiamy o odwiecznem rodzeniu się Boga-Syna z Boga-Ojca, o odwiecznem pochodzeniu Boga-Ducha Świętego od Nich obydwóch, ale objąć pojęciem nie możemy tej wzniosłości, tej odwiecznej bezustanności, tej siły, potęgi i pędu, z jakiemi odbywają się te wewnętrzne, a od wieków trwające i na wieki trwać mające, akty w łonie Trójcy Przenajświętszej. Wszelako, wszelkie wyrażania się o tej tajemnicy, więcej zawierają w sobie znaczenia dla biegłych teologów, aniżeli dla chrześcijan mało w religii oświeconych; więcej dla Świętych obdarzonych darami wyższej bogomyślności, *kontemplacyi,* aniżeli dla teologów; a jeszcze więcej dla dusz wybranych w niebie, aniżeli dla Świętych na ziemi żyjących. Lecz Marya za pobytu jeszcze na ziemi, była obdarzona tak wzniosłemi i wyjątkowemi oświeceniami co do najgłębszych tajemnic naszej świętej wiary, że co nasze pojęcie zupełnie przechodzi, to dla Niej nierównie mniej zakrytem było.

Owoż, opuszczenie Pana Jezusa na krzyżu, jest także jedną z tych tajemnic świętych, do których pojęcia całej zgrozy i całej okropności, napróżno rwałby się nasz ograniczony rozum. Lecz nikt tego tak dobrze nie pojął, nikt nie był przypuszczony do ocenienia cierpień Jezusa w owej strasznej i najcięższej z całej Jego Męki chwili, jak Marya. Dano Jej wtedy było widzieć w tem

to co nikt z ludzi dopatrzyć nie może, co żaden, nawet z rozumów Anielskich, dociec nie był w sile. Stąd też gdy z wyszłych z ust Jezusa słów tych: *Boże, Boże Mój, czemuś Mnie opuścił* *), dano było Maryi zrozumieć to opuszczenie jak żaden inny rozum stworzony zrozumieć tego nie może, a oraz dano Jej było ocenić całą straszną mękę duszy jakby opuszczonej od Boga — co jest najdotkliwszą męką nawet potępionych jedno i drugie przeszyło Jej duszę Boleścią niewymowną, a o tyle sroższą od tych jakich dotąd doznała, o ile i cierpienie to Jezusa czysto moralne, przenosiło Jego męki w nową jakby dziedzinę cierpień, a najcięższych do przeniesienia, bo cierpień, i mąk wewnętrznych, najwyższych cierpień ducha.

Odrębnym także szczegółem piątej Boleści Przenajświętszej Panny, była, że użyję tu tego wyrażenia, rozciągłość doznanych wtedy przez Nią cierpień ogarniających całą Jej istotę. Któż wyliczyć potrafi rozmaitość i różnorodność cierpień jakich doznała w ciągu tych trzech godzin? Czyż była aby jedna kryjówka, aby jeden z tajników Jej duszy i serca, któryby nie został najboleśniej zraniony? Co tylko w Jej niepokalanej naturze zdolnem było cierpienia, to wszystko oszczędzonem nie zostało. Do czego tylko boleść uczepić się mogła, to całkiem zalała, przenikła, przesiąkła, do ostatnich głębin ducha się dostając. Zanurzoną, pogrążoną była w cierpieniach, jak przedmiot rzucony w otchłanie morza zanurza się w niem, i zewsząd jego wodami otoczony jest i naciskany. Jak ognie karzące grzech, mają siłę i własności tak straszliwe, dlatego że spodobało się Panu Bogu uczynić je narzę-

*) Mat. 16. 8.

dziem kary lub oczyszczenia, — tak i nadprzyrodzonej siły Boleści Maryi na Kalwaryi były straszne, gdyż przeznaczone były do wyniesienia Jej cierpień do najwyższego stopnia w jakim je przenieść może istota stworzona, aby świętość Matki Bożej i Jej zasługi, przewyższyły świętość i zasługi wszystkich innych najdoskonalszych istot stworzonych wyjąwszy Jej Boskiego Syna.

Nie było ani jednego ze zmysłów Maryi, któryby nie służył do tego żeby cierpiała: były one jak pięć kanałów, przez które fale goryczy jak nawał wód wezbranych, gwałtownie wpadały w Jej Duszę. Nie było w Niej ani jednej władzy umysłowej, którąby przy wyjątkowo jasnem świetle nadprzyrodzonem z jakiem zapatrywała się na wszystko co się wtedy działo, nie zadawała Jej najcięższych męczarni. Wszystkie najtkliwsze uczucia Jej najtkliwszego jakie kiedy było serca, złożone wtedy zostały w ofierze na zadanie im najboleśniejszych ciosów; a najwyższy Ofiarnik ani jednego z nich nie oszczędził. Wolna wola Jej, wystawioną została na najcięższą jaka tylko być mogła próbę, przez konieczność zgadzania się z wolą Boga Ojca, którego sprawiedliwość wymagała aż wydania na śmierć Jego i Jej Syna; a więc w zgadzaniu się z wola Bożą w rzeczy tak kosztującej Jej macierzyńskie serce, jak żadne inne i wszystkie nawet razem wzięte największych Świętych wyrzeczenia się własnej woli dla spełnienia woli Boga, ich nie kosztowały. Dusza Jej, była ukrzyżowana z Jezusem, serce konało z Nim razem, a ciało od takich mąk wewnętrznych z sił opadało. Nogi zmęczone były długim staniem pod krzyżem, na rękach widziała smugi krwi Jezusowej, a oczy miała pełne łez gorzkich. W całem najwyższem znaczeniu tego wyrażenia, spełniały się wtedy na Niej w całej swojej strasznej

pełni, te słowa Proroka: *O! jakże okrył mrokiem zapalczywości Swej Pan Córkę Syon! Płacząc płakała w nocy, a łzy Jej na policzkach Jej: nie masz ktoby Ją cieszył ze wszystkich miłośników Jej. Z wysoka puścił ogień na kości Moje i wyćwiczył Mnie. Zastawił sieć na nogi Moje, wywrócił Mnie na wznak, położył Mnie spustoszoną przez wszystek dzień żałością utrapioną. Tłokiem zdeptał Pan Dziewicę Córkę Juda. Przełoż Ja płaczę a oko moje spuszczające wody, bo się oddalił ode Mnie Pocieszyciel ożywiający duszę Moją. Stali się synowie Moi straconymi, bo przemógł nieprzyjaciel. Przewróciło się serce Moje we Mnie Samej, bom gorzkości jest pełna. Zewnątrz miecz zabija, a wewnątrz śmierć takaż jest. O! wy wszyscy, którzy idziecie przez drogę, obaczcie a przypatrzcie się, jeśli jest boleść jako Boleść Moja?* *)

Nakoniec, najsroższą Boleścią Przenajświętszej Matki pod krzyżem stojącej, była niemożność umarcia, poniesienia śmierci wraz z Jezusem.

Nieraz jedyną i rzeczywistą pociechą dla opłakującego zgon drogiej mu istoty, byłoby umrzeć wraz z tym którego stracił. Przez długi przeciąg czasu, jakaś dusza nam droga, była naszą nieodstępną towarzyszką we wszystkich kolejach życia, albo przewodziła nam w ciągu nich, lub z miłością dopomagała je przebywać, dzieląc nasze smutki i radości, w pierwszych nas miarkując, w drugich wzmacniając, wszędzie przyświecając jak gwiazda wśród nieraz ciemnych nocy, a do której wzrok nasz zwracał się ciągle jak do ogniska, z którego wytryskiwało wszystko co nam trudną i smutną pielgrzymkę życia tego rozświecało, ułatwiało i osładzało

*) Tren 1. passim.

Aż oto ta gwiazda zagasła: to światło już nam przyświecać nie będzie. To serce które było jakby sercem naszego serca, bić przestało, i ta dusza, która była jakby naszej duszy duszą, z tego świata odeszła! Po cóż ją przeżywać? Czemże teraz być może dla nas życie? Do tego serca już nie bijącego, nasze zwracało się ciągle, i w niem znajdowało to czego nigdzie indziej nie znajdzie. We wszystkich naszych rojeniach o przyszłości, ono główne zajmowało miejsce; w całej przeszłości ono przeważnie jaśnieje. A teraz cóż poczniemy? na czem się oprzemy? skąd zasięgać będziemy światła, gdy w duszy ciemno się zrobi; skąd siły, gdy się jeszcze słabszymi jak zwykle poczujemy; skąd pociechy gdy na nas cięższe nadejdą chwile?

O! zaiste, śmierć drogiej istoty, bywa dla nas rozłączeniem, które wydaje się więcej nas kosztującem, aniżeli byłoby rozłączenie się duszy naszej od ciała. Wszak Apostołowie, a zwłaszcza święty Tomasz nadzwyczaj przywiązany do Pana Jezusa, zafrasowani niebezpieczeństwem na jakie się On narażał idąc wskrzesić Łazarza, pragnęli pójść za Nim, żeby razem z Nim śmierć ponieść, a nie przeżyć swego najdroższego Mistrza, gdyby Go wtedy zamordować miano *). I któż z nas, jeśli mu dano zapędzić się byle trochę w lata, nie przebył w życiu swojem dnia, w którym zdawało mu się, że doczekanie jutra będzie dla niego największem nieszczęściem; chcę mówić, nie doznał stojąc przy łożu umierającej, najdroższej mu istoty, mimowolnego pragnienia nie przeżycia Jej ani dniem jednym? nie czuł, że dla niego nie umrzeć wtedy, jest najsroższą boleścią? A nawet chociażby strata takowa dawno przewidzianą

*) Jan 12. 26.

była, pomimo tego dotyka nas ona jakby cios niespodziany, wydaje się nam, że już dla nas wszystko się skończyło. Zwykłe i chociażby najważniejsze zajęcia, wszelki dla nas tracą urok; cała przyszłość znika nam niejako z oczu, nic się nam już w niej nie uśmiecha, już w niej nic nie błyszczy, co dotąd ożywiało w nas najrozmaitsze nadzieje, plany i rojenia. Nic już na tej ziemi nas nie zatrzymuje, i pragnęlibyśmy wraz z drogą istotą, którą nam śmierć zabiera, zstąpić do grobu.

I oto do czego dochodzi wielka boleść serca, gdy się widzi blizkiem postradania ukochanej istoty, która tu na ziemi była dla niego wszystkiem. Lecz czemże i największe tego rodzaju doznane przez kogo z ludzi cierpienie jest w porównaniu z Boleścią Przenajświętszej Matki, gdy stała pod krzyżem? Pamiętajmy, że Ten, który na nim umierał, był i Synem Jej a razem i Jej Bogiem, a więc że śmierć Jego zabierała Jej i Syna, a Syna jaki nie był i nie będzie, a zabierała Go Matce jakiej nie było i nie będzie, — a razem rozłączała Ją i z Bogiem, którego Ona miłowała, jak nikt z istot stworzonych miłować Go nie może, i z którym przez lat trzydzieści i trzy ciągle przestawała. To też wyrazić doznanej wtedy przez Maryę Boleści, wyobrazić ją sobie, pojąć ją chociażby w małej części, jest dla nas niepodobieństwem. Bo któż ocenić, któż zrozumieć potrafi cierpienie posunięte do tego stopnia, że doznający takowego tylko cudem przy życiu zachowanym być może. A taką właśnie była ta Boleść Maryi, gdy patrząc na konanie Syna skonać wraz z Nim nie mogła; gdy usłyszała z ust Jego wychodzące te słowa: *Ojcze! w ręce Twoje polecam ducha Mego* *), a Swojej duszy w Jego ręce oddać wtedy nie mogła?

*)Mat. 26. 8.

§. III. Wewnętrzne usposobienie Przenajświętszej Matki, w Jej piątej Boleści.

Lecz od rozważania szczegółów piątej Boleści Przenajświętszej Panny, przejdźmy do rozważania wewnętrznego usposobienia z jakiem ją przenosiła. Wszakże mówić o tem, jest rzeczą nader trudną. Czytając żywoty Świętych, znajdujemy w każdym z nich odrębną jakąś cechę ich świętości, niekiedy zupełnie różniącą się od doskonałości innych znanych nam Świętych. W każdym z nich, przychodzi nam podziwiać jakby jakieś nowe dary niebieskie, jakby odrębną doskonałość, którą w najrozmaitszych stopniach i rodzajach obdarza Pan Bóg Swoich wybranych. I do tego też można stosować te słowa Psalmisty Pańskiego: *Przedziwny Bóg w Świętych Swoich* *). A jednakże wiemy o tem, że to co w Świętych daje się nam dopatrzyć, jest jakby niczem w porównaniu z tem czego w nich widzieć nie jest nam dano. O każdym Świętym, w miarę jak go coraz lepiej poznajemy, powtórzyć możemy to co królowa Saby mówiła o Salomonie gdy go bliżej poznała: że co o świetności jego dworu słyszała, ani w połowie nie dorównywało temu co na nim znalazła. Owoż, gdy tak rzecz się ma z każdym Świętym, cóż dopiero gdy idzie o Przenajświętszą Pannę! O Niej Pismo święte wyraźnie mówi, że Jej świętości, całej piękności Jej duszy, ani w małej cząstce dopatrzyć nie jest nam dano: *Wszelka chwała Córki królewskiej wewnętrzna jest* **), a Duch Święty opisując Jej piękność, aż dwa razy przydaje, że jest to tylko cząstką tego *co wewnątrz zostaje ukrytem* ***). W miarę też jak rozwa-

*) Psalm 67. 36. **) Psalm 44. 20. ***) Pieśń 4. 1.

żamy po szczególe Boleści Matki Przenajświętszej, tem coraz większą napotykamy trudność, w określeniu wewnętrznego Jej usposobienia, z jakiem je przenosiła. Do wyrażenia rzeczy tak nadzwyczajnych, mamy wyrazy tylko potoczne, zdolne właściwie określić tylko rzeczy zwyczajne. Tu zaś wchodzimy w dziedzinę tak wzniosłą, tak przewyższającą dziedzinę w której odbywają się zjawiska zwykłego życia ludzkiego, że nam coraz bardziej braknie słów, na wyrażenie tego, czego się domyślamy tylko, bo rozpoznać to dokładnie i zrozumieć, nigdy nie będziemy mogli. W zapatrywaniu się na Maryę, a zwłaszcza w rozważaniu Jej Boleści, przez co najlepiej poznać Ją możemy, najlepiej Ją, że się tak wyrażę, widzieć — dzieje się coś podobnego do tego co zachodzi w zapatrywaniu się w niebie dusz błogosławionych w Boga. To wpatrywanie się w Stwórcę, ta tak zwana *wizya* błogosławiona, wznieca wpatrującym się coraz większe pragnienie widzenia jeszcze więcej, chociaż obok tego, najzupełniej zadawalnia, i najwyższą uciechą zapełnia duszę tem co już widzi, w co już się wpatruje. Otóż, toż samo zachodzi, gdy rozważamy Boleści Maryi, gdy zapatrujemy się na Nią w ten sposób, przez który najlepiej widzieć Ją możemy.

Po takich tedy uwagach trzeba nam zastanowić się, jak to i przy rozważaniu poprzednich Boleści Przenajświętszej Panny czyniliśmy — nad niezachwianym wewnętrznym spokojem, który w ciągu i tej piątej Boleści panował w Jej duszy. Przebiegając myślą wszystkie okropne szczegóły Ukrzyżowania, wszystkie okoliczności tej ostatniej męczarni Zbawiciela towarzyszące, gdy zwracamy uwagę jak się to odbijać musiało na sercu Maryi nieodstępnie tam wtedy obecnej — wyda-

wać się nam będzie, że niezachwiany wewnętrzny spokój jest czemś, czego i w takiej jaką była Jej dusza, przypuszczać niepodobna. A nawet, gdybyśmy nie wiedzieli o tem, że w Bogu panuje pokój niezachwiany, stanowiący jeden z przymiotów Jego nieograniczonej doskonałości, wydałoby się nam rzeczą niezgadzającą się z najwyższą nawet świętością, zachowanie spokoju wśród tak wyjątkowo wzruszających wypadków, a od których cała nawet martwa natura wstrząśniętą została. W nas, zazwyczaj każdemu żywszemu uczuciu, towarzyszy mniejsze lub większe wzruszenie, i z tego to powodu trudno nam zrozumieć niezachwiany spokój duszy, obok najsroższego jakie być może cierpienia, a oraz i jak największej, jaka może być na nie wrażliwości. W ludziach, w ogólności spokój wśród cierpienia, bywa oznaką nieczułości. Lecz spokój Matki Przenajświętszej pod krzyżem stojącej, był podobnym do spokoju w Bogu niezachwianie panującego. Ten nawet najstraszniejszy objaw czem jest grzech, kiedy aż Boga rozpiął na krzyżu, i jaka złość jego, kiedy aż tego trzeba było dla zadośćuczynienia najwyższej sprawiedliwości — ten nawet widok jaki ma wtedy przed macierzyńskiemi oczami Swojemi, kiedy widzi, że własny Syn Jej jest tym Bogiem, nad którym tak okropnie, tak straszliwie spastwia się grzech i to nawet Jej spokoju wewnętrznego nie narusza. Nic też bardziej jak ta okoliczność nie dowodzi nam, nic nie objawia silniej, jakiem było zjednoczenie Maryi z Bogiem, do jakiego stopnia doszło już było w tej piątej Boleści, zgodzenie się, zlanie się Jej woli z wolą Najwyższego.

Gdzie jest Bóg, którego Pismo święte nazywa *Bogiem pokoju,* tam niepokoju być nie może, a całą duszę Maryi tak Duch Boży na wskróś ogarniał, tak

tę duszę Bóg zapełniał, że w niej ani szczeliny nie było, przez którą niepokój mógłby się wcisnąć. A stąd, gdy okropność następowała po okropności, w Matce Przenajświętszej nie rozbudzało to ani przerażenia, ani nawet zdumienia; słowem najmniejszego zmieszania. Kiedy tajemnice odbywające się wówczas, pogrążały Jej serce w bezdenne przepaści coraz nowych i nieprzewidzianych cierpień, każdy z tych tajemniczych wyroków Boskich, padał na przygotowaną na wszystko Jej duszę. O! w jakiemże to bezustannem stawieniu się w obecności Boga trwać musiała wtedy! Jakąż to próbę przebywały wszystkie Jej władze duchowe, żeby z Jej strony jak najwierniej i jak być może najchętniej, spełniały się nad Nią zamiary Boga, jak każde uczucie Maryi poddane było niezwłocznemu zapanowaniu nad niem łaski, gdy z drugiej znowu strony, działanie tejże łaski wzmagając w sercu Jej miłość ku Jezusowi, do coraz wyższego stopnia podnosiło w Niej cierpienia wtedy doznawane.

Z tego też niezachwianego wewnętrznego spokoju; z tej ciszy panującej w głębinach Jej duszy, pomimo strasznej nawałnicy, która z największą gwałtownością uderzała na Nią zewnątrz, pochodziło to męstwo z jakiem wszystko znosiła. Trzeba bowiem pamiętać o tem, że chociaż to, że Marya przeżyła tak niezmierną Boleść było cudem, to wszelako Jej cierpliwość w przeniesieniu takowej nie była cudem, lecz łaską. Był to skutek Jej najdoskonalszego współdziałania z łaską wtedy Jej udzieloną. Przy życiu zachowana została cudowną mocą Boską; lecz wśród cierpień Swoich, nie otrzymała ani jednego cudownego wsparcia Boskiego, mogącego zmniejszyć nieobliczone zasługi Jej cierpliwości. Było tedy w Niej męstwo nietylko przewyższa-

jące męstwo i wytrwałość w cierpieniach wszystkich Męczenników, lecz aż takie, na jakie zdobyćby się nie mógł żaden duch anielski, należący do rzędu Mocy niebieskich. Było to męstwo, którego potęgę i wytrwałość objawiało i milczenie, w którem, stojąc pod krzyżem, pogrążona była bez przerwy, a milczenie dowodzące także jak ścisłem, jak przedziwnem było Jej zjednoczenie z Bogiem. Im kto bowiem ściślej zjednoczonym jest z Bogiem tem mniej skory do mówienia; tacy tracą niejako zwyczaj wylewania się na zewnątrz wyrzeczonemi słowami, a nawykają słyszeć tem wyraźniej Słowo odwieczne wewnątrz ich duszy bezustannie przemawiające. Marya nie wyrzekła wtedy ani słowa, gdyż duszą bezustannie rozmawiała z Bogiem, albo raczej całkiem pochłoniętą była słuchaniem co On w Jej duszy do Niej przemawia. Ona nie potrzebowała nawet wewnętrznemi aktami poddawać się woli Bożej, gdy ta wola przenajświętsza, Jej poddanie się na najcięższe jakie tylko być mogły wystawiała próby. Najdoskonalsze bowiem poddanie się, było już stanem ciągłym Jej duszy. Wysileń do tego nie potrzebowała już czynić, wypływało to jakby samo z siebie.

Lecz pomyślisz: jakże postanowienia tak silne, tak wiele kosztujące, na takie próby wystawione, mogły być razem tak spokojnemi? jak mogły iść w parze z niezachwianym spokojem wewnętrznym? I jestto w istocie zapytanie, łatwo tu nastręczające się naszemu ograniczonemu pojęciu świętości Maryi. Odpowiedź wszelako na to, nietrudna. Trzeba nam bowiem wiedzieć, że siła, potęga i wytrwałość Jej postanowień, pochodziła właśnie z nadprzyrodzonego niezachwianego pokoju Jej duszy. Wreszcie było to w Niej czemś co, — jak w wielu podobnych razach — podziwiać, uwielbiać w Matce Prze-

najświętszej powinniśmy, lecz czego biednym rozumem naszym wytłómaczyć sobie nie potrafimy. Jeśli, jak to niedawno przytoczyliśmy, mówi Pismo święte że: *Przedziwnymj est w Świętych Swoich Bóg* *), jakże nie miałby tembardziej *Przedziwnym* być w Matce Swojej?

§. IV. Czego nas uczy Przenajświętsza Matka w Swojej piątej Boleści.

A teraz przejdźmy do nauk, jakie nam daje piąta Boleść naszej Przenajdroższej Matki. Poprzedzająca uczyła nas, jak dźwigać powinniśmy krzyże, z którymi spotyka nas Pan Jezus na drodze naszego żywota; ta którą teraz rozważamy, pobudzać nas powinna do nieuchylania się od nich i do mężnego wytrwania pod nimi. Nie należy nietylko uchylać się od krzyża, albo wyrywać się z pod niego, gdy nam cięży na barkach, ale nie powinniśmy pragnąć zejść z niego, gdyśmy już na nim rozpięci. Nie powinniśmy schodzić z Kalwaryi, dopóki nie zostaniemy przybici do krzyża, i dopóki z krzyżem nie zjednoczymy się miłością najżywszą.

Lecz niestety! Kalwarya jest polem, na którem na najtrudniejszą próbę wystawioną bywa cierpliwość ludzka. Wielu odważnie wstępuje na tę górę, mężnie dźwigając krzyż swój na barkach. Ale gdy staną na jej szczycie, składają krzyż na ziemię i wracają na dolinę życia, szukając na niej pociech, chociaż ich one zawsze zawodziły. Niektórzy pozwalają z szat się ogołocić, lecz potem odchodzą nie dając przybić się do krzyża. Inni znowu już na nim przybici, odczepiają się od niego

*) Psalm 67. 36.

gdy go wznieść miano. A wreszcie są i tacy którzy wytrzymują wstząśnienie podniesienia z nimi krzyża na którym są rozpięci, lecz później schodzą z niego przed upływem trzech godzin. Jedni czynią to w pierwszej godzinie, inni w drugiej, a niektórzy, niestety! właśnie w chwili gdy trzeciej a więc ostatniej nadchodził już koniec. Mój Boże! świat, mówi święty Salezy, pełen jest *dezerterów* z Kalwaryi; i gdy właśnie to tenże świat, wybrane dusze wiedzie na Kalwaryę i krzyżuje je tysiącznemi sposobami, nierozważne, one do niego wracają, u niego szukając obrony od krzyża! Niektórzy znowu, chcieliby krzyża, ale tylko chwilowego, sądząc że im krótszy czas on potrwa tem zbawienniej oddziała, jak kąpiel w zimnej wodzie, która im krótsza tem bardziej orzeźwiająca. Lecz na nieszczęście tak nie jest. Cierpienie jest powolną rękodzielniczką, a ukrzyżowanie uświęcające duszę, sprawą niejednej chwili. Drzewo krzyżowe, a zwłaszcza gdy na nowinny grunt zasadzone bywa, niemało potrzebuje czasu, żeby korzenie swe zapuściwszy pożądane owoce wydało. A to, skażonej naturze człowieka, wprost jest przeciwne. Zgadzamy się na to żeby nasze uświątobliwienie było dziełem bolesnego działania; lecz pragniemy żeby się to w jak najprędszym czasie odbyło, i trudno nam wytrwać, gdy się to odbywa jako powolne i stopniowe leczenie.

Któż z nas, gdy starał się umarzać w sobie miłość własną, wyniszczać swoje *ja* wszędzie pierwszeństwo trzymać usiłujące, nie przekonał się, jak na to długiego potrzeba było czasu. Owoż, krzyż to, i krzyż przedewszystkiem, w jakimkolwiek kształcie nas spotykający, jest najpewniejszym, a może jedynym środkiem wyniszczenia w nas miłości własnej, tego największego i najwytrwalszego wroga wszelkiego dobra duszy. Lecz

i on w zwykłym biegu rzeczy, potrzebuje czasu by swego dokonał. Pan Jezus niósł Go na duszy przez całe życie, i Marya Boleści Swoje liczy od chwili co najmniej gdy Boskie Dzieciątko w Świątyni za zbawienie ludzi złożyła Bogu w ofierze. Od chwili więc gdy i my sami szczerze Bogu się zaofiarowujemy, bądźmyż gotowymi nieść krzyż bezustannie, a gdy już i rozpięci na nim zostaniemy, trwać na nim przez tyle trzech godzin, przez ile ich Pan Bóg w nieprzebranem miłosierdziu Swojem, dla ostatecznego uświęcenia naszego trzymać nas na nim postanowił. Nie zapominajmy bowiem o tem że po duszach wybranych, Pan Bóg wiele się spodziewa i względem nich jest wyjątkowo wymagającym. To zaś właśnie powinno wzmagać ich miłość, i czynić tem gotowszemi na wszelkie próby, a próby to krzyże.

Lecz dlaczegóż tak wielu próby tej nie wytrzymuje, i wielkich dla duszy korzyści, które nas wtedy oczekują, pozbawia się dobrowolnie? Oto, że stojąc pod krzyżem, nie chcieli, tak jak Matka Bolesna, stać pod nim w milczeniu. Cierpliwość wśród cierpień, w wielkiej mierze zależy od milczenia o nich, od nierozwodzenia się w skargach, od nieszukania przez utyskiwanie współczucia drugich i od nich ludzkiej pociechy. Wszelka gadatliwość rozprasza wewnętrzne siły, to zaś szczególnie się dzieje gdy cięższem jakiem cierpieniem spodoba się Panu Bogu nas dotknąć. Wsparci tą łaską zachowywania milczenia wśród cierpień, Święci zdobywają się na przenoszenie ich z tak zadziwiającą cierpliwością. Krzyż pod którym będąc, utyskiwaniami naszemi rozbudziliśmy współczucie drugich, wnet już dla tego samego staje się cięższym, albo właściwiej mówiąc, zaraz nam przez to ubyło sił do jego mężnego dźwigania. Milczenie pod krzyżem, jest najpewniejszym środkiem

zapewnienia sobie szczególnych łask potrzebnych do dźwigania go i z zasługą i z mniejszą trudnością. Krzyżami najzbawienniejszymi pod którymi najwięcej zasług możemy sobie naskarbić, są krzyże zatajone; a i jawne, gdy milczymy nie uskarżając się na nie, zataić możemy. Bo w każdym razie, jeśli nie możemy ukryć że cierpimy, możemy nie objawiać w jak wysokim stopniu tego doznajemy. Możemy nie wyjawiać jak często już bliscyśmy upadku pod ciężarem nas przygniatającym. Możemy nie dać poznać drugim, tych różnych okoliczności stanowiących całą ostrość naszych boleści, a które właśnie największe i szczególne współczucie rozbudzićby mogły w drugich, prędzej jak jakie rzeczy napozór większej od tego wagi. W każdym bowiem razie, współczucie ludzkie osłabia w nas działanie łaski, do żywiołu Boskiego domieszając żywioł czysto ludzki. I chyba do tego to można, w całej ścisłości, zastosować to zdanie: *Ne misceantur sacra prophanis*: nie trzeba rzeczy świętych mieszać z rzeczami nie świętemi. Od duszy szukającej, a tembardziej doznającej pociech ludzkich, Duch-Święty się oddala: *Albowiem co z ziemi jest, całkiem jest ziemskiem* *), mówi Pismo Boże. Najwyższy *Pocieszyciel,* a tak Sam Pan Jezus nazywa Boga Ducha-Świętego, *najwyższy Pocieszyciel,* najobfitszych pociech Swoich tym tylko duszom udziela, które żadnych pociech ludzkich nie doznają i za żadną z nich nie wzdychają. Ci którzy szukają pociech w istotach stworzonych, niechże na nich poprzestają, jeśli mogą, gdyż na próżno pragnęliby pociech Boskich: tych razem z tamtemi nigdy nie znajdą. I co większa: ci którym gdy cierpią Sam Bóg nie wystarcza — i którzy prócz tego chcą i pociech ludzkich, —

*) 1. Kor. 1, 48.

niełatwo spostrzegą się jak błądzą. Dla nich bowiem Duch-Święty nigdy Swoich pociech nie zeszle w tym stopniu, któryby ich przekonał, jak przy takowych wszelkie i największe pociechy ludzkie są jakby niczem.

Wszelako, wyznać nam trzeba pokornie, że są to wyżyny Kalwaryi, na które niełatwo się dostać, na których zwłaszcza niełatwo *wystać* nieporuszenie, jak pod krzyżem *stała* Marya. Niekiedy niezmiernie bywa dla nas trudno, wśród doznawanych cierpień, obejść się bez współczucia drugich. Wydaje się nam to wtedy jedyną rzeczą mogącą uczynić nam znośnemi strapienia, pod któremi upadamy. W takim razie, z aktem pokory w sercu, zejdźmy nieco niżej, kiedy tak wysoko na samym szczycie naszej Kalwaryi wystać nam prawie niepodobna. Lecz idźmy nie gdzieindziej jak do Ogrojca, w którym i Sam Pan Jezus w niezmiernym ucisku duszy o którym mówiąc powiedział: że *Smutna jest dusza Moja aż do śmierci* *), przyszedł do uczniów, chcąc od nich doznać pociechy. Ale nie zapominajmyż o tem, że gdy ich zastał śpiących, wrócił na modlitwę i na niej ciągle powtarzał: *Ojcze! wszakże nie Moja lecz Twoja niech się stanie wola* **).

Jednakże, gdyśmy już z woli Bożej na Kalwaryi, lepiej nam z niej ani na chwilę nie schodzić, jak z niej nie schodziła Matka Bolesna. Stać nieporuszenie i w milczeniu pod krzyżem, jest to bezwątpienia najwznioślejsza nauka jaką nam Ona daje w tej swojej piątej Boleści, ale oraz również i najtrudniejsza w wykonaniu. Pomimo tego usiłujmy, o ile naszej możności, stosować się do niej, chociaż się tego obawiamy, i nie upadajmy na duchu z powodu że takiej obawy doznajemy. Któż

*) Mat. 26. 38. **) Mat. 26. 40.

kiedy dokonał czegoś dobrego bez obawy że temu nie podoła. Biada tym, którzy na siebie samych w czemkolwiek rachują, ale niczego obawiać się nie powinni ci, którzy lękając się własnej niedołężności na mocy Boskiej, której On nigdy proszącym o nią nie odmawia, śmiało się opierają. Wyrzec się wśród wielkich cierpień wszelkiej pociechy ludzkiej; milczeć wtedy przed ludźmi i stać spokojnie pod krzyżem, przechodzi siły nasze; lecz i co do tego trzeba powtórzyć sobie słowa Apostoła, że: *Wszystko mogę w tym który mnie umacnia* *), i wezwawszy, za pośrednictwem Maryi, łaski Jezusa, stanąwszy na Kalwaryi, stać pod krzyżem wytrwale.

W końcu bowiem, w takowem zupełnem a mężnem wyrzeczeniu się wszelkiej ludzkiej pociechy, co jednakże jest nam dostępnem, ukrywa się zatajona, lecz największa, najprawdziwsza, najstalsza pociecha, a wystarczająca na najcięższe rany serca, na największe cierpienia czy to fizyczne czy moralne. Im bardziej się odrywamy od istot stworzonych, im mniej w nich szukamy czegokolwiek, tem łatwiej wszystko znajdujemy w Stwórcy. Stworzenia ciągle utrudzają nam z Nim stosunek; ciągle stają nam na drodze; odwracają działania łaski, zasłaniają nam Boga, pozbawiają nas pociech wewnętrznych, duchowych, czynią nas wśród cierpienia drażliwymi, wymagającymi i niecierpliwymi. Tak nas pochłaniają rozrywając na zewnątrz, że odejmują nam zupełnie siłę wewnętrzną. Stworzenia zaprzątając nasze zmysły zewnętrzne, ubezwładniają wewnętrzne władze duszy.

Nieraz pragniemy więcej być skupionymi, mniej wylanymi na zewnątrz. Otóż cierpienie, im mniej wśród

*) 1. Kor. 2. 6.

niego szukamy ludzkiej pociechy, przedziwnie nam do takowego skupienia wewnętrznego dopomaga. Owija ono duszę jakby w grubą osłonę, chroniącą ją od zziębiającego ją powiewu wrażeń zewnętrznych; zwęża przed nami widnokrąg świata zewnętrznego, i chcąc niechcąc odrywa nas od niego. Czujemy się coraz mniej roztargnionymi, i byleśmy się dobrowolnie na zewnątrz nie wylewali, coraz to wyraźniej doznajemy pociechy wewnętrznej, coraz nam jaśniejszym i piękniejszym wydaje się krzyż, coraz to ściślej jednoczymy się z rozpiętym na nim Jezusem, i coraz to miłościwiej przytula nas do Swego serca stojąca tam Matka Bolesna.

Lecz nie na tem ograniczają się dobra duszy, wytrwale pozostającej na swojej Kalwaryi. Na niej zaostrza się i wewnętrzny słuch duchowy, w wielu nas przytępiony dopóki na Kalwaryę nie wstąpimy. Tam to łatwiej dosłuchujemy się tego co Pan Jezus raczy do nas przemawiać, i wtedy to zwykle kiedyśmy ukrzyżowani, słyszymy od Niego najważniejsze słowa, jak gdy On Sam był na krzyżu najważniejsze wyrzekł dla świata całego, a najpamiętniejsze dla Jego Matki najdroższej.

Dopóki nie zawiódł nas Pan Jezus na Kalwaryę, dopóki nie przybił nas do krzyża, ileżto słów Jego, ile Jego najmiłościwszych przemówień, jużto wewnętrznemi natchnieniami, już inną drogą odzywających się do nas, puściliśmy mimo uszów. Wrzawa zewnętrznych wrażeń ileż ich przygłuszyła! Czuliśmy że Jezus jest przy nas, a jednakże rozmawiać z Nim nie mogliśmy. Podobnie się z nami działo, jak gdyby kto wśród wrzawy ulicznej hurkotu pojazdów, chciał rozmawiać z kimś, nie inaczej jak po cichu z nim rozmawiającym. Świat ten odbywając bieg swój tak nam hałasi, tak nas tym hałasem łudzi, pociąga i ogłusza, że o tamtym świecie

o niebie i o zdążaniu do niego, łatwo zapominamy. Na Kalwaryi — to dopiero ta wrzawa ucicha; na górę tę już się ona nie dostaje, i tam to słowa Jezusa najlepiej się słyszą i, co większa, najłatwiej się one rozumieją.

Lecz w tej piątej Boleści Przenajświętszej Panny, obecnością Jej na Kalwaryi, Pan Jezus raczy nas uczyć jak umierać powinniśmy. Gdy On, w ostatniej godzinie Swojej chciał mieć przy Sobie Przenajświętszą Matkę, któżby odważył się przypuszczać, że można dobrze umierać bez Niej? Powinnością jest naszą we wszystkiem, wedle lichej możności naszej naśladować Jezusa. Ale przedewszystkiem, najważniejszą rzeczą jest dla nas naśladować Go w Jego śmierci. Gdyby dla przykładu naszego, nie potrzeba było żeby Pan Jezus miał przy Sobie Matkę Przenajświętszą gdy umierał na krzyżu, byłby On Jej tej największej z Jej Boleści, pewnie oszczędził. Nie uczynił więc tego przez wzgląd na nas, bo wszystko co czynił, czynił to dla naszej nauki i dla pozostawienia nam na Boskiej Osobie Swojej przykładu.

W chwili to śmierci Jezusa, została Marya naszą Matką, i stąd też codzienną modlitwą każdego wiernego jest prośba do Niej żeby nas zawsze, a najbardziej w godzinę śmierci naszej, macierzyńską opieką Swoją raczyła otaczać: *Módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej,* wołają do Niej bezustannie miliony dusz, śmiercią Jej Syna, przy której była obecną, odkupione. To też prośmy Ją o to jak najczęściej i jak najgoręcej. Spuśćmy się na Boga co do chwili i co do rodzaju śmierci jaką nam przeznacza, i co do tego niczego nie żądajmy, niczego nie wybierajmy. Błagajmy Go tylko, żeby śmierć nie znalazła nas nieprzygotowanych na nią, i żebyśmy utrwa-

lonem w sercu naszem nabożeństwem do Przenajświętszej Panny, usposobili się do tego szczęścia by Ją mieć przy sobie w tej o całej wieczności stanowiącej chwili.

Godzina śmierci jest dla każdego stanowczą i ciężką próbą. Szatan zachowuje sobie na tę chwilę najostrzejszą broń, z którą naciera wtedy na duszę. Na nieszczęście zaś nasze, dwa razy umrzeć nie możemy, wyuczyć się więc, wprawić się do umierania niema sposobu, a stąd ponieważ śmierć jest dla nas czemś nowem i nieznanem, więc nie łatwo przychodzi do tego żeby była dobrą. Prawda że Pan Jezus obdarzył Swój Kościół, a przez Niego wszystkich wiernych, wielkiemi Sakramentami na tę z tylu względów straszną godzinę. Wszelako, zanadto tych pomocy niema, tak ich wiele wtedy potrzeba. Patrz na umierającego chrześcijanina: przyjął on wszystkie ostatnie Sakramenta, a jeśli ma szczęście mieć przy sobie gorliwego kapłana, rozgrzeszenia po rozgrzeszeniach spływają na jego duszę wysuszoną, jak deszcz letni na ziemię od posuchy popękaną. A pomimo tego widzisz jak w nim odbywa się, nietylko na ciele ale i na duszy, ciężka walka śmierci z życiem. O! jakże wtenczas potrzebna mu, jak niezbędna Marya, którą i Pan Jezus chciał mieć przy Sobie gdy wołał: *Boże! Boże Mój czemuś mnie opuścił* *). A więc tedy, przez zawczasu zawartą z Nią ugodę, zapewnijmy sobie Jej obecność przy nas na chwilę naszej śmierci. Tą zaś ugodą, niech będzie serdeczne przez całe życie nasze do Niej nabożeństwo, a zwłaszcza do Jej Boleści, najbardziej zaś do tej piątej, w której obecną była śmierci Swego najdroższego Boskiego Syna.

*) Mat. 26. 4.

O łaskę też tak wielką, wypada bezustannie modlić się, i o nią prosimy gdy powtarzamy te słowa kończące Pozdrowienie Anielskie: *Święta Maryo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej.* Szczęśliwy kto sobie to uprosi! Mało wydarza się dobrych śmierci po niedobrem życiu, a te wyjątki, jak to powszechnem jest w Kościele przekonaniem, zawdzięczają się miłosierdziu Maryi. W ogólności zaś mówiąc, jak życie poczciwe, życie chrześcijańskie, najlepiej usposabia do tego żeby w godzinie śmierci cieszyć się szczególną opieką Maryi, tak znowu życie ukrzyżowane, życie pełne krzyżów, najbardziej zapewnia nam Jej obecność przy nas gdy umierać będziemy. Przy każdem bowiem ukrzyżowaniu jest Ona, że się tak wyrażę, z urzędu Swego obecną, jako Ta która od ukrzyżowanego Jezusa ani na chwilę nie odstąpiła. Jeśli Jezus, pomimo największej Boleści jaką zadał przez to najdroższej Matce Swojej, nie chciał umierać bez Jej obecności, tedy pewnie uczynił to na to, żeby Jej szczególną nad każdą duszą w chwili śmierci zapewnić tem miłosierniejszą opiekę, a nas przez to do tem większej w tę Jej litość pobudzić ufności. Chociażby jak najdłuższem i najcięższem było konanie; chociażby kto umierając największych doznawał na duszy niepokojów, bądź co bądź, błogosławiony, szczęśliwy, komu Marya oczy zamyka, kto z Jej Przenajświętszem Imieniem jeśli nie na ustach, to w sercu, Bogu ducha oddaje.

Taką więc to naukę, daje nam Pan Jezus co się tyczy naszej własnej śmierci. Marya zaś daje nam naukę odnoszącą się do śmierci drugich, a tą jest: że szczególna i serdeczna troskliwość o dusze blizkich zejścia

z tego świata, jest Jej naśladowaniem i czynem miłosierdzia wielce miłym Jej litościwemu sercu. W dniu każdym i w każdej nocy, nie masz ani chwili, w której by na obszarze całego świata gdzieś ktoś nie umierał, gdzieby nie spełniała się na jakiej duszy wielka tajemnica jej przejścia z tego świata na tamten. Według obliczeń statystycznych, co sekunda albo i częściej, za każdem uderzeniem naszego pulsu, ktoś gdzieś umiera. W tej liczbie ileż to jest przebywających pod każdym względem ciężkie konanie, których losy wieczne ważą się, na chwiejącej się to w tę, to w drugą stronę szali. Cóż więc może silniej przemawiać do naszej litości? Gdy pomyślimy jak Marya troszczy się o te dusze, kiedy widzi że co chwila mnóstwo ich staje u progów wieczności albo na zawsze szczęśliwej, albo na zawsze w całem znaczeniu tego wyrazu najokropniejszej, a stąd gdy wyobrazimy sobie bezustanne zabiegi Jej macierzyńskiej miłości, żeby je od wiecznej zguby zachować — zrozumiemy chociaż w części, jak dalece nasza litość nad umierającemi jest mile przez Nią przyjętą. Łoże śmierci każdego z ludzi, jest Jej miejscem ulubionem, bo przy niem-to spełnia Ona najważniejsze Swojego macierzyństwa zadania. Tam-to Ona najbardziej współdziała z Jezusem w sprawie zbawienia rodu ludzkiego; a do tego współdziałania i nas wzywać raczy. Miło Jej gdy do Niej i z Nią razem modlimy się za umierających. Wszak-ci Ona Matką nas wszystkich, a czyż wszyscy gdziekolwiek umierający nie są naszymi braćmi i siostrami w tem przenajsłodszem macierzyństwie Maryi? Chodzi więc wtedy o najważniejszą sprawę jednego z należących do naszej wspólnej rodziny, czyż możemy być na nią obojętnymi? czyż wedle możności nie będziemy nieść ratunku tym, których Marya najbardziej ratować pragnie?

Często więc w modlitwach naszych pamiętajmy o umierających, często myślą przenośmy się do nich i wspierajmy ich westchnieniem za nimi do Boga, w tej ich stanowczej i ostatecznej walce. Najbardziej zaś polecajmy miłosierdziu Maryi, umierających grzeszników, niedowiarków, odszczepieńców, kacerzy, bezwyznaniowców i pogan! Jakże ostatnia ich godzina jest straszną! jaka noc okropna otacza wtedy te dusze, jakie sieci zarzuca na nie piekło! Tem więc gorętszemi powinny być modlitwy nasze za umierających w takim stanie, kiedy do zbawienia ich potrzebne łaski nadzwyczajne, potrzebne cuda miłosierdzia Boskiego i cuda opieki Maryi.

Słowem, gdy Marya piątą Boleścią Swoją, w której nie odstępowała od konającego Jezusa, i zaciągnęła obowiązek opiekowania się w sposób najszczególniejszy każdym umierającym, i nabyła szczególnych przywilejów dla takowej Swojej opieki — więc nietylko polecajmy Jej naszą ostatnią godzinę, lecz serdecznie módlmy się do Niej i z Nią za wszystkich co chwila umierających. W ten sposób ciągle idąc niejako za Nią od łoża do łoża umierających, najpewniej znajdziemy Ją i przy swojem, gdy nasza ostatnia godzina wybije.

Lecz piąta Boleść Maryi prócz tego uczy nas, że tajemnica Ukrzyżowania, ani dokładnie rozpamiętywaną, ani właściwie pojętą być nie może, bez rozważania przy niej i Boleści doznanej wtedy przez Matkę Przenajświętszą. Dlatego też obraz Ukrzyżowania, nie może być całkowitym, gdyby w nim pod krzyżem rozpiętego na nim Jezusa, nie było i Maryi stojącej z sercem przeszytem od miecza Jej piątej Boleści.

Na Kalwaryi, gdy odprawiała się po upadku pierwszych naszych rodziców, postanowiona w wyrokach

Boskich Msza za okup świata — Syn Boży był Jej i Ofiarnikiem i Ofiarą razem. Niebo całe, wszystkie duchy Anielskie jej słuchały, pogrążone w świętem przerażeniu. Przy podniesieniu wtedy Hostyi cała natura nieżywotna nawet zadrżała, cześć ze swej strony w ten sposób Stwórcy swemu na krzyżu rozpiętemu, oddając. A Marya? Serce Maryi było wtedy żywym ołtarzem, żywym *Portatelem,* na którym ofiara się spełniała. Marya przytem do tej Mszy *służyła,* każdą z doznanych wtedy Boleścią odpowiadając najwyższemu Ofiarnikowi. Niepokalana dusza Jej, była *Kadzielnicą* w której gorzały jak najmilsze Bogu kadzidła, Jej niezachwiana Wiara, najgorętsza Miłość, najsilniejsza Nadzieja, unoszące się jak dym najwonniejszy przed oblicze Baranka bez zmazy, gładzącego grzechy świata. I wreszcie serce Jej było *Organami* przygrywającymi przy tej Mszy uroczystości niezrównanej, a bolesne milczenie Jej macierzyństwa, tak straszne męki wtedy przebywającego, było śpiewem hymnów, zachwycających Boga najwyższego za ludzi umierającego.

ROZDZIAŁ VII.

Szósta Boleść.

ZDJĘCIE Z KRZYŻA.

§. I. Szczegóły tej tajemnicy.

Zaćmienie słońca przeminęło już było, i dzień miał się ku schyłkowi. Krzyż zarysowywał się na tle widnokręgu coraz słabiej oświeconego zachodzącem słońcem. Wiekopomne wypadki zaszłe w dniu tym już się dokonały; tłum ludu rozszedł się, i na szczycie Kalwaryi wielka zapanowała cisza. Widać już tam było tylko te kilka osób, które zajęły się były zdjęciem Jezusa z krzyża, albo które przyniosły z miasta aromata do namaszczania Jego Boskiego Ciała. Marya siedziała pod krzyżem, trzymając na kolanach nieżyjącego już Syna.

Matko najdroższa! czy Betleem i dziecinne lata Jezusa, kiedyś Go piastowała na dziewiczem łonie, nie przyszły Ci wtedy na myśl?... W boleściach ludzkich wielka zachodzi rozmaitość. Trudno porównywać je pomiędzy sobą, gdyż każda ma właściwe sobie cechy, a każda z tych cech swój właściwy nadmiar cierpienia, nie znajdujący się w innych. Stąd łatwo przydarzyć się może że cierpienie wydające się samo w sobie lżejszem od innego, może w rzeczywistości być cięższem

z powodu chwili w której przypada, okoliczności mu towarzyszących, albo miejsca jakie zajmuje w kolei innych cierpień. I to właśnie zachodzi w szóstej Boleści Matki Przenajświętszej. Jest ona cierpieniem od ciosu już odebranego, już przeszłego i pod tym względem różni się od bolesnego wrażenia doznawanego, gdy przed jego nadejściem przewidujemy jakie nieszczęście, równie jak i od ucisku przygniatającego nas, gdy już się na nas zwaliło. Z własnego zaś doświadczenia, o tego rodzaju różnicy wątpić nie możemy. W samej już tej chwili, w której cierpimy, nie zdajemy sobie dostatecznie sprawy z wysileń, które wtedy czynimy. Cała istota nasza rozżywia się, dla stawienia czoła temu co przetrwać nam przychodzi. Zdolności cierpienia, których dotąd aniśmy się w sobie domyślali, odkrywają się w nas nagle, a być nawet może że wtedy otrzymujemy większy zasób pomocy nadprzyrodzonych, więcej łaski, aniżeli otrzymamy to później. To też gdy ucisk zwolniał i gdy walka ukończona, czujemy wyniszczenie sił duchowych spowodowane boleścią. Umęczenie się, utrudzenie ducha, jak i wielkie utrudzenie ciała, nadchodzi gdy już wszystko się skończyło i gdy walka ustała. Wprawdzie wpadamy wówczas w rodzaj odrętwienia moralnego, lecz pomimo tego serce dotkliwiej zaczyna odczuwać zaszłe nieszczęście, wśród pozornej ciszy jaka po nim nastaje. Oddziaływanie zaś takowe objawia się w wielkim upadku sił moralnych, ledwie że nie trudniejszem do zniesienia jak samo nieszczęście gdy się go doznało, a to nie tyle dla tego, żeby miało być samo w sobie większem od tamtego cierpieniem, jak raczej dla tego że po niem następując natrafia na większe już wyczerpanie w nas zdolności cierpienia. Wreszcie przydarza się i to także, że z miłosiernego zrządzenia Opatrzności, nasze zwykłe

obowiązki, albo nowo powstałe z doznanego ciosu, wymagają zwrócenia na nie najpilniejszej uwagi i wzięcia się do nich z całym zapałem. Lecz i to bywa trudnem do zniesienia, chociaż niekiedy niedopuszcza naszemu cierpieniu dojścia do stopnia zbyt wielkiego. Rzadko też kiedy bardziej potrzebne jest wsparcie łaski, jak w chwili gdy powrócić nam wypada do zwykłych naszych obowiązków, po przerwie jaką w tem spowodowała boleść niezwykła. Wydaje się wtedy, że przychodzi nam jakby żyć na nowo, ale z utratą krzepkości duchowej której w pewnej mierze, pozbawiło nas doznane nieszczęście. A nawet być może że przybywa nam więcej pracy, gdy tymczasem mniej jak dotąd czujemy się zdolnymi do czynnego życia. Wyczerpały się w nas zdolności znoszenia cierpień, a w tejże chwili w której gwałtowność ich przytłumiła się, nowe nastręczają się obowiązki, które, już to dla ich różnicy z dawnymi, już że są z nimi w związku, na nowo roztwierają zaledwie gojące się rany. Jakże podołamy temu nowemu cierpieniu?

Prócz tego nadzwyczajne strapienie, chociażby nawet nie długo trwało, posiada, zdaje się szczególną moc zniszczenia wszelkich w nas nawykłości, przyzwyczajeń, oswojeń się. A wiemy że rzeczy najtrudniejsze, stają się łatwemi, gdy w nich nabywamy wprawy. Po wielkiem zaś zmartwieniu, wszystko wydaje się nam nowem i dziwnem. Dawną rzutkość postradaliśmy, i to co przedtem przychodziło nam z łatwością, teraz utrudza nas bardzo. Tymczasem życie nasze w biegu swoim nie zatrzymuje się, i przywiązane do niego obowiązki domagają się ich dopełniania, jak w jakiej machinie martwej, lecz w ruch puszczonej, w której każde kółko swoje obroty odbywać musi. Wystawieni też wtedy bywamy, na, kto wie, czy

nie cięższą jeszcze próbę jak w chwilach samego nieszczęścia.

I to było główną cechą tej szóstej Boleści Przenajświętszej Panny; taką to posiada ona właściwą sobie odrębność pomiędzy Jej innemi Boleściami. — Przypomnijmy sobie czem było dla Niej Ukrzyżowanie, jaką otchłań najsroższych dla Jej serca cierpień zawierało w sobie — i miarkujmy co się z tem Jej sercem dziać musiało, gdy to Jej nieszczęście nad nieszczęściami przeszło, i gdy Jej Przenajświętsza dusza doznała tych wrażeń, jakie według powyższych uwag doznaje się po wielkiej boleści. Jakkolwiek szczytną stała się Jej świętość, po przejściu przez tak ciężkie próby, to jednakże znajdzie w Niej jeszcze i tu nowa boleść pole dla siebie, na którem taż Jej niezrównana świętość, jeszcze się wyżej wzniesie, jeszcze większego nabędzie blasku.

Dusza Jezusa rozłączając się z Jego Przenajświętszem ciałem, przeszyła powłokę ziemi i zeszła do Otchłani. Przez czas ten Marya pozostawała pod krzyżem. Pojmowała w całej jej rozciągłości niedościgłą dla innych umysłów tajemnicę śmierci Boga-Człowieka. Dusza więc Jezusa oddaliła się była od Maryi, lecz zostawało przy Niej Jego ciało. W następującej siódmej swojej Boleści i z ciałem Syna będzie musiała się rozstać i wtedy dopiero rzeczywiście pozostanie samą. Zwykle bowiem Pan Bóg nie od razu oddala się od duszy, gdy to czyni nie za karę lecz dla jej ostatecznej próby. Żeby ją do tego przygotować, po szczególnych łaskach i ściślejszem z nią uczuciowem zjednoczeniu się, opuszcza ją jakby nieznacznie, powoli, jak woń z naczynia napełnionego pachniącym przedmiotem, która pozostaje w niem przez czas pewien, po wyjęciu z niego onego przedmiotu.

Marya modli się ciągle, i chociaż pozbawioną jest już obecności przy Niej duszy Jezusa, ciału Jego, z którem Bóstwo rozłączone nie było, oddaje cześć najgłębszą, połączoną z niewymowną boleścią matki, trzymającej na swem łonie martwe zwłoki Syna.

Ukrzyżowanych nie sama męka rozpięcia na krzyżu spotykała. Był prócz tego barbarzyński zwyczaj łamania im kości, co dokonywano już to żeby im więcej bólów zadać, już żeby ich śmierć przyspieszyć, gdyby za długo żywymi na krzyżu pozostawali. W tym więc celu, wraca na szczyt Kalwaryi kilku katów, żeby ten okrutny przepis wykonać. Przychodzą z grubemi, żelaznemi maczugami, tak ciężkiemi, żeby przez uderzenie niemi odrazu połamać kości winowajców.

Marya była tedy świadkiem jak domordowywano obu nieszczęsnych zbrodniarzy ukrzyżowanych obok Jezusa. Słyszała łoskot gruchotanych ich kości i przejmujące jęki ich konania, a jeden z nich był pierworodnym synem Jej nowego dla ludzi macierzyństwa, był pierworodnem dzieckiem Jej modlitw za grzesznikami. Lecz nie ma słów na wyrażenie co się z Nią działo, gdy ujrzała oprawców, po załatwieniu się z łotrami, zbliżających się do krzyża Jezusowego. Wprawdzie zawieszone na nim ciało, było już martwe, lecz pomimo tego nierozdzielnie z Bóstwem złączone, a przeto godne czci najgłębszej: czci jaka się Bogu tylko oddaje. Dotknąć Je bez uszanowania, byłoby już świętokradztwem wielkiem; lecz gruchotać Jego członki, było zniewagą tak straszną, że myśli nad tem zatrzymać nie podobna. Jakiejże boleści doznała Marya, gdy widziała że się na to zanosi! Bo chociaż życie z ciała Jej najdroższego Syna ustąpiło już było, lecz czy dla matki martwe ciało dzie-

cięcia mniej jest drogiem jak niem było, gdy je życie krwią swoją ożywiało? Niech na to odpowie każde serce, które płakało nad zwłokami ukochanej istoty. Dla miłości, oczy śmiercią zawarte, mają smutny powab jakiego nie miały gdy jaśniały życiem. Dla oka kochającego, bladość zamarłej ukochanej twarzy ma swoją właściwą piękność: dopatruje ono na tem obliczu zmarmurowanem ślady wszystkich dawnych lat krasy. Najwyższy spokój rozlany na tem obliczu, ma dla niego urok szczególny. Te usta ściśnione, przemawiają w sposób im tylko właściwy i tylko sercem kochającego słyszany.

Owoż, jeśli takie wrażenie robią martwe zwłoki ukochanej istoty, w powszechności na każdym zgon jej opłakującym, czemże to być musiało dla Maryi, gdy patrzała na martwe ciało Syna, a Syna który był i Jej Bogiem, i gdy sądzić mogła, że zbliżający się do Niego kaci, pastwić się nad Nim będą!

Nie wyrzekła do nich ani słowa, lecz to Jej milczenie głośno przemówiło w niebie. Oprawcy przekonali się że Jezus nie żyje i nie podnieśli na Niego ręki. *A to się stało,* mówi Ewangelia święta, *żeby spełniło się Pismo mówiące: Nie złamiecie ani jednej z kości Jego* *).

Lecz było jeszcze inne zapowiedzenie Pisma Bożego, które spełnić się miało; powiedziano tam bowiem: *Ujrzą Tego, którego przebodli* **). I stanie się to, lecz z jakąż nową dla Matki Przenajświętszej Boleścią! Będzie to jednym z najostrzejszych mieczów przepowiedzianych Jej przez Symeona.

Czy to dlatego że wątpiono aby Zbawiciel rzeczywiście już nie żył, czy też dla dogodzenia dzikiemu ja-

*) Jan 19. 36. **) Tamże 37.

kiemuś barbarzyństwu rozkiełzanego żołdactwa, jeden z nich przystąpił do krzyża i zatopił włócznię w prawym boku Jezusowym. Pchnięcie to przeszyło ciało Pańskie tak głęboko, że aż po lewej stronie dosięgło Przenajsłodsze Serce. Z rany tej wytrysnęła niezwłocznie krew i woda, której (jak niesie stare podanie), kilka kropel padło na Dobrego Łotra, jakby zewnętrzny znak łask chrztu i rozgrzeszenia, których już wprzódy łaską wewnętrzną był dostąpił.

Za długo byłoby mówić jakiej to miłości Zbawiciela, ta rana zadana Sercu Jego była symbolem i obrazem. Wielu Świętych wpadało w zachwycenie rozważając ten szczegół, będący jakby właściwem zakończeniem Męki Pańskiej. Włócznia Longinowa otworzyła w przeszytem Sercu Jezusowem przytułek, ucieczkę, schronienie, dla wszystkich dusz zranionych, czy to łaską szczerej skruchy po najcięższych grzechach, czy z jakichkolwiek powodów zaniepokojonych i strapionych. Tam znachodziły one i znajdują, pociechę w największych smutkach; tam wsparcie w nieszczęściach i wszelkich próbach przez które spodoba się Bogu przeprowadzać swoich wybranych. I tak było zawsze od onej chwili, w której to Serce Boskie dało przeszyć się z miłości ku ludziom, a w tych, kto wie, czy nie ostatecznych czasach, w których żyjemy, ta to tajemnica przeszycia Boku Jezusowego, dała początek dwom nabożeństwom bo i do przenajdroższej Krwi Jego i do najsłodszego Jego Serca. Wtedy bowiem okazało się, że Syn Boży do ostatniej kropli Krew Swoją za nas przelał i dopuścił przebicie Serca Swego na to, żeby nam wszystkie skarby w Niem zawarte tem lepiej objawić. — Lecz nam wypada tu zapatrywać się na to głównie jako na źródło nowej a ciężkiej Boleści naszej przenajdroższej Matki.

Przenieśmy się więc myślą na Kalwaryę, na tę chwilę gdy na jej szczycie wznosił się krzyż Jezusowy z Jego ciałem już nieżyjącem. Przenajświętsze to ciało rozpięte okrutnie na drzewcu krzyżowem, zziębnięte i zsiniałe, pokryte było plamami ciemnej krwi zaskrzepłej na ranach bez liczby prawie, pozadawanych Mu przy biczowaniu. Nie było wtedy na całej ziemi świętszego przedmiotu, godniejszego czci najgłębszej — To też w około krzyża niezliczona liczba Aniołów cześć mu oddawała.

Lecz podczas gdy Boskie to Ciało od niewidzialnych duchów niebieskich odbierało cześć Mu należną, było bezsilne, było pozbawione uroku życia, było to coś podobnego jak gdyby Przenajświętszy Sakrament Ołtarza wystawiony był w miejscu publicznem, bez tych obrzędów i uroczystości które się dopełnia, gdy wiernym Bóg utajony do czci się przedstawia. Ale co większa i wtedy Ciało Jezusowe najrzeczywistszą obecność Bóstwa w sobie posiadające, było własnością tych nieszczęsnych bezbożników którzy Go tylko co zamordowali, a więc wystawione na największe z ich strony zniewagi. Wprawdzie kaci, którzy przed chwilą pogruchotali kości ukrzyżowanych obok Jezusa, odeszli nie tykając Przenajświętszego ciała, lecz jakąż zgrozą, jaką boleścią przeszyte zostało serce Maryi, gdy w Jej oczach włócznią okrutnego żołdaka przebity został bok Jezusowy.

Czytamy w objawieniach świętej Brygidy, że Anioł powiedział jej, iż boleść doznana wtedy przez Przenajświętszą Pannę była tak wielka, że gdyby nie cudem zachowana została przy życiu, byłaby od niej umarła.

Ale otóż znowu jakieś grono z kilku osób złożone, widzi Marya wstępujące na Kalwaryę i zbliżające się do krzyża. Czyż i ci przychodzą dla zadania jeszcze zniewagi Boskiemu ciału? Nie; wprawdzie spowodują

oni, mimo chęci, nową Jej macierzyńskiego Serca boleść, lecz nowej zniewagi nie wyrządzą Jej najdroższemu Synowi. Byli to Józef z Arymatei i Nikodem z kilku swoimi sługami. Obaj byli uczniami Pana Jezusa lecz ukrytymi, nie mając dotąd dość odwagi do wyznawania Go jawnie. Józef był jednym ze znakomitszych panów i *człowiekiem sprawiedlinym* jak go nazywa Ewangelia, *gdyż i on oczekiwał Królestwa Bożego* *). Nikodem zaś, był mężem bardzo uczonym, i on to razu pewnego, a z obawy Żydów w nocy, przyszedł był do Zbawiciela i objaśniony został o wielu tajemnicach świętej naszej wiary. Józef udał się był do Piłata, do którego łatwy miał wstęp, jako jeden z najznakomitszych obywateli tego kraju i domagał się, aby mu dozwolono zabrać ciało Jezusowe, na co wielkorządca się zgodził. Wziął więc, jak się o tem dowiadujemy z Ewangelii świętego Mateusza, *Białe prześcieradło* **) dla owinienia w nie Przenajświętsze zwłoki i zawezwał Nikodema, żeby razem z nim poszedł na Kalwaryę. Nikodem zaś jak znowu o tem pisze Ewangelia świętego Jana, przyniósł *około stu funtów maści, złożonej z mirry i aloesu* ***).

Mając tedy przy sobie kilku służących do pomocy, zbliżyli się oni do Przenajświętszej Panny z największem uszanowaniem; powiedzieli po co przybywają i poprosili o pozwolenie zdjęcia ciała z krzyża. Marya odmówić im tego nie mogła; owszem jak najmilej tę ich usługę przyjęła, a oni, chociaż wiedzieli że nowej boleści dla Niej będzie powodem ten smutny obrzęd, przystąpili do Krzyża zabierając się do tego. Oparli o krzyż drabinę. Na nią wszedł najprzód Józef, a po nim Nikodem. Marya, mając obok Siebie Jana i Magdalenę,

*) Łuk. 23. 51. **) Mat. 26. 13. ***) Tamże 18.

stała tuż przy krzyżu, pod nimi. Milczenie zapanowało najgłębsze, a znać było że jakieś nadzwyczajne łaski spływały z Boskiego ciała na oddających Mu tę ostatnią usługę. Przejęci zostali rzewnem nabożeństwem, a stąd każde ich poruszenie odznaczało się przedziwnem namaszczeniem Ducha-Świętego. Widać było po nich, że dokonywali czynność najwznioślejszą do jakiej dopuszczony być może człowiek, bo dotykać się mieli i poruszać ten najprawdziwszy Sakrament obecności Boga w zmarłem ciele Jezusowem.

A tymczasem, gdy Marya na to patrzała, przypomniały się Jej dawne lata, a w nich i ten Józef, który miał także przywilej dotykania się Ciała Syna Bożego, wcielonego. I jemu to przynależałoby się najwłaściwiej i teraz zdejmować te Przenajświętsze Zwłoki z krzyża. Lecz on zażywał już wiecznego spoczynku. Dla Maryi było to i miło że boleści wtedy doznawanej nie podziela z Nią przeczysty Jej Oblubieniec, lecz oraz i smuciło Ją że nie On, na też ręce które piastowały Jezusa Dziecięciem zdejmuje Go z krzyża, zamęczonego na nim. Lecz postanowiono było w wyrokach Boskich, że jeden Józef miał Go przytulać na swych rękach dzieciątkiem, a inny Józef miał dać przytułek Jego ciału we własnym grobowcu; z rąk zaś i jednego i drugiego miał przechodzić Jezus przez ręce Maryi.

Lecz zwróćmy tu uwagę i na to, jak łaska przemienia ludzi. Oto ci dwaj uczniowie Pańscy, nie śmieli wyznawać Go otwarcie, kiedy żył i wśród nich przebywał; teraz zaś odważnie oddają Mu cześć jawną publicznie, podczas gdy wszyscy inni Uczniowie, a nawet, prócz Jana, i Apostołowie zestrachani, pokryli się po różnych miejscach. Podanie niesie że zawdzięczali oni tę łaskę, swojemu szczególnemu zawsze przywiązaniu do Matki Przenaj-

świętszej, i wielkiej czci jaką ku Niej byli przejęci, odkąd Ją bliżej poznali. Szczęśliwi! o! jakże to im tę oddaną Mu wtedy usługę i to przyjście niejako w pomoc strapionej Przenajświętszej Matce, sowicie płaci teraz Pan Jezus w niebie.

Z największem uszanowaniem, ze świętem drżeniem, Józef, stanąwszy na najwyższym szczeblu drabiny, bierze w ręce koronę cierniową i jak najostrożniej podnosi z głowy, w którą wpiła się była. Wydobywa ją z włosów w które była wplątana i nie śmiejąc ucałować, z oczami łez pełnemi, oddaje Nikodemowi. Ten, wręcza ją Janowi, a od niego dostaje ją Marya, która wziąwszy w ręce te święte relikwie upadła na kolana, wpatrując się w nie z uczuciami, których żaden język ludzki wyrazić nie potrafi. Każdy z tych cierni krwią zbroczony, przemawiał jakby istota ożywiona do serca Przenajświętszej Panny i zamieniał się jakby na miecz boleści w to serce się wtłaczający. Katusze cierniowego koronowania Syna, powtórzyły się wtedy na duszy Matki!

Następnie Józef zaczął wydobywać gwoździe, usiłując tak tego dopełnić, żeby ile możności nie rozdzierać ran rąk i nóg przytwierdzonych nimi do ramion krzyża. Przychodziło mu to z taką trudnością, że jak to mieli sobie objawionem niektórzy Święci, Aniołowie mu w tem dopomagali. Każdy gwóźdź, w miarę jak go wydobywano, oddawano Maryi; a Ona go skrapiała łzami i w milczeniu oddawała cześć najgłębszą krwi Przenajświętszej, którą każdy z tych narzędzi męki Jej Syna był zbroczony. A jaka boleść towarzyszyła tym Jej aktom uwielbienia, tego nigdy pojąć nie będziemy w możności.

Ale nadchodziła jeszcze uroczystsza chwila, a więc i jeszcze cięższa Boleść dla naszej Matki najdroższej.

Odjęto nareszcie ciało od krzyża. Tłumy Aniołów skupiły się tam wtedy, i w świętem zachwyceniu otaczając Boskie ciało zamęczone za ludzi, niewidzialnie dopomagały złożyć Je powoli, ostrożnie i z pobożnym drżeniem na to samo dziewicze łono, z którego na świat wyszło Marya klęczy pod samym krzyżem, a już Jej ręce mają na sobie krew, którą zafarbowały je gwoździe. Rozpościera *Białe prześcieradło* *) przyniesione przez Józefa i unosi je w rękach w górę, żeby na nie przyjąć Swego Syna marnotrawnego, który wraca do Niej ale jakimże wraca? Bo czyż nie był On dla Niej jakby synem marnotrawnym? czyż nie opuścił z własnej woli dom macierzyński? czyż nie rozłączył się z Matką żeby udać się w najdziksżą krainę jaka kiedy była na świecie, bo pomiędzy ludzi którzy najokrutniej zamordować Go mieli? Czyż nie roztrwonił On wszystkich dóbr Swoich, żeby niemi wzbogacić świat cały? Czyż nie roztrwonił wszystkiej krwi Swojej do ostatniej kropli, a życia do ostatniego tchnienia oddanego na krzyżu? I nie dość na tem: czyż nie roztrwonił niejako i Bóstwa Swego, wydając Je na najcięższe obelgi, zniewagi i bluźnienia? A po tem wszystkiem, a za to wszystko, jakimże wraca do Matki? jakim oddają Go Jej ciż ludzie za których się na to wszystko poświęcił? w jakim stanie przyjmują Go teraz Jej ręce, jak przyjmowały ręce ojca Ewangelicznego syna marnotrawnego wracającego do niego.

Spuszczają tedy Przenajświętsze ciało; lecz czy Marya ciężar ten będzie mogła utrzymać, a ciężar podwójny, bo i zwłok martwych Syna i strasznej Boleści zalewającej serce Matki w takiej chwili i przy takiem dźwiganiu? Wytrzyma Ona to wszystko, bo jak granic

*) Mat. 26. 13.

niejako nie ma to, co Jej wycierpieć wtedy przychodzi, tak granic niema Jej męstwo, Jej cierpliwość, Jej niezachwiana w cierpieniu wytrwałość.

I już tedy Józef i Nikodem zeszli na najniższe stopnie drabiny, znosząc skarb nad skarby, który zazdrości im w tej chwili niebo całe, i mają złożyć Jezusa na ręce Maryi. A Ona przypomina sobie, jak nie- gdyś zstępował na Nią Duch-Święty, toż ciało Boskie mający ukształtować w Jej dziewiczem łonie, i widzi, że jak wtedy moc Boża cieniem swoim Ją pokryła była, *a moc Najwyższego ocieni Cię* *), tak teraz Miłość najwyższa w taki pzedziwny sposób rzuca na Nią cienie najsroższej Boleści.

Nareszcie Józef i Nikodem zeszli z drabiny; Jan podtrzymuje głowę Przenajświętszą a Magda lena stopy bo przy nich oddawna znane jej miejsce, i te ona teraz na wieki zajmuje w niebie. Na krótką chwilę Marya pochyla się do ziemi dla oddania czci ciału Pańskiemu, a z niewymownym smutkiem, z jakim Jezus w Ogrojcu padał twarzą na ziemię, — i bierze Boskie zwłoki na ręce. A więc Dzieciątko Betleemskie, znowu na łonie Matki, ale jakiem-że Ono teraz, w porównaniu z tem czem było dawniej? jakiem-że Jej oddali Go ludzie, za których zbawienie Go wydała? Przez parę chwil Marya, mając już na ręku ciało, pozostaje klęcząc, a przez czas ten, Jan, Magdalena, Józef, Nikodem, ich słudzy i kilka pobożnych niewiast nieodstępujących Matki Przenajświętszej, cześć najgłębszą oddają Barankowi Bożemu zabitemu na zgładzenie grzechów całego świata. Potem za pomocą Jana i Magdaleny, Przenajświętsza Matka powstaje i usiada na kamieniu blisko tam będącym, trzymając ciało Pańskie na kolanach.

*) Łuk. 2. 35.

Z uczuciem niewymownej tkliwości, rozgarnia najtroskliwiej włosy na Boskie oblicze spadające, lecz krwi którą i one są sklejone i która i na twarzy przyschła, nie omywa. Niezadługo bowiem wszystka krew ta i w Ogrojcu przy krwawej modlitwie, i przy całej Męce Pańskiej, i na drodze krzyżowej, i na krzyżu wylana, — wróci do żył swoich rękami Aniołów wszędzie zebrana. Nie ruszając więc krwi przenajdroższej, Marya każdą ranę na ciele Jezusowem, czy to zadaną biczowaniem, czy ukłóciami cierni, zaopatruje i przymyka maścią balsamiczną, złożoną z mirry i aloesu przyniesionych przez Nikodema. Nie było najmniejszej blizny na ciele Jej Syna, ani najlżejszego zadraśnięcia, które nie stałoby się wtedy powodem coraz to nowej Boleści dla Maryi i coraz to silniejszą pobudką do rozmiłowania się w Jej Bogu, tak z miłości ku ludziom niemiłosiernie skatowanemu. Ciało Jezusowe trzymane na kolanach Maryi, było dla Niej jakby Boską ręką skreślonym zarysem, jakby odfotografowaniem całej Męki Pańskiej, a w niej planem całej sprawy zbawienia świata, jakby krwią Jezusową odmalowanym. Ale czem to wszystko było dla Jej serca macierzyńskiego, któż wyobrazić sobie potrafi W żadnej z innych Boleści Swoich Matka Przenajświętsza nie była zmuszoną silniej nad Sobą panować, żeby w ciągu tak rozdzierającego serce matki zajęcia, żadnem, nietylko słowem, ale ani byle trochę mniej spokojnem poruszeniem, nie dać wylać się na zewnątrz morzu goryczy zalewającemu Jej duszę.

Lecz w ciągu tej szóstej Boleści zaszedł szczegół, przechowany pobożnem podaniem, a powtórzony przez samą Matkę Przenajświętszą świętej Brygidzie, w jednem z objawień jakie ta wielka służebnica Pań-

ska miała. Gdy trzymała na kolanach martwe ciało Jezusowe, i już zabierała się do owinienia Je w prześcieradło, w którem miało być zaniesione do grobu, — kiedy przyszło do złożenia rąk roztwartych tak jak były na krzyżu, z trudnością dało się to dopełnić. Nad którym to szczegółem rozmyślając niektórzy Święci, zrobili następującą uwagę. Pan Jezus dlatego chciał, aby ręce i ramiona Jego jak najdłużej rozwarte pozostawały, żeby przez to okazać jak pragnie aby się w te Jego ręce i ramiona wszyscy rzucili i ciągle wrzucali, żeby nikt od tego, a tak przecudownie miłościwego wzywania nigdy się nie uchylał. Gdy zaś po zdjęciu z krzyża, znajdował się na rękach Maryi, czyż mógł wtedy zamykając ramiona, osłabić, i jakby zatrzeć ten znak, ten symbol Swego nieograniczonego miłosierdzia, kiedy to właśnie przez ręce Maryi, wszystkie Jego miłosierdzia spływać odtąd miały na ludzi? To też zrozumiała to Ona, i gdy przyszło do owinienia ciała Jezusowego w prześcieradło, Sama Go tam umieściła, chustką, według zwyczaju Izraelskiego, owiązała głowę i ułożyła stopy. Lecz gdy trzeba było i ramiona roztwarte stulić, innym to zwierzyła, i dopiero potem własnemi rękoma Przenajświętsze zwłoki owinęła prześcieradłem.

I otóż przychodzi Maryi już ostatnie rzucić spojrzenie na to oblicze zamarłe. A czem-że to jest dla matek takie ostatnie popatrzenie na dziecko? Jest-to pożegnanie, z którego smutkiem żaden inny smutek porównać się nie może. W takiem ostatniem zatrzymaniu wzroku matki nad mającem być złożonem do grobu dziecięciem, całe jej serce jakby w to spojrzenie przechodzi i już nigdy się nie odwróci. Czem-że takie ostatnie spojrzenie na Jezusa, być musiało dla Maryi? Jeśli są Aniołowie, którym zwierzona piecza szczególna nad duszami

wielkim smutkiem dotkniętemi, pewnie ani cięższego, ani głębszego świadkami oni nie byli i nie będą nigdy.

Nakoniec cały ten smutny obrzęd już dokonany i ręce Maryi zwinęły ostatni fałd prześcieradła szczelnie okrywającego całe Boskie ciało Jej Syna! Własne więc Jej ręce jakby przygasiły swiatło, które Jej przez całe życie przyświecało! Dla Niej prawdziwem zaćmieniem było nie to, które towarzyszyło konaniu Jezusa, lecz to zupełne już zniknięcie Jego z Jej macierzyńskich oczu.

§. II. Główne cechy szóstej Boleści Przenajświętszej Matki.

A teraz, gdy według przyjętego przez nas zwyczaju, przejdziemy z opowiadania szczegółów tej szóstej Boleści Przenajświętszej Matki, do głównych jej cech odróżniających ją od innych, zauważać nam wypadnie, że co najprzód tu uderza, to że ciągle napotykamy w tej Boleści przenośne obrazy, *figury,* symbola, odnoszące się do Przenajświętszego Sakramentu. Męka Pańska znika tu niejako przed nami, a przedstawia się nam tajemnica podobna do tajemnicy Ołtarza, w której toż Przenajświętsze ciało Jezusowe z którem miała do czynienia Marya w Swojej szóstej Boleści, jest najrzeczywiściej obecne. Wprawdzie, w Przenajświętszym Sakramencie, nie jest Ono ciałem nieożywionem duszą, jak niem było ciało Pańskie zdjęte z krzyża i złożone na ręce Maryi; lecz będąc w Bóstwie Swojem zatajone pod przypadłościami chleba, jest tak dla nas zakrytem, jak niem było dla Matki Przenajświętszej, będąc nie ożywionem gdy Je z krzyża zdjęto. Stąd też, prawie każda wtedy Jej czynność, każde Jej poruszenie się, całe Jej

zachowanie się przy zdjęciu ciała Jezusowego z krzyża, było obrazem zapowiednim, było *figurą* zachowania się Kościoła z Przenajświętszym Sakramentem Ołtarza. Marya pada na kolana dla przyjęcia ciała Syna Swego, i w tejże kornej postawie trzymając Go na rękach, przedstawia je do czci obecnych tam dusz wybranych. Lecz oraz drży na myśl, czy jeszcze jakieś zniewagi nie spotkają to Boskie ciało od tych, którzy Mu już tyle najcięższych zadali. A czyż nie uderzający to obraz Kościoła świętego, w Sakramencie Ołtarza przedstawiającego ciało Pana Jezusa ku czci wiernych; lecz obok tego widzącego jak Go wielu w najrozmaitszy sposób, już-to brakiem w tę tajemnicę wiary, już to obojętnością na nią, już świętokradzkiem jej przyjmowaniem, ciężko znieważa.

Marya przyjmując na Swe macierzyńskie ręce zdjęte z Krzyża ciało Pańskie, i na niem wpatrując się: w zadane Mu rany, srodze boleje nad każdą z nich w nich czyta, jakby całą Mękę Jezusową i nad nią rzewnie rozmyśla. A podobnież Kościół chce, aby każdy wierny obecny przy sprawowaniu Sakramentu Ołtarza, ale zwłaszcza każdy przystępujący do Niego, serdecznie rozpamiętywał Mękę Pańską. Jak bowiem zdjęcie z krzyża było dla Maryi dalszym ciągiem Jej Boleści, bo było następstwem Męki i śmierci Zbawiciela, tak i obecność Jego w Przenajświętszym Sakramencie Ołtarza, Ojcowie święci uważają jakby dalszym ciągiem Mszy świętej, będącej bezustannem, niekrwawem powtarzaniem się tejże męki i śmierci Pana naszego. Obecność zaś Jego w Przenajświętszym Sakramencie przechowywanym po kościołach naszych, wystawia Go z miłości ku ludziom na tysiączne od nich zniewagi, których właśnie obawiała się Marya, gdy Boskie ciało zdjęte z krzyża,

trzymała na rękach. Przypuszczać też możemy, że w chwili gdy owijała w prześcieradło Przenajświętsze zwłoki Syna, powyższe uwagi stanęły Jej na myśli, a przewidywanie tego co Pan Jezus przez długie wieki wycierpi jeszcze i w Przenajświętszym Sakramencie, dolewało goryczy niezmiernej, do i bez tego już tak zbolałej Jej duszy.

Tej szóstej Boleści jest także odznaczającą ją, odrębniającą od innych Boleści Maryi cechą i to, że wtedy po raz pierwszy Matka Przenajświętsza ujrzała się bez Jezusa żyjącego. W szóstej Boleści, Jezus przestał żyć z Maryą, czego we wszystkich poprzednich Boleściach nie było, gdyż i w trzeciej, przy zniknięciu Jego w Świątyni, chociaż Go przy sobie nie widziała, wiedziała jednakże że żyje i gdzieś się znajduje. A teraz już Go żyjącego na ziemi nie miała, już Go rzeczywiście straciła. Być zaś może, że Marya nie wiedziała dobrze dotąd, jak dalece życie Jej z życiem Jezusa zjednoczonem było; jak dalece żyła Ona Jego życiem, jak dalece serce Jej biło w sercu Jezusa. Ona na wszystko patrzała jakby Jego oczyma, Jego uszami słyszała, Jego myślami myślała, Jego uczuciami czuła. Nigdy żadna matka z synem, żadna oblubienica z oblubieńcem, żaden przyjaciel z przyjacielem, nigdy dwoje istot nie było z sobą tak zjednoczonych, tak zlanych, tak zespolonych, jak Marya z Jezusem. Nigdy dwa życia nie stanowiły rzeczywiściej jakby jednego życia. A jakże teraz jedno z nich, i to właśnie słabsze, obejdzie się bez drugiego? Odłączenie się duszy od ciała które ożywia, mniej jest dotkliwem, mniej rozdzierającem, jak niem było to odłączenie się życia Jezusa od życia Maryi. I kto wie czy nie dlatego to, i żeby to zjedno-

czenie się życia Maryi z życiem Jezusa zastąpić gdy On zejdzie z tego świata — przypadłości Sakramentalne trwały w Niej nie niszcząc się od jednej Komunii aż do następnej.

Zdarza się widzieć niekiedy, coś słabo podobnego do zlania się życia Maryi z życiem Jezusa, w niektórych matkach i ich synach, zwłaszcza gdy jest on jedynakiem, a matka została wdową. Wtedy, podobnie jak u Przenajświętszej Panny, życie matki wpada, że się tak wyrażę, przechodzi w życie syna, nie zaś życie syna w życie matki. I widok takiej matki i takiego syna, jest jednym z najbardziej rozczulających widoków, jakie stosunki ludzkie na naszej ziemi przedstawić mogą. Taka bowiem miłość matki, już sama z siebie tak święta i tkliwa, wzmaga się jeszcze, a nie jakimś pomyślnym wypadkiem, lecz smutkami owdowienia. I przytem, im te ostatnie silniej dotykają serce wdowy, tem silniej rozżywiają jej miłość macierzyńską. To też patrząc na taką matkę i na takiego syna, z przerażeniem myślimy sobie, coby się z nią stało, gdyby i to swoje tak ukochane dziecię straciła. A jednakże miłość najprzywiązańszej matki, całą siłę tego uczucia zwracającej po owdowieniu na jedynego syna, jakże jest słabym obrazem tej miłości jaką Marya miłowała Jezusa! Czemże więc musiała być Jej Boleść, gdy po zdjęciu z krzyża Przenajświętszego ciała, martwe zwłoki Swego Boskiego jedynaka trzymała na kolanach.

To też żeby pojąć całą gorycz cierpienia Maryi, gdy Jezus żyć przestał, trzebaby być w możności pojęcia, czem życie tego Syna było dla tej matki. Ale czyż podobna, chociaż słabo wyobrazić to sobie? Możemy oceniać to w przybliżeniu tylko, czyniąc rozma-

ite porównania, w każdym jednak razie, dalecy będziemy od rzeczywistości.

Lecz dla zrobienia sobie jakiegokolwiek wyobrażenia o szóstej Boleści Przenajświętszej Matki, weźmijmy jeszcze i inny przykład z boleści doznawanych przez ludzi, po stracie drogich osób. Wszystkie bowiem tego rodzaju cierpienia, w tej szóstej Jej Boleści się zawierały. Wszak prawie każdemu z nas wydarzyło się spotkać tak doskonałe stadło małżeńskie, że obaj małżonkowie stanowili jakby jedno życie. Każde z nich odczuwało i cierpienia i pociechy drugiego jakby własne. Szczęście jednego było szczęściem drugiego, jak i każdy smutek był im najzupełniej wspólnym. Jak łzy ich razem zawsze płynęły, tak i wszystko na świecie uśmiechało się dla nich o tyle, o ile było takiem dla obojga. Innego szczęścia jak wspólne, innego smutku jak razem doznawanego, nietylko nie znachodzili, ale go sobie wyobrazić nie mogli. W końcu, po długich latach ich wspólnego pożycia, a już nietylko według pospolicie przyjętego wyrażenia, *pożycia,* lecz jakby jednego dwóch istot życia, tak ścisłym stał się ten związek, że rozerwanie jego przez śmierć jednego z takich małżonków, chybaby i śmierć drugiego pociągnąć za sobą musiało.

Owoż, Jezus dla Maryi był wszystkiem, był nietylko i Ojcem i Synem, ale i Oblubieńcem, a kochanym jak żadna żona najdroższego dla niej małżonka nie kochała nigdy. W szóstej więc Boleści i niewypowiedziany smutek owdowienia dotknął serce Przenajświętszej Matki, a w stopniu w jakim żadne owdowiałe po najświętszej i najsilniejszej miłości serce nie doznało takowego.

Innym znowu szczegółem stanowiącym odrębną cechę szóstej Boleści, była odpowiedzialność ciążąca na Maryi, którą, oddanie w Jej ręce Przenajświętszego ciała, obarczało niejako obowiązkiem ustrzeżenia Go od nowych jeszcze jakich zniewag. Tak to bowiem przedstawiało się Jej wtedy. Nikt lepiej od Niej nie pojmował jaka cześć najgłębsza, nieograniczona, nieskończona, przynależała się temu Boskiemu ciału. A tymczasem, lada chwila mogło zajść coś, co je na nowe zniewagi wystawi. Jakiejże potrzeba ostrożności, jakiej rozwagi i roztropności, żeby mimowoli nie wywołać czegoś takiego, czem już było przebicie boku Jezusowego włócznią Longina. W jaki więc sposób zabrać się do pochowania zwłok Jego? Czy niezwłocznie do tego przystąpić, czy czekać późniejszej pory nocnej? Czy schodzić z Kalwaryi zwykłą drogą, która na nią prowadzi, czy obrać bardziej ukrytą? I wreszcie, czy w grobowcu ofiarowanym przez Józefa, te najświętsze jakie kiedy posiadała i posiadaćby mogła ziemia Relikwie, będą dość bezpieczne? czy nie dostaną się tam w ręce wrogów Jezusowych, którzy według wszelkiego podobieństwa, zechcą wyśledzić miejsce gdzie złożono ciało Pańskie, żeby je wydobyć i nad niem napastwić się do woli?

Przytem, co także zwiększało te frasunki Maryi, to i ta okoliczność, że ze wszystkiem spieszyć się trzeba było, gdyż oprawcy przeznaczeni do uprzątania ciał ukrzyżowanych, lada chwila nadejść mogli. Wreszcie z nadejściem blizkiego wieczoru, Szabas zapadający, znaglał także do jak najprędszego załatwienia się ze smutnym obrzędem złożenia w grobie ciała Jezusowego. Wiadomo zaś jak wszelki przymusowy pośpiech przykrym jest dla każdej świątobliwej duszy, nawykłej dopełniać wszystko zwolna i porządnie, a cóż dopiery gdy

chodziło tu o czynność tak świętą, tak wzniosłą, a razem taką boleścią przeszywającą serce Matki! Obok zaś tego, okolicznością zwiększającą ciężki frasunek doznawany wtedy przez Maryę z powyższych powodów, było i to jeszcze, że nie mogła wiedzieć jak postąpić wypada, jak odbyć przeniesienie ciała Pańskiego do grobu, żeby nie narazić je na spotkanie Jego wrogów. A jednak ze drżeniem myślała sobie, że najmniejsza nieostrożność, tak co do chwili w której mają tego dopełniać, jak i co do drogi którą wypada się udać, może być fatalną i najsmutniejsze sprowadzić następstwa.

Wyobraźmy sobie, coby się działo z nami, gdyby w razie potrzeby uchronienia Przenajświętszego Sakramentu od zniewag, jakie chcą Mu zadać jacyś bezbożnicy, nam Go zwierzono do przeniesienia, a widzielibyśmy się zmuszonymi nieść Go jednakże przez miejsca, na których najzapamiętalsi Jego wrogowie czyhaliby na Niego. Dla kogoś słabą wiarę posiadającego albo słabo miłującego Jezusa, nie wielkiem byłoby to zakłopotaniem; dla wierzącego i kochającego Jezusa wielkiem; dla bardzo zaś Go miłującego niewypowiedzianem. Miarkujmyż z tego, czem podobne położenie było dla Maryi! I ten więc rodzaj cierpienia pochodzącego z obawy narażenia na zniewagę najświętszego i najdroższego dla Niej przedmiotu, nie został oszczędzony sercu Matki Przenajświętszej w Jej szóstej Boleści.

Doznawała więc wtedy Marya i wielkiego przerażenia, pochodzącego od obawy lada chwila spełnić się mogącego strasznego świętokradztwa, przez wyrządzenie zniewagi ciału Pańskiemu, a wtedy Jej pieczy zwierzonemu. Kto też pilnie rozpamiętywa Boleści Maryi, mógł zauważać jak uczucie przerażenia wielkie w nich

i wybitne zajmuje miejsce. W każdej z Jej Boleści występuje ono głównie. Rozważając drugą Boleść Przenajświętszej Panny doznaną w ucieczce do Egiptu, widzieliśmy jak uczucie wielkiego przestrachu, zasnuwało niejako całą sieć Jej ówczesnych cierpień. Tu więc zastanówmy się nad tem, dla czego uczucie przerażenia tak przeważa w Boleściach naszej najdroższej Matki.

Otóż głównym tego powodem było to, że uczucie obawy i przerażenia, było dla Maryi wyjątkową próbą, wyjątkowem doświadczeniem, a przez to utrwaleniem wyjątkowej łaski niczem nie zachwianego wewnętrznego Jej spokoju. Ten niezachwiany u Niej wewnętrzny spokój, jak to już powinniśmy byli zauważać, jest główną cechą najwyższej doskonałości Jej duszy. Jest nie tyle łaską i darem odrębnym, jak raczej podstawą na której opierają się wszystkie Jej doskonałości: jest widnokręgiem na którym one najjaśniej błyszczą. W każdej z Jej boleści, jak i w każdej z Jej radości, zachodziło zawsze coś, co głównie wystawiało u Niej na próbę spokój wewnętrzny i takowy doświadczając, ustalało i podnosiło. W szeregu Jej Boleści, począwszy od przepowiedni Symeona aż do ostatniej, podobnież jak w szeregu Jej Radości po czącwszy od Zwiastowania aż do Wniebowzięcia, zachodziło zawsze coś silnie wstrząsającego Jej duszę, a więcwystawiającego na próbę Jej wewnętrzny spokój. Przypadało to bowiem albo nagle i niespodziewanie, albo z tak wielkim wzruszeniem całej Jej istoty duchowej, że zdawało się, iż musi w takim razie zachwiać się Jej spokój wewnętrzny i przerwać chociażby na chwilę to Jej bezustanne panowanie nad sobą.

Obawa, trwoga, przerażenie, jest to stan duszy, w którym najtrudniej nie doznać zmieszania się zaniepokojenia. Są to uczucia nadzwyczaj gwałtowne; a tem-

bardziej zdolne pozbawić pokoju wewnętrznego, że są nietylko mimowolne, lecz naszej woli właśnie wprost najprzeciwniejsze. Przytem, naturalna tkliwość Maryi, jak wszystkie u Niej własności naturalne, w wysokim będąc stopniu, sprawiała że ten rodzaj uczuć, że trwoga i przerażenie stawały się dla Jej spokoju próbą i doświadczeniem nadzwyczaj trudnem. Miarkować zaś to możemy i z tego, że wiemy, iż gdy Pan Jezus dopuścił na Siebie w Ogrojcu przestrach, bo mówi Ewangelia święta, że *począł strachać się*, wtedy to właśnie wystąpił był na Boskie ciało Jego pot aż krwawy. *I były krople krwi Jego zbiegające na ziemię* *). A że Marya, jako jedyna dusza z dusz ludzkich, nigdy grzechu nie mająca na Sobie, nigdy największego jakiego doznać może człowiek po popełnionym grzechu niepokoju, doznać nie mogła — więc zdaje się, że i dlatego najrozmaitsze trwogi i przestrachy zagrażające pokojowi wewnętrznemu, we wszystkich Jej Boleściach miotały Jej niepokalaną duszą, żeby i z tej strony nie była pozbawioną zasługi i prób coraz więcej Ją udoskonalających, uświęcających. I to, było głównym powodem tak wielkich a najrozmaitszych trwóg, obaw i przerażeń, które dopuścił Pan Jezus na przenajdroższą Matkę Swoją. Cokolwiekbądź i jakiekolwiek miał w takowem dopuszczeniu widoki Swoje Pan Bóg, trzeba nam zawsze, przy rozpamiętywaniu Boleści Przenajświętszej Panny, pamiętać, że ten rodzaj cierpienia, który w Panu Jezusie wywołał aż pot krwawy, jest, główną osnową, na której zasnute było całe pasmo boleści Maryi, ze wszystkimi innymi swoimi strasznymi odcieniami.

*) Łuk. 22. 44.

Lecz w tej szóstej Boleści Przenajświętszej Matki, wszystko przyczyniało się do jej zwiększania: bo nie tylko złość ludzka, której padł ofiarą najdroższy Boski Syn Jej, ale i ich dobroć i współczucie, które niektórzy z wybranych dusz okazywały Jej wtedy. Bo oto gdy Jan, Magdalena, Józef i Nikodem, otoczyli w milczeniu Matkę najboleśniejszą, podczas gdy Ona namaszczała Ciało Jezusowe i owijała je w prześcieradło, — każdy z nich, w szczególny a właściwy sobie sposób, rozżywiał w Jej umyśle pamięć ubiegłych chwil, w których posiadała Jezusa jeszcze żywym. Trzymając na kolanach zamarłe ciało Syna, a widząc obok Siebie Józefa z Arymatei wpatrującego się w Jezusa z najgłębszą czcią i miłością, przypomniała Sobie ile to razy niegdyś w szczęsnem pożyciu wspólnem w Nazarecie, inny Józef, przeczysty Jej Oblubieniec, stał podobnież przy Niej gdy trzymała na dziewiczem łonie Boskie Dzieciątko, i także nie w Nią, lecz w Jezusa się wpatrywał. Jan przypominał Jej, że już nie Jezusa, lecz Jego za syna mieć będzie, a więc, jak się wyraża święty Augustyn, syna Zebedeuszowego zamiast Syna Bożego. Magdalena dopomagająca Jej do namaszczania stóp Zbawiciela i do owinienia ich w prześcieradło, przypomniała Jej jak u tychże stóp właśnie dostępując i odpuszczenia grzechów i łask największych, usłyszała była od Pana Jezusa że namaszczając wtedy nogi Jego, już czyniła to *na pamiątkę Jego pogrzebania* *). I wreszcie Nikodem, który przyniósł aloes i myrrę, przypominał Jej świetne i wesołe czasy, kiedy Trzej Królowie także myrrę przynieśli byli, lecz nie żeby nią zamarłe ciało Jezusowe nabalsamować, ale żeby Mu cześć jako Sy-

*) Marek 14. 8.

nowi Bożemu, tylko co na świat przychodzącemu, cześć oddać najgłębszą. A od tego czasu jakże wszystko się zmieniło, i jakże ta myrra teraźniejsza dla Maryi była smutniejsza aniżeli tamta. I tak wtedy święte to grono dusz najwierniejszych i Jezusowi i Maryi, otaczające Ją wtenczas z tkliwem i pełnem czci i uwielbienia uczuciem, przez rozbudzenie w Jej umyśle wspomnień ubiegłej przeszłości, przydawało i ze swej strony, smutków szóstej Boleści naszej Matki najdroższej.

Bo też ta szósta boleść, posiadała właściwe sobie i odrębne natężenie, jako będąca ostatecznym wynikiem tego wszystkiego co stanowiło wszystkie poprzedzające Boleści Maryi, a przez to i wszystkie Je ponawiała i jakby w sobie okrutnie streszczała. Było to bowiem zebranie, *zsumowanie* wszystkich poprzednich cierpień, które jakby wody morza gorzkiego, długo, bo przez całe błogosławione Jej życie nurtujące głębie duszy Matki najboleśniejszej, teraz razem zebrane, rozlały się w całej swej pełni. W tej szóstej Boleści będącej streszczeniem i wynikiem wszystkich Boleści Maryi, łączyły się wspomnienia lat dziecinnych Jezusa, ze wspomnieniami tylko co przebytej Jego Męki i śmierci na krzyżu, i w przedziwny a najboleśniejszy dla Niej sposób, zespalały ze sobą i Betleem i Kalwaryę. Co więcej: wtedy stawało na myśli Matki Boskiej nietylko całe życie Zbawiciela jakie wiódł przebywając na ziemi i obcując z ludźmi, lecz i Jego życie po wszystkie potem czasy zatajone w Przenajświętszym Sakramencie ołtarza, w którym ileż ich i jakież męki Go czekały!

Jakoż, w szóstej Boleści, dzieciństwo Pana Jezusa i Jego Męka, stają się jawnemi i w przedziwny sposób łączą się z sobą w tej tajemnicy martwego ciała Pań-

skiego, po zdjęciu Go z krzyża spoczywającego na rękach Maryi. Męka Jego była wypisaną, wyrytą albo raczej okrutnie wyrzeźbioną, na wszystkich tego Przenajświętszego ciała członkach. Każdy grzech ludzki wyżłobił tam zadośćuczynienie za niego. Od stóp do głowy, od głowy do stóp, wodząc po tem ciele oczy, mogła Marya obchodzić Drogę krzyżową. Każda z niej stacya pozostawiła tam swoje ślady, swoje okropności, swoje rany, swoje dowody niepojętej miłości Boga ku ludziom, a ich również niepojętej niewdzięczności i złości. Wpatrywanie się zaś w to oczami Matki a jakiejże Matki! nadawało szczególną żywość każdej z tych oznak, wydobywało jakby jęk z każdej rany, i rozpalało w Jej sercu zakrwawionem i rozdartem miłość Jezusa, a z nią niezmierną Jej Boleść.

To tak, co do Męki Pańskiej. Lecz i Dzieciństwo Jego jakże się tam Jej przypominało! Bo oto Dziecię Swoje trzyma na rękach; obok Niej stoi Józef, i z tem najdroższem Dziecięciem trzeba tak się obchodzić, takie mieć około niego staranie, jak kiedy w Jego niemowlęcej bezwładności, tuliła Je do Swego łona. I teraz trzeba Mu czule i delikatnie rozgarniać włosy na czole, układać ostrożnie członki, owinąć je w te śmiertelne Jego pieluszki. Wszystko to tak jak się odbywało niegdyś, tylko teraz w miejsce pociechy matki pieszczącej się z dziecięciem, tu Boleść Maryi przygotowującej ciało Syna do złożenia Je w grobie. Albo raczej teraz jest to nic innego, jak dopełnienie się, zebranie w jedno wszystkich Boleści już i dawniej przez Maryę przewidywanych, jest jakby ich szczytem najwyższym, ich ostatecznem spotęgowaniem się. W Betleemie, w Egipcie, w Nazarecie, Marya od dawna przewidywała chwilę obecną. Niemniej jednakże była ona dla Niej najcięższą!

§. III. Wewnętrzne usposobienie Przenajświętszej Matki w Jej szóstej Boleści.

Takie to więc są główne i odrębne cechy szóstej Boleści. Co się zaś tyczy wewnętrznego usposobienia z jakiem ją Matka Przenajświętsza przenosiła, najprzód trzeba nam zwrócić uwagę na to, jak wśród takich strasznych ciemności otaczających wtedy Jej duszę, ciągle dopatrywała Ona wolę Bożą i do niej jak najwierniej się stosowała.

Smutek, jeśli się mu poddajemy, osłabia wzrok wiary. Dlatego to, że doznając cierpienia rozczulamy się nad sobą, tak trudno przychodzi nam wtedy rozpoznać wolę Bożą; tak nam brak wtedy zmysłu dla wytłómaczenia jej sobie. Jeśli wśród strapień, doznający takowych, nazywa wyroki Boskie niezbadanymi, jest to skutkiem przyćmienia się w nim światła wiary. Albowiem, gdy na wszystko zapatrujemy się z punktu wiary, nie w razie to doznawanych nieszczęść, ale raczej wtedy gdy się nam powodzi, powinne wyroki Boskie wydać się nam niezbadanymi, trudnymi do zrozumienia. Wiedząc czem i jakiemi jesteśmy i na cośmy zasłużyli, nie strapienia-to, lecz pomyślność napotykana zadziwiać nas powinna. Stąd też dusza żywą obdarzona wiarą, a w cierpieniu doznanem zdobywająca się na korne poddawanie się woli lub dopuszczeniu Bożemu, tem ściślej jednoczy się z Bogiem, tem jaśniej Go widzi bo tem lepiej Go rozumie. Strapienie znoszone ze, spokojem wewnętrznym, bywa zwykle jakby nowem objawieniem, przydającem nowego oświecenia na duszy. Żywa wiara, a nie przyćmiona, w razie

doznawanego cierpienia, pieszczotliwym zwrotem na siebie samego, ma to do siebie, że nietylko we wszystkiem łatwo dopatrujemy się wolę Bożą, lecz we wszystkiem i zawsze uznajemy ją tak właściwą, tak sprawiedliwą, tak mądrą, a zwłaszcza tak miłosierną, że nie możemy wyobrazić sobie czegoś właściwszego i dla nas pożądańszego, od tego co nas w danym jakim razie spotyka. Nawet wydaję się nam, wtedy dziwnem to, żeśmy tego nie przewidzieli. W wielu też Świętych widzimy uderzające przykłady takowego nawykniena widzenia we wszystkiem najświętszej i najwyższej woli Boga, a w jakimże to stopniu być musiało w Przenajświętszej Pannie! Wola Boża wymagająca, najnieprzewidziańsza, najtrudniejsza do spełnienia pozornie najwłaściwsza, znajduje Ją zawsze tak gotową, jakby ta wola była jak najwyraźniej wytkniętą dla Niej drogą, po której iść będzie tak spokojnie i wytrwale, jak na widnokręgu niebieskim każda gwiazda szybuje przeznaczonym jej szlakiem.

Innem znowu wewnętrznem usposobieniem objawiającem się Przenajświętszej Pannie w Jej szóstej Boleści, było przedziwne połączenie uczucia czci najgłębszej z pewną poufałością. A nic nie jest pewniejszą oznaką jak najściślejszego zjednoczenia duszy z Bogiem, jak właśnie taka pokorna z Nim poufałość, będąca następstwem tylko wysokiej świątobliwości. Jest-to coś niedającego ująć się w wyraźne i stałe prawidła, coś co określić dokładnie trudno, tak jak trudno jest określić to, co nazywamy w potocznych stosunkach ludzi pomiędzy sobą przyzwoitem ułożeniem, będącem cechą wykwintniejszego wychowania. Wrodzony to jakiś zmysł albo staranne wychowanie, lub wreszcie naturalna delikatność sprawiają, że w obcowaniu z drugimi zacho-

wujemy się tak, jak nikt inny nieposiadający tego rodzaju zalety. Otóż podobnież zmysł to Duchem-Świętym natchniony, niebieskie, że się tak wyrażę, wychowanie, i szereg różnych łask wyższych sprawiają, że dusza w jej stosunku z Bogiem, umie połączyć najgłębsze uszanowanie, najgłębszą cześć z pewną Istotą z najwyższą poufałością. Wszelako sami przy zwykłych łaskach, dojść do tego nie możemy; owszem w ogólności mówiąc, wystrzegać się powinniśmy takiej poufałości, do której, pamiętając o naszej nędzy duchowej, prawa rościć sobie nie możemy. Trzeba żeby dusza doszła do wysokiego stopnia miłości Boga i do wyjątkowego daru wpatrywania się w Jego wielkość nieskończoną, a z drugiej strony przejęta była najżywszem poczuciem własnej nicości — ażeby tej tak rzadkiej, a pięknej łaski poufałości z Bogiem dostąpić mogła.

Lecz jakże to wzniosły, jak śliczny i obraz i przykład takowej poufałości przedstawia nam Przenajświętsza Panna, trzymająca na kolanach ciało Jezusowe i namaszczająca je do złożenia w grobie. Jak w Niej widzimy przedziwnie połączone: cześć najgłębszą, a obok tego i wielką poufałość. Ona trzyma na rękach ciało Boskie, a wiemy czy pojmowała dobrze czem jest Bóg i jaka Jego wielkość; a jednakże dotyka tego ciała i rozporządza niem według woli, o! cóż to za poufałość! Ale to ciało jest i ciałem Jej Syna, a wiemy jak Go miłowała, a jednakże żadnemi zewnętrznemi znakami nie pozwala sobie dogodzić wtedy tej Swojej miłości. Nie całuje tego ciała synowskiego, nie przyciska tego dziecka do łona macierzyńskiego. O! cóż to znowu za uszanowanie, oddane przez powstrzymanie się od takiej smutnej wprawdzie, ale dla Matki w takim razie, bądź co bądź, wielkiej pociechy! Patrząc na Nią wtedy,

ktoby nie wiedział nawet że ma Ona do czynienia z ciałem w którem Bóg żywy przebywa, odgadłby to i poznał po Jej zachowaniu się z Niem. Patrz na Jej Przenajświętsze oblicze, jakie tam przejęcie się najgłębszem uszanowaniem maluje się, obok wyrazu niewymownego smutku i boleści. Śledź każdy ruch Jej ręki, z jakiem drżeniem — podobnem do drżenia Serafinów oddających cześć Bogu w niebie dotyka ona Boskiego ciała i układa je w śmiertelne powijaczki. I to przecudne połączenie poufałości z najgłębszem uszanowaniem w tej szóstej Boleści Maryi tak wyraźnie a rzewnie się przedstawiające, dopatrywać nam trzeba w całem przebłogosławionem Jej życiu. Miało to miejsce w całym ciągu Jej trzydziesto-dwuletniego pożycia z Synem. Marya wiedziała zawsze, że Jezus był Bogiem, ani na chwilę nie traciła tego z pamięci i bezustanną Mu cześć oddawała. A jednakże żyła z Nim jak Matka z synem, w tej świętej poufałości, do jakiej dawała Jej prawo ta najwyższa po Bogu godność. I to już samo z siebie dostatecznem jest do okazania nam, do jakiego to szczytu była Ona wyniesioną, oraz jak nieporównanej świętości dusza Jej była przybytkiem.

Lecz trzeba nam zwrócić także uwagę na to, jakim to duchem zadośćuczynienia, była przejęta Przenajświętsza Matka, w ciągu tej szóstej Boleści. Najgorętsza miłość wszystkich istot stworzonych, wszystkich światów istniejących i istnieć mogących, nie wystarczałaby do wypłacenia się Panu Jezusowi za najlżejsze cierpienie, które dopuścił na Siebie z miłości ku nam, ani za jedną kropelkę tej przenajdroższej Krwi, którą co do ostatniej raczył wylać za nas. Ponieważ był Bogiem, i ponieważ Przenajświętsza Osoba Jego,

chociaż z dwóch natur Boskiej i ludzkiej złożona, była Osobą Boską, przeto najmniejsze z przeniesionych przez Niego upokorzeń, poniżeń, zniewag, były ceny i wartości, za którą, chociażby w przybliżeniu tylko, godnie wypłacić się nie jesteśmy w stanie. To też Święci wszyscy, w jakichkolwiek żyli czasach, rozpamiętywając szczegóły Męki Pańskiej, żywo przejęci tą prawdą, pobudzali się do tem gorętszej miłości Jezusa im więcej poznawali ile On wycierpiał za ludzi, którzy po większej części żyją jakby o tem nic zgoła nie wiedzieli. I z tego powodu, jak najsilniej pragnęli wynagradzać to swoją miłością i zadawanemi sobie w tym duchu pokutami. Jednakże wszystka ich miłość razem wzięta, i wszystkie ich z tej miłości czynione pokuty, jakże niezmiernie dalekiemi były od tej miłości i tego ducha pokuty i zadośćuczynienia, jakim przejętą była Marya, robiąc przygotowania dla złożenia w grobie ciała Pańskiego. Trzymać na kolanach to Boskie ciało, i na niem wpatrywać się oczami matki, w to wszystko co ono w okrutnej męce i strasznej na krzyżu śmierci tylko co wycierpiało, było bez wątpienia rozmyślaniem Męki Pańskiej, na jaką żaden z największych Świętych, chociażby darem najwyższej bogomyślności, obdarzony, nigdy zdobyć się nie mógł. Niezrównana bystrość Jej wzniosłego umysłu, połączona z uczuciami Matki trzymającej na kolanach zmarłe zwłoki najdroższego Syna, dopomagały Jej do takiego wyczytywania na skatowanem ciele Jezusowem tajemnic Jego Męki, i do takiego w nich zatapiania się, jak tego żaden ani Święty, ani najwyższy z duchów anielskich — uczynićby nie mógł. Za każdem poruszeniem dziewiczych rąk Jej, przy namaszczeniu ciała Pańskiego, ponawiały się w Jej niepokalanej, a morzem smutku zalanej duszy, akty i czci

najgłębszej i miłości zadośćczynnej. Widziała ona wtedy i liczbę i ciężkość i złość grzechów ludzkich, z których każdy miał tam właściwe i odrębne za niego zadośćuczynienie, i za wszystkie te grzechy i za każdy z nich z osobna, czyniła w duchu najprzecudniejsze akty zadośćczynne. Najwięksi Święci czyniąc akty takowe, dopełniają je i za drugich i za siebie, a im są pokorniejszemi, tem bardziej odnoszą takowe do własnych przewinień. Lecz Marya, chociaż była z pokornych najpokorniejsza, jednak żadnej winy wyrzucać sobie nie mogła; przeto wszystkie swoje akty zadośćczynne dopełnione wtedy, czyniła za nas. Jak Chrystus Pan zadośćuczynił za nas, gdyż dopełnić tego w odpowiedniej mierze nie możemy, tak podobnież Marya oddawała cześć Męce Pańskiej i czyniła za nas akty zadośćczynne, na jakie my nigdy zdobyć się nie jesteśmy w stanie, a z któremi jednoczyć się nam wolno. Albowiem mając w Niej Matkę, na mocy postanowienia Pana Jezusa, do Jej zasług mamy rzeczywiste prawo. O! cóż to więc za pociecha dla nas gdy pomyślimy, że chociaż we wszystkich narzędziach męki Pana Jezusa i w biczach, i w cierniach korony, i w gwoździach, i we włóczni były grzechy nasze, to znowu ręce nasze były niejako w rękach przenajdroższej Matki naszej, gdy niemi namaszczała ciało Zbawiciela naszego, a przez to jakby wtłaczała w te Przenajświętsze a tak liczne głębokie blizny i swoje zasługi, żeby za nas i dla nas, wiecznie w tych ranach a wraz z niemi, wypraszały miłosierdzie Boskie.

Wiele już mówiliśmy o wewnętrznym spokoju Przenajświętszej Panny wśród najrozmaitszych cierpień Jej długiego męczeństwa; lecz szczególnie podziwiać

go i uwielbiać wypada i w tej szóstej Jej Boleści. Ten bowiem niezachwiany wewnętrzny spokój, i wtedy kiedy przygniatały Jej błogosławioną duszę wszystkie Jej Boleści razem zebrane w chwili gdy trzymała na kolanach zamarłe zwłoki Syna, — ten Jej i wtedy niezachwiany spokój, jest jeszcze przedziwniejszym jak nim był wśród innych Jej cierpień.

Ze wszystkich łask któremi Pan Bóg zwykł obdarzać duszę do wysokiej świątobliwości przeznaczoną, łaska wewnętrznego pokoju stawia ją w stanie wyjątkowej doskonałości. Pozbawia ją ona wielu wad, ułomności i słabości pzzywiązanych do skażonej natury człowieka, a głównie utrudzających mu drogę wyższej świątobliwości. Zmienność, niejednostajność, niestałość, łatwość dziwienia się z silniej dotykających nas wypadków, są to skutki grzechu pierworodnego, a pozbawiające nas tej wewnętrznej ciszy, tego wewnętrznego pokoju, bez którego dusza nie dostępuje ściślejszego zjednoczenia z Bogiem. Wszystko to w nas jest śladem i smutną pozostałością upadku pierwszych naszych rodziców. Lecz w Przenajświętszej Pannie, wolnej od grzechu pierworodnego, nic takiego być nie mogło. Stąd w Jej niepokalanej duszy panował stale i bez najmniejszego zachwiania ten *Pokój,* o którym mówiąc Pismo święte powiada: *że przechodzi on wszelki zmysł,* to jest wszelkie wyobrażenie ludzkie, a którego skutkiem, którego następstwem jest właśnie to, jak zapewnia o tem także Pismo Boże, że *on serca nasze i myśli nasze utwierdza w Chrystusie Jezusie* *), czyli najściślej nas z nim jednoczy. Nic nie objawia widoczniej, nic nie dowodzi lepiej szczytu świętości

*) Fil. 4. 7.

Matki Bożej, jak ten niebieski wewnętrzny spokój, niczem i nigdy w Niej nie naruszony. Łaski tak nadzwyczajne, że się nam wydają trudnemi do pojęcia, jakie w Niej uwielbiamy, wzięte i rozważane pojedynczo, oślepiają nas swym nadziemskim blaskiem; lecz niejako przestają nas zadziwiać, gdy je sobie tłómaczymy, Jej niezachwianym wewnętrznym pokojem: gdy w tem szukamy rozwiązania tajemnicy Jej niezrównanej doskonałości. Jak przez wzgląd na nas i z miłości ku nam, Pan Bóg w nadzwyczaj wielkiej mierze, uczynił Maryę uczestniczką Swego przymiotu nieprzebranego miłosierdzia, tak znowu przez wzgląd już na Niąż samą i z miłości ku Niej, uczynił Ją również w wyjątkowej mierze uczestniczką Swego przymiotu niezachwianego pokoju.

§. IV. Czego nas uczy Przenajświętsza Matka w Swojej szóstej Boleści.

Nareszcie szósta Boleść naszej przenajdroższej Matki uczy nas dwóch rzeczy głównie: w niej Marya jest dla nas wzorem do naśladowania Jej w nabożeństwie do Przenajświętszego Sakramentu Ołtarza, i wzorem zachowania się w wielkich strapieniach. Widzieliśmy już w powyższych uwagach, jak w tej szóstej Boleści, wiele szczegółów jest obrazem zapowiednim czyli *figurą* nabożeństwa do Przenajświętszego Sakramentu. Ze sposobu zaś zachowania się wtedy Przenajświętszej Panny, powinniśmy brać naukę co do naszego nabożeństwa do tego Sakramentu nad Sakramentami, bo można powiedzieć, że szósta Boleść przeciąga się w Kościele Chrystusowym po wszystkie czasy

aż do końca wieków. Jak Chrystus Pan codziennie zaofiarowany zostaje we Mszach świętych, i jak śmierć Jego na Kalwaryi, powtarza się i nieustaje sposobem niekrwawym dzień i noc w świecie całym — tak podobnież krzątania się Maryi około Przenajświętszego utajonego ciała Jezusowego, nie ustają na tysiącach ołtarzy, powtarzane przez ręce tysiąca kapłanów. Tylko że jak we wszystkiem, co zawdzięczamy Jezusowi i Maryi, tak i tu, to co było dla Niej powodem okrutnych cierpień, jest dla nas źródłem największej pociechy i łask niewyczerpanych.

Gdy z największem uszanowaniem zdjąwszy koronę cierniową z głowy Zbawiciela, i dobywszy gwoździe z rąk i nóg Jego wręczyła je Janowi i Magdalenie, Sama, ukląkłszy oddała cześć najgłębszą Przenajświętszemu Ciału. Powiedziałbyś że znikła była wtedy w Niej godność macierzyństwa, i była to nie matka przy ciele syna, lecz zwykłe stworzenie korzące się przed swoim Stwórcą najwyższym. Trzymając zaś Je na ręku, podała do czci i tych kilku dusz świętych, które się wtedy przy Niej znajdowały.

Owoż, pamiętajmy o tem, że w Przenajświętszym Sakramencie Ołtarza, jest coś więcej jak to co było wtedy w zmarłem ciele Pańskiem. Wtedy w Przenajświętszem ciele było tylko Bóstwo żyjące, a człowieczeństwo było zamarłe; w Przenajświętszym zaś Sakramencie Ołtarza, Pan Jezus przebywa cały i żywy jako Bóg i Człowiek razem. Sakrament więc Ołtarza wymaga od nas, jeśli tak wyrazić się można, czci jeszcze szczególniejszej, bo jeśli nie głębszej, gdyż i w ciele zamarłem Jezusa przebywało Bóstwo to czci już nietylko Jego Bóstwu, lecz i człowieczeństwa, które z nieograniczonej miłości Swojej ku nam, przyjąć na siebie raczył.

Przytem, my nie posiadamy nad Nim praw macierzyńskich, jakie posiadała Marya; i wreszcie w Przenajświętszym Sakramencie, Jezus jakby powtórnie zstępuje z nieba do nas i dla nas, i w tem jakby powtórnem wcielaniu się, jeszcze większej jak w pierwszem dowodzi ku nam miłości. Gdy bowiem wcielał się w przeczystem łonie Matki, jeszcze nie miał dowodów jak Go ludzie przyjmą i jak Mu się za to odpłacą. A gdy przychodzi do nas w Przenajświętszym Sakramencie Ołtarza, czyni to nawet potem gdy Go ludzie okrutną śmiercią zamęczyli, i chociaż wie że na tak wiele i strasznych zniewag i w tej tajemnicy jeszcze większej jego miłości ku ludziom, od tychże ludzi się wystawia.

Jakąż więc to czcią przejęci być powinniśmy ku Przenajświętszemu Sakramentowi Ołtarza! Przygotowywanie się nasze ku przyjęciu Komunii świętej, powinno być najgorętszemi aktami wielbienia i miłości; przyjęcie zaś Jej, najwyższem jakie człowiek dostąpić może na ziemi szczęściem, w porównaniu z którem wszelkie największe szczęścia, uciechy i radości ziemskie, są zupełnie niczem. Następnie podczas dziękczynienia, za uczestniczenie w tej Przenajświętszej tajemnicy, powinniśmy być przejęci uczuciem najwyższego podziwu a oraz i najżywszej wdzięczności, widząc jak Pan Bóg raczy się zniżać do nas; a korzystając z niebieskiego szczęścia posiadania Go w sobie, błagać Go wtedy należy o najpotrzebniejsze nam łaski. Słuchając Mszy świętej powinniśmy tak zachować się, jak gdybyśmy byli na Kalwary, kiedy się tam odbywała krwawa ofiara z Boga Bogu czyniona, a która, tyle tylko że nie krwawo, lecz ponawia się przy każdej Mszy świętej. Modląc się

zaś przed Przenajświętszym Sakramentem w jakiejkolwiek innej porze, wyobrażajmy sobie jak to Boskie ciało, w Nim utajone, spoczywało po zdjęciu Go z Krzyża w łonie Matki Bolesnej i ponawiajmy te akty zadośćczynne, jakie Ona wtedy czyniła, łącząc je z takowymi. A w tem wszystkiem, starajmy się naśladować i Jej niezachwiany pokój, który i wtedy Ją nie odstępował, jak to wyżej rozważaliśmy, i który właśnie tem łatwiej zapełni duszę naszą, im żywszem uczuciem najgłębszej czci ku Bogu w Przenajświętszym Sakramencie utajonemu przejęci będziemy. — Trzeba wtedy ile możności zapomnieć nietylko o wszystkiem i o wszystkich, ale i o sobie samym. Nie trzeba zwracać uwagi na to czy dobrze i właściwie oddajemy cześć Bogu, przed którym się znajdujemy, i to bowiem odrywa nas od myśli o Bogu i Jego sakramentalnej obecności, która uwagę naszą całkowicie, w takiej błogosławionej chwili, pochłaniać powinna.

Wracając zaś jeszcze do przyjmowania Komunii świętej, pamiętajmy o tem, że dobre przygotowanie zawisło głównie na tem, żebyśmy starali się wyrzucić z serca wszelkie zaprzątnienia się przedmiotami ziemskimi, o których myśli najbardziej przeszkadzają nam do tego skupienia i wewnętrznego uspokojenia, w jakiem być powinniśmy przyjmując Boga w Sakramencie Ołtarza utajonego. Byleśmy ogołocili ile możności serce nasze z przywiązań doczesnych, i przystępowali do Stołu Pańskiego, Nim tylko zajęci, nie kłopoczmy się jeśli, pomimo tego, nie będziemy doznawać tej uczuciowej gorącości ducha, jakiejbyśmy pragnęli, bo to od nas nie zależy. Sztuczne nawet rozniecanie jej w sobie, byłoby niewłaściwem, gdyż właśnie pozbawiałoby nas tak potrzebnego wtedy we-

wnętrznego spokoju, wewnętrznej ciszy, bez której nie dosłyszymy co Bóg do nas przemawiać raczy i na obecność w nas Jego mniej czułymi będziemy. Jeśli spodoba się Panu Bogu dopuszczać na nas oschłości, nawet i w chwilach gdy Go sakramentalnie przyjmujemy w siebie, wolno nam smucić się z tego, lecz nie wolno zaniepokajać, gdyż uczuciowa gorącość ducha nie od nas zależy i wszelkie wysiłki żeby ją w sobie rozniecać, byłyby nietylko daremnemi lecz i szkodliwemi, niepokojąc duszę. Po przyjęciu Komunii świętej, trzeba zachować się bardziej biernie aniżeli czynnie. Zamiast wysilań się na uczucia które nie w naszej jest mocy rozbudzać w sobie, upokarzajmy się głęboko, uznawajmy naszą wielką nędzę, naszą złość, i rzucając się do nóg Jezusa, wyznawajmy jak niegodni jesteśmy przyjścia Jego do nas, jak niegodni tego, że On dozwala żebyśmy toż Boskie ciało Jego, które Matka Przenajświętsza przyjmując z krzyża zdjęte, ze świętem drżeniem na przeczystem łonie Swojem trzymała — przyjmowali w tej chwili do łona naszego. A wszystko starajmy się czynić jak najspokojniej, jak najpokorniej, bo nic nie przyczynia się więcej do wewnętrznego pokoju jak pokora. Komunia przyjęta z wielką ciszą wewnętrzną, Komunia spokojna, chociażby jej nie towarzyszyła uczuciowa gorącość ducha, głębiej przejmuje duszę, aniżeli Komunia, po której wysilamy się na jakieś wzniosłe myśli, szamotając się wewnętrznie.

Lecz przy rozważaniu szóstej Boleści naszej przenajdroższej Matki, zwracaliśmy uwagę i na świętą poufałość z jaką obchodziła się Ona z Boskiem ciałem Syna Swojego, gdy je zamarłe na matczynych rękach

Swoich trzymała. Owoż, była to poufałość szczególnej natury, szczególnej własności, gdyż wypływała nie z lekceważenia sobie przedmiotu z którym się ma do czynienia, jaką bywa zwykle poufałość w stosunkach ludzi pomiędzy sobą — lecz ze świętego nawyknienia ciągłego obcowania z Bogiem. Stąd, poufałość takowa nie powinna mieć w sobie nic śmiałego, nie powinna w niczem objawiać jakowąś zarozumiałość, niedbałość, obojętność, ani za wiele sobie pozwalać. Przychodzi się do niej jedynie po długiem nawyknieniu do ściślejszego, bliższego, wznioślejszego obcowania duszy z Bogiem, nawyknienia do Jego wyraźniejszych nawiedzin. Stąd, gdy one nadchodzą, dusza nie znajduje się zaskoczoną niespodzianie, nie doznaje zmieszania, nie przelęka się, i umie zachować się jak wtedy zachować się jest najwłaściwszem. Święta poufałość, nie ujmując nic a nic uczuciu najgłębszej czci, jaką przejęta być powinna dusza do ściślejszego obcowania z Bogiem przypuszczona, sprawia, że dusza jest wtedy zupełnie swobodna. Wszakże, nie żeby wiedziała, że jej wszystko wolno, lecz że zapominając wtedy o sobie samej, z miłością, ze spokojem, i z najgłębszem uszanowaniem zajęta jest tylko Bogiem. I o taką to świętą z Bogiem poufałość, starać się powinniśmy najbardziej po przyjęciu Komunii świętej, bo w niej-to, w tej-to tajemnicy, Pan Bóg ze Swej znowu strony, posuwa z nami spoufalenie do stopnia najwyższego jaki tylko być może. I starając się to najusilniej o ten rodzaj świętego spoufalenia się z Panem Jezusem w Komunii świętej przyjmowanym, ustrzeżemy się tego znowu grzesznego spoufalenia się z częstem przystępowaniem do Stołu Pańskiego, wskutek którego wyradza się w nas już nie oschłość od nas nie zależna, lecz ozię-

błość i obojętność, której jak najbardziej wystrzegać się powinniśmy.

Patrzmy na naszą przenajdroższą Matkę, w tej szóstej Jej Boleści. Któż częściej od Niej obcował jak najściślej z Jezusem? któż, tak jak Ona, przez lat trzydzieści trzy przestawał z Nim jak matka z synem? A jednakże czyż wyrodziło to w Niej chociażby cień jakowego zobojętnienia, jakiejś oziębłości w Jej miłości Jezusa? Owszem, im częściej i dłużej cieszyła Ją Jego obecność, póki żył i obcował z ludźmi, z tem większą miłością, ze czcią tem głębszą, piastowała na Swem dziewiczem łonie Jego zamarłe zwłoki, gdy je oddano Jej po zdjęciu z krzyża. Syn Boży w owej chwili pewnie nie mniejszą znalazł w Jej sercu miłość ku Sobie, nie mniejszą cześć od Niej odbierał, jak kiedy przed laty trzydziestu, przy Zwiastowaniu Anielskiem, zstępował z nieba do Jej niepokalanego łona. Owszem, znalazł w Niej teraz tęż miłość spotęgowaną, jak to widzieliśmy, tem wszystkiem co ją w Jej sercu do coraz wyższej podnosiło potęgi. — Toż samo w odpowiedniej naszej nędzy mierze, powinna sprawiać w nas każda przyjęta Komunia święta, tak, aby ostatnia, za łaską Pana Jezusa i opieką Maryi, była najżywszym aktem naszej miłości Boga i jak najściślejszem zjednoczeniem się z Nim na wieki.

Nareszcie nabożeństwo nasze do Przenajświętszego Sakramentu, ożywione być powinno duchem zadośćczynnym, to jest pragnieniem zadośćuczynienia Panu Jezusowi za to co On wycierpieć raczył, zanim pozostawił nam ten największy dowód Swojej ku ludziom miłości, jako też i za obdarzenie nas takim darem nad który już droższego, wyższego, świętszego,

pożądańszego dać nam nie mógł; i wreszcie za te wszystkie zniewagi których w tym właśnie przenajmiłościwszym i Przenajświętszym Sakramencie, tyle i tyle odbiera od ludzi. Jeżeli w każdej niemal tajemnicy z życia Pana Jezusa, widzimy Go doznającego największych pokrzywdzeń i zniewag od ludzi, to najbardziej się to objawia w tajemnicy Sakramentu Jego ciągłej pomiędzy nami obecności, narażającej Go, nie tak jak podczas Męki przez godzin kilkanaście na zniewagi, lecz przez tyle wieków ile ich upłynęło od Wieczerzy Pańskiej, i upłynie jeszcze do końca świata. Owoż, nic bardziej nie roznieca miłości w sercu szlachetnem, jak gdy osoba umiłowana doznaje krzywd i niesprawiedliwości od ludzi. Sama myśl o tem tak nas boleśnie dotyka, że z niej wyradza się jakby nowa miłość, a taka jakiej nigdy przedtem nie czuliśmy, i która rozbudza w nas najżywszą chęć wynagrodzenia pokrzywdzonego, rozbudza w nas ducha zadośćczynienia. W takim razie miłość przestaje być uczuciem w którem, chociaż inną osobę ma się na celu, jednak szuka się w tem dla siebie samego zadowolenia, w którem miłość własna w miłości drugiego koniec końcem siebie ma na głównym celu, według tego bardzo trafnego wyrażenia naszego języka: *kocha się,* to jest w kimś drugim kocha siebie samego. A co będąc rzeczą bardzo upokarzającą i wcale niepoetyczną, w końcu jednakże jest prawdą niezaprzeczoną. Lecz niechże osoba przez nas umiłowana zostanie pokrzywdzoną, niech dozna wielkiej jakiej niesprawiedliwości od ludzi, a wnet uczucie nasze ku niej, przechodząc w uczucie czci i uwielbienia, oczyszcza się z samolubstwa. Nic bowiem nie masz bardziej niezgadzającego się z sobą jak samolubstwo, jak miłość własna i uczucie czci i uwielbienia

względem kogokolwiek. Nigdy bardziej nie wyrzeka się człowiek siebie samego, nigdy nie robi całkowitszej ofiary z miłości własnej jak w aktach czci i uwielbienia drugich.

Ale nie dość na tem: Pan Jezus w Przenajświętszym Sakramencie Ołtarza utajony, przedstawia się nam nietylko jako Bóg który doznał i doznaje wielkich krzywd i niesprawiedliwości od ludzi, lecz oraz który domaga się i wygląda od nas współczucia, dla doznania pociechy i odebrania zadośćuczynienia za poniesione i ciągle ponoszone przez Niego zniewagi. I ten więc wzgląd, na takie że się tak wyrażę *położenie* Jezusa, powinien rozbudzać w nas miłość ku Niemu jak najgorętszą, w której, jeśli pozostaje jaki zwrot na nas samych, to chyba ten tylko, żebyśmy się Mu najcałkowiciej w duchu zadośćczynnym zaofiarowali. O! bo też ten duch zadośćuczynienia, jest czemś nadzwyczaj wzniosłem, jest czemś przecudnem w usposobieniu duszy: jest usposobieniem najodpowiedniejszem czci oddawanej przez nas Przenajświętszemu człowieczeństwu najdroższego Zbawcy naszego. Tym też-to duchem zadośćuczynienia, przejętą była Marya w najwyższym stopniu, gdy po zdjęciu z krzyża ciała Pańskiego, trzymała je na Swem łonie, namaszczając do złożenia w grobie. I ten duch zadośćuczynienia, jest najwłaściwszem przygotowaniem się do przyjmowania tegoż ciała Boskiego w Komunii świętej, jego rozżywianie w sercu naszem najwłaściwszem dziękczynieniem po przystąpieniu do Stołu Pańskiego, a gorące wypraszanie go sobie, najwłaściwszą modlitwą przy nawiedzaniu Przenajświętszego Sakramentu.

Takiem więc być powinno nasze nabożeństwo do tajemnicy Ołtarza, bo takiego uczy nas przenajdroższa

Matka nasza, namaszczając na Kalwaryi ciało Jezusowe. Nabożeństwo to powinno przejmować nas czcią najgłębszą, wielkim pokojem obdarzać naszą duszę, najgorętszą rozniecać w niej miłość Jezusa, wyradzać w nas świętą, bo pełną uszanowania z Nim poufałość, i w końcu jak najżywsze pragnienie zadośćczynienia, na jakie tylko za łaską Boską i opieką Maryi, zdobyć się jesteśmy w stanie.

Lecz jak w każdej z Boleści Swoich tak i w tej, Przenajświętsza Matka, jest dla nas wzorem jak zachować się powinniśmy w strapieniach. Strapienie, nieszczęście, wszelkiego rodzaju cierpienie, może stać się podwaliną, podstawą, na której wznieść się powinien wielki gmach uświątobliwienia. Lecz może także stać się powodem wielu szkód dla duszy i zmarnowaniem największych łask Boskich. Bo nie masz wątpliwości, że w każdem strapieniu, w cierpieniu wszelkiego rodzaju, ukrywa się jakaś szczególna łaska, przeznaczona do udoskonalenia duszy doznającej takowego. Wtedy też to, bardziej jak kiedy, powinniśmy być gotowymi do współdziałania z łaską, wtedy jak najpilniej o to się starającymi, wtedy bardziej jak kiedy przejęci duchem zaparcia, i pragnieniem zadośćczynienia. Skoro tylko poddajemy się smutkowi, kładziemy tamę wielkiemu dziełu Bożemu. Wszystko w ogólności co się nam przydarza, jest w widokach Boga skierowane ku dobru naszej duszy. Lecz cierpienie jest narzędziem, którem Pan Bóg wykończa w nas Swoje dzieło, jak ten dziełmistrz w sztuce rzeźbiarskiej, który najostrzejszemi dłutami nadaje wyrobionemu przez niego posągowi, całą jego piękność i doskonałość. Biada nam jeśli chwytamy za to narzędzie, i własnemi

rękoma chcemy złagodzić jego dłutowanie, albo nim według naszej woli kierować. Jeśli Pan Bóg raczy nas przerabiać z tak brzydkich jakimiśmy się sami zrobili, żeby rozpocząć z nami Swoje dzieło upiększenia, musi nas przekształcić cierpieniem, żeby nas uzdolnić do skuteczniejszego przyjmowania Jego łaski. A tymczasem wszyscy podlegamy pokusie, a tem silniejszej im czulszem sercem jest kto obdarzony — pokusie pieszczenia się w cierpieniu, i to do tego stopnia, że takowe rozpieszczenie się przywodzi nas ledwie że nie do bałwochwalskiej czci siebie samych o ile cierpiących. Cierpiąc z pokornem poddaniem się woli Bożej, spełniając pomimo tego nasze obowiązki o ile temu doznane cierpienie rzeczywistej tamy nie kładzie, zamienić cierpienie na wielkie zasługi nadprzyrodzone, w niebo ciągle patrzyć: słowem: dźwigać krzyż swój jeśli nie z weselem to przynajmniej z niezachwianym wewnętrznym spokojem — wszystko jest rzeczą nadzwyczaj trudzącą. Wrażenie jakie się od tego doznaje jest takie, jakiego się doznaje wspinając się na jaką stromą górę. Czujemy się wtedy bardzo zmęczeni, jak ci którzy się wdrapują na wysokie i spadziste miejsce, a nie mamy pociechy z uczucia że się idzie coraz wyżej, gdyż zwykle wydaje się nam wówczas, żeśmy ani kroku nie zrobili naprzód. Poddać się zaś smutkowi rozpływać się bez miary we łzach, rozwodzić się w żalach, (a zwłaszcza, przymieszując do tego ździebełko pobożności i wiele poezyi) wszystko to nie małą jest ulgą, podobną znowu do uczucia jakiego się doznaje, schodząc powoli ze wzgórza na którem nie miło nam było przebywać. Lecz naprawdę, jestto najrzeczywistszem jakie być może odwróceniem serca od nieba, a skierowaniem go ku ziemi. Stąd też, kto posiada

serce bardzo czułe, bardzo tkliwe, gdy go strapienie dotyka, a szczególnie gdy pochodzi ono z powodu straty drogich nam osób — powinien mieć się na wielkiej baczności. Jest bowiem w strapieniu coś jakby odurzającego, zaślepiającego, a łatwo o zgubę przyprawić mogącego, tego który go doświadcza. W strapieniach zaś doznanych ze straty drogich osób, co ukrytą w niej pokusę czyni tem niebezpieczniejszą, to że temu rodzajowi smutków świat przyklaskuje, upatrując w nich dowód dobroci serca. A przeciwnie, wysilenia nasze nad zapanowaniem nad doznaną w takich razach boleścią, ludzie łatwo przypisują obojętności i brakowi miłości. Lecz wzgląd na to, duszę pragnącą znosić cierpienia wszelkiego rodzaju jak je znosiła Marya, nie powinien powstrzymać od tego żeby się smutkowi nie poddawała.

Wszelako, z tego wszystkiego cośmy wyżej powiedzieli, nie idzie za tem, żeby w pewnych razach nie dozwolić łzom przynieść nam jakowąś ulgę. Albo żeby w chwilach wielkiego ucisku wewnętrznego, nie spróbować mu ulżyć, spokojnem wynurzeniem się przed sercem przyjaznem. Bo iż to jest dozwolonem i godziwem, i jednego i drugiego raczył nam Pan Jezus na Sobie Samym pozostawić przykład. Nad grobem ukochanego przez Niego Łazarza dopuścił na Siebie wielkie rozrzewnienie, bo mówi Ewangelia święta: *Jezus rozrzewniwszy się Sam w Sobie, przyszedł do grobu* *). A w Ogrojcu, dozwoliwszy strasznemu smutkowi zalać Jego Przenajświętszą duszę, powiedział o nim do uczniów: *Smutna jest dusza Moja aż do śmierci. Trwajcie i czuwajcie ze Mną* **). I Pan Jezus bowiem i Przenajświętsza Matka Bolesna nie uczą nas nieczułości, nie

*) Jan. 1. 18. **) Mat. 26. 38.

wymagają jej po nas, lecz uczą i wymagają wielkiego wśród cierpień umiarkowania, wielkiej baczności, żebyśmy poddając się mu, nie przeszkodzili działaniom łask przywiązanych do każdego strapienia.

Lecz częstokroć poddanie się smutkowi z doznanego strapienia, nietylko pozbawia nas wielkich pożytków duszy, ale nawet przywodzi nas do wyraźnej winy. Pozwalamy sobie w takich razach zwalniać się od najważniejszych obowiązków, z tego jedynie powodu, że nieszczęście jakie nas dotknęło zbytnie nas zaprzątając, czyni nas ociężałymi i obojętnymi na wszystko. Wydaje się nam rzeczą zbyt trudną oddawać się zwykłej pracy, gdy doznajemy wielkiego strapienia. A tymczasem właśnie-to trudność takowa, wszelkiemu naszemu obowiązkowemu zajęciu nadaje wtedy największe przed Bogiem zasługi. Wyobrażamy sobie że strapienie obdarza nas jakiemiś wyjątkowymi przywilejami, zapominając, że rzeczywistym przywilejem jakim zbogaca nas nieszczęście, jest-to, żebyśmy szczególnych, a niedostępnych inną drogą łask dostąpili. Te zaś otrzymują się wtedy tylko, gdy naszą boleść znosimy z niezachwianym spokojem, skutkiem którego nie stanie ona nigdy na przeszkodzie do spełniania naszych zwykłych powinności. Dobro rodziny naszej albo zgromadzenia do którego należymy, i wreszcie całego społeczeństwa którego jesteśmy członkami, nie powinno najmniejszego ponosić uszczerbku z powodu naszego strapienia; i wśród chociażby największego osobistego nieszczęścia, nie godzi się nam zapominać o tem. A tymczasem, miłość własna przywodzi nas do tego, żebyśmy będąc w strapieniu, sobą tylko się zajmowali, jakby już wtedy nikogo więcej nie było na świecie, i jakbyśmy już względem drugich żadnych nie mieli obowiązków.

Gdy cierpimy, miliony innych osób w tejże chwili cierpi, a może i bardziej od nas, lecz pomimo tego trzeba żeby wszystko szło swoim trybem, i żeby każdy na posterunku wyznaczonym mu przez najwyższą, najmądrzejszą i najmiłościwszą Opatrzność, swoje obowiązki spełniał jak najwierniej. Nieszczęście, które nas dotknęło, jest cząsteczką większą lub mniejszą tej ogromnej masy nieszczęść, cierpień i strapień, które ciężą, wskutek grzechu pierworodnego, na całym rodzie ludzkim, bo jest to droga, którą każda dusza najprędzej zdąża do Boga. Stąd cierpienie, obok innych warunków życia ludzkiego na ziemi, nietylko nie jest tamą na drodze po której iść powinniśmy, lecz jest na niej ułatwieniem i pomocą. Nie jest zatrzymywaniem się w pochodzie ludzkości do nieba, lecz przeciwnie, przyspieszaniem kroku na tej drodze, a więc nietylko nie jest czemś upoważniającem nas do gnuśnej bezczynności, lecz przeciwnie pobudzać nas powinno do tem czynniejszych wysileń z naszej strony.

Gdy jesteśmy w wielkiem strapieniu, obchodzimy się zwykle z duszą naszą, jak obchodzić się powinniśmy z bardzo chorym, przy którym obsługa nam została zwierzona. Takiemu choremu dogadzamy ile możności we wszystkiem, strzeżemy go od wszelkich zewnętrznych niemiłych wrażeń; staramy się go ciągle rozrywać, uwalniamy go od wszelkich obowiązków. I podobnież chcemy postępować z duszą naszą, gdy ona wielkim dotknięta zostaje smutkiem. A zapominamy, że strapienie, nieszczęście, cierpienie, dla duszy wcale nie jest chorobą, lecz owszem jest to wszystko czemś najbardziej ją orzeźwiającem, pokrzepiającem i często jedynym środkiem jej uzdrowienia, jeśli chora, lub uchronienia od słabości, jeśli zdrowa. Wprawdzie, w cza-

sie gdy się jest pod ciężarem bardzo ciężkiego jakiego krzyża, gdy się doznaje wielkiego nieszczęścia, grzechy opuszczenia łatwiej jak w innej porze przebacza nam Pan Bóg; wszelako ileż-to najpiękniejszych klejnotów wyrywają one z korony przeznaczonej przez Boga dla duszy, która wśród najcięższych osobistych strapień, swoje obowiązki względem drugich, bądź co bądź jak najwierniej stara się dopełniać.

Strapienie, nieszczęście, boleść, i wszelkiego rodzaju cierpienie, jest świątynią, byle w niej miłość własna nie zapanowała wyłącznie. Samolubność-to bowiem znieważa i zbezczeszcza błogosławiony przybytek cierpienia, w którym Pan Bóg chce w sposób szczególny, wyraźniejszy i najmiłościwszy, zamieszkać w duszy. Jeżeli strapienie nie stanie się dla nas żyznem polem do dostąpienia na niem łask najobfitszych i największych zasług, tedy będzie polem obfitych a gorzkich owoców rozpieszczonej miłości własnej. I dlatego, jakże smutny obraz przedstawiają na sobie osoby rozczczulające się nad sobą i sobą tylko zajęte w doznanem strapieniu! Poczytują się za punkt środkowy, około którego wszystko w ich stosunkach z ludźmi obracać się powinno. Wszystko ma ustępować przed ich strapieniem. A stąd na nic względu nie mają: chciałyby żeby z tego powodu w całym domu, w rodzinie, w zgromadzeniu jeśli do jakiego należą, w zajęciach ich urzędu jeśli jaki piastują — żeby w tem wszystkiem nie zachowywano zwykłego porządku, a przedewszystkiem niemi się tylko zajęto. Stają się ciężarem dla osób z któremi żyją, wszelką pracę na drugich zwalają, są w każdem zetknięciu się tak kwaśni, niemili, oburkliwi, że wielką przykrością jest zbliżyć się wtedy do nich. Z każdej usługi drugich są niezadowoleni; sądzą że z powodu swego strapienia, mają prawo do naj-

szczególniejszych i to we wszystkiem względów; a nawet oznaki współczucia przyjmują jak rzeczy które ich nudzą i drażnią. Gdy nad cierpieniem panować nie chcemy, gdy się mu z miękkością poddajemy, wszystkie w nas najrozmaitsze wady — chociażby były przedtem już silnie przytłumione — występują na wierzch, jak brudne męty osiadłe u spodu naczynia z wodą która się ustała, a które ją zanieczyszczają, byle naczynie poruszyć.

Wprost zaś przeciwnie dzieje się z duszą, która doznając strapienia, nie poddaje się takowemu, i widząc w niem szczególnego nad sobą miłosierdzia Boskiego zamiary, znosi je spokojnie, cierpliwie, z wniesionem ciągle sercem do nieba. Doskonały chrześcijanin, gdy jest w nieszczęściu, z wdzięcznością przyjmuje wszelkie oznaki współczucia, od nikogo ich wszakże nie wymagając jako mu należne. Bardziej niżeli kiedy czuje on wtedy, że na nic takiego nie zasługuje, i bardziej go dziwią jak cieszą dowody miłości jakie odbiera. Chociażby najsilniej znękany, o drugich nie zapomina, a obowiązki swoje — skoro cierpienie fizyczne nie stawia go w wyraźnej niemożności ich wykonywania, — dopełnia jeszcze dokładniej jak zwykle, nadając wtedy każdej swej sprawie ten rodzaj jakby świętego namaszczenia, które w istocie cechuje czynności osoby bardzo zbolałej, lecz pomimo tego nad boleścią swoją święcie panującej. Co więcej: kto cierpi z niezachwianą cierpliwością, ten sam srodze zbolały, lepiej jednak aniżeli kto inny pocieszać umie drugich gdy ich widzi cierpiących, i tak im krzyże nieść dopomaga, jakby ten który sam dźwiga nie był od tamtych daleko cięższym. Gorzkie łzy ma w oczach albo tylko w sercu, a słodki uśmiech na ustach dla wszystkich; w głosie nawet jego jest coś tak uroczo a spokojnie smętnego i poruszają-

cego, że w każdem zetknięciu się z drugimi, milszym się okazuje, łagodniejszym, przychylniejszym, jak kiedykolwiek indziej. Boleść, chociażby największa, w Świętych, dla nikogo przykrą nie bywa; bo wyraźniej jak kiedy objawia ich świętość, a to jej rozpromienienie wówczas, zamienia się na najskuteczniejsze z ich strony apostolstwo. Nic skuteczniej nie pobudza nas do cierpliwego znoszenia naszych krzyżów, jak widok świętej jakiej duszy, wielkie cierpienie znoszącej z niezachwianym spokojem wewnętrznym i niezachwianą cierpliwością. A gdy takim apostołem znoszenia cierpień, jak je znosić powinniśmy, jest każdy Święty gdy doznaje jakowego strapienia, jakimże Apostołem, jakim nauczycielem tej cnoty jest nasza przenajdroższa Matka, gdy Jej Boleści rozważamy.

Od Niej też uczyć się powinniśmy i tego, żeby gdy cierpimy, nie ubiegać się o współczucie drugich, a nawet takowego nie pragnąć. Jeśli je zdobędziemy własnemi wymaganiami, jakiejże będzie wartości, gdy cała jego cena zawisła od tego, żeby było samoistnem. Traci bowiem współczucie całą swoją własność pocieszającą, gdy jest jakby wytargowane. Chociaż ściśle mówiąc, czuć w strapieniu potrzebę współczucia, nie jest czemś nagannem, gdyż nie rozbieramy tu tego pod względem godziwości lub niegodziwości, lecz mówimy o tem co jest warunkiem wyższej doskonałości, co milszem jest Bogu, a więc co strapienie nasze najbardziej uświęca. Im więcej doznajemy pociech od ludzi, tem mniej udzieli ich nam Pan Bóg: jest to prawidłem niezmiennem. Panu Bogu najmilszemi są dusze opuszczone, i takie On raczy nawiedzać i starczyć im w trójnasób za największe pociechy świata całego. Drogo też okupujemy każdą pociechę ludzką, bo się przez nią pozba-

wiamy pociech Boskich, a czyż pomiędzy niemi wybór trudny? Ileż-to zasług straciliśmy, ileż łask przygotowanych dla nas zmarnowaliśmy, ulegając w czasach strapienia, potrzebie doznawania współczucia drugich i szukając w tem pociechy!

Takie więc nauki tyczące się zachowania naszego w wszelkiego rodzaju strapieniach i cierpieniach, daje nam Marya i w tej szóstej Swojej Boleści. I są to nauki, do których w istocie nie przychodzi nam łatwo stosować się wiernie. Umieć cierpieć jest, wyjąwszy rzadko napotykające się szczególne do tego usposobienie, rzeczą arcy-trudną, i mało kto tej nauki nabywa. Lecz to darmo; nie możemy wymagać żeby to czego nas uczy Marya było czemś łatwem, a zwłaszcza gdy uczy tego z samego już szczytu Kalwaryi. Wszelako *wszystko możemy w Tym który nas wzmacnia* *): to jest za łaską Jezusa wyjednaną nam prośbami Maryi. Rozważając więc serdecznie Jej Boleści, prośmy Ją przez też Jej wielkie cierpienia, żeby nam wyjednywać raczyła łaskę znoszenia naszych jak najświęciej, a bądźmy pewni, że nam tego nigdy i w najcięższych naszych przejściach nie odmówi.

*) 1. Kor. 2. 6.

ROZDZIAŁ VIII.

Siódma Boleść.

ZŁOŻENIE JEZUSA DO GROBU.

§. I. Szczegóły tej tajemnicy.

Zmierzch wieczorny zaczynał otaczać Przenajświętszą Matkę, siedzącą u stóp krzyża i trzymającą na kolanach owiniętą głowę Swego nieżywego Syna. Cała natura, przygnębioną była okropnością wypadków zaszłych w dniu tym mającym się ku schyłkowi. Ziemia jeszcze nie odetchnęła po trzęsieniu, które w niej w wielu miejscach głębokich rozpadlin pozostawiło ślady. Zwierzęta przerażone zaćmieniem słońca, biorąc je za cienie nocne, szukały schronienia po zwykłych swoich kryjówkach; ptactwo spłoszone, rozsiadło się po gałęziach drzew tuląc się pod najgęstsze liście, a wszelkiego rodzaju płazy powsuwały się w swoje nory.

A ludzie? i ludzie z sił nareszcie opadli, spracowani spełnieniem najstraszniejszej zbrodni, jaką widzieć mogła ziemia, i dogodzeniem najnikczemniejszym swoim namiętnościom. Mała zaś liczba wiernych, składających wówczas Kościół Chrystusowy, przejęta najwyższym

smutkiem, trwogą, zgrozą, a niektórzy nawet i małodusznem zwątpieniem, po mieszkaniach się kryła.

Lecz nakoniec i noc zapadała, a w mieście, z którego dotąd i na Kalwaryę dochodziła wrzawa, wszystko uciszać się zaczynało W sercu Maryi także panowała straszna cisza, i noc także, ale noc, od Jej niezachwianego poddawania się woli Najwyższego, złocistsza od słońca, które po przyświecaniu dniu najokropniejszemu jaki kiedy jaśniał — jakby pospieszniej jak zwykle zeszło na spoczynek, kryjąc się za widnokręgiem niebieskim. A i Marya odpoczywa na chwilę, ale na to tylko, żeby znaleść się gotową na przeniesienie siódmej i ostatniej Swojej Boleści.

Dziwne to wszakże miejsce, które wybrała Sobie Matka do wypoczynku! bo stopy krzyża, stopy tego strasznego rusztowania, na którem dopiero co, Syn Jej, w najokrutniejszych męczarniach w oczach Jej skonał, i które zlane jeszcze było Jego krwią przenajdroższą. A jednakże, na tem też to właśnie miejscu, u stóp to krzyża, podobnie jak Marya, od dziewiętnastu wieków, wszelkiego rodzaju nieszczęśliwi i strapieni, przychodzą wypoczywać i znachodzą spokój, jakiego cały już świat im dać nie może: *Pokój przechodzący wszelki zmysł*)*. Odkąd bowiem Jezus umarł na krzyżu, a Marya pod nim usiadła, jest to miejsce ze wszystkich miejsc na ziemi najbliższe nieba, i dlatego na niem największe cuda się dzieją. U stóp to krzyża osychają łzy, które zdawało się, że nigdy płynąć nie przestaną. Tam zrozpaczona wdowa, zaślubia niebieskiego Oblubieńca. Tam matka po stracie dziecka, najprędzej wyucza się jak utulić się w płaczu. Tam sierót zaraz ustają łkania,

*) Fil. 4. 7.

skoro się rzucą w objęcia Maryi, nowej swojej Matki. Tam tysiące serc przekonało się, jak dobrze jest mieć serce przeszyte, bo dopiero przez to przeszycie serca obaczyli oni Boga. Siedząc na szczycie Kalwaryi, a trzymając Jezusa nieżywego na kolanach, Marya jakby wyniosła na tron cierpienie, aby z niego ciągle pokazywać ludziom jakie do cierpienia przywiązane są błogosławieństwa niebieskie i nauczyć nas, że do tychże Jej rąk macierzyńskich, które zamordowanego Syna trzymały i do Jej serca morzem boleści wtedy zalanego, po te błogosławieństwa uciekać się powinniśmy. Nie dla Siebie więc to Samej lecz dla nas, usiadła była wtedy na tem miejscu i jakby na niem odpoczywała.

Lecz nadszedł był już czas zabrania się do pogrzebania ciała Pańskiego, i Marya z największym spokojem i skupieniem, zawezwała otaczających Ją uczniów Chrystusowych i święte niewiasty, do rozpoczęcia pochodu ku grobowcowi. Był tam Józef z Arymatei i Nikodem, Jan i Magdalena, kilka pobożnych niewiast przybyłych wtedy na Kalwaryę i kilku wiernych i zaufanych sług Józefa i Nikodema, a do nich przyłączył się i setnik nawrócony, który w chwili śmierci Zbawiciela wyznał Go Synem Boga. Być zaś może, że jak to niektórzy pisarze kościelni przypuszczają prócz tego i kilku Apostołów i innych uczniów Pańskich, pod wieczór znajdowało się już pod krzyżem.

Co kosztować musiało Maryę wydanie wtedy ciała Jezusowego z własnych rąk na których dotąd je tuliła, w ręce inne dla niesienia Go do grobu, tego nietylko wyrazić ale i wyobrazić sobie nie jesteśmy w stanie. Ale czas już był, żeby i co do tego spełniło się Pismo. Z najwyższym więc spokojem, chociaż z przeszytem niewymowną boleścią sercem, Marya ten

Swój skarb najdroższy, który trzyma na rękach i którego zazdrości Jej niebo, oddaje Uczniom Jezusowym. Lecz któż inny prócz Niej jednej miał rzeczywiste prawo dotykać to Boskie ciało? O! Matko przenajdroższa, bezwątpienia nikt inny prócz Ciebie nie był tego godnym, lecz Ty wiesz, że teraz każdy z nas już do tego szczęścia przypuszczony; wiesz, że ciało Jezusa Twojego stało się własnością ludzi; spadkobiercami po Tobie są i grzesznicy nawet, boś Ty Matką nas wszystkich. Jak niegdyś poganie ziemię nazywali matką, tak teraz Tyś naszą Matką daleko bardziej. Lecz gdyś niosła Jezusa do Świątyni, żeby Go zaofiarować Bogu Ojcu, na tę śmierć właśnie, którą tylko co poniósł; gdyś Ty Go zaniosła do Egiptu, żeby Go od śmierci grożącej Mu od Heroda uwolnić, na to żeby krzyżową poniósł, czyż i nie Ty nieść Go powinnaś do grobu? Nie, tak nie będzie, i Pan Bóg cudem dał Ci siły żebyś mogła wycierpieć to wszystko coś przebyła, lecz nie da Ci sił do dopełnienia tego, coby było dla Ciebie w tej tak strasznie smutnej dla Ciebie chwili, pociechą. Jest tam wprawdzie nie ten Józef, który Ci towarzyszył i do Świątyni i do Egiptu i pomagał nieść wtedy Jezusa, — lecz także Józef, który nie odstępował Cię w dwóch ostatnich Boleściach Twoich. On więc z Nikodemem nieść będą Boskie zwłoki Twego Syna, a Jan i Magdalena będą Je podtrzymywać.

Rozpoczął się tedy pogrzebowy pochód. Niema już nic, coby mu przeszkadzało: gwarny motłoch, który przez cały dzień ten snuł się po Kalwaryi, już się był zupełnie rozszedł: ustąpił jak gdy zburzone morze po wylewie, wraca do swych zwykłych granic. Cisza wielka panowała w około, a z przepełnionego ludnością miasta, nikt się tam nie pojawiał, bo w samem mieście był

wtedy niemały popłoch. I tam bowiem odbywał się pochód, a pochód przerażający mieszkańców i zmuszający ich kryć się z przestrachu po mieszkaniach. Bo też działo się tam wtedy coś nadzwyczaj strasznego! Trzęsienie ziemi poroztwierało groby, z których powychodzili zmarli oddawna, zapowiadając niejako wyjście wkrótce z grobu Pana Jezusa i powszechne ciał zmartwychwstanie na sąd ostateczny. Wielu świętych Starego Zakonu, różni zmarli oddawna z narodu Izraelskiego, przechodzili po ulicah miasta, od wielu byli widziani w postawach pełnych powagi i grozy. Dla jednych było to tylko powodem wielkiego przestrachu, dla drugich środkiem ich opamiętania i wkrótce nawrócenia się; dla wszystkich, wypadkiem przygnębiającym, jako objawiającym coś nadzwyczaj smutnego. Piekło zapaliło było w ciągu dnia tego wulkan w wyrodnym tym ludzie, a teraz wulkan ten przygasł i w wielu duszach tak gwałtownie rozburzonych panował wielki niepokój. Ze strony więc miasta, nie groziło nic coby smutnemu obrzędowi pogrzebu Pańskiego, mogło przeszkodzić. Nieszczęsne to miasto, mimo woli, w smutku, jak noc zapadająca czarnym, pogrążone było. Wydawało się, że trąby Tytusa już brzmiały w około jego murów, i że przezorne ucho już je słyszeć mogło. Biedna Jerozolimo! Pan Bóg cię oddawna umiłował, i miłował szczególnie, lecz niegodziwość twoja w dniu tym dokonana, dopełniła miarki twych złości; los twój już rozstrzygnięty i niezadługo kara cię dosięgnie. Bo oto w tej chwili, ze szczytu twej góry pokrytej już ciemnym zmierzchem, niosą do grobu ciało twego Króla przez ciebie nieuznanego i zamordowanego.

I jakież to niezbadane wyroki Boga dokonywają się w tej chwili! Jakież to proroctwa spełniają się

wtedy, unosząc się jak żałobne godła wśród nagromadzających się ciemności nocnych, nad pogrzebowym pochodem niosących ciało Jezusowe! Czyż taki miał być ostateczny wynik, takie następstwa stworzenia człowieka, a stworzenia go jedynie z miłości? Czyż do tego przyjść miało, że tylko maluczka liczba wiernych stworzeń, nieść będzie swego Stwórcę nieżywego, do grobu wykutego w skale, a Matka nieśmiertelnego Boga zamordowanego przez ludzi, dla których miłości stał się On człowiekiem, pochodowi pogrzebowemu przewodniczyć będzie! Aniołowie w głębokiem milczeniu, w zbitym szeregu otaczają Boskie zwłoki, przerażeni tajemnicą, na którą patrzeć muszą.

Zeszli już tedy z miejsca, na którem był grób Adama pierwszego człowieka, a miejsca, na którem i krzyż Pański był wzniesiony. Przez czas ten, dusza Jezusa, drugiego Adama zszedłszy już do otchłani poszła do pierwszego, uszczęśliwić go widzeniem Boga, gdy tymczasem Marya, druga Ewa, schodzi z miejsca gdzie był on pochowany. Kości i czaszki traconych na Kalwaryi złoczyńców, nieszczęsne oznaki grzechów ludzkich, sterczały po drodze, gdzieniegdzie tylko przykryte wyschłą trawą, lub przysypane piaskiem.

Następnie orszak wchodzi do ogrodu, do nowego Raju ziemskiego, ażeby w nim zasadzić Drzewo nierównie droższe i żyźniejsze od wszystkich drzew dawnego raju ziemskiego, droższego nawet od *Drzewa Żywota* *), a które miało za trzy dni zakwitnąć najcudowniej. Był to ogród, gdzie rosły winne macice, i gdzie oliwne drzewa obfitym swym owocem zaścielały ziemię. Lecz nowo przyniesione do niego Drzewo, miało

*) Przyp. 3. 13.

wydawać wino tak rozweselające serce człowieka, jak żadne inne, chociażby z najwyborniejszych winogron Engaddi wytłoczone. Miało ono wydać oliwę, jakiej żadne oliwne drzewo nigdy nie wydało, oliwę, która będzie zleczać wszelkie choroby duszy, i stanie się balsamem łagodzącym wszelkie boleści serca. Nie było na świecie całym kwiatu porównać się mogącego z uwiędłym kwiatem wnoszonym wtedy do tego ogrodu, kwiatu niewymownej piękności i woni, nieporównanej świetności, w jakiej miał rozwinąć się w Swojej wiośnie, gdy dwa razy zajdzie jeszcze słońce. Wchodzili tedy coraz dalej w ten ogród, przy łagodnem świetle marcowego księżyca, jakby przy świetle wymykającem się z serca Matki Bolesnej, przedziwnie piękny, chociaż smutny urok, na święte grono grzebiących Jezusa, rzucający.

Szli powoli i tak milczący, jak noc w biegu swoim zwolna ich ogarniająca. Gdyby byli śpiewali Psalmy, czujne miasto mogłoby było ich usłyszeć. Ale naprawdę czyż były jakie Psalmy, któreby wtedy właściwie śpiewać można było? Nawet Duchem-Świętym natchniona harfa Dawidowa, nie mogłaby wydać dźwięków dość smutnych do towarzyszenia takiemu pogrzebowi. Wśród całego tego grona, nikt słowa nie przemówił. Bo cóżby mógł powiedzieć? Wprawdzie *Usta mówią z obfitości serca* *); lecz bywają chwile, w których serce tak jest przepełnione, że na słowa zdobyć się nie może. Tak było z tymi, którzy stanowili ten orszak. Nigdy nie spadły na serca ludzkie grubsze cienie smutku od tych, jakie wtedy rozlały się na drodze wiodącej z Kalwaryi do grobu Pańskiego.

*) Mat. 12. 34.

Cieni tych już w samem sercu Maryi było tyle, że pokryć mogły nocą najposępniejszą wszystkie istniejące światy.

Cierpienie ludzkie nie jest bez granic, jednakże Boleści Maryi doszły były wtedy do ostatniej ich granicy i już stykały się z nieskończonością. Już teraz jedna była tylko z Jej strony ofiara, jaką uczynić mogła, i wtedy właśnie takową dopełniała. To zlodowaciałe ciało, te martwe zwłoki, które niesiono, były dla Niej więcej jak życiem, a oto miała się z niemi rozstać, miała wyrzec się ich posiadania, pogrzebać je w skale, żeby żołdactwo rzymskie straż nad niemi miało. Wtedy rzeczywiście miała Ona stanąć na najwyższym szczeblu ubóstwa Ewangelicznego, któremu Pan Bóg najwyższe nagrody przyrzekł. Przy Sobie zatrzyma już tylko to, od czego odłączyć się nie mogła, i od czego za nic odłączyćby się nie chciała chociażby i mogła, to jest serce zakrwawione, pogrążone w morzu takich smutków i boleści, jakich żadne inne serce ludzkie nie doznało, nie dozna i doznaćby nigdy, bez odniesienia od nich śmierci, nie mogło. Boleść Maryi była wtedy taka, że, powiada święty Amadeusz, gdyby ją rozdzielić pomiędzy wszystkich ludzi, każdy z nich od samej tej cząstki na niego przypadającej umrzećby musiał. Nawet ocenić tę Jej Boleść, zbadać ją dokładnie, przechodzi to możność najbystrzejszego rozumu i najbujniejszej wyobraźni. Jednakże przypatrzmy się temu bliżej.

Oto Przenajświętsza ta Niewiasta, jest ze wszystkich istot stworzonych, istotą najwyższą, przechodzącą w doskonałości, w świętości, wszystkich Aniołów nawet razem wziętych. Tron jaki Ją czeka w przybytku niebieskim, po tronie Boga, jest najwspanialszym i najprzecudowniejszym. Jej czystość, Jej nieskazitelność,

przewyższa nieskazitelność promieni słonecznych, a panowanie Jej rozciąga się na wszystkie światy. Wszystkie trzy Osoby Trójcy Przenajświętszej, oczekują z upragnieniem chwili, kiedy Ją ukoronują. Lecz teraz ma Ona zstąpić w najgłębsze otchłanie boleści, zmierzy na Sobie Samej wszelkie możliwe serca ludzkiego smutki i gorycze, a to w stopniu jak tylko być może najwyższym. Przebyła już Ona i przedtem takie męczeństwa, jakich przed Nią nikt nie doznał i po Niej nie dozna. We wszystkich przepaściach cierpień Męki Pańskiej, doszła była i Ona do samego ich dna, a więc do takiego rodzaju mąk, jakich żadna Teologia mistyczna nazwać nie umie, żaden umysł stworzony ogarnąć nie może. Boleści Jej przewyższyły pojęcia Aniołów nawet. Dokładnie zna je tylko Jezus i Ona Sama. Teraz zaś właśnie dochodzą one do ostatecznej swej granicy, stykającej się już z nieskończonością. Możliwość cierpienia jest podobną do przestrzeni: jak granice przestrzeni, chociaż wiemy że ma ona granice, pojąć nam trudno, tak nie sposób nam ogarnąć myślą wszystkie stopnie, do jakich może dojść cierpienie. A do tych to stopni już ostatecznych, zbliżała się Marya. Bo chociaż zdawałoby się, że już nic boleśniejszego dla Niej nie możnaby przypuszczać, nad patrzenie na ciało nieżywe Boga żywego, a Jej Syna, to jednakże czekała Ją boleść jeszcze cięższa. Czekało Ją rozłączenie się z tem ciałem i pozostanie na świecie tak osamotnioną i opuszczoną, jak nikt osamotnionym nie był i nie będzie nigdy.

Lecz oto orszak pogrzebowy przybył już do grobowca w ogrodzie, w tym nowym Raju ziemskim, nowego Adama. Grób był świeżo wykuty w skale, Józef z Arymatei przeznaczył go dla siebie, i żadne ludzkie

ciało nie spoczywało w nim dotąd. Wszystko zaś właściwie było urządzone i miało symboliczne, przenośne znaczenie. Grobowiec ten, w którym nikt jeszcze nie spoczywał, a będący własnością tego nowego Józefa, miał być dla Jezusa tem, czem niegdyś były ręce dawnego Józefa, gdy na nich spoczywał, kiedy mu Go niekiedy powierzała Marya. Lecz w owych dawnych czasach, nie przychodziło do takiego rozstawania się z Nim jak teraz.

Marya schodzi do grobu dla obejrzenia go, a jakby przez pamięć na Swego przeczystego Oblubieńca, teraz chce mieć przy Sobie Jego imiennika z Arymatei. Sama tam wszystko przygotowuje na złożenie Boskiego ciała i własnemi rękoma podtrzymując Przenajświętszą głowę, umieszcza je w grobowcu. Sama owija je w białe jak śnieg prześcieradło, jak niegdyś w takiejże białości owijała pieluszki, i zakłada stopę na stopę, tak jak przygwożdżone były na krzyżu. Lecz rąk znowu nie tyka, bo któż wie, może i w grobie zostały one rozwarte, wyrażając gotowość do przyjęcia w ich objęcia świata całego grzeszników. Biorąc także narzędzia Męki, całuje je, przyciska do serca i umieszcza w grobie. Nakoniec, mając już wyjść stamtąd, jeszcze schyla się do ciała, uklęka, podnosi z lekka płachtę osłaniającą twarz Zbawiciela, i może-to wtedy ostatnie już spojrzenie rzuca na Jego Przenajświętsze Boskie oblicze. O! jak musiał wydawać się Jej bladym, przy słabem świetle pochodni oświecającej wnętrze jaskini. Zamknięte ujrzała te oczy, które niedawno jednem spojrzeniem nawróciły Piotra; które na krzyżu wskazując Jej Jana za Syna, nas wszystkich oddały Jej za dzieci. Zamknięte były te usta, które jeszcze około południa wyrzekły były z krzyża te przedziwne siedm słów, których dźwięk

jeszcze brzmiał w macierzyńskich uszach Maryi. Potem raz jeszcze cześć oddała ciału, i spuszczając zwolna zasłonę na Boskie oblicze nieżywego Syna, ostatni raz popatrzała na Niego.

Było bezwątpienia i będzie dużo na świecie ostatnich spojrzeń, rozdzierających serce; wiele grobów zamykając się, zamknęło i zamknie w sobie miliony szczęść, pozostawiając w żyjących ledwie że nie mniej życia jak w tych których zwłoki przyjmują. Jednakże żadna boleść doznana i doznać się mogąca po stracie najdroższych istot, ani się zbliżała do Boleści doznanej wtedy przez Maryę. Jest to Boleść jedyna, i z żadną inną nawet Jej Boleścią dotąd przebytą porównać się nie mogąca: bo i Ten nad którym płakała i Ta, która wtedy stratę Jego opłakiwała, z nikim porównani być nie mogą. Być może, że w żadnej z Boleści Maryi nie było chwili, biorąc ją samą w sobie, tak skupiającej w sobie i tak wytężającej, tak potęgującej Jej cierpienia, jak chwila obecna. Stawała się Ona wdową tak osamotnioną, tak opuszczoną, jak nią żadna inna nie była i nie będzie; tak osieroconą, jak żadna inna sierota; Matką taką i takiego opłakującą syna, jak żadna matka ani ojciec najprzywiązańsi, tracący najdroższe im dziecię.

Widzieć się pozbawionym ojca i matki, pozostać wdową lub wdowcem, stracić dziecię, w którem całe nadzieje się złożyło — są to okropne ciosy! Lecz czemże to wszystko, w porównaniu z Boleścią Maryi, składającej do grobu Tego, który milion razy musiał być Jej droższym od najukochańszych rodziców, od najumiłowańszego oblubieńca, od najdroższego dziecięcia; składającej w grobie Syna, który był i Jej Bogiem, a więc którego mogła i musiała ubóstwiać, jak nikomu

kogo innego, chociażby najgodziwszą miłością ukochanego, ubóstwiać nie wolno. Widzieć się pozbawionym Boga! a czyż może już być większe nieszczęście, cięższa boleść dla każdej duszy wierzącej, a tem bardziej dla bardzo świątobliwej, cóż dopiero dla takiej jaką jest najświętsza z najświętszych dusza Maryi. Ujrzyć się pozbawionym Boga, to piekło. — O! to też ta siódma Boleść Przenajświętszej Matki, była boleścią cięższą nad wszelkie boleści możliwe.

Wszyscy obecni pogrzebowi, uklękli przy Przenajświętszem ciele i najgłębszą cześć mu oddali, a następnie z niewymownym żalem odeszli w milczeniu. Józef, jak się o tem dowiadujemy z Ewangelii świętego Mateusza, zasunął wielką płytą kamienną wejście do grobowca i także odszedł. Przenajświętsza Matka, Jan i Magdalena, idąc powoli, wrócili jeszcze na Kalwaryę. Marya pewnie bardzo potrzebowała wypoczynku, po dniu tak dla Niej ciężkim i po wzruszeniach doznanych dopiero co przy składaniu do grobu ciała Jezusowego. Lecz spoczynek daleki był jeszcze od Niej. Przeszytą tym już siódmym mieczem Swoich Boleści, czeka jeszcze bolesne przejście, zanim uda się do mieszkania świętego Jana przybranego Syna. Potem dopiero zażyje spokoju, to jest spokojnie cierpieć będzie od wieczora Wielko-Piątkowego aż do ranku niedzielnego, w którym nastąpi Zmartwychwstanie Pańskie.

Idąc tedy na Kalwaryę, nadchodzą na miejsce, na którem na samym szczycie góry sterczy jeszcze krzyż Pański. Można dobrze przypatrzeć się temu okrutnemu rusztowaniu, pomimo zapadłej nocy, gdyż zeszedł już księżyc, wprawdzie jeszcze bledszy zdaje się

jak zwykle, ale wtedy w pełni będący i tą pełnią wyobrażający pełność Boleści Maryi, której jest symbolicznym, przenośnym obrazem: *Piękna jako księżyc* *). Marya zatrzymuje się na chwilę i upadłszy na kolana oddaje cześć krzyżowi, krwią jeszcze nie zupełnie zakrzepłą pokrytemu. Całuje święte drzewo, jużto na znak pojednania się z tem narzędziem, chociaż i Jezusa i Jej Samej mąk narzędziem najokrutniejszem, lecz oraz i narzędziem największych miłosierdź Boskich jużto na znak czci i miłości Krwi przenajdroższej, wyszłej przed kilku godzinami z Boskiego ciała, które w grobie złożyła. To też gdy się podniosła, czerwone ślady tej Krwi Przenajświętszej na ustach Jej zostały, jakby krwawa pieczęć najwyższą miłością wyciśnięta przez Syna, o którym mówi Pismo święte: *Wargi Jego lilia, kapiące myrrą przednią* **), O! Matko najboleśniejsza! *Jako obwłoka granatu, tak policzki Twoje, oprócz tajemnic tego co się wewnątrz Ciebie kryje* ***); O! usta macierzyńskie, Synowską Krwią zafarbowane, z których niegdyś wyszła pieśń *Magnificat*, wasze milczenie teraz, jeszcze wymowniejszem jest przed Bogiem, od owego przecudnego hymnu.

Ale otóż Marya odchodzi od krzyża. Pod Nią rozciąga się zbrodnicze miasto, pokryte gęstą mgłą nocną, z poza której błyszczy gdzieniegdzie światło w oknach, i dochodzi szmer od ruchu nieśpiących jeszcze mieszkańców, morderców Zbawiciela. Lecz Marya im nie złorzeczy; gdy nawet patrzy na to wyrodne, niewdzięczne, Bogobójcze miasto, wzrok Jej żadnego do niego nie objawia żalu. Tylko niewymowny smutek, z innego

*) Pieśń 6. 9. **) Pieśń 5. 13. ***) Tamże 4. 5.

znowu powodu, zalewa Jej duszę. Zdało się Jej wtedy, że już widzi wojska Tytusowe oblegające mury i nieszczęsne matki zarzynające własne dzieci, żeby spożyciem ich ciał uratować się od głodowej śmierci. Wiedziała, że Pan Bóg od odwiecznie umiłowanego przez Niego Syonu, odwróci Swoje zagniewane oblicze i zaćmi się on i zachmurzy, jak obłoki na zachodzie, gdy słońce skryje się pod ziemię. — Srodze więc bolała nad Jerozolimą. Nie upłynął jeszcze tydzień od chwili w której Ten, którego tylko co pogrzebała, zatrzymując się przed murami tego grodu wybranego dla siebie przez Boga Abrahama, Izaaka i Jakóba, rzewnie płakał nad jego losem i wzywał go do pokuty. A od tej chwili, do jakiejże pokuty wziął się ten lud twardego serca? Niestety! ukrzyżował Tego, który nad niem łzy litości i miłości wylewał, Tego którego usta niewinne młodych dziatek Jerozolimskich witały śpiewem *Hosanna*. Marya wiedziała, że miasto to rozciągające się u Jej stóp, było potępione. A jednakże w Jej sercu zakrwawionem, było dość miejsca i na lud wybrany Jej ludem będący i na Jej Syna przez tenże lud zamordowanego. Po dziś dzień całe chmury wspomnień historycznych, unoszą się nad rozwalonemi świątyniami tego miasta występnego, a wejście do niego Maryi w owej nieszczęsnej nocy, jest po łzach wylanych nad niem przez Jezusa, jednem z najbardziej poruszających szczegółów z dziejów Jerozolimy. Żadne miejsce nie jest tak drogiem sercu każdego wiernego, jak to miasto dziś na wpół zasypane rozwaliskami, to miasto, które każdy z nas ujrzy niezawodnie w dniu ostatecznym, kiedy Bóg który padł ofiarą złości ludzi, przyjdzie ich sądzić na dolinie Jozafatowej, rozciągającej się tuż obok miejsca, na którem dopełnił Swojej ofiary.

Marya weszła tej nocy do miasta, przez tęż samą bramę, przez którą wyszła była z rana. Według ludzkiej rachuby czasu, tylko dziesięć godzin upłynęło było od owej chwili; lecz dla serca Maryi, w dziejach Jej Boleści, w szeregu odebranych łask i uczynionego postępu w Jej świątobliwości — stanowiło to epokę brzemienniejszą w największej wagi wypadki, aniżeli wszystkie długie lata upłynione od czasów Abrahama. Był to bowiem ten Piątek, który jeden z pomiędzy tylu, które przypadły od stworzenia świata i tylu jeszcze przypaść mających do jego końca nazywamy *Świętym*. Tak go zaś nazwał Kościół, żeby ile możności zatrzeć pamięć popełnionej w dniu tym największej jaka tylko być mogła zbrodni ludzkiej, a upamiętnić największe jakie tylko być mogło miłosierdzie Boskie wtedy dokonane. Lecz gdy takim był ten dzień największy, ten iście *WIELKI PIĄTEK*, ten dzień Męki i Śmierci krzyżowej Syna Bożego czem-że być musiał on dla Maryi, przypuszczonej jak tylko istota stworzona przypuszczoną być mogła do współuczestniczenia w cierpieniach Jezusa, i oto w końcu własnemi macierzyńskiemi rękoma, składającej Jego ciało w grobie.

Żeby chociaż w małej cząstce zrozumieć, co przenajdroższa Matka nasza miała wtedy do przeniesienia, trzeba nam zwrócić uwagę na niektóre okoliczności. Niewymowne smutki zalewając morzem goryczy Jej niepokalaną duszę, tak musiały oddziaływać i na Jej stan fizyczny, że pomimo iż całą dobę bez żadnego pozostawała posiłku, potrzeby jego nie czuła wcale. Nie mniej jednak już sama czczość tak długa, osłabiła Ją bardzo. Snu nie zażyła ani na chwilę przez cały czas ten, bo całą noc z Wielkiego-Czwartku na Wielki-Piątek oka nie zmrużyła, i pewnie to samo czekało Ją

i w nocy nadchodzącej. Prócz tego, przeszłe dwadzieścia cztery godzin, zapełnione były wypadkami najwyższej doniosłości, najprzedziwniejszemi, niezrównanej okropności, grozy i niesłychanego okrucieństwa, a wszystko to dopełniało się na Osobie Syna Bożego, który razem i Jej był Synem. Przez cały czas ten, dusza Jej przebyła męki najcięższe, jakie tylko wyobrazić sobie można. A i ciało Jej strudzone było nadzwyczajnie, bo ciągle była na nogach, i pod krzyżem więcej jak trzy godziny stała nieporuszenie na jednem miejscu. Nakoniec obecność Jej na pogrzebie Jezusa i złożenie Go Jej własnemi rękoma w grobie, do reszty siły Jej fizyczne wyczerpało. I w takim to stanie, z duszą tak srodze wymęczoną, z ciałem tak niezmiernie strudzonem, z sercem już wszystkiemi siedmiu mieczami przeszytem, z wyobraźnią przepełnioną okropnościami w dniu tym zaszłemi, Marya wchodzi w bramę Jerozolimy, gdzie nowe i znowu srodze rozdzierające serce Matki, czekają Ją wzruszenia.

Marya rozpoczyna na nowo Drogę krzyżową odbytą z rana, tylko że odbywa ją odwrotnie, poczynając od ostatniej Stacyi, a kończąc na pierwszej. Wolnym krokiem przebywa te wszystkie miejsca, na których coś ważniejszego zaszło z Panem Jezusem wiedzionym na Kalwaryę. Najmniejszy z tych szczegółów nie wyszedł tego wieczoru z Jej pamięci, jak z rana nie uszedł był Jej pilnej uwagi. W lekkim powiewie nocnym, zdawało się Jej że słyszy boleśne westchnienia i stękania Jezusa. Prześliczne oblicze Jego znękane, krwią i potem okryte, okazywało się Jej wśród ciemności, które Ją otaczały. Tu oto upadł On na ziemię pod ciężarem krzyża, a nogi Maryi drgały stąpając po

tych miejscach. Wiedziała, że szła po drodze zroszonej krwią Jezusową, chociaż noc nie dozwala Jej dojrzeć jej śladów czerwonych. Tu Cyrenejczyk pomógł Mu krzyż dźwigać. Tu Jezus wyrzekł owe pamiętne słowa tak smutne, a oraz i groźne do niewiast Jerozolimskich, rozrzewnionych na widok okrucieństwa jakiego się na Nim dopuszczano. Tu pozostawił wizerunek Swego Boskiego Oblicza, na chuście którą Weronika otarła była twarz Jego. Tu był ten róg ulicy przy której spotkała Jezusa. Zdało się Jej że wieki od tej pory upłynęły, bo tyle i tak niezmiernej wagi zaszło było odtąd wypadków, a jednakże czuła jeszcze Boskie spojrzenie Syna na Nią zwrócone, a przejmujące Ją ogniem miłości, zadającym Jej macierzyńskiemu sercu najsroższą mękę. Tu był ten przedsionek pałacu Piłatowego w którym Go żołdactwo rozpasane cierniem koronowało, a obok słup kamienny, przy którym Go biczowali. Czem zlany był i okrutny słup ten i w około niego ziemia, Marya dobrze wiedziała, i tego przed oczyma Jej duszy i najciemniejsza noc zasłonićby nie mogła. Dalej były schody sali Piłatowej, Wielko-rządcy rzymskiego, tej sali sądowej, z której ganku, z szyderską litością, ukazywany był Jezus rozwścieklonemu motłochowi. Pomimo panującej ciszy, dla Maryi, powietrze brzmiało tam jeszcze wrzaskami ludu, domagającego się wypuszczenia Barrabasza a ukrzyżowania Jezusa, i biorącego na siebie odpowiedzialność za rozlanie przenajdroższej krwi Jego. A Maryi serce zakrwawiło się na myśl, że w istocie Krew Zbawiciela ciążyć będzie odtąd na całym Jej narodzie i wszystkich jego następnych pokoleniach. O! cóż-to za pielgrzymkę odbywała wtedy Matka Bolesna, i cóż się z Nią dziać wtedy musiało!

Ciężka to zawsze chwila dla miłości, zwiedzać miejsca gdzie z powodu tejże, najwięcej się cierpiało. Tam-to, chociażby czas przymknął rany serca, rozbudza się trudna do przeniesienia boleść, boleść okrutna, chociaż taż miłość gonić nas za nią zmusza. Wtedy puszczają się łzy długo wstrzymywane. Mężczyźni najsilniejszego hartu, płaczą w takich razach jak najtkliwsze kobiety, i dobrze robią, że się łez takich nie wstydzą. Wtedy rany serca zasklepione cierpliwością, roztwierają się na nowo; i jakieś źródła goryczy przez czas długi ukryte, a których aniśmy się domyślali, — gwałtownie wytryskując, płyną, i żółcią zalewają dusze. Wszystko zaś to przydarza się, chociażby z upływem czasu oswojenie się z boleścią, przytępiło jej ostrze, ale gdy wspomnienie o niej rozbudzone widokiem miejsca, gdzie się Jej doznało, na nowo wszystko rozżywia.

Lecz czem-że jest-to wszystko w porównaniu do powrotu Maryi na Drogę Krzyżową? Okropność zaszłych na tych miejscach tajemnic, niezmierna gwałtowność wzruszeń od nich doznawanych, serce przeszyte, rozdarte Tej, która ich doznała, Jej nadzwyczajne strudzenie i fizyczne wycieńczenie Jej ciała, i nakoniec żywość wspomnień tak świeżych, podnosiły Boleść doznaną wtedy przez Maryę, do stopnia z niczem porównać się nie dającego.

I w tak opłakanym to stanie, ujrzała Jerozolima w owej nocy Swoją nieuznaną przez Nią Królowę, udającą się pod ciężarem smutku wszelkie wyobrażenie przechodzącego, do mieszkania Janowego, mającego odtąd zastąpić Jej domek Nazareński. Tu, w miejscu Jezusa, synem Jej będzie ten Uczeń, który wprawdzie na piersiach Jego skłonił był głowę przy osta-

tniej wieczerzy, lecz który, jak się wyraża święty Augustyn, gdy Jezus był Synem Boga, był tylko synem Zebedeusza. Wchodzi tedy Marya do tego mieszkania i drzwi się za Nią zawarły. Jest więc u Siebie, ma więc przytułek. Przytułek! lecz czyż-to wyrażenie jest tu właściwem? Jest-to takim dla Niej przytułkiem, jakim byłby pierwszy lepszy krzak, napotkany w biegu łani przeszytej strzałą. Jakim-że przytułkiem dla Maryi może być miejsce, w którem niema Jezusa. Betleem było dla Niej przytułkiem, i cichy Nazaret także, jak również i odległe, cudzoziemskie i pogańskie miasto Heliopolis, i wierzchołek Kalwaryi i wnętrze grobu w ogrodzie, z którego niedawno wróciła. Te wszystkie miejsca, były dla Niej przytułkami, bo gdzie był Jezus tam stawał się On Jej przytułkiem. Lecz od chwili-to gdy odeszła od grobu, już na tej ziemi żadne miejsce nie mogło być dla Niej przytułkiem: pierwszy krok jaki uczyniła wychodząc z tego nowego Raju, był początkiem Jej wygnania na tej ziemi.

A prócz tego, czyż mieszkanie Jana, nie zawierało w sobie nic takiego, coby najsmutniejsze wspomnienia rozbudzać mogło, nowe boleści rozżywiając w Jej duszy i nowe rany, zadając sercu? Komuż tajno, że gdy się znajdujemy na miejscu, gdzieśmy stracili drogą osobę, wszystko co ją tam przypomina: sprzęty których używała, miejsce na którem siadywała, najdrobniejszej wagi przedmioty, które ją otaczały, nawet samo ich rozłożenie ręką nieboszczyka, wszystko to co jakby z opłakiwanej przez nas osoby jakąś jej cząstkę w sobie zawierało żywo stawia nam ją przed oczyma i odrębny a właściwy sobie rozbudza w nas smutek. Toż samo działo się z Maryą. W tem mieszkaniu, spędziła Ona trzy godziny Swojego konania, pod-

czas gdy Pan Jezus konał w Ogrojcu, i chociaż wtedy myślą tylko i wyobraźnią cała była w Ogrojcu, sam jednakże widok tej komnaty, w której przeszłej nocy Swoje męki Ogrojcowe przebyła, przypomniał Jej to wszystko co wtedy doznała. Stamtąd, po północy, wyszła była z Janem i Magdaleną, chcąc, gdy się dowiedziała że Jezusa przywiedziono do Wielkiego Kapłana, dostać się tam do Niego. Do tegoż mieszkania wróciła, gdy Jezusa wtrącono do więzienia. W tej komnacie spędziła na czuwaniu resztę takiej nocy, jaką żadna inna matka nie mogłaby przebyć bez postradania zmysłów, albo życia. A teraz do tejże komnaty wróciła opuszczona, osamotniona, zbolała, jak opuszczoną, osamotnioną i zbolałą żadna istota stworzona nie była i nie będzie.

Tam z Janem i Magdaleną, których milcząca obecność przydawała jeszcze nowego bodźca Jej smutkom, przebyła przez przeszło dwadzieścia cztery godzin. Przez przeciąg tego czasu, Boleść Jej pozostawała ciągle w swoim najwyższym, nadprzyrodzonym stopniu, w którym ani oswojenie się z nią, ani upływ czasu, nic złagodzić nie mogły. Nikt i nic, prócz Boga, nie mogło przynieść Jej ulgi, a na to czas jeszcze był nie nadszedł. Owszem, Boleść Jej wtedy doznawana, nietylko nie zmniejszała się, nietylko nie stała w jednej mierze, ale coraz się stawała cięższą. Jak wszystkich dzieł Boskich, tak Boleści tych rozmiary były w stopniu tak nadzwyczajnym, że tego ocenić, myślą ogarnąć, pojąć, ani nawet wyobrazić sobie nie jesteśmy w stanie. Straszna nawałnica najcięższych smutków, srożyła się w duszy Maryi, coraz gwałtowniej, chociaż bez błyskawic i grzmotów, bo tych nie dopuszczał Jej niezachwiany pokój wewnętrzny. Wszelako była to nawałnica, była to burza rzeczywista i okropna, potokami

goryczy zalewająca Jej niepokalaną duszę. Podtrzymywała ona bezustannie całą żywość, całą siłę, całą gwałtowność Boleści Maryi, żeby je jakby po całem Jej jestestwie rozlewać i ukrzepiać. Każda w Niej władza umysłowa miała swoją właściwą mękę. Rozum Jej cierpiał niezmiernie, bo czyjże kiedy rozum tak jak Jej rozum pojmował całą okropność tego wszystkiego co wtedy zaszło? Wyobraźnia na istne tortury Ją kładła. Pamięć przedstawiała wszystko co tylko mogło być najposępniejszego. Wola Jej uwiązywała Ją u koła mielącego na miazgę najżywsze, najtkliwsze, najświętsze Jej uczucia. Wszelako zawsze spokojna i mężna, bez cienia oburzenia albo narzekania, z nadludzką cierpliwością, mając się tylko biernie, cała zatopiona w Bogu, nie objawiała niczem na zewnątrz, ani nawet wyrazem oblicza, tego co się wewnątrz Niej działo, tych mąk strasznych, jakie przechodziła Jej dusza. Było to najzupełniejsze ogarnięcie całej Jej istoty najwyższą Boleścią, przemienienie się w Boleść, podobne do Przemienienia Pańskiego w chwałę, zaszłe na górze Tabor. Marya była wtedy uosobieniem Boleści!

§. II. Główne cechy siódmej Boleści Przenajświętszej Matki.

Takie to więc są tajemnice zawarte w siódmej Boleści przenajdroższej Matki naszej, albo raczej są to niektóre tylko rysy tej Boleści. Jeśli zaś trudnem było opowiadanie tego, jeszcze trudniejszem jest wyszczególnienie odrębnych cech, właściwych tej Boleści, a z pomiędzy których główną jest to, że była to ostatnia Boleść, co wiele znaczy. Kto pilnie rozpamiętywa

Boleści Przenajświętszej Panny, musi zauważyć, że jest w nich zarys Boski, jest plan przez Boga zasnuty, w którym odbywa się wszystko według najwyższych wyroków i rozporządzeń, w małej cząstce tylko słabemu pojęciu naszemu dostępnych. Staraliśmy się rozbierać je w pewnem porządku, który, zdawało się, że nam pojęcie tych wielkich tajemnic z życia Matki Bożej, ułatwićby powinien; pomimo tego jednakże, pojęcie takowe, ocenienie Boleści Maryi musi przechodzić naszą możność gdyż Boleści te były, bez żadnej wątpliwości, dziełem Boskiem zupełnie wyjątkowem. Kościół oddając im cześć odrębną, wyraźną, uroczystą i publiczną, uczy nas tego właśnie. Owoż, koniec tego dzieła Bożego, jak każdego dzieła doskonałego, godnym być powinien, odpowiednim jego początkowi; owszem, powinien być jakby streszczeniem wszystkich szczegółów swojej całości, być ukoronowaniem całego dzieła, przez podniesienie go do jego najwyższego szczytu. Jak w umiejętnie ułożonej muzyce, to co nazywają *finałem*, bywa najgłośniejszem, najsilniejszem, najświetniejszem i w swoim rodzaju najpiękniejszem — tak w każdem dziele doskonałem, a cóż dopiero Boskiem — koniec jego musi być jego koroną, jego uwieńczeniem, jego treściwym a najsilniejszym wyrazem. Stąd siódma Boleść, jakieby nie były jej właściwe, odrębniające ją od innych Boleści Maryi, cechy, musiała być jakby streszczeniem wszystkich poprzedzających, musiała być odpowiedniem dla nich, a więc najboleśniejszem zakończeniem. Widzieliśmy zaś czem były poprzednie Jej Boleści, miarkujmyż jaką być musiała ta z nich ostatnia.

Z tego wynika i to także, że siódma Boleść Przenajświętszej Panny, była cierpieniem, na które nazwy

właściwej nie mamy, i taką, że ją nie można umieścić w żadnym rzędzie cierpień ludzkich. Sama w sobie, stanowi ona osobny rodzaj męczeństwa. Gdybyśmy chcieli ją nazwać, określić, wyrazić, orzec, byłoby to czemś dowolnem, a zawsze nie odpowiednem, bo nic podobnego po za tajemnicą tej Boleści Maryi i Męki Pańskiej, nie napotykamy. Nie możemy ani wyrazić, ani nawet wyobrazić sobie czem jest cierpienie, jeśli ono przechodzi stopień, w którym istota stworzona może je przenieść bez postradania życia, a pomimo tego żyje, a to nie z powodu jakowej ulgi zmniejszającej cierpienie, lecz jedynie mocą wyraźnego cudu. I to widzieliśmy już i w poprzedzających Boleściach Maryi. Teraz podobnież, nie możemy ocenić cierpienia, które przeszło to wszystko czego człowiek doświadczać może i dosięgło już tych granic, po za któremi rozciąga się nieskończoność: doszło do najwyższej swojej możliwości. To tylko wiedzieć możemy, że Matka Boża do takiego stopnia cierpień doszła właśnie wtedy, gdy po oddaniu ostatecznie czci Przenajświętszemu ciału Jezusowemu złożonemu w grobie, musiała oddalić się od niego. O ile to naszem słabem pojęciem ogarnąć mogliśmy, widzieliśmy, że Jej trzecia Boleść, przy zgubieniu Jezusa w Świątyni, była największą ze sześciu poprzednich Boleści. Lecz siódma Boleść przewyższa nawet i trzecią, bo w Niej nietylko znikał z Jej oczu Jezus, lecz Go nieżywego własnemi rękoma złożyć musiała w grobie. Wszystko więc w siódmej Boleści, przedstawia się nam w stopniu jakby nieskończonym, nieograniczonym, i w końcu żadnem innem, właściwszem mianem nazwać jej nie możemy jak tem, że była to Siódma i ostatnia Boleść naszej przenajdroższej Matki.

Inną znowu odrębną cechą tej Boleści, a będącą w bezpośrednim związku z tem cośmy dotąd powiedzieli, jest, że była to boleść ogołocona z wszelkiej pociechy, nie doznająca ani najmniejszej ulgi. I to właściwie stanowiło największą gorycz tego rozburzonego morza cierpień zalewającego przeczystą duszę Maryi w ciągu tych dwudziestu czterech godzin, spędzonych wtedy w mieszkaniu świętego Jana. Cierpienie to niczem ukoić się nie mogło. Był to ich napływ, ich wezbranie, ich rozszamotanie się, które samo przez się nie mogło się uspokoić, i które wychodziło z warunków i z pod praw ktorym poddane jest każde chociażby najcięższe cierpienie ludzkie. Cierpienia te były cierpieniami nadprzyrodzonemi, nadludzkieni, a więc nic ludzkiego nie mogło przynieść w nich nietylko pociechy, ale ani najmniejszej ulgi; a tymczasem najwyższego Pocieszyciela Swego i Tego, który jedynie mógłby Ją był pocieszyć, Marya właśnie tylko co złożyła do grobu. W tej Boleści, już ludzie byli nieczynnymi, w niej, nie ich używał Pan Bóg za narzędzie do wykonania odwiecznych wyroków Swoich, lecz już Sam bez pośrednictwa stworzeń, z niezmiernej miłości Swojej ku ludziom i ku przenajdroższej Matce Swojej, dokończał Jej męczeństwa, ostatnią już przykładając do Jej najwyższego ostatecznego uświęcenia rękę. Nie ma już tu ani Symeona, zapowiadającego Miecze przeszyć mające serce Matki najboleśniejszej, ani Heroda, przed którym unosić trzeba było Bożą dziecinę do pogańskiego Egiptu, ani katów wiodących Jezusa na Kalwaryę, i na niej Go krzyżujących, ani setnika włócznią bok Mu przeszywającego. Nikogo z tych którzy w poprzednich Boleściach Maryi byli ich sprawcami już tu nie widać. Na ukoronowanie tych Boleści, na osta-

teczne ich dopełnienie, na zakończenie właściwe i odpowiednie ich sile i natężeniu, Sam już najwyższy, działać będzie bezpośrednio. Owoż, zwróćmyż uwagę na to, że gdy co Pan Bóg Sam przez się bezpośrednio działać raczy, to ma w sobie, moc, dosadność, pełność, nierównie większą od tego co się Mu podoba przez ludzi tylko spełniać.

Przenieśmy się myślą do tych strasznych otchłani, gdzie dusze nieszczęsnych potępieńców, pozostają w wiecznem rozłączeniu od Ojca Przedwiecznego. O! cóż to za okropna męka to ich życie, którego chociażby chcieli, pozbyć się nie mogą! A jednakże, uczucie sprawiedliwości, którego bądź co bądź pozbyć się nie są w stanie, przynosi jakby cień jakiejś ulgi, rodząc w ich umysłach, pomimo ich przyćmienia, przekonanie, że się to im słusznie należy. Marya zaś czuła się pogrążoną w otchłaniach najcięższych cierpień, i pozbawioną wszelkiej pociechy, chociaż zasługiwała na wszelkie pociechy niebieskie i miała do nich większe prawo jak wszyscy Aniołowie i wszystkie błogosławione duchy razem nawet wzięci. A stąd, cierpienia Jej tego rodzaju były takie, że nawet porównać się nie dają z mękami potępionych.

Prócz tego, w ogólności mówiąc, działania miłości Boga są nierównie silniejsze, i jeśli tak wyrazić się można są pod pewnym względem nierównie dosadniejsze, głębiej sięgające od spraw Jego sprawiedliwości. A stąd cierpienia bez pociechy, zesłane przez Boga z miłości Jego odwiecznej, muszą być jeszcze bardziej przejmującemi, silniejszemi, bardziej przenikającemi istotę którą dotykają, aniżeli cierpienia wyznaczone Jego najwyższą sprawiedliwością na wieczne karanie grzechu. Co więcej: przenajdroższa Krew Jezusowa, bądź co bądź, przygasza nieco gwałtowność płomieni pie-

kielnych; gdy tymczasem taż sama przenajdroższa Krew rozżarzała ogień miłości w sercu Maryi i czyniła go jeszcze gwałtowniejszym, a przez to i Jej Boleści, których miarą była Jej miłość Jezusa, wzmagała jeszcze bardziej. — W skutek więc tego, cierpienia nawet potępieńców w całej ich okropnej sile i srogości, nie mogą iść w porównanie z tą tajemnicą niesłychanej i pozbawionej wszelkiej ulgi i pociechy Boleści Maryi, będącej ostatnią próbą, ostatniem doświadczeniem, ostatniem udoskonaleniem, uświęceniem Jej duszy. Zdaje się też, że już chyba i Sam Pan Bóg nie miał innego jeszcze do tego środka, i że już jakby wszystkie do tego służące wyczerpał.

Lecz w niezgłębionych otchłaniach tej siódmej Boleści, są jeszcze inne, odrębne jej cechy, mniej wprawdzie ważne, na które jednakże uwagę zwrócić powinniśmy. Widzieliśmy że w szóstej Boleści, osamotnienie Maryi nie doszło jeszcze było do ostateczności, gdyż posiadała jeszcze Przenajświętsze ciało Pańskie. Lecz osamotnienie to stało się najzupełniejszem, gdy ciężki kamień zawarł wejście do grobu i gdy Matka Przenajświętsza wyszła z grodu, w którym pochowała Jezusa. A czem jest taka chwila, każdy z nas wie to dobrze z własnego doświadczenia.

Gdyśmy stracili ukochaną osobę, wydaje się niejako żeśmy jeszcze nie zupełnie się z nią rozstali, dopóki jej zwłoki nie wyniesione z domu. Dopóki nie będą one złożone w grobie, mówi się o nich jakby były jeszcze tą osobą którą opłakujemy. Dopóki nie wyniesione z domu, dom ten jeszcze się nam nie wydaje zupełnie pustym po ukochanym zmarłym, który w nim był dla nas wszystkiem. Owszem, gdy spoczywa

on na urządzonym katafalku, otoczony światłem, z wizerunkiem ukrzyżowanego Zbawiciela i obrazkiem Matki Bożej na trumnie, mieszkanie nasze zamienia się dla nas na świątynię pełną łez i smutku, ale jeszcze nie pustą. Prawda, że chwila w której te zwłoki wkładamy do trumny, jest już chwilą największej naszej żałoby; wszelako jeszcze nie jest to ostatniem rozstaniem się naszem ze zmarłym. A nawet nie jest tem, a przynajmniej nie czujemy jeszcze tego w całej sile, gdy składamy drogiego nam nieboszczyka w grobie i gdy po okadzeniu i pokropieniu jego ciała przez kapłana, słyszymy ponury łoskot ziemi rzuconej jego i obecnych rękoma na trumnę, a po nim zatrzaśnięcie otworu grobowego, tego jakby obrzęku wieczności. Cała boleść, cały żal, cały smutek ogarnia nas dopiero wtedy w całej swej sile, kiedy wracamy do domu z cmentarza, pozostawiwszy na nim ukochanego towarzysza albo towarzyszkę życia, albo dziecię w którem wszystkie nasze złożyliśmy byli nadzieje, lub ojca albo matkę, których kochaliśmy nad życie. Wtedy to dopiero dom nasz staje się dla nas pustym; wtedy dopiero czujemy się osamotnieni; wtedy wydaje się nam że trudno nam przyjdzie dźwigać dalej brzemię życia, albo nawet niepodobieństwem żyć jeszcze dłużej. Wszystko zaś to doznaje się w wyższym lub niższym stopniu, stosownie do przywiązania jakie się miało do osoby zmarłej i do tego o ile ona do miłości naszej miała prawa i była jej godną. Wyobraźmyż więc sobie, czem być musiał powrót od grobu Jezusa dla Maryi, czem Jej wejście do mieszkania w którem z Nim zwykle przebywała, w którem ostatnie za Jego pobytu na ziemi, chwile spędziła, i w którem się z Nią pożegnał gdy się na Mękę udawał!

W tej siódmej boleści zwraca naszą uwagę i ten szczegół także, a który i w szóstej widzieliśmy, że wiele tu okoliczności, przypominało Maryi tajemnice z dziecinnych lat Jezusa. Wspomnienia zaś te z dwóch powodów przydawały Jej wielkiej boleści, bo miały i podobieństwo pomiędzy przeszłością a teraźniejszością, ale oraz i najsprzeczniejszemi sobie były.

W chwili Zwiastowania, po wyrzeczeniu przez Przenajświętszą Pannę tych słów do Anioła: *Niech mi się stanie według słowa Twego* *), gdy w dziewiczem Jej łonie Słowo odwieczne stało się ciałem, zjednoczenie Jej z Jezusem było takie, jakiego żadna istota dostąpić nie mogła. A oto od chwili śmierci Jezusa, a zwłaszcza od zdjęcia Jego Boskiego ciała i oddania go Maryi, pomiędzy Nim a Matką zaszło inne znowu a przedziwne i szczególne zjednoczenie. Marya trzymająca na Swem łonie zwłoki Swego Syna, stanowiła jakby krucyfiks, jakby wizerunek ukrzyżowanego na którym ani Sam tylko Jezus był rozkrzyżowany, ani Sama tylko Marya, lecz była jedna żertwa z Ich obojga żyć Bogu zaofiarowana.

Następnie zamknięcie Jezusa w grobie, było dla Maryi obrazem dziewięciu miesięcy, w przeciągu których zamknięty był w Jej przeczystem łonie. Lecz wtedy gdy Go niosła w Sobie nawiedzając Elżbietę, z Przenajświętszych ust Jej wyszedł był wesoły hymn *Magnificat,* a teraz gdy Go niosła do grobu, usta Jej milczały, bo dusza najcięższym smutkiem była zalana.

Józef z Arymatei, przypominał Jej tego Józefa którego Ojciec przedwieczny wybrał był, z pomiędzy wszystkich ludzi, na ojca mniemanego Jego jednoro-

*) Łuk. 2. 4.

dzonego Syna. Lecz tamten już dawno spokojnie usnął na łonie Jezusa przenosząc się do wieczności, a Józef z Arymatei smutnie przypominał Jego w owych błogich czasach obecność, której Matka Przenajświętsza pozbawioną teraz była.

Gdy patrzała na złożenie Jezusa w grobie, i gdy otulała na Nim prześcieradło i chustą twarz przykrywała, Marya przypomniała Sobie kolebkę żłóbkową, w której Go owinąwszy w pieluszki złożyła była. Prawda że żłobek był twardy a sianko w nim kłujące, ależ nie był to grób, i złożone w nim Dzieciątko pełne było życia. Prawda, że i w żłóbku leżało Boże Dzieciątko bezwładne jak każde niemowle, ale pomimo tego rzeźwe i rozwijające się, a do grobu złożyła je obezwładnione śmiercią. Co w żłóbku było spoczynkiem pokrzepiającym siły dziecinne, to w grobie widziała w zesztywnieniu i zlodowaceniu nieżywego już ciała. W żłóbku milczenie Jezusa było dobrowolnem, a teraz chociaż także z woli Jego dopuszczone, było zaniemówieniem ust śmiercią zaciętych. W żłobku leżąc ciągle na Matkę Boskiemi oczkami Swojemi spoglądał, a czemże to było dla Maryi! — a z grobu już na Nią nie patrzy. W żłobku gdy usnął i te oczki miał zamknięte, wiedziała że przez cały czas ten myślał On o Niej, kochał Ją, cześć oddawał Bogu, i sam sen Jego był czemś przecudnie radującem Matkę. A w grobie serce Jezusowe, chociaż najgłębszej czci godne, jako będące nierozerwalnie połączone z Bóstwem — było zimne i bez czucia, i na zbliżenie się Matki nie bijące silniej jak to dawniej bywało.

Teraz podobnież tajemnica trzydniowego zniknięcia Jezusa przed Maryą w latach Jego dzieciństwa, miała tu swoje odbicie. Bo i w tej siódmej Boleści jak

w tamtej trzeciej, nieobecność - to Jezusa stanowiła Jej największą gorycz. A nawet i czas trwania tej nieobecności tenże sam w obydwóch tych razach: trzy dni szukała stroskana Matka zagubione Dzieciątko, trzy dni teraz upłynie, zanim złożywszy Syna w grobie, ujrzy Go zmartwychwstałego. A i zajęcia się Zbawiciela przez te obydwa razy trzydniowego zniknięcia przed Matką, były sobie podobne. W pierwszem nauczał On starych kapłanów i nauczycieli Swojego narodu, w drugiem obdarzał oglądaniem Swojej światłości zatrzymanych w otchłani Patryarchów i dawnych mistrzów ludu wybranego. Jak po zniknięciu Jezusa w Świątyni miała przy Sobie Marya Józefa, który Jej dopomagał w odszukiwaniu Boskiego chłopięcia, tak teraz był przy Niej drugi Józef, dopomagający do zdjęcia ciała z krzyża i złożenia go w grobie, a obaj przez Boga byli dla Niej wybrani i zesłani. To też trzecia Boleść Przenajświętszej Panny, była jakby zapowiednim obrazem, jakby proroctwem tej siódmej, a tak pod pewnym względem różniącym się od jego urzeczywistnienia, jak zwykle każde urzeczywistnienie, różni się swą siłą i dosadnością od tego co ją dopiero tylko zapowiada lub prorokuje.

Pomimo tego jednakże, zachodziła pomiędzy temi dwiema Boleściami wielka różnica i, bądź co bądź, pierwszej nad drugą dająca wyższość, co uznać musimy, nie zapominając nawet o wszystkich okropnościach tej ostatniej. W trzeciej Boleści, przy zgubieniu Jezusa w Świątyni, co największą mękę niepokalanej duszy przenajdroższej Matki naszej stanowiło, to ta z Jej niezrównanej pokory i ze szczególnego dopuszczenia Boskiego pochodząca obawa, czy nie z własnej winy postradała Jezusa. To zaś już teraz miejsca nie

miało. Tu już wszystko przy rozdzierającem Jej serce świetle całej Męki Pańskiej, miała Sobie wytłómaczone, i wiedziała że Jej rozstanie się z Jezusem w grobie złożonym, było naturalnem następstwem Jego śmierci, z miłości ku ludziom na krzyżu poniesionej. Cokolwiek bądź, te obydwie Boleści Maryi zestawione obok siebie, coraz lepiej objawiają nam do jakich głębin cierpień moralnych spodobało się Bogu Ją wprowadzić, a wszystko na to żeby Ją do niezrównanego szczytu świętości wynieść.

Lecz siódma Boleść ma prócz tego, swój jakby odrębny przywilej. Była ona bowiem dla Maryi, jakby doznaniem na Sobie całej okropności śmierci, całej okropności rozłączenia się duszy od ciała, będącej największą i główną karą grzechu, od której jako bez zmazy grzechu poczęta, i nigdy na Sobie go nie mająca, przy Swojej błogosławionej śmierci miała być wolną.

Zjednoczenie Bóstwa z człowieczeństwem w Panu Jezusie, było zawsze dla Maryi przedmiotem Jej najwyższego zachwytu i najgłębszego uwielbienia, jak było to dziełem Boskiem, które przenikliwa wiedza Aniołów najbardziej podziwia i z największą czcią wysławia. Połączenie ciała Pana Jezusa z Jego duszą, i połączenie tegoż ciała i tejże duszy z Jego osobą Boską będącą Słowem odwiecznem i drugą Osobą Trójcy Przenajświętszej, było dla Maryi najwznioślejszym obrazem, symbolem wszelkiego zjednoczenia, i tej jedności która całą rozmaitość stworzenia, przez Słowo Boże wcielone łączy i jednoczy ze Stwórcą. Tak jak w tajemnicy samej Trójcy Przenajświętszej, jej zjednoczenie, wydawało się Jej podobnem do onego potrójnego splecenia, które niczem nie daje się rozerwać: *Sznur*

potrójny nie łatwo się zerwie *). Teraz zaś w tej siódmej Boleści Przenajświętszej Panny, zaszło w tym potrójnym splocie ciała, duszy i Bóstwa Chrystusowego, jakby jakoweś rozerwanie, a sama myśl o tem, przejmowała Ją najboleśniejszem uczuciem i świętem przerażeniem. Wprawdzie, skoro raz przyjął na Siebie Syn Boży ciało ludzkie, już od tego ciała Bóstwo nigdy odłączyć się nie mogło. Lecz dusza mogła odłączyć się od ciała, i to właśnie wtedy miało miejsce, to wtedy było zaszło.

Prócz tego, takowe odłączanie się duszy od ciała, to jest śmierć, była to straszna tajemnica, którą sprawiedliwość najwyższa wynalazła i postanowiła jako główną i najcięższą karę za grzech. Cóż więc mogło być dla Maryi okropniejszego, bardziej Ją przerażającego, bardziej do głębi duszy zasmucającego, jak widzieć tę najstraszniejszą karę dopełniającą się nawet na osobie Pana Jezusa, Jej Syna a i Syna Boga! Dotąd nic podobnego nie było, bo nawet w chwili wcielenia się Słowa Bożego w przeczystem łonie Maryi, dusza Pana Jezusa ani na chwilę nie była odłączoną od Jego ciała. Albowiem w jednej i tejże samej chwili i dusza Jego i ciało Jego zostały stworzone, i w jednej i tejże samej chwili połączone z Bóstwem. Lecz to tak przecudne, a stanowiące najgłębszą tajemnicę naszej Boskiej religii, zjednoczenie zaszłe w dziewiczem łonie Maryi, teraz gdy złożyła Jezusa w grobie, było zerwane: dusza Jezusa od Jego ciała została rozłączoną. Istne więc konanie o jakie przyprawiło to niepokalane serce Matki Przenajświętszej, musiało być podobnem, musiało być czemś prawie takiem czem było samo wyjście z ciała Jezusowego Jego duszy, gdy zawołał: *Ojcze w rę-*

*) Ekles. 4. 12.

ce Twoje oddaję ducha Mojego *): było to jedną z tych tajemnic w Boleściach Maryi, które bardziej jak wszystkie inne, i ludzkie i Aniołów nawet przechodzą pojęcie.

Tak tedy ta siódma Boleść, była jakby ześrodkowaniem, w którem skupiały się wszystkie tajemnice trzydziestu trzech lat Maryi spędzonych z Jezusem. Betleem i Kalwarya, Nazaret i Jerozolima, lata dzieciństwa Pańskiego i Jego Męki, wszystko się to wtedy przypominało, żeby tem cięższą boleścią przeszywać serce strapionej Przenajświętszej Matki. Wszelka w Niej możliwość cierpienia była już wyczerpaną, ostatni Miecz z zapowiedzianych przez Symeona nawskróś już przeszył Jej serce.

Straszne skutki grzechu ludzkiego i konieczność zadośćuczynienia sprawiedliwości Boskiej odłączyły duszę Jezusa od Jego ciała, a że niczego więcej nie trzeba było do zamknięcia, do zakończenia sprawy zbawienia, więc i Męka Pańska coraz to cięższa, wtedy już się skończyła. Boleści Maryi podobnież ciągle dotąd wzrastały, okrutne w swojej rozmaitości, niezrównane w swojem natężeniu; lecz i dla Maryi to rozstanie się, to rozłączenie się z Jezusem w złożeniu Go do grobu, było już ostatnią Jej Boleścią. W piątej przy Ukrzyżowaniu, w chwili śmierci Jezusa, Marya rozłączoną została z Jego duszą, a po złożeniu Go w grobie, już i od Przenajświętszego ciała Boskiego odejść musiała. Stąd ostatnie to z Nim rozłączenie się, jest rozłączeniem się Jej z tem co Mu Sama dała, rozłączeniem się z ciałem będącem jakby Jej ciałem.

*) Mat. 26. 8.

Grzech tedy człowieka, i bądź co bądź nieprzebranego miłosierdzia sprawiedliwość Boska, rozłączyły Matkę od Syna, chociaż przez lat trzydzieści trzy zjednoczenie Ich było tak ścisłem jak żadne inne, prócz zjednoczenia Bóstwa z człowieczeństwem w Chrystusie Panu, i Marya po wszystkich Swoich Boleściach, w siódmej ujrzała się bez Jezusa. A czyż jeszcze dalej mogły dojść Jej Boleści?

O! czcigodny starcze Symeonie, jakże wiernie, a w jak okrutny sposób, spełniały się Twoje przepowiednie! Tyś, jak Sam to wyrażałeś, odszedłeś, z tego świata w *pokoju* *) ale Marya, której Miecze Jej Boleści zapowiedziałeś, teraz gdy ty weselisz się obecnością Jezusa w otchłani, Jego obecności pozbawiona! Jednakże pokój jakiego zażywasz w wieczności, nie jest większym od tego jakiego, już wszystkiemi siedmiu Mieczami przeszyte niepokalane serce Maryi, nie przestawało dochowywać niezachwianie, nawet i w tej siódmej Swojej Boleści.

§. III. Wewnętrzne usposobienie Przenajświętszej Matki, w Jej siódmej Boleści.

To też od powyższych szczegółów i głównych cech tej siódmej Boleści, przejdźmy, jak to w każdej czyniliśmy, do rozważania wewnętrznego usposobienia z jakiem ją przenajdroższa Matka nasza przeniosła.

Owoż, główną cechą niezrównanej świętości Przenajświętszej Panny, było jak najwierniejsze współdziałanie z łaską. Niemasz wątpliwości, że wszelka świą-

*) Łuk. 2. 6.

tobliwość, jest nie czem innem, jak w wyższym lub niższym stopniu wiernem współdziałaniem z odbieranemi łaskami. Lecz w ogólności wszyscy ludzie, a nawet i Święci, częstych dopuszczają się co do tego przewinień: wahają się, upadają i powstają, a przez to niedoskonale, nie dość wiernie odpowiadają łaskom. Własna wola chociażby nie przywodziła nas do ciężkiego grzechu, odwraca łaskę od jej właściwego kierunku, i działaniu w nas Boskiemu nadaje cechę sobie właściwą. Przytem grzechy przeszłe, chociażby już szczerze odpokutowane, pozostawiają swoje ślady, w duszy nawet już uświątobliwionej. A także usposobienie naturalne i naturalne skłonności, stanowiące odrębny charakter każdego, odgrywają w tem wielką rolę. A stąd w ogólności, w świętości każdego Świętego jest zawsze coś ludzkiego, coś jemu odrębnie właściwego, w czem, bądź co bądź, przebija się jego naturalne usposobienie, i przez co rozróżniamy jednego Świętego od drugiego. Pochodzi to z tego, że ich świętość nie jest bezpośredniem dziełem łaski, nie będąc ich niezwłocznem współdziałaniem z łaską, lecz jest wynikiem różnych walk, pokus, zboczeń, wysileń, a niekiedy i smutnych upadków. Świętość ich jest dziełem Boskiem, lecz do którego ciągle przyplątuje się żywioł ludzki, co jednakże nie odejmuje ich duszy piękna, które w nich podziwiamy. Lecz świętość Przenajświętszej Panny była zupełnie innego rodzaju. Było to przemienianie się łaski w świętość, a przemienianie się bez walk, bez przeszkód, bez żadnych domieszek ludzkiego pierwiastku i dopełniające się doskonale, bez zwłoki, jak tylko nowa łaska przybywała. Stąd świętość Maryi jest dziełem całkiem Boskiem, tylko podtrzymywanem niezachwianą wolą ludzką. Grzech nie pozostawił

tam najmniejszych śladów; nie było tam ani cienia jakowego upadku; nie było walk, a tylko przecudna jednostajność w spokojnem lecz oraz i najwierniejszem współdziałaniu z odbieranemi łaskami, wydającemi najobfitsze, najbujniejsze i najprześliczniejsze jakie tylko być mogą plony na tem najżyźniejszem jakie kiedy było i będzie polu. Czyste złoto tej świętości jest bez żadnej przymieszki, i o ile to ograniczone nasze pojęcie objąć może, świętość Maryi mało posiada cech osobistych, cech od naturalnych usposobień pochodzących. Nie żeby Marya nie posiadała takowych stanowiących odrębny charakter każdego, gdyż bez wątpienia posiadała Ona odrębność charakteru bardzo wyrazistą, lecz ta Jej odrębność tak wysokiej była doskonałości, tak zbliżona z doskonałością Boga, że nam jej dojrzyć niepodobna. Ta Jej odrębność sięga światłości w którą oko nasze bez olśnienia wpatrywać się nie może, tak jak nie moglibyśmy zatrzymać oczu nad gwiazdą, która tuż obok tarczy słonecznej umieszczonąby była. I ta to odrębna cecha świętości Maryi odróżnia Ją od wszystkich innych największych Świętych, i wywyższa nad nich w stopniu jakby nieskończonym.

Jedna łaska Boska jest rzeczą przecudną, a wartością swoją przechodzi wszystkie skarby ziemskie. Wszak naprzykład, powszechnie przyjętem jest to przez mistrzów życia wewnętrznego zdaniem, że łaska przywiązana do Komunii świętej, dostateczną jest żeby raz tylko Jej dostąpiwszy, zostać Świętym. Doświadczenie uczy nas, że nawet w łaskach zwyczajnych, w łaskach jeżeli tak wyrazić się można, najpospolitszych nabywa dusza niekiedy nadzwyczajnej siły do zapanowania nad sobą, lub do cierpliwego zniesienia ciężkich jakich cier-

pień. Wydarza się często, że jedna łaska z którą wiernie się współdziałało, staje się źródłem ledwie że nie cudów w życiu naszem wewnętrznem, i że od niej zawisła była cała nasza przyszłość wieczna. Tymczasem, Święci nawet, zaledwie z jedną tysiączną cząstką udzielanych im łask wiernie współdziałają, a cóż dopiero my do rzędu dusz pospolitych należący! Nędza nasza, wskutek grzechu pierworodnego, jest tak wielką, że nigdy nie jesteśmy w stanie godnie co do tego odpowiedzieć hojności i wspaniałomyślności Boskiej. Lecz łaska z którą współdziałamy, sprowadza niezawodnie i niezwłocznie drugą, a ta znowu inną i tak ciągle, wskutek czego łaski te stanowią szereg jakby końca niemający, a bezustannie zwiększający się co do ich liczby, rozmaitości, stopnia i skuteczności. To też taki niepowstrzymany pęd możliwego postępu naszego w doskonałości, w świętości, jest dla nas czemś przerażającem. Gdy bowiem z jednej strony zastanawiamy się do jakiego stopnia uświątobliwienia dojść moglibyśmy, a z drugiej gdy widzimy do jakiego w istocie doszliśmy, i wstyd nas i przestrach ogarnia. Nasze nie dość wierne współdziałanie z łaską, ciągle tamuje dokonanie w nas dzieła Bożego; co krok to powstrzymujemy hojność Boga w udzielaniu nam darów Ducha-Świętego. Marnujemy, kalamy, osłabiamy łaski nam udzielane, nawet gdy je spożytkowujemy, albo przez wahanie się i jakby targowanie się z niemi, ogołacamy je z tej świeżości i woni niebieskiej, które im nadają odrębne własności i odrębną siłę. A stąd wskutek naszego oporu stawianego łasce, działanie jej w duszach naszych, jest podobne do człowieka pełnego wzniosłych i pięknych myśli, lecz nieposiadającego daru wymowy i niemogącego wyrazić je inaczej jak z jąkaniem

się, w wielkiej mierze pozbawiającem je ich piękności. Pan Bóg w wyrokach nieograniczonej mądrości i dobroci Swojej, obdarzając człowieka wolną wolą, musi dopuszczać żeby Jego działanie w duszy przez łaskę, nie niszczyło tej wolnej woli i z nią się niejako ciągle rachowało. W każdym więc razie, działanie łaski nie wydaje w duszach ludzkich wszystkich owoców jakieby wydać mogło, i dzieło to Boskie, zawsze nie bywa tak doskonałem jakiemby było, gdybyśmy z naszej strony nie stawiali mu niemal ciągłych przeszkód.

Lecz w duszy Maryi, łaska żadnego zgoła nie napotykała oporu: rozwijała się tam, rosła, pomnażała się, urozmaicała, nabierała coraz wyższego stopnia, siły i piękna w całej swej wspaniałości, bo bez najmniejszej przeszkody. Marya współdziałała z każdą łaską jak najwierniej i jak tylko być może najniezwłoczniej. Stąd, łaski przez Nią odbierane były bez liczby; przechodziły wszelkie ich obrachowanie, a pomimo takiej ich mnogości, każdej z nich odpowiadała Ona najwytrwalej. Każda więc chwila Jej życia błogosławionego, sprowadzała na Jej duszę coraz to nowe zasiewy łask, wnet nowe a najbujniejsze plony wydające, żeby z nich następne bez przerwy powstawały. Dnie po dniach upływały jedne po drugich, a z nimi i lata, i działanie łaski Boskiej z nieustannem współdziałaniem z nią Maryi, doprowadzały te łaski do ilości, żadnym rozumem ani ludzkim ani anielskim objąć się nie mogącej. Przytem, wszystkie wypadki Jej życia, czyniły Ją uczestniczką najświętszych i najwyższych tajemnic religijnych, z których każda, już sama z siebie, była niezgłębioną przepaścią łask uświęcających. Poczęta z cudownym a Jej tylko jednej udzielonym przywilejem niepokalaności, staje się Matką nie przestając być Dziewicą, i do

przeczystego łona Swego przyjmuje, za sprawą Ducha-Świętego, Słowo odwieczne, drugą osobę Trójcy Przenajświętszej, Syna Bożego. Wydaje Go na świat, własnemi piersiami karmi, i na własnych rękach piastuje. Patrzy tak blisko jak nikt inny na Jego takie z miłości ludzkiej niepojęte wyniszczenie; spędza z Nim w najściślejszem zjednoczeniu trzydzieści lat w Nazarecie, i w końcu patrzy na Jego Mękę i śmierć na krzyżu poniesioną za ludzi. Następnie z krzyża zdjętego tego i Boga Swojego i Syna, przyjmuje na toż łono które Go wydało, i temiż rękoma które Go wypiastowały, składa do grobu. O! cóż-to za niebiańskie ramy w które wprawione było błogosławione życie Przenajświętszej Matki! Do jakiegoż-to niezrównanego szczytu świętości dojść musiała Jej dusza, w takiej nadziemskiej cieplarni przez Boga wypielęgnowana! Nic też dziwnego, że gdy przychodzi mówić o świętości Maryi, brak nam na to wyrazów. Każde bowiem chociażby najsilniejsze o tem wyrażenie tak jest dalekiem od rzeczywistości, że gdy na to z wyżyn Jej doskonałości patrzymy, pochwały najzaszczytniejsze jak i najzimniejsze o tem słowa, na jedno wychodzą, tak jak gdy z jakiej nadzwyczaj wysokiej góry patrząc na dolinę u stóp jej rozciągającą się, i największe pałace i liche chatki zarówno małemi się nam wydają.

Świętość Maryi, uważana jako dzieło czysto Boskie bez żadnej przymieszki ludzkiej, gdyż jest dziełem łaski napotykającej współdziałanie z nią jak tylko być może najwierniejsze — daje nam mniej więcej dokładne pojęcie niezrównanej Jej doskonałości. Przekonywamy się wtedy, że cokolwiek powiedziano o tem, używając wyrażeń najsilniejszych, nie zawiera w sobie żadnej,

jakby się to komuś zdawać mogło, pobożnej przesady. To wszystko co o Niej powiedzieli lub napisali tacy wielcy Jej czciciele jak święty Dyonizy Areopagita, święty Epifaniusz, święty Amadeusz, święty Bernard, święty Bernardyn, święty Alfons i tylu i tylu innych, jeszcze nie dosięga tego coby godnie określało, orzekało Jej niezrównaną szczytność. Ta zaś trudność, owszem, to niepodobieństwo pojęcia świętości Maryi, sprawia, że podobnież niełatwo nam mówić o Jej wewnętrznem usposobieniu z jakiem przenosiła Swoje Boleści.

Bo najprzód, zmuszeni jesteśmy używać jednych i tychże samych słów i wyrażeń, dla określenia Jej współdziałania z łaskami najrozmaitszemi. Mówimy naprzykład o zgadzaniu się, o jednoczeniu się woli Maryi z wolą Boską, o Jej męstwie, o Jej wspaniałomyślności, o Jej cierpliwości, gdy tymczasem zmiana okoliczności i zastosowywanie do nich stopnia i rodzaju łaski, tym w Niej cnotom nadawały nowe jeszcze własności, nowe cechy, zamieniające je na nowe zalety Jej duszy, których dopatrzyć i ocenić jest dla nas niepodobieństwem. Nasze ograniczone pojęcie nie jest zdolne uchwycenia tych wszystkich odcieni łask, bezustannie jedna po drugiej zalewających niepokalaną duszę Przenajświętszej Matki, a przez jak najwierniejsze i niezwłoczne z niemi Jej współdziałanie, zamieniających się co chwila, co mgnienie oka, w najprzecudniejsze promienie coraz więcej iskrzącej się Jej świętości. Wiemy tylko że tak jest rzeczywiście, i że mała cząsteczka łask z tych w które opływała Marya, jest już czemś takiem że każda z nich dostateczną by była do uczynienia świętą nietylko każdą inną duszę pojedynczo wziętą, lecz niezliczoną ich liczbę, owszem niezliczone nawet mnóstwo duchów anielskich. Pomimo jednakże takiej trudności

w rozprawianiu o świętości Maryi, wypada nam, chociażby jąkając się i jak niemowlęta bełkocąc, coś jeszcze powiedzieć o tem, pomimo że wiemy iż będzie to bardzo i bardzo dalekiem od rzeczywistości.

Powtóre: ponieważ świętość Maryi, zawisła na Jej jak najwierniejszem współdziałaniu z łaską, współdziałaniu bezustannem, bezopornem, spokojnem lecz oraz i najwierniejszem — więc właśnie to Jej takie współdziałanie nadawać musi Jej wewnętrznemu usposobieniu właściwe cechy i właściwy mu charakter. Lecz gdy łaski udzielane Maryi, przechodzą nasze wszelkie pojęcie; gdy ich niezgłębiona przepaść nie ma nazwy w Teologii; tedy i współdziałanie z niemi Przenajświętszej Panny przechodzi podobnież wszelkie nasze wyobrażenie, a stąd i Jej wewnętrzne usposobienie właśnie od Jej współdziałania z łaską nabierając swoją główną cechę, jest dla nas nie łatwem do dociekania. Co najwięcej, możemy zapuszczać się tylko w pewne przypuszczenia, w domysły, i wyobrażać sobie coś, co koniec końcem, będzie tylko cieniem rzeczywistości.

Prócz tego chociaż w miarę jak jedna z Boleści Matki Przenajświętszej następowała po drugiej, trudność mówienia o Jej wewnętrznem usposobieniu wzmaga się koniecznie to jednakże, pomimo tego, milczeć nie mogliśmy, gdyż te rozmaite Jej wewnętrzne usposobienia, było to łaski przywiązane do Jej Boleści, łaski w pełnym swoim rozkwicie: były kwiatami coraz nowych cnót przyozdabiających Jej duszę. Bo Marya nie była tem tylko czem Ją zewnętrznie widzimy, chociaż i to jest już ogromnem, bo Ją widzimy godnie odpowiadającą najwyższej jaka być może po Bogu godności, Matki Boga. Jej chwała zewnętrzna, jawna, jakkolwiek olśniewająca i przechodząca wszelką możliwą prócz Boskiej

chwałę, była jeszcze jakby niczem w porównaniu z Jej chwałą wewnętrzną, ukrytą, zatajoną według tych słów Pisma świętego: *Cała chwała tej córki królewskiej od wnętrza pochodzi* *). Gdy zaś już samej tej zewnętrznej, dostępnej oczom ludzkim chwały szczyt, jest tak niezmiernie wysoko wzniesiony, że go żaden wzrok ludzki dosięgnąć nie jest w możności, cóż dopiero gdy rzecz idzie o chwale ukrytej, o chwale wewnętrznej, tej ulubionej *córki* najwyższego *Króla,* gdy rzecz idzie o to, co właściwie stanowiło Jej wewnętrzne usposobienie, o którem mówić nam przychodzi. Lecz raz jeszcze powtórzmy, pomimo trudności jaka się w tem napotyka, niech nam Przenajświętsza Matka pozwolić raczy, chociaż słów kilka o tem nieśmiało wyjąknąć.

Z pomiędzy wszelkiego rodzaju usposobień wewnętrznych w Świętych, nie wyłączając nawet gotowości na męczeństwo, rzeczą najbardziej nas uderzającą, jako dowodzącą wysokiej doskonałości, jest wytrwałość w raz złożonej, a wiele nas kosztującej, ofierze Bogu. Wytrwałość takowa, jest sama przez się, z pomiędzy wszystkich łask innych, najbardziej wyniszczającą w duszy to, co do skażonej natury ludzkiej jest przywiązane. Wydaje się że z tą łaską, Swoją-to własną, odwieczną i wiecznie trwać mającą niezmiennością, przyobleka Pan Bóg duszę, i że ten strój niebiański czyni stworzenie najbardziej podobne Samemuż jego Stwórcy. Wtedy też, w każdym postępku człowieka, więcej jest zasługi, więcej przypodobywania się Bogu, aniżeli nawet w tej pierwotnej gorącości ducha, jaką pałało serce w chwili w której robiło Bogu raz na

*) Psalm 44. 20.

zawsze nieodwołalną ofiarę. Chociaż bowiem w cnocie wytrwałości, więcej jak we wszystkich innych, jaśnieje żywioł nadprzyrodzony, Boski, objawia się potęga łaski, to jednakże, ciągle potrzebne są do tego nasze osobiste wysilenia. Dla dostąpienia cnoty mężnej stałości w dobrem, bardziej jak kiedy, niezbędnem jest nasze własne współdziałanie z łaską. Lecz zasługa cnoty wytrwałości i niezrównana za nią chwała, osięga się całkowicie dopiero wtedy, gdy uczynioną przez nas ofiarę Bogu, dokonywamy w całej jej pełni. Wtedy to bowiem i wtedy dopiero, ofiara uczyniona przez nas, staje się godną korony zapowiedzianej wytrwałości, i tylko wytrwałości: *Błogosławiony który wytrwa aż do końca*).*

A tymczasem, jakże zadziwiającem i bolesnem jest to, że nietylko niektóre dusze cofają się ze swoją ofiarą, zanim się ona jeszcze w całkowitości dopełniła, ale że nawet wielka jest liczba takich, które pozbawiają się całej zasługi, w chwili właśnie, kiedy te zasługi już ukoronowane być miały. Ulegamy słabości natury naszej, i po długiej pracy szukamy wypoczynku w chwili, kiedy ostatnie wysiłki są koniecznemi i od nich wszystko zależy. Cała trudność wytrwałości, a więc i cała jej wartość, jej niezrównana cena, zawisła na tem, abyśmy w raz uczynionej Bogu ofierze, nigdy sobie nie folgowali. Dlatego też to cnota wytrwałości, jest cnotą której najwyższego wzoru nie na ziemi, lecz w niebie szukać nam trzeba, i o niej to mówił głównie Pan Jezus, gdy powiedział: *Bądźcie doskonałymi, jako Ojciec wasz niebieski doskonałym jest **).*

Inni znowu nie folgują sobie w pracy, nie żałują wysileń, nie cofają się z ofiarą raz uczynioną, lecz

*) Mat. 10. 22. **) Mat. 5. 48.

ciągle mają zwrócone oczy na nagrody za nią im należne. Przez to, umniejszają sobie zasługi, odejmując czynom swoim wszelką bezinteresowność. Jeśli jakie mniejsze nasze zasługi nie wydają się nam dostatecznie wynagradzanemi, znosimy to jako-tako. Lecz gdy zdobywamy się na coś większego, więcej nas kosztującego, zdaje się nam, że mamy wyraźne prawo, żeby nam to Pan Bóg sowicie i niezwłocznie tu jeszcze na ziemi wynagradzał. Zapominamy, że w porównaniu z tem czem Pan Bóg wynagradza w niebie, chociażby najmniej kosztujące nas dla Niego wysiłki, to co robimy chociażby to nas najwięcej kosztowało, jest jakby niczem, i że w końcu i na to bez Jego pomocy nigdybyśmy się nie zdobyli. Słowem, z najrozmaitszych powodów, a z własnej winy, mało jest dusz, któreby raz z pewnem męstwem i wspaniałomyślnością uczyniwszy Bogu ofiarę, nie kaziły ją, nie zmniejszały jej zasługi, brakiem niezachwianej i doskonałej wytrwałości. Stąd gdy widzimy kogo stale i mężnie wytrwałym w raz uczynionej Bogu ofierze, jednostajnie cierpliwym, pilnym, niczem się nie zniechęcającym, nigdy na duchu nie padającym, a nie spostrzegającym się nawet, że zdobywa się na coś wielkiego, — nie żeby nie wiedział co robi, tylko dlatego, że całem sercem zatopiony będąc w Bogu, nie ma czasu zwracać na siebie uwagę — wtedy widok taki przedstawia nam coś nadziemskiego, i ze wszelkich usposobień wewnętrznych, takie usposobienie, jest jakby odbiciem się na duszy spokoju i wypoczynku Boga Stworzyciela, gdy po stworzeniu świata nastał dzień siódmy.

I takiem właśnie było wewnętrzne usposobienie Maryi po Jej siódmej Boleści: był-to dzień wypoczynku, po wytworzeniu się Jej świętości przez odniesione już

wszystkie Boleści. Lecz gdy przywiedziemy sobie na pamięć ofiarę jaką Ona złożyła Bogu, a następnie męstwo niezachwiane Jej duszy przeszytej po kolei siedmio mieczami najcięższych, jakie tylko być mogą, Boleści, a w końcu Jej osamotnienie wśród stworzeń Ją otaczających, — możemy zrozumieć jak dalece przechodzi naszą możność zrobienie sobie wyobrażenia o takowem Jej usposobieniu wewnętrznem, i jak dalece je poniżamy, jak Mu uwłaczamy, jeśli je porównywamy z tego rodzaju usposobieniem chociażby największych Świętych. Bóg spoczął Sam w Sobie po dokonaniu dzieła stworzenia świata, — Marya spoczęła w Bogu, gdy Pan Bóg dokończył tworzenie Jej świętości, w Jej siódmej Boleści.

Inną znowu własnością wewnętrznego usposobienia Maryi w siódmej Boleści, było oderwanie Jej serca od wszelkich pociech duchownych, od wszelkich niebieskich słodyczy. Jestto najwyższym szczeblem miłości Boga, a który z samej swojej natury tylko na ziemi jest dla dusz wybranych dostępnym. Takiej bowiem miłości Boga bez pociech i słodyczy w niebie już być nie może.

Tak często rozprawiamy o zamiłowaniu cierpień, pobudzając do tego i drugich i siebie samych, że zapominamy prawie jak zamiłowanie takowe jest rzadką i wysoką łaską, i jak ubieganie się o nią dla dusz pospolitych jest zuchwałością, grożącą wielkiem niebezpieczeństwem. Niemasz wątpliwości, że mało jest osób, dla których łaska takowa byłaby odpowiednią, to jest, któreby jej właściwie odpowiedziały. Prócz tego są cierpienia, na które nawet Święci rozmiłowani we wszelkiego rodzaju możliwych w człowieku cierpień, wzdry-

gali się na samo ich wyobrażenie. A tem są cierpienia, strapienia wewnętrzne, któremi niekiedy, niektóre z najwybrańszych dusz, widzi Pan Bóg potrzebę już jakby własnemi rękoma krzyżować, i przez okropne ognie wewnętrznych prób, oczyszczać, doświadczać i do najwyższego stopnia świętości doprowadzać. Wielu takich, którzy dla miłości Boga pozbawiali się świata ziemskiego, zamykając się na całe życie w ciemnych jaskiniach, albo dostając się do więzień, za wytrwałość w wierze — cofnęło się z przerażeniem, gdy widzieli, że ciemności wewnętrzne groziły ich duszy, i gorącością swoich modlitw odwróciły je od siebie. Bywali Święci którzy dla miłości Boga wyrzekali się pociech i słodyczy duchowych, a którzy jednakże nie mogli przenieść strasznych prób wewnętrznych ucisków, zaciemnień, pokus, najokropniejszych i najdotkliwszych zaniepokojeń sumienia. Bardzo mało dusz przebyło szczęśliwie, płomieniami jakby piekielnemi, piekącą pustynię wewnętrznego opuszczenia przez Boga, i gdy w tym stanie się znajdowały, jękami rozdzierającymi serce, objawiały straszne męki przez jakie przechodziły. Sam Pan Jezus wydobył z Boskich ust Swoich głośną skargę, gdy tego okropnego konania duszy, tego ucisku, przed konaniem Swego człowieczeństwa, dopuścił na Siebie na krzyżu.

Otóż w siódmej Boleści, dano było Maryi zejść do takich strasznych otchłani i uczestniczyć jeszcze bardziej jak kiedy stała pod krzyżem, w opuszczeniu Pana Jezusa, przez doznanie podobnegoż na Sobie Samej. I tak opuszczenie Pana Jezusa, mając uwieńczyć wszystkie Jego cierpienia, spotkało Go przy końcu Jego Męki, właśnie w chwili gdy dla Jego natury ludzkiej było to najtrudniejszem do przeniesienia — tak po-

dobnież, opuszczenie Maryi spotkało Ją przy końcu Jej Boleści, jako cierpienie mające je wszystkie ukoronować wtedy, gdy łódkę Przenajświętszej Jej duszy, przebytemi już mękami skołataną, zamieniły jakby na rozbite po strasznej burzy szczątki, unoszące się na morzu łask Boskich, które Ją od zatonienia uchroniły. I Męka więc Jezusa i Boleści Maryi, zakończyły się tymże samym rodzajem cierpienia. Zakończyły się cierpieniem tajemniczem, nadprzyrodzonem, najcięższem, jakie duszę na tej ziemi spotkać może, a którego całą siłę i dosadność, pojąć nie jesteśmy w stanie. Wiedzieć nam tylko trzeba, że przez ten to rodzaj wewnętrznej męczarni przeniesionej w milczeniu i z poddaniem się, oddaje się Bogu najgłębsza na jaką zdobyć się może tu na ziemi człowiek cześć, objawiająca tak wielką miłość Boga że nawet pojęcie samych Aniołów przechodzi i jeśli tak wyrazić się można, świętą zazdrość w nich rozbudza.

Są przytem dwa owoce tej siódmej Boleści Przenajświętszej Matki, na które uwagę zwrócić należy a które zaliczyć możemy do głównych cech wewnętrznego Jej usposobienia. Tem zaś są: duch pośrednictwa, wstawiennictwa i duch dziękczynienia.

Owoce łaski bywają niekiedy wprost sprzeczne z płodami natury, nawet wtedy, gdy na tej ostatniej zaszczepione zostały. Wszak naturalnem następstwem cierpienia, jest rozbudzanie się w nas samolubstwa, skłaniającego nas do zajęcia się tylko samymi sobą i pochłaniającego uwagę naszą na to co cierpimy. A jednakże, wiadomo, że szczególną łaską przywiązaną do cierpienia, gdy się ono święcie znosi, jest właśnie odwrócenie uwagi od siebie samego. Można powiedzieć nawet, że wtedy gdy święcie znosimy cierpienie, roz-

szerza nam ono serce i nietylko nie zziębia je dla bliźniego, lecz owszem czyni tem czulszem: rozbudza w nas tem większe pragnienie być dla drugich wedle możności i obowiązku jak najużyteczniejszymi. Stąd, duch pośrednictwa, chęć wstawienia się do Boga za tymi którzy tego potrzebują, rozbudza się zwykle w duszy dotkniętej wielkiem jakiem strapieniem, a znoszącej takowe z cierpliwością i poddaniem się. Nasza przychylność dla drugich, dlatego przybiera wtedy cechy nadprzyrodzone, cechy pobożne, religijne, że cierpienia nasze znoszone święcie i przez to ściślej jednocząc nas z Bogiem, obdarzają nas wielką słodyczą i rozbudzają szczególną litość nad potrzebami drugich. Duch pośrednictwa, wypływający z ducha litości, jest cechą dusz, które Pan Bóg cięższemi cierpieniami widzi potrzebę doświadczać, a które tę próbę szczęśliwie odbywają. Każdy chrześcijanin cierpiący, a w łasce będący, jest żywym obrazem Chrystusa ukrzyżowanego; stąd też duch zadośćuczynienia nietylko za siebie ale i za drugich, a więc duch pośrednictwa, jest jedną z łask przywiązanych do cierpienia, przez wzgląd na Boga cierpliwie znoszonego. Gdy zaś najczęściej ludzie-to albo są główną przyczyną naszych cierpień, albo w wielkiej mierze przyczyniają się do nich, co nawet i bez ich winy niekiedy następuje — tedy dusza uświęcona cierpliwem znoszeniem swojego strapienia, łatwiej jak kiedy, zdobywa się na to, żeby za tych właśnie którzy jej cierpienie zadali, modliła się jak najserdeczniej. Tak to Pan Jezus modlił się na krzyżu za tych, którzy Go na nim rozpięli. Tak Męczennicy modlili się za swoich katów. Tak nieraz wielka krzywda jaka wyrządziła się jakiemu Świętemu, bywała najskuteczniejszym środkiem do pozyskania sobie jego

najgorętszych modlitw. Któżby więc mógł wątpić, że w owej chwili tak stanowczej dla świata całego, w chwili gdy tylko co dokonała się była sprawa zbawienia ludzi — żeby właśnie wśród siódmej Boleści Swojej, Marya nie miała się wstawiać za nami, pośredniczyć za całym rodzajem ludzkim, a z tem większą gorącością ducha, tem rzewniej i usilniej, że właśnie wtedy pogrążoną była już do samego dna bezdennej przepaści Swoich cierpień. A że modlitwy za drugich, Jej pośredniczenie za nami, stanowiło skarb dla Niej najdroższy, a skarb mogący zbogacić nad wszelkie wyobrażenie miliony milionów dusz, więc niezmierna Jej miłość, musiała bardziej jak kiedy wtedy właśnie pośredniczyć za niemi, — tembardziej, że przez to wszystko co tylko wycierpiał Boski Syn Jej, najwyższa Sprawiedliwość, najzupełniejsze odbierała zadośćuczynienie.

Lecz gdy cierpienie, święcie znoszone, czyni serce czulszem na cierpienia drugich, czyni je ono i zdolniejszem coraz gorętszej miłości Boga, i znowu wprost przeciwnie naturze, przywodzi do uczucia wdzięczności Bogu za obdarzenie krzyżem i do aktów dziękczynnych za nie. Zapatrując się na rzeczy po ludzku tylko a nie po Bożemu, według praw natury, cierpienie jest zbiegiem wypadków, za które najmniej poczuwamy się do obowiązku wdzięczności względem najwyższej Opatrzności, wszystkiem ostatecznie kierującej. Lecz dla wiary oświeconej i rozważnej, czas cierpienia jest porą, w której najobfitsze i najpożądańsze błogosławieństwa niebieskie, cudownie spływają na duszę. A jednak i w tem zachodzi coś bardzo naturalnego. Gdy przyjaciel odwraca się od nas z jakiejkolwiek przyczyny, takowa w nim zmiana, rozbudza w nas żywą pamięć pociech

doznawanych w tym stosunku przyjaźni dziś zerwanej, i wtedy zapatrując się w przeszłość, przyjaźń rozchwiana, przybiera w oczach naszych większe jeszcze powaby, aniżeli je miała gdy trwała. Coś podobnego dzieje się w stosunku naszym z Bogiem. Gdy dotyka nas cierpienie, a spotyka duszę pokorną i właściwie w stosunku z Bogiem się zachowującą, wspomnienie dawnych miłosierdź Boskich nad nami, albo i pociech wewnętrznych, których nam zakosztowywać dozwalał — daje nam lepiej je ocenić, lecz oraz silniejsze rozbudza w nas przekonanie, jak ich niegodni jesteśmy. A wtedy, cierpienie przedstawiając się nam jak rzecz najzupełniej nam się należąca, pobudza nas do wdzięczności względem Boga i do najżywszych aktów dziękczynnych. I takie to wewnętrzne usposobienie cierpiącej duszy, przywodzące ją do tem serdeczniejszego wychwalania Boga, im większemi cierpieniami raczy on Ją oczyszczać i uświęcać, jest najwyższą chwałą, jaką Mu na ziemi oddawać możemy, najmilej przez Niego przyjmowaną, i najobfitsze łaski na duszę ściągającą. Jak gdy chcemy żeby aromatyczne liście cyprysu albo lauru, wydały swój najsilniejszy zapach, miażdżymy je i rozcieramy, tak podobnież Pan Bóg miażdży i rozciera nasze serca, żeby z nich wychodziły najsilniejsze akty czci, uwielbienia, miłości i wdzięczności, przywodzące Go do tem ściślejszego z takiemi sercami zjednoczenia się i do rozbudzenia w nich tem gorętszej i stalszej ku Niemu miłości. Wątpić też nie można, że w miarę jak Marya zstępowała coraz-to a coraz głębiej w przepaść Swoich Boleści, akty Jej dziękczynienia były tem gorętsze, i nigdy milszy uszom Boga nie wznosił się z Jej Przenajświętszej duszy *Magnificat*, jako akt czci i uwielbienia, przewyższający całą chwałę oddawaną Bogu przez wszystkie duchy niebieskie.

Nakoniec, żywość niezachwianej wiary Maryi, była sama w sobie uważana w okropnych godzinach siódmej Jej Boleści, najwznioślejszem i najmilszem Bogu Jej wewnętrznem usposobieniem. Marya zachowała wtedy całą żywość i spokojność wiary, wśród niewymownych zaciemnień ogarniających zewsząd Jej zbolałą duszę. Zachowała całą żywość wiary bez właściwego jej blasku, jakby bez jej poczucia, bez przywiązanej do niej pociechy i uspokojenia, bez wszystkich tych nagród, które jej już tu na ziemi towarzyszą, bez uczuciowego przekonania, że ją posiada. Tego bowiem wszystkiego otchłań ostatniej Boleści, pozbawiła Ją była. Lecz wiara będąc łaską nad łaskami i ich wszystkich początkiem, ma to do siebie najprzeciwniejszego naturze, że jest wtedy najsilniejszą, gdy się zachowuje pomimo usunięcia się tego wszystkiego co ją w nas podnosi, ukrzepia, ułatwia, co jej w oczach naszych daje urok, czyniąc pełną pociechy i przedziwnie uspakajającą. Wiara, jest darem w tem obfitszej mierze udzielanym, im w cięższych do jej zachowania warunkach pozostaje niezachwianą. Jest bowiem ona, sama w sobie, najwyższym aktem czci prawdy Boskiej, i dla tego jest tak miłą Bogu i podstawą wszelkiej świętości: *Sprawiedliwy z wiary żyje* *). Z tego wynika, że im silniej uznajemy tę Prawdę najwyższą, pomimo ciemności nas otaczających, im wytrwalej nie spuszczamy z niej oczów, wśród najgrubszych chmur zasłaniających nam jej wyraźniejsze widzenie, wśród nawałnicy, miotającej naszą duszą, tem silniej ukrzepia się w nas wiara, i tem milszy Bogu zawiera w sobie akt czci Jego. Te słowa świętego męża Starego Zakonu Hioba: *Chociażby mnie zabił, ufać Mu będę* **), zamykają w sobie najwyższe

*) I. Kor. 2. 3. **) Hiob. 6. 8.

uwielbienie Boga. Z tego wynika i to także, że wewnętrzny pokój, wśród wielkiego strapienia, ukrzepia wiarę, oraz dowodzi jej panowania w duszy. Wtedy wiara spokojna, wytrwała, jest najwyższą czcią Boga, gdyż dowodzi, że dusza dlatego jest spokojną, że wie iż Bóg wszystkiem rządzi, i poddaje się temu jako woli lub dopuszczeniu Najwyższego, wszystko z nieograniczonej dobroci i nieprzebranej miłości robiącemu lub dopuszczającemu.

Owoż, nigdy wiara na cięższe próby nie była wystawioną, jak w tej siódmej Boleści Przenajświętszej Matki, a nikt ją tak żywą i niezachwianą nie posiadał, jak ją Ona posiadała wtedy. Wiara całego podówczas rozproszonego a nielicznego Kościoła, wiara żywa i niezachwiana, w owym pamiętnym dniu Wielko-Sobotnim, była tylko w Maryi, a odtąd po dziś dzień, w całym Kościele wojującym, nie było i niema większej i żywszej wiary od tej, jaką wtedy ożywioną była Jej dusza niepokalana.

To wszystko jednakże, daje nam słabe tylko wyobrażenie o wewnętrznem usposobieniu Przenajświętszej Panny, w cierpliwem przenoszeniu Jej siódmej Boleści. Wtedy łaski, których nawet Ona dotąd nie posiadała, zlane zostały na Jej duszę w niezmiernej obfitości. Szczyt świętości do jakiego już przez to doszła, przechodzi wszystko cobyśmy o tem powiedzieć lub tylko wyobrazić sobie mogli. Bogu to tylko wiadomo, jaką wewnętrzną pięknością zajaśniała wtedy Jej dusza, i ocenić tego prócz Boga, nikt, nawet Ona Sama, nie jest w możności. Dość nam wiedzieć, że w owej nocy z Wielkiej-Soboty na Wielką-Niedzielę, na całej ziemi, po Boskiem ciele Jezusa, złożonem w grobie przez ręce

Maryi, nie było przedmiotu godniejszego czci najgłębszej nad Jej serce, już i tym siódmym mieczem przeszyte.

§. IV. Czego nas uczy Przenajświętsza Matka w Swojej siódmej Boleści.

Lecz i ta siódma Boleść, jak i każda z poprzedzających, zawiera w sobie wiele najzbawienniejszych i jak najpotrzebniejszych dla nas nauk. Nauki zaś te odnoszą się nietylko do sposobu w jakim Bogu służyć powinniśmy, ograniczając się na pospolitym trybie życia dobrego chrześcijanina, lecz oraz pobudzać nas powinna do służenia Bogu z miłością gorętszą od tej z jaką Mu dotąd służyliśmy, z większą gorliwością i z większą cierpliwością w przeciwnościach i strapieniach jakie nas spotykają. Pośpiech z jakim Marya odeszła od grobu Syna, ażeby wrócić do Swoich zwykłych zajęć i spełnić w tem wolę Boską, uczy nas, że obowiązkom naszym zawsze pierwszeństwo dawać powinniśmy nad wszelkimi innymi względami, i że gdy one tego wymagają, powinniśmy wyrzec się pociech duchowych. Tymczasem, ze skrytych a zawsze mądrych i dobrotliwych rozporządzeń Opatrzności, często się wydarza, że obowiązkowe nasze zajęcia, pozbawiają nas pociechy przebywania z Jezusem. W życiu domowem, rodzinnem, nieraz miłość bliźniego zmusza nas zrobić ofiarę z tego, coby przyczynić się mogło do naszego postępu na drodze pobożności, a którą to ofiarę nawet drudzy nie poczytują nam na zasługę, nie przypisują tego działaniu łaski, lecz pobudkom czysto ludzkim. Zawsze trudno nam to zrozumieć, że nic nie przyczy-

nia się bardziej do naszego postępu duchowego, jak umartwienie własnej woli, i że przykrości jakich doznajemy z mimowolnego opuszczenia niektórych dowolnych ćwiczeń pobożnych, dla spełnienia obowiązków naszego stanu, jest jednym ze środków najbardziej nas uświątobliwiających. Lecz przydać tu potrzeba, że takowe opuszczania są tem wtedy i póty tylko, *dopóki są dla nas przykrością*. Inaczej bowiem, przestając być przykrością, przestają być umartwieniem; a co gorsza, gdy nas opuszczenia takowe nic nie kosztują, jest-to oznaką, że duch światowy zawładnął nami. W takich więc razach, należy mieć się na wielkiej baczności, i chociażby nas niesłusznie posądzono o samolubstwo, nie zaniedbywać tych środków, bez których zbawienie nasze byłoby wystawione na niebezpieczeństwo.

Lecz jeśli zaniechanie naszych dowolnych ćwiczeń pobożnych, wymagają już same zwykłe pospolite stosunki domowe, rodzinne, — toć tem bardziej ustąpić one powinny, gdy idzie o spełnianie jakich uczynków miłosierdzia chrześcijańskiego. Na nieszczęście bowiem, i przy pobożności nawet miłość własna nie łatwo w nas zamiera, a pobożność fałszywa, z samej natury swojej jest samolubną, i przez to tak bardzo gorszy drugich i od pobożności najwięcej ludzi światowych odstręcza. Natura nasza tak jest skażoną, tak zepsutą, tak złą, że najzbawienniejsze środki, przez ich nadużycie albo raczej przez ich niewłaściwe użycie, chybiają swego celu, i sprawdza się wtedy to łacińskie przysłowie: *corruptio optimi pessima*, zepsucie, złe użycie tego co jest samo w sobie doskonałem, jest rzeczą najgorszą. A stąd gdy nie kierujemy się roztropnem umiarkowaniem, nawet najzbawienniejsze dowolne ćwiczenia pobożne, gdy się sprzeciwiają miło-

ści chrześcijańskiej, będą objawem fałszywej pobożności, a więc i fałszywej miłości Jezusa. Fałszywą zaś będzie taka pobożność i fałszywą taka miłość Boga, bo będzie to czemś tylko uczuciowem, czemś dogadzającem chwilowemu usposobieniu, a pozbawionem tego zaparcia własnej woli, bez którego niemasz prawdziwej miłości Boga, a więc i prawdziwej pobożności. Robić w takich razach ustępstwa dla drugich, nie mieć czasu do modlenia się wtedy kiedybyśmy tego pragnęli, stosować ćwiczenia nasze pobożne do wymagań osób którym ulegać wypada — wszystko są to rzeczy nie łatwe i nie bardzo bezpieczne, a stąd wymagające wielkiej roztropności i ciągłej a żywej obawy, żebyśmy w końcu duchowi świata nie ulegli. Nie mniej jednakże, bywa to dzielnym środkiem uświątobliwienia, zwłaszcza dla tych, którym albo ich obowiązki, albo ich stan zdrowia nie dozwalają wieść życie umartwione i ostrzejszej pokucie oddane.

Użycie czasu, już-to z powodu uciążliwości przywiązanej do stałego jednostajnego rozkładu zajęć, już-to z powodu niemiłych natręctw osób nie mających na to względu, — jest także polem do zbierania wielu zasług z umartwienia się, dla starających się miłować Boga najbezinteresowniej; wśród nieuniknionych płochości i wymagań życia światowego. Jest-to zaś rodzajem umartwienia niemałego, a więc i obfitego w zasługi, w którem ćwiczyć się powinny osoby pragnące żyć pobożnie, a nie mogące oddać się całkowicie rodzajowi życia wyłącznie temu poświęconemu. Jest-to jednakże szkopuł, o który rozbija się wiele dusz pobożnych a zwłaszcza w początkach swego wstąpienia na tę drogę. Albo nie zachowując właściwej co do tego miary, obrażają miłość bliźniego, i dopuszczają

się najwyraźniejszych przeciw niej przekroczeń lub opószczeń, — albo znowu, nie dość pilnie strzegą się, żeby duch światowy, wśród którego żyją, pod pozorem miłości bliźniego, za wiele od nich wymagając, nie zapanował nad niemi i nie sprowadził ich na swoje zgubne manowce. Dla osób też to w takim będących położeniu, niezbędnem jest przewodnictwo duchowne, a w zupełnej niemożności mienia takowego, ciągłe uciekanie się do Maryi, i upraszanie sobie przez Nią potrzebnych wtedy łask szczególnych. Albowiem te dusze nawet, które już na drodze pobożności znaczny postęp uczyniły, chociaż wiedzą dobrze, że odejść od Jezusa, jak Go odeszła Marya pozostawiając w grobie, być pozbawionym uczuciowego przekonania Jego przy nas i w nas obecności, bywa w wielu i bardzo wielu razach pożyteczniejszem dla nas, aniżeli zażywanie pociech z obcowania z Bogiem wyłącznie — to jednakże pomimo tego nie łatwo się im do tego stosować. Takto bowiem natura z trudnością się ujarzmia, i domaga się zawsze zadowoleń swojej czułostkowości.

Lecz gdy Marya, wróciwszy od grobu Pańskiego, zamknąwszy się w mieszkaniu świętego Jana, nie szukając w niczem i od nikogo pociechy, oddaje się smutkowi, czyż z tego nie możemy zawnioskować, że to uniewinnia tych, którzy niejako lubują się w swojem strapieniu i ciągle się w niem myślą zatapiają? Otóż tu trzeba rozróżniać smutek od smutku. W rzeczach odnoszących się do Boga, smutek tak dalece różni się od smutku doznawanego z pobudek ludzkich naturalnych, jakiemi są wszelkie straty doczesne drogo nas kosztujące, — że nie mamy prawa oddalać go od siebie i szukać w nim pociechy, dopóki łaska rozbu-

dza go w sercu naszem. Smutek bowiem takowy i wynikające z niego cierpienia, jest tak dalece czemś innem jak cierpienie czysto ludzkie, że nie ma żadnej obawy, żeby dogadzało tylko czułostkowości naturalnej i zadawalniało samolubstwo. Oddawać się smutkowi w rzeczach odnoszących się do Boga, nie jest pieszczotliwością, lecz odpowiadaniem łasce ten rodzaj smutku w nas rozbudzającej. Gdy tymczasem, oddawanie się smutkowi z pobudek naturalnych wynikającemu i jakby lubowanie się w nim, sprawia, że przestaje on być cierpieniem. Albowiem wtedy bardzo dogadza on miłości własnej, przywodząc nas do zapatrywania się na nas samych jakby z jakiemś uwielbieniem, a co najmniej z tkliwem litowaniem się, i przez to wszelki hart odejmuje duszy.

A stąd, żal za własne grzechy, smucenie się z powodu obrazy Boskiej, której inni się dopuszczają, zmartwienie doznawane z powodu ciężkich jakich przejść Kościoła, serdeczne współubolewanie nad Męką Pańską i nad Boleściami Przenajświętszej Matki, nie są to smutki ludzkie, naturalne, lecz są to wprost działania łaski, a więc im poddawać się trzeba, i zupełnie inne sprawiają one skutki, od następstw smutku czysto ludzkiego, naturalnego. Taki więc smutek powinniśmy w sobie rozżywiać, powinniśmy rozbudzać wspomnienia mogące go wywołać, i nawet może wypadałoby i starać się o to, żeby w smutkach, z powyższych powodów powstających, chociażby najsilniejszych, dusza nasza jak najgłębiej i o ile możności ciągle zanurzoną była. Wszakże i w tem chronić się trzeba złudzeń, gdyż i w tem nie łatwo zachować nam miarę odpowiednią do naszej nędzy. Maryi tylko wolno było bez żadnego ograniczenia i bez najmniejszej obawy złu-

dzeń, oddawać się smutkowi, jakiego doznała w złożeniu Jezusa w grobie, i gdy, wróciwszy do mieszkania świętego Jana, zamknęła się w niem, zamykając całą swą duszę w tej siódmej Swojej Boleści.

Ta zaś ostatnia przenajdroższej naszej Matki Boleść, uczy nas i tego także, że nie masz większego i prawdziwszego smutku, jak ujrzyć się bez Jezusa. Nastaje wtedy w duszy zaćmienie, pogrążające ją w ciemności nocne grubsze jak podczas zaćmienia na Kalwaryi, gdy Jezus konał. A jednakże, jeśli ukrycie się przed nami Jezusa nie jest spowodowane naszą winą, lecz jest tylko próbą, przez którą raczy On przeprowadzać duszę, dając jej zakosztowywać goryczy siódmej Boleści Maryi, — wśród ciemności zalewających ją wtedy, słyszy ona Jezusa lepiej jak kiedykolwiek i widzi Go wyraźniej, bo wszystko wkoło niej ciemne i wszystko co z tego świata milczy. Są to prawdziwe ciemności, wprowadzające duszę niemi ogarniętą jakby współuczestniczenie z męką ciemności piekielnych. Zesłane na próbę duszy i jej ostateczne oczyszczanie, są z cierpień na ziemi doznać się mogących najcięższemi. A jednakże bez ich przebycia, z wyjątkami niezmiernie rzadkimi, nie dochodzi się do szczytu doskonałości, do doskonałego zjednoczenia duszy z Bogiem. Bezwątpienia straszną jest-to męką; jednakże szukać na nią ulgi w stworzeniach, w pociechach ludzkich, byłoby i próżnem i z wielką szkodą duszy. W tej świątyni cierpień oczyszczających, uświęcających, w której Sam Bóg w sposób szczególny i wyjątkowy działa, Bóg Sam w Sobie uważany za wszystko starczyć powinien. Mówimy zaś: *Bóg Sam w Sobie uważany,* to jest, że sama myśl że Bóg jest i chwały Swojej zażywa

od wieków, powinno nam za wszystko wystarczać, nawet i za to, że Go przy sobie nie czujemy, że nietylko Jego pociech nie doznajemy, lecz się nam wydaje, żeśmy gniew Jego na siebie ściągnęli. *Bóg mój i wszystko moje!* te słowa wielkiego świętego Ojca Franciszka, trzeba nam wtenczas z głębi serca powtarzać i łączyć ciężkie cierpienia wtedy doznawane, z cierpieniami siódmej Boleści Maryi. Były one koroną, uwieńczeniem, zakończeniem wszystkich Jej Boleści, a wyniesieniem Jej błogosławionej duszy do najwyższego już szczytu świętości. Staną się też one i dla nas, jeśli w nich mężnie wytrwamy, środkiem dojścia do takiej doskonałości, jakiej Bóg domaga się od dusz, które przez taki czyściec ziemski przeprowadzać raczy.

Lecz jest inna jeszcze nauka, którą nam daje ta siódma Boleść Przenajświętszej Matki.

Po rozstaniu się z Jezusem przy Jego grobie, aż do chwili Jego Zmartwychwstania, Marya nie opuściła zadnego ze zwykłych Swoich zajęć. Oddawała się im jakby całem sercem, a jednakże serce Jej, albo raczej cała Jej dusza, sercem była z Jezusem w grobie. I to właśnie każde strapienie, każdy smutek, każde cierpienie powinno czynić z nami. Cierpienie święcie znoszone, zamyka nas w woli Boskiej, jakby w Przenajświętszym grobie. Pogrzebia naszą miłość własną owiniętą w śmiertelną dla niej płachtę strapienia, i składa ją w wykuty otwór woli Boga względem nas, jak Marya złożyła ciało Jezusowe w otwór wykuty na to w jaskini. Cierpienie — to jest *missyonarzem* niebieskim, jest najwymowniejszym orędownikiem woli Najwyższej względem nas, i gdy wszelkie łaski są takie-

miż Apostołami Boskimi, cierpienie jest tych Apostołów książęciem. Kościół jak na Piotrze, tak i na cierpieniu zbudowany, i na nim trwa i utrzymuje się: *A bramy piekielne nie przemogą go* *), *Pan Jezus będzie z nim po wszystkie czasy aż do końca* **). Cierpienie-to, byle święcie znoszone, wykopuje grób dla samolubnego *ja,* zasypuje go ziemią, okadza, zamyka nad nim wieko, i na jego grobie zasiewa kwiaty najcudowniejszą woń wydające. Wielką zaś tajemnicą cierpienia tak błogie skutki przynoszącego jest, że ono serce nasze z piersi w których bije, łatwiej jak co innego, przenosi w zranione Serce Jezusa i w przeszyte siedmio-mieczami serce Maryi, co z trudnością i rzadko kiedy następuje inaczej. Błogosławiony więc, szczęśliwy, komu co chwila nastręcza się sposobność, uświęcania się cierpieniem.

Tak tedy przyszliśmy w rozważaniach Boleści przenajdroższej Matki naszej do ich końca, a do chwili mającej rozpocząć ostatnie lat piętnaście Jej błogosławionego pobytu na ziemi. Jak więc pierwsze piętnaście lat Swego życia, spędziła Marya bez Jezusa, tak i takiż przeciąg czasu spędzi bez Niego od Wniebowstąpienia Pańskiego aż do Swego Wniebowzięcia. Z tą jednakże różnicą, że w pierwszych piętnastu latach Swoich, posiadała w umyśle i sercu tylko obraz mającego przyjść Mesyasza, a w przeciągu ostatnich lat piętnastu posiadała Go już w sobie najrzeczywiściej i bez przerwy w Komunii świętej, w której obecność Jezusa Sakramentalna trwała zawsze od jednej do dru-

*) Mat. 16. 18. **) Jan 16. 25.

giej, stając się niewyczerpanem źródłem coraz to wyższej Jej świętości.

Cokolwiekbądź, życie Przenajświętszej Matki Boga, było jakby nieprzerwanem pasmem cierpień mniejszych lub większych, wyraźniej lub mniej wyraźnie się objawiających. Młodość spędziła w ubóstwie i w tej ciągłej tęsknocie za niebem, do którego takie jak nikt z ludzi, jak nikt z Aniołów, miała prawa. Stawszy się Matką, od chwili zaofiarowania Pana Jezusa w Świątyni, po wysłuchaniu proroctwa, które kazał Pan Bóg Symeonowi ogłosić Jej wtedy już pierwszy Miecz Boleści przeszył Jej serce i z niego odtąd, ani na chwilę, nie wyszedł. Albo właściwiej mówiąc, wszystkie już siedm Mieczów Swoich Boleści nosiła w duszy od tejże pory, gdyż duchem prorockim obdarzona, miała sobie najwyraźniej objawionem, co Jej najdroższego Syna czeka, a więc jakie Ją, wszelkie pojęcie przechodzące spotkać mają cierpienia. Aż nareszcie, nadchodząc one w swojej smutnej siedmiorakiej, — jak je rozdzielił Kościół — kolei, doprowadziły Ją i do tej ostatniej Siódmej Boleści, którąśmy dopiero co rozważali. Można więc powiedzieć, że przeznaczeniem Maryi było przedstawić na Swojej Przenajświętszej osobie, wszelką możliwość cierpienia, a już nietylko takiego, któreby istota stworzona przenieść była w stanie, ale aż takiego jakiego doznać mogła najpodobniejszego do cierpień Jezusa, dusza, nie będąca jednak tak połączoną z Bóstwem, jak w Panu Jezusie, a obdarzona cudowną, nadprzyrodzoną zdolnością cierpienia, i również cudowną możliwością przeniesienia ich w takim stopniu. I inaczej, że tak rzekę, być nie mogło, skoro przez cierpienia-to wszelkiego rodzaju, przez straszną Mękę i okrutną śmierć Swoją, miał Pan Bóg,

wcielając się w Jej przeczystem łonie, świat zbawić. Nadludzkie Boleści Maryi, były nieoddzielne od Jej nadludzkiego Boskiego macierzyństwa, które Ją uczyniło Matką Tego, który z pomiędzy wszystkich ludzi, jacy kiedy najwięcej cierpieli i cierpieć będą do końca świata, przez samego Ducha-Świętego nazwanym jest *Mężem Boleści* *). Boleści Maryi nie są tylko ważnymi i najbardziej poruszającymi wypadkami z Jej życia, nie są to tylko środki użyte przez Boga do doprowadzenia Ją do tego szczytu świątobliwości, która Ją wyżej nad wszelkie twory rąk Boskich stawia; lecz były to przejścia dla Niej konieczne jako Matki Boga, który z Niej przyjął na Się człowieczeństwo, żeby w niem cierpieć do najwyższego stopnia i umrzeć śmiercią najhaniebniejszą w oczach ludzkich i najboleśniejszą. A stąd, Boleści Maryi, właściwie się na nie zapatrując, nieoddzielne są od Jej osoby; bez nich Matka Zbawiciela pojąćby się nie dała. Rozważanie też to tych tajemnic z Jej błogosławionego życia, dozwala nam zrozumieć nieco lepiej czem Ona jest; daje nam Ją poznać, o ile na to ograniczone nasze pojęcie zdobyć się może, co zawsze dalekiem jeszcze być musi od rzeczywistości.

Stąd też pierwsze piętnaście lat Jej życia, począwszy od Niepokalanego poczęcia, były przygotowaniem do Jej Boleści, jak znowu ostatnie piętnaście, począwszy od Zesłania Ducha-Świętego, były ich dojrzeniem i zbieraniem z nich owoców, podnoszących Jej duszę do najwyższego jaki tylko być może szczytu doskonałości, do coraz ściślejszego jednoczenia Jej z Bogiem, do ciągłego jakby Jej wstępowania do nieba,

*) Izaj. 53. 3.

aż do chwili, gdy tam razem z tąż duszą i ciałem wziętą została. Przez te ostatnie lat piętnaście, morze Jej Boleści uciszyło się i stało się otchłanią przeźroczystą, niezgłębioną, jasną; otchłanią miłości najgorętszej i najczystszej, na jaką zdobyć się może istota stworzona, a której-to miłości aktu najwyższe wytężenie, spowodowało rozwiązanie Jej duszy z ciałem i przeniesienie Jej z tąż duszą i ciałem na łono Trójcy Przenajświętszej. Niebotyczny gmach Boleści Maryi, które nieoddzielne być miały od Jej macierzyństwa Boskiego, musiał mieć odpowiednie mu podwaliny, odpowiednie fundamenta, w łaskach udzielonych Jej w pierwszych piętnastu latach Jej życia, przygotowujących Ją i uzdalniających do tych Boleści. W jakiejże niezmiernej mierze łaski zlać się na Nią musiały, gdy gmach ten wykończony został w całej swojej niedającej się ogarnąć okiem ludzkiem szczytności.

Nieraz przychodziło nam na myśl, jakie łaski spłynąć mogły na Maryę przy Zesłaniu Ducha-Świętego, kiedy Ona już i przy Zwiastowaniu *Pełną* ich była: *Łaski pełna;**) a cóż dopiero, gdy już i wszystkie Siedm Swoich Boleści przebyła? Cóż więc jeszcze więcej nad to mogło pozostawać do zrobienia pod tym względem? Jakież to jeszcze łaski mogła Marya odebrać i ciągle odbierać aż do Swego Wniebowzięcia? Już bowiem to samo, że Jej Wniebowzięcie odwleczonem zostało, musiało mieć swoje znaczenie, a cóż ta zwłoka znaczyć mogła innego, jakiż inny cel miała, jak przymnożenie i przez ten czas łask, i podnoszenie się przez nie Jej już i bez tego niezrównanej świętości, do szczytów jeszcze wyższych.

*) Łuk. 1. 26.

Gdy Maryę zatrzymał Pan Jezus na ziemi po Swojem z niej odejściu, żeby się opiekowała powstającym Kościołem, jak się opiekowała Jego dziecięctwem, już to samo zamykało w sobie, wymagało niejako, żeby dla Niejże Samej stało się to polem nowych zasług, a więc i łask nowych. A właśnie Boleści to Maryi rozwarły w Jej duszy przepaści, które łaska wnet zapełniła i te to Boleści uzdolniły Ją do przyjęcia jeszcze większy ich nadmiar przy Zesłaniu Ducha-Świętego. Dary Ducha-Świętego są niewyczerpane, granic nie mają, zdolność zaś Maryi do ich przyjmowania ciągle przez Boga była podnoszoną, a stąd dla nas, dla naszego pojęcia zdolność takowa, była, jak się wyrażają Teologowie, w swoim rodzaju nieograniczoną *(infinita sui generis)*. Taż łaska która Ją uzdolniła do Macierzyństwa Boskiego, uzdolniła Ją także i do Męczeństwa całego Jej życia, a znowu to męczeństwo, uzdolniło Ją do tego niewymownego, niepojętego przymnożenia sobie zasług i łask, zawartych w ostatnich piętnastu latach Jej pobytu na ziemi.

A tak Boleści Maryi, są jakby ostatniem słowem Jej nadludzkiej świętości. Lepiej jak wszystkie tajemnice odnoszące się do Jej pobytu na ziemi, Boleści Jej dają nam poznać czem Ona jest. Zaledwie można je nazwać tajemnicami Jej życia, gdyż czemś więcej są one: są jakby samem Jej życiem, jakby Jej osobą, jakby Jej macierzyństwem. One to dopiero dają nam przybliżone wyobrażenie Jej świętości i Jej po Boskiej Osobie Pana Jezusa, najbliższego podobieństwa do Boga. Jest-to najjaśniejszem, a oraz najbardziej przemawiającem do serca Objawieniem się nam Matki Boga. A jak pierwsze piętnaście lat

Jej życia były zatajone, tak zatajonemi pozostały i piętnaście ostatnie. Lecz jak na tamte, tak i na te, jakby mgłą z nieba spadłą przed nami zasłonione, ognie Jej Boleści rzucają światło, tłómacząc, że pierwsze były do nich odpowiedniem przygotowaniem, drugie następstwem z całym skarbem nabytych już i po nich zasług. Kto więc pragnie poznać, o ile to dla nas dostępnem, naszą przenajdroższą niebieską Matkę, niechże się Jej *wyucza* w pobożnem rozważaniu Jej siedmiu Boleści.

A jak szczęśliwi bylibyśmy, gdybyśmy tem, cośmy tu o tem mówili, przyczynić się do tego mogli, chociażby w maluczkiej mierze.

Kończąc zaś te rozmyślania nasze nad Boleściami Maryi, popatrzmy oczami duszy, raz jeszcze na Nią odchodzącą od grobu Jezusa. Boleść i smutek Ewy, wychodzącej z Raju ziemskiego na tę ziemską dolinę łez i płaczu, były jakby niczem w porównaniu z Boleścią i smutkiem, jaki zalewał wtedy duszę naszej przenajdroższej Matki. Z siedmiu mieczami przeszytem sercem, wyszła Ona z ogrodu Getsemańskiego, który dla Niej był więcej jak Rajem ziemskim, bo w nim pozostawiła Jezusa. Wyszła zaś stamtąd, aby odtąd, przez przebyte Boleśsi Swoje stać się na zawsze Matką Kościoła wojującego, a więc na cierpienia ciągle wystawionego; Królową Męczenników; Ucieczką naszą i wspomożycielką najlitościwszą; Pocieszycielką najskuteczniejszą wszystkich cierpiących; Wzorem najwyższym i zachętą do świętego znoszenia wszelkich cierpień; Mistrzem uczącym nas najlepiej, czem jest cierpienie i w jak miłosiernych widokach Swoich zsyła je Pan Bóg na nas. I nareszcie, odeszła od grobu Bo-

skiego Syna i Sama ledwie żywa od Boleści przebytych, żeby je w niebie, przez wszystkie czasy, ciągle zaofiarowywać Bogu, dla wyjednywania łask tem obfitszych im więcej cierpiała, dla świata całego, dla wszystkich ludzi, a zwłaszcza dla nas grzeszników.

O! Matko Najboleśniejsza!
módl się więc, módl się za nami
teraz, a najbardziej
w godzinę śmierci naszej.
Amen.

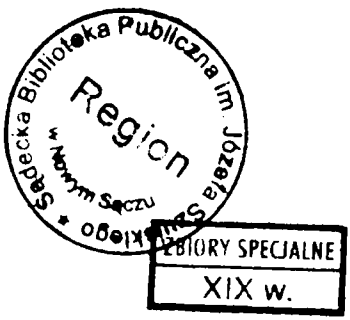

Spis rzeczy.

str.

Breve Ojca świętego V
Z Przeglądu Katolickiego XI
Z Przeglądu Powszechnego XV
Od tłómacza — o cierpieniu XVII

ROZDZIAŁ I.

Męczeństwo Maryi 1

ROZDZIAŁ II.

Pierwsza Boleść.

Proroctwo św. Symeona.

§. I. Szczegóły tej tajemnicy 94
§. II. Główne cechy pierwszej Boleści Przenajświętszej Matki. 112
§. III. Wewnętrzne usposobienie Przenajświętszej Matki w Jej pierwszej Boleści 123
§. IV. Czego nas uczy Przenajświętsza Matka w Swojej pierwszej Boleści 135

ROZDZIAŁ III.

Druga Boleść.

Ucieczka do Egiptu.

§. I. Szczegóły tej tajemnicy 161
§. II. Główne cechy drugiej Boleści Przenajświętszej Matki. 174
§. III. Wewnętrzne usposobienie Przenajświętszej Matki w Jej drugiej Boleści 206
§. IV. Czego nas uczy Przenajświętsza Matka w Swojej drugiej Boleści 216

ROZDZIAŁ IV.

Trzecia Boleść.

Zniknięcie trzydniowe Jezusa.

§. I. Szczegóły tej tajemnicy 221
§. II. Główne cechy trzeciej Boleści Przenajświętszej Matki. 244
§. III. Wewnętrzne usposobienie Przenajświętszej Matki w Jej trzeciej Boleści 258
§. IV. Czego nas uczy Przenajświętsza Matka w Swojej trzeciej Boleści 266

ROZDZIAŁ V.

Czwarta Boleść.

Spotkanie Jezusa krzyż niosącego.

§. I. Szczegóły tej tajemnicy 277
§. II. Główne cechy czwartej Boleści Przenajświętszej Matki. 297
§. III. Wewnętrzne usposobienie Przenajświętszej Matki w Jej czwartej Boleści. 318
§. IV. Czego nas uczy Przenajświętsza Matka w Swojej czwartej Boleści. 329

ROZDZIAŁ VI.

Piąta Boleść.

Ukrzyżowanie.

§. I. Szczegóły tej tajemnicy 345
§. II. Główne cechy piątej Boleści Przenajświętszej Matki. 380
§. III. Wewnętrzne usposobienie Przenajświętszej Matki, w Jej piątej Boleści 401
§. IV. Czego nas uczy Przenajświętsza Matka w Swojej piątej Boleści. 406

ROZDZIAŁ VII.

Szósta Boleść.

Zdjęcie z krzyża.

§. I. Szczegóły tej tajemnicy 419
§. II. Główne cechy szóstej Boleści Przenajświętszej Matki. 434
§. III. Wewnętrzne usposobienie Przenajświętszej Matki w Jej szóstej Boleści 446
§. IV. Czego nas uczy Przenajświętsza Matka w Swojej szóstej Boleści 453

ROZDZIAŁ VIII.

Siódma Boleść.

Złożenie Jezusa do grobu.

§. I. Szczegóły tej tajemnicy 471
§. II. Główne cechy siódmej Boleści Przenajświętszej Matki. 491
§. III. Wewnętrzne usposobienie Przenajświętszej Matki w Jej siódmej Boleści 504
§. IV. Czego nas uczy Przenajświętsza Matka w Swojej siódmej Boleści 523

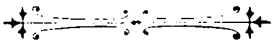

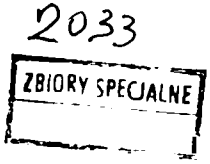

50,-

Zakup
od P. K. Mrocharskiej
07.02.2003